

Srebrzysty cień

Feist Raymond

Książka III z Wojna Światów



calibre 0.9.27

SREBRZYSTY

CIERŃ

(Tłumaczył: Mariusz Terlak)

Ethanowi Aaronowi Feistowi,

Alicii Jeanne Lareau,

wszystkim małym magom

PODZIĘKOWANIA

*Ponownie zaciągnąłem dług wdzięczności wobec wielu osób,
którym książka ta zawdzięcza swoje istnienie. Chciałbym gorąco
podziękować:*

Piątkowym Nocnym Markom, wśród których są: April i Stephen

Abrams, Steve Barret, Anita i Jon Everson, Dave Guinasso, Conan

LaMotte, Tim LaSelle, Ethan Munson, Bob Potter, Rich Spahl, Alan

Springer oraz Lori i Jeff Velten, z powodów, których było zbyt wiele,

aby można było je tu wyliczyć.

Wdzięczny jestem Susan Avery, Davidowi Brinowi, Karnie Buford

oraz Janny Wurst za to, że zechcieli dzielić się swoimi przemyśleniami

podczas powstawania książki.

Podziękowania należą się również moim przyjaciołom w

Doubleday. Cieszę się, że ich lista wydłużyła się o nazwiska Pat

LoBrutto i Petera Schneidera.

Al Sarantonio dziękuję za wrzucanie grosików do grającej szafy w

Chicago.

Jeszcze raz podziękowanie dla mego agenta, Harolda Matsona.

I, jak zawsze, Barbarze A. Feist, mojej matce.

Feist

Raymond Kalifornia San Diego

kwiecień, 1984

NASZA OPOWIEŚĆ DO TEJ PORY...

Pug i Tomas, dwaj chłopcy pracujący w kuchni zamku Crydee wpadają w wir wydarzeń towarzyszących inwazji na ich rodzinną ziemię, Królestwo Wysp w świecie zwanym Midkemią. Pug, pochwycony przez żołnierzy Imperium Tsuranuanni, dostaje się do niewoli. Mijają cztery lata niewolniczej pracy w obozie na bagnach w świecie Tsuranich, Kelewanie. Pug pracuje razem z przybyłym później towarzyszem niedoli, Laurie z Tyr-Sog, trubadurem. Po konflikcie z nadzorcą obozowym obaj młodzieńcy zostają zabrani przez Hokanu, najmłodszego syna Shinzawai, do majątku ojca. Dostają tam polecenie zapoznania Kasumiego, drugiego syna gospodarza, ze wszystkimi aspektami kultury Królestwa, oraz nauczania go języka. Pug spotyka tam również niewolnicę o imieniu Kalala i zakochuje się w niej. Brat pana Shinzawai, Kamatsu, był jednym z Wielkich, magów o potężnej mocy, którzy byli prawem sami dla siebie. Pewnego wieczoru mag Fumita odkrywa, że Pug terminował jako mag na Midkemii. Fumita w imieniu Zgromadzenia, bractwa wszystkich magów Kelewanu, żąda wydania Puga, po czym obaj znikają z majątku Shinzawai.

W tym czasie na Midkemii Tomas wyrasta na postać o

zadziwiającej mocy. Czerpie ją ze starodawnej zbroi noszonej niegdyś przez Władcę Smoków, jednego z rasy Valheru, legendarnego ludu, który pojawił się pierwszy na Midkemii i władał jej wszystkimi mieszkańcami. O Valheru nie wiadano wiele, tylko tyle, że byli bardzo potężni i okrutni oraz że Elfy i moredhele były ich niewolnikami.

Aglaranna, jej syn Calin oraz Tamar, wyższy doradca królowej Elfów, obawiali

się,

że

Tomasem

zawładnęła

moc

Ashen-Shugara,

starożytnego Władcy Smoków, którego zbroję Tomas teraz nosił.

Obawiali się, że Valheru usiłuje odzyskać utraconą kiedyś niepodzielną władzę. Aglaranna była szarpana podwójnym niepokojem i rozterką, bo chociaż z jednej strony obawiała się Tomasa, to jednak zakochała się w nim. Tsurani dokonują inwazji na Elvandar. Zostają odparci przez połączone siły Tomasa i Dolgana przy pomocy tajemniczego Czarneho Macroasa. Po bitwie Aglaranna wyznaje Tomasowi swoją miłość, zostaje jego kochanką, tracąc przez to możliwość wpływu na niego.

Pamięć Puga zostaje uwolniona od przeszłości przez nauczycieli ze

Zgromadzenia. Po czterech latach studiów Pug zostaje magiem.

Dowiaduje się, że jest obdarzony wielką mocą i talentem, wyznawcą

Wyższej Drogi, magii nie istniejącej na Midkemii. Kulgan był przedstawicielem Drogi Niższej, nie mógł zatem odpowiednio wykształcić Puga. Zostając magiem, Pug otrzymał nowe imię Milamber. Shimone, jego nauczyciel, obserwował Milamberta, kiedy ten zdawał ostami egzamin, stojąc na szczycie strzelistej wieżycy w samym oku przerażającej burzy. W czasie próby zostaje mu objawiona cała historia Imperium. Tam też zostaje mu wpojony pierwszy i podstawowy obowiązek Wielkiego – służba Imperium. W Zgromadzeniu Pug poznaje nowego przyjaciela, Hochopepe, przebiegłego i doświadczonego maga, który zaznaja Puga z pułapkami polityki Tsuranich.

W dziewiątym roku walk Arutha zaczął się obawiać, że powoli przegrywają wojnę. Od schwytanego jeńca dowiedział się, że z Kelewanu napływają nowe oddziały przeciwnika. Razem z Martinem Długim Łukiem, Wielkim Łowczym swego ojca, oraz Amosem Traskiem wyrusza w podróż do Krondoru, aby uzyskać dodatkową pomoc od księcia Erlanda. W czasie wyprawy Amos odkrywa tajemnicę Martina. Okazuje się, że jest on nieślubnym synem księcia Borrica. Martin żąda od Amosa złożenia przysięgi, że ten nigdy nie wyjawia sekretu bez zgody Martina. W Krondorze Arutha odkrywa, że miasto jest pod kontrolą Guya, księcia Bas-Tyry, zaprzysięgłego wroga księcia Borrica. Arutha popada w konflikt z „Małą” Radburnem, sługusem Guya i jednocześnie szefem tajnej policji. Radburn ściga Aruthę, Martina i Amosa, lecz ci wpadają w ręce Prześmiewców, złodziei z Krondoru. Spotykają u nich Jimmy'ego Rączkę – młodocianego złodziejaska, Trevora Hulla –

byłego pirata, który został przemytnikiem, oraz jego pierwszego oficera Aarona Kucharza. Prześmiewcy ukrywają u siebie księżniczkę Anitę, której udało się uciec z pałacu. „Małpa” Radburn szaleje po całym mieście, starając się za wszelką cenę schwycić Anitę, zanim Guy Bas-Tyra powróci do Krondoru z przygranicznej potyczki z sąsiadującym z Królestwem Wielkim Keshem. Przy pomocy Prześmiewców Arutha, jego towarzysze i Anita uciekają z miasta. W czasie morskiego pościgu Amosowi udaje się zwabić okręt Radburna na podwodne skały i szef tajnej policji idzie na dno. Po powrocie do Crydee dowiadują się, że młody panicz Roland poległ w potyczce z wrogiem. W tym czasie Arutha zakochał się już w Anicie, chociaż sam przed sobą nie przyznaje się do tego uważając, że dziewczyna jest zbyt młoda dla niego.

Pug, znany teraz jako Milamber, wraca do majątku Shinzawai, by odzyskać Katalę. Dowiaduje się, że został ojcem. Syn, William, urodził się w czasie jego nieobecności. Dowiaduje się również, że ród Shinzawai zaangażowany jest w spisek i razem z Cesarzem dążą do tego, aby wymusić na Wysokiej Radzie, zdominowanej przez Wodza Wojny, zawarcie pokoju. Kasumi opanował już język i zwyczaje Królestwa. Pug i Laurie mieli mu służyć za przewodników w wyprawie do króla z posłaniem pokoju od Cesarza. Pug życzy im powodzenia, zabiera Katalę z dzieckiem i wracają razem do domu.

Tomas uległ wielkiej przemianie, doprowadzając w sobie moce Valheru i ludzką naturę młodzieńca do stanu równowagi. Nie

przychodzi to jednak łatwo, Martin Długi Łuk nieomal traci przy tym życie. W czasie gigantycznych wewnętrznych zmagañ chłopiec zostaje prawie pokonany. Udaje mu się jednak w końcu zapanować nad dławiącym go szaleństwem, które egzystowało niegdyś pod postacią Władcy Smoków, i odnajduje wewnętrzny pokój i harmonię.

Kasumi i Laurie przechodzą przez przejście między dwoma światami i docierają do Rillanonu, gdzie dowiadują się, że król Rodne oszalał. Oskarża ich o szpiegostwo. Przy pomocy księcia Caldrica udaje im się zbiec. Książę poradził im, by skontaktowali się z księciem Borrikiem, ponieważ wszystko wskazywało na to, że wkrótce wybuchnie wojna domowa. Po dotarciu do obozu Borrica dowiadują się od Lyama, że stary Książę w wyniku odniesionej rany jest bliski śmierci.

Milamber-Pug

przygląda

się

Cesarskim

Igrzyskom

zorganizowanym przez Wodza Wojny dla uczczenia oszalamiającego zwycięstwa nad wojskami Borrica. Milamber, obserwując bezmyślne okrucieństwo, a szczególnie traktowanie jeńców z Midkemii, wpada we wściekłość. W napadzie szału obraca w gruzy całą arenę, okrywając hańbą Wodza Wojny, co wprowadza kompletny chaos w polityce Imperium. Milamber musi uciekać z Katalą i Williamem na Midkemię.

Już nie jest Wielkim Tsuranich, a znowu Pugiem z Crydee.

Pug powrócił akurat na czas, by stanąć przy łożu śmierci księcia

Borrica. Ostatnim czynem Borrica było publiczne uznanie Martina jako

swego syna. Król Rodric rozgniewany tym, że jego dowódcy nie

potrafią zakończyć długotrwałej wojny, przybywa do obozu. Na czele

szaleńczej szarży rusza na Tsuranich i wbrew wszelkim oczekiwaniom i

przewadze wroga przelamuje ich linię frontu, spychając z powrotem do

doliny, gdzie znajduje się machina podtrzymująca przejście pomiędzy

dwoma światami. Król zostaje jednak śmiertelnie ranny. Tuż przed

śmiercią odzyskuje świadomość oraz pełnię władz umysłowych i

wyznacza Lyama na następcę tronu.

Lyam wysyła do Tsuranich wiadomość, że chce przyjąć ofertę

zawarcia pokoju, którą Rodric odrzucił. Zostaje wyznaczony termin

rozpoczęcia rokowań. Macros odwiedza wtedy Elvandar, ostrzegając

Tomasa, że w czasie trwania rozmów pokojowych można się

spodziewać zdrady. Tomas, podobnie jak i Krasnoludy, zgadza się

sprowadzić swoich wojowników.

W czasie trwania rokowań Macros stwarza wobec obu stron

magiczną iluzję, w rezultacie której na miejscu rokowań pokojowych

wybucha chaos i krwawa bitwa. Obecność Macroasa jest niezbędna i

czarnoksiężnik przybywa. Pug i Macros wspólnymi siłami zamykają

przejście między dwoma światami, odcinając drogę odwrotu z Midkemii

czterem tysiącom żołnierzy Tsuranich pod dowództwem Kasumiego.

Pug poddaje ich przed Lyamem, który obiecuje obdarzyć ich wolnością

pod warunkiem złożenia przysięgi na wierność Królestwu.

Wszyscy wracają do Rillanonu na koronację Lyama. Arutha zaś z Pugiem, Kulganem i Martinem udają się na wyspę Macroso. Spotykają tam Gathisa, podobnego do goblina sługę czarnoksiężnika. Przekazuje im on posłanie od Macroso. Wszystko wskazuje na to, że sam Macros zginął w czasie niszczenia przejścia. Swoją ogromną bibliotekę zostawił Pugowi i Kulganowi. Obaj postanawiają stworzyć akademię dla magów. Macros wyjaśnia również przyczyny swej zdrady, przekazując im, że był znany jedynie jako Przeciwnik lub Nieprzyjaciel, przeogromna i przerażająca moc znana Tsuranim w zamierzonych czasach, mógł odnaleźć Midkemię, posługując się otwartym przejściem między oboma światami. Dlatego właśnie sprowokował sytuację, w której przejście musiało być zniszczone.

Następnie wszyscy powracają do Rillanonu, gdzie Arutha odkrywa tajemnicę Martina. Prawda o pochodzeniu Martina i uznanie go za najstarszego spośród trzech braci stawiają pod znakiem zapytania prawo Lyama do dziedziczenia tronu. Jednak były Wielki Łowczy zrzeka się wszelkich praw do korony i Lyam zostaje królem. Ponieważ ojciec Anity zmarł, księciem Kronodoru zostaje Arutha. Guy du Bas-Tyra ukrywa się. W czasie uroczystości koronacyjnych zostaje skazany na banicję za swoją zdradę. Laurie poznaje księżniczkę Carline, która wydaje się odwzajemniać jego zainteresowanie.

Lyam, Martin, który został księciem Crydee, oraz Arutha ruszają w objazd Wschodnich Prowincji Królestwa. Pug wraz z rodziną i

Kulganem udają się na wyspę Stardock, by rozpocząć wznoszenie

Akademii. Przez rok w Królestwie panował pokój...

ARUTHA I JIMMY

Z takim się rada cała ruszyła łoskotem,

Jakim piorun daleki zwykł przerażać grzmotem.

John Milton, Raj utracony. Księga II, wiersz 483

(tłum. Franciszek Ksawery Dmochowski)

BRZASK

Słońce schowało się za górami.

Ostatnie ciepłe promienie musnęły ziemię i po chwili tylko różowa poświata na niebie świadczyła, że jeszcze niedawno był tu dzień. Od wschodu nadciągał szybko fioletowogranatowy zmrok. Ostre jak brzytwa podmuchy lodowatego wiatru buszowały pośród wzgórz, jakby wiosna była tylko wspomnieniem z zamierzchłej przeszłości. W zacienionych rozpadlinach leżały kurczowo wczepione splachcie zimowego lodu, który teraz trzeszczał głośno pod obcasami ciężkich butów. Z ciemności wyłoniły się trzy postacie i po chwili znalazły się w kręgu światła rzucanego przez płonące ognisko.

Stara wiedźma podniosła głowę, a jej ciemne oczy rozszerzyły się lekko na widok trójki przybyszów. Znała postać po lewej – rosły wojownik-niemowa, z ogoloną do gołej skóry głową, z której wisiał tylko pojedynczy kosmyk skalpowy. Przyszedł do niej kiedyś, poszukując magicznych znaków dla dziwnych i nie znanych jej obrzędów. Mimo że był potężnym watażką, odesłała go z niczym, ponieważ jego natura była przepojona złem, złem w najczystszej postaci, i chociaż zagadnienia dobra czy zła rzadko miały dla czarownicy jakiegokolwiek znaczenie, nawet dla niej istniały granice, których nie chciała przekraczać. Poza tym nie darzyła moredheli specjalną miłością, a szczególnie tego, który na znak całkowitego oddania mrocznym mocom odciął sobie język.

Wojownik-niemowa spoglądał na nią niezwykle dla swojej rasy, niebieskimi oczami. Nawet jak na przedstawiciela górskich klanów, których ludność była przeważnie bardziej rośla i silniejsza niż ich pobratymcy zamieszkujący lasy, był wyjątkowo barczysty i potężny. W dużych, spiczastych uszach lśniły złote pierścienie. U moredheli, które nie miały płatków usznych, ich założenie było szczególnie bolesne. Na obu policzkach widać było trzy blizny, mistyczne symbole, których znaczenie nie umknęło uwadze wiedźmy. Niemy wojownik dał znak swym towarzyszom. Czarownicy wydało się, że ten z prawej strony skinął lekko głową. Nie była jednak do końca pewna, ponieważ obcy miał na sobie skrywającą szczegóły sylwetki obszerną szatę, a na głowie ogromny, nasunięty na twarz kaptur. Obie, złożone razem dłonie trzymał w głębokich fałdach długich rękawów. Z czeluści kaptura dobiegł, jakby dochodzący z ogromnej odległości, głos.

– Chcemy odczytać znaki – powiedział obcy lekko sepleniącym, prawie syczącym głosem. W jego mowie dał się słyszeć obcy akcent. Niespodziewanie spośród fałd wysunęła się dłoń. Czarownica cofnęła się gwałtownie, ponieważ dłoń była zniekształcona i pokryta łuskami, jakby jej właściciel zamiast palców miał szpony pokryte u podstawy węzową skórą. Natychmiast rozpoznała stwora: miała przed sobą kapłana Pantathian, ludzi-węży. W porównaniu z nimi nawet moredhele cieszyli się jej wysoką estymą.

Skierowała wzrok na postać stojącą pośrodku. Obcy był wyższy o

głowę od wysokiego moredhela i bardziej niż on potężny. Mężczyzna zsunął powoli z ramion futro niedźwiedzia, zdjął z głowy jego czaszkę służącą mu za hełm i cisnął na ziemię. Stara wiedźma krzyknęła zduszonym głosem. W swoim długim życiu jeszcze nie widziała moredhela o równie uderzającym wyglądzie. Obcy miał na sobie grube spodnie, kamizelkę i buty sięgające kolan, noszone przez górskie klany. Pod rozchyloną kamizelką widać było nagą pierś. Potężnie umięśniony tors zalsnił w blasku ognia, kiedy moredhel nachylił się ku czarownicy i zaczął się jej uważnie przyglądać. Jego nieskazitelnie piękna twarz budziła grozę. Tym jednak, co sprawiło, że wiedźma krzyknęła zduszonym głosem, nie był budzący lęk wygląd, lecz znak, jaki ujrziała na jego piersi.

– Czy mnie znasz? – spytał czarownicy. Skinęła głową.

– Wiem, kim jesteś.

Pochylił się jeszcze bardziej do przodu, aż twarz oświetlił mu od dołu płonący między nimi ogień, ukazując jednocześnie niewidoczne do tej pory zakamarki jego przerażającej istoty.

– Tak, jestem tym, kim jestem – szepnął z uśmiechem na ustach.

Poczuła strach. Zza przystojnych rysów, spoza maski dobrotliwego uśmiechu wyjrzało nagle oblicze zła, zła w najczystszej formie, zła tak wielkiego, że nikt nie był w stanie spojrzeć mu prosto w oczy.

– Chcemy odczytać znaki – powtórzył, a w jego głosie zabrzmiało szaleństwo tak czyste, jak bryła przezroczystego lodu.

– Cóż to? – Zachichotała pod nosem. – Nawet ktoś tak potężny jak

ty podlega ograniczeniom?

Z twarzy przystojnego moredhela znikł powoli uśmiech.

– Nie można przepowiadać swej własnej przyszłości. Starucha nie chciała przeciągać struny.

– Potrzebne jest srebro.

Moredhel kiwnął głową. Niemy wojownik sięgnął do sakiewki przy pasie, wysupłał monetę i cisnął na ziemię przed czarownicą. Nie dotykając jej, wiedźma zmieszała w kamiennej miseczce kilka składników i kiedy mikstura była gotowa, wylała ją na srebrną monetę. Rozległ się podwójny syk: z monety i od strony człowieka-węża. Pokryta zielonkawymi łuskami szponiasta ręka zaczęła kreślić w powietrzu znaki. Wiedźma zareagowała ostro.

– Tylko bez tych twoich bzdur, wężu. Te czary z gorącej ziemi mogą jedynie zakłócić moje odczytanie znaków.

Delikatne dotknięcie i cichy śmiech postaci stojącej w środku powstrzymało kapłana-węża. Moredhel skinął głową w jej stronę.

Gardło wyszło jej z przerażenia na wiór.

– Odpowiedz więc szczerze: Co chcesz wiedzieć? – wykrztusiła ochryplym głosem, nie odrywając wzroku od syczącej monety, pokrytej teraz bulgoczącą, oślizgłą zielonkawą cieczą.

– Czy już czas? Czy teraz mam wykonać to, co jest mi pisane?

Z monety trysnął jasny, zielony płomień i zatańczył nad srebrnym krążkiem. Czarownica śledziła uważnie jego ruch, a jej oczy widziały we wnętrzu ognia coś, co jedynie ona była w stanie dostrzec i zrozumieć. Po

chwili usłyszeli skrzekliwy głos staruchy.

– Krwawe Kamienie z Krzyża Ognia. Jesteś tym, kim jesteś. To, ku czemu zostałeś zrodzony, uczyn... uczyn teraz! – Ostatnie słowa wykrzyknęła zduszonym głosem.

Na jej twarzy pojawił się niespodziewanie jakiś nieoczekiwany grymas.

– Co jeszcze, starucho! – przynaglił moredhel.

– Masz jednak przeciwnika, jest tam bowiem ten, który stanie ci na drodze. Nie jesteś sam, ponieważ za tobą... nie rozumiem... – Jej głosy był słaby i coraz cichszy.

– Co? – Tym razem na twarzy moredhela nie było nawet cienia uśmiechu.

– Coś... coś przeogromnego... odległego... jakieś zło. Moredhel rozważał coś w ciszy, po czym odwrócił się do człowieka-węża.

– Idź zatem, Cathos – powiedział cichym, lecz rozkazującym głosem. – Zaprzęgnij do pracy twą wielką sztukę i odkryj dla mnie, gdzie leży ta siedziba słabości. Nadaj naszemu wrogowi imię. Znajdź go.

Człowiek-wąż skłonił się niezdarnie i powłócząc nogami, wycofał się miękkim ruchem z jaskini. Moredhel zwrócił się teraz do swego niemego towarzysza.

– Wznieś sztandary, mój generale. Zbierz lojalne wobec nas klany na równinach Isbandia, pod wieżami Sar-Sargoth. Niech ten sztandar, który wybrałem jako własny, załopoce najwyżej. Niech wszyscy się dowiedzą, że rozpoczynamy to, co było nam pisane. Murad, ty będziesz

*mym najwyższym dowódcą i wszyscy się dowiedzą, że pośród mych
sług stoisz najwyżej. Czeka nas teraz chwała i wielkość. A potem, kiedy
ten szalony wąż odkryje naszą ofiarę, poprowadzisz Czarnych
Zabójców. Niech ci, których dusze należą do mnie, służą nam, szukając
naszego wspólnego wroga. Znajdź go! Zniszcz! Idź!*

*Niemowa skinął głową i opuścił jaskinię. Moredhel ze znakiem na
piersi zwrócił się w stronę czarownicy.*

*– Zatem, ludzki śmieciu, czy wiesz już, jakie to ciemne moce
drgnęły w posadach?*

*– O tak, posłańcu śmierci i zniszczenia, wiem. Och, klnę się na
Ciemną Panią, że wiem.*

Parsknął zimnym, pozbawionym wesołości śmiechem.

*– Noszę znak – powiedział, wskazując na purpurowe znamię na
piersi, które w blasku ognia zdawało się płonąć szalonym światłem.*

*Oczywiste, że nie była to zwykła skaza, z którą przyszedł na świat, lecz
jakiś magiczny talizman, ponieważ jego zarys układał się w idealną
sylwetkę smoka w locie. Wzniósł palec i wskazał ku górze.*

*– Moc jest we mnie. – Zakreślił palcem krąg w powietrzu. – To ja
zostałem wyznaczony. Jestem przeznaczeniem.*

*Wiedźma skinęła głową, zdając sobie sprawę, że śmierć pędzi już
ku niej, by wziąć ją w objęcia. Niespodziewanie wyrzuciła z siebie
pośpiesznie skomplikowane zaklęcie, machając przy tym gwałtownie
rękami. W jaskini dało się wyczuć narastającą z każdą chwilą moc, a
nocne powietrze wypełnił dziwny, zawodzący dźwięk. Stojący przed nią*

wojownik pokręcił po prostu głową. Rzuciła w jego kierunku zaklęcie tak potężne, że w okamgnieniu powinno go obrócić w proch, on zaś stał nadal, tam gdzie stał, nietknięty i uśmiechał się ponuro.

– Cóż to, chcesz mnie wypróbować za pomocą swych nędznych sztuczek, jasnowidzu?

Widząc, że jej działania nie przynoszą najmniejszego rezultatu, wiedźma zamknęła oczy i siedziała wyprostowana, czekając na swe przeznaczenie. Moredhel wyciągnął w jej stronę wskazujący palec. Z jego końca wystrzelił srebrzysty promień światła i uderzył w czarownicę. Wrzasnęła przeraźliwie w agonii, po czym zapłonęła rozjarzonym do białości ogniem. Przez kilka sekund jej ciemna sylwetka zwijała się w morzu ognia, a potem płomienie zniknęły równie nagle, jak się pojawiły.

Moredhel obrzucił szybkim spojrzeniem spopielwały stos w kształcie ciała. Ryknął donośnym, głębokim śmiechem, podniósł z ziemi futro i wyszedł z jaskini.

Jego towarzysze czekali na zewnątrz, przytrzymując konia.

Popatrzył w dół, gdzie w oddali widać było obóz jego oddziału, jeszcze niewielki i nieliczny, którego przeznaczeniem jednak – jak wiedział – był wzrost i siła. Dosiadł konia.

– Do Sar-Sargoth!

Ściągnął wodze, obrócił konia i ruszył w dół stoku, prowadząc za sobą wojownika-niemowę i kapłana-węża.

ZNOWU RAZEM

Statek pędził w stronę domu.

Wiatr zmienił kierunek i nad pokładem rozległ się donośny głos kapitana. W górze, na rejach i w olinowaniu, załoga pośpiesznie wykonywała komendy, by jak najlepiej sprostać ostrym podmuchom bryzy i żądaniom kapitana, który za wszelką cenę pragnął bezpiecznie doprowadzić statek do portu. Kapitan był doświadczonym żeglarzem.

Prawie trzydzieści lat pływał w marynarce królewskiej, a od siedemnastu dowodził swym własnym okrętem. I chociaż Królewski Orzeł był niewątpliwie najlepszym statkiem we flocie króla, jego kapitan ciągle marzył o odrobinę mocniejszym wietrze i trochę większej szybkości, ponieważ wiedział, że nie spocznie ani na chwilę, dopóki pasażerowie nie znajdą się bezpiecznie na brzegu.

Na przednim pokładzie znajdowało się trzech wysokich mężczyzn, którzy spędzali kapitanowi sen z powiek. Dwaj z nich, blondyn i ciemnowłosa, stali przy relingu. Opowiadali sobie kawały i co chwila wybuchali śmiechem. Obaj mieli ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, obaj też chodzili pewnym, mocnym krokiem wojownika i myśliwego.

Lyam, władca Królestwa Wysp, i Martin, jego starszy brat, oraz księżę Crydee rozmawiali o wielu rzeczach, o polowaniach i ucztach, podróżach i polityce, o wojnie i niezgodzie, a czasem też o ich ojcu, księciu Borricu.

Trzeci mężczyzna, nie tak wysoki i barczysty jak tamci dwaj, stał

niedaleko oparty o reling, pogrążony w myślach. Arutha, książę Krondoru, najmłodszy z trzech braci, również błędził myślami w przeszłości, lecz nie przypominał sobie ojca zabitego w czasie wojny z Tsuranimi, wojny, którą poczęto nazywać Wojną Światów. Zamiast tego zapatrzył się w piętrzącą się przed dziobem statku falę i w zieleni morskich wód dostrzegł dwoje błyszczących, zielonych oczu. Kapitan spojrział w górę i rozkazał zrefować żagiel. Po chwili znowu zerknął w stronę trzech mężczyzn stojących na przednim pokładzie i wzniósł cichą modlitwę do Kilian, Bogini Żeglarzy, marząc w duchu, aby na horyzoncie ukazały się wreszcie strzeliste wieże Rillanonu. Trzej mężczyźni, których co chwila obrzucał niespokojnym wzrokiem, stanowili trzy najpotężniejsze i najważniejsze filary Królestwa. Kapitan nawet nie dopuszczał do siebie myśli o tym, jaki chaos zapanowałby w Królestwie, gdyby coś złego się przytrafiło statkowi.

Komendy kapitana oraz okrzyki załogi i oficerów docierały do Aruthy jak przez mgłę. Był bardzo znużony wydarzeniami ostatniego roku i nie zwracał szczególnej uwagi na to, co się działo dookoła. Nie mógł się skoncentrować na niczym innym poza jednym: wracał oto do Rillanonu i do Anity.

Uśmiechnął się do własnych myśli. Przez pierwszych osiemnaście lat jego życie wydawało się jakby pozbawione wyrazu i głębszego sensu. Potem nastąpiła inwazja Tsuranich i świat odmienił się na zawsze. Uważano go powszechnie za jednego z najzdolniejszych

dowódców armii Królestwa, w osobie Martina odkrył nagle i nieoczekiwanie swego najstarszego brata, na własne oczy widział tysiące potworności i cudów. Najcudowniejszą rzeczą, jaka się mu przytrafiła, była jednak Anita.

Po koronacji Lyama zostali rozdzieleni. Lyam prawie przez rok podróżował pod królewskim sztandarem, wizytując zarówno panów na wschodzie, jak i władców sąsiednich królestw. Teraz wracali wreszcie do domu.

Z rozmarzenia wyrwał go głos Lyama.

– I co tam widzisz w tych roziskrzonych falach, braciszku?

Arutha podniósł raptownie głowę i Martin, były Wielki Łowczy

Crydee, zwany niegdyś Martinem Długi Łuk, uśmiechnął się i skinął głową w stronę najmłodszego brata.

– Założę się o całoroczne podatki, że widzi tam parę zielonych oczu i zuchwały uśmieszek skaczący po falach.

– Nie ma mowy, nie zakładam się, Martin. Od chwili opuszczenia

Rillanonu miałem od Anity ze trzy wiadomości dotyczące spraw państwowych, które zmuszają ją do pozostawiania cały czas w

Rillanonie, podczas gdy jej matka już w miesiąc po koronacji powróciła do ich majątku. Według bardzo pobieżnych szacunków przez cały czas

podróży Arutha dostaje średnio ponad dwa listy tygodniowo. Można by z tego wyciągnąć jeden czy dwa wnioski.

– I ja bym bardziej palił się do powrotu, gdyby czekał na mnie

ktoś o jej temperamencie – zgodził się Martin.

Arutha był z natury samotnikiem i gdy przychodziło do wyjawiania głębokich uczuć, czuł się nieswojo i źle, a na wszelkie pytania dotyczące Anity reagował ze szczególną wrażliwością. Był zakochany po uszy w wysmukłej, młodej kobiecie, oczarowany bez reszty sposobem, w jaki poruszała się, mówiła i patrzyła na niego.

Chociaż jego bracia byli prawdopodobnie jedynymi ludźmi na całej Midkemii, z którymi czuł się na tyle blisko związany, że mógł się podzielić swymi uczuciami, nigdy jednak, nawet jako chłopiec, nie potrafił zachować zimnej krwi i spokoju, kiedy czuł, że jest obiektem żartów.

Twarz Aruthy spochmurniała.

– Przestań się dąsać, chmurko burzowa – powiedział Lyam. – Nie zapominaj, że nie tylko jestem twoim królem, lecz także starszym bratem. I jeśli zajdzie potrzeba, mogę cię wytargać za uszy.

Użycie pieszczotliwego imienia, które nadała mu matka, i nieprawdopodobna wizja Króla targającego za uszy księcia Krondoru sprawiły, że Arutha uśmiechnął się lekko.

– Obawiam się, że chyba źle ją zrozumiałem. Jej listy, chociaż pełne ciepła, są raczej oficjalne, a czasem wyczuwam jakiś dystans. No i po twoim pałacu kręci się pełno przystojnych, młodych dworzan.

– Arutha – odezwał się Martin. – Od momentu ucieczki z Krondoru twój los był przypieczętowany. Od pierwszej chwili, jak myśliwy składający się do wypuszczenia strzały w stronę jelenia, dziewczyna wymierzyła swój łuk w twoją stronę. Zanim dotarliśmy do

Crydee, kiedy ukrywaliśmy się jeszcze, już wtedy patrzyła na ciebie w ten charakterystyczny sposób. Nie obawiaj się, czeka tylko na ciebie, możesz być pewien.

– A poza tym – dodał Lyam – przecież wyjawileś jej, co do niej czujesz, prawda?

– No tak. Chociaż może nie w takich słowach... ale zapewniłem ją o tym najgłębszym przywiązaniu i... Lyam i Martin wymienili spojrzenia.

– Arutha, piszesz z takim uczuciem i zapalem jak skryba podliczający podatki na koniec roku.

Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem. Długie miesiące wspólnej podróży pozwoliły braciom zbliżyć się do siebie i na nowo określić wzajemne stosunki. W przeszłości Martin był dla pozostałych dwóch nauczycielem i przyjacielem. Wprowadzał ich w arkana łowiectwa, uczył znajomości lasu. Z drugiej zaś strony był przecież niskiego urodzenia, chociaż jako Wielki Łowczy miał wysoką pozycję na dworze księcia Borrica. Gdy prawda o tym, że był nieślubnym synem ich ojca i starszym przyrodnim bratem, wyszła na jaw, wszyscy trzej przystosowywali się przez jakiś czas do nowej sytuacji. Od tego czasu musieli nie raz i nie dwa znosić towarzystwo fałszywych kumpli szukających osobistych korzyści; wysłuchiwać pustych obietnic przyjaźni i dozgonnej lojalności. W tym okresie odkryli coś jeszcze: każdy z nich w pozostałej dwójce odnalazł osoby, którym mógł bezgranicznie ufać; przed którymi mógł ujawnić to, co mu leżało na

sercu; które rozumiały, co oznacza nagłe i niespodziewane wyniesienie w hierarchii społecznej; i które, podobnie jak i on sam, odczuwały dotkliwie presję spoczywającej na ich barkach nowej odpowiedzialności. Krótko mówiąc, w pozostałej dwójce każdy z nich odnalazł prawdziwych przyjaciół.

Arutha pokręcił głową, śmiejąc się sam do siebie.

– No cóż, prawdę mówiąc, ja chyba też wiedziałem od samego początku, chociaż miałem wątpliwości. Anita jest jeszcze taka młoda...

– Mniej więcej w wieku naszej mamy, kiedy poślubiła ojca, chciałeś powiedzieć? – podpowiedział Lyam. Arutha obrzucił brata sceptycznym spojrzeniem.

– Czy ty zawsze masz odpowiedź na wszystko? Martin klepnął Lyama w plecy.

– Oczywiście. – Po chwili dodał po cichu: – I dlatego jest królem. – Lyam spojrział na niego z udawanym oburzeniem, a najstarszy brat ciągnął dalej: – Zatem gdy już wrócimy, poproś ją o rękę, drogi bracie. A potem będziemy mogli zbudzić drzemiącego przy kominku ojca Tully'ego i ruszyć razem do Krondoru na wspaniałe wesele. Ja zaś będę mógł w końcu przerwać tę cholerną podróż i wrócić do Crydee.

Nad głowami rozległ się donośny okrzyk.

– Ziemia!

– Kierunek? – zawołał kapitan.

– Przed dziobem.

Wszyscy wpatrzyli się w horyzont. Doświadczone oko myśliwego pierwsze dostrzegło w oddali ledwo widoczny zarys wybrzeża. Nie mówiąc ani słowa, położył ręce na ramionach braci. Po pewnym czasie już cała trójka spostrzegła strzeliste wieżycy na tle lazurowego nieba.

– Rillanon – szepnął Arutha.

Tupot lekkich kroków i szelest obszernej sukni podtrzymywanej wysoko ponad śmigającymi stopami towarzyszyły wysmukłej postaci maszerującej energicznie i z determinacją długim korytarzem. Piękne zazwyczaj rysy damy, którą słusznie okrzyknięto królową piękności całego dworu, miały teraz raczej nieprzyjemny wyraz. Wartownicy na korytarzu prężyli się na baczność. Żaden z nich nawet nie drgnął, kiedy przechodziła obok, lecz oczy wszystkich śledziły ją uważnie. Wielu z nich domyślało się, kto mógł być obiektem dobrze znanych na dworze wybuchów złego humoru, i uśmiechało się w duchu. Pieśniarza czekało raczej brutalne przebudzenie, i to w najbardziej dosłownym sensie tego słowa.

Księżniczka Carline, w sposób zupełnie nie przystający damie a do tego siostrze Króla, przeleciała pędem obok zdumionego sługi, który jednocześnie próbował uskoczyć w bok i złożyć należny jej ukłon. Godny pochwały zamiar skończył się tym, że paż grzmotnął siedzeniem w posadzkę patrząc, jak Carline znika w pałacowym skrzydle z pokojami gościnnymi.

Stała przed drzwiami i zatrzymała się na moment. Przyglądała pośpieszными ruchami rozwichrzone włosy i podniosła rękę, by

zapukać. Powstrzymała się w ostatniej chwili. Niebieskie oczy zwężyły się w wąskie szparki, kiedy z irytacją pomyślała o perspektywie czekania przed drzwiami, aż jej otworzą. Zamiast pukać, nacisnęła klamkę, pchnęła energicznie drzwi i wkroczyła nie zapowiedziana do pokoju.

Wewnątrz panował mrok, ponieważ nikt nie odsłonił jeszcze ciężkich, grubych zasłon. Na środku ogromnego łóżka spoczywał bezładny stos przykryty kocami. Kiedy trzasnęła drzwiami, zamykając je za sobą, spod tej sterty wydobył się ponury jęk. Carline przebrnęła przez porozrzucane na podłodze ubranie i energicznie szarpnęła zasłony,

wpuszczając

do

środka

ostre

światło

wczesnego

przedpołudnia. Spod stosu na łóżku dobył się następny bolesny jęk, a po chwili wysunęła się rozczochrana głowa. Para przekrwionych oczu spojrzała na dziewczynę.

– Carline – zaskrzeczał ochryply głos. – Chcesz, żebym umarł ze strachu?

Księżniczka podeszła szybkim krokiem do łóżka.

– Gdybyś nie hulał przez całą noc i pojawił się na śniadaniu, jak

przystąpiło, to może byś się dowiedział, że dostrzeżono okręt mego brata.

Za dwie godziny wejdą do portu – powiedziała ostrym tonem.

Laurie z Tyr-Sog, trubadur, podróżnik, były bohater Wojny

Światów, a ostatnio minstrel na dworze królewskim i stały towarzyszem

Księżniczki usiadł ciężko, przecierając zmęczone oczy.

– Wcale nie hulałem. Księżę Dolth nalegał, że chce wysłuchać

wszystkich pieśni z mego repertuaru. Śpiewałem prawie do świtu. –

Zamrugnął oczami i uśmiechnął się do dziewczyny. Podrapał się w

kunштownie przyciętą, jasną brodę. – Ten facet ma niewyczerpaną

wytrzymałość, lecz również doskonały gust, jeśli chodzi o muzykę.

Carline usiadła na brzegu łóżka, pochyliła się i złożyła szybki

pocałunek. Zgrabnym ruchem wyplątała się z próbujących ją objąć

ramion i położyła mu dłoń na piersi, powstrzymując zapędy

młodzieńca.

– Posłuchaj uważnie, ty mój kochliwy słowiku, Lyam, Martin i

Arutha wkrótce tu będą. Gdy tylko Lyam przebrnie przez wszystkie

formalności i zacznie urzędować, natychmiast porozmawiam z nim o

naszym małżeństwie.

Laurie rozejrzał się dookoła, jakby szukał ciemnego kąta, w który

mógłby się wcisnąć, by zniknąć z pola widzenia. W ciągu ostatniego

roku ich związek bardzo się rozwinął. Był teraz o wiele głębszy i

bardziej namiętny. Laurie jednak miał instynktowną wręcz niechęć do

małżeństwa, którego unikał jak ognia.

– Ależ, Carline... – zaczął.

– „Ależ, Carline”, też mi coś! – przerwała mu w pół słowa, boleśnie dźgając palcem w obnażoną pierś. – Ty bufonie! Miałam dziesiątki książąt ze wschodu, połowę synów książęcych Królestwa i nie wiadomo ilu innych zebrzących wprost o możliwość starania się o moją rękę.

Nigdy nie zwracałam na nich najmniejszej uwagi. I po co mi to było?

Zęby jakiś pozbawiony mózgu grajek mógł igrać z moimi uczuciami?

Koniec z tym! Nadszedł czas wyrównania rachunków.

Laurie uśmiechnął się od ucha do ucha. Odgarnął w tył potargane,

jasne włosy. Usiadł prosto i zanim zdążyła zareagować, całował ją

długo i namiętnie. Odsunął się po chwili.

– Carline, miłości mego życia, proszę... już o tym mówiliśmy.

Jej oczy, półprzymknięte w czasie pocałunku, otworzyły się

gwałtownie.

– Och! Czyżby? „Już o tym mówiliśmy”? – mówiła

rozwścieczonym głosem. – Ożenisz się ze mną. Postanowione i kropka!

– Wstała szybko, by umknąć przed jego ramionami. – To przerodziło się

już w skandal dworski – księżniczka i jej kochanek – trubadur. Nawet

nie jest oryginalne. Śmieją się już ze mnie za plecami. Laurie! Do jasnej

cholery! Mam już prawie dwadzieścia sześć lat! Większość kobiet w tym

wieku jest już osiem czy dziewięć lat po ślubie. Chcesz, bym umarła jako

stara panna?

– Co to, to nie! Nigdy! Niech bogowie nas przed tym strzegą –

krzyknął ciągle rozbawiony. Poza bezdyskusyjnym faktem jej urody i

niewielką szansą, aby ktokolwiek ośmielił się nazwać ją kiedyś starą

panną, była od niego dziesięć lat młodsza i Laurie uważał ją za dzieciaka. Powtarzające się raz po raz dziecinne wybuchy złego humoru jedynie utwierdzały go w tym przekonaniu. Spoważniał w końcu, usiadł prosto i rozłożył bezradnie ręce.

– Kochana, jestem tym, kim jestem. Ani mniej, ani więcej.

Przebywam tu dłużej niż w jakimkolwiek innym miejscu, kiedy byłem wolnym człowiekiem. Chociaż muszę przyznać, że obecna niewola jest o wiele przyjemniejsza niż ostatnia – powiedział, wspominając lata niewolnictwa na Kelewanie, w świecie Tsuranich. – Carline, ani ja, ani ty nie możemy przewidzieć, kiedy znowu najdzie mnie chętką, by ruszyć na włóczęgę. – W miarę jak mówił, widział, jak coraz bardziej narasta w niej złość, i w duchu musiał przyznać sam przed sobą, że często to on właśnie wyzwał w niej najgorsze cechy jej charakteru. Raptownie zmienił taktykę. – A poza tym nie wiem, czy jestem dobrym materiałem na, no jak tam... jakkolwiek nazywa się mąż siostry króla.

– Najwyższy czas, abyś się zaczął do tego przyzwyczajać. A teraz wstawaj i ubieraj się. Jazda z wyra!

Laurie chwycił ciśnięte przez Carline spodnie i szybko założył.

Kiedy skończył się ubierać, stanął przed nią i objął ramionami kibić dziewczyny.

– Carline, od chwili pierwszego spotkania masz we mnie uwielbiającego cię poddanego. Nigdy nie kochałem... nigdy nie będę kochał nikogo równie mocno, jak kocham ciebie, lecz...

– Wiem, wiem. Znam to na pamięć. Od miesięcy słyszę te same

wymówki. – Ponownie dźgnęła go palcem w pierś.

– Zawsze byłeś wędrowcem – mówiła, przedrzeźniając go.

– Zawsze byłeś wolnym człowiekiem, nie wiesz, czy wytrzymasz,

będąc przywiązany do jednego miejsca, chociaż zauważyłam, że jakoś znosisz trudy mieszkania w królewskim pałacu. Laurie wzniósł oczy ku niebu.

– No cóż, muszę przyznać, że to prawda.

– Mój kochasiu, te wykręty mogłyby podziałać w przypadku

jakiejś biednej córki karczmarza, ale w moim wypadku na nic się nie

przydadzą. Zobaczymy, jakie będzie zdanie Lyama na ten temat. Jestem

pewna, że w starych księgach musi być jakieś starodawne prawo czy

coś w tym rodzaju, które mówi o związkach pospólstwa ze szlachetnie urodzonymi.

– Rzeczywiście jest. – Laurie zachichotał. – Mój ojciec za to, że

zostałem przez ciebie wykorzystany, ma prawo do złotego talara, pary

mułów i ziemi ornej wraz z zabudowaniami.

Carline przez moment usiłowała się powstrzymać, lecz po chwili

wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Ty potworze. – Objęła go mocno, oparła głowę na jego ramieniu

i westchnęła. – Nigdy nie potrafię długo gniewać się na ciebie.

Przytulił ją delikatnie.

– Chociaż daję ci czasem powód – powiedział miękko.

– Tak, to prawda.

– Ale z drugiej strony... nie tak znowu często.

– Dobrze, dobrze... My tu sobie ucinamy pogaduszki, przekomarzamy się, a bracia są coraz bliżej portu. Ze mną możesz sobie pozwalać na wiele, lecz zapatrywania króla na naszą sytuację mogą nie być takie radosne.

– Tego się właśnie obawiam – powiedział Laurie, a w jego głosie słychać było prawdziwą troskę.

Carline złagodniała nagle. Spojrzała mu prosto w oczy, starając się dodać otuchy.

– Lyam zrobi wszystko, o co poproszę. Odkąd pamiętam, kiedy jeszcze byłam małeńka nigdy nie potrafił powiedzieć „nie”, jeśli tylko czegoś bardzo pragnęłam. To nie Crydee. Dobrze wie, że tutaj sprawy wyglądają inaczej i że ja nie jestem już dzieckiem.

– Hm... zauważyłem.

– Łobuz. Laurie, posłuchaj. Nie jesteś przecież prostym chłopem czy kamieniarzem. Opanowałeś o wiele więcej języków niż jakikolwiek „wykształcony” panicz, którego znam. Podróżowałeś wiele. Byłeś nawet w świecie Tsuranich. Masz inteligencję i wielki talent. Jesteś predestynowany do tego, aby rządzić, bardziej niż wielu innych, którzy się do tego narodzili. A poza tym, jeśli mogę mieć starszego brata, który zanim został Księciem, był myśliwym, dlaczego nie mogę mieć męża pieśniarza?

– Twojej logice nic nie można zarzucić. Po prostu brak mi słów.

Carline, kocham cię całym sercem, wiem to, ale ta reszta...

– Twój problem polega na tym, że potrafiłbyś rządzić, lecz nie

chcesz ponosić żadnej odpowiedzialności. Jesteś leniwy.

Roześmiał się.

*– To dlatego ojciec wyrzucił mnie z domu, kiedy miałem
trzydzieści lat. Powiedział, że nigdy nie będę porządnym rolnikiem.*

Odsunęła się delikatnie. Głos jej spoważniał.

*– Wszystko się zmienia, Laurie. Zastanawiałam się nad tym
ostatnio bardzo poważnie. Dwa razy w przeszłości wydawało mi się, że
byłam prawdziwie zakochana, lecz ty jesteś jedynym mężczyzną, który
jest w stanie sprawić, że zapominam, kim jestem, że mogę się zapomnieć
i nie wstydę się tego. Kiedy jestem z tobą, wszystko inne traci sens, ale
to dobrze, ponieważ nawet przez chwilę nie zastanawiam się, nie dbam,
czy to, co czuję, ma jakiś sens, czy go nie ma. Teraz jednak muszę o to
zadbać. Laurie, musisz dokonać wyboru, i to wkrótce. Założę się o
wszystkie swoje klejnoty, że nie minie nawet dzień od powrotu braci, a
Arutha i Anita ogłoszą swoje zaręczyny. To zaś oznacza, że wszyscy
wyruszymy do Krondoru na ich ślub. Po ślubie wrócę tutaj z Lyamem.
Tylko od ciebie będzie zależało, czy wrócisz razem z nami. – Spojrzała
mu prosto w oczy. – Było mi z tobą bardzo dobrze. Odkryłam w sobie
uczucia, o których nie wiedziałam, że są w ogóle możliwe, kiedy snułam
dziewczęce marzenia o Pugu, a potem Rolandzie. Musisz dokonać
wyboru. Jesteś moim pierwszym kochankiem i zawsze będziesz
największą miłością, lecz kiedy tu wrócę, albo zostaniesz moim mężem,
albo tylko wspomnieniem.*

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, była już przy drzwiach.

– Kocham cię, łobuzie, najmocniej jak tylko można kochać. Mamy jednak mało czasu. – Zamilkła na chwilę. – A teraz chodź i pomóż mi powitać króla.

Podszedł do niej i otworzył drzwi. Pośpiesznym krokiem udali się na dziedziniec, gdzie czekały powozy, które miały zabrać witających do portu. Laurie z Tyr-Sog, trubadur, podróżnik i bohater Wojny Światów, miał bolesną świadomość obecności tej kobiety przy swoim boku i przez cały czas zastanawiał się, co by czuł, gdyby pozbawiono go tego na zawsze. Myśląc o takiej perspektywie, czuł się zdecydowanie nieszczęśliwy.

Rillanon, stolica Królestwa Wysp, czekała, by powitać swego Króla. Domy przybrały odświętny wygląd, pyszniąc się pękami cieplarnianych kwiatów. Na szczytach dachów powiewały ogromne sztandary, a ponad ulicami, którymi miał przejeżdżać monarcha, rozpięto wstęgi we wszystkich kolorach tęczy. Rillanon, nazywane Klejnotem Królestwa, było położone na łagodnych stokach licznych pagórków. Cudowne miasto pełnych wdzięku strzelistych wież, świetlistych łuków i delikatnych, harmonijnych w kształcie mostów. Zmarły Król rozpoczął dzieło odbudowy miasta od pokrycia większości sąsiadujących z pałacem domów płytami z marmuru i kwarcu. W popołudniowym świetle ulice skrzyły się jak w mieście z bajki. Królewski Orzeł zbliżał się do królewskiego nabrzeża, gdzie czekał komitet powitalny. W oddali, na dachach domów i stromych, schodzących do portu ulicach, skąd widać było nabrzeże, zgromadziły

się nieprzeliczone tłumy mieszkańców wiwatujących na cześć młodego władcy. Rillanon przez wiele długich lat żyło pod ciężarem czarnej chmury szaleństwa króla Rodrica. Dla większości jego mieszkańców Lyam był ciągle obcy. Ponieważ jednak był młody i przystojny, jego bohaterstwo w czasie niedawno zakończonej wojny powszechnie znane, a szczodrość, z jaką sypnął groszem, obniżając podatki, wielka – uwielbiali go wszyscy.

Pilot portowy z mistrzostwem wprowadził statek Króla na właściwe miejsce przy nabrzeżu. Szybko rzucono cumy, a po chwili spuszczoneo trap.

Arutha patrzył, jak Lyam pierwszy schodzi na ląd. Jak kazała tradycja, padł na kolana i ucałował rodzinną ziemię. Wzrok Aruthy wędrował po zgromadzonych, szukając Anity, lecz w tłumie panów napierających, by powitać Króla, nie dostrzegł jej. Przez chwilę poczuł, jak przesywa go lodowaty sztylet zwątpienia.

Martin popchnął lekko Aruthę, który zgodnie z protokołem powinien zejść ze statku jako drugi. Arutha pośpiesznym krokiem zszedł na nabrzeże, a Martin podążył o kilka kroków za nim. Uwagę młodszego brata zwrócił nagle widok siostry, która oderwała się od boku pieśniarza Lauriego i podbiegła do Lyama. Objęła go z całej siły.

Chociaż inni witający monarchę nie traktowali rytuału tak lekko jak Carline, jednak i z szeregów straży i dworzan wzniosły się radosne, spontaniczne okrzyki. Po chwili ramiona Carline owinęły się wokół szyi Aruthy. Pocałowała go gorąco i objęła czule.

– Och, tak bardzo tęskniłam za twą skwaszoną miną –

powiedziała szczęśliwym głosem.

Arutha – jak zwykle, kiedy był pogrążony w myślach – miał

ponury wyraz twarzy.

– Jaką skwaszoną miną?

Carline spojrzała bratu prosto w oczy.

– Wyglądasz, jakbyś coś połknął i to coś poruszyło się przed

chwilą w żołądku – powiedziała z uśmiechem.

Martin ryknął śmiechem i po chwili znalazł się w objęciach

Carline. W pierwszej chwili zeszywniał. W obecności siostry nie czuł się

jeszcze tak swobodnie jak z braćmi. Po chwili odprężył się i odwzajemnił

uścisk.

– Nudziłam się bez waszej trójki. Martin zerknął w bok, gdzie w

oddali stał Laurie, i pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Chyba jednak nie za bardzo, jak mi się wydaje.

– Nie ma żadnego prawa, które by mówiło, że tylko mężczyźni

mogą sobie folgować – zażartowała. – A poza tym to najwspanialszy

mężczyzna, jakiego spotkałam w życiu... który nie jest moim bratem.

Martin mógł się jedynie uśmiechnąć, a Arutha nadal wypatrywał

w tłumie Anity.

Lord Caldric, książe Rillanonu i Pierwszy Doradca Króla, a także

stryjeczny dziadek Lyama, rozpromienił się, kiedy ogromna dłoń Króla

ujęła jego własną i zaczęła nią energicznie potrząsać. Aby przebić się

przez radosny tumult i wiwaty na swoją cześć, Lyam musiał prawie

krzyczeć.

– Stryju, co słyhać w naszym Królestwie?

– Teraz, kiedy powróciłeś. Wasza Wysokość, wszystko dobrze.

Arutha był coraz bardziej zatroskany.

– Arutha, wyglądasz, jakbyś się miał za chwilę rozplakać.

Przestań się zamartwiać, ona jest we wschodnim ogrodzie, czeka na ciebie – powiedziała Carline szeptem.

Arutha cmoknął ją w policzek i natychmiast opuścił towarzystwo siostry i śmiejącego się na głos Martina.

– Za pozwoleniem Waszej Wysokości... – krzyknął, przebiegając obok Lyama.

Na twarzy Króla pojawiło się najpierw wielkie zdumienie, które po sekundzie przerodziło się w radosny uśmiech. Caldric i reszta dworzan patrzyli na zachowanie księcia Krondoru z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami. Lyam nachylił się do ucha Caldrica.

– Anita.

Stara i pomarszczona twarz Caldrica rozpromieniła się słonecznym śmiechem. Zachichotał radośnie.

– Zatem wkrótce znowu wyruszysz w podróż, co? Tym razem do Krondoru na ślub brata?

– Przyznam, że wolelibyśmy, aby ślub odbył się tutaj, ale tradycja każe Księciu żenić się w swoim własnym mieście, a przed tradycją należy chylić głowę. Nie nastąpi to jednak tak szybko, najwcześniej za kilka tygodni. Te sprawy zajmują sporo czasu, a jest jeszcze królestwo,

którym musimy się zająć, chociaż wszystko wskazuje na to, że w czasie mojej nieobecności doskonale dawaleś sobie radę.

– Być może. Wasza Wysokość, lecz teraz, gdy Król jest znowu w Rillanonie, wiele spraw znajdujących się w zawieszeniu od zeszłego roku pojawi się przed twoim majestatem, byś je, panie, rozważył osobiście. Petycje i inne dokumenty, które były ci przekazane w czasie podróży, to nawet nie dziesiąta część tego, co cię czeka tutaj.

Lyam wydał teatralny jęk rozpacz.

– Wydaje nam się, że każemy, aby kapitan natychmiast wyruszał z powrotem w morze.

– Chodź, Wasza Wysokość. – Caldric uśmiechnął się. – Twoje miasto pragnie ujrzeć swego Króla.

We wschodnim ogrodzie poza samotną, kobiecą sylwetką nie było nikogo. Młoda kobieta poruszyła się cichutko między wspaniale utrzymanymi klombami kwiatów, które nie spieszyły się specjalnie, by rozwinąć stulone ciasno pąki. Kilka bardziej odważnych gatunków zieleniło się jaskrawą, wiosenną barwą; okalające ogród wiecznie zielone żywopłoty przychodziły im z pomocą, lecz i tak ogród bardziej przypominał pozbawiony życia symbol zimy niż świeżą obietnicę nadciągającej wiosny, która miała wybuchnąć z całą mocą dopiero za kilka tygodni.

Anita zapatrzyła się na rozciągającą się u jej stóp panoramę Rillanonu. Pałac rozsiadł się na samym szczycie wzgórza, w miejscu starodawnej warowni, która nadal stanowiła jego tron. Siedem

wysokich, łukowato wypiętrzonych mostów spinało brzegi rzeki, wijącej się dookoła pałacu wielkimi zakolami. Przedwieczorny wiatr przeszywał chłodem i Anita owinęła się ciasniej szalem z delikatnego jedwabiu.

Uśmiechnęła się do wspomnień. Oczy zaszkliły się łzami, kiedy przypomniła sobie zmarłego ojca, księcia Erlanda, i to wszystko, co przydarzyło się w ciągu ostatniego roku i wcześniej: jak Guy du Bas-Tyra przybył do Krondoru i usiłował zmusić ją do ślubu w imię racji stanu, i jak to Arutha przyjechał do miasta incognito. Przez ponad miesiąc, aż do momentu ucieczki do Crydee, ukrywali się razem pod opieką Prześmiewców, cechu złodziei z Krondoru. Pod koniec wojny pojechała do Rillanonu na koronację Lyama. W ciągu tych kilku miesięcy zakochała się bez pamięci w młodszym bracie króla. A teraz Arutha wracał do Rillanonu.

Usłyszała za sobą odgłos kroków na kamiennych płytach ścieżki ogrodu. Odwróciła się sądząc, że zobaczy służącą albo gwardzistę z informacją, że król wpłynął już do portu. Zamiast tego jej oczom ukazał się idący w jej stronę zmęczony mężczyzna w drogim, lecz

wygniecionym

stroju

podróżnym.

Potargane

wiatrem

ciemnokasztanowe włosy, podkrążone piwne oczy. Ascetyczna twarz

ściągnięta w charakterystycznym, surowym grymasie tak typowym dla niego, kiedy rozważał coś poważnego, i tak jej drogim. Patrzyła, jak się zbliżał, i nie mogła wyjść z podziwu nad sposobem, w jaki się poruszał: kroczył lekko, stawiając kroki z kocią zwinnością, nie czyniąc najmniejszego niepotrzebnego ruchu. Zbliżył się i uśmiechnął trochę niepewnie, nawet nieśmiało. Zanim zdążyła przywołać na pomoc ćwiczoną latami na dworze stosowną pozę i spokój, już łzy napłynęły jej do oczu. Niespodziewanie znalazła się w jego ramionach, przywierając do ukochanego.

– Arutha... – Tylko tyle była w stanie wykrztusić.

Przez dłuższy czas stali w milczeniu objęci mocno. Potem odchylił delikatnie jej głowę i pocałował. Bez słów opowiadał o swoim przywiązaniu, miłości i tęsknocie, a ona odpowiadała w taki sam sposób. Wpatrywał się w zielone jak morska toń oczy i nosek cudownie usiany małutkimi piegami – rozbrajająca niedoskonałość na gładkiej, jasnej cerze. Na twarzy Aruthy pojawił się zmęczony uśmiech.

– Wróciłem.

Po chwili zaczął się głośno śmiać z oczywistości swych słów. Anita zawtórowała. Trzymając w objęciach szczupłą kibić, wdychając delikatny zapach ciemnokasztanowych włosów ułożonych w jakąś niemożliwie skomplikowaną, modną w tym sezonie na dworze fryzurę, poczuł, jak kręci mu się w głowie. Nie mógł się wprost nacieszyć, że znowu są razem.

Odsunęła się trochę, lecz ani na sekundę nie wypuściła jego dłoni z

mocnego uścisku.

– Tak wiele czasu minęło – szepnęła. – Z początku miał to być tylko miesiąc, potem następny... i jeszcze jeden. Nie było cię przez ponad pół roku. Nie mogłam się zmusić, aby pójść dziś do portu. Wiedziałam, że na twój widok się rozplaczę. – Jej policzki były mokre od łez.

Uśmiechnęła się i otarła je wierzchem dłoni.

Arutha uścisnął jej dłoń.

– Lyam bez przerwy przypominał sobie o coraz to innych panach, których koniecznie trzeba było odwiedzić. Sprawy Królestwa... – powiedział z pogardliwym grymasem na ustach. Od dnia, kiedy ją poznał, nie potrafił wyrazić swojej miłości do dziewczyny. Choć od pierwszej chwili czuł się z nią głęboko związany, po ucieczce z Krondoru zmagał się bez przerwy ze swoimi uczuciami. Z jednej strony działała na niego nieodparcie jak potężny magnes, z drugiej jednak, odnosił się do niej jak do dziecka, które dopiero za jakiś czas będzie można traktować poważnie. Nie miał jednak wątpliwości, że miała na niego kojący wpływ i jak nikt inny potrafiła odczytać jego nastroje. Wyczuwała zawsze, jak go uwolnić od niepokoju, jak ugasić gniew i zawrócić z ucieczek w ponure, mroczne wnętrza. A on stopniowo pokochał jej wyczucie i delikatność.

Arutha milczał aż do wieczora poprzedzającego jego wyjazd z

Lyamem. Rozmawiali i spacerowali po tym samym ogrodzie do późnych godzin wieczornych i chociaż nie padły jakieś decydujące słowa, Arutha wyjechał, czując w sercu, że osiągnęli porozumienie. Lekki, a czasem

trochę oschły, oficjalny ton jej listów niepokoił go i budził obawy, że być może tamtego wieczora źle odczytał jej intencje. Teraz jednak, patrząc głęboko w oczy Anity, wiedział, że się nie pomylił.

– Od wyjazdu nie robiłem nic innego, tylko myślałem wciąż o tobie – powiedział niespodziewanie bez zbędnych wstępów.

Spostrzegł, że jej oczy znowu napętniają się łzami.

– A ja o tobie...

– Anita, kocham cię. Chciałbym zawsze mieć cię przy sobie. Czy zgodzisz się wyjść za mnie?

– Tak. – Uścisnęła mocno jego dłoń. Objęła go z całej siły. Anicie na skutek nagłego przyływu szczęścia aż zakręciło się w głowie.

– Jesteś radością mego życia... sercem mego serca – szeptał jej do ucha, trzymając mocno w objęciach.

Długo trwali bez ruchu. On, wysoki i szczupły. Ona, z głową ledwie sięgającą jego brody, delikatna, wiotka. Rozmawiali szeptem i nic poza bliskością drugiego nie było dla nich ważne. Nieśmiało chrząknięcie wyrwało ich z rozmarzenia. Odwrócili się. U wejścia do ogrodu stał pałacowy strażnik.

– Księżę, zbliża się Jego Wysokość. Za kilka minut przybędzie do wielkiej sali.

– Już idziemy. – Wziął Anitę za rękę i poprowadził za sobą.

Żołnierz ruszył za nimi. Gdyby Arutha lub Anita obejrzeliby się za siebie, spostrzegliby doświadczonego w wielu bitwach starego wiarusa, który całym wysiłkiem woli powstrzymywał cisnący się na usta szeroki

uśmiech.

Arutha po raz ostatni uściskał dłoń Anity, po czym stanął przy drzwiach. Lyam wchodził właśnie do wielkiej sali tronowej pałacu.

Kiedy monarcha kroczył w kierunku podwyższenia, na którym stał tron, dworzanie kłaniali się nisko. Dworski mistrz ceremonii uderzył w podłogę okutym końcem długiej laski. Rozległ się okrzyk herolda.

– Słuchajcie mnie wszyscy! Słuchajcie! Niech wszystkim stanie się wiadome, że Lyam, pierwszy tego imienia i zrządzeniem bogów prawowity władca, powrócił do nas i znowu zasiada na swoim tronie.

Niech żyje Król!

– Niech żyje Król! – odkrzyknęły zgromadzone tłumy. Lyam odziany w purpurową szatę, z czołem zwieńczonym symbolem swej władzy – prostym, złotym diademem – zasiadł na tronie.

– Cieszymy się, że jesteśmy już w domu. Mistrz ceremonii ponownie uderzył laską w podłogę. Herold wykrzyknął imię Aruthy.

Młody Książę wszedł do sali. Tuż za nim, jak dyktował protokół dworski, szły Carline i Anita, a za nimi Martin. Wejście każdego z nich było oznajmiane przez herolda. Gdy wszyscy już znaleźli się na swoich miejscach u boku Lyama, Król dał znak Anicie. Młodszy brat podszedł bliżej i nachylił się.

– Poprosiłeś ją?

– Poprosiłem? O co? – odpowiedział Arutha z krzywym uśmiechem.

Lyam wyszczerzył zęby.

– Aby wyszła za ciebie, bezczelny gówniarzu. Oczywiście, że poprosiłeś... a sądząc po tym idiotycznym uśmiešku, zgodziła się – szepnęła. – Zmykaj na swoje miejsce. Za chwilę to oficjalnie ogłoszę. – Arutha stanął u boku Anity, a Lyam skinął na księcia Caldrica, aby podszedł bliżej.

– Jesteśmy zmęczeni, lordzie kanclerzu. Cieszylibyśmy się, gdyby dzisiejsze sprawy można było skrócić do minimum.

– Są dwie sprawy, którymi jak sądzę, Wasza Wysokość powinien się zająć osobiście i od ręki. Reszta może poczekać. Lyam dał znak, by Caldric mówił dalej.

– Po pierwsze, od baronów Pogranicza i księcia Vandrosa z Yabon nadeszły raporty o wyjątkowym ożywieniu pośród goblinów na zachodnich terytoriach.

Słowa te przykuły uwagę Aruthy. Odwrócił twarz od Anity i spojrzał w ich stronę. Ziemia Zachodu to jego domena. Lyam popatrzył na niego, a potem na Martina, dając znak, by podeszli.

– Co z Crydee? – spytał Martin.

– Z Dalekiego Wybrzeża nie mamy na razie żadnych wieści, Wasza Wysokość. Do tej pory napłynęły jedynie raporty z obszaru pomiędzy Wysokim Zamkiem na wschodzie a Niebiańskim Jeziołem na zachodzie. Wszystkie donoszą o tym samym: zwiadowcy nieustannie napotykają bandy goblinów kierujące się na północ. W czasie marszu co jakiś czas napadają na mijane osady i wioski.

– Na północ? – Martin zerknął na Aruthę.

– Wasza Wysokość pozwoli? – spytał Arutha. Lyam kiwnął głową.

– Martin, jak sądzisz, czy to oznacza, że gobliny ruszyły, by połączyć się Bractwem Mrocznego Szlaku? Martin zastanawiał się przez chwilę.

– Nie odrzucałbym takiej możliwości. Gobliny od dawna służyły moredhelom. Chociaż z drugiej strony... spodziewałbym się raczej, że to Mroczni Bracia ruszą na południe, powracając do swych domów w Górach Szarych Wież.

Ciemni kuzyni Elfów zostali wypchnięci na północ z Szarych Wież przez nacierających Tsuranich w czasie Wojny, Światów. Martin zwrócił się do Caldrica.

– Panie, czy otrzymałeś jakieś raporty o pojawieniu się Mrocznego Bractwa?

Caldric pokręcił głową.

–

Żadnych

nadzwyczajnych

doniesień,

jedynie

typowe,

sporadyczne spotkania wzdłuż podnóża Zębów Świata, Księżę. Panowie

Warty Północy, Żelaznej Przełęczy i Wysokiego Zamku przesyłają na

temat Mrocznego Bractwa zwykle raporty, nic więcej.

Lyam włączył się do rozmowy.

– *Arutha, tobie i Martinowi powierzamy tę sprawę. Przejrzyjcie raporty. Musicie stwierdzić, czy i jakie kroki należałoby przedsięwziąć na zachodzie.* – *Zwrócił się do Caldrica.* – *Co jeszcze. Księżę?*

– *Posłanie od Cesarzowej Wielkiego Keshu, Wasza Wysokość.*

– *I cóż to Kesh ma do przekazania Wyspom?*

– *Cesarzowa poleciła swemu ambasadorowi, niejakiemu*

Abdurowi Rachman Memo Hazara-Khanowi, by udał się na Wyspy w celu przedyskutowania możliwości zakończenia wszelkich sporów różniących jeszcze Kesh i Wyspy.

– *Ta wiadomość sprawiła nam wiele radości, Księżę. Problem*

Doliny Snów stanowczo za długo uniemożliwia uczciwe układy

pomiędzy Królestwem a Wielkim Keshem w innych sprawach. Oba

nasze narody odniosłyby podwójną korzyść, gdybyśmy mogli załatwić

tę sprawę raz i na zawsze. – *Lyam powstał.* – *Powiadom Jego*

Ekscelencję, że będzie się musiał pofatygować z nami do Krondoru,

ponieważ czeka nas tam wesele. Panowie i panie, z najwyższą radością

ogłaszamy, iż w najbliższym czasie odbędzie się ślub mego brata Aruthy

z księżniczką Anitą.

Król podszedł do obojga, wziął za ręce i podprowadził na skraj

podwyższenia, przedstawiając oficjalnie dworowi. Rozległy się gromkie

brawa.

Carline, stojąca u boku braci, rzuciła Lauriemu ponure spojrzenie.

Podbiegła do Anity i pocałowała ją w policzek. W sali huczało od

wiwatów i oklasków.

– Zakończyliśmy na dzisiaj urzędowanie.

KRONDOR

Miasto zapadło w letarg.

Znad wód Morza Gorzkiego nadciągnął całun mgły, spowijając je gęstą bielą. Stolica Zachodnich Ziem Królestwa nigdy nie udawała się na spoczynek, lecz dziś zwykle odgłosy nocy wygłuszone były przez nieprzenikniony woal opatulający szczelnym płaszczem kroki spóźnionych przechodniów. Wszystko wydawało się wyciszone, łagodniejsze, jakby miastu udało się w końcu odnaleźć upragniony wewnętrzny spokój.

Dla jednego z jego mieszkańców warunki dzisiejszej nocy były wprost wymarzone. Mgła zamieniła wszystkie ulice w wąziutkie, ciemne przejścia, a budynki w oderwane od reszty zabudowy wyspy. Nie kończący się lepki mrok ustępował niechętnie przed światłem ustawionych na rogach ulic latarni, tworząc maleńkie przystanie ciepła i jasności dla przechodniów, zanim ponownie zanurzali się w odmętach wilgotnej, mrocznej nocy. Jednak pomiędzy tymi miniaturowymi oazami światła ten, którego naturą i przeznaczeniem była praca w ciemności, otrzymywał w darze dodatkową osłonę, gdyż każdy, nawet najdrobniejszy, przypadkowo spowodowany hałas był skutecznie tłumiony, a szybkie ruchy zasłonięte przed przypadkowym wykryciem.

Jimmy Rączka zajmował się swoimi sprawami.

Piętnastoletni chłopak mimo młodego wieku zaliczany był do grona najbardziej utalentowanych członków Prześmiewców, Cechu

Złodziei. Przez prawie całe krótkie życie Jimmy był złodziejem, wychowanym przez ulicę chłopakiem, który szybko awansował: od kradzieży owoców z ulicznych straganów aż do pełnego członkostwa w gronie Prześmiewców. Jimmy nie znał swego ojca, a jego matka sprzedawała się za pieniądze w Dzielnicy Ubogich, aż pewnego dnia spotkała ją śmierć z rąk pijanego marynarza. Od tej chwili chłopak został zaliczony w poczet Prześmiewców. Wtedy także rozpoczęła się jego błyskawiczna wspinaczka po szczeblach złodziejskiej hierarchii. Najbardziej zdumiewający w awansie Jimmy'ego nie był jego młody wiek. Prześmiewcy bowiem wyznawali zasadę, że gdy tylko chłopak jest duchowo gotów popробować kradzieży, powinno mu się dać wolną rękę. Porażki też miały swoje dobre strony. Kiepski złodziej bardzo szybko stawał się martwym złodziejem. Według ich filozofii śmierć złodzieja o kiepskich talentach nie była wielką stratą, jeśli tylko nie stanowiła bezpośredniego zagrożenia dla innego Prześmiewcy. Nie, najbardziej zdumiewające w błyskawicznym awansie Jimmy'ego zdawało się to, że był rzeczywiście prawie tak dobry, jak sam o sobie myślał.

Z nadprzyrodzoną nieledwie zwinnością poruszał się bezszelestnie po pokoju. Ciszę nocną mąciło jedynie głośnie chrapanie niczego nie podejrzewającego gospodarza i jego małżonki.

Jedynym oświetleniem był mdły poblask ulicznej latarni wpadający przez uchylone okno. Jimmy rozglądał się dookoła, posługując się wszystkimi zmysłami. Nagła zmiana odgłosu desek

podłogi pod lekkimi jak piórko stopami i złodziej znalazł to, czego szukał. Zaśmiał się w duszy nad brakiem oryginalności kupca chowającego swoje dobra. Kilka sprawnych, oszczędnych ruchów i oto złodziejaszek jedną ręką trzymał fałszywą deskę podłogową, a drugą zanurzał w kryjówce Triga Folusznika.

Trig parsknął przez nos i przewrócił się ciężko na drugi bok, powodując u grubej żony identyczną reakcję. Jimmy zamarł w bezruchu. Stał przez kilka minut, wstrzymując oddech, aż pierzyna okrywająca śpiące postacie zaczęła się znowu poruszać rytmicznie i spokojnie. Schylił się, wydobył ze skrytki ciężką sakiewkę i delikatnym ruchem wsunął ją za bluzę zabezpieczoną w talii szerokim pasem. Założył wyjętą deskę na miejsce i wrócił do okna. Jeśli będzie miał szczęście, może minąć wiele dni, zanim kradzież zostanie odkryta. Wyszedł przez okno, odwrócił się i sięgnął w górę, chwytając okap. Szybkim ruchem ramion podciągnął się i po chwili siedział już na dachu. Wychylił się poza jego krawędź i delikatnym pchnięciem zamknął okiennice, a następnie umiejętnie manewrując haczykiem na linie, zamknął zasuwkę znajdującą się od strony mieszkania. Szybko wciągnął linkę, śmiejąc się w duchu z folusznika, który będzie zachodził w głowę, w jaki sposób złoto zniknęło. Jimmy leżał przez chwilę bez ruchu nasłuchując, czy ze środka nie dojdą go odgłosy przebudzenia się gospodarzy. Po minucie czy dwóch uspokoił się. Wszędzie panowała niczym nie zmącona cisza.

Powstał i ruszył w drogę Gościńcem Złodziei, jak potocznie

nazywano w mieście szczyty dachów. Przeskoczył z dachu domu Triga na sąsiedni, po czym usiadł na dachówkach, aby obejrzeć łup. Sakiewka była dowodem, że folusznik był oszczędnym i zapobiegliwym człowiekiem, odkładającym na bok znaczną część swoich stałych dochodów. Zawartość woreczka powinna zapewnić długie miesiące komfortowego życia, jeśli oczywiście nie przepuści pieniędzy na hazard.

Delikatny dźwięk za plecami! Jimmy padł na dachówki, przywierając bezszelestnie do powierzchni dachu. Po chwili usłyszał kolejny hałas, jakby szelest kroków. Dźwięk dochodził gdzieś z połowy długości drugiej strony spadzistego dachu. Chłopak przeklął w duchu pechowy los i przyglądał nerwowym ruchem wilgotne od mgły kręcone włosy. Bliska obecność na dachu kogoś innego mogła oznaczać jedynie poważne kłopoty. Jimmy pracował tym razem na własną rękę, bez wiedzy i przyzwolenia Mistrza Nocy Prześmiewców, przyzwyczajenie, które w przeszłości, kiedy był przyłapywany na gorącym uczynku, nie raz, nie dwa sprowadziło na jego głowę ostrą reprimendę i baty. Teraz jednak sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Jeśli swoją obecnością naraził na niebezpieczeństwo nocne zajęcia innego Prześmiewcy, czekało go coś więcej niż ostre słowa lub parę szturchańców. Jimmy swoimi zdolnościami i sprytem z trudem wypracował wysoką pozycję w cechu i był traktowany przez innych jego członków jak dorosły. W zamian oczekiwano od niego, iż będzie odpowiedzialny za swoje czyny, a jego faktyczny wiek nie miał tu żadnego znaczenia. Narazając życie drugiego Prześmiewcy, wystawiał na niebezpieczeństwo swoje własne.

Inna alternatywa była równie fatalna. Jeśli jakiś złodziej – wolny strzelec – pracował w mieście bez zezwolenia Prześmiewców, obowiązkiem Jimmy'ego było zidentyfikowanie go i natychmiastowe powiadomienie szefów cechu. Powinno to w pewnym stopniu złagodzić skutki tego, że sam złamał złodziejskie prawo Prześmiewców, szczególnie jeśli oddałby im zwykłą działkę, czyli dwie trzecie złota folusznika.

Jimmy przeczołgał się na drugą stronę dachu, by znaleźć się naprzeciwko źródła hałasu. Wystarczyło tylko obejrzeć niezależnego złodzieja i powiadomić Prześmiewców. Mistrz Nocy rozesłał jego rysopis i wcześniej czy później kilku tęgich chłopaków z cechu złoży mu wizytę, by nauczyć szacunku należnego Prześmiewcom ze strony wizytujących miasto złodziei. Powolutku jak ślimak, Jimmy wspinał się ku górze i wyjrzał na drugą stronę szczytu dachu. Nic nie zauważył. Rozglądał się uważnie. Nagle kątem oka spostrzegł jakby cień ruchu. Zwrócił wzrok w tamtą stronę. Nadal nic nie widział. Ułożył się wygodniej i postanowił poczekać. Znalazł się bowiem twarzą w twarz z czymś, co drażniło jego wyczuloną na wszystko ciekawość.

Jedynymi słabościami Jimmy'ego, jeśli chodzi o wykonywaną przez niego pracę, były nie dająca się niczym powstrzymać ciekawość świata oraz budząca się co jakiś czas wewnętrzna irytacja z powodu konieczności dzielenia się łupem z cechem, który miał już podejrzenia co do tej jego niechęci. Wychowanie przez Prześmiewców wykształciło w chłopaku specyficzne, wykraczające zdecydowanie poza jego wiek

podejście do życia – sceptycyzm graniczący z cynizmem. Nie miał wykształcenia, lecz posiadał mądrość życiową. Jedno wiedział na pewno: dźwięki nie biorą się z powietrza, jeżeli oczywiście nie będzie się brało pod uwagę magii.

Jimmy leżał rozplaszczony na dachówkach, próbując uzmysłwić sobie, co się dzieje. Albo jakiś niewidzialny duch wiercił się niespokojnie na dachu, co chociaż możliwe, było jednak bardzo mało prawdopodobne, lub też coś bardziej cielesnego skrywało się głęboko w cieniu spadzistego dachu po drugiej stronie. Jimmy podpełzł wyżej i trochę w bok. Wystawił głowę na drugą stronę i zaczął uporczywie wpatrywać się w ciemność. Kiedy doszedł go kolejny cichutki szelest, jego cierpliwość została nagrodzona. Zauważył ruch. W załamaniu dachu, w głębokim, gęstym cieniu przyczaił się ktoś w ciemnym ubraniu. Chłopak mógł go dostrzec tylko wtedy, gdy tamten się poruszył. Centymetr po centymetrze Jimmy przesunął się w bok, aż znalazł się dokładnie naprzeciwko nieznannej postaci. Znowu wyjrzał ponad szczyt dachu. Obcy znowu się poruszył, poprawiając okrycie na ramionach. Włosy na karku Jimmy'ego zjeżyły się z przerażenia. Postać pod nim była od stóp do głów ubrana w czerń i trzymała w ręku ciężką kuszę. To nie był złodziej, lecz Nocny Jastrząb!

Jimmy zamarł w bezruchu. Natknięcie się na członka Cechu Śmierci przy pracy nie zwiększało specjalnie szans na doczekanie późnej starości. Prześmiewców obowiązywało jednakże stałe, nieodwołalne polecenie wydane przez samego Sprawiedliwego,

najwyższą władzę i autorytet cechu: wszelkie wiadomości o bractwie zabójców miały być natychmiast przekazywane przełożonym. Jimmy, ufając w swoje zdolności i spryt, postanowił poczekać. Może i nie posiadał nieledwie legendarnych cech przypisywanych Nocnym Jastrzębiom, lecz za to miał niczym nie zachwianą pewność siebie piętnastoletniego chłopaka, który został najmłodszym w historii Prześmiewców Mistrzem Złodziejstwa. Nawet jeśli jego obecność zostanie odkryta, nie będzie to jego pierwsza ucieczka po Gościńcu Złodziei.

Czas mijał, a Jimmy z niebywałą jak na jego wiek cierpliwością i dyscypliną, czekał spokojnie. Złodziej, który nie potrafi w razie potrzeby wytrwać w bezruchu przez kilka godzin, nie zostaje długo żywym złodziejem. Co jakiś czas od strony ukrywającego się zabójcy dochodził nikły dźwięk. Co jakiś czas Jimmy dostrzegał też jego minimalne ruchy. Podziw Jimmy'ego dla legendarnych Nocnych Jastrzębi malał z każdą chwilą, ten przed nim nie potrafił bowiem wykazać się umiejętnością pozostawania w absolutnym bezruchu. Jimmy już dawno temu odkrył i opanował do mistrzostwa niewielki trik polegający na bezgłośnym napinaniu i rozluźnianiu mięśni, co zapobiegało ich skurczom i sztywności ciała. Ale przecież – zastanawiał się w duchu chłopak – większość legend jest tworzona na wyrost w stosunku do rzeczywistości. Nocnym Jastrzębiom zaś, ze względu na rodzaj pracy, którą się zajmowali, sprzyjało budzenie grozy wśród ludzi.

Zabójca poruszył się nagle. Okrywająca ramiona kurta spadła na dach. Obcy podniósł kuszę. Do uszu Jimmy'ego doszedł odgłos końskich kopyt na bruku. Jeźdźcy przejechali pod domem, a zabójca opuścił powoli broń. Najwidoczniej pośród tych na ulicy nie było jego przyszłej ofiary.

Jimmy podciągnął się na łokciach trochę wyżej, aby teraz, kiedy obcego nie okrywała obszerna kurta, lepiej mu się przyjrzeć. Zabójca obrócił się lekko, sięgając po okrycie, i przez chwilę Jimmy widział jego twarz. Chłopak podciągnął nogi pod siebie, by w razie potrzeby odskoczyć i uciec, i przyglądał się obcemu. W mroku nie mógł dostrzec wiele, tylko tyle, że zabójca miał ciemne włosy i jasną skórę. W pewnej chwili Jimmy'emu wydało się, że obcy patrzy wprost na niego.

Złodziej usłyszał gwałtowny łomot własnego serca i nie mógł się nadziwić, że zabójca pozostał głuchy na ten hałas. Obcy odwrócił się jednak spokojnie i ponownie zaczął swoje upiorne czuwanie. Jimmy osunął się bezszelestnie w dół poza krawędź dachu. Oddychał głęboko i powoli, dusząc w sobie przemożną chęć, aby zachichotać radośnie.

Uspokoił się po chwili i zaryzykował ponownie, wyglądając poza szczyt dachu.

Zabójca czekał. Jimmy ułożył się wygodniej. Myślał o broni Nocnego Jastrzębia. Ciężka kusza to kiepski wybór jak na wyborowego strzelca, ponieważ była mniej celna niż dobry łuk. Kusza to dosyć dobra broń dla kogoś z niewielkim przygotowaniem. Wystrzelony z niej pocisk uderzał z potworną siłą. Rana zadana strzałą wyrzuconą z łuku bywała

zazwyczaj stosunkowo niegroźna, lecz od beltu kuszy była przeważnie śmiertelna ze względu na dodatkowy szok strasznego uderzenia. Jimmy widział kiedyś w karczmie wiszący na ścianie stalowy pancerz. W napierśniku czerniała ogromna dziura o średnicy pięści chłopaka. Rycerz noszący pancerz został właśnie postrzelony z ciężkiej kuszy. Zbroja została wywieszona na widok publiczny nie ze względu na ogromne rozmiary dziury, która była zupełnie typowa dla tego rodzaju broni, lecz dlatego, że rycerz jakimś cudem przeżył. Kusza jednak miała również swoje złe strony. Zasięg jej rażenia był stosunkowo niewielki, a zasięg celnych strzałów jeszcze mniejszy i ograniczał się w praktyce do kilkunastu metrów.

Jimmy wyciągał szyję, nie spuszczając wzroku z Nocnego Jastrzębia. W pewnej chwili w prawym ramieniu poczuł lekkie mrowienie. Wsparł się mocniej na lewym łokciu. Nagle dachówka, na której się opierał, nie wytrzymała dodatkowego naporu i pękła z głośnym trzaskiem. Po chwili stoczyła się z łoskotem po stromiźnie dachu i roztrzaskała się na bruku ulicy. Dla Jimmy'ego był to grom zwiastujący zgubę.

Poruszając się z nadludzką szybkością, zabójca odwrócił się i strzelił. Kiedy dachówka ustąpiła pod jego ciężarem, Jimmy osunął się i to ocaliło mu życie. Sam nigdy nie byłby w stanie uchylić się dostatecznie szybko, by uniknąć pocisku z kuszy, siła ciężkości zapewniła dodatkowe przyspieszenie. Uderzył głową w dach i w tej samej chwili usłyszał tuż nad sobą świst pocisku. Przez moment

wyobrażał sobie, jak jego własna głowa eksploduje jak dojrzała dynia, i podziękował w duchu Banath, bogu złodziei.

Chwilę później ocalił go wyćwiczony refleks. Zamiast zerwać się na nogi, przeturlał się w prawo. W miejsce, na którym leżał przed chwilą, z trzaskiem uderzył miecz. Zdając sobie sprawę, że na razie nie może zyskać wystarczającej przewagi, by uciec przed zabójcą, zerwał się na przykurczone nogi, jednocześnie wyciągając jednym płynnym ruchem sztylet zza cholewy prawego buta. Nie przepadał co prawda za walką, jednak już we wczesnej młodości zdał sobie sprawę, że jego życie może zależeć od sprawnego posługiwania się klingą.

Ćwiczył więc pilnie, gdy tylko miał po temu okazję. Teraz żałował, że nocna eskapada po dachach nie pozwoliła mu zabrać rapiera.

Zabójca okręcił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z chłopcem.

W tym momencie Jimmy zauważył, że Nocny Jastrząb zachwiał się przez ułamek sekundy. Być może czarny zabójca dysponował wprost niezwykłym refleksem, ale z pewnością nie był przyzwyczajony do niepewnej i niebezpiecznej powierzchni dachu. Jimmy uśmiechnął się od ucha do ucha nie tylko, aby ukryć strach, lecz także z prawdziwego rozbawienia niepokojem i niepewnością zabójcy.

– Chłopcze, nie wiem, jacy bogowie cię tu sprowadzili, ale już teraz zacznij się do nich modlić – syknął przez zęby obcy.

Słowa te wydały się Jimmy'emu dziwne, rozpraszały bowiem jedynie uwagę i skupienie mówiącego. Zabójca zamachnął się, rozcinając ze świstem powietrze w miejscu, w którym przed chwilą

znajdował się Jimmy. Chłopak rzucił się do ucieczki.

Przemknął po dachu i przeskoczył z powrotem na dom Triga

Folusznika. Po sekundzie usłyszał, że na dachu za nim ląduje zabójca.

Jimmy biegł zwinnie, póki nie zagroziła mu drogi szeroka przepaść

między domami. Zapomniał w pośpiechu, że od tej strony budynek

sąsiadował z szeroką aleją, a sąsiedni dom był w odległości nie dającej

się pokonać skokiem. Odwrócił się na pięcie.

Zabójca zbliżał się powolutku, mierząc końcem miecza w pierś

chłopca. Jimmy'emu przyszedł nagle do głowy pomysł. Zaczął szaleńczo

podskakiwać i tupać po dachu. Na efekt nie trzeba było długo czekać. Z

dołu rozległ się wściekły krzyk.

– Złodzieje! Jestem zgubiony!

Jimmy wyobraził sobie, jak Trig Folusznik wychyla się przez okna

krzycząc, by zaalarmować nocną straż miejską. Miał nadzieję, że w

umyśle zabójcy pojawił się taki sam obraz. Harmider wywołany przez

gospodarza powinien doprowadzić wkrótce do otoczenia budynku przez

żołnierzy. Modlił się w duchu o to, żeby zabójca raczej wziął nogi za pas,

niż chciał ukarać sprawcę swego niepowodzenia.

Nocny Jastrząb zignorował zupełnie krzyki folusznika i zbliżał się

nieubłaganie do Jimmy'ego. Ciął mieczem. Chłopak zrobił unik i zabójca

znalazł się w zasięgu jego ręki. Pchnął sztyletem i poczuł, jak jego ostrze

zagłębia się w prawym ręku Nocnego Jastrzębia. Miecz wypadł mu z

dłoni, potoczył się z brzękiem po dachu i spadł na ulicę. Jęk bólu

przeszył nocne powietrze. Krzyk folusznika zamarł jak nożem uciął.

Rozległ się trzask zamykanych z rozmachem okiennic. Jimmy

zastanawiał się przez moment, co też Trig myślał, gdy tuż nad swoją głową usłyszał przeraźliwy skowyt.

Zabójca, unikając następnego pchnięcia Jimmy'ego, uskoczył w bok i z za pasa wyciągnął swój sztylet. Znowu zbliżał się w milczeniu, trzymając broń w lewej dłoni. Na ulicy rozległy się krzyki i Jimmy z trudem zdusił w sobie chęć zawołania o pomoc. Nie miał specjalnych złudzeń co do swoich możliwości pokonania Nocnego Jastrzębia, nawet jeśli ten walczył tylko lewą ręką. Z drugiej jednak strony niechętnie myślał o konieczności wytłumaczenia się ze swojej obecności na dachu foluszniaka. A poza tym, nawet jeśliby zawołał o pomoc, to zanim straż się pojawi, zanim dostanie się do domu i dotrze na dach, i tak już będzie po wszystkim.

Jimmy cofał się ku krawędzi dachu, aż jego pięty zawisły nad przepaścią. Zabójca podszedł tuż-tuż.

– Już nie masz gdzie uciekać, chłopcze. Jimmy czekał, szykując się do ryzykownego zagrania. Rysy zabójcy stężały, był to znak, którego Jimmy wypatrywał. Jednocześnie przykucnął i cofnął się o krok, pozorując upadek w przepaść ulicy. Zabójca rzucił się w przód, a kiedy jego ostrze nie napotkało spodziewanego oporu ciała chłopca, nie mógł już utrzymać równowagi i poleciał dalej. Spadając Jimmy chwycił się kurczowo krawędzi dachu, a impet upadku niemal wyrwał mu ramiona ze stawów. Wyczuł raczej, niż zobaczył zabójcę przelatującego ponad nim. W absolutnej ciszy spadał w mroku nocy ku czekającej na bruku

ulicy śmierci.

Jimmy wisiał przez moment. Dłonie, ramiona i barki przeszywał palący jak ogień ból. Jakże łatwo i prosto byłoby puścić się i opaść w miękką ciemność. Był śmiertelnie wyczerpany i wszystko go bolało. Przemógł się i przymusił protestujące mięśnie, by wciągnęły go z powrotem na dach. Leżał przez kilka chwil, dysząc ciężko, po czym obrócił się na brzuch i spojrzał w dół.

Zabójca leżał bez ruchu na bruku, a wykrzywiony pod dziwnym kątem kark nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że nie żyje. Jimmy wziął głęboki oddech, dopuszczając w końcu do świadomości lodowate igły strachu. Opanował dreszcze i schował raptownie głowę, kiedy poniżej na ulicy pojawiło się nagle dwóch mężczyzn. Chwycili ciało, obrócili na drugą stronę, dźwignęli i szybko zniknęli w mroku ze swoim ciężarem. Jimmy zaczął rozważać sytuację.

Fakt obecności towarzysza zabójcy świadczył dobitnie, iż było to przedsięwzięcie Cechu Śmierci. Kogo oczekiwano na ulicy o takiej późnej porze? Przez chwilę ważył ryzyko pozostania na miejscu jeszcze przez jakiś czas, by zaspokoić ciekawość, gdy na drugiej szali było nieuniknione przybycie straży miejskiej. Zwyciężyła ciekawość.

We mgle rozległ się stłumiony odgłos kopyt i po chwili dwóch jeźdźców wjechało w krąg światła rzucanego przez latarnię przed domem Triga. W tym właśnie momencie folusznik zdecydował się, by ponownie otworzyć okiennice i podnieść wrzask. Oczy Jimmy'ego rozszerzyły się gwałtownie, kiedy obaj jeźdźcy unieśli głowy w stronę

okna folusznika. Jimmy nie widział jednego z nich od ponad roku, ale dobrze go znał. Pokiwał głową, rozważając w duchu wszystkie implikacje tego, co ujrzał, i po chwili zdecydował, że już najwyższy czas, by opuścić scenę. Wiedział jednak, że ze względu na to, kogo ujrzał na dole, dla niego ta noc nie skończyła się jeszcze. Odwrotnie, wiele wskazywało na to, że zanosi się na bardzo długą noc. Wstał i ruszył Gościńcem Złodziei w powrotną drogę do Meliny Prześmiewców.

Arutha ściągnął wodze i popatrzył w górę, na okno, z którego krzyczał ubrany w nocną koszulę mężczyzna.

– Laurie, co się dzieje?

– Jeśli dobrze rozumiem te wrzaski i żalosne zawodzenia, domyślam się, że mieszczanin ten padł niedawno ofiarą jakiegoś przestępstwa.

Arutha roześmiał się.

– Tyle to sam odgadłem. – Nie znał dobrze Lauriego, ale polubił spryt i poczucie humoru pieśniarza. Wiedział, że między nim a Carline zrodziły się jakieś problemy i dlatego właśnie Laurie poprosił Aruthę, by mógł mu towarzyszyć w podróży do Kronodoru. Carline miała tam przybyć wraz z Anitą i Lyamem za tydzień. Z drugiej strony Arutha już dawno się nauczył, że to, czego Carline nie wyjawiała mu osobiście, na pewno nie było jego sprawą. Ponadto Arutha szczerze współczuł ciężkiemu położeniu Lauriego, jeśli popadł u siostry w niełaskę. Carline była po Anicie ostatnią osobą, z którą Arutha chciałby wejść w konflikt. Arutha rozglądał się po okolicy. Z okien kilku sąsiednich

budynków wychyliły się zaspane twarze. Posypały się okrzyki i pytania.

– No cóż, wygląda na to, że wkrótce ktoś się tym zajmie. Lepiej ruszajmy w drogę.

Jego słowa okazały się prorocze. Arutha i Laurie aż podskoczyli w siodłach, kiedy tuż obok, we mgle rozległ się donośny okrzyk.

– Tutaj!

Z mglistego mroku wyłoniły się trzy postacie w szarych, filcowych czapkach i żółtych kaftanach straży miejskiej. Strażnik, stojący z lewej strony, potężny i z krzaczastymi brwiami, w jednym ręku trzymał latarnię, a w drugim ciężką, dębową łagę. Mężczyzna w środku był już w podeszłych latach i sądząc po wyglądzie, zbliżał się do wieku emerytalnego. Trzeci z kolei był młodym chłopakiem. Po obu widać było jednak doświadczenie i obycie z życiem ulicy, czego dowodem między innymi był sposób, w jaki wspierali dłonie o szerokie skórzane pasy, zza których sterczały rękojeści długich noży. Stali niby od niechcienia i na luzie, lecz widać było, że w każdej chwili są gotowi do działania.

– Co tu się dzieje? – spytał starszy strażnik, a w jego głosie pobrzmiewał zarówno pobłażliwy humor, jak i rozkazujący ton.

– Jakieś zamieszanie w tym domu, strażniku. – Arutha wskazał ręką na budynek foluszніка. – My tylko przejeżdżaliśmy obok.

– Czyżby, panie? No cóż, mam nadzieję, że nie będziecie mieli nic przeciwko temu, aby zostać jeszcze chwilę, póki wszystko się nie wyjaśni? – Dał znak młodemu strażnikowi, aby się rozejrzał.

Arutha kiwnął tylko głową, nic nie mówiąc. W tym momencie z domu wybiegł czerwony jak piwonia właściciel i dysząc ciężko, krzyczał na całe gardło:

– Złodzieje! Zakradli się do pokoju, do m o j e g o pokoju i zabrali skarb! Cóż mamy począć, kiedy przestrzegający prawa obywatel nie może się czuć bezpieczny nawet we własnym łóżku, co? No, pytam was, co? – Spostrzegł obecność Aruthy i Lauriego. – To ci złodzieje? Ci rabusie, bandyci, mordercy...? – Stojąc w obszernej koszuli nocnej na środku ulicy, zebrał w sobie całą godność, na jaką go było stać. – Coście uczynili z moim złotem? Moim kochanym, bezcennym złotem?

Potężny strażnik szarpnął folusznika ostro za ramię, okręcając go prawie dookoła osi.

– Hej, ty! Uważaj, co wygadujesz, prostaku!

– Prostaku! – wrzasnął zaperzony Trig. – A co ci daje prawo nazywania obywatela, miłującego prawo obywatela pro... – przerwał w pół słowa, a na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. Z oparów mgły wyłonił się oddział konnych. Na jego czele jechał wysoki, czarnoskóry mężczyzna w kaftanie kapitana Królewskiej Gwardii Księcia. Widząc zgromadzenie na ulicy, podniósł rękę, zatrzymując oddział. Arutha pokiwał głową z rezygnacją i nachylił się ku Lauriemu.

– No i koniec marzeń o cichym powrocie do Krondoru. Kapitan podjechał do strażników.

– Hej, stróżu prawa, co to za zamieszanie? Strażnik zasalutował.

– To właśnie usiłuję wyjaśnić, kapitanie. Zatrzymaliśmy tych

dwóch... – Wskazał palcem na Aruthę i Lauriego.

Kapitan podjechał jeszcze bliżej i roześmiał się na cały głos.

Strażnik zerknął na kapitana podejrzliwie, nie wiedząc co powiedzieć.

Gardan, były sierżant garnizonu w Crydee, zatrzymał się przed Arutha i zasalutował.

– Witamy w twym mieście, Wasza Wysokość. Słyszac te słowa, pozostali gwardziści błyskawicznie wyprostowali się w siodłach i zasalutowali swemu Księciu. Arutha oddał pozdrowienie wojskowe, po czym podał rękę Gardanowi. Strażnikom miejskim i folusznikowi jakby odjęło nagle mowę.

– Ha, pieśniarzu, miło cię znowu widzieć. – Gardan skłonił się w stronę Lauriego. W odpowiedzi trubadur uśmiechnął się i pomachał ręką. Co prawda, znał Gardana bardzo krótko, zanim Arutha wysłał go do Krondoru, aby objął dowództwo nad strażą miejską i pałacową, lecz zdążył bardzo polubić siwowłosego wiarusa.

Arutha zwrócił się do strażników i folusznika. Strażnicy momentalnie ściągnęli czapki z głów. Najstarszy z nich wystąpił o krok do przodu.

– Uprzejmie proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. Stary Bert nie wiedział. To nie przez brak szacunku, panie.

Arutha pokręcił głową. Mimo późnej godziny i dojmującego zimna był rozbawiony całą sytuacją.

– Nie ma sprawy, strażniku Bercie. Spełnialiście tylko swoje obowiązki, i tak trzeba. – Odwrócił się do Gardana. – Jak, na bogów,

udało ci się mnie znaleźć?

– Księżę Caldric razem z wiadomością o twoim, panie, powrocie z Rillanonu przesłał także szczegółowy plan marszruty. Mieliliśmy się ciebie spodziewać dopiero jutro, ale powiedziałem księciu Volneyowi, że najprawdopodobniej spróbujesz prześlizgnąć się jeszcze dziś w nocy. A ponieważ wiedziałem, że będziesz jechał z Saladoru... jest tylko jedna brama, przez którą mogłeś wjechać do miasta... – Wskazał w kierunku wschodniej bramy, niewidocznej w mroku i mgle.

– No i jesteśmy. Wasza Wysokość przybył nawet wcześniej, niż sądziłem. Gdzie reszta grupy?

– Połowa gwardzistów eskortuje księżniczkę Anitę do majątku jej matki. Reszta obozuje jakieś sześć godzin jazdy od miasta. Nie mógłbym spędzić jeszcze jednej nocy na drodze. A poza tym jest tak wiele do zrobienia. – Gardan zerknął na Księcia z figlarnym błyskiem w oku, ale Arutha powiedział tylko: – Powiem więcej, kiedy zobaczę się z Volneyem. A teraz... – Odwrócił się i spojrzał na Triga. – Kim jest ten głośny jegomość?

– To Trig Folusznik, Wasza Wysokość – odpowiedział najstarszy strażnik. – Twierdzi, że ktoś włamał się do jego pokoju i obrabował go. Obudziły go odgłosy walki na dachu.

Trig wszedł mu w słowo.

– Bili się nad głową, nad samą moją głową... – W miarę jak mówił i zdawał sobie sprawę, przed kim stoi, głos mu powoli zamierał. – Wasza Wysokość – dokończył nagle zawstydzony.

Strażnik o krzaczastych brwiach rzucił mu ostre spojrzenie.

– Mówi, że usłyszał jakiś krzyk, a potem, jak żółw, schował się do środka pokoju.

Trig gwałtownie pokiwał głową.

– Jakby ktoś kogoś mordował... zarzynał z zimną krwią... Wasza Wysokość. To było straszne.

Potężny strażnik, któremu Trig przerwał, szturchnął go łokciem pod żebra.

Z bocznej uliczki wyłonił się młody strażnik.

– To leżało na kupie śmieci po drugiej stronie domu. Bert.

– W wyciągniętej ręce trzymał miecz zabójcy. – Na rękojeści są ślady krwi, ale klinga jest czysta. Na bruku w bocznej alejce jest kałuża krwi, ale ciała nie ma nigdzie.

Arutha dał znak Gardanowi, by ten odebrał miecz. Młody strażnik obserwujący spod oka gwardzistów zauważył już, że to oni objęli komendę, i bez słowa oddał broń, po czym zdjął czapkę.

Księżę wziął miecz z rąk kapitana, obejrzał uważnie i nie zauważywszy nic szczególnego, oddał z powrotem strażnikom.

– Gardan, roześlij swoich ludzi po okolicy. Już późno i tak nie pośpią zbyt wiele.

– A co z kradzieżą? – krzyknął rozpaczliwie folusznik, przerywając ciszę. – To były moje oszczędności... oszczędności całego życia! Jestem zrujnowany! Cóż ja biedny pocznę?

Księżę zawrócił konia i podjechał do strażników. Zwrócił się do

Triga.

– Przyjmij wyrazy ubolewania i współczucia, dobry człowieku.

Bądź pewien, że straż miejska uczyni wszystko, co w jej mocy, aby odzyskać twoje dobra.

– A teraz – włączył się do rozmowy Bert – sugeruję, panie, abys na resztkę nocy powrócił do domu. Rankiem będziesz mógł wnieść oficjalną skargę u dyżurnego sierżanta. Będziesz musiał podać dokładny opis tego, co ci skradziono.

– Co mi skradziono? Złoto, człowieku, złoto! Ot, co mi skradziono. Wszystkie moje oszczędności.

– Złoto? Ach... w takim razie – powiedział Bert z przekonaniem wynikającym z doświadczenia – sugeruję, abys poszedł teraz spać, a od jutra rana zabrał się skrzętnie za odbudowywanie twego skarbu, bo jest równie pewne jak to, że w tej chwili jest mgła w Krondorze, iż nie zobaczysz nigdy ani jednej monety. Nie trap się tym jednak, dobry panie, zbyt mocno. Jesteś człowiekiem, który ma do swojej dyspozycji wiele środków, a złoto szybko się gromadzi wokół ludzi o twojej pozycji, przedsiębiorczych i sprytnych.

Arutha nieomal parsknął śmiechem, bo mimo osobistej tragedii folusznika, człowieczek stojący na środku ulicy w długiej koszuli nocnej i szlafmycy, której spiczasty koniec opadał mu nieustannie na nos, przedstawiał wielce komiczny widok.

– Mój dobry foluszniku, postaram się wynagrodzić ci po części poniesione straty. – Wyciągnął zza pasa sztylet i podał Bertowi. – Na tej

broni jest znak herbowy mego rodu. Istnieją tylko dwa inne, identyczne, a noszą je moi bracia, Król i Księżę Crydee. Zwrócisz ten sztylet jutro do pałacu, a w zamian dostaniesz sakiewkę złota. Nie chcę mieć nieszczęśliwych foluszników w Krondorze w dniu mojego powrotu. A teraz życzę wszystkim dobrej nocy. – Arutha spiął konia ostrogami i ruszył na czele oddziału w kierunku pałacu.

Gdy Arutha i jego gwardziści zniknęli w mroku, Bert podszedł do Triga.

– Oto i szczęśliwy koniec tej nieprzyjemnej historii, panie – powiedział, podając folusznikowi sztylet Księcia. – A do tego dochodzi miła sercu świadomość, że jesteś pan jednym z nielicznych ludzi niskiego urodzenia, którzy mogą śmiało stwierdzić, że rozmawiali z księciem Krondoru... chociaż w dość dziwnych i trudnych okolicznościach. – Odwrócił się do swoich ludzi. – Dobra, czas wracać na obchód. Jestem pewien, że takie miasto jak Krondor jest w stanie dostarczyć w ciągu takiej nocy jak dzisiejsza nieco więcej rozrywki niż to jedno wydarzenie. – Dał znak i ruszył na czele swojego oddziałku w głąb ulicy, by po chwili zniknąć w mlecznobiałym mroku.

Trig stał samotnie na środku ulicy. Po chwili oblicze rozjaśniło mu się jak księżyc w pełni. Spojrzał w górę na wyglądającą przez okno żonę, a potem powiódł wzrokiem po ciekawskich twarzach sąsiadów.

– Ha! Rozmawiałem osobiście z Księciem! – krzyknął.

– Ja, Trig Folusznik, rozmawiałem z Księciem! – Iz sercem wypełnionym po brzegi błogim uczuciem podreptał do ciepłutkiego

wnętrza domu, ściskając w dłoni sztylet Aruthy.

Jimmy przeciskał się przez najwęższy tunel. Przejście, w którym się obecnie znajdował, stanowiło część podziemnego labiryntu kanałów ściekowych i innych konstrukcji obecnych w tej części miasta i nie było ani jednego centymetra bieżącego podziemnych przejść, który nie byłby kontrolowany przez Prześmiewców. Chłopak przeszedł koło śmieciarza żyjącego z tego, co udało mu się znaleźć w kanałach. Za pomocą długiego kija zatrzymywał dryfujące na powierzchni wody odpadki, a następnie grzebał w nich, szukając zagubionej monety czy czegoś innego, co nadawałoby się do użycia. W rzeczywistości był czujką i wartownikiem. Jimmy machnął do niego ręką, przemknął pochyłony pod nisko zwieszającą się belką, zapewne stropową z jakiejś zawalonej i opuszczonej piwnicy, i po chwili znalazł się w sporej podziemnej hali, gdzie zbiegało się kilka tuneli. Był w samym sercu cechu złodziei, w Melinie Prześmiewców.

Wyjął swój rapier ze specjalnej szafki na broń. Rozejrzał się, szukając spokojnego kąta, gdzie mógłby usiąść i zastanowić się nad rozdzierającym go wewnętrznym konfliktem. Logika podpowiadała, że powinien przyznać się do splądrowania mieszkania folusznika, podzielić łupem i przyjąć z pokorą karę, jaką zdecyduje się wymierzyć mu Mistrz Nocy. Najdalej jutro po południu cech i tak się dowie, że folusznik został obrabowany. Kiedy stanie się jasne, że nie maczał w tym palców żaden złodziej pracujący na własną rękę poza cechem, podejrzenie zostanie skierowane na Jimmy'ego i kilku innych, znanych

z tego, że co jakiś czas wypuszczali się bez pozwolenia na nocną eskapadę. Kara, jaką wtedy otrzyma, będzie dwakroć bardziej surowa niż ta, którą otrzymaliby, gdyby się teraz przyznał. Z drugiej jednak strony, skoro wiedział, że celem nocnego zabójcy był nie kto inny tylko sam książę Krondoru, Jimmy nie mógł myśleć tylko o własnych interesach. Kiedy Prześmiewcy ukrywali Aruthę i księżniczkę Anitę przed ludźmi Bas-Tyry, chłopak spędził z młodym Księciem wystarczająco dużo czasu, by go szczerze polubić. To przecież od Aruthy dostał rapier, który teraz wisiał przy jego pasie. Nie, Jimmy nie mógł zignorować obecności zabójcy, lecz z drugiej strony był w stanie się zdecydować, co będzie dla niego najlepsze w tej sytuacji.

Po długim medytowaniu w ciszy Jimmy w końcu podjął decyzję.

Przede wszystkim spróbuje ostrzec Księcia, a następnie sprawi, by informacja o zabójcy dotarła do Szybkiego Alvarny'ego, Mistrza Dnia. Alvarny był jego przyjacielem i pozwalał mu na nieco więcej swobody niż Gaspar daVey, Mistrz Nocy. Alvarny z pewnością nie doniesie Sprawiedliwemu o ociąganiu się chłopaka z przekazaniem wiadomości, pod warunkiem że Jimmy nie będzie zwlekał zbyt długo. A to oznaczało, że powinien jak najszybciej dotrzeć do Aruthy, a potem błyskawicznie wrócić i porozmawiać z Mistrzem Dnia – najpóźniej przed jutrzejszym zachodem słońca. Po przekroczeniu tego terminu nawet Alvarny nie będzie mógł udawać, że patrzył akurat w inną stronę. Alvarny, którego żywot zbliżał się do końca, był bardziej pobłażliwy i skory do przebaczenia, lecz nie można było zapominać, że to Prześmiewca. Nie

pozwoła nigdy na jawny brak lojalności wobec cechu.

– Jimmy!

Chłopak poderwał głowę. W jego kierunku zmierzał Złocisty Dase.

Chociaż jeszcze młody, uwodzicielsko wyglądający złodziej miał już

nielichą wprawę w oddzielaniu starszych, bogatych kobiet od ich

bogactw. Dase bardziej polegał na pięknych, jasnych włosach i

czarującej twarzy niż na sprycie i przebiegłości w działaniu. Podszedł

do Jimmy'ego i okręcił się na pięcie, demonstrując z dumą wspaniałe

ubranie, które miał na sobie.

– No i co ty na to?

Jimmy pokiwał głową z aprobatą.

– Zabrałeś się do rabowania krawców? Złocisty zamierzył się

żartobliwie na Jimmy'ego, który uchylił się z łatwością. Dase usiadł

koło niego.

– Nie, ty bękarcie podwórzowego kocura i ulicznej kotki. Nie

rabuję krawców. Mój obecny „dobroczyńca” to wdowa po słynnym

Mistrzu Piwowarskim Fallonie. – Jimmy słyszał o Fallonie. Różne

gatunki jego piw były tak wysoko cenione, że nawet dostąpiły zaszczytu

obecności na stole zmarłego księcia Erlanda. – Z uwagi na wielkie

zasługi jej zmarłego męża i jej własne szerokie powiązania, otrzymała

zaproszenie na przyjęcie.

– Przyjęcie? – Jimmy dobrze wiedział, że Dase miał w zanadrzu

jakąś smakowitą plotkę, którą chciał wyjawic w kunsztownie wybranej

przez siebie chwili.

– Ach, czyżbym nie wspomniał o ślubie? Jimmy wzniosł oczy ku górze z rezygnacją i ciągnął dalej, udając głupiego.

– O jakim ślubie, złociutki?

– Jak to? Nie wiesz? O królewskim ślubie oczywiście, głupku.

Będziemy co prawda siedzieli w pewnym oddaleniu od Króla, ale nie będzie to stół gdzieś na szarym końcu.

Jimmy wyprostował się raptownie.

– Król? W Krondorze!?

– Oczywiście.

Jimmy chwycił mocno Dase'a za ramię.

– Zaczynaj od samego początku. Szczercząc zęby w uśmiechu, przystojny, lecz niezbyt spostrzegawczy oszust zaczął swoją opowieść.

– Nie kto inny, a sam główny zaopatrzeniowiec z pałacu, człowiek, którego wdowa Fallon zna od siedemnastu lat, poinformował ją, że za miesiąc będą potrzebne zwiększone dostawy na, i w tym miejscu cytuję: „królewski ślub”. Można chyba bezpiecznie założyć, że Król będzie obecny na swym własnym ślubie, no nie?

Jimmy pokręcił przecząco głową.

– Nie, ty prostaku. To nie ślub Króla, ale Aruthy i Anity.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Król żeni się w Rillanonie. Księżę żeni się w Krondorze. Złocisty pokiwał powoli głową potwierdzając, że to, co mówi Jimmy, ma sens.

– Ukrywałem się przecież z Aruthą i Anitą. Ich ślub był tylko kwestią czasu. I dlatego wrócił, to jasne.

W umyśle Jimmy'ego rozprętała się istna burza. Do miasta zjedzie na ślub nie tylko Lyam, ale również wszyscy co bardziej znaczący wielmoże z Zachodu, a i niemała liczba ze Wschodu. A jeśli Dase wiedział już o ślubie, to wiedziała o nim także połowa mieszkańców Krondoru, a druga połowa dowie się o tym przed następnym zachodem słońca.

Zamyślenie Jimmy'ego zostało przerwane nadejściem, Śmiejącego się Jacka, Nocnego Wartownika, porucznika wyższej rangi przy Mistrzu Nocy.

– Wyglądasz, chłopcze, jakby ci coś leżało na sercu, nie myślę się, co?

Jimmy nie lubił Śmiejącego się Jacka. Był to człowiek zimny i surowy. Często nawiedzały go napady wściekłości i lubował się w niepotrzebnym okrucieństwie. Jediną przyczyną, dla której zaszedł tak wysoko w hierarchii cechu, było to, że potrafił utrzymać w ryzach różnych zabijaków i co bardziej krewkich jego członków. Awersji Jimmy'ego dorównywała niechęć Jacka do chłopaka, ponieważ to Jimmy właśnie dodał przydomek „Śmiejący się” do jego imienia. Od lat, odkąd Jack został członkiem cechu, nikt nie pamiętał, aby Jack roześmiał się chociaż raz.

– Eee... nie.

– Słyszałem, że dziś w nocy było jakieś zamieszanie koło wschodniej bramy. Nie kręciłeś się tam przypadkiem?

Jimmy zachował obojętny wyraz twarzy i spojrzął na Dase'a,

jakby Jack skierował pytanie do nich obu. Złocisty potrząsnął przecząco głową. Jimmy zastanawiał się, czy Jack już wie o Nocnym Jastrzębiu. Jeśli tak i jeśli ktoś zauważył przypadkiem Jimmy'ego w tamtej okolicy, wiedział, że nie ma co liczyć na litość. Ale przecież, zastanawiał się dalej, jeśli Jack miałby w ręku jakiś dowód, nie pytałby, ale otwarcie go oskarżył. Jimmy wzruszył ramionami.

– Co, znowu jakaś pijacka burda? Nic o tym nie wiem, spałem przez prawie całą noc.

– A to dobrze, bo będziesz wyspany i świeżutki. – Krótkim ruchem głowy dał znak, by Dase zostawił ich samych.

– Mamy robotę dziś w nocy.

– Dziś? – spytał Jimmy zastanawiając się, która może być godzina.

– Specjalne zadanie. Od Niego – powiedział Jack, wskazując pośrednio na Sprawiedliwego. – Do pałacu zjechała już królewska grupa. Dziś w nocy przywieziono całe stosy prezentów ślubnych.

Najpóźniej jutro w południe przetransportują je do pałacu, a więc teraz mamy ostatnią szansę, aby się tym zająć. Szansę jedną na kilkadziesiąt lat. – Ton głosu Jacka nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości, że nie prosi Jimmy'ego o przybycie, lecz go żąda.

– Kiedy i gdzie? – spytał z rezygnacją.

– Za godzinę przy dużym magazynie, o przecznicy od Gospody pod Krabem, blisko nabrzeża.

Jimmy znalazł to miejsce. Kiwnął głową, wstał i bez słowa zostawił

Jacka. Ruszył schodami wiodącymi w górę, na ulicę. Nie było wyjścia, sprawa zabójców i spisków będzie musiała poczekać kilka godzin.

Krondor nadal spowijały duszące opary mgły. Jimmy przemykał ukradkiem pośród ogromnych stosów towarów o zbyt niskiej wartości, by ponosić dodatkowe koszty składowania pod dachem, a przez to zupełnie bezpiecznych przed kradzieżą. Bele bawełny, wysyłana w świat pasza dla zwierząt i stopy drewna tworzyły uniemożliwiający orientację labirynt, przez który Jimmy chyłkiem przebiegał. Wypatrzył kilku stróżów portowych, lecz wilgotna noc i sowite łapówki sprawiły, że nie oddalali się za bardzo od swojej szopy, gdzie w żeliwnym piecyku płonął jasny, rozświetlający ponury mrok ogień. Nic, może poza gwałtownymi zamieszkami w mieście, nie byłoby w stanie odciągnąć ich od ciepła i światła. Zanim ślepi i głusi na wszystko strażnicy ruszą się z miejsca, po Prześmiewcach nie będzie już nawet śladu.

Jimmy dotarł do umówionego miejsca spotkania i rozejrzał się wokół. Nikogo. Usadowił się wygodnie, aby poczekać. Jak to było w jego zwyczaju, pojawił się na miejscu dużo wcześniej, ponieważ lubił przygotować się w duchu i uspokoić przed akcją. Dzisiaj był jeszcze dodatkowy powód. W poleceniu Śmiejącego się Jacka było coś, co nie dawało mu spokoju. Przedsięwzięcie tak duże i ważne jak dzisiejsze bardzo rzadko pojawiała się w ostatniej chwili, tak ni stąd, ni zowąd. Jeszcze rzadziej Sprawiedliwy decydował się na krok, który mógł spowodować gniew samego Księcia, a splądrowanie darów na ślub w królewskiej rodzinie jak amen w pacierzu ściągnie na ich głowy gniew

Aruthy. Jednak z drugiej strony Jimmy, nie zawędrował na tyle wysoko w hierarchii cechu, aby orientować się, czy wszystko idzie gładko. Musi po prostu czekać i zachować czujność.

Leciutki szmer zbliżających się kroków. Jimmy zebrał się w sobie.

Ktokolwiek nadchodził, poruszał się, jak można było oczekiwać, bardzo ostrożnie i powoli, jednakże odgłosom cichutkich stąpień towarzyszył jakiś dziwny dźwięk. Delikatne, metaliczne klekotanie i trzeszczenie drewna. W tej samej sekundzie, kiedy zrozumiał, co było źródłem hałasu, Jimmy rzucił się szczupakiem w bok. Głuchy huk i deszcz rozpryskujących się na wszystkie strony kawałków drewna. Bok skrzyni, przy której chłopak stał przed chwilą, przebił na wylot pocisk z kuszy.

Nie zdążył jeszcze ochłonąć, a już z szarego mroku mglistej nocy

wyłoniły się ciemne zarysy dwóch pędzących w jego kierunku postaci.

Śmiejący się Jack rzucił się bez słowa na Jimmy'ego z

wyciągniętym mieczem, podczas gdy jego towarzysz kręcił jak szalony

korbą, napinając cięciwę i szykując się do następnego strzału. Jimmy

wyciągnął broń i nieomal w ostatniej chwili odparował sztyletem cios z

góry, by w następnym ułamku sekundy samemu zaatakować długim

pchnięciem rapiera. Jack odskoczył w bok i po chwili obaj przeciwnicy

odsunęli się nieco od siebie.

– No, nareszcie zobaczymy, czy potrafisz posługiwać się tą swoją

wykałaczką, ty zasmarkany gówniarzu – wycedził Jack przez zęby. –

Może, kiedy zobaczę, jak zalewasz się krwią, rzeczywiście się

roześmieję, kto wie?

Odpowiedzią Jimmy'ego był zadany zniechęcający cios rapierem i pchnięcia, które zepchnęły Jacka w tył. Chłopak nie miał złudzeń, że jest lepszym szermierzem niż Jack.

I jeden, i drugi czekali na dogodną okazję, by definitywnie zakończyć pojedynek. Jackowi udało się ciąć Jimmy'ego ostrzem miecza, zadając ranę bolesną i osłabiającą, lecz nie śmiertelną... Przez brzuch przechodziły fale mdłości spowodowane bólem. Jack wykorzystywał słabość chłopaka i napierał cały czas.

Nagły okrzyk ostrzegający, by Jack odskoczył w bok, powiedział Jimmy'emu, że drugi napastnik załadował już kuszę do powtórnego strzału. Chłopak zaczął krążyć nieustannie, starając się mieć Jacka pomiędzy sobą a jego kompanem. Nagle Jack ciął szeroko, odrzucając go w tył, po czym jednym, płynnym ruchem skoczył do przodu i ciął straszliwie z góry. Siła uderzenia rzuciła Jimmy'ego na kolana.

Niespodziewanie Jack odskoczył w tył, jakby jakaś gigantyczna ręka chwyciła go za kołnierz i szarpnęła. Rąbnął plecami w ogromną skrzynię. Jimmy spostrzegł, że w miejscu, gdzie była przed chwilą pierś Jacka, rozlewała się teraz krwawa miazga – ślad po przejściu kolejnego pocisku z kuszy. Jack osunął się bezgłośnie, lecz nie opadł na ziemię. Był przyszpilony strzałą do skrzyni. Jimmy zerwał się na równe nogi i stanął twarzą w twarz z nie znanym mu towarzyszem Jacka, który wyrwał zza pasa miecz i rzucił się na Jimmy'ego. Zamachnął się raptownie, mierząc w głowę chłopaka. Zachwiał się jednak i w tym

momencie Jimmy cisnął w niego sztyletem, trafiając w bok. Na twarzy nieznanego napastnika zagościł nagle wyraz nieopisanego zdumienia, kiedy chłopak podniósł się zwinnie na jedno kolano i przeszył go na wylot rapierem.

Obcy zwałił się na ziemię. Jimmy w ostatniej chwili zdołał wyrwać z ciała ostrze rapiera. Nachylił się i wyciągnął tkwiący w boku sztylet, po czym wytarł broń z krwi i schował na miejsce. Obejrzał uważnie swoje rany. Stwierdził, że krwawi trochę, ale przeżyje.

Walcząc z narastającymi mdłościami, podszedł do wiszącego na skrzyni Jacka. Przypatrując się uważnie Nocnemu Wartownikowi, usiłował zebrać rozbiegane myśli. Zgadza się, że on i Śmiejący się Jack nigdy nie przepadali za sobą, ale po co ta maskarada i skomplikowana pułapka? Zastanawiał się, czy to wszystko nie jest jakoś powiązane ze sprawą zabójcy na dachu i Księcia. Tak, będzie musiał to gruntownie przemyśleć, kiedy już porozmawia z Księciem, bo jeśli bezpośredni związek między jednym i drugim wydarzeniem istniał rzeczywiście, oznaczało to dla Prześmiewców, że nadciągają czarne chmury.

Możliwość zdrady kogoś tak wysoko stojącego w hierarchii jak Śmiejący się Jack, wstrząsnie posiadami cechu.

Jimmy, który nigdy nie tracił głowy, uwolnił sprawnie Jacka i jego kompana od zbytecznego dla nich ciężaru sakiewek, zajrzał do środka i stwierdził, że są zadowolająco pełne. Kiedy kończył obszukiwać trupa nieznanego napastnika, odkrył nagle, że coś wisi na jego szyi.

Sięgnął i pociągnął, wydobywając na wierzch złoty łańcuszek z przyczepionym do niego hebanowym jastrzębiem. Oglądał go uważnie przez chwilę, po czym wetknął ostrożnie za pazuchę. Obrzucił spojrzeniem najbliższą okolicę i znalazł to, czego szukał – dobre miejsce dla ukrycia zwłok. Oderwał ciało Jacka od skrzyni i zaciągnął w ciemny kąt utworzony przez stojące blisko siebie skrzynie. To samo zrobił z drugim napastnikiem. Cisnął na trupy kilka ciężkich worków. Przyciągnął kilka częściowo połamanych skrzyń, odwrócił całą stronę na zewnątrz i zasłonił stos. Minie kilka dni, zanim ktoś odkryje ciała. Nie zważając na dojmujący ból w boku i zmęczenie, przez kilka chwil rozglądał się czujnie dookoła sprawdzając, czy nie został przez kogoś zauważony, po czym zniknął jak duch w oparach szaroburej mgły.

SPISKI

Arutha zaatakował z furją.

Laurie pokrzykiwał głośno, mobilizując Gardana do większego wysiłku, kiedy ten był spychany bez przerwy do tyłu w pojedynku z Księciem. Trubadur skwapliwie scedował na Gardana honor pierwszej walki, ponieważ w czasie całej podróży z Saladoru do Krondoru był każdego ranka pierwszym i jedynym zarazem partnerem Aruthy.

Chociaż codzienne ćwiczenia szermiercze wyostrzyły jego zaniedbane nieco pałacowym życiem umiejętności fechtunku, to jednak znudziło mu się ciągle przegrywanie w walce z szybkim jak błyskawica Księciem.

Dzisiejszego ranka przynajmniej będzie miał z kim podzielić swoją porażkę. Chociaż trzeba było przyznać, że stary wyjadacz Gardan miał w zanadrzu jedno czy dwa sprytne posunięcia, bo oto niespodziewanie Arutha cofał się właśnie przed nacierającym kapitanem. Laurie aż krzyknął z radości, kiedy dotarło do niego, że Gardan po prostu usypiał czujność Księcia, dając mu fałszywe poczucie przewagi. Po paru chwilach jednak wszystko wróciło do normy. Nastąpiła gwałtowna wymiana ciosów i Książę znowu był w ofensywie, a chwilę później Gardan miał dosyć.

– Przerwa!

Kapitan, chichocząc radośnie, cofnął się o parę kroków.

– Przez całe życie tylko trzech ludzi było w stanie pokonać mnie w walce na białą broń, Wasza Wysokość. Mistrz Miecza Fannon, ojciec

Waszej Wysokości, a teraz ty sam, Książę.

– Trójka godna najwyższego szacunku – wtrącił Laurie. Arutha już miał zaprosić śpiewaka do walki, kiedy coś przykuło jego uwagę.

W rogu pałacowego pola ćwiczeń rosło wysokie drzewo. Jego gałęzie zwieszały się po obu stronach muru oddzielającego tereny pałacu od miasta. Wzdłuż ogrodzenia prowadziła wąska uliczka. W konarach drzewa coś się poruszało. Arutha wskazał ręką. Jeden z gwardzistów pałacowych, którego uwagę zwróciło spojrzenie Księcia, już szedł w tamtą stronę.

Niespodziewanie ktoś zeskoczył lekko na ziemię spomiędzy gałęzi.

Arutha, Laurie i Gardan stanęli gotowi do walki. Po chwili spostrzegli, że był to młody chłopak. Gwardzista chwycił go mocno za ramię i zaczął prowadzić w stronę Księcia.

Kiedy się nieco zbliżyli, oczy Aruthy rozbłysły, bo rozpoznał rysy młodzieńca.

– Jimmy?!

Jimmy skłonił się, krzywiąc jednocześnie z bólu. Byle jak opatrzona rana, którą sam rano zabandażował, doskwierała mocno.

– Czy Wasza Wysokość zna tego chłopaka? – spytał Gardan.

Arutha skinął głową.

– Tak. Jest trochę starszy i podrośł nieco, ale tego łobuza wszędzie rozpoznam. To Jimmy Rączka, mimo młodego wieku człowiek-legenda pośród bandytów i złodziejaszków w mieście. To on właśnie pomógł mnie i Anicie uciec z Krondoru. Laurie przyglądał się z uwagą

chłopakowi, po czym roześmiał się.

– Nie widziałem go wyraźnie, bo w magazynie, z którego

*Prześmiwcy zabrali mnie i Kasumiego, było ciemno jak w grobie, ale
klnę się, że to ten sam chłopak. „U Mamuśki wielkie przyjęcie”.*

Jimmy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– „I wszyscy będą się świetnie bawili”.

– Cóż to? Wy też się znacie?

*– Pamiętasz, opowiadałem ci, że gdy z Kasumim przywiozłem od
cesarza Tsuranich królowi Rodricowi propozycję zawarcia pokoju, był
tam taki chłopak, który zaprowadził nas z magazynu do bramy miasta,
a potem odciągnął wartowników, dając możliwość ucieczki. To ten sam
chłopak, chociaż nigdy nie poznałem jego imienia.*

Arutha schował miecz, a reszta poszła za jego przykładem.

*– No cóż, Jimmy, chociaż cieszę się bardzo, że cię znowu widzę,
pozostaje jednak sprawa przelazenia przez mur do mego pałacu.*

Jimmy wzruszył ramionami.

*– Sądziłem, Książę, że być może zechcesz się zobaczyć ze starym
znajomym, ale miałem wątpliwości, czy uda mi się przekonać kapitana
gwardii, aby raczył cię powiadomić.*

*Gardanowi spodobała się śmiała odpowiedź. Parsknął śmiechem i
polecił gwardziście, aby puścił ramię Jimmy'ego.*

*– I zapewne masz rację, Jimmy Obdartusie. Jimmy uświadomił
sobie nagle, że dla ludzi przyzwyczajonych do dobrze ubranych i
wychowanych mieszkańców pałacu musiał przedstawiać żaloszny*

widok. Od byle jak podciętych i rozczochranych włosów aż po brudne i bose stopy musiał wyglądać jak klasyczny żebrak. W oczach Gardana spostrzegł iskierkę humoru.

– Gardan, nie daj się zwieść jego wyglądowi. Potrafi o wiele więcej, niż wskazywałyby na to jego lata. – Zwrócił się do Jimmy'ego. – Wejście na teren pałacu w ten sposób to policzek dla wartowników Gardana. Spodziewam się, że miałeś bardzo konkretny powód, aby się ze mną zobaczyć?

– Tak, Wasza Wysokość. Sprawa jest bardzo ważna i nie cierpiąca zwłoki.

Arutha skinął głową.

– Zatem słucham. Cóż to za ważna sprawa?

– Ktoś wyznaczył cenę za twoją głowę, Książę. Gardan poderwał głowę. Patrzył na chłopaka wybaluszonymi oczami.

– Jak to... co...? – wyjąkał Laurie.

– Co... co cię skłoniło, aby dojść do tego wniosku? – spytał ostrożnie Arutha.

– Ponieważ ktoś już próbował zainkasować forszę.

Poza Arutha, Lauriem i Gardanem jeszcze dwie osoby przysłuchiwały się relacji chłopca w książęcej komnacie narad. Jednym z nich był książę Volney z Landreth, który uprzednio pełnił funkcję asystenta księcia Dulanica, książęcego kanclerza i księcia Krondoru, który zniknął w czasach, gdy wicekrólem był Guy du Bas-Tyra. Na prośbę Gardana u boku Volneya siedział ojciec Nathan. Kapłan Białej

Sung – bogini Jednej Drogi, który kiedyś był jednym z głównych doradców księcia Erlanda. Arutha co prawda nie znał ani jednego, ani drugiego, lecz w ciągu kilku miesięcy jego nieobecności Gardan nauczył się cenić i ufać ich osądom, a jego opinia znaczyła dla Aruthy bardzo wiele. W zasadzie w czasie nieobecności Księcia Gardan pełnił obowiązki wojskowego dowódcy Kronodoru, podobnie jak Volney pełnił obowiązki kanclerskie.

Obaj mężczyźni byli wysocy i potężnie zbudowani, chociaż była między nimi zasadnicza różnica. Volney wyglądał na człowieka, który nigdy nie pracował fizycznie, był po prostu zwalisty i wysoki. Nathan odwrotnie – wyglądał na zapaśnika, który dopiero ostatnio zaczął przybierać na wadze. Pod spokojem i opanowaniem czaiła się jeszcze wielka moc. Żaden nie zabrał głosu, dopóki Jimmy nie skończył opowiadać o dwóch walkach stoczonych minionej nocy.

Volney pilnie przyglądał się złodziejaszce spod krzaczastych, kunsztownie uczesanych brwi.

– Czysta fantazja. Nie, to niemożliwe. Taki spisek po prostu nie może istnieć!

Arutha oparł łokcie o stół, złączył dłonie na wysokości twarzy i nerwowo przebierał palcami.

– Nie byłbym pierwszym księciem, Volney, który stał się celem zamachowca. – Spojrzał na Gardana. – Podwoić strażę. Natychmiast, ale po cichu i spokojnie, bez podawania przyczyny. Nie chcę, aby po pałacu zaczęły krążyć plotki. Za dwa tygodnie w tych murach będziemy

gościli wszystkich wielkich naszego kraju, że nie wspomnę już o mym bracie.

– A może powinienes, Księżę, ostrzec Jego Wysokość? –

zasugerował Volney.

– Nie – odpowiedział krótko Arutha. – Lyam będzie przecież

podróżował w asyście całej Gwardii Królewskiej. Wyślijcie oddział lansjerów Krondorskich. Niech czekają na króla przy Krzyżu Malaka, ale ani pary z gęby, że to coś więcej niż formalna kompania honorowa. Jeśli stu żołnierzy nie będzie w stanie go ochronić w czasie podróży, to już nikt go nie ochroni. Nie, nasz problem jest tutaj, w Krondorze. No tak, nie mamy właściwie innego wyboru...

– Hm, nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem Waszą

Wysokość... – powiedział niepewnie ojciec Nathan.

Laurie wzniosł oczy ku niebu, a Jimmy wyszczerzył zęby w uśmiechu. Arutha uśmiechnął się ponuro.

– Myślę, że nasi dwaj dobrze zorientowani w sprawach ulicy

towarzysze rozumieją i wiedzą, co trzeba zrobić. – Zwrócił się ku

Lauriemu i Jimmy'emu. – Musimy schwytać Nocnego Jastrzębia.

Arutha siedział w milczeniu, podczas gdy Volney spacerował po

sali jadalnej. Laurie, który doświadczył w swoim życiu wystarczająco

wiele głodu, by wcinać, gdy tylko nadarza się okazja, jadł spokojnie,

kiedy zwałisty pan Landreth nieustannie przemierzał salę od ściany do

ściany. Kiedy Volney miał zacząć kolejną rundę, obserwujący go spod

oka Arutha nie wytrzymał.

– Mój drogi Książę, czy musisz tak krążyć w kółko? – spytał

znużonym głosem.

Volney, pogrążony bez reszty we własnych myślach, zatrzymał się raptownie, zaskoczony uwagą Księcia. Skłonił się lekko przed Arutha, lecz na jego twarzy malowało się wyraźne rozdrażnienie.

– Przepraszam, że zakłóciłem spokój Waszej Wysokości... –

powiedział, chociaż ton jego głosu dobitnie świadczył, że nie jest mu ani za grosz przykro. Laurie uśmiechnął się szelmowsko z nad potężnego kawałka wołowiny. – Zaufanie temu złodziejowi to jednak czysty idiotyzm.

Oczy Aruthy zrobiły się okrągłe jak spodki. Spojrzał w kierunku Lauriego, w którego wzroku malowało się równie wielkie zdumienie. Trubadur zwrócił się do Volneya.

– Mój drogi panie, nie powinieneś być aż tak ostrożny. Nie ma co owijać w bawełnę. Powiedz Księciu jasno, co ci leży na sercu. Mów śmiało!

Volney zaczerwienił się po uszy, gdy zdał sobie sprawę ze swojej gafy.

– Proszę o wybaczenie, ja... – Wyglądał na prawdziwie zawstydzonego.

Na twarzy Aruthy pojawił się charakterystyczny, krzywy półuśmieszek.

– Wybaczam ci, lecz tylko złe maniery, Volney. – Książę w milczeniu przyglądał się przez dłuższą chwilę twarzy Volneya. – Twoja

szczerłość i otwartość są jak świeży powiew wiatru... wnoszą pewną odmianę. Mów dalej.

Volney spojrzał na niego twardym wzrokiem.

– Wasza Wysokość, mamy wszelkie podstawy, by podejrzewać, że ten chłopak ma udział w jakichś zakulisowych poczynaniach. Celem ich jest porwanie lub zgładzenie ciebie. On zaś twierdzi, że ich autorami są inni, nie znani mu ludzie.

– No dobrze, co więc według ciebie powinienem zrobić w tej sytuacji?

Volney zatrzymał się i pokręcił powoli głową.

– Nie wiem. Wasza Wysokość. Ale wysyłanie samego chłopaka na przeszpiegi jest... nie wiem.

– Laurie, wytłumacz memu przyjacielowi i doradcy, że wszystko jest w porządku.

Trubadur pociągnął głośno potężny łyk doskonałego wina.

– Wszystko jest w porządku, panie – powiedział. A kiedy Arutha rzucił w jego stronę ponure spojrzenie, dodał szybko:

– Wierz mi, panie, że robimy wszystko, co tylko można zrobić w tej sytuacji. Poznałem życie miejskie od podszewki. Znam się na różnych jego odcieniach prawie tak dobrze, jak ludzie Sprawiedliwego. Jimmy należy do Prześmiewców. Może odnaleźć właściwy trop tam, gdzie całe zastępy szpiegów nic nie wskórają. Trop, który zaprowadzi nas do Nocnych Jastrzębi.

– Nie zapominaj – dorzucił Arutha – że na mojej drodze stanął

kiedys kapitan tajnej policji Guya, Małpa Radburn. Był to przebiegły i bezwzględny człowiek, gotów zrobić wszystko, by tylko pochwycić Anitę. I kto w końcu wygrał partię? Prześmiewcy.

Volney przygarbił się nieco, po czym gestem ręki poprosił Księcia o pozwolenie, by usiąść. Arutha wskazał krzesło.

– No tak, być może masz rację, pieśniarzu. Moje rozdrażnienie wynika po prostu z tego, że nie mam środków, by stawić czoło zagrożeniu. Sama myśl o biegających na wolności zamachowcach sprawia, że ciarki chodzą mi po plecach.

Arutha oparł łokcie na stole.

– A co ja mam powiedzieć? Nie zapominaj, Volney, że najprawdopodobniej to ja właśnie byłem celem zabójcy. Laurie pokiwał głową.

– Zgadza się. Przecież wykluczone, aby to na mnie polowali.

– A może jakiś miłośnik prawdziwej sztuki muzycznej?

– rzucił sucho Arutha. Volney westchnął ciężko.

– Proszę o wybaczenie. Książę. Nie potrafię sobie poradzić z tym problemem. Już nie raz, nie dwa chciałem rzucić całe to zarządzanie księstwem...

– Nonsens, Volney – przerwał mu Arutha. – Wykonałeś tu kawał wspaniałej roboty. Kiedy Lyam nalegał, bym towarzyszył mu w objęździe Wschodu, sprzeciwiałem się argumentując, że Zachodnie Ziemie mogą ucierpieć pod jakąś inną niż moja ręką. Sądziłem tak, patrząc na oplakane skutki rządów Bas-Tyry, a także dlatego, że nie

znałem ani ciebie, ani twoich możliwości. Z radością stwierdzam, że obawy były nieuzasadnione. Wątpię, czy znalazłbym kogoś innego, kto potrafiłby równie sprawnie jak ty zarządzać codziennymi sprawami, Księżę.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. – Komplement nieco uspokoił wzburzonego Volneya.

– A w ogóle to i tak miałem zamiar prosić cię, byś został z nami, Po tajemniczym zniknięciu Dulanica pozostaje nie obsadzona funkcja księcia miasta Krondor. Jeszcze przez dwa lata Lyam nie może oficjalnie ogłosić, że na stanowisku tym jest wakat, nie plamiąc jednocześnie w jakiś sposób pamięci Dulanica przez pozbawienie go tytułu. Możemy jednak przyjąć, że zginął z ręki Guya lub Radburna. Na razie pełniłbyś tylko obowiązki kanclerza.

Nie można powiedzieć, aby Volney ucieszył się na tę wiadomość, wprost przeciwnie, lecz zachował się z godnością.

– Dziękuję Waszej Wysokości za zaufanie – powiedział krótko.

Dalszą rozmowę przerwało pojawienie się Gardana, ojca Nathana i Jimmy'ego, Potężny jak u byka kark kapłana omal nie trysnął krwią z wysiłku, gdy pół niosąc, pół wlokąc po ziemi, doprowadził Jimmy'ego do krzesła. Twarz chłopaka była blada jak płótno i lśniła od potu. Nie zważając na etykietę, Arutha wskazał krzesło i kapłan nie zwlekając posadził Jimmy'ego.

– Co się stało?

Gardan uśmiechnął się lekko, lecz w jego oczach widać było

dezaprobatę.

– Ten młody bohater ganiał od zeszłej nocy z paskudnym cięciem w boku. Sam opatrzył ranę, ale byle jak.

– Wdało się zakażenie – dodał Nathan. – Nie miałem wyboru.

Musiałem oczyścić porządnie ranę i na nowo zabandażować. Ponieważ chłopak gorączkował, nalegałem, aby to zrobić przed przyjściem do ciebie, Księżę. Nie trzeba magii, aby zapobiec infekcji rany, ale każdemu ulicznikowi wydaje się, że jest lekarzem, no i rany się paskudzą. – Zerknął na Jimmy'ego. – Hm... jest trochę blady od grzebania w ranie, ale za kilka godzin będzie zdrów jak ryba. Jeśli oczywiście jej nie otworzy – dodał i spojrzał znacząco na Jimmy'ego. Chłopak zmieszał się.

– Przepraszam, ojcze, że sprawiłem kłopot, lecz gdyby nie okoliczności, na pewno sam zająłbym się raną. Arutha przyjrzał mu się uważniej.

– Co odkryłeś?

– Nasz plan pochycenia któregoś z zabójców może się okazać o wiele trudniejszy do zrealizowania, niż nam się z początku wydawało, Wasza Wysokość. Jest co prawda możliwość nawiązania kontaktu, ale bardzo okrężna i skomplikowana. – Arutha skinieniem głowy zachęcił Jimmy'ego, aby mówił dalej. – Musiałem sporo się naszwendać po ulicach, gadając z bywalcami zaułków, lecz trochę udało mi się dowiedzieć. Jeśli ktoś chce skorzystać z usług Cechu Śmierci, musi się udać do świątyni Lims-Kragmy. – Na wzmiankę o Bogini Śmierci

kapłan wykonał ochronny znak. – Trzeba wypowiedzieć stosowną modlitwę i złożyć ofiarę w specjalnie do tego przeznaczonej umie. Złoto musi być jednak zaszyte w pergamin, na którym trzeba napisać swoje nazwisko. Skontaktują się z tobą w ciągu dwudziestu czterech godzin, w dogodnym dla siebie czasie i miejscu. Ty wymieniasz imię ofiary, a oni cenę. Jeżeli się zgadzasz, podają, gdzie i kiedy należy złożyć opłatę w złocie. Gdy nie dochodzicie do porozumienia, nie płacisz, oni znikają i już nigdy w życiu nie będziesz mógł z nimi nawiązać kontaktu.

– Proste – zauważył Laurie. – To oni mówią gdzie ,i kiedy, więc zorganizowanie pułapki nie będzie łatwe.

– Raczej w ogóle niemożliwe, jak mi się wydaje – stwierdził Gardan.

– Nie ma rzeczy niemożliwych... – mruknął Arutha głęboko pogrążony w myślach.

Minęła długa chwila niczym nie zmąconej ciszy.

– Mam! – krzyknął nagle Laurie.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– Jimmy, powiedziałeś, że w ciągu jednego dnia skontaktują się z tym, kto zostawi złoto w świątyni. – Jimmy kiwnął głową. – W takim razie wszystko, czego nam trzeba, to żeby ten ktoś, kto zostawi złoto, pozostawał potem przez cały czas w Miejscu, które będzie pod naszą kontrolą.

– Pomysł prosty i dobry... kiedy już się wymyśli, Laurie – powiedział Arutha. – Tylko gdzie?

– Jest kilka miejsc, które na jakiś czas możemy wziąć pod swoje skrzydła. Wasza Wysokość. Ich właściciele jednak nie są, niestety, ludźmi, którym można w pełni zaufać.

– Znam takie miejsce – powiedział Laurie. – Tylko nasz przyjaciel Jimmy Rączka musi osobiście złożyć ofiarę w świątyni, aby Nocne Jastrzębie nie nabrały podejrzeń, że to pułapka.

– Sam nie wiem... – odpowiedział Jimmy. – W Krondorze dzieją się dziwne rzeczy. Jeśli jestem podejrzany, możemy już nie mieć drugiej takiej okazji. – Przypomniał im o napadzie Jacka i jego nieznanego towarzysza z kuszą. – Być może chodziło im po prostu o zadawnioną urazę; znałem facetów, którzy dostawali świra z powodów o wiele bardziej błahych niż przezwisko. Jeżeli jednak chodziło o coś zupełnie innego? Jeśli Jack był w jakiś sposób związany z zabójcą?

– To oznacza, że Nocne Jastrzębie skaptowały wysoko postawioną osobistość Prześmiewców na swoją stronę – dokończył Laurie.

Z Jimmy'ego opadła nagle buńczuczna maska bohaterstwa i pewności siebie. Zasepił się i przygarbił.

– Ta myśl prześladowuje mnie równie uporczywie jak obraz Waszej Wysokości przeszytej pociskiem z kuszy. Nie dotrzymałem do tej pory przysięgi złożonej Prześmiewcom. Powinienem o wszystkim powiedzieć zeszłej nocy, ale teraz muszę, nie mogę już czekać. – Zebrał siły, by wstać.

Volney położył ciężką rękę na jego ramieniu.

– Ty zarozumiały szczeniaku! Czy chcesz przez to powiedzieć, że

jakaś

banda

rzezimieszków

może

cokolwiek

znaczyć

wobec

niebezpieczeństwa, jakie grozi twemu Księciu, a być może nawet

samemu Królowi?

Jimmy już miał na końcu języka ciętą odpowiedź, kiedy do

rozmowy włączył się Arutha.

– Wydaje mi się, Volney, że chłopak to właśnie powiedział. On

złożył przysięgę.

Laurie szybko podszedł do Jimmiego. Odsunął Volneya na bok i

nachylił się tak, że jego twarz znalazła się na wysokości twarzy

chłopaka.

– Wiemy bracie, że masz swoje zobowiązania i inne ważne

sprawy, ale wszystko wskazuje na to, że wydarzenia nabrały szybszego

tempa. Jeśli rzeczywiście nastąpiła infiltracja szeregów Prześmiewców,

to zbyt szybkie odkrycie kart umożliwi wtyczkom zatarcie śladów.

Gdyby jednak udało się nam dopaść jednego z Nocnych Jastrzębi... –

przerwał w pół zdania, a nie dokończona myśl zawisła w powietrzu,

Jimmy kiwnął głową.

– Jeśli Sprawiedliwy posłuży się twoją logiką, pieśniarzu, być

może mam szansę, by przeżyć to wszystko. Właściwie minął już czas, kiedy mogłem jeszcze zatuszować swoje działanie jakąś ładniutką historyjką. Niedługo nadejdzie pora, by zdać rachunek. Chyba nie ma wyjścia. Zaniosę wiadomość do świątyni Tej Która Ściąga Sieć Życia i zapewniam was, że wcale nie będę się zgrywał, gdy pokornie poproszę, by przygotowała dla mnie miejsce, jeśli to już mój czas,

– A ja muszę pędzić, by pogadać ze starym przyjacielem o wynajęciu gospody – powiedział Laurie.

– Dobrze. Jutro napniemy sprężyny pułapki – podsumował rozmowę Arutha.

Volney, Nathan i Gardan długo patrzyli za Lauriem i Jimmym, którzy szli powolnym krokiem, pochłonięci bez reszty omawianiem planu działania. Arutha również patrzył za odchodzącymi, a w jego ciemnych oczach gorzał cichy gniew. Po wielu latach wojennej tułaczki powrócił do Krondoru, żywiąc w sercu nadzieję na długie i spokojne życie z Anitą u swego boku. A teraz ktoś ośmielił się temu zagrozić. I ten ktoś zapłaci za to wysoką cenę.

W gospodzie Pod Tęczową Papugą panowała głucha cisza. Dla osłony przed gwałtownymi podmuchami wiatru z Morza Gorzkiego zamknięto okiennice i teraz ogólną salę spowijała niebieskawa mgielka dymu snującego się z kominka i fajek kilkunastu gości. Dla przygodnego obserwatora wszystko wyglądało tak samo jak w każdy inny deszczowy wieczór. Właściciel gospody Lucas i jego dwaj synowie stali za długim barem. Co jakiś czas jeden z nich znikał za drzwiami

kuchni, by po chwili pojawić się z posiłkiem dla któregoś z gości. W kącie sali przy kominku, naprzeciwko schodów prowadzących na piętro, jasnowłosy trubadur śpiewał cichutko pieśń o żeglarzu, który jest jeszcze daleko od domu.

Jednak gdyby ktoś zechciał przypatrzeć się uważniej, z pewnością zauważyłby, że żaden z siedzących za stołami mężczyzn prawie nie tknął swego piwa. Chociaż wyglądali na twardych, z pewnością nie byli ani robotnikami portowymi, ani marynarzami, którzy dopiero co powrócili z rejsu. Mieli dwie wspólne cechy: harde spojrzenie oraz blizny na twarzach i rękach, które powstały raczej w czasie bitew niż w wyniku karczemnych burd. Wszyscy byli członkami Gwardii Pałacowej Gardana i jednymi z najbardziej doświadczonych weteranów Armii Zachodu podczas ostatniej wojny. W kuchni pracowało pięciu nowych kucharzy i terminatorów. Na górze zaś, w pokoju przy schodach czekali cierpliwie Arutha i Gardan w towarzystwie kolejnych pięciu żołnierzy. W sumie Arutha rozstawił w gospodzie dwudziestu czterech ludzi. Byli teraz jedynymi gośćmi, gdyż ostatni miejscowi opuścili jej progi wraz z nadejściem wichury.

Jimmy Rączka czekał samotnie przy stole w kącie najdalej od drzwi. Przez cały dzień coś go niepokoiło, coś, czego nie mógł określić. Jedno wiedział na pewno: gdyby to on sam wszedł dziś wieczorem do gospody, jego doświadczenie wskazałoby mu, że coś jest nie tak, i ostrożność zmusiłaby go do natychmiastowego odwrotu. Pozostawała jedynie nadzieja, że agent Nocnych Jastrzębi nie będzie tak czujny i

sposprzegawczy. Coś tu jednak było nie tak...

Jimmy oparł się wygodnie o poręcz krzesła i skubiąc kawałek sera, zastanawiał się, co tak bardzo niepokoiło jego zmysły. Słońce zaszło dobrą godzinę temu, a jednak nie pojawił się nikt, kto mógłby wyglądać na wysłannika Nocnych Jastrzębi. Jimmy przyszedł tutaj prosto ze świątyni, upewniając się po drodze, że został zauważony przez kilku znanych mu żebraków. Jeśli ktoś z Krondoru chciałby się dowiedzieć o miejscu jego pobytu, mógł taką informację kupić łatwo i tanio.

Otworzyły się drzwi i do środka weszło dwóch mężczyzn, strząsając wodę z obszernych peleryn. Obaj wyglądali na otrząskanych w bojach starych wyjadaczy, którzy zarobili właśnie przyjemnie pękatką sakiewkę srebra za ochronę karawany jakiegoś kupca. Obaj też byli podobnie ubrani: skórzane zbroje, wysokie, sięgające łydek buty, przy pasach szerokie miecze, a na plecach pod pelerynami tarcze.

Wyższy, z siwym pasemkiem na ciemnych włosach, zamówił piwo.

Drugi przybysz, chudy blondyn, rozejrzał się po sali. Oczy zwężyły mu się nagle w wąskie szparki. Jimmy poczuł, jak po plecach przeszły mu ciarki, bo i on sam zauważył w sali jakąś zmianę. Chudy rozmawiał po cichu ze swoim towarzyszem. Mężczyzna z siwym pasemkiem skinął głową, po czym wziął piwo podane przez barmana. Rzucił na ladę kilka miedziaków i obaj ruszyli w stronę jedyne go wolnego stołu, obok Jimmy'ego.

Wyższy nachylił się w stronę Jimmy'ego.

– Chłopcze, czy w tej gospodzie zawsze jest tak ponuro? W tym momencie Jimmy zdał sobie wreszcie sprawę z tego, co go nurtowało przez cały dzień. Czekaający gwardziści przenieśli tu nieświadomie żołnierskie przyzwyczajenia i rozmawiali ściszonymi głosami. W sali brakowało typowego dla gospody harmideru i beztroskiej wesołości. Jimmy przyłożył palec do ust.

– To ze względu na pieśniarza – szepnął. Mężczyzna odwrócił się w stronę trubadura i słuchał przez kilka chwil. Laurie, mimo długiego i ciężkiego dnia zachował dobry głos i śpiewał wspaniale. Kiedy skończył, Jimmy zaczął walić kuflem w blat stołu.

– Jeszcze! Trubadurze, jeszcze! Śpiewaj dalej! – krzyczał.

Wyciągnął z mieszka srebrną monetę i cisnął na podium, na którym siedział Laurie. Po chwili jego wybuchowi zaczęły wtórować podobne okrzyki i gwizdy z sali. Większość zorientowała się nagle, w czym rzecz, Na deskach podwyższenia wylądowało z brzękiem kilka następnych monet. Kiedy Laurie uderzył w struny, tym razem wydobywając z nich wesołą, raźną nutę, do sali powrócił zwykły zgiełk rozmów.

Nowo przybyli rozsiedli się wygodnie, przyglądali się i słuchali. Co jakiś czas wymieniali parę zdań. Było po nich wyraźnie widać, że teraz, gdy otoczenie wróciło do normy, odprężyli się i uspokoili. Jimmy siedział spokojnie i przyglądał się swoim sąsiadom, Coś w tych dwóch mu nie pasowało, coś, co nie dawało spokoju podobnie jak fałszywa nuta w atmosferze sali kilka chwil temu.

Drzwi znowu się otworzyły i na progu stanął kolejny mężczyzna.

Strząsał krople wody z obszernego kaptura peleryny, rozglądając się bacznie wokół. Spostrzegł Jimmy'ego w kącie sali. Nie zdejmując wierzchniego okrycia i kaptura, ruszył ku niemu. Nie czekając na zaproszenie, przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole.

– Masz jakieś imię? – spytał przyciszonym głosem.

Jimmy skinął głową i nachylił się ku nieznanemu, jakby chciał coś powiedzieć. Kiedy to uczynił, uderzyły go jednocześnie cztery fakty.

Mężczyźni przy sąsiednim stole pomimo swobodnego zachowania trzymali miecze i tarcze tuż pod ręką i w mgnieniu oka mogli przejść do działania. Po drugie nie pili jak najemnicy, którzy dopiero co powrócili do miasta po długiej podróży z karawaną; w rzeczywistości ich kufle były prawie nietknięte. Mężczyzna siedzący przy jego stole od chwili wejścia do gospody trzymał rękę ukrytą pod peleryną. Jednak faktem najbardziej rzucającym się w oczy było to, że cała trójka miała na palcach lewej dłoni duże, czarne pierścienie z wyrytym jastrzębiem, takim samym, jaki widniał na łańcuszku, który zabrał towarzyszowi Śmiejącego się Jacka. Umysł Jimmy'ego zaczął pracować jak oszalały. Widział już takie pierścienie w przeszłości i doskonale zdawał sobie sprawę, do czego służyły.

Chłopak wyciągnął pergamin z cholewy buta. Improvizując naprędce, położył go na stole po prawej stronie, poza zasięgiem ręki nieznanego. Zmusił go tym samym, aby sięgnął niezgrabnie przed nim, sam zaś trzymał swoją prawą rękę ukrytą. Kiedy obcy dotknął palcami pergaminu, Jimmy wydobył błyskawicznie sztylet i uderzył z

całej siły, przyszpilając dłoń do stołu. Mężczyzna zaskoczony nagłym atakiem zamarł na ułamek sekundy, po czym jego druga dłoń uzbrojona w długi sztylet śmignęła spod peleryny. Zamachnął się na chłopaka. Jimmy cofnął się gwałtownie na oparcie krzesła. W tym momencie straszny ból z przebitej dłoni dotarł do świadomości obcego. Zawył przeraźliwie. Jimmy pchnął w tył krzesło, przewracając je na ziemię.

– Jastrzębie!!!

W sali zawrzało. Synowie Lucasa, obaj zaprawieni w bojach weterani Armii Zachodu, przeskoczyli jednym susem przez bar, lądując na karkach próbujących podnieść się od stołu wojowników. Jimmy zaczepił ubraniem o poręcz przewróconego krzesła, zawisł niezdarnie, szamocząc się gwałtownie i próbując się uwolnić. Patrząc z ziemi, widział, jak żołnierze zwarli się z mężczyzną z siwym pasemkiem włosów. Jeden z fałszywych najemników trzymał swoją lewą rękę na wysokości twarzy. Wargami dotykał właśnie pierścienia.

– Pierścienie z trucizną! Mają pierścienie z trucizną! – wrzasnął Jimmy na całe gardło.

Kilku gwardzistów trzymało w stalowym uścisku zakapturzonego mordercę, podczas gdy on miotał się jak szalony, usiłując ściągnąć pierścień z przybitej do stołu dłoni. Jeszcze chwila i trzech żołnierzy zdołało wreszcie unieruchomić go skutecznie.

Niespodziewanie

siwowłosy

zaczął

gwałtownie

kopać

otaczających go żołnierzy. Przewrócił się na ziemię, potoczył w bok, zerwał na nogi i runął w stronę drzwi, odtrącając na boki zdumionych gwardzistów. Przez kilka chwil, podczas których pozostali żołnierze, klnąc na czym świat stoi, przeciskali się gwałtownie ku niemu przez rumowisko powalonych stołów i krzeseł, stała przed nim otworem wolna ścieżka wiodąca ku drzwiom. Nocny Jastrząb przedarł się prawie do drzwi i wolności, gdy tuż koło niego wyrósł jak spod ziemi szczupły wojownik. Zabójca rzucił się długim susem ku wyjściu. Z nadludzką niemal szybkością Arutha skoczył w przód i zdzielił siwowłosego w głowę rękojęścią rapiera. Oszolomiony mężczyzna chwiał się przez chwilę na nogach, po czym padł nieprzytomny na podłogę.

Arutha stał sztywno wyprostowany i rozglądał się po sali.

Jasnowłosy zabójca leżał na deskach podłogi i patrzył pustym wzrokiem w sufit. Z pewnością był już martwy. Z siwowłosego ściągnięto właśnie pelerynę. Pobladał z bólu jak ściana, gdy wyciągnięto mu z dłoni ostrze sztyletu. I chociaż wyglądał na zbyt słabego, by ustać na nogach o własnych siłach, trzymało go mocno trzech gwardzistów.

Kiedy czwarty żołnierz, nie bawiąc się w delikatne postępowanie, ściągnął mu z palca pierścień, zabójca krzyknął przejmująco i zemdlał.

Jimmy przeskoczył szybko obok trupa na podłodze i podbiegł do Aruthy. Spojrzał w dół, gdzie Gardan ściągał właśnie pierścień z palca ogłuszonego zabójcy. Podniósł wzrok na Księcia i uśmiechnął się

szeroko. Wyciągnął przed siebie rękę i odliczył na palcach do dwóch.

Księżę, ciągle jeszcze zdyszany i poruszony walką, uśmiechnął się w odpowiedzi i kiwnął głową. Wyglądało na to, że żaden z jego ludzi nie był ranny i że złapał dwóch płatnych zabójców. Zwrócił się do Gardana:

– Strzec ich jak oka w głowie! Dopilnuj, aby nikt, kogo nie znamy osobiście, nie widział, jak prowadzisz ich do pałacu. Nie możemy dopuścić, aby pojawiły się jakieś plotki czy domysły. I tak Lucas i inni mogą znaleźć się w wielkim niebezpieczeństwie, jeśli w okolicy kręcił się ktoś z Cechu Śmierci. Zostaw tu wystarczająco dużo ludzi, aby stworzyć pozory normalnego wieczoru w gospodzie aż do zamknięcia, i zapłać podwójnie Lucasowi za poniesione straty, dołączając wyrazy naszej wdzięczności.

Kiedy Arutha jeszcze mówił, żołnierze już krzatali się dookoła, przywracając salę do porządku, wynosząc na zaplecze połamany stół i przesuwając pozostałe, by nikt nie zauważył pustego miejsca.

– Zabierz tych dwóch do pomieszczeń, które wybrałem. Pośpiesz się. Jeszcze dziś wieczór rozpoczniemy przesłuchanie.

Gwardziści zablokowali przejście wiodące do odległego skrzydła pałacu. Znajdujące się tam pokoje były przeznaczone dla mniej ważnych gości i używano ich tylko sporadycznie. Skrzydło to powstało stosunkowo niedawno i można się było do niego dostać z głównych budynków jedynie przez krótki korytarzyk i jedne drzwi. Wejście z zewnątrz zostało zamknięte od środka na zasuwę, a na dworze wystawiono dwuosobowy posterunek z rozkazami, aby absolutnie nikt,

bez względu na to, kim byłby, ani nie wszedł tamtędy, ani nie opuścił skrzydła pałacu tymi drzwiami.

Wszystkie pokoje w skrzydle z oknami wychodzącymi na zewnątrz zostały zabezpieczone. Arutha stał na środku największego pomieszczenia i przyglądał się milczeniu dwom jeńcom przywiązanych grubymi sznurami do masywnych, drewnianych łóżek. Arutha wolał nie ryzykować kolejnych prób samobójstwa. Ojciec Nathan czuwał nad swymi uczniami, którzy opatrywali rany więźniów.

Jeden z młodych kapłanów odskoczył raptownie od jeńca z siwym kosmykiem włosów. Spojrzał na Nathana niepewnym wzrokiem.

– Ojcze, podejdź, proszę, i zobacz...

Jimmy i Laurie podeszli do łóżka w ślad za kapłanem i Arutha.

Nathan ominął ucznia, spojrzał w dół i w tym momencie wszyscy usłyszeli, jak gwałtownie wciąga powietrze.

– O Sung, wskaż nam drogę!

Pod rozciętą skórzaną zbroją siwowłosego widać było czarną bluzę z wyhaftowaną srebrną nicią rybacką siecią. Nathan rozchylił fałdy ubrania drugiego jeńca. Pod spodem również była czarna jak noc bluza ze srebrzystą siecią na sercu. Ręka więźnia była już zabandażowana. Odzyskiwał przytomność. Wpatrywał się wyzywająco w twarz kapłana Sung, a w jego oczach gorzała nienawiść.

Nathan skinął na Księcia i razem odeszli na bok.

– Ludzie ci, Książę, noszą znak Lims-Kragmy pod postacią Tej

Która Ściąga Sieć. Tej, która na końcu czasu ściąga wszystkich ku sobie.

Arutha kiwnął głową.

– Wszystko się zgadza. Wiemy przecież, że kontakt z Nocnymi

Jastrzębiami można uzyskać przez świątynię. Nawet jeśli hierarchia

świątyni nie ma o wszystkim pojęcia, to jednak ktoś z wewnątrz musi

być sprzymierzony z Jastrzębiami. Chodź, Nathan, musimy go

przesłuchać.

Wrócili do łóżka z przytomnym jeńcem. Arutha spojrział na niego.

– Kto zapłacił za moją śmierć? Nathan został nagle wezwany, aby

pomóc przy drugim schwytanym.

– Kim jesteś? – pytał dalej Arutha twardym tonem. – Odpowiadaj

od razu, bo jeśli nie, to ból, którego doświadczyłeś do tej pory, będzie

niczym w porównaniu z tym, co cię czeka.

– Chociaż Arutha niechętnie odnosił się do tortur, to jednak nie

miał zamiaru wahać się przed ich zastosowaniem, byle tylko dowiedzieć

się, kto był odpowiedzialny za napaść na niego. Zarówno na pytanie,

jak i na groźbę odpowiedziała cisza. Po chwili Nathan powrócił do boku

Księcia.

– Ten drugi nie żyje – powiedział po cichu. – Musimy ostrożnie

traktować tego tutaj. Cios w głowę, który otrzymał od ciebie, Książę, nie

powinien był spowodować śmierci, a jednak... Niewykluczone, że

dysponują jakimiś sposobami, dzięki którym mogą nakazać ciału, by

nie walczyło dłużej z nadchodzącą śmiercią, lecz powitało ją i przyjęło z

radością? Mówi się, że nawet zupełnie zdrowy mężczyzna w pełni sił

może zmusić się do śmierci, pod warunkiem że ma na to wystarczająco

dużo czasu.

Arutha spostrzegł, jak na czole badanego przez kapłana jeńca pojawiają się kropelki potu.

– Zaczął gorączkować i temperatura rośnie gwałtownie – powiedział Nathan z troską w głosie. – Przed rozpoczęciem przesłuchania będę musiał się nim zająć.

Kapłan szybko wydobyl buteleczkę z jakąś miksturą. Jeden z żołnierzy siłą otworzył usta jeńca i Nathan wlał mu płyn do gardła. Po chwili zaczął intonować kapłańskie zaklęcia. Ciałem mężczyzny zaczęły wstrząsać konwulsje. Zwijał się i rzucał na wszystkie strony, próbując rozerwać więzy, a na twarzy pojawił się straszny grymas pełnej koncentracji. Ściągną i mięśnie na rękach nabrzmiały gwałtownie, a kark i szyję pokrył splątany kłęb powrozów żył. Nagle z głębi gardła wydarł się pusty, przeraźliwy śmiech i jeniec padł na łóżko z zamkniętymi oczami. Nathan zbadał go.

– Stracił przytomność, Wasza Wysokość. Spowolniłem narastanie gorączki, ale nie sądzę, aby udało mi się powstrzymać go całkowicie. Tu chyba działa jakaś magia. Po prostu ginie w oczach. Przeciwstawienie się magii zabierze dużo czasu... jeśli będziemy go mieli. – W głosie Nathana słyhać było zwątpienie. – I jeśli moja sztuka sprosta zadaniu...

Arutha zwrócił się do Gardana.

– Kapitanie, weź dziesięciu najbardziej zaufanych ludzi i pędź galopem do świątyni Lims-Kragmy. Powiadom Wysoką Kapłankę, iż

czekam tu na nią. Ma się stawić natychmiast. Jeżeli zajdzie potrzeba, możesz nawet użyć siły, aby ją sprowadzić, wszystko mi jedno, chcę ją tu widzieć za chwilę.

Gardan zasalutował posłusznie, lecz w jego oczach pojawił się dziwny błysk. Laurie i Jimmy zrozumieli, że wojakowi nie bardzo uśmiechała się myśl, by stawić czoło lwicy w jej własnej jaskini. Mimo to wiemy i oddany Księżciu kapitan wykonał w tył zwrot i oddalił się bez żadnego komentarza, by wykonać rozkaz swego pana.

Arutha powrócił do rozciągniętego na łożu jeńca miotającego się w gorączce.

– Wasza Wysokość, gorączka rośnie, powoli, lecz stale – poinformował Nathan.

– Jak długo będzie żył?

– Jeśli nic nie uda się zrobić... w najlepszym wypadku do rana, nie dłużej.

Arutha zdesperowany sytuacją, bił pięścią w otwartą lewą dłoń.

Do świtu nie zostało więcej niż sześć godzin. Niecałe sześć godzin, by odkryć przyczynę ataku na jego osobę. A jeśli jeniec przedtem umrze, wrócą do punktu wyjścia, a nawet gorzej, ponieważ nieznanego wroga nie wpadnie po raz drugi w zastawioną pułapkę.

– Czy nie możesz zrobić nic więcej? – spytał Laurie. Nathan zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba że... – Odsunął się od łoża umierającego i gestem ręki nakazał swoim uczniom, aby uczynili to samo. Poprosił jednego z nich,

aby przyniósł mu wielką księgę kapłańskich zaklęć.

Udzielił pozostałym kilku wskazówek, które zostały szybko i sprawnie wcielone w życie, gdyż młodzi kapłani znali rytuał i swoje w nim role. Na podłodze został narysowany kredą pentagram oraz liczne symbole runiczne w jego obrębie. Łóżko znalazło się dokładnie w centrum magicznej figury. Kiedy wszystko było gotowe, obecni w pokoju znaleźli się wewnątrz kredowego obrysu. Na wszystkich pięciu narożnikach umieszczono płonące świece. Szóstą trzymał w ręku Nathan studiujący z uwagą wielką księgę. Po chwili zaczął czytać na głos w języku, który był znany jedynie pozostałym kapłanom. Czytając wykonywał świecą skomplikowane ruchy w powietrzu. Jego uczniowie stali razem z boku. Milczeli. Tylko co jakiś czas odpowiadali zgodnym chórem na wezwanie rzucającego zaklęcie starego kapłana. Kiedy rozbrzmiewały jeszcze ostatnie słowa Nathana, obecni w pokoju poczuli nagłe uspokojenie się powietrza. Umierający jęknął długo i boleśnie. Nathan zamknął z trzaskiem księgę.

– Bez mego przyzwolenia nikt ani nic, co jest słabsze od wysłannika samych bogów, nie będzie mogło przekroczyć granic pentagramu. Od tej chwili żaden duch, demon czy inny byt na usługach ciemnych mocy nie będzie mógł nas niepokoić.

Następnie Nathan polecił, aby wszyscy stanęli na zewnątrz pentagramu, ponownie otworzył księgę i zaczął recytować kolejne zaklęcie. Słowa szybko wylewały się z ust potężnie zbudowanego kapłana. Skończył i zamilkł, wskazując jednocześnie na człowieka na

łóżku. Arutha szybko spojrział w tamtą stronę, lecz nie zauważył nic szczególnego. Już odwracał głowę, by powiedzieć coś do Lauriego, kiedy spostrzegł zmianę. Patrząc kątem oka, dostrzegł delikatną poświatę wypełniającą przestrzeń wyznaczoną przez pentagram. Kiedy patrzył przed siebie, tracił poświatę z oczu. Delikatne światło przypominało mlecznobiałą bryłę kwarcu.

– Co to jest?

Nathan spojrział na Księcia.

– Spowolniłem jego wędrówkę poprzez czas, Wasza Wysokość.

Dla niego godzina to jak jedna, krótka chwila, Zaklęcie będzie działało tylko do świtu, lecz dla niego nie upłynie więcej niż kwadrans. W ten sposób zyskamy na czasie, Jeśli dopisze nam szczęście, może dotrwać nawet do południa.

– Czy możemy do niego mówić?

– Nie, ponieważ dla niego będzie to jak brzęczenie pszczoł, Jednak jeśli zajdzie potrzeba, mogę w każdej chwili usunąć zaklęcie.

Arutha patrzył na jeńca zwijającego się powoli w gorączce. Jego ręka sprawiała wrażenie, jakby zawisała w powietrzu tuż nad łóżkiem.

– W takim razie musimy czekać na przyjemność zobaczenia się z

Wysoką Kapłanką Lims-Kragmy.

Ani czekanie nie było długie, ani też nie było zbyt wiele

przyjemności związanych z przybyciem Wysokiej Kapłanki. Na

zewnątrz dało się słyszeć jakieś poruszenie i Arutha pośpieszył do

drzwi. Czekał za nimi Gardan w towarzystwie kobiety w czarnej szacie.

Jej twarz zakrywał ciężki, czarny welon. Kiedy jednak Księżę pojawił się na progu, zwróciła się ku niemu i gwałtownym ruchem wysunęła wskazujący palec. Jednocześnie rozległ się jej miły, głęboki głos;

– Dlaczego zmuszono mnie do przybycia tutaj. Księżę Królestwa?

Arutha na razie zignorował pytanie. Szybkim spojrzeniem obrzucił najbliższe otoczenie. Za Gardanem stało kilku gwardzistów trzymających oburącz na wysokości piersi włócznie, którymi zagradzali przejście grupie gotowych na wszystko strażników świątynnych, ubranych w srebrzystoczarne kaftany Lims-Kragmy.

– Kapitanie, co się dzieje?

– Pani życzyła sobie, by wejść do środka wraz ze strażą, a ja zabroniłem...

– Przybyłam, jak sobie tego życzyłeś, chociaż duchowieństwo nigdy nie uznaje władzy ziemskiej nad sobą – powiedziała kapłanka z lodowatą furią w głosie. – Nigdy jednak nie zgodzę się, aby ktokolwiek, nawet ty, księżę Krondoru, traktował mnie jak więźnia.

– Dwóch strażników może wejść, lecz mają się trzymać z daleka od jeńca. Pani, proszę nie utrudniać. Proszę do środka. – Ton głosu Aruthy nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do jego nastroju. Wysoka Kapłanka mogła być przywódczynią potężnej sekty, lecz znajdowała się przed obliczem władcy absolutnego, nie licząc samego Króla.

Człowieka, który nie będzie tolerował wtrącania się ani przeszkód w sprawach najwyższej wagi. Skinęła na dwóch, stojących na przedzie strażników i cała trójka weszła do środka. Gdy tylko przekroczyli próg,

drzwi zamknęły się za nimi, a Gardan odprowadził na bok pozostałych ludzi ze świątyni. Na zewnątrz zaś jego gwardziści obserwowali czujnym wzrokiem innych strażników świątynnych i zakrzywione, groźnie wyglądające miecze tkwiące za ich pasami.

Ojciec Nathan skłonił się sztywno i formalnie przed kapłanką. Oba zgromadzenia nie pałały do siebie zbyt wielką miłością. Kapłanka zignorowała zupełnie obecność starego kapłana.

– Czy obawiacie się ingerencji z innego świata? – odezwała się, gdy zauważyła pentagram na podłodze. Ton jej głosu stał się nagle wyważony, wręcz precyzyjny.

Odpowiedzi udzielił Nathan.

– Pani, nie jesteśmy pewni wielu rzeczy, lecz za wszelką cenę pragniemy uniknąć komplikacji bez względu na to, z jakiego źródła miałyby wypłynąć, fizycznego czy duchowego.

Nie zareagowała na jego słowa, lecz podeszła najbliżej jak tylko mogła do obu jeńców, jednego martwego, a drugiego rannego.

Spostrzegła nagle czarne bluzy. Drgnęła wyraźnie. Obróciła się i spojrzała prosto w oczy Księciu. Mimo czarnej zasłony welonu czuł na sobie jej wrogie spojrzenie.

– Ci ludzie należą do mego zakonu. Jak się tu znaleźli?

Twarz Aruthy zmieniła się w maskę z trudem hamowanego gniewu.

– Pani, sprowadzono cię tu właśnie po to, aby uzyskać odpowiedź na to pytanie. Czy znasz tych dwóch?

Odwróciła się i studiowała przez chwilę twarze jeńców.

– Tego nie znam – odpowiedziała w końcu, wskazując na zmarłego z siwym kosmykiem. – Ten drugi zaś to kapłan z mej świątyni, o imieniu Morgan. Przybył do nas niedawno z naszej świątyni w Yabon.

– Zamilkła na chwilę, rozważając coś w ciszy. – Nosi znak brata Zakonu Srebrnej Sieci. – Ponownie zwróciła się w stronę Aruthy. – To zbrojne ramię naszej wiary. Pozostają pod rozkazami Wielkiego Mistrza w Rillanonie. A on odpowiada za praktyki swego zakonu bezpośrednio i tylko przed samą Matką Matriarchą. – Znowu zamilkła na moment. – A i to tylko czasami. – Zanim ktokolwiek zdążył skomentować jej słowa, ciągnęła już dalej; – Jednego nie rozumiem. Dlaczego kapłan z mej świątyni nosi ich znak? Czy jest członkiem tamtego zgromadzenia i udaje kapłana? Czy też jest kapłanem i jednocześnie chce być wojownikiem? Czy wreszcie nie jest ani kapłanem, ani bratem, lecz oszustem w obu przypadkach? Żadna z tych trzech możliwości nie jest dopuszczalna bez ryzykowania gniewu Lims-Kragmy. Dlaczego się tutaj znalazł?

– Pani, jeśli to, co mówisz, jest prawdą... – Kapłanka słysząc zarzut możliwego fałszu, zesztyniała z oburzenia. – ...oznacza to, że wszystko, co się tutaj dzieje, w równym stopniu dotyczy twej świątyni, jak i mnie osobiście. Jimmy, opowiedz wszystko o Nocnych Jastrzębiach.

Jimmy, wyraźnie nieswój pod czujnym spojrzeniem Wysokiej Kapłanki Bogini Śmierci, mówił szybko i tym razem bez zwykłych dla

niego ozdobników i fantazjowania. Kiedy skończył, kapłanka podeszła do Księcia.

– Wasza Wysokość, czyny, o których tu usłyszałam, wznoszą się ohydny odorem ku nozdrzom naszej bogini. – Jej głos drżał z oburzenia. – W dawnych czasach niektórzy z naszych wiernych pragnęli składania ofiar, lecz praktyki te już dawno zostały zarzucone. Śmierć jest cierpliwą boginią, dla wszystkich nadejdzie kiedyś czas, by poznać ją osobiście. Nie trzeba nam skrytobójczych śmierci i mordów.

Chcę porozmawiać z tym człowiekiem. – Wskazała ręką więźnia.

Arutha zawahał się. Zauważył, że Nathan lekko pokręcił głową.

– Jest bliski śmierci... może uda mu się przeżyć kilka najbliższych godzin i to pod warunkiem, że zostawimy go w spokoju. Jeżeli go poddamy ostremu przesłuchaniu, może umrzeć, zanim uda się nam zgłębić te mroczne wody.

– Czy jest to powód do zmartwienia, kapłanie? Nawet martwy będzie ciągle moim poddanym. Ja jestem duchowym, efemerycznym ramieniem Lims-Kragmy. Ja, która działałam w jej domenie, potrafię odkryć prawdy, których żaden śmiertelnik odkryć nie zdoła.

Ojciec Nathan skłonił się nisko.

– Rzeczywiście, pani, w świecie śmierci nikt z tobą równać się nie może. – Spojrzał na Aruthę. – Czy ja i moi bracia możemy się oddalić?

Nasz zakon uznaje te praktyki za zbyt... odrażające.

Księżę skinął głową. Kapłanka zatrzymała Nathana ruchem ręki:

– Zanim odejdziesz, zdejmij z niego modlitwę spowolnienia, którą

został otoczony. Tobie sprawi to mniej kłopotu, niż gdybym to ja musiała zrobić.

Nathan szybko wykonał prośbę i mężczyzna na łóżku zaczął się miotać w gorączce. Stary kapłan i akolici Sung pośpiesznie wyszli z pokoju. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Wysoka Kapłanka zabrała głos:

– Pentagram pomoże powstrzymać ingerencję zewnętrznych sił w to, co nastąpi za chwilę. Proszę, aby wszyscy pozostali poza obrysem, ponieważ każda osoba wewnątrz tworzy zawirowania materii magii. Stoimy wszyscy w obliczu najświętszego rytuału, ponieważ bez względu na wynik, nasza pani z pewnością upomni się wkrótce o tego człowieka. Arutha i pozostali czekali na zewnątrz kredowej figury.

– Proszę, aby nikt się nie odzywał ani słowem, chyba że udziele pozwolenia. Musicie także dopilnować, aby żadna ze świec nie zgasła ani się nie wypaliła. W przeciwnym bowiem razie możemy wyzwolić moce, które trudno będzie odwołać.

Kapłanka odgarnęła do góry czarny welon. Arutha, zaskoczony jej widokiem, aż poderwał głowę. Miał bowiem przed sobą młodą, bardzo młodą kobietę, nieledwie dziewczynkę, o niespotykanej urodzie: wielkie, błękitne oczy i cera w kolorze jutrzeńki. Sądząc po brwiach, jej włosy musiały być w kolorze jasnego złota. Wzniósła ręce ponad głowę i rozpoczęła modlitwę. Jej głos był miękki, melodyjny, lecz słowa dziwne i przerażające.

Człowiek na łóżku zaczął się miotać i kręcić jak szalony, ona

jednak nie przerywała i nadal recytowała modlitwę. Oczy rannego otworzyły się raptownie. Leżał ze wzrokiem wbitym w sufit. Przez jego napierające na więzy ciało przebiegały konwulsje, fala za falą. Po chwili uspokoił się i zwrócił wzrok w stronę kapłanki. Na twarzy pojawił się jakiś dziwny, jakby nieobecny wyraz. Wzrok to koncentrował się, to błędził zagubiony w przestrzeni. Po chwili na wargach jeńca zagościł przedziwny, złośliwy uśmieszek i okrucieństwo. Usta rozchyliły się i w pokoju dał się słyszeć głęboki, beznamienny głos:

– Czym mogę służyć, pani?

Kapłanka zmarszczyła lekko brwi, jakby w jego głosie i zachowaniu dostrzegła coś dziwnego. Zachowała jednak niewzruszoną postawę i przemówiła do niego rozkazującym tonem:

– Nosisz strój Zakonu Srebrnej Sieci, a jednocześnie jesteś kapłanem praktykującym w świątyni. Wyjaśnij ten fałsz.

Mężczyzna wybuchnął wysokim, histerycznym śmiechem, który odbijał się przez chwilę od ścian jak groch, by po chwili zamrzeć gdzieś pod sufitem.

– Jestem tym, który służy.

Odpowiedź nie spodobała się kapłance. Powstrzymała go ruchem ręki.

– Odpowiedz więc, komu służysz?

Kolejny wybuch szaleńczego śmiechu. Jego ciało naprężyło się jak struna, chcąc rozerwać krepujące je więzy. Czoło pokryło się kropelkami potu, a mięśnie ramion zwijały się i prężyły jak grube

sznury. Po chwili uspokoił się.

– Jestem tym, który został schwytany.

– Komu służysz?

– Jestem tym, który jest rybą. Jestem w sieci. – I znowu opętańczy rechot i konwulsyjne targanie więzami. Po całej twarzy spływały strumyczki potu. Jeniec krzyczał rozdzierająco i targał sznurami jak szalony. Gdy wydawało się, że sam sobie połamie kości, z ust wyrwał mu się przeciągły wrzask.

– Murmandamus!!! Wspomóż swego sługę! Niespodziewanie przez pokój przeleciał gwałtowny podmuch wiatru, który pojawił się nie wiadomo skąd. Jedna ze świec zamigotała i zgasła. Jeniec konwulsyjnie wygiął się w łuk, tak że tylko stopy i głowa dotykały łóżka. Skóra pod sznurami pękła. Trysnęła krew. Padł nagle ciężko na łóżko. Kapłanka z początku cofnęła się o krok, potem jednak podeszła bliżej i przyjrzała mu się.

– Nie żyje – powiedziała cicho. – Zapalcie świecę. Arutha skinął ręką i jeden z gwardzistów przytknął drzazgę do płomienia innej świecy i zapalił zgasłą. Kapłanka zaczęła recytować inne zaklęcie. I jeśli pierwsze było zaledwie niepokojące – to obecne niosło ze sobą poczucie lęku, wręcz przerażenia, obezwładniający zmysły lodowaty chłód przywiany z najdalszych zakątków jakiejś zagubionej i skutej wiecznym lodem ziemi, wiecznej otchłani rozpacz. W jej słowach pobrzmiwało echo okrzyków tych, dla których nie ma pocieszenia czy nadziei. Z drugiej jednak strony przebijała nuta mocy i przyciągającego piękna.

Upajające uczucie, że byłoby wspaniale odsunąć na bok wszelkie przygniatające nas niepokoje czy troski i odpocząć wreszcie. Słowa zaklęcia-modlitwy płynęły nieprzerwanie. Uczucie nadciągającego nieszczęścia potęgowało się z każdą chwilą. Zebrani w pokoju z najwyższym trudem walczyli z pokusą, by odwrócić się i uciekać, gdzie oczy poniosą, byle dalej od monotonnego głosu Wysokiej Kapłanki. Zaklęcie skończyło się nagle jak nożem uciął. W pokoju zapanowała martwa, niczym nie zmącona cisza. Kapłanka przemówiła w języku Królestwa.

– Ty, który jesteś z nami ciałem, lecz podlegasz już woli naszej pani Lims-Kragmy, słuchaj mnie. Jak Pani Śmierci włada i rozkazuje wszystkiemu stworzeniu na końcu istnienia, tak i ja rozkazuję ci w jej imieniu. Wróć!

Postać na łóżku drgnęła lekko, lecz po chwili uspokoiła się i leżała w ciszy.

– Wracaj! – krzyknęła kapłanka na cały głos. Ciało poruszyło się znowu. Nagłym ruchem głowa zmarłego uniosła się ku górze, a jego oczy otworzyły się szeroko. Sprawiał wrażenie, jakby rozglądał się po pokoju, lecz chociaż oczy miał otwarte, to jednak widać było tylko ich białka. Mimo to wszyscy odnieśli wrażenie, że zmarły widzi, ponieważ kiedy spojrzał wprost na kapłankę, jego głowa zatrzymała się w miejscu. Usta otworzyły się powoli i po chwili wydobył się z nich pusty, jakby dochodzący z wielkiej odległości, śmiech.

Wysoka Kapłanka zrobiła krok do przodu.

– Milcz!

Trup umilkł, lecz jego usta zaczęły się powoli wykrzywiać w potwornym, złym uśmiešku. Mięśnie twarzy drgały konwulsyjnie, jakby dotknął jej nagły i przedziwny paraliż. Ciało i skóra wibrowały przez kilka chwil, po czym zapadły się w sobie i rozlały jak podgrzany wosk. Barwa skóry zaczęła niepostrzeżenie przybierać inny odcień, stając się z każdą sekundą coraz jaśniejsza, aż przybrała w końcu bladobiały kolor. Włosy ciemniały szybko i stały się kruczoczarne. W ciągu kilku zaledwie chwil człowiek, którego przesłuchiwali, zniknął, a w jego miejsce, na ich oczach, pojawiła się na łóżku zupełnie odmienna postać, której nie można już było nazwać człowiekiem.

– Na bogów! To przecież Brat Mrocznego Szlaku! – szepnął Laurie.

Jimmy niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Pani, wygląda na, że twój brat Morgan przybył z miejsca położonego o wiele dalej na północ niż miasto Yabon – szepnął. W jego głosie nie słyhać było żartobliwej nuty, tylko strach.

I znowu nie wiadomo skąd powiał lodowaty wiatr. Kapłanka zwróciła się do Aruthy. Patrzyła na niego oczami szeroko otwartymi z przerażenia i wydawała się coś mówić, chociaż nikt nie słyszał jej słów. Stwór na łóżku, jeden ze zniechęconych, ciemnych kuzynów Elfów, wrzasnął w opętańczej radości. Po sekundzie nastąpił szokujący i niespodziewany pokaz jego potwornej siły. Moredhel szarpnął ręką i rozrywając sznury, uwolnił ją. W następnej sekundzie wolne było i drugie ramię. Zanim osłupiali gwardziści zdolali zareagować, rozerwał

sznury krępujące nogi. W okamgnieniu to zmarłe „coś” zerwało się z łóżka i skoczyło w stronę Wysokiej Kapłanki.

Kobieta śmiało stawiała mu czoło. Z jej postaci emanowała wielka moc. Wyciągnęła rękę w kierunku stwora.

– Stój! – Moredhel posłusznie wykonał polecenie. – Na moc mej pani, nakazuję ci, który zostałeś przywołany, posłuszeństwo. W jej królestwie przebywasz i masz być poddanym wobec jej praw i kapłanów. Na jej moc nakazuję ci, byś powrócił!

Moredhel zawahał się przez moment, a następnie z zadziwiającą szybkością sięgnął przed siebie i chwycił kapłankę za gardło. W pokoju rozległ się ten pusty, jakby z oddali dochodzący wrzask.

– Nie sprawiaj kłopotów memu słudze, pani. Jeśli rzeczywiście tak bardzo kochasz swoją panią, to ruszaj do niej!

Kapłanka chwyciła kurczowo nadgarstek stwora i w tej samej chwili jego ramię rozgorzało błyskiem niebieskawego światła. Stwór zaskowyczał z bólu, podniósł ją jedną ręką, jakby nic nie ważyła, i cisnął z całej siły o ścianę tuż koło Aruthy, gdzie powoli osunęła się na podłogę.

Wszyscy

zamarli

w

bezruchu.

Nagle

przeobrażenie

niespodziewany atak na kapłankę jakby zniewolił wszystkich obecnych w pokoju. Strażnicy świątynni stali jak przygwożdżeni widokiem swej pani upokorzonej przez jakąś nieznaną, mroczną siłę nie z tego świata.

Gardan i jego ludzie byli równie oszołomieni i bezwolni.

Śmiejąc się głębokim basem, stwór zwrócił się ku Anicie.

– Nareszcie się spotykamy. Panie Zachodu. Wybiła twoja godzina!

Moredhel chwiał się przez moment na nogach, po czym ruszył w

stronę Księcia. Strażnicy ze świątyni ocknęli się na moment przed

gwardzistami Gardana. Dwóch żołnierzy ubranych w czerń i srebro

ruszyło do przodu. Jeden z nich stanął pomiędzy zbliżającym się

moredhelem a nieprzytomną kapłanką. Drugi zaatakował stwora. Tuż

za nimi na pomoc Księciu ruszyli ludzie Gardana. Laurie popędził do

drzwi i krzyknął na strażę znajdujące się na zewnątrz.

Strażnik świątynny pchnął zakrzywionym mieczem, przebijając

moredhela na wylot. Niewidzące oczy rozszerzyły się raptownie,

ukazując czerwone obwódki. Na twarzy wykwit! grymas wstrętnej,

nieziemskiej radości, Obie ręce wystrzeliły do przodu z szybkością

błyskawicy i chwyciły żołnierza za gardło. Jedno krótkie szarpnięcie i

strażnik ze skrzyconym karkiem potoczył się martwy po ziemi. Pierwszy

z gwardzistów Aruthy dopadł stwora i uderzył z boku, rozcinając jego

grzbiet krwawą bruzdą. Jakby od niechcienia moredhel machnął ręką w

bok, zwalając żołnierza z nóg. Potwór sięgnął w dół i wyciągnął sobie

miecz z piersi. Wyszczерzył zęby, warknął i cisnął broń w kąt pokoju.

Gdy się odwracał, Gardan zaatakował z dołu od tyłu. Potężny kapitan otoczył stwora mocnymi ramionami, unosząc go ponad ziemię.

Szponiaste paznokcie momentalnie rozorały jego przedramiona, lecz Gardan trzymał mocno, uniemożliwiając stworowi dalsze zbliżanie się do Aruthy. Moredhel kopnął z całej siły w tył, trafiając Gardana w nogę.

Obaj zwalili się ciężko na podłogę. Ciemny Elf zerwał się z ziemi. Gardan usiłował ponownie chwycić go od tyłu, lecz potknął się o ciało strażnika ze świątyni i przewrócił.

Laurie szarpnął i odrzucił w bok poprzeczną sztabę zamykającą drzwi, które otworzyły się gwałtownie. Obok niego przebiegł tłum gwardzistów i strażników ze świątyni. Stwór zbliżył się już do Aruthy na wyciągnięcie miecza, kiedy dopadł go od tyłu pierwszy gwardzista.

Dwóch kolejnych przyszło mu w sukurs w sekundę później. Strażnicy ze świątyni przyłączyli się do swego samotnego kolegi, formując wokół nieprzytomnej kapłanki obronny pierścień. Następni gwardziści atakowali moredhela. Gardan doszedł do siebie po chwilowym oszołomieniu i rzucił się, by stanąć u boku Aruthy,

– Niech Wasza Wysokość wyjdzie. Możemy go... to... powstrzymać przewagą liczebną.

Arutha stał z wyciągniętym mieczem, gotowy do walki.

– Jak długo, Gardan? Jak można powstrzymać coś, co już i tak nie żyje?

Jimmy Rączka odsuwał się powoli od Aruthy, zмирzając w stronę drzwi. Patrzył jak zahipnotyzowany przed siebie, nie mogąc oderwać

wzroku od kłębowiska ciał. Gwardziści usiłowali zapanować nad stworem, tnąc go mieczami, waląc pięściami i rękojeściami broni. Ich twarze i ręce były złane krwią, ponieważ moredhel bez przerwy szarpał pazurami na prawo i lewo.

Laurie, z mieczem wzniesionym jak sztylet, krążył wokół żywego wiru, czekając na okazję. Kątem oka zauważył, jak Jimmy pędzi ku drzwiom.

– Arutha! – krzyknął. – Jimmy wykazał się zdrowym rozsądkiem.

Uciekaj! – W następnej chwili pchnął z całej siły mieczem. W kłębowisku ciał rozległ się przeciągły, paralizujący strachem jęk.

Arutha miotany przeciwnymi emocjami stał w miejscu, nie mogąc się zdecydować, co począć. Ruchliwe kłębowisko ciał zdawało się przesuwać ku niemu centymetr po centymetrze, jakby ciężar wczepionych w moredhela żołnierzy jedynie spowalniał jego posuwanie się do przodu. Ponad szamotaniną rozległ się nagle jego donośny głos:

– Uciekaj, jeśli chcesz, Panie Zachodu, lecz wiedz, że nigdy nie znajdziesz schronienia przed moimi sługami.

W tym momencie moredhel jakby dostał zastrzyk nowej energii.

Dźwignął się ku górze na mocarnych nogach, odrzucając w bok żołnierzy, którzy niesieni impetem polecili jak wystrzeleni z procy na strażników otaczających kapłankę. Przez moment moredhel mógł się wyprostować i stanąć swobodnie. Jego twarz przypominała krwawą, poszarpaną ranami maskę. Kawał oddartego ciała zwisał z policzka, przydając twarzy stwora wyraz nie znikającego, nieszczęsnego

*uśmiechu. Jeden z gwardzistów zdołał powstać i skruszyć ciosem
miecza jego rękę. Moredhel obrócił się błyskawicznie na pięcie i jednym
ruchem ramienia rozorał mu gardło. Stał przed nimi z prawym,
bezużytecznym teraz ramieniem, zwieszającym się z boku. Rozchyliły
się poszarpane, gumowate wargi i rozległ się bulgoczący głos:*

*– Głupcy! Ja karmię się śmiercią! Chodźcie! Niech i wasza
wzmocni me siły!*

*Dwóch żołnierzy rzuciło się na niego od tyłu i obaliło go ponownie
na ziemię tuż przed Aruthą. Nie zważając na nich, moredhel sięgnął ku
niemu zdrową ręką z palcami zakrzywionymi jak szpony. Na jego plecy
skoczyło kilku następnych żołnierzy. Aruthą nie wytrzymał, rzucił się
do przodu i wbił głęboko ostrze miecza w plecy stwora. Koszmarne
stworzenie wzdrygnęło się przez moment, po czym kontynuowało
powolne posuwanie się w przód.*

*Ogromna masa ciała, jak jakiś ohydny, plugawy krab, centymetr
po centymetrze posuwała się ku księciu. Żołnierze, starający się za
wszelką cenę ochronić swego pana, zwijali się jak w ukropie,
rozdzierając dosłownie stwora na strzępy. Niemożność zatrzymania go
zaczęła stopniowo przeważać nad niechęcią Aruthy do ucieczki. Cofnął
się o krok. Jeden z gwardzistów wyleciał w powietrze z głośnym
okrzykiem i grzmotnął o kamienną podłogę. Rozległ się trzask pękającej
czaszki.*

*– Wasza Wysokość, to jest coraz silniejsze! – krzyknął inny
żołnierz. W tym momencie rozległ się wrzask trzeciego, któremu*

rozszałały stwór wydarł oko. Moredhel dźwigał się ciężko z ziemi jak wzbierająca fala. Strząsnął z siebie pozostałych gwardzistów i wstał na równe nogi. Pomiedzy nim a Aruthą nie było już nikogo.

Laurie szarpnął Aruthę za rękaw, odciągając go powoli w stronę drzwi. Szli bokiem, ani na moment nie spuszczać wzroku z przerażającego potwora, który stał, kiwając się powoli. Zdawało się, że niewidzące oczy wodziły za dwoma mężczyznami nienawistnym spojrzeniem, patrząc z twarzy zmienionej w krwawą miazgę i pozbawionej wszelkich rysów. Jeden ze strażników Wysokiej Kapłanki rzucił się na niego od tyłu. Nie patrząc za siebie, moredhel machnął w tył ręką, miażdżąc mu czaszkę jednym uderzeniem.

– Powróciła mu władza w obu rękach! On się regeneruje! -

krzyknął Laurie. Jednym skokiem stwór znalazł się tuż przy nich.

Aruthą poczuł nagle, że pada na podłogę. Ktoś pchnął go z boku. Przed oczami Księcia pojawił się rozmazany szybkością ruchu obraz Lauriego uchylającego się przed ciosem, który z pewnością urwałby Księciu głowę, Aruthą przeturlał się w bok i zerwał na równe nogi, tuż koło Jimmy'ego Rączki, Chłopak odepchnął go dalej, odsuwając od niebezpieczeństwa. Tuż za Jimmym Aruthą zauważył sylwetkę ojca Nathana.

Zwalisty kapłan zbliżał się do potwora, wyciągając przed siebie lewą rękę, z dłonią skierowaną w stronę moredhela. Ten wyczuł jakoś jego obecność i obrócił się błyskawicznie.

Środek dłoni kapłana zaczął delikatnie świecić, by po chwili

rozjarzyć się oślepiająco białym światłem, Jego promień pojawił się na

postaci

moredhela,

który

stał

w

miejscu

bez

ruchu,

jak

zahipnotyzowany. Z poszarpanych, zwisających warg wyrwał się jęk. I

wtedy Nathan zaczął recytować zaklęcie.

Przeraźliwy, wibrujący w uszach wrzask wypełnił pokój.

Moredhel skulił się, zasłaniając niewidzące oczy przed lśnieniem

magicznego światła na dłoni Nathana. Słyszeli niewyraźne, niskie i

charkoczące dźwięki wydobywające się z ust stwora,

– To pali... aaagrhh... strasznie pali...!

Kapłan postąpił krok do przodu, zmuszając moredhela do

niezdarnego cofnięcia się. Koszmarna postać, krwawiąca obficie z setek

ran gęstą, krzepnącą powoli krwią, ze zwieszającymi się wszędzie

ogromnymi kawałami oddanego ciała posklejanego ze strzępami

ubrania nie wyglądała na żaden śmiertelny byt. Moredhel przygiął się

jeszcze bardziej ku ziemi.

– Płonę!

Nagle w pokoju powiał lodowaty wiatr. Potwór wrzasnął tak strasznie, że nawet stare wiarusy otrzaskane w setkach bitew wzdrygnęły się odruchowo. Żołnierze rozglądali się gorączkowo, szukając źródła tej nowej, nie dającej się nazwać grozy, której obecność wyczuwali dookoła siebie.

Moredhel wyprostował się nagle, jakby wstąpiła w niego nowa moc. Prawa ręka wystrzeliła w przód, chwytając za źródło palącego światła – lewą dłoń Nathana. Szponiaste palce splotły się z palcami kapłana. Rozległ się skwierczący, suchy dźwięk i ręka stwora zaczęła się tlić żywym ogniem, dymiąc obficie. Moredhel zamachnął się lewą ręką i już miał uderzyć kapłana, gdy ten wykrzyknął jedno jedyne słowo. Nikt w pokoju nie rozpoznał go ani nie zrozumiał. Moredhel zachwiał się i jęknął. Głos Nathana rozlegał się coraz donośniej, potężniał z każdą chwilą. Pokój huczał tajemnymi dźwiękami mistycznej modlitwy i świętej magii. Na ułamek sekundy stwór zamarł w kompletnym bezruchu. Potem stał przez moment w miejscu, dygocząc całym ciałem. Pod wpływem uścisku kapłana odchyłał się coraz bardziej do tyłu. Nathan przyspieszył recytowanie słów zaklęcia. Moredhel zatoczył się i zwinął z bólu, jakby otrzymał druzgoczący cios. Jego ciało zaczęło dymić. Schrypniętym, napiętym do granic możliwości głosem Nathan przyzywał mocy swej bogini, Białej Sung, bóstwa czystości. Z ust potwora wyrwał się przeciągły, jakby dochodzący z bardzo daleka, jęk. Jego ciałem zaczęły miotać konwulsje. Nathan, zwarty z przeciwnikiem w mistycznej walce, wznosił ramiona, jakby chciał odsunąć od siebie

ogromny ciężar. Moredhel padł na kolana. Z każdym następnym wypowiedzianym przez kapłana słowem jego ręka coraz bardziej wyginała się do tyłu. Po czole Nathana spływały kropelki potu. Żyłty i ścięgna na karku nabrzmiały. Na powierzchni poszarpanego ciała i odsłoniętych mięśniach moredhela pojawiły się bąble czy pęcherze. Stwór lamentował, skowycząc głośno i przeciągle. Rozległo się skwierczenie i syk, a po pokoju rozszedł się smród przypalanego mięsa. Z ciała zaczęły walić ciężkie, oleiste kłęby dymu. Jeden z gwardzistów odskoczył na bok i zaczął wymiotować. Oczy Nathana, zmuszającego stwora do uległości siłą swej woli, robiły się coraz szersze i szersze. Spleceni w śmiertelnym uścisku obaj chwiali się powoli. Ciało moredhela poddawane nieustannie mocy magii i uścisku Nathana skwierczało i zwęglało się, pękając i wyginając coraz bardziej do tyłu. Nagle na jego czerniejącej powierzchni zatańczyły niebieskawe rozbłyски energii. Nathan zwolnił uścisk i moredhel zwałił się na bok. Z oczu, uszu i ust trysnęły języki ognia, by po krótkiej chwili objąć całe ciało i zamienić je błyskawicznie w kupę popiołów wypełniających pokój śmierdzącym, duszącym i klejącym się do wszystkiego odorem. Nathan z trudem odwrócił się do Księcia. Arutha ujrzał przed sobą człowieka postarzałego nagle o kilkanaście lat. Kapłan patrzył przed siebie szeroko rozwartymi oczami, a po czole i całej twarzy ściekały mu strumyczki potu.

– Wasza Wysokość... już po wszystkim – powiedział zduszonym, ochryplym głosem. Zrobił w stronę Księcia jeden powolny krok, potem

drugi. Uśmiechnął się słabo, po czym runął na twarz. Arutha rzucił się przed siebie i zdołał go pochwycić, zanim ten upadł na podłogę.

WIELKIE WYDARZENIA

Ptaki świergotały radośnie na powitanie nowego dnia.

Arutha w towarzystwie Lauriego, Jimmy'ego, Volneya i Gardana siedział w swojej prywatnej sali audiencyjnej, oczekując wiadomości o stanie zdrowia Nathana i Wysokiej Kapłanki. Strażnicy świątynni zanieśli kapłankę do pokoju gościnnego i teraz trzymali wartę przed drzwiami, podczas gdy wezwani ze świątyni medycy zajmowali się swoją panią przez całą noc, tak jak medycy z zakonu Nathana starym kapłanem.

Potworności mijającej nocy wyciszyły wszystkich i nikomu nie chciało się na razie mówić o ostatnich wydarzeniach. Laurie pierwszy ocknął się z odrętwienia. Wstał z krzesła i podszedł do okna.

Chociaż oczy Aruthy śledziły ruchy trubadura, to jednak jego umysł szamotał się z dziesiątkami pytań, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Kto czy też co chciało jego śmierci? I dlaczego? Jednak o wiele ważniejsze niż jego własne bezpieczeństwo było pytanie, jakie to wszystko niesło zagrożenie dla Lyama, Carline oraz innych, którzy mieli wkrótce przybyć do miasta. A przede wszystkim czy Anita była w niebezpieczeństwie? W ciągu kilku ostatnich godzin Arutha wiele razy rozważał możliwość odłożenia ślubu na później.

Laurie siedział na kanapie obok na wpół drzemiącego Jimmy'ego.

– Jimmy, skąd wiedziałeś, że trzeba wezwać ojca Nathana, kiedy nawet sama Wysoka Kapłanka była bezradna? Jimmy przeciągnął się

powoli i ziewnął leniwie.

– Zapamiętałem to z czasów, kiedy byłem młody. – Słyszac to,

Gardan nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem. Napięcie w pokoju

zrelżało. Nawet na twarzy Aruthy pojawił się cień uśmiechu.

– Na jakiś czas zostałem oddany pod opiekę niejakiego ojca

Tymoteusza, kapłana Astalon – ciągnął dalej Jimmy. – Co jakiś czas ten

czy inny chłopak dostaje na to pozwolenie, co jest oznaką, że

Prześmiewcy wiele się po nim spodziewają – powiedział z dumą. –

Pozostałem tam tylko przez czas potrzebny, by się nauczyć czytać i

liczyć, ale zdążyłem również przyswoić sobie parę innych pożytecznych

rzeczy.

Zapamiętałem jeden wykład o naturze bogów. Wygłosił go kiedyś

ojciec Tymoteusz... hm... chociaż, prawdę mówiac, niewiele brakowało,

a usnąłbym jak kamień. Zgodnie z opinią tego wielce szacownego męża

istnieje podstawowa opozycja sił, sprzeczność sił pozytywnych i

negatywnych, zwanych czasem dobrem i złem. Dobro nie może

unieważnić innego dobra, jak i zło zła. Aby unicestwić pośrednika zła,

potrzebne jest pośrednictwo dobra. Wysoka Kapłanka uznawana jest

powszechnie za sługę mocy ciemności i po prostu dlatego nie potrafiła,

nie mogła zapanować nad tym stworem. Miałem więc nadzieję, że ojciec

Nathan będzie potrafił stawić mu czoło, ponieważ Sung i jej studzy

reprezentują postawę „dobra”. Ja naprawdę nie wiedziałem, czy to było

możliwe, czy nie, lecz po prostu nie mogłem tak stać i patrzeć spokojnie,

jak to świństwo przerabia na miazgę jednego żołnierza po drugim.

– Okazało się, że twoje założenie było słuszne – powiedział Arutha, a w jego głosie wyraźnie było słychać, że jest pełen uznania dla szybkości myślenia i refleksu chłopaka.

Do pokoju wszedł gwardzista.

– Wasza Wysokość, kapłan odzyskał przytomność i prosi cię, panie, abys zechciał się do niego pofatygować.

Arutha zerwał się z fotela błyskawicznie i sadząc długimi krokami, wypadł za próg. Reszta zebranych popędziła za nim.

Od ponad stu lat utarło się, że każdy książę Krondoru wydzielal w swoim pałacu miejsce na świątynię z osobnymi kaplicami poświęconymi każdemu z bogów. Tak więc bez względu na to, kto akurat gościł pod dachem księcia i którego z większych bogów czcił, mógł zawsze znaleźć w pobliżu miejsce duchowego wytchnienia. Zakon opiekujący się świątynią zmieniał się od czasu do czasu w zależności od tego, kto akurat pełnił funkcję doradcy Księcia. Teraz, za rządów Aruthy, jak zresztą i za poprzednich Erlanda, obowiązki te pełnił Nathan i jego uczniowie. Pokoje kapłana znajdowały się za świątynią. Arutha wszedł do obszernego, wysoko sklepionego przedsionka. Po przeciwnej stronie, za poprzeczną nawą, gdzie znajdowały się kaplice poświęcone czterem najwyższym bogom, widać było w murze małe drzwi. Arutha szedł środkiem głównej nawy. Po jej bokach umieszczono ołtarze i kaplice poświęcone pomniejszych bogom. Jego kroki na kamiennej posadzce rozbrzmiewały głośnym echem. Kiedy przybliżył się do drzwi, zauważył, że były otwarte. Dostrzegł wewnątrz jakiś ruch.

Wszedł do środka. Akolici Nathana rozstąpili się na boki. Aruthę uderzył ascetyczny wygląd pokoju ojca Nathana, nieledwie celi klasztornej pozbawionej wszelkich dekoracji i prywatnych rzeczy właściciela. Jedynym przedmiotem, który nie spełniał ściśle użytkowych funkcji, była stojąca na małym stoliku przy łóżku kapłana statuetka Sung, przedstawiająca młodą kobietę o ujmującym wyglądzie, odzianą w długą, białą szatę.

Nathan był wymizerowany i słaby, lecz wzrok miał bystry i jasny.

Leżał wsparty na kilku ułożonych wysoko poduszkach. W pobliżu łóża czuwał kapłan opiekujący się chorym, gotowy na każdy gest z jego strony. Obok łóżka czekał również medyk królewski. Skłonił się przed Księciem.

– Od strony fizycznej wszystko w najlepszym porządku, Wasza Wysokość, oczywiście poza tym, że jest bardzo wyczerpany. Proszę mówić krótko.

Arutha skinął głową. Medyk i młodzi kapłani opuścili pokój. Przed wyjściem lekarz dał znak, aby Gardan i pozostali również poczekali na zewnątrz.

Arutha podszedł do łóża.

– Jak się czujesz?

– Przeżyję jakoś, Wasza Wysokość – odpowiedział słabym głosem kapłan.

Arutha rzucił szybkie spojrzenie w stronę drzwi i dostrzegł wyraz niepokoju na twarzy stojącego w progu Gardana. Potwierdziło to tylko

wrażenie Księcia, że męka, przez którą Nathan przeszedł, odcisnęła na nim nieodwracalne piętno.

– Nie tylko przeżyjesz, ale wszystko wróci do normy. Zobaczysz.

Wkrótce będziesz chodził, jakby nic się nie stało.

– Przeżyłem koszmar, który nie powinien być udziałem żadnego człowieka, Wasza Wysokość. Abyś mógł to w pełni zrozumieć, muszę wyjawić ci coś w tajemnicy. – Skinął w stronę drzwi.

Opiekujący się nim kapłan zamknął je i powrócił do łóża.

– Wasza Wysokość, jestem zmuszony wyjawić ci coś, co nie jest zazwyczaj znane poza murami świątyni. Czyniąc to, biorę na siebie ogromną odpowiedzialność, lecz uważam, że nie ma innego wyjścia.

Arutha pochylił się nad leżącym, aby lepiej słyszeć z trudem wypowiedziane słowa.

– Wszystko znajduje się w pewnym porządku, Arutha, równowadze zaprowadzonej przez Ishop, boga Tego Który Jest Ponad Wszystkim. Więksi bogowie władają poprzez bogów pomniejszych, którym z kolei służą różni kapłani. Każdy zakon ma swoją misję do wypełnienia. Może się czasem wydawać, że jeden zakon stoi w opozycji do innego, lecz wiedz, że w rzeczywistości prawda jest inna. Każdy z nich ma swoje ściśle określone miejsce w porządku rzeczy. O istnieniu wyższego porządku nie są informowani kapłani niżsi rangą. I to jest powodem konfliktów, które od czasu do czasu wybuchają pomiędzy poszczególnymi świątyniami. Niechęć, którą wczoraj okazałem dla rytów Wysokiej Kapłanki, była po trosze na pokaz, ze względu na moich

akolitów, lecz wypływała także z moich rzeczywistych odczuć. To, jak wiele konkretna osoba jest w stanie pojąć, determinuje, ile prawdy zostanie jej wyjawione przez świątynię. Wielu ludzi, na codzienny użytek, potrzebuje jedynie bardzo prostych koncepcji dobra i zła czy też – jak kto woli – światła i mroku. Ty do nich nie należysz.

Ja uczyłem się w dziedzinie Podążania Jedyłą Drogą, w porządku, do którego jestem najlepiej przygotowany swoim usposobieniem i naturą. Podobnie jak wszyscy, którzy osiągnęli mój poziom i rangę, poznałem dobrze naturę i sposoby objawiania się innych bogów i bogiń. To, co się zdarzyło dziś w nocy, daleko wykraczało poza wszystko, co kiedykolwiek poznałem.

Arutha patrzył na niego niepewnym, zdziwionym wzrokiem.

– Nie rozumiem. Do czego zmierzasz?

– Kiedy zmagalem się z mocą, która stała za moredhelem, zdołałem wyczuć pewne aspekty jej natury. To coś zupełnie obcego, mrocznego i przerażającego, coś, co nie ma w sobie cienia miłosierdzia czy litości. Miota się w szaleństwie, pragnąc za wszelką cenę zapanować nad czymś lub coś unicestwić. Nawet ci bogowie, o których mówi się, że są bogami ciemności, jak Lims-Kragma czy Guis-wa nie są rzeczywiście i w pełni źli, kiedy zrozumie się pełnię prawdy. To „coś” jednak zastania całkowicie światło nadziei... to wcielona rozpacz.

Kapłan stojący przy łożu Nathana dał znak Anicie, że pora już wyjść. Kiedy szedł w stronę drzwi, stary kapłan zawołał za nim:

– Poczekaj, musisz zrozumieć jeszcze coś. To „coś” odeszło nie

dlatego, że zostało pokonane przeze mnie, lecz wyłącznie dlatego, że pozbauiem go słuęi, w którego się wcielił. Nie miało po prostu fizycznych środków do kontynuowania ataku. Pokonałem jedynie pośrednika. W tym właśnie momencie „coś” ujawniło drobny odprysk swojej natury. Nie jest jeszcze gotowe, by rzucić otwarte wyzwanie mej Pani Jedynej Droęi, lecz gardzi nią i innymi bogami. – Na jego twarzy pojawił się przestach. – Arutha, to „coś” gardzi bogami! Czy to rozumiesz? – Nathan usiadł gwałtownie z wyciągniętą ręką. Arutha wrócił do łóżka i ujął jego dłoń.

– Wasza Wysokość, to moc, która uważa się za najwyższą.

Nienawidzi, drwi i szydzi, i bez wahania zniszczy każdego, kto stanie na jej drodze. Jeśli...

– Nathan, spokojnie – przerwał mu Arutha. Kapłan skinął głową i opadł na łóżko.

– Arutha, musisz poszukać mądrości większej niż moja. Bo wyczułem jeszcze jedno... ten nieprzyjaciel, ta wszechogarniająca ciemność rośnie w siłę.

– Postaraj się usnąć, Nathan. Niech to wszystko stanie się tylko jeszcze jednym złym snem. – Skinął głową towarzyszącemu kapłanowi i wyszedł z pokoju.

– Pomóż mu – powiedział, mijając medyka królewskiego, i było to bardziej błaganie niż rozkaz.

Mijały długie godziny, a Arutha wciąż czekał na wieści o stanie zdrowia Wysokiej Kapłanki Lims-Kragmy. Siedział samotnie. Jimmy

spał na stojącej nie opodal kozetce. Gardan poszedł, by dopilnować rozmieszczenia swoich żołnierzy. Volney zaś, w czasie kiedy Arutha zajmował się rozwikłaniem tajemniczych wydarzeń poprzedniej nocy i ich konsekwencjami, zarządzał księstwem. Księżę zdecydował, że nie poinformuje Lyama, co zaszło, dopóki Król sam nie przybędzie do Krondoru. Władca podróżował w towarzystwie ponad stuosobowego orszaku i nic poza małą armią nie mogło mu zagrozić.

Arutha przerwał na chwilę swoje rozmyślenia, aby przyjrzeć się uważnie Jimmy'emu. Teraz, kiedy tak leżał, oddychając spokojnie, ciągle wyglądał jak dzieciak. Śmiał się, lekceważąc swoją ranę, lecz kiedy w końcu wszystko się uspokoiło i wróciło do normy, prawie natychmiast zapadł w kamienny sen. Gardan podniósł go delikatnie i zaniósł na kozetkę. Arutha pokręcił lekko głową. Młodziak był zwykłym kryminalistą, pasożytem żerującym na społeczeństwie, który w swoim krótkim życiu nie przepracował uczciwie ani jednego dnia.

Skończywszy czternaście czy piętnaście lat, był bufonem, łgarzem i złodziejem, a może i czymś więcej, ale był również przyjacielem. Arutha westchnął ciężko, zastanawiając się co ma z nim począć.

W drzwiach pojawił się paź z posłaniem od Wysokiej Kapłanki, która żądała natychmiastowego przybycia Księcia. Arutha podniósł się po cichu, by nie obudzić Jimmy'ego, i poszedł za paziem do kapłanki pozostającej pod opieką lekarzy ze świątyni. Gwardziści Aruthy stali na zewnątrz zajmowanych przez nią pomieszczeń, a wewnątrz pilnowali jej strażnicy świątynni. Księżę zgodził się na to ustępstwo, kiedy

poprosił go o to kapłan z zakonu Lims-Kragmy. Kapłan przywitał go

teraz chłodno, jakby to on ponosił winę za obrażenia jego pani.

Poprowadził Aruthę do sypialni, gdzie inna kapłanka usługiwała

przywódczyni ich świątyni.

Arutha zaszokowany wyglądem kapłanki, zatrzymał się w progu.

Póллеwała wsparta na zagłówkach i wałkach. Jasne włosy okalały bladą

jak płótno twarz, z której uciekła cała krew, jakby lodowaty błękit zimy

pokrył jej rysy pozbawioną życia maską. Sprawiała wrażenie, jakby w

ciągu jednego dnia postarzała się o dwadzieścia lat. Kiedy jednak

skierowała na niego wzrok, poczuł, że nadal jest w niej moc i

zdecydowanie.

– Pani, czy czujesz się już lepiej? – W głosie Aruthy słychać było

prawdziwą troskę. Nachylił się nad chorą.

– Moja pani, Wasza Wysokość, ma jeszcze pracę do wykonania.

Jeszcze przez jakiś czas nie połączę się z nią.

– Ciesz się ta wiadomość. Przybyłem, jak żądałaś. Kobieta

podciągnęła się i usiadła wyprostowana, opierając się o poduszki.

Odruchowo odgarnęła z czoła prawie białe włosy. Arutha zauważył, że

pomimo skrajnego wyczerpania kapłanka była nadal kobietą o

nadzwyczajnej urodzie, aczkolwiek była to piękność bez najmniejszego

ślada ciepła.

– Arutha conDoin, wielkie niebezpieczeństwo zagraża Królestwu i

nie tylko jemu – powiedziała ochryplym z wyczerpania głosem. – W

królestwie Pani Śmierci tylko jedna osoba stoi wyżej niż ja: nasza

Matka Matriarcha w Rillanonie. W domenie śmierci nikt poza nią nie ma prawa rzucać mi wyzwania. Teraz jednak nadchodzi coś, co rzuca wyzwanie samej bogini i chociaż siła ta jest stosunkowo słaba i dopiero poznaje swą moc i możliwości, to jednak może ona zapanować nad sługami mej pani.

Panie, czy dociera do ciebie znaczenie i waga mych słów? To tak, jakby dziecko świeżo odstawione od piersi matki przybyło do twego pałacu, nie, do pałacu twego brata i Króla, a następnie obróciło przeciwko niemu cały dwór, gwardię, a nawet sam lud, czyniąc go bezradnym i bezbronnym w samym sercu jego władzy i siły. Oto przed czym stoimy, twarzą w twarz. Siła ta wzrasta. Nawet teraz, w tej chwili właśnie, gdy rozmawiamy, moc ta rośnie w siłę, obrasta szaleństwem. A do tego jest to moc stara, bardzo stara... – Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie i nagle Arutha dostrzegł w nich przez ułamek sekundy błysk opętania. – To jest zarówno nowe i stare, odwieczne... nie rozumiem... nie rozumiem...

Arutha skinął głową medykwowi i odwrócił się do kapłana, który ruchem głowy wskazał wyjście. Kiedy książę dochodził do drzwi, usłyszał przejmujący szloch Wysokiej Kapłanki. Arutha i kapłan przeszli do sąsiedniego pokoju. – Wasza Wysokość, nazywam się Julian i jestem Najwyższym Kapłanem Kręgu Wewnętrzznego. Przesłałem już wiadomość o tym, co tu zaszło, do naszej głównej świątyni w Rillanonie. Ja... – To, co miał powiedzieć, najwyraźniej krępowało go. – Wszystko wskazuje na to, że za parę miesięcy to ja będę Wysokim Kapłanem

Lims-Kragmy. Będziemy się nią opiekowali – dorzucił, obracając się w stronę drzwi sypialni. – Ona sama już nigdy nie będzie w stanie kierować poczynaniami zakonu w służbie naszej pani... – Zwrócił się ku księciu. – Strażnicy świątynni opowiedzieli mi o tym, co zaszło wczoraj w nocy, a teraz usłyszałem jeszcze słowa Wysokiej Kapłanki. Wasza Wysokość, jeżeli świątynia może się okazać pomocna w czymkolwiek, możesz na nas liczyć. Arutha zastanawiał się przez chwilę nad jego słowami. Często bywało, że kapłan tego czy innego obrządku zaliczany był do grona doradców możnowładców. Przed władzą świecką zawsze stoi zbyt wiele problemów, które mają głębsze, mistyczne znaczenie, by mogła sobie z nimi poradzić sama, bez kierownictwa duchowego. Z tego właśnie powodu ojciec Aruthy był pierwszym, który włączył maga do kręgu swych doradców. Jednakże aktywna, rzeczywista współpraca pomiędzy świątynią a władzą świecką, pomiędzy najwyższą hierarchią obu, była bardzo rzadka. Po dłuższym milczeniu Arutha podniósł wzrok na kapłana.

– Dziękuję, Julian. Kiedy dowiemy się, z czym mamy do czynienia, skorzystamy z waszej mądrości. Doszedłem właśnie do wniosku, że moje pojmowanie świata jest dosyć wąskie i ograniczone. Oczekuję, że będziecie mogli służyć cenną pomocą.

Kapłan skłonił się lekko. Arutha zbierał się już do odejścia, kiedy kapłan zatrzymał go ruchem ręki.

– Wasza Wysokość...

Księżę odwrócił się. Na twarzy kapłana malowała się głęboka

troska.

– Tak?

– Dowiedz się, panie, co to jest. Dowiedz się, gdzie przebywa i zniszcz, zniszcz na zawsze!

Arutha mógł tylko skinąć głową. Wrócił do swoich pokojów.

Wszedł i usiadł po cichutku, aby nie obudzić Jimmy'ego, który nadal spał na kozetce. Księżę zauważył, że na stole pojawił się półmisek z owocami i serem oraz karafka schłodzonego wina. Przypomnił sobie, że przez cały dzień nic nie jadł. Nalał kielich wina i odciął solidny kawał sera. Usiadł, wygodnie kładąc nogi na stół, i pozwolił myślom błąkać się swobodnie. Zalatała go fala zmęczenia po dwóch prawie nieprzespanych nocach, lecz był zbyt pochłonięty niezwykłymi wydarzeniami ostatnich godzin, aby pozwolić sobie na drzemkę. Na jego ziemiach pojawiła się jakaś niczym nie ograniczona, nadprzyrodzona siła, jakiś magiczny byt, który sparaliżował strachem kapłanów dwóch najpotężniejszych świątyni Królestwa. Za niecały tydzień miał przybyć Lyam. Na ślub do Kronodoru zjadą prawie wszyscy możnowładcy Królestwa. Będą tu, w tym mieście! A on nie miał zielonego pojęcia, co mógłby zrobić, by zapewnić wszystkim bezpieczeństwo.

Arutha siedział przez godzinę, jedząc i pijąc machinalnie, podczas gdy jego myśli błąkały się gdzieś daleko stąd. Arutha należał do ludzi, którzy pozostawieni sami sobie często zapadają w ponure rozmyślania. Kiedy jednak znajdują się w obliczu jakiegoś konkretnego problemu, ani na moment nie zaprzestają go rozgryzać, atakować ze wszystkich

możliwych stron, podobnie jak terier, który nie daje ani chwili wytchnienia osaczonemu szczurowi. Wymyślał dziesiątki różnych możliwych sposobów podejścia do problemu. Nieustannie sprawdzał na nowo każdy, nawet najmniejszy odprysk informacji, które posiadał. I na koniec, po odrzuceniu kilkunastu wstępnych możliwości, przeważnie wiedział dokładnie, co musi uczynić. Zdjął nogi ze stołu i złapał z półmiska wielkie, dojrzałe jabłko.

– Jimmy! – krzyknął na cały głos. Złodziejaszek przebudził się w okamgnieniu. Lata życia w niebezpieczeństwie wyrobiły w nim nawyk lekkiego snu. Arutha cisnął jabłkiem w chłopaka. Ten zerwał się z zadziwiającą szybkością i chwycił owoc o parę centymetrów od twarzy. Arutha zrozumiał wreszcie, dlaczego Jimmy znany był powszechnie jako „Rączka”.

– O co chodzi? – rzucił Jimmy, gryząc jednocześnie jabłko.

– Jesteś mi potrzebny. Zaniesiesz wiadomość do swego pana. –

Jimmy zamarł w bezruchu z zębami zatopionymi w owocu. – Pomożesz zorganizować moje spotkanie ze Sprawiedliwym. – Oczy Jimmy'ego zrobiły się okrągłe jak spodki. Nie wierzył wprost własnym uszom.

I znowu znad Morza Gorzkiego nadciągnął wał gęstej mgły, spowijając Krondor nieprzeniknionym woalem. Dwie postacie przemykały szybko obok nielicznych, otwartych jeszcze dla gości gospod i tawern. Arutha podązał za Jimmym, który prowadził go przez miasto. Wyszli z granic Dzielnicy Kupców i znaleźli się w znacznie gorszej części miasta, by po pewnym czasie zapuścić się w samo serce

Dzielnicy Biedoty. Gwałtowny skręt w boczną alejkę i po chwili znaleźli się w ślepych zaułku. Jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki, z mroku wyłoniło się trzech mężczyzn. W okamgnieniu Arutha dobył rapier i stanął gotowy do walki. Jimmy jednak zachował spokój.

– Jesteśmy pielgrzymami, którzy proszą o wskazanie drogi.

– Ja jestem przewodnikiem, pielgrzymi – powiedział obcy stojący na przodzie. – A teraz powiedz przyjacielowi, aby schował tę swoją wykałaczkę, bo w przeciwnym razie dostarczymy go na miejsce przeznaczenia w worku.

Nawet jeśli mężczyźni wiedzieli, kim jest Arutha, nie dawali tego po sobie poznać. Księżę powolnym ruchem schował broń. Dwaj pozostali ludzie podeszli bliżej i podali im przepaski na oczy.

– Po co to? – spytał Arutha.

– W ten sposób odbędziecie podróż – odpowiedział ich przywódca.

– Jeśli odmówicie, nie zrobicie ani kroku dalej.

Arutha zdusił w sobie narastające zniecierpliwienie i kiwnął głową. Obcy podeszli i Arutha zdążył jeszcze zobaczyć, jak zawiązują oczy Jimmy'emu, zanim sam został brutalnie pozbawiony światła. Z trudem pokonał odruch, aby zerwać opaskę.

– Zostaniecie stąd zaprowadzeni w inne miejsce, gdzie spotkacie następnych, i oni poprowadzą was dalej. Zanim dotrzecie do miejsca przeznaczenia, przejdziecie przez wiele rąk. Mówię o tym, abyście nie niepokoili się, jeśli w ciemności usłyszycie nagle koło siebie nieznaną głosy. Nie wiem, gdzie macie w końcu dojść, i nie chcę tego wiedzieć. Nie

wiem także, kim jesteście, lecz otrzymaliśmy rozkazy z bardzo wysoka, że macie być dostarczeni jak najszybciej i że nie może wam spaść włos z głowy. Ostrzegam jednak: opaski możecie zdjąć tylko w przypadku niespodziewanego, wielkiego niebezpieczeństwa. Począwszy od tej chwili, od tego miejsca nie macie prawa wiedzieć, gdzie się znajdujecie.

Arutha poczuł, że ktoś obwiązuje go w talii sznurem.

– Trzymajcie się mocno liny i stawiajcie pewnie kroki. Będziemy iść bardzo szybko.

Bez zbędnych słów Arutha został szarpnięty za sznur i poprowadzony w noc.

Przez prawie godzinę, jak ocenił Księżę, byli prowadzeni ulicami

Krondoru. Dwa razy potknął się i potłukł boleśnie. Przewodnicy nie przejmowali się zbyt swoimi podopiecznymi. Przynajmniej

trzykrotnie zmieniali już przewodników i Arutha nie miał pojęcia, kogo ujrzy przed sobą, kiedy zdejmą mu wreszcie opaskę. Wspięli się w końcu

na wysokie schody. Zanim mocne, szorstkie ręce zmusiły go, by usiadł,

Arutha usłyszał, jak otwierają się przed nimi i zamykają liczne drzwi.

Wreszcie ktoś zerwał mu opaskę z oczu. Oślepiło go ostre światło.

Na stole przed nim stało kilka latarń z wypolerowanymi do

lustrzanego połysku reflektorami odbijającymi płomień. Świeciły mu

prosto w twarz, oślepiając skutecznie, tak że nie mógł dostrzec, kto

siedzi po drugiej stronie stołu.

Arutha rozejrzał się. Po prawej stronie na stołku siedział Jimmy.

Minęła długa chwila absolutnej ciszy.

– Pozdrawiam, książę Krondoru. – Zza światel zagrzmiął nagle potężny, niski głos.

Arutha zmrużył oczy, wpatrując się w jasność, ale nie mógł dostrzec, kto siedzi przed nim.

– Czy rozmawiam ze Sprawiedliwym? Odpowiedź poprzedziła długa cisza.

– Niech ci wystarczy, że zostałem upoważniony, aby negocjować z tobą i osiągnąć porozumienie we wszystkim, czego sobie zażyczysz. Mówię jego głosem.

Arutha zastanawiał się przez chwilę.

– Niech będzie, zgoda. Szukam sprzymierzeńca. Zza luny światel doszedł go basowy chichot.

– A w czymże to księciu Krondoru jest potrzebna pomoc Sprawiedliwego?

– Chcę poznać sekrety Cechu Śmierci.

Po tych słowach zapadła długa, przejmująca cisza. Arutha nie potrafił odgadnąć, czy jego rozmówca konsultuje odpowiedź z kimś innym, czy zastanawia się, co powiedzieć.

– Usuńcie stąd chłopca i dopilnujcie, aby pozostał na zewnątrz – rozległ się głos spoza latarni.

Z ciemności za plecami wyłoniło się dwóch mężczyzn. Nie bawiąc się w ceregiele, złapali Jimmy'ego za kark i wyprowadzili z pokoju.

Kiedy zniknął za drzwiami, głos znowu się odezwał.

– Nocne Jastrzębie są źródłem wielu trosk Sprawiedliwego, książę

Krondoru. Korzystają bezprawnie z Gościńca Złodziei, a ich skrytobójcze morderstwa powodują wielkie zamieszanie wśród mieszkańców miasta, stawiając w nieprzychylnym świetle wiele działań Prześmiewców. Krótko mówiąc, źle wpływają na interesy. Z radością powitalibyśmy ich koniec, lecz wyjaw, Książę, jaki masz powód, by się ich pozbyć, poza tym, który przeważnie leży na sercach władców: nie lubią oni bowiem, gdy ich poddani są niewinnie mordowani w czasie snu?

– Zagrażają życiu mego brata i mojemu własnemu. I znowu zapadła długa cisza.

– Zatem mierzą wysoko, bardzo wysoko. Z drugiej strony jednak, zrodzonym z królewskiej krwi przydaje się zabijanie, podobnie jak pospółstwu.. Człowiek musi zarobić na chleb powszedni, jak tylko potrafi, nawet jeśli oznacza to, że jest płatnym zabójcą.

– Powinno być dla ciebie oczywiste, że mordowanie książąt będzie miało szczególnie zły wpływ na interesy – powiedział Arutha oschłym tonem. – Jestem przekonany, że Prześmiewcy bardzo szybko stwierdzą, iż prowadzenie interesów w mieście objętym stanem wyjątkowym jest dosyć trudne.

– Tak, to prawda. Z czym przychodzisz do naszego stołu rokowań?

– Nie przyszedłem się targować. Żądam współpracy. Potrzeba mi informacji. Muszę się dowiedzieć, gdzie znajduje się serce Nocnych Jastrzębi.

– Bezinteresowność nie przynosi wielu korzyści tym, którzy leżą

na zimnie w rynsztokach. Ręka Cechu Śmierci jest długa i sięga daleko.

– Nie dłuższa niż moja – odparował Arutha głosem, w którym nie było ani krzty humoru. – Widzę, że interesy Prześmiewców bardzo ucierpiały. Wiesz równie dobrze jak i ja, co się z wami stanie, jeśli ksiązę Krondoru wyda wojnę cechowi.

– Z konfliktu między cechem a Waszą Wysokością nie wynikną duże zyski, to pewne. Dla nikogo.

Arutha nachylił się do przodu. Jego ciemne oczy błyszczały w jaskrawym świetle.

– Ja... nie... szukam... zysku – powiedział powolutku, cedząc przez zęby słowo po słowie.

Po chwili ciszy nastąpiło głębokie westchnienie.

– No tak, w tym wypadku muszę ci, Książę, przyznać rację – powiedział głos z namysłem. Po chwili rozległ się donośny chichot. – To jedna z korzyści, kiedy się odziedziczy wysoką pozycję w społeczeństwie. Bez wątpienia, zarządzanie cechem przymierających głodem złodziei mogłoby się okazać kłopotliwe. Niech i tak będzie.

Zgoda, Arutho z Krondoru, lecz za ryzyko, które cech weźmie na siebie, żądamy rekompensaty. Pokazałeś już kij, a jak wygląda marchewka?

– Wymień swoją cenę. – Arutha wyprostował się.

– Chciałbym, aby jedno zostało jasno powiedziane. Książę:

Sprawiedliwy współczuje Waszej Wysokości z powodu problemów związanych z Cechem Śmierci. Nocnych Jastrzębi nie można już dłużej tolerować. Muszą być wyrwani z naszej ziemi z korzeniami, raz na

zawsze. Nie wolno jednak zapominać o wielkim ryzyku, jakie jest z tym związane, oraz o jeszcze większych a nieuniknionych w tej sytuacji kosztach. Taaa... to będzie bardzo kosztowne przedsięwzięcie...

– Twoja cena? – przerwał mu sucho Arutha.

– Ze względu na ryzyko, jakie wszyscy podejmujemy, gdyby się nam nie powiodło, dziesięć tysięcy złotych talarów.

– To stworzy sporą dziurę w skarbcu królewskim.

– Tak, to prawda, ale zastanów się, jaki masz wybór....

– Dobiliśmy targu.

– Później przekazemy instrukcję Sprawiedliwego co do sposobu i terminu płatności – odezwał się głos, w którym zabrzmiała nutka humoru. – A teraz mamy do omówienia jeszcze jedną sprawę.

– O co chodzi?

– Młody Jimmy Rączka złamał przysięgę daną Prześmiewcom.

Jego życie wisi na włosku. Za godzinę umrze.

Arutha, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczął powoli wstawać. W okamgnieniu z mroku wyłonił się ogromny mężczyzna.

Silne ręce zmusiły Księcia, aby usiadł z powrotem. Mężczyzna nie odezwał się ani słowem, pokręcił tylko przecząco głową.

– Jest nie do pomyślenia, Książę, abyś powrócił do pałacu w gorszym stanie zdrowia, niż byłeś w chwili, gdy do nas przybyłeś – powiedział głos – lecz spróbuj tylko zdobyć broni w tym pokoju, a dostarczą cię do pałacu w skrzyni. Konsekwencjami zajmiemy się później.

– Ale Jimmy...

– Złamał przysięgę! – przerwał mu głos. – Dał słowo honoru!

Powinien był natychmiast zameldować o pojawieniu się Nocnego

Jastrzębia. Tak samo jak był zobligowany przysięgą, aby zawiadomić

natychmiast o zdradzie Śmiejącego się Jacka. Tak, tak, Wasza

Wysokość, o tym też wiemy. Jimmy zdradził cech, by najpierw tobie

donieść o wszystkim. Są pewne sprawy, które można wybaczyć ze

względu na wiek, lecz te akurat czyny nie mieszczą się w tej kategorii.

– Nie będę stał spokojnie z boku przyglądając się, jak mordują

Jimmy'ego.

– Zatem wysłuchaj mnie, książę Krondoru, mam ci bowiem do

opowiedzenia taką oto historię. Pewnego razu Sprawiedliwy zabawił

się z ulicznicą. Robił to nieraz z setkami innych, z tą różnicą jednak, że

ta urodziła mu syna. Nie ulega najmniejszej wątpliwości: Jimmy

Rączka jest synem Sprawiedliwego, chociaż sam chłopak nie ma

pojęcia, kto jest jego ojcem. Jak widzisz, obecna sytuacja stawia

Sprawiedliwego wobec pewnego... hm... problemu. Jeśli chce

przestrzegać praw, które sam przecież ustanowił, powinien polecić, aby

zabito jego własnego syna. Jeśli nie zdecyduje się na ten krok, straci

autorytet i zaufanie tych, którzy mu służą. Nieprzyjemny wybór.

Bardzo nieprzyjemny. Już teraz, po tym, jak wyszło na jaw, że Jack był

agentem Nocnych Jastrzębi, w Cechu Złodziei aż się gotuje. Zaufanie to

zawsze bardzo delikatny i kruchy towar; a w tej chwili wisi dosłownie

na włosku. Czy znasz jakiś inny sposób?

Arutha uśmiechnął się, ponieważ znał inny sposób.

– W czasach nie tak znowu odległych zdarzały się przypadki

kupienia sobie przebaczenia. Wymień cenę.

– Za zdradę? Nie mniej niż następne dziesięć tysięcy złotych

talarów.

Arutha pokręcił głową. Skarbiec zacznie świecić pustą podłogą. Z

drugiej jednak strony Jimmy musiał przecież sobie zdawać sprawę z

ryzyka, jakie podejmuje, zdradzając Prześmiewców, aby go ostrzec, a to

było wiele warte.

– Załatwione – powiedział z kwaśną miną.

– W takim razie musisz trzymać chłopaka u siebie, książę

Krondoru, ponieważ już nigdy nie będzie jednym z nas. Żaden z

Prześmiewców nigdy nie będzie usiłował go skrzywdzić... chyba że

znowu wkroczy na nasze terytorium, a wtedy postąpimy z nim, jak z

każdym wolnym strzelcem. Ostro.

Arutha wstał.

– Czy załatwiliśmy już wszystko?

– Tak, z wyjątkiem jednej, ostatniej sprawy.

– Tak?

– Również w czasach nie tak znowu odległych zdarzało się nie raz,

nie dwa kupowanie tytułu szlacheckiego za odpowiednią cenę w złocie,

oczywiście. Jakiej ceny zażądałbyś, Książę, od ojca, który pragnie, by

jego syn otrzymał tytuł skromnego szlachcica na dworze książęcym?

Arutha wybuchnął śmiechem, kiedy zrozumiał kierunek odbytych

negocjacji.

– Dwadzieścia tysięcy złotych talarów.

– Załatwione! Chociaż Sprawiedliwy ma wiele nieślubnych dzieci, to jednak Jimmy zajmuje w jego sercu szczególne miejsce. Życzeniem Sprawiedliwego jest, aby Jimmy o niczym się nie dowiedział. Myśl, że dzięki dzisiejszym negocjacjom przed jego synem rysuje się jasna przyszłość, sprawia mu ogromną przyjemność.

– Chłopak zostanie umieszczony w mojej osobistej służbie i nie dowie się, kto jest jego ojcem. Czy spotkamy się jeszcze kiedyś?

– Nie wydaje mi się, książę Krondoru. Sprawiedliwy zazdrośnie strzeże swej tożsamości. Nawet zbliżenie się do tego, który przemawia jego głosem, już stanowi dla niego zagrożenie. Z pewnością otrzymasz jasne informacje, gdy tylko dowiemy się, gdzie znajduje się gniazdo Nocnych Jastrzębi. I z radością powitamy wieści o zmieceniu ich z powierzchni ziemi.

Jimmy czekał nerwowo. Od przeszło trzech godzin Arutha był zamknięty w sali z Gardanem, Volneyem, Lauriem oraz najbardziej zaufanymi członkami jego rady. Chłopak został poproszony o pozostanie w pokoju, który przeznaczono dla niego. Obecność przed drzwiami dwóch wartowników oraz dwóch następnych na zewnątrz pod balkonem jego pokoju świadczyła dobitnie, że z takich czy innych powodów był więźniem. Jimmy nie miał najmniejszych wątpliwości, że zdołałby uciec niepostrzeżenie w nocy, gdyby był w dobrej kondycji, lecz po wydarzeniach ostatnich kilku dni czuł się podle. Poza tym, gdy

pozwolono mu odejść wolno z Księciem do pałacu, nie mógł się połączyć w swojej sytuacji. Czuł się nieswojo. W jego życiu coś się zmieniło, a on nie był pewien co i dlaczego.

Drzwi otworzyły się i pojawiła się głowa jednego z gwardzistów.

Machnął ręką na Jimmy'ego.

– Chłopcze, Jego Wysokość chce cię zobaczyć u siebie. Jimmy ruszył szybko za żołnierzem, który poprowadził go długim korytarzem do sali narad.

Arutha siedział przy stole i czytał. Podniósł wzrok na wchodzącego chłopca. Wokół stołu zasiadali także Gardan, Laurie i kilka innych osób, których Jimmy nie znał. Przy drzwiach stał książę Volney.

– Jimmy, mam tu coś dla ciebie. Jimmy rozglądał się po zebranych, nie bardzo wiedząc, co ma powiedzieć.

– To królewski patent, który nadaje ci godność szlachcica na dworze książęcym – powiedział Arutha.

W Jimmy'ego jakby piorun strzelił. Odebrało mu mowę. Stał i gapił się na Księcia szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Laurie nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Gardan uśmiechnął się. Po chwili Jimmy doszedł do siebie.

– Żarty sobie ze mnie robicie, prawda? – Arutha przecząco pokręcił głową. – Ja, szlachcicem?

– Ocaliłeś mi życie i należy ci się nagroda.

– Ależ, Wasza Wysokość, ja dziękuję bardzo, ale wisi mi nad

głową ta... przysięgałem przeciw Przześmiewcom. Arutha nachylił się ku niemu.

– Tę sprawę mamy już za sobą, szlachetny panie. Nie jesteś już członkiem Cechu Złodziei. Sprawiedliwy wyraził zgodę. Sprawa załatwiona raz na zawsze.

Jimmy poczuł się jak w pułapce. Zgoda, bycie złodziejem nigdy nie sprawiało mu wielkiej przyjemności. Bardzo jednak lubił być bardzo dobrym złodziejem. Przemawiało do niego to, że dosłownie na każdym kroku mógł się sprawdzić. Mógł pokazać wszystkim, że on – Jimmy Rączka, jest najlepszym złodziejem w całym cech... lub zostanie nim pewnego dnia. A teraz co? Będzie przykuty do domu Księcia, no i wraz ze stanowiskiem przychodzą zazwyczaj i obowiązki. Do tego jeszcze Sprawiedliwy wyraził zgodę. Oznaczało to, że Jimmy na zawsze został pozbawiony możliwości wstępu do społeczności ulicy.

Laurie zauważył brak entuzjazmu malujący się na twarzy chłopaka.

– Czy mogę. Wasza Wysokość? Arutha kiwnął głową. Trubadur wstał, podszedł do Jimmy'ego i położył mu rękę na ramieniu.

– Jimmy, Jego Wysokość stara się po prostu, abyś utrzymał głowę nad wodą, dosłownie. Musiał się targować o twoje życie. Gdyby tego nie zrobił, w tej chwili właśnie pływałbyś już martwy w wodach portu.

Sprawiedliwy od dawna wiedział, że złamałeś przysięgę złożoną Przześmiewcom.

Jimmy aż przysiadł z wrażenia. Laurie ścisnął go za ramię, aby

*dodać mu otuchy. Chłopakowi zawsze się wydawało, że stoi ponad
wszelkimi
prawami,
wolny
od
odpowiedzialności
krępującej
postępowanie innych. Nie wiedział, dlaczego obdarzano go tyle razy
specjalnymi względami, podczas gdy inni z nawiązką płacili za swoje
przewinienia. Zrozumiał, że tym razem przeciągnął strunę. Ani przez
chwilę nie wątpił, że Laurie mówi prawdę. Siedział z pochyloną głową,
a w sercu – kiedy pomyślał, jak niewiele brakowało, by został
zamordowany – kłębiły się sprzeczne uczucia.*

*– Życie pałacowe nie jest takie złe – pocieszał go Laurie. –
Budynek jest dobrze ogrzany, będziesz miał zawsze czyste ubranie, a do
tego jeszcze tyle żarcia, ile tylko dusza zapragnie. Zobaczysz, napotkasz
tu wiele rzeczy i spraw, które z pewnością cię zainteresują. – Zerknął w
stronę Aruthy i dodał: – Szczególnie teraz.*

*Jimmy kiwnął głową. Laurie wstał i poprowadził go na drugą
stronę stołu. Kazano Jimmy'emu uklęknąć. Księżę Volney szybko
odczytał patent nobilitujący.*

*– „Do wszystkich mieszkańców naszych ziem: Młodzieniec Jimmy,
sierota z miasta Krondor, wyświadczył wielkie usługi, zapobiegając
zranieniu królewskiej osoby księcia Krondoru. Na zawsze pozostaniemy*

jego dłużnikami. Dlatego życzeniem naszym jest, aby stało się wiadome wszem i wobec na ziemiach naszych, iż młodzieniec ten jest naszym ukochanym, królewskim sługą. Ponadto życzeniem naszym jest również, aby otrzymał on miejsce na dworze Krondor i został zaliczony w poczet szlachty z wszelkimi należnymi tej pozycji prawami i przywilejami. Czynimy ponadto wiadomym, że młodzieniec ten oraz jego potomkowie – póki jego linia nie wygaśnie – otrzymują rzeczywisty tytuł własności do posiadłości Haverford nad rzeką Welandel wraz ze służbą i całym jego majątkiem ruchomym i nieruchomym. Tytuł własności do tego majątku pozostanie w gestii korony aż do osiągnięcia przez niego pełnoletności. Sporządzono w dniu dzisiejszym, podpisano moją własną ręką i opatrzono pieczęcią, Arutha conDoin, księżę Krondoru; Marszałek Królewskich Armii na Ziemiach Zachodu; Rzeczywisty Następca Tronu Rillanon”.

Volney przeniósł wzrok na Jimmy'ego.

– Czy przyjmujesz na siebie tę odpowiedzialność?

– Tak.

Volney zwinął pergamin i podał chłopcu. Najwyraźniej było to wszystko, co należało uczynić, by zmienić złodzieja w szlachcica.

Jimmy nie miał, oczywiście, zielonego pojęcia, gdzie leży posiadłość Haverford nad rzeką Welandel, lecz ziemia oznaczała dochód i jego twarz momentalnie się rozjaśniła. Kiedy wstawał i odchodził na bok, zerknął na zatopionego w myślach Aruthę. Już dwukrotnie ślepy los zetknął go z Księciem i dwukrotnie też Arutha był jedyną osobą,

która niczego od niego nie chciała. Nawet przyjaciele z kręgu Prześmiewców przynajmniej raz próbowali go jakoś wykorzystać, póki nie przekonał ich, że to dość trudne zadanie. Znajomość z Arutha była dla chłopaka zupełną nowością. Patrząc na księcia pogrążonego w lekturze jakiegoś dokumentu, Jimmy zdecydował, że jeśli los znowu wziął jego życie w swoje ręce, równie dobrze, zamiast pętać się bez celu po świecie, może zostać z Księciem i jego wesołą bandą. Będzie też miał stałe źródło dochodów i wygodne życie tak długo, jak długo będzie żył Arutha, chociaż to akurat, pomyślał z goryczą, może się okazać problematyczne.

Kiedy Jimmy studiował z zaciekawieniem swój patent szlachecki, był z kolei obserwowany przez Aruthę. Bez wątpienia chłopak był dzieckiem ulicy: twardym, potrafiącym elastycznie reagować na każdą sytuację, pełnym pomysłów i czasem okrutnym. Arutha uśmiechnął się do siebie. Z takimi cechami powinien doskonale sobie radzić na dworze. Jimmy zwinął pergamin w rulon.

– Twój były pan, Jimmy, działa błyskawicznie. – Spojrzał na pozostałych. – Mam tu przed sobą wiadomość od niego, z której wynika, że udało mu się już odkryć gniazdo Nocnych Jastrzębi. Pisze, że lada chwila możemy się spodziewać nowych wieści. Wyraża też żal i przeprasza, ale będzie musiał się powstrzymać od udzielenia bezpośredniej pomocy w zmieceniu ich z powierzchni ziemi. Jimmy, co o tym sądzisz?

– Sprawiedliwy wie, jak rozegrać każdą partię. – Jimmy

uśmiechnął się od ucha do ucha. – Jeśli uda się wam zniszczyć Nocne Jastrzębie, wszystko wróci do normy. Jeśli się nie powiedzie, nikt nie będzie podejrzewał, że Sprawiedliwy maczał w tym palce. W każdym przypadku nic nie traci.

– Zamilkł na chwilę, po czym dodał poważnym już tonem:

– Nie może też zapominać o ewentualności kolejnej infiltracji szeregów Prześmiewców. Gdyby do tego doszło, wówczas jakikolwiek bardziej bezpośredni udział Prześmiewców mógłby narazić całe przedsięwzięcie na niepowodzenie i niebezpieczeństwo.

– Czy sprawy zaszły aż tak daleko? – Arutha dobrze rozumiał słowa chłopca.

– Najprawdopodobniej, Wasza Wysokość. Bezpośredni dostęp do samego Sprawiedliwego ma najwyżej trzech czy czterech ludzi. Tylko im może on całkowicie ufać. Podejrzewam, że szef musi mieć kilku własnych agentów działających poza cechem, których zna tylko on i wąski krąg najbardziej zaufanych, a i tego nie byłbym taki pewien, może jednak tylko on sam? I to pewnie ich właśnie wykorzystuje teraz, by dokopać się do gniazda Nocnych Jastrzębi. Jest ponad dwustu Prześmiewców i dwakroć tyle żebraków i wszelkiej maści uliczników, spośród których każdy może być okiem i uchem Cechu Śmierci.

Na ustach Aruthy pojawił się charakterystyczny, krzywy uśmiezek.

– Bystry jesteś, panie Jamesie – powiedział Volney. – Będiesz nieocenionym skarbem dla Jego Wysokości.

Jimmy wyglądał przez chwilę, jakby skosztował czegoś gorzkiego.

Skrzywił się, mrucząc pod nosem:

– Panie Jamesie?

Arutha zdawał się nie zauważać kwaśnej miny chłopca.

– Wszystkim przyda się trochę wypoczynku. Nim otrzymamy wiadomości od Sprawiedliwego, spróbujmy dojść trochę do siebie po trudach ostatnich kilku dni. To najlepsze, co możemy uczynić. – Wstał od stołu. – Życzę wszystkim dobrej nocy.

Arutha szybkim krokiem opuścił pokój. Volney zebrał papiery ze stołu i również pośpieszył, by zająć się swoimi sprawami.

Laurie podszedł do Jimmy'ego.

– Najlepiej będzie, jak cię wezmę na hol, młodzieńcze. Ktoś powinien cię nauczyć paru podstawowych rzeczy o ludziach z wyższych sfer.

Zbliżył się Gardan.

– No to chłopak ma przechlapane, Księżę zawsze będzie świecił za niego oczami. Laurie westchnął ciężko.

– Masz przed sobą żywy dowód, chłopcze – ciągnął dalej Laurie zwrócony do Jimmy'ego – że nawet gdy obdarzy się kogoś pozycją i rangą, to jeśli zaczynał on jako sprzątac w koszarach, pozostanie nim w duszy do końca życia.

– Sprzątac koszar!?! – odciął się Gardan z udawanym oburzeniem. – Ty niewydarzony grajku, ja przynajmniej pochodzę z długiej linii wielkich bohaterów...

Jimmy westchnął z rezygnacją i poszedł za dwoma docinającymi sobie przyjaciółmi. Biorąc wszystko pod uwagę, jeszcze tydzień temu życie było o wiele prostsze. Próbował się rozchmurzyć, ale nie wyszło mu to za bardzo. W tym momencie można o nim było powiedzieć, że wyglądał jak kot, który wpadł do beczki ze śmietaną i nie może się zdecydować, czy zacząć chleptać, ile dusza zapragnie, czy też płynąć, ile sił w łapach do krawędzi, ratując życie.

ZAGŁADA

Arutha przyglądał się uważnie staremu złodziejowi. Poślaniec od Sprawiedliwego czekał cierpliwie, podczas gdy Księżę czytał poślanie.

Teraz Księżę wpatrywał się w niego przenikliwym wzrokiem.

– Wiesz, co tu jest napisane?

– Szczegółów nie znam. Ten, kto przekazał wiadomość, udzielił mi bardzo drobiazgowych instrukcji. – Stary złodziej, którego wiek pozbawił szybkości i zwinności w zawodowych działaniach, stał przed Księciem, głaszcząc się bezwiednie po tysej czaszce. – Powiedział, że chłopak zaprowadzi cię z łatwością do miejsca wymienionego w piśmie, Wasza Wysokość. Poleciał także przekazać, że co do samego chłopaka to wszystkie właściwe osoby zostały stosownie poinformowane i Prześmiewcy uważają sprawę za zamkniętą. – Stary rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę stojącego z boku Jimmy'ego i puścił do niego oko. Dało się słyszeć głębokie westchnienie ulgi. Kamień spadł Jimmy'emu z serca. Puszczony do niego oko powiedziało dodatkowo, że chociaż nie będzie już nigdy Prześmiewcą, to jednak nikt nie zabroni mu wstępu na

ulice miasta, i że stary Szybki Alvarny nadal jest jego przyjacielem.

– Powiedz swemu szefowi, że bardzo mnie ucieszyło szybkie rozwiązanie problemu. Przekaż mu także, że jeszcze dziś wieczór doprowadzimy sprawę do końca. Zrozumie.

Arutha skinął na gwardzistę, aby odprowadził Alvarny'ego, i zwrócił się do Gardana:

– Wybierz natychmiast grupę najbardziej zaufanych żołnierzy i tropicieli, którzy zostali jeszcze w garnizonie. Nie bierzemy żadnych nowych. I żadnych oficjalnych rozkazów. Przekaż osobiście i w cztery oczy każdemu z nich, że mają się stawić w pobliżu bocznej bramy o zachodzie słońca. Niech idą na miejsce spotkania pojedynczo albo najwyżej parami. Mają wybierać różne trasy dojścia i niech bacznie rozglądają się, czy nikt ich nie śledzi. Najlepiej, żeby powłóczyli się trochę po mieście, jakby byli na przepustce, zjedli kolację i tak dalej.

Uwaga jednak, żadnego ostrego picia. Do północy chcę mieć ich wszystkich w gospodzie Pod Tęczową Papugą.

Gardan zasalutował i wyszedł.

– Pewnie myślisz, że postąpiliśmy z tobą bardzo ostro?

– spytał Arutha Jimmy'ego, kiedy zostali sami. Na twarzy chłopaka pojawiło się zdumienie.

– Nie, Wasza Wysokość, tylko wydało mi się to wszystko trochę dziwne. A po drugie, tak czy siak, tobie, panie, zawdzięczam to, że jeszcze żyję.

– Zostałeś wyrwany z jedynej rodziny, jaką znałeś. Bałem się, że ci

się to nie spodoba. – Jimmy wzruszył ramionami.

– A co do uratowania życia... – Odchylił się na oparcie krzesła i przykładając palec do policzka, uśmiechnął się. – ...to teraz jesteśmy kwita, panie James. Gdybyś tamtej nocy nie zareagował tak błyskawicznie, byłbym teraz krótszy o głowę.

– Skoro jesteśmy kwita, to skąd ten tytuł? – zapytał Jimmy z uśmiechem.

Arutha przypomniał sobie słowo dane Sprawiedliwemu.

– Uważaj to za sposób trzymania cię na oku. Możesz swobodnie poruszać się wszędzie, gdzie tylko chcesz, oczywiście pod warunkiem, że będziesz się wywiązywał ze swoich nowych obowiązków. Pamiętaj jednak, jeśli dowiem się, że z kredensu zginęły jakieś złote kubki, osobiście zawlokę cię za kark do najgłębszego lochu. – Jimmy znowu się roześmiał. Twarz Aruthy przybrała poważny wyraz. – Jest jeszcze jedna sprawa. Na początku tego tygodnia ktoś wszedł w drogę i pokrzyżował plany zabójcy. Działo się to na dachu domu pewnego folusznika. Poza tym nie powiedziałeś mi do tej pory, dlaczego wybrałeś przyjscie do mnie z wiadomością o Nocnym Jastrzębiu, zamiast natychmiast zameldować Prześmiewcom, jak powinienes.

Jimmy spojrzał na Aruthę wzrokiem o wiele dojrzałym, niż wskazywałaby na to jego chłopięca twarz. Zapadła chwila ciszy.

– Tej nocy, panie, w porcie, gdy wraz z księżniczką uciekłeś z Kronodoru, wpadłem w potrzask – oddział konnych Czarnego Guya zagroził mi drogę ku wolności. Wtedy rzuciłeś mi swoją broń, i to

zanim uzyskałeś pewność, że samemu uda ci się ujść bezpiecznie z życiem. A kiedy ukrywaliśmy się w tamtym domu, nauczyłeś mnie szermierki. No i zawsze traktowałeś mnie na równi ze wszystkimi innymi. – Zamilkł na moment. – Traktowałeś mnie jak przyjaciela. Ja miałem bardzo niewiele... przyjaciół. Wasza Wysokość.

– Ja też, Jimmy. – Arutha skinął głową. – Jest bardzo niewiele osób, które mogę zaliczyć do grona moich prawdziwych przyjaciół: rodzina, magowie Pug i Kulgan, ojciec Tully i Gardan. – Usta Aruthy wykrzywił grymas. – Laurie wydaje się kimś więcej niż zwykłym dworzaniem i myślę, że zostanie kiedyś moim przyjacielem. Gotów jestem pójść jeszcze dalej i zaliczyć do grona prawdziwych przyjaciół pirata Amosa Traska. A jeśli Amos może być przyjacielem księcia Krondoru, to dlaczego nie miałby nim być Jimmy Rączka?

Jimmy uśmiechnął się, a w kącikach oczu pojawiła się podejrzana wilgoć.

– Rzeczywiście, dlaczego nie? – Przełknął z trudem ślinę. Po chwili uczucia zniknęły pod zwykłą maską. – A co się stało z Amosem?

Arutha usiadł wygodniej.

– No cóż, kiedy go widziałem po raz ostatni, kradł właśnie statek królewski. – Jimmy parsknął rubasznym śmiechem. – Od tamtego czasu nie miałem o nim ani od niego żadnych wiadomości. Dużo bym dał, aby dziś w nocy mieć tego zabijakę u swego boku. – Uśmiech zniknął z twarzy Jimmy'ego.

– Aż mi się robi niedobrze, gdy o tym pomyślę... ale co będzie, jeśli

się znowu nadziejemy na jedną z tych przeklętych istot, które nie chcą umierać?

– Nathan uważa to za mało prawdopodobne. Sądzi, że stało się to tylko dlatego, że kapłanka przywołała „tamto coś” z powrotem na ten świat. Nie mamy też czasu, by czekać, aż kapłani raczą jakoś zadziałać.

Jedynie kapłan śmierci, Julian, zaofiarował swą pomoc.

– Taak... widzieliśmy już, ile mogą pomóc ci, którzy służą

Lims-Kragmie – skomentował cierpko Jimmy. – Miejmy nadzieję, że ojciec Nathan wie, co mówi.

Arutha wstał.

– Chodź, wykorzystajmy tę odrobinę czasu, która nam pozostała, by trochę wypocząć. Dzisiejszej nocy bowiem czeka nas ciężki i krwawy trud.

Przez cały wieczór pojedynczy żołnierze i niewielkie ich grupki, przebrane za zwykłych najemników, włóczyli się po uliczkach

Krondoru. Mijając się udawali, że się w ogóle nie znają. O trzeciej nad ranem w gospodzie Pod Tęczową Papugą zebrało się ponad stu ludzi.

Kilku wyciągało już z dużych worków kaftany mundurowe, by w czasie akcji wystąpić w barwach książęcych.

Jimmy wszedł w towarzystwie dwóch mężczyzn ubranych w proste stroje leśniczych, członków elitarnego oddziału wojskowych zwiadowców

Aruthy,

Królewskich

Tropicieli.

Starszy

rangą

zasalutował.

– Ten młodziak, Wasza Wysokość, ma oczy jak kot. Trzy razy wypatrzył, że ktoś śledził naszych ludzi w drodze do gospody.

Arutha spojrział na nich pytającym wzrokiem.

– Dwóch z nich to żebracy, których znałem z widzenia –

powiedział Jimmy. – Łatwo było ich wypatrzyć i przegonić, lecz ten

trzeci... sam nie wiem... być może szedł tylko za nami, żeby się

przekonać, co się święci? W każdym razie, kiedy zablokowaliśmy mu

drogę, subtelnie i delikatnie, pozwolę sobie dodać, by uspokoić

ewentualne obawy Waszej Wysokości, on po prostu poszedł w innym

kierunku. Być może to nic groźnego, tylko zbieg okoliczności.

– A może wprost przeciwnie? Tak czy inaczej, nie możemy zrobić

nic więcej ponad to, co już zrobiliśmy. Nawet jeśli Nocne Jastrzębie

domyślają się, że szykujemy jakąś akcję, nie będą wiedzieć ani gdzie,

ani kiedy to nastąpi. Popatrz tutaj – powiedział do Jimmy'ego,

wskazując na mapę leżącą przed nim na stole. – Otrzymałem ją od

królewskiego architekta. Mapa jest co prawda dosyć stara, lecz według

niego powinna w miarę dokładnie pokazywać sieć kanałów ściekowych.

Chłopak przez chwilę w milczeniu przyglądał się mapie.

– Być może było tak kilkanaście lat temu. – Wskazał na jeden

punkt, potem na inny. – O, tutaj na przykład zawałiła się ściana kanału

i chociaż ścieki nadal jakoś przepływają, to jednak jest tam zbyt wąsko, aby człowiek mógł się przecisnąć. W tym miejscu z kolei grabarz, który chciał się łatwiej pozbyć swoich ścieków, przebił nowy tunel. – Chłopak nadal studiował mapę z uwagą. – Jest tu może pióro i atrament? Albo kawałek węgla drzewnego? – Po chwili podano mu kawałek węgla i Jimmy zaczął nanosić na mapie poprawki. – Nasz przyjaciel Lucas ma w piwnicy tajne przejście do systemu kanałów.

Stojącemu za barem staremu właścicielowi gospody opadła szczęka, kiedy usłyszał słowa Jimmy'ego.

– Jak to? Skąd wiesz?

Jimmy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Szczyty dachów to nie jedyny Gościniec Złodziei. Stąd – wskazał palcem punkt na mapie – oddziały mogą przejść do tych dwóch miejsc.

Wyjścia z gniazda Nocnych Jastrzębi zostały zlokalizowane bardzo sprytnie. Każde z nich ma ujście do tunelu, który nie jest bezpośrednio połączony z innymi. Drzwi może dzielić odległość zaledwie paru metrów, ale jest to parę metrów solidnej ściany z cegieł i kamieni. Aby dojść od jednego wyjścia do drugiego, trzeba pokonać kilometry krętych tuneli. Odnalezienie drogi między jednymi drzwiami a drugimi zabrałoby wam dobrą godzinę. Poważnym problemem jest natomiast trzecie wyjście, za którym znajduje się obszerna wolna przestrzeń, stamtąd zaś odchodzi kilkanaście tuneli, którymi mogą uciekać. Jest ich stanowczo zbyt dużo. aby wszystkie zablokować.

Gardan stał za chłopakiem i zaglądał mu przez ramię.

– A to oznacza konieczność skoordynowanego ataku – powiedział.

– Jimmy, czy stojąc przy jednych drzwiach, można usłyszeć, gdyby ktoś siłą wdarł się przez drugie?

– Chyba tak. A jeśli ktoś prześlizgnie się na sam szczyt schodów, to na pewno. Szczególnie o tej porze. Zdziwiłbyś się, jak wiele cichych z pozoru dźwięków dochodzi na dół z ulicy w dzień, a co dopiero w nocy...

Arutha zwrócił się do dwóch Tropicieli.

– Czy na podstawie mapy będziecie potrafili odnaleźć te miejsca?

– Obaj kiwnęli głowami. – To dobrze. Podzielimy się na trzy grupy.

Dwie z nich wy poprowadzicie. Pozostali pójdą ze mną i Gardanem.

Poprowadzi nas Jimmy. Rozstawicie ludzi na pozycjach, ale nie

wejdziecie do podziemi tego budynku, chyba że zostanieie wcześniej

odkryci lub usłyszycie odgłosy ataku naszego oddziału. Wtedy ruszajcie

natychmiast. Gardan, ci na ulicach powinni już być na pozycjach. Czy

wszyscy otrzymali rozkazy?

– Tak. Każdy został poinstruowany co i jak. Jak się tylko zacznie,

nikt, absolutnie nikt, nie może opuścić tego domu, jeśli nie będzie miał

na sobie munduru i nie będzie znany z widzenia. Na dachach

otaczających domów rozmieściłem trzydziestu luczników, by zniechęcić

tych, którzy próbowaliby wymknąć się cichcem. Jak tylko się zacznie,

herold zadmie w róg i z pałacu natychmiast wyruszą dwie kompanie

konnych. Dotrą do nas najdalej w ciągu pięciu minut. Otrzymali

rozkazy, aby rozjechać każdego obcego, którego spotkają na ulicy.

Arutha szybko włożył kaftan i rzucił po jednym Jimmy'emu i

Lauriemu. Kiedy wszyscy mieli już na sobie książęcą purpurę i czerń,

Arutha krzyknął: Już czas!

Dwóch Tropicielei poprowadziło swoje oddziały do podziemi

gospody. Nadszedł czas, by Jimmy ruszył na czele grupy Księcia.

Zaprowadził ich do tajnego przejścia za pustą beczką przy ścianie, a

potem wąskimi schodkami w dół do kanału ściekowego. Smród bijący z

nieczystości sprawił, że kilku żołnierzy zaczęło kaszleć i cicho kląć pod

nosem. Gardan zwrócił im ostro uwagę i momentalnie w szeregach

zapanował porządek. Zapalono kilka zasłoniętych latarni. Jimmy dał

znak, by sformowali pojedynczą kolumnę i poprowadził jeźdźców

Księcia w kierunku Dzielnicy Kupców.

Po prawie półgodzinnym marszu kanałami niosącymi powoli

śmieci i nieczystości w stronę portu zbliżyli się do sporej wolnej

przestrzeni, jakby placyku. Arutha polecił, by całkowicie zasłonięte

latarnie. Jimmy ruszył samotnie do przodu. Arutha próbował śledzić go

wzrokiem, lecz ze zdumieniem zauważył, że Jimmy zniknął w ciemności

jak duch. Na próżno wyteżał słuch, chłopak poruszał się bezszelestnie.

Dla czekających żołnierzy najdziwniejsza była absolutna, martwa cisza,

przerywana jedynie co jakiś czas chlupotaniem leniwie płynących

ścieków. Oczywiście, z obawy przed przedwczesnym zaalarmowaniem

ewentualnych posterunków wystawionych przez Nocne Jastrzębie,

wszyscy zadbali o odpowiednie zabezpieczenie swojego oręża, by nie

wydawał najmniejszego dźwięku.

Jimmy powrócił po chwili, pokazując na migi, że u podnóża

schodów wiodących do budynku stoi jeden wartownik. Nachylił się do ucha Aruthy.

– Żadnemu z twoich ludzi, panie, nie uda się go podejść niepostrzeżenie, zanim podniesie alarm. Tylko ja mam jakieś szansę. Kiedy usłyszycie szamotaninę, ruszajcie biegiem.

Jimmy wyciągnął zza cholewy sztylet i zniknął bezszelestnie. Po kilku chwilach dało się słyszeć bolesne sieknięcie i Arutha ruszył na czele swych ludzi, nie dbając dłużej o zachowanie ciszy. Księżę pierwszy dopadł do chłopaka, który zmagał się z potężnym wartownikiem.

Jimmy podkradł się do niego od tyłu, skoczył i chwycił za gardło, lecz tylko go ranił. Jego sztylet leżał na kamieniach obok. Wartownik, duszony ramieniem chłopaka, zsiniał i nie mógł złapać tchu, lecz próbował zrzucić z siebie napastnika, uderzając nim z całej siły o ścianę. Jednym pchnięciem Arutha zakończył walkę i wartownik osunął się bez słowa na ziemię. Jimmy puścił jego szyję i uśmiechnął się słabo.

Dostał tęgie baty.

– Zostań tutaj – szepnęła Arutha i dał znak swym ludziom, by szli za nim.

Ignorując obietnicę daną Volneyowi, że poczeka, aż Gardan rozpocznie atak, Arutha ruszył po cichu w górę. Zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami zamkniętymi na pojedynczą zasuwkę, przyłożył ucho do desek i nasłuchiwał uważnie. Z drugiej strony dochodziły przytłumione głosy. Podniósł ostrzegawczo rękę. Gardan i jego ludzie zwolnili kroku.

Arutha powolutku odsunął zasuwkę i pchnął delikatnie drzwi.

Zajrzał przez szparę do obszernej, jasno oświetlonej piwnicy. Wokół trzech stołów siedziało kilkunastu uzbrojonych ludzi. Kilku z nich czyściło broń i zbroje. Obraz, który miał przed oczami, przypominał raczej koszary niż piwnicę. Jednak o wiele bardziej zdumiało Księcia, że piwnica ta znajdowała się bezpośrednio pod najbardziej uczęszczanym i popularnym domem publicznym w mieście. Domem pod Wierzbami.

Odwiedzała go większość kupców i niemała grupka pomniejszej szlachty Krondoru. Arutha zrozumiał nareszcie, skąd Nocne Jastrzębie miały dostęp do tak wielu informacji o pałacu i jego własnych poczynaniach. Zapewne niejeden dworzanin chwalił się dziwce takim czy innym, sobie tylko znanym „sekretem” z życia pałacu, chcąc jej zaimponować. Zabójcom wystarczyła zapewne krótka wzmianka kogoś z pałacu, że Gardan zamierza udać się do wschodniej bramy na spotkanie z Księciem, by domyślić się trasy przejazdu Aruthy kilka dni wcześniej.

Nagle w polu widzenia Księcia pojawiła się niesamowita postać.

Księżęomal nie krzyknął z wrażenia. Do człowieka oliwiącego miecz podszedł wojownik moredhel i coś mówił, nachyliwszy się do jego ucha.

Mężczyzna kiwnął głową, a Mroczny Brat mówił dalej. Nagłym ruchem okręcił się na pięcie, wyciągnął rękę w stronę uchylonych drzwi i otworzył jednocześnie usta, aby coś powiedzieć. Arutha nie wahał się ani sekundy.

– Teraz! – krzyknął, wpadając do pomieszczenia. W piwnicy

zakotłowało się. Ci, którzy jeszcze przed chwilą siedzieli, spokojnie czyszcząc broń, chwytali za nią i momentalnie rzucali się do walki. Inni zrywali się z miejsc i uciekali przez drzwi prowadzące na górę, do burdelu lub do drugiego wyjścia do kanałów. Z góry rozległy się nagle głośne okrzyki klientów przestraszonych pojawieniem się uciekających zabójców. Ci zaś, którzy próbowali ucieczki przez podziemia, wracali równie szybko, jak wybiegli, spychani przez drugi oddział Aruthy nacierający z dołu.

Arutha zrobił unik przed ciosem moredhela i odskoczył w bok. Do pomieszczenia wlewała się fala jego żołnierzy. Z marszu rzucali się w wir walki i po chwili oddzielili Księcia od Mrocznego Brata. Kilku zabójców, nie zważając zupełnie na swe własne bezpieczeństwo, stawiało zajadle czoło nacierającym, zmuszając żołnierzy, by ich zabili. Jedynym wyjątkiem był moredhel, który walczył jak oszalały, próbując przedrzeć się w stronę Księcia.

– Weźcie go żywcem! – krzyknął Arutha. Po chwili moredhel pozostał jedynym żywym Jastrzębiem w piwnicy. Przyparty do muru nie mógł zrobić ani kroku. Arutha podszedł bliżej. Ciemny Elf wbił płonący nienawiścią wzrok w twarz Księcia. Kiedy pozwolił się wreszcie rozbroić, Arutha schował swoją broń. Książę po raz pierwszy w życiu znalazł się tak blisko żywego moredhela. Przyjrzał mu się uważnie. Nie było wątpliwości, że był to bliski kuzyn Elfów, chociaż Elfy miały przeważnie jaśniejsze włosy i oczy. I jak kiedyś zauważył Martin, moredhele były bardzo piękną rasą, chociaż o mrocznej duszy. Nagle,

kiedy jeden z żołnierzy nachylił się, by sprawdzić, czy moredhel nie ukrywa w cholewie buta broni, ten uderzył go kolaniem w twarz, odepchnął następnego i skoczył na Aruthę, który dosłownie w ostatniej chwili zdążył się uchylić i uniknąć rąk wyciągniętych w kierunku jego twarzy. W momencie, kiedy odskakiwał w bok, zauważył, jak moredhel zeszywniał nagle, gdy ostrze miecza Lauriego przeszło mu pierś.

Ciemny Elf zwałił się na ziemię, lecz w ostatnim, przedśmiertnym spazmie próbował jeszcze dosięgnąć rozcapierzonymi palcami nogi Księcia. Laurie kopnął jego ręce, odrzucając je w bok. Zakrzywione palce jeszcze długo zginały się i prostowały powoli.

– Spójrz tylko na paznokcie. Zauważyłem, jak zalsniły, kiedy pozwalał się rozbierać – powiedział trubadur.

Arutha chwycił mocno nadgarstek moredhela i przyjrzał się uważnie jego dłoni.

– Uważaj, jak je trzymasz – ostrzegł Laurie. W tym momencie Księżę dostrzegł malutkie igły wpuszczone w paznokcie Mrocznego Brata. Na końcu każdej z nich błyszczała ciemna plamka.

– To stary numer dziwek, chociaż tylko te, które mają sporo złota i zaprzyjaźnionego chirurga, mogą sobie na to pozwolić. Jeśli klient chce wyjść, nie uiściwszy stosownej opłaty, albo ma inklinacje do bicia swoich panienek, wystarczy zwykłe zadrapanie i facet przestaje być problemem na zawsze.

Arutha spojrział na pieśniarza.

– Jestem twoim dłużnikiem.

– O Banath, miej nas w swojej opiece!

Arutha i Gardan odwrócili się błyskawicznie. Jimmy podszedł do jednego z zabitych Jastrzębi, jasnowłosego, odzianego w kosztowny strój.

– Złocisty... – szepnął.

– Znasz go? – spytał Arutha.

– Należał do Prześmiewców. Nigdy w życiu nie podejrzewałbym, że on też...

– Czy żaden nie przeżył? – zapytał ostro Księżę. Był wściekły, ponieważ wydał wyraźne rozkazy, aby jak najwięcej Jastrzębi schwytać żywcem.

Gardan przyjmował meldunki od swoich ludzi.

– Wasza Wysokość, w sumie w piwnicy i pomieszczeniach na górze było trzydziestu pięciu zabójców. Wszyscy albo walczyli tak zażarcie, że nasi ludzie nie mieli innego wyjścia, jak tylko ich pozabijać, albo jeden zabijał drugiego, po czym sam rzucał się na własny miecz. – Gardan podał coś Księżciu. – Wszyscy nosili to. – Na jego palcu dyndał hebanowy jastrząb na złotym łańcuszku.

Niespodziewanie zapanowała absolutna cisza. Nie dlatego, że wszyscy przestali się nagle ruszać, lecz raczej z tego powodu, że nagle dał się słyszeć jakiś dziwny dźwięk. Wszyscy zamarli w miejscu, nasłuchując intensywnie. Jednak nie było żadnych odgłosów, panowała głucha cisza. Po chwili przestrzeń dookoła zmieniła się dziwnie, jakby wypełniając wilgocią. Każdy najdrobniejszy szelest brzmiał głucho jak

we mgle. Wszyscy odnieśli wrażenie, że w pomieszczeniu pojawiła się jakaś przygniatająca obecność. Przez kilka chwil Aruthą i pozostałymi oładnęło przedziwne, nieziemskie uczucie. A potem w piwnicy powiało nagle straszliwym chłodem. Aruthą poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku, a serce i duszę wypełnia pierwotny, przedwieczny strach. Do podziemi wkroczył obcy byt, niewidzialne, lecz namacalne wręcz zło. Kiedy Aruthą zwracał się właśnie do Gardana i pozostałych, aby coś powiedzieć, ciszę przerwał okrzyk.

– Wasza Wysokość, ten chyba żyje. Poruszył się! – Żołnierz najwyraźniej ucieszył się, że może sprawić radość swemu panu. Jego okrzyk jeszcze nie przebrzmiał, gdy drugi żołnierz zawołał. – O, i ten też!

Aruthą spojrział na dwóch żołnierzy pochylających się nad padłymi w walce zabójcami. Nagle wszyscy krzyknęli z przerażenia. Jeden z trupów poruszył się wyraźnie, po czym jego ręka wystrzeliła w górę jak wąż i chwyciła klęczącego przy nim żołnierza za gardło. Trup usiadł, unosząc żołnierza w górę. Echo odbijające się od ścian powtórzyło ohydny, przerażający odgłos rozdieranego gardła i kruszonego kręgosłupa. Drugi trup skoczył w górę i zatopił zęby w szyi drugiego gwardzisty, rozdierając ją na strzępy. Aruthą i inni stali w szoku jak wmurowani w ziemię, nie mogąc wydać żadnego dźwięku ze ściśniętych gardel. Pierwszy nieżywy zabójca cisnął na bok żołnierza krzyczącego w agonii zduszonym głosem i obrócił się ku pozostałym. Wbił mlecznobiałe oczy w Księcia i

uśmiechnął się. Z rozdziawionych ust wydobył się głuchy, jakby dochodzący z wielkiej odległości, głos.

– Znowu się spotykamy, Panie Zachodu. Tym razem, gdy nie ma z tobą tego uprzykrzonego kapłana, moi słudzy cię dopadną. O, wstańcie! Wstawajcie moje dzieci! Wstawajcie i zabijajcie!

Wszystkie trupy zaczęły drgać i poruszać się. Przerażeni żołnierze zaczęli wznosić głośne modlitwy do swego boga Tith. Jeden z nich, bystrzejszy i bardziej przytomny niż pozostali, jednym uderzeniem odciął głowę powstającego trupa. Bezgłowe zwłoki zadygotały i padły na ziemię. Po chwili jednak znowu zaczęły dźwigać się na nogi, podczas gdy tocząca się po podłodze głowa wyrzucała z ust bezgłośne przekleństwa. Jak jakieś groteskowe marionetki wprawione w ruch ręką zidiociałego lalkarza, ciała wstawały powoli, dygocząc i kiwając się spazmatycznie na wszystkie strony.

– Chyba jednak powinniśmy byli poczekać, aż świątynie raczą włączyć się do działania – powiedział Jimmy trzęsącym się głosem.

– Bronić Księcia! – krzyknął Gardan i gwardziści rzucili się na ożywione trupy. Jak jacyś rzeźnicy, którzy w napadzie szału dostali się do zagrody z bydłem, gwardziści zaczęli walić i ciąć dookoła jak opętani. Po paru chwilach wszystkie ściany, sufit i ludzie ociekali krwią. Trupy jednak nie przestawały dźwigać się z podłogi.

Uwijający się jak w ukropie żołnierze ślizgali się we krwi i padali na ziemię, gdzie natychmiast chwytaly ich w upiorny uścisk zimne, oślizgłe ręce. Niektórym udawało się jeszcze wydobyć z ust

przedśmiertny, zdławiony krzyk, gdy martwe palce owijały im się wokół szyi, a zęby wbijały wściekle w odkryte ciało.

Żołnierze księcia Krondoru cięli i rąbali jak nawiedzeni, aż w powietrzu zaczęły fruwać ręce i nogi, które po opadnięciu na posadzkę trzepotały wściekle, jak krwawiące ryby wyrzucone z wody. Arutha poczuł szarpnięcie za nogę. Spojrzał w dół. Odcięta dłoń usiłowała chwycić go za kostkę. Napętniony strachem i obrzydzeniem machnął gwałtownie nogą, odrzucając rękę na drugi koniec pokoju, gdzie uderzyła z głośnym plaśnięciem w ścianę.

– Wynosimy się stąd! Zabarykadować drzwi! – krzyknął Arutha.

Żołnierze, kopiając i siekając mieczami na wszystkie strony, przedzierali się przez krew i porozdeptywane ochłapy mięsa. Z obrzydzenia krzyczeli głośno przeklinając, na czym świat stoi. Wielu z nich, wypróbowanych w bojach weteranów, znalazło się na granicy paniki. Nic, czego dotychczas doświadczyli w życiu, nie przygotowało ich na horror, z którym spotkali się w tej piwnicy. Za każdym razem, gdy zwalono na ziemię któreś ciało, natychmiast próbowało się ono znowu dźwignąć na nogi. Ilekroć zaś padł któryś z towarzyszy, już się nie podnosił.

Arutha parł do przodu w kierunku najbliższego wyjścia – drzwi prowadzących na górę. Tuż za nim szli Jimmy i Laurie. Arutha zatrzymał się na moment, by ciąć podnoszącego się z podłogi trupa.

Jimmy przemknął koło księcia i pierwszy dopadł drzwi. Spojrzał w górę i zaklął szpetnie. Po schodach schodził trup pięknej kobiety w rozdartej, półprzezroczystej sukni. Na wysokości talii czerwieniła się ogromna

plama krwi. Kiedy znalazła się na dole, kobieta spojrzała na Aruthę nie widzącymi, pozbawionymi źrenic oczyma. Wrzasnęła uszczęśliwiona.

Jimmy uchylił się przed niezdarnym ciosem i rąbnął barkiem w zakrwawiony brzuch.

– Uwaga na schody! – krzyknął i oboje potoczyli się w dół.

Chłopak pierwszy zerwał się na nogi i przemknął z powrotem obok trupa ladacznicy.

Arutha obejrzał się za siebie. Jego ludzie byli ściągani w dół.

Gardanowi i garstce innych udało się przedrzeć do drugich drzwi i teraz usiłowali je zamknąć. Ci, którzy zostali nieco w tyle, siekli wokół szaleńczo, próbując przedrzeć się do wyjścia za wszelką cenę, lecz byli powstrzymywani przez wstające bez przerwy zwłoki. Kilku dzielnych gwardzistów zamykało drzwi od środka, nie zważając na to, że wydają tym samym wyrok śmierci na siebie. Podłogę zalało śliskie i zdradliwe morze krwi. Wielu żołnierzy poślizgnęło się i upadło, aby już więcej nie wstać. Poobcinane członki ciał łączyły się ponownie w jedną całość i trupy dźwigały się na nogi. Arutha przypomniał sobie, jak stwór w pałacu zyskiwał wraz z upływem czasu na sile i witalności.

– Zabarykadować drzwi! – krzyknął na całe gardło.

Laurie skoczył ku schodom. Zastąpił mu drogę trup dziwki szczerzący zęby w uśmiechu. Trubadur ciął mieczem i jasnowłosa głowa potoczyła się ze stukotem po schodach, tuż koło biegnących w górę Aruthy i Jimmy'ego.

Dotarli wreszcie na parter Domu pod Wierzbami, gdzie ujrzeli

gwardzistów walczących z ożywionymi trupami. Przygaloowały dwie kompanie konnicy, które oczyściły po drodze przylegające do budynku ulice, ale i one, podobnie jak ich koledzy na dole, nie były przygotowane na walkę z martwymi przeciwnikami. Przed głównym wejściem kilka naszpikowanych strzałami ciał próbowało dźwigać się z ziemi, lecz kiedy tylko stawały chwiejnie na nogi, z dachów spadała kolejna chmura pocisków i kładła je trupem.

Jimmy rozejrzał się błyskawicznie po pomieszczeniu, po czym wskoczył na stół, odbił się mocno, jak akrobata w cyrku przeskoczył ponad Nocnym Jastrzębiem duszącym gwardzistę i wylądował na ścianie. Wczepił się kurczowo palcami w zawieszoną na niej tkaninę. Materiał wytrzymał przez chwilę jego ciężar, po czym rozległ się głośny trzask, mocowania pod sufitem pękły i ogromna płachta delikatnego materiału spłynęła na ziemię, spowijając Jimmy'ego swymi zwojami. Chłopak błyskawicznie wyplątał się ze środka, chwycił w ręce tyle materii, ile tylko zdołał udźwignąć, i powłókł za sobą do ogromnego kominka. Cisnął węń zwinięty kłęb tkaniny, a potem zaczął wrzucać wszystko, co tylko mogło zająć się ogniem. Po paru chwilach pokój zalało morze płomieni.

Arutha odepchnął trupa, zerwał ze ściany kolejny kawał tkaniny i rzucił go Lauriemu. Trubadur schylił się i odskoczył w bok, unikając ataku nieżywego zabójcy, po czym błyskawicznie zarzucił materiał na ciało i szybko owinął je tkaniną. W końcu kopnął z całej siły. Zataczając się, trup poleciał w kierunku Jimmy'ego, który uskoczył w bok i

podstawił mu nogę. Zawinięte jak mumia ciało wpadło w rozszerzający się gwałtownie ogień. Salę wypełnił wściekły ryk potwora.

Gorąco i duszący dym stały się nie do wytrzymania. Laurie rzucił się do drzwi i zatrzymał tuż przed progiem.

– Książę! – krzyknął do łuczników na sąsiednich dachach. –

Książę wychodzi!

– Pośpieszcie się! – nadbiegła odpowiedź, a w ślad za nią strzała, która powaliła trupa podnoszącego się właśnie u stóp Lauriego.

Arutha i Jimmy wybiegli z rozświetlonych płomieniami drzwi. Tuż za nimi biegło kilku kaszlących żołnierzy.

– Do mnie! – krzyknął Arutha.

W jednej chwili przy stojących pilnujących wierzchowców pojawiło się kilkunastu gwardzistów. Jednym skokiem przedostali się na drugą stronę ulicy. Smród palonych ciał i krwi oraz gorąco buchające od płonącego budynku płoszyły konie, które zaczęły szarpać jak szalone, i stojenni musieli odprowadzić je dalej.

Żołnierze dobiegli do Księcia i zaczęli wrzucać w płomienie naszpikowane strzałami ciała. Przeróżliwy wrzask płonących trupów wypełnił ciszę nocy.

Z drzwi wypadł, potykając się, martwy Nocny Jastrząb. Cała lewa strona ciała buchała żywym ogniem. Kroczył w stronę Księcia z szeroko rozpostartymi ramionami, jakby chciał go wziąć w objęcia. Dwóch gwardzistów, nie zważając na oparzenia, chwyciło go z boku i cisnęło w płomienie. Kilku innych podeszło pod drzwi, by uniemożliwić ucieczkę z

pożogi. Arutha odsunął się na bok i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Najbardziej ekskluzywny burdel w mieście płonął jak pochodnia.

Księżę skinął na najbliższego żołnierza.

– Zawiadom tych na dole, w kanałach, by w żadnym razie nie

wypuszczali nikogo z piwnicy. – Gwardzista zasalutował i oddalił się

szybko.

Po kilkunastu minutach w miejscu domu stał jeden wielki słup

ognia. Zrobiło się jasno jak w dzień. Na ulice wylegli mieszkańcy

sąsiednich domów, ponieważ obawiali się, że płomienie i tam się

przeniosą. Arutha rozkazał, by żołnierze sformowali kolumnę i podając

sobie wiadra wody, polewali ściany budynków sąsiadujących

bezpośrednio z Domem pod Wierzbami.

W niecałe pół godziny od rozpoczęcia pożaru rozległ się potężny

trzask, po czym strzeliła w górę ogromna chmura dymu – puściły belki

stropowe parteru i cały budynek zapadł się w podziemia.

– No, to tyle, jeśli chodzi o te stwory na dole – skomentował

Laurie.

Arutha wpatrywał się w płomienie. Twarz miał zaciętą i ponurą.

– Nie zapominaj, że zostało tam również wielu dobrych żołnierzy.

Jimmy patrzył jak urzeczony na płomienne przedstawienie. Twarz

miął umorusaną sadzą i krwią. Arutha położył mu rękę na ramieniu.

– I znowu spisałeś się wspaniale.

Jimmy mógł jedynie skinąć bez słowa głową.

– Muszę się napić czegoś mocniejszego – powiedział Laurie. – Na

bogów, chyba nigdy nie pozbędę się tego smrodu z nosa.

*– Wracajmy do pałacu – powiedział Arutha. – Koniec pracy na
dzisiejszą noc.*

PRZYJAZDY

Jimmy szarpał za kołnierzyk.

Mistrz Ceremonii Brian deLacy uderzył w podłogę sali audiencyjnej długą laską i chłopak momentalnie uniósł głowę, spoglądając przed siebie. Wszyscy młodzi szlachcice pozostający przy dworze książęcym, w wieku od czternastu do osiemnastu lat, byli właśnie instruowani co do obowiązków czekających ich w związku ze zbliżającym się ślubem Anity i Aruthy. Stary Mistrz, nienagannie ubrany, mówił powoli i wyraźnie zwracał się do niego.

– Panie Jamesie, jeśli nie może pan ustać spokojnie na miejscu, będziemy musieli znaleźć dla pana jakieś bardziej aktywne zajęcie. Co by pan, na przykład, powiedział na noszenie wiadomości pomiędzy pałacem a dalszymi kwaterami? – W tym momencie dał się słyszeć cichutki jęk. Wizytujący miasto możni tego świata byli powszechnie znani z tego, że bez przerwy wysyłali dziesiątki nie mających żadnego znaczenia wiadomości. Dalsze kwatery, gdzie wielu z nich miało przebywać w czasie wizyty, znajdowały się w odległości dobrego kilometra od pałacu. Takie obowiązki nie oznaczały w praktyce nic innego, jak bieganie tam i z powrotem przez dziesięć godzin dziennie.

Mistrz Ceremonii zwrócił się do osoby, która wydała jęk.

– Panie Paul, może i pan zechciałby przyłączyć się do pana Jamesa?

Kiedy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, mówił dalej.

– Bardzo dobrze. Ci z was, którzy oczekują przybycia krewnych, powinni wiedzieć, że wszyscy po kolei będą musieli wypełnić ten obowiązek. – Po tych słowach wśród chłopców rozległy się głośne narzekania i przekleństwa. Nastąpiło ogólne poruszenie. Drewniana laska ponownie stuknęła głośno o podłogę. – Nie jesteście jeszcze ani książętami, ani baronami! Nie umrzecie zaraz, jeśli przez dzień czy dwa popracujecie. Po prostu w pałacu będzie zbyt wielu gości jednocześnie, by służący, paziowie czy posłańcy zdołali podolać wszystkim obowiązkom.

Jeden z nowych chłopaków, panicz Locklear, najmłodszy syn barona Końca Ziemi, wystąpił przed innymi.

– Panie, którzy z nas będą przy ślubie?

– Wszystko w swoim czasie, chłopcze. Każdy z was będzie miał okazję odprowadzić gości na wyznaczone dla nich miejsca w wielkiej sali i sali bankietowej. W czasie samej ceremonii zaślubin wasze miejsca będą z tyłu, w pełnej szacunku odległości, tak że będziecie mogli swobodnie obserwować przebieg uroczystości.

Do sali wbiegł paź i podał kartkę Mistrzowi, po czym nie czekając na odpowiedź, wybiegł pośpiesznie. Mistrz deLacy przeczytał wiadomość.

– Na mnie czas. Muszę się przygotować na przyjęcie Króla. Każdy z was wie, gdzie ma dzisiaj być, prawda? Spotykamy się tu po południu, gdy Król i Jego Księżęca Wysokość udadzą się na naradę. Pamiętajcie, każdy, kto się spóźni, będzie za karę biegał z posyłkami do dalekich

kwater o jeden dzień więcej. Teraz to już wszystko. – Kiedy odchodził, chłopcy stojący bliżej słyszeli, jak mruczał pod nosem: – Tak wiele do zrobienia, a tak mało czasu...

Chłopcy zaczęli się powoli rozchodzić. Jimmy, ruszając w stronę wyjścia, usłyszał okrzyk za plecami.

– Hej, ty, nowy!

Odwrócił się, podobnie jak kilku innych chłopców. Wołający wyraźnie patrzył na niego. Jimmy czekał spokojnie, zdając sobie doskonale sprawę z tego, co za chwilę nastąpi. Oto za chwilę zostanie określona jego pozycja w społeczności młodych panów.

Kiedy Jimmy nie ruszył się z miejsca, Locklear, który również się zatrzymał, wskazał na siebie palcem i niepewnie postąpił kilka kroków w stronę wołającego.

– Nie, nie ty, chłopcze – warknął wysoki, kościsty szesnaste- czy siedemnastoletni dryblas. – Chodzi mi o tego tam. – Wskazał na Jimmy'ego.

Chłopak miał na sobie taki sam brązowozielony strój, jak pozostali młodzi szlachcice należący do dworu książęcego. Jego ubranie było jednak o wiele lepiej skrojone niż większości pozostałych, musiał więc dysponować osobistymi funduszami na krawca. Zza pasa wystawała wysadzana drogimi kamieniami rękojeść sztyletu, a buty lśniły jak wypolerowana stal. Włosy miał jasne, koloru słomy i elegancko przycięte. Jimmy domyślił się, że chłopak musi być lokalnym tyranem. Wzniósł w górę oczy i zrezygnowany westchnął głęboko. On

sam miał na sobie źle dopasowany uniform, zbyt ciasne buty, a powoli gojący się bok piekł go bez przerwy nieznośnie. Krótko mówiąc i tak był już w wystarczająco podłym nastroju. Pomyślał, że najlepiej będzie załatwić to szybko i mieć z głowy.

Ruszył powoli w stronę wyższego chłopca, który miał na imię

Jerome. Wiedział, że jego ojciec był dziedzicem Ludland, miasta na wybrzeżu niedaleko Krondoru. Nie był to co prawda znaczący tytuł, lecz przynosił jego posiadaczom spore korzyści majątkowe.

– Tak? – spytał Jimmy, stając tuż przed nim.

– Nie podobasz mi się – odpowiedział Jerome, uśmiechając się wyzywająco.

Na ustach Jimmy'ego powoli zaczął pojawiać się szeroki uśmiech.

Nagłym ruchem rąbnął z całej siły pięścią w żołądek Jerome'a, aż ten zwinął się w kłębek i potoczył na podłogę. Trzepał przez chwilę rękami, nie mogąc złapać tchu, po czym zaczął się dźwigać, boleśnie stękając.

– Co... dlaczego... – zaczął, lecz przerwał w pół słowa, kiedy podniósł wzrok i ujrzał przed sobą Jimmy'ego ze sztyletem w dłoni.

Sięgnął błyskawicznie do pasa, szukając rękojeści swojej broni, ale jej nie znalazł. Spojrzał w dół, po czym zaczął rozglądać się gorączkowo dookoła.

– Chyba tego szukasz, prawda? – zapytał Jimmy, szczerząc zęby w uśmiechu i pokazując z daleka zdobną rękojeść. Oczy chłopaka zrobiły się okrągłe jak spodki. Jednym ruchem dłoni Jimmy cisnął sztyletem.

Ostrze wbiło się głęboko w podłogę pomiędzy butami Jerome'a, drgając

sprężycie. – I nie nazywam się „ten tam”, tylko pan James, szlachcic w służbie księcia Aruthy.

Jimmy szybkim krokiem wyszedł z sali. Po chwili dogonił go chłopak imieniem Locklear. Zaczął iść u jego boku.

– Ale mu dołożyłeś... panie James. Jerome wyżywał się na wszystkich nowych chłopakach.

Jimmy zatrzymał się w pół kroku. Nie miał nastroju na takie pogaduszki.

– Wszystko dlatego, że mu na to pozwalacie, chłopcze. – Locklear cofnął się i jękając się zaczął przeproszać. Jimmy uniósł rękę. – Ale, ale... poczekaj no chwilę. Nie jestem zły na ciebie. Po prostu mam na głowie całą masę spraw. Posłuchaj no, Locklear, bo tak się nazywasz, prawda?

– Przyjaciele mówią mi Locky.

Jimmy przyjrzał mu się uważnie. Chłopak był mały i bardziej wyglądał na dzieciaka niż na mężczyznę, który z niego kiedyś wyrośnie. Miał duże, niebieskie oczy i buzię opaloną na ciemny brąz. W kasztanowych włosach tu i tam połyskiwało jaśniejsze, spalone słońcem pasemko. Zapewne jeszcze parę tygodni temu chłopiec bawił się z rówieśnikami z ludu na plaży, w pobliżu niewielkiego zameczku swego ojca.

– Locky, gdy ten kretyn zacznie ci się dobierać do skóry, przykop mu z całej siły. To powinno go ustawić raz na zawsze. Wiesz, nie mogę teraz dłużej rozmawiać. Za chwilę mam spotkanie z Królem. – Jimmy

oddalił się szybkim krokiem, zostawiając zdumionego chłopca na środku długiego korytarza.

Jimmy wiercił się niespokojnie, nie mogąc się przyzwyczaić do wściekle ciasnego kołnierzyka nowej bluzy. Jerome przydał się chociaż do jednej rzeczy – pokazał mu, że nie musi znosić kiepsko uszytego ubrania. Gdy tylko będzie mógł, wymknie się na kilka godzin z pałacu, by odwiedzić trzy skrzyneczki poukrywane w zakamarkach miasta. Zachomikował tam wystarczająco dużo złota, by kupić sobie tuzin kompletów nowych ubrań. Jak się okazało, bycie szlachcicem miało jednak wiele wad, o których nie miał pojęcia.

– Co się z tobą dzieje, chłopcze?

Jimmy podniósł wzrok. Wysoki, starszy mężczyzna z grzywą ciemnosiwych włosów przypatrywał mu się uważnie i fachowo zmrużonymi oczami. Rozpoznał mistrza miecza Fannona, jednego ze starych towarzyszy Aruthy z Crydee. Jego statek zawinął do portu wczoraj na fali wieczornego przypływu.

– To przez ten przeklęty kołnierzyk. Mistrzu Miecza. A do tego jeszcze nowe buty, uwierają okropnie. Fannon pokiwał głową ze zrozumieniem.

– No cóż, trzeba trzymać fason, bez względu na to, czy ci wygodnie, czy nie. Uwaga, nadchodzi Księżę.

Arutha wyszedł przez wielkie, główne wejście do pałacu i stanął na środku dziedzińca wypełnionego tłumem czekających, by powitać Króla. Szerokie schody prowadziły w dół, na plac parad. Poza nim, za

ogromną żelazną bramą, rozciągała się wielka połać miasta.

Oczyszczono ją ze straganów, budek i przekupniów. Wzdłuż całej trasy przejazdu Króla do pałacu żołnierze z garnizonu krongorskiego uformowali długi, podwójny szereg. Poza nimi kłębiły się tłumy ciekawskich pragnących choć raz rzucić okiem na swego władcę.

Dopiero niecałą godzinę temu doniesiono o pojawieniu się orszaku Lyama, lecz obywatele zaczęli się gromadzić już przed świtem.

Narastająca fala głośnych okrzyków zwiastowała zbliżanie się monarchy. Lyam, jadący na wielkim, bojowym kasztanie, pierwszy pojawił się w polu widzenia. U jego boku jechał Gardan, dowódca garnizonu miejskiego. Za nimi widać było Martina i towarzyszących władcy panów Ziem Wschodu, oddział Królewskiej Gwardii Pałacowej i dwie bogato zdobione karety. Pochód zamykali lansjerzy Aruthy oraz tabory.

Gdy Lyam zatrzymał wierzchowca u podnóża schodów, rozległy się fanfary. Stajenni rzucili się, by zająć się koniem Króla. Arutha schodził po schodach, by powitać brata. Zgodnie z niepisaną tradycją książę Krongoru stał w hierarchii panów królestwa zaraz po władcy i mógł sobie pozwolić na swobodniejsze zachowanie w jego obecności.

Kiedy jednak spotkali się dwaj rodzeni bracia, zapomniano o wszelkich formalnościach i oficjalnym protokole. Obaj natychmiast padli sobie w objęcia. Martin zsiadł z konia chwilę później i wkrótce cała trójka obejmowała się, witając serdecznie.

Jimmy obserwował, jak Lyam przedstawia swoich towarzyszy

podróży. Pod schody podjechały dwie karety. Otworzyły się drzwiczki pierwszej z nich i chłopak wyciągnął szyję jak żuraw, by lepiej widzieć. Po chwili pojawiła się zdumiewająco piękna, młoda kobieta. Jimmy z uznaniem pokiwał głową. Sądząc z tego, jak przywitała się z Arutha, Jimmy doszedł do wniosku, że była to księżniczka Carline. Rzucił okiem w kierunku Lauriego. Trubadur stał jak wmurowany z wyrazem boskiego uwielbienia na twarzy. Jimmy ponownie pokiwał głową: tak, to z pewnością jest Carline. Za nią pojawił się dużo starszy mężczyzna. A to pewnie Caldric, księżę Rillanonu, pomyślał.

Otworzyły się drzwiczki drugiej karety i wysiadła starsza kobieta. Tuż za nią wyskoczyła znajoma postać i Jimmy uśmiechnął się radośnie. Widok księżniczki Anity przyprawił go o rumieńce – swego czasu był w niej zakochany bez pamięci. Starsza pani to pewnie księżna Alicja, jej matka. Gdy panie witały się z Arutha, myśli chłopaka powędrowały w przeszłość, kiedy to Anita, Arutha i on ukrywali się razem przed prześladowcami. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Panie James, co cię opętało? Jimmy spojrzał na mistrza Fannona.

– Znowu te buty, panie – odpowiedział, skrywając wzruszenie.

– Rozumiem cię, chłopcze, ale musisz się nauczyć znosić drobne niewygody. Hm... nie chciałbym źle się wyrażać o twych nauczycielach, ale jak na młodego szlachcica, nie jesteś zbyt dobrze wychowany.

– Jestem nowy w tym interesie. – Jimmy kiwnął głową, nie odrywając oczu od Anity. – W zeszłym miesiącu byłem jeszcze

złodziejem.

Fannon stał z otwartymi ustami, jak rażony piorunem. Po chwili

Jimmy nie wytrzymał i nie mogąc się oprzeć wesołej pokusie, dał sójkę

w

bok

staremu

mistrzowi.

—

Król

się

zbliża

—

szepnął

konfidencyjnym szeptem.

Lata wojskowego wychowania pozwoliły mistrzowi opanować się

błyskawicznie. Stary żołnierz wyprostował się i zwrócił twarz w

kierunku władcy. Lyam nadchodził, mając u swego boku Aruthę. Za

nimi kroczyli Martin, Carline i pozostali w kolejności przepisanej

osobistą pozycją. Brian deLacy przedstawiał Królowi członków dworu

książęcego. Parokrotnie Lyam złamał zasady protokołu, ściskając

mocno prawicę na powitanie. Z kilkoma osobami przywitał się,

obejmując je serdecznie. Wielu panów Zachodu w czasie wojny z

Tsuranimi służyło wraz z Lyamem pod dowództwem jego ojca. Nie

widzieli się od czasów koronacji młodego Króla. Zakłopotany książę

Volney spuścił wzrok, gdy Lyam położył mu rękę na ramieniu.

– Dobra robota, Volney. Przez cały rok utrzymywałeś Zachodnie Królestwo we wzorowym porządku.

Niektórym panom takie spoufalanie się monarchy przeszkadzało, lecz tłumy to uwielbiały i za każdym razem, gdy Lyam witał się z kimś nie jak Król, ale jak ze starym przyjacielem, nieprzeliczone rzesze wznosiły radosny okrzyk.

Kiedy Lyam doszedł do Fannona, ten schylił się w niskim ukłonie.

Król powstrzymał go, chwytając za ramiona.

– Nie – szepnął tak cicho, że tylko sam Fannon, Arutha i Jimmy mogli go usłyszeć. – Nie chcę tego, stary nauczycielu, nie od ciebie. –

Lyam chwycił starego mistrza w ramiona, obejmując mocno. Roześmiał się radośnie. – No i co tam słyszać w domu, mistrzu Fannonie? Co w Crydee?

– Wszystko w porządku. Wasza Wysokość. – Jimmy spostrzegł, że oczy starego zwilgotniały. W tej samej chwili usłyszał słowa Aruthy:

– A ten łobuziak został ostatnio członkiem mego dworu, Wasza Wysokość. Czy pozwolisz, panie, że przedstawię ci pana Jamesa z Krondoru? – Mistrz ceremonii deLacy wzniosł oczy ku niebu w niemym oburzeniu, ponieważ Arutha, nie przejmując się uświęconym protokołem, przejął jego obowiązki.

Jimmy skłonił się nisko, jak go nauczono. Lyam obdarzył chłopaka szerokim uśmiechem.

– Wiele o tobie słyszałem, Jimmy Rączka – powiedział, cofając się

*trochę. Zamarł nagle w bezruchu. – A niech to! Muszę natychmiast
sprawdzić, czy niczego mi nie brakuje! – Nerwowym ruchem zaczął
klepać się po kieszeniach. Jimmy poczerwieniał jak piwonia. Kiedy
myślał, że nie wytrzyma tego dłużej, Lyam zerknął na niego i puścił oko.
Chłopak ryknął śmiechem razem z innymi.*

*Odwrócił głowę i stwierdził nagle, że oto patrzy w najbardziej
błękitne oczy na świecie. Usłyszał miękki, kobiecy głos.*

– Jimmy, nie pozwól, aby Lyam wprowadzał cię w zakłopotanie.

Zawsze lubi się drażnić i prowokować innych.

*Chłopak zaskoczony po żarcie Króla, zaczął coś mamrotać pod
nosem. Zrezygnował w końcu i skłonił się niezdarnie.*

*– Cieszę się, że cię znowu widzę – odezwał się Martin, ściskając
jego dłoń. – Często wspominaliśmy cię i zastanawialiśmy się, jak ci się
wiedzie.*

*Przedstawił chłopca siostrze. Księżniczka Carline skinęła mu
głową.*

– Bracia i księżniczka Anita mówili o tobie same dobre rzeczy.

Cieszę się bardzo, że mogę cię w końcu poznać osobiście. – Ruszyli dalej.

Jimmy patrzył na królewską rodzinę szeroko otwartymi oczami.

*Był kompletnie zaskoczony. Słyszając tyle pochlebstw naraz, nie
dowierzał wprost własnym uszom.*

– Przez rok tak samo reagowałem na jej widok. – Usłyszał głos za

*sobą. Odwrócił się. Laurie przeciskał się pośpiesznie pomiędzy
zebranymi, by znaleźć się przed królewskim orszakiem zmierzającym w*

stronę wejścia do pałacu. Trubadur, który wziął zdziwienie Jimmy'ego nad skierowanymi pod swoim adresem uwagami księżniczki Carline i Martina za oczarowanie jej urodą, zasalutował, przykładając dłoń do czoła, i pognął dalej.

Chłopak ponownie zwrócił się w kierunku orszaku królewskiego przesuającego się przed nim. Twarz rozjaśnił mu nagły uśmiech.

– Jak się masz, Jimmy – powitała go Anita, zatrzymawszy się przed nim.

– Jak się masz, Księżniczko. – Skłonił się nisko. Anita odpowiedziała słodkim uśmiechem.

– Mamo, książę Caldric, chciałabym wam przedstawić starego przyjaciela, Jimmy'ego. – Spostrzegła jego strój. – Teraz, jak widzę, szlachcica.

Jimmy skłonił się ponownie przed księżną Alicją i księciem Rillanonu. Matka Anity podała mu dłoń, a on ujął ją niezgrabnie.

– Pragnę ci gorąco podziękować, młody człowieku. Słyszałam, jak bardzo pomogłeś mej córce.

Jimmy poczuł na sobie wzrok licznych osób i zaczerwienił się po uszy. Nie mógł w sobie odnaleźć ani śladu fanfaronady, która do tej pory w jego krótkim życiu dawała mu zawsze bezpieczne schronienie.

Nie potrafił zareagować po swojemu. Nie przychodziła mu do głowy żadna sensowna myśl. Stał tylko niezgrabnie ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Zobaczymy się później – powiedziała Anita, przechodząc dalej

wraz matką i księciem Caldricem. Jimmy stał w milczeniu zachwycony i zmieszany.

Nie dokonywano już dalszych prezentacji i panowie Królestwa podążali dostojnie ku wielkiej sali, skąd po krótkiej ceremonii Lyam miał się udać do prywatnych pomieszczeń.

Na placu rozległ się nagle donośny dźwięk bębnów i okrzyki.

Ludzie wskazywali palcami na jedną z głównych ulic miasta wiodącą do pałacu. Królewski orszak zatrzymał się u wejścia. Po chwili Lyam i Arutha ruszyli z powrotem ku szczytowi schodów. Porządek orszaku załamał się gwałtownie. Panowie przemykali pośpiesznie bokami, by powrócić na swoje miejsca za plecami obu braci. Król i Księżę stanęli nie opodal miejsca zajmowanego przez Fannona i Jimmy'ego. Przed ich oczami pojawił się kilkunastoosobowy oddział konnych, odzianych w zarzucone na głowy i ramiona lamparcie futra. Czarna skóra lśniła kropelkami potu, gdy dziko wyglądający wojownicy walili bez wytchnienia w bębny zawieszane po obu stronach siodła. Za nimi zbliżał się następny, równie liczny oddział jeźdźców w cętkowanych skórkach. Ci dęli w ogromne, mosiężne trąby wygięte ponad ramionami. Zarówno dobosze, jak i trębacze posuwali się w dwóch idealnie prostych kolumnach, robiąc przejście maszerującej za nimi piechocie. Każdy żołnierz miał na głowie spiczasto zakończony hełm. Z tyłu zwieszała się metalowa siatka, chroniąca kark, oraz stalowy pancerz. Nogawki szerokich, luźnych spodni schowane były w cholewy czarnych butów sięgających kolan. Żołnierze byli uzbrojeni w długie, zakrzywione

miecze, zatknięte za opasujące biodra jedwabne szarfy, i niewielkie, okrągłe tarcze z metalowym umbo pośrodku.

– Psia piechota – powiedział ktoś za plecami Jimmy’ego.

– Dlaczego ich tak nazywają, panie? – spytał mistrza Fannona.

– Ponieważ w zamierzchłych czasach byli traktowani w Keshu jak psy, skutecznie odizolowani od reszty społeczeństwa, aż nadszedł czas, by ich poszczuć na kogoś. Nazwa się utrzymała, ponieważ jeśli im się tylko na to pozwoli, opadają cię jak sfora psów, nie dając żadnej szansy.

To twarde sztuki, chłopcze, ale już kilka razy zrobiliśmy ich na szaro.

Kolumna piechoty wmaszerowała na plac i rozdzieliła się na boki, robiąc przejście następnym. Kiedy pojawiła się pierwsza postać,

żołnierze wyciągnęli miecze, oddając honory wojskowe. Był to samotnie idący mężczyzna ogromnego wzrostu, wyższy nawet niż Król, o

szerokich i potężnych barach. Czarna jak heban skóra lśniła w słońcu, jego tors okrywała bowiem tylko nabijana metalowymi guzami

kamizelka. Podobnie jak pozostali żołnierze miał dziwaczne, szerokie spodnie i buty, lecz za pasem tkwił, krótki, lekki miecz o zakrzywionym i rozszerzającym się ku końcowi ostrzu. Szedł z odkrytą głową, a

zamiast tarczy miał bogato zdobioną długą laskę, symbol urzędu, który piastował. Tuż za nim, na niskich, szybkich jak błyskawica konikach

szczepów pustyni Jal-Pur, jechało czterech jeźdźców. Mieli na sobie stroje ludzi pustyni. Znane, choć rzadko widywane w Krondorze,

zwiewne, długie do kolan szaty z jedwabiu w kolorze indygo, rozchylone na piersiach. Pod spodem widać było białe bluzy i spodnie. Na stopach

mieli sięgające tydek buty do konnej jazdy, głowy zaś okrywała

błękitna tkanina zwinięta w taki sposób, że widoczne były tylko oczy.

Cała czwórka miała zatknięte za szarfy u pasa długie, ceremonialne

sztylety, których rękojeści i pochwy wykonano z misternie rzeźbionej

kości słoniowej. Czarny olbrzym na przedzie wchodził po schodach.

Kiedy mijał Jimmy'ego, chłopak usłyszał jego głęboki bas.

– ...przed nim i góry chwieją się w posadach. Same gwiazdy

powstrzymują bieg swój, a słońce wznosi ku niemu błagania, by

wznieść się ponad horyzont. Jest mocą Imperium, a w jego nozdrzach

wieją wiatry czterech stron świata. Smok Doliny Słońca, Orzeł Szczytów

Spokoju, Lew Jal-Pur... – Mówiący te słowa zbliżył się do miejsca, gdzie

stał Król, po czym przesunął się lekko w bok, stając w pobliżu

Jimmy'ego. Czterech jeźdźców zsiadło z koni i ruszyło w górę, w ślad za

nim. Jeden z nich, idący samotnie na przedzie, był najprawdopodobniej

obiektem tyrady czarnego olbrzyma. Jimmy spojrzał na Fannona

pytającym wzrokiem.

– Etykieta dworska Keshu.

Lyam, który usłyszał odpowiedź Fannona, dostał niespodziewanie

ataku kaszlu, aż musiał zasłonić usta ręką. Opanował się jednak

momentalnie i patrzył spokojnie przed siebie, podczas gdy mistrz

ceremonii Keshu kończył swoją prezentację.

– ...i oazą dla swego ludu. – Zwrócił się twarzą ku Królowi i

skłonił nisko. – Wasza Królewska Wysokość, mam szczególny honor

przedstawić Jego Ekscelencję Abdura Rachmana Memo Hazara-Khana,

Beja Benni-Sherin, pana Jal-Pur, księcia Imperium i ambasadora

Wielkiego Keshu w Królestwie Wysp.

Czterech dostojników skłoniło się na modłę Keshu, przy czym

trójka z tyłu padła na kolana, dotykając na chwilę czołem ziemi. Sam

ambasador przyłożył prawą rękę do serca i skłonił się nisko,

wyciągając lewą rękę sztywno do tyłu. Następnie wszyscy

wyprostowali się jak świece, przykładając na króciutko wskazujący

palec do serca, warg i czoła. Miało to oznaczać hojne serce,

prawdomówny język i umysł nie kryjący w sobie zdrady i fałszu.

– Witamy pana Jal-Pur na naszym dworze – zwrócił się do gościa

Lyam.

Ambasador zdjął zasłonę, ukazując ascetyczną, podstarzałą twarz

okoloną siwiejącą brodą. Na ustach zagościł półuśmieszek.

– Wasza Królewska Mość, Jej Cesarska Najjaśniejsza Wysokość,

niech będzie błogosławione jej imię, przesyła pozdrowienia swemu

bratu, Królestwu Wysp. – Zniżył głos do szeptu i dodał: – Gdyby to ode

mnie zależało, nie przyjechałbym z taką pompą, lecz on... – Wzruszył

ramionami i wskazał ruchem głowy na swego mistrza ceremonii, dając

znak, że on sam nie ma żadnej kontroli nad tymi sprawami. – ...to istny

tyran.

– My również serdecznie pozdrawiamy Wielki Kesh. – Lyam

uśmiechnął się. – Niech rozkwita, rośnie w siłę i opływa w dostatki.

Ambasador skłonił się w podziękowaniu.

– Czy pozwoli Wasza Wysokość, że przedstawię towarzyszące mi

osoby? – Lyam skinął lekko głową i gość wskazał na mężczyznę po lewej. – Ten pełen cnót człowiek jest moim starszym pomocnikiem i doradcą, to pan Kamal Mishwa Daoud-Khan, szeryf Benni-Tular. Dwaj pozostali to moi synowie Shandon oraz Jehansuz, szeryfowie Benni-Sherin, jak również moja straż przyboczna.

– Cieszymy się, że mogliście panowie nas odwiedzić – powitał pozostałych Lyam.

Kiedy mistrz deLacy usiłował przywrócić jaki taki porządek pośród kręcących się dookoła moźnych, na innej ulicy wiodącej ku placowi dało się zauważyć jakieś poruszenie. Kiedy Król i Księżę odwrócili wzrok od mistrza ceremonii, ten podniósł rękę.

– A co tym razem? – niemal krzyknął, po czym natychmiast ucichł i jakby skurczył się w sobie, wracając do poprzedniej postawy.

Rozległ się opętańczy huk bębnów, o wiele głośniejszy niż ten, z którym pojawili się goście z Keshu. W perspektywie ulicy ukazały się jaskrawo odziane postacie. Tańczące jak w cyrku konie poprzedzały kolumnę żołnierzy w zielonych uniformach. Wszyscy jednak dźwigali na ramionach tarcze o bijących w oczy kolorach, na których widać było przedziwne esy-floresy i rysunki. Ponad kolumną niósł się głośny, polifoniczny dźwięk piszczałek, obcy w brzmieniu, lecz o zaraźliwym, wpadającym w ucho rytmie. Nie minęło wiele czasu, a tu i tam można było dostrzec małe grupki gapiów. Klaskali głośno albo ruszali w zaimprovizowane na poczekaniu tańce.

Pierwszy jeździec podjechał pod same schody. Wielki, kolorowy

sztandar łopotał na wietrze. Arutha zaśmiał się i klepnął Lyama w plecy.

– To Vandros z Yabonu i Tsurani Kasumiego z garnizonu w LaMut.

W oddali pojawiła się głośno śpiewająca piechota. Garnizon LaMut stanął naprzeciw wojaków z Keshu.

– Tylko spójrzcie na nich – zauważył Martin. – Mierzą się wzrokiem jak kocury przed walką. Głowę daję, że zarówno jedni, jak i drudzy skorzystaliby z radością z pierwszego nadarzającego się pretekstu, by sprawdzić drugą stronę.

– Nie w moim mieście – uciął krótko Arutha, któremu ta wizja nie wydała się wcale zabawna.

– Byłoby niezłe widowisko. – Lyam parsknął śmiechem. – Hej, witaj, Vandros!

Księżę Yabonu podjechał bliżej i zsiadł z konia. Wbiegł po schodach i skłonił się przed Królem.

– Upraszam o przebaczenie, Wasza Wysokość, za opieszałość w przybyciu do miasta, lecz niepokojono nas po drodze. Natknęliśmy się na bandę goblinów na południe od Zun.

– Liczny oddział? – spytał Lyam.

– Nie więcej niż dwie setki.

– I on mówi, że ich „niepokojono”. Vandros, zbyt długo przebywałeś pośród Tsuranich – zaśmiał się Arutha. Lyam zawtórował bratu.

– A gdzie księżę Kasumi?

– Właśnie nadjeżdża, Wasza Wysokość. – Na plac wjeżdżały powozy i karety.

Arutha wziął na stronę księcia Yabonu.

– Rozkaż swoim ludziom, by zakwaterowali się razem z żołnierzami z garnizonu miejskiego, Vandros. Chcę ich mieć pod ręką. Jak już ich położysz do łóżeczek, przyjdź do mnie razem z Brucalem i Kasumim.

Vandros wyczuł poważny ton w słowach Księcia.

– Tak jest. Wasza Wysokość, jak tylko zakwateruję swoich żołnierzy.

Powozy z Yabonu zatrzymały się u podnóża schodów i wysiedli z nich księżę Brucal, księżna Felinah, hrabina Megan oraz ich damy do towarzysztwa. Księżę Kasumi, były dowódca w armii Tsuranich w czasie ostatniej wojny, zeskoczył z konia i wszedł szybkim krokiem na górę. Skłonił się przed Arutha i Lyamem. Vandros szybko przedstawił towarzyszy podróży.

– No, czas, by wreszcie wypocząć... chyba że za chwilę nadciągnie ten pirat, król Queg, w galerze wojennej ciągniętej przez tysiąc koników morskich. – Śmiejąc się głośno, przemknął zwinnie koło załamanego zupełnie mistrza ceremonii deLacy, który na próżno usiłował zaprowadzić jaki taki porządek w orszaku królewskim.

Jimmy pozostał z tyłu. Chociaż widział kilka razy kupców z Keshu, to jednak nigdy nie miał okazji spotkać żołnierzy psiej piechoty czy

Tsuranich. Mimo pozorów światowca, który wie już wszystko o życiu miasta i wszystkiego doświadczył, w głębi serca był ciągle piętnastoletnim chłopcem.

Zastępca

Kasumiego

wydawał

rozkazy

dotyczące

zakwaterowania oddziału, podobnie jak czynił to kapitan z Keshu.

Jimmy siedział spokojnie na schodach, przebierając palcami w butach, by je chociaż trochę rozciągnąć. Przez kilka minut gapił się na bajecznie kolorowe wojsko z Keshu, po czym przeniósł wzrok na Tsuranich.

Zbierali się właśnie do wymaszerowania z placu. Musiał przyznać, że jedni i drudzy wyglądali bardzo egzotycznie i na tyle, na ile potrafił ocenić ich walory wojskowe, i jedni, i drudzy wyglądali jednakowo zadzierzyście i bojowo.

Już miał wstać i opuścić plac, gdy nagle coś dziwnego za plecami oddziału z Keshu przykuło jego uwagę. Na próżno próbował odtworzyć, co to było. Nie dawało mu to jednak spokoju. Zszedł powoli po schodach i ruszył przed siebie, aż znalazł się tuż koło stojących „na spocznij” kolorowych oddziałów. I nagle dostrzegł! W tłum stojący za wojskiem wtapiał się właśnie człowiek, o którym sądził, że od dawna nie żyje.

Chłopak zatrzymał się jak wryty. Nie był w stanie zrobić ani kroku. Był wstrząśnięty do głębi, ponieważ dostrzegł znikającego w tłumie

Śmiejącego się Jacka!

Arutha spacerował nerwowo. Za stołem w jego sali narad zasiedli Laurie, Brucal, Vandros i Kasumi. Książę kończył opowieść o ataku na Nocne Jastrzębie. Podniósł zwój pergaminu.

– To od barona Highcastle'a w odpowiedzi na moje pytania.

Baron pisze, że w jego rejonie daje się zaobserwować niezwykle ożywiony ruch ku północy. – Położył zwój na stole. – Podaje również obszerne zestawienie liczebności napotkanych grup, miejsc i dat spotkań, i tak dalej.

– Wasza Wysokość – odezwał się Vandros – w naszym regionie były jakieś ruchy, lecz na niewielką skalę. Jeśli chodzi o Yabon, to sprytne gobliny czy Mroczne Bractwo mogą unikać garnizonów, gdy zaraz po wyjściu poza północną granicę puszczy Elfów skręcają ostro na zachód. Przemykając się bokiem na zachód od Jeziora Niebiańskiego, mogą w ogóle uniknąć spotkania z naszymi patrolami. Do tego sektora wysyłamy tylko nieliczne oddziały, ponieważ Elfy i Krasnoludy z Kamiennej Góry utrzymują ten teren w należyтым spokoju.

– Albo tak nam się chce wydawać – parsknął niecierpliwie Brucal.

Stary książę, były pan na Yabonie, zrzekł się swego stanowiska na rzecz Vandrosa, gdy ten poślubił jego córkę. Stary wojak walczył jednak przez całe życie z moredhelami i jego analityczny, wojskowy umysł pracował bardzo sprawnie. – Nie, to nieprawda. Jeśli przemieszczają się małymi oddziałami, mogą wykorzystywać mniejsze przełęcze, przechodząc tamtędy, jak i kiedy im się tylko podoba. I tak ledwo nam

wystarcza ludzi, by pilnować szlaków handlowych, a przecież to tylko kropla w morzu. Poza tym mamy pod swoją opieką ogromny obszar.

Jedynie, czego muszą przestrzegać, to żeby poruszać się nocami, unikać górskich wiosek klanów Hadati i głównych dróg. I nie łudźmy się, panowie, że jest inaczej.

– Oto dlaczego chciałem cię mieć przy sobie, Brucal – uśmiechnął się Arutha.

– Wasza Wysokość – przemówił Kasumi. – Być może jest dokładnie tak, jak mówi książę Brucal. W ostatnich czasach nie mieliśmy z nimi zbyt wielu kontaktów. Pewnie nasza stal dała im się we znaki i teraz przemieszczają się skrycie w małych grupkach.

Laurie wzruszył ramionami. Urodzony i wychowany w Yabonie, minstrel z Tyr-Sog wiedział o moredhelach tyle samo, co reszta zebranych.

– Niewątpliwie trzeba się zastanowić nad jednym: te wszystkie dziwne doniesienia i raporty o ruchach ku północy dotarły do nas dokładnie w tym samym czasie, gdy stwierdziliśmy, że moredhele uczestniczyli w próbach zabójstwa Aruthy.

– Mniej bym się martwił, gdybym miał pewność, że ich zdławienie tu, w Krondorze, było skuteczne. Dopóki nie odkryjemy, kto za tym wszystkim stoi, nie skończymy tak naprawdę z Nocnymi Jastrzębiami.

Przegrupowanie sił i stworzenie ponownie realnego zagrożenia może im zabrać kilka miesięcy, lecz sądzę, że znowu wrócą. Tak, Laurie ma rację.

Gdy rozważam wszystkie znane fakty, jestem przekonany, że istnieje

jakiś związek pomiędzy Nocnymi Jastrzębiami a tym, co się dzieje na północy.

Pukanie do drzwi poprzedziło pojawienie się Gardana.

– Przeszukaliśmy wszystkie zakamarki, Wasza Wysokość. Po paniczu Jamesie nie ma ani śladu, przepadł jak kamień w wodę.

– Po raz ostatni widziałem go, jak stał na schodach obok mistrza Fannona, kiedy na plac wkraczali Tsurani – zauważył Laurie.

– Kiedy rozpuściłem oddziały, siedział tam jeszcze – dodał Gardan.

– A teraz siedzi nad waszymi głowami – dobiegł ich głos z wysoka, od strony okna.

Wszystkie oczy powędrowały ku górze. Jimmy siedział we wnęce wysoko sklepionego okna. Zanim ktokolwiek zdążył otworzyć usta, chłopak zeskoczył zwinnie jak kot.

Na twarzy Aruthy malowała się mieszanina niedowierzania i rozbawienia.

– Kiedy poprosiłeś o pozwolenie zbadania dachów, sądziłem, że będziesz potrzebował drabin i... pomocy... Jimmy był bardzo poważny.

– Czekanie nie miało sensu, Wasza Wysokość. A poza tym, co to za złodziej, któremu potrzeba drabiny, by wspiąć się na mur? – Zbliżył się do Księcia. – Ten pałac to istna królikarnia. Pełno tu ciemnych kątów, nisz i zakamarków, w których można się schować.

– Najpierw jednak musiałby się tu dostać – zaproponował Gardan.

Jimmy spojrział na niego z powątpiewaniem, gdyż według niego nie

przedstawiało to najmniejszego kłopotu. Kapitan gwardii zamilkł.

Laurie podjął przerwany wątek.

– Chociaż nie wiemy, kto stoi za Nocnymi Jastrzębiami, wiemy przynajmniej tyle, że tutaj, w Krondorze, zostali skutecznie zniszczeni...

– Ja też tak myślałem – przerwał mu Jimmy, spoglądając na zebranych. – Jednak dzisiaj po południu, gdy tłumy zaczęły się rozchodzić, ujrzałem na placu starego przyjaciela, Śmiejącego się Jacka.

Arutha spojrzał na niego ostro.

– Z tego, co mówiłeś, wynikało, że zostawiłeś tego zdrajcę

Prześmiwców martwego w porcie.

– Zgadza się. Tak martwego, jak każdy inny, kto ugodzony pociskiem z kuszy, leżałby z dziurą wielkości pięści w klatce piersiowej.

Dosyć trudno wstać i szwendać się po ulicach, jakby nic się nie stało, gdy brakuje ci połowy płuc. Po tym jednak, co widzieliśmy w tym burdelu, nie zdziwiłbym się nawet, gdyby nagle pojawiła się moja dawno zmarła matka, by mnie przykryć kołderką i utulić do snu. –

Jimmy mówił chaotycznie, spacerując nerwowo po pokoju. Podeszedł nagle do jednej ze ścian i zatrzymał się.

– Aha! – krzyknął teatralnym szeptem, po czym wsunął rękę za wiszącą na ścianie tarczę i nacisnął coś. Rozległ się zgrzyt i część ściany o wymiarach pół metra na metr cofnęła się w głąb, ukazując czarną dziurę. Arutha podeszedł do otworu i zajrzał do środka.

– Co to jest? – spytał Jimmy'ego.

– Jedno z tajemnych pałacowych przejść. Pamiętam, Wasza Wysokość, jak kiedy ukrywaliśmy się razem, księżniczka Anita opowiadała o swojej ucieczce z pałacu, w której pomagała jej służąca. Wspomniała raz, że przechodziły jakimś „przejściem”. Nie pamiętałem o tym aż do dzisiaj. Brucal rozejrzył się po pokoju.

– To pomieszczenie mogło kiedyś stanowić część pierwotnego zamku lub jedną z pierwszych przybudówek. U nas mamy takie jedno sekretne przejście, które prowadzi pod ziemią na zewnątrz aż do lasu. Nie słyszałem o żadnym starym zamku, który by nie miał takiego tajnego tunelu. – Zamyślił się na chwilę. – Może być więcej podobnych przejść.

– Dwanaście albo i więcej. – Jimmy uśmiechnął się szeroko. – Wystarczy przejść się trochę po dachu, by odkryć wiele nieproporcjonalnie grubych murów czy też przedziwnych kątów, pod jakimi skręcają niektóre korytarze czy przejścia.

– Gardan, chcę, aby natychmiast zrobiono dokładne plany wszystkich korytarzy i przejść w pałacu – powiedział Arutha. – Weź kilkunastu ludzi i sprawdź, dokąd prowadzi to tutaj i czy nie ma innych jeszcze wylotów, a jeśli tak, to gdzie. Pogadaj również z królewskim architektem. Może będzie wiedział, czy któreś z tych przejść nie widnieje na starych planach.

Gardan zasalutował i wyszedł. Vandros, głęboko zaniepokojony, siedział ze zmarszczonym czołem.

– Arutha, miałem bardzo mało czasu, by przyzwyczaić się do

myśli o zabójcach i Mrocznym Bractwie współpracujących w tajemnicy ze sobą.

– Dlatego właśnie chciałem odbyć tę rozmowę, zanim rozpoczną się uroczystości. – Księżę usiadł. – W pałacu aż roi się od obcych. W orszaku każdego zaproszonego na ślub będzie wiele osób. Kasumi, chcę, aby twoi ludzie obsadzili wszystkie kluczowe pozycje. Ich oddziałów nikt nie będzie w stanie zinfiltrować, a oni sami są poza wszelkim podejrzeniem. Skoordynujcie swoje działania z Gardanem. Jeśli będzie trzeba, w głównym pałacu zostawimy tylko Tsuranich, ludzi, których osobiście znam z Crydee, i moją straż przyboczną. – Spojrzał na Jimmy'ego. – Według prawa powinienem ukarać cię za tę eskapadę i kazać ci złoić skórę. – Jimmy zesztyniał, lecz odprężył się natychmiast, gdy spostrzegł uśmiech Aruthy. – Ale daję głowę, że ktoś, kto by spróbował coś takiego zrobić, skończyłby ze sztyletem wbitym pod żebro. Doszły mnie właśnie słuchy o twojej konfrontacji z paniczem Jerome'em.

– Temu smarkaczowi wydaje się, że jest królem całego podwórka.

– Hm... jego ojciec bardzo się zdenerwował i chociaż nie jest najważniejszym moim wasalem, to z pewnością jest bardzo hałaśliwy.

Posłuchaj Jimmy, zostaw Jerome'a w spokoju, niech zgrywa koguta do woli. Od teraz będziesz trzymał się blisko mnie. Powiem mistrzowi deLacy, że aż do odwołania zostałeś zwolniony z pełnienia innych obowiązków. Nie włócz się jednak i jak ci przyjdzie ochota znowu powędrować na dach, uprzedź Gardana albo mnie. Któryś z moich co

bardziej nerwowych gwardzistów, zanim cię rozpozna, może cię poczęstować strzałą. Na wypadek gdybyś jeszcze tego nie zauważył, chciałem cię poinformować, że ostatnimi czasy sytuacja zrobiła się jakby trochę napięta.

Jimmy zignorował sarkastyczny komentarz.

– Najpierw musiałby mnie zauważyć. Wasza Wysokość. Brucal uderzył dłonią w stół.

– Ale ma cięty język. – Stary parsknął rubasznym śmiechem, kiwając z uznaniem głową.

Arutha również się uśmiechnął. Już dawno stwierdził, że nie potrafi długo się gniewać na tego łobuziaka.

– Dostyc tego. Przez cały następny tydzień czekają nas bankiety, uczyty, zabawy i tak dalej. Być może martwimy się niepotrzebnie i Nocnych Jastrzębi już dawno nie ma.

– Miejmy nadzieję – szepnął Laurie. Bez dalszych zbędnych słów Arutha i jego goście rozeszli się do swoich pokoi.

– Jimmy!

Obejrzał się. Księżniczka Anita wraz z dwoma gwardzistami Gardana i damami do towarzystwa nadchodziła korytarzem w jego stronę. Gdy podeszła bliżej, skłonił się nisko. Podala mu rękę na powitanie, a on ucałował ją delikatnie, tak jak pokazywał mu Laurie.

– Cóż z ciebie za elegancki dworzanin teraz – pochwaliła go i dalej poszli razem.

– Odnoszę wrażenie, Księżniczko, że los zainteresował się moją

osobą. Nigdy nie miałem wielkich ambicji. Jedyne, czego chciałem od życia, to awansować w hierarchii Prześmiewców... być może zostać następnym Sprawiedliwym. Teraz jednak odkryłem, że dla mego życia horyzonty znacznie się poszerzyły.

Uśmiechnęła się ciepło. Damy do towarzystwa szeptały coś za ich plecami. Jimmy nie widział księżniczki od jej przyjazdu i teraz znowu poczuł, jak na jej widok coś go ściska w dołku, tak samo jak rok wcześniej. Wyrósł co prawda z chłopięcego zauroczenia dziewczyną, lecz nadal bardzo, bardzo ją lubił.

– Czy rozwinąłeś więc jakieś nowe ambicje, Jimmy Rączka?

– Pan James z Krondoru, Wasza Wysokość – poprawił ją, udając oburzenie. Wybuchnęli śmiechem. – Niech Wasza Wysokość tylko spojrzy, w Królestwie nadszedł czas zmian. Długotrwała wojna z

Tsuranimi pozbawiła nas wielu ludzi z tytułami. Księżę Volney pełni obowiązki kanclerza, a w Saladorze czy Bas-Tyrze ciągle nie ma książąt. Trzy księstwa bez panów! W takim środowisku dla kogoś sprytnego i z talentem niewątpliwie rysują się pewne możliwości, nieprawdaż?

– Masz jakiś konkretny plan? – W jasnozielonych oczach i w uśmiechu malował się zachwyt nad jego optymizmem i pewnością siebie.

– Może jeszcze nie dziś, jeszcze nie w pełni, lecz wyraźnie widzę możliwość wzniesienia się ponad skromny tytuł, który mam teraz. No cóż, może nawet... księżę miasta Krondor?

– Pierwszy Doradca księcia Krondoru? – spytała, udając

zdumienie i zaszokowanie. Jimmy puścił do niej oko.

– Mam tu niezłe układy. Jestem bliskim i osobistym przyjacielem jego narzeczonej. – Roześmieli się oboje.

Anita położyła mu rękę na ramieniu.

– Bardzo bym chciała, byś był z nami. Tak się cieszyłam, że Arutha odnalazł cię szybko. Obawiał się, że nie będzie łatwo dowiedzieć się, gdzie przebywasz.

Jimmy zmylił krok. Nie przyszło mu po prostu do głowy, że Arutha nie powie nic Anicie o zabójcach, lecz teraz przekonał się, że dziewczyna jest zupełnie nieświadoma ostatnich wydarzeń. Przecież to oczywiste, pomyślał. Księżę nie chciał niepotrzebnie przysłać zbliżającego się ślubu kirem niepokoju. Szybko doszedł do siebie.

– Och... znalazł mnie prawie przez przypadek. Jego Wysokość nigdy nie wspomniał, że mnie poszukiwał.

– Nawet się nie domyślasz, jak Arutha i ja przez cały czas niepokoiłiśmy się o ciebie po opuszczeniu Krondoru. Kiedy widzieliśmy cię po raz ostatni w porcie, uciekałeś przed ludźmi Guya. Nie mieliśmy o tobie żadnych wieści. Kiedy zaś przejeżdżaliśmy przez Krondor, udając się na koronację, było tak mało czasu, że nie zdążyliśmy się o ciebie rozpyłać. Lyam ulaskawił Trevora Hulla i jego ludzi oraz sownie ich wynagrodził za pomoc nam okazaną, lecz nikt nie miał pojęcia, co się stało z Jimmym Rączką. Od samego początku miał wobec ciebie plany, ale nie sądziłam, że tak szybko obdarzy cię tytułem szlacheckim.

Jimmy wzruszył się do głębi. Ta informacja przydawała

dodatkowego znaczenia poprzedniej uwadze Aruthy, kiedy mówił, że uważał Jimmy'ego za przyjaciela już wcześniej.

Anita zatrzymała się, wskazując na pobliskie drzwi.

– Idę do przymiarki. Dziś rano nadeszła z Rillanonu moja suknia ślubna. – Pochyliła się i lekko pocałowała go w policzek. – Muszę już lecieć.

Jimmy z trudem zdusił narastające w nim, przedziwne i zatrważająco silne uczucie.

– Wasza Wysokość... tak się cieszę, że tu jestem. Będziemy się wspaniale bawić.

Roześmiała się i weszła do pokoju razem ze swoimi damami.

Gwardziści stanęli na warcie przed drzwiami. Jimmy poczekał, aż drzwi się zamkną, a potem odszedł, pogwizdując wesoło. Przebiegł myślą kilka ostatnich tygodni swego życia i stwierdził z radością, że jest szczęśliwy bez względu na zabójców i ciasne buty.

Skręcił w korytarz prowadzący ku mniej uczęszczanej części pałacu i stanął jak wryty. Tuż przed nim jarzyło się w półmroku dwoje oczu. Błyskawicznie wyciągnął sztylet zza pasa. Posapując głośno, właściciel płonących, czerwonych oczu poczłapał przed siebie. Był to stwór wielkości małego psa. Jego ciało pokrywały zielone łuski. Łeb do złudzenia przypominał głowę aligatora, ale pysk miał bardziej zaokrąglony. Spore skrzydła leżały złożone na grzbiecie. Długa, kręta szyja pozwalała mu się oglądać za siebie, gdzie po ziemi włókł się równie długi ogon.

– Fantus! – krzyknął dziecinny głosik za nim. Mały, najwyżej sześćoletni chłopczyk podbiegł do stwora i zarzucił mu ręce na szyję. Spojrzał na Jimmy'ego poważnymi, ciemnymi oczami.

– On nie zrobi panu krzywdy.

Jimmy poczuł się nagle głupio, stojąc z wyciągniętym sztyletem.

Szybko schował broń. Stwór był najwyraźniej domowym zwierzęciem, chociaż dość dziwacznym.

– Jak go nazwałeś?

– Jego? Fantus. To mój przyjaciel i jest bardzo mądry. Bardzo dużo wie.

– Tak... ee... chyba tak – zgodził się Jimmy, czując się nieswojo pod dziwnym spojrzeniem zwierzaka. – Co... co to jest?

Chłopczyk spojrział na niego, jakby był chodzącym ucieleśnieniem ignorancji.

– To przecież smok ognisty – poinformował jednak po chwili. –

Właśnie przyjechaliśmy do pałacu. A on przyleciał za nami. On potrafi latać, wiesz? – Jimmy skinął tylko głową. – Musimy wracać. Mamusia będzie się gniewać, jak zobaczy, że nas nie ma w pokoju. – Zawrócił stwora i odszedł bez słowa, ciągnąc go za sobą.

Przez dobrą chwilę Jimmy tkwił w miejscu jak posąg, nie mogąc się ruszyć. Rozejrzał się wokół, jakby szukał kogoś, kto mógłby potwierdzić wizję, której był świadkiem. Po chwili skwitował swoje zdumienie wzruszeniem ramion i ruszył dalej. Po paru krokach usłyszał przed sobą dźwięk lutni.

Skręcił i opuścił korytarz, wchodząc do dużego ogrodu. Laurie siedział na brzegu klombu ze skrzyżowanymi nogami i stroił swój instrument.

– Muszę przyznać, że jak na minstrela, przedstawiasz dość żałosny widok.

– Bo też i należę do podgatunku minstreli żałosnych. – Laurie rzeczywiście wyglądał ponuro i smutno. Przebierał palcami po strunach jeszcze przez chwilę, po czym zaczął grać pełną powagi, rzewną melodię.

Jimmy słuchał przez kilka minut.

– Dobra, dobra. Wystarczy tego zawodzenia. Przecież nastał czas radości i wesela. Co cię gryzie, pieśniarzu?

– Jesteś zbyt młody, by to pojąć... – Laurie westchnął głęboko i przechylił głowę.

– Ha! Spróbuję zrozumieć. Gadaj – przerwał Jimmy.

– Chodzi o księżniczkę Carline. – Laurie odłożył lutnię.

– Ciągle chce za ciebie wyjść, co? Laurie rozdziawił usta.

– A skąd ty u...?

– Widać przebywałeś za długo z możnymi tego świata, pieśniarzu.

– Jimmy parsknął śmiechem. – Ja tu jestem nowy i nie zapomniałem, jak się rozmawia ze służbą, a co jeszcze ważniejsze, wiem, jak słuchać.

Te wszystkie pokojówki i służące z Rillanonu omal nie pękły z niecierpliwości, tak się rwały, by opowiedzieć wszystko o tobie i księżniczce Carline miejscowym dziewczynom. Stanowicie niezły temat

do plotek.

– Słyszałeś, jak sędzę, całą opowieść? – Wesolość Jimmy’ego nie rozbawiła wcale Lauriego. Jimmy przybrał obojętny wyraz twarzy.

– Księżniczka jest naprawdę cudowna, lecz ja wychowałem się w burdelu, więc sam rozumiesz, że moje wyobrażenia i poglądy na temat kobiet są nieco mniej... wyidealizowane.

– W tym momencie pomyślał o Anicie i zmienił nieco ton.

– No tak, ale muszę przyznać, że księżniczki wydają się zupełnie inne niż reszta.

– Miło, że to zauważyłeś – skomentował oschle Laurie.

– No cóż... powiem tyle: twoja księżniczka to najwspanialsza i najpiękniejsza kobieta, jaką widziałem w życiu, a wierz mi, że widziałem ich sporo, włączając w to twoje droższe kurtyzany, które są klasą dla siebie. Większość mężczyzn, których znam, byłaby gotowa sprzedać swoją własną matkę, by tylko zwrócić uwagę Carline na siebie. Zatem o co tu chodzi, Laurie? Na czym polega problem? Laurie przez dłuższą chwilę przyglądał się chłopcu.

– Na czym polega problem? Otóż na tym, że jestem szlachcicem.

Jimmy ryknął śmiechem szczerze rozbawiony.

– I gdzie tu problem? Jedyne, co masz do roboty, to tylko rozkazywać wszystkim dookoła, a winę zwałać na innych. Laurie zaśmiał się,

– Wątpię, czy Lyam i Arutha podzieliliby ten pogląd.

– No tak... królowie i książęta to trochę co innego, lecz większość

możnych, których widziałem do tej pory, niczym się nie wyróżniło.

Stary Volney jest niezły... sprytny i w ogóle, lecz nie zależy mu wcale, by tu zostać. A reszta? Pozostali tylko chcą być ważni. Do diabła z tym!

Pieśniarzu, ożeń się z nią i już! Dodasz trochę świeżej krwi i ulepszysz nieco ten osobliwy gatunek.

Laurie parsknął śmiechem i zamachnął się żartobliwie, a zuchwały młodzik uchylił się, rechocząc radośnie. Nagle usłyszeli trzeci wybuch śmiechu i odwrócili się gwałtownie.

Stał przed nimi niski, szczupły, ciemnowłosy mężczyzna w prostym stroju z doskonałego materiału. Z jego pozy domyślili się, że przysłuchiwał się im już od dłuższego czasu.

– Pug! – krzyknął uszczęśliwiony Laurie i zerwał się na równe nogi, by go uściskać. – Kiedy przyjechałeś?

– Jakieś dwie godziny temu. Miałem krótkie spotkanie z Królem i Arutha. Poszli teraz z Volneyem, by uzgodnić szczegóły bankietu powitalnego. Arutha wspomniał, że dzieją się tu jakieś dziwne rzeczy i zasugerował, bym ciebie poszukał.

Laurie poprosił Puga, aby spoczął. Sam zaś, siadając obok Jimmy'ego, przedstawił ich sobie.

– Mam dużo do powiedzenia, ale po pierwsze powiedz, jak Katala i chłopak?

– Wspaniale. Jest teraz w naszym apartamencie i plotkuje z

Carline. – Na wzmiankę o księżniczce Laurie zachmurzył się znowu. – A William pognął gdzieś za Fantusem.

– Zatem to „coś” należy do ciebie? – wykrzyknął Jimmy.

– Fantus? – Pug roześmiał się. – A więc już go widziałeś. Nie, nie należy do nikogo. Przychodzi i odchodzi, kiedy chce, dlatego zresztą znalazł się i tutaj, bez niczyjej zgody.

– Wątpię, aby znajdował się na oficjalnej liście gości deLacy – skomentował Laurie. – Ale, ale, będzie chyba lepiej, jeśli wprowadzę cię w rzeczywistość ważne sprawy. – Pug zerknął w stronę Jimmy'ego. – Spokojnie, to nigdy nie wysychające źródło kłopotów było w sercu wydarzeń od samego początku. Nie usłyszysz z moich ust niczego, o czym sam by dobrze nie wiedział.

Opowiedział o wszystkim, co zaszło, a Jimmy dorzucił kilka szczegółów, które pominął. Po paru minutach ich wspólna opowieść dobiegła końca.

– Tak, nekromancja to straszna rzecz. Zło w najczystszej postaci.

Jeśli nawet reszta wspomnianych przez was faktów nie świadczyła o działaniu mrocznych mocy, to jedno wystarcza. Nie ma najmniejszych wątpliwości. Ten obszar leży bardziej w gestii kapłanów niż magów, ale oczywiście Kulgan i ja zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by pomóc.

– To i Kulgan przybył ze Stardock?

– Żadna ludzka siła by go nie powstrzymała. Pamiętasz? Arutha był przecież jego uczniem. A poza tym, chociaż sam się do tego nigdy nie przyzna, brakuje mu bardzo sprzeczek i sporów z ojcem Tullym. A przecież nie mogło być wątpliwości, że to właśnie Tully będzie przewodniczył uroczystości zaślubin Aruthy. Założę się, że w tej chwili

Kulgan jest właśnie tam i klóci się z Tullym.

– Co prawda nie widziałem go jeszcze, ale wiem, że miał przybyć dziś rano, podróżując z Rillanonu wraz z tymi, którzy preferują nieco wolniejsze tempo niż orszak królewski. No cóż, w jego wieku woli się, gdy wszystko odbywa się spokojniej.

– Staruszek musi już być po osiemdziesiątce?

– Myślę, że nawet bliżej dziewięćdziesiątki, lecz trzyma się dzielnie. Szkoda, że go nie słyszałeś w pałacu w Rillanonie. Jak tylko któryś z młodych paniczów czy paziów przeskrobie coś albo nawali w nauce, to potrafi tak przygadać, że bąble same wyskakują na plecach chłopaków.

Pug parsknął śmiechem, po czym spoważniał i zamyślił się na chwilę.

– Laurie, a jak się układa między tobą a Carline? Trubadur jęknął głucho, a Jimmy stłumił szatański chichot.

– Właśnie o tym rozmawialiśmy, kiedy się pojawiłeś. Dobrze.., źle... sam już nie wiem.

W ciemnych oczach Puga pojawiło się głębokie współczucie.

– Znam to uczucie. Jeszcze jako dzieci, w Crydee... Nie zapominaj tylko, że nie kto inny jak ty sam wymusiłeś na mnie obietnicę, że was poznam, jeśli tylko uda się nam wrócić kiedykolwiek z Kelewanu na Midkemię. Co, zapomniałeś już?

– Pokręcił głową i dodał ze śmiechem: – Jak to dobrze wiedzieć, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Jimmy zerwał się na równe

nogi.

– No, na mnie już czas. Magu, bardzo miło było cię poznać.

Pieśniarzu, rozchmurz się, głowa do góry. To proste, albo poślubisz księżniczkę, albo nie, innej możliwości nie ma – powiedział i pobiegł przed siebie, zostawiając Lauriego sam na sam z mazołem rozgryzienia logiki tego stwierdzenia. Pug nie wytrzymał i ryknął śmiechem.

ŚLUB

Jimmy kręcił się bez celu po wielkiej sali tronowej, w której trwały ostatnie przygotowania do uroczystości. Młodzi panowie nadzorowali uwijających się jak w ukropie paziów i posłańców. Ceremonia miała się rozpocząć za niecałą godzinę i wszyscy zajmowali się wyłącznie pracą. Jimmy stwierdził, że ceną, jaką przyszło mu zapłacić za zwolnienie go z pełnienia innych obowiązków, było to, że w końcu nie miał nic do roboty. A ponieważ Arutha z pewnością nie chciał, aby mu się teraz plątał pod nogami, musiał więc sam znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w zabieganiu i gorączce przygotowań niewielu pamiętało o nie tak dawnych zagrożeniach czyhających na Księcia. Mrożące krew w żyłach potworności kryjące się w Domu pod Wierzbami zniknęły przysłonięte masą ślubnych kwiatów i dekoracji.

Jimmy zauważył kątem oka ponure spojrzenie rzucone w jego stronę przez Jerome'a. Rozzłościło go to. Zrobił ku niemu gwałtowny krok z groźnym marsem na czole. Jerome stwierdził nagle, że powinien być właśnie w innym miejscu oddalił się szybkim krokiem, oglądając się za siebie.

Jimmy usłyszał wybuch śmiechu. Obejrzał się i zobaczył roześmianą od ucha do ucha twarz Locleara, dźwigającego ogromny bukiet ślubny, sprawdzany właśnie skrupulatnie przez jednego z

Tsuranich. Spośród wszystkich młodych paniczów przy dworze książęcy jedynie Locky okazywał mu cień przyjaznych uczuć. Pozostali byli albo zupełnie obojętni, albo otwarcie wrogo nastawieni. Jimmy polubił młodszego chłopca, chociaż miał on skłonności do nieustannego mielenia językiem o rzeczach zupełnie nieistotnych. Pewnie jest najmłodszym dzieckiem, oczkiem w głowie mamusi i tatusia, pomyślał. Na ulicach miasta nie przetrwałby nawet pięciu minut. Mimo to odróżniał się pozytywnie od nudnej i pozbawionej wszelkiego wyrazu reszty. Jedyłą rozrywką, jakiej dostarczali Jimmy'emu, było ich żalosne silenie się na mądrość i wiedzę o całym świecie. Nie, Arutha i jego przyjaciele byli o wiele bardziej interesujący niż ci paniczykowie opowiadający sprośne kawały, bez końca spekulujący lubieżnie na temat tej czy innej służącej i zajmujący się ciągle intrygami i gierkami dworskimi. Jimmy pomachał małemu ręką i ruszył w stronę bocznego wyjścia.

Zatrzymał się na progu, by przepuścić posłańca wnoszącego naręcze kwiatów. Jeden z bukietów wysunął się i upadł na podłogę. Jimmy schylił się i podniósł kwiaty. Kiedy je oddawał służącemu, zdał sobie nagle sprawę z czegoś dziwnego. Spojrzał uważniej. Kwiaty, białe chryzantemy, jarzyły się delikatnym, bursztynowym światłem.

Jimmy spojrzał za siebie i do góry. O całe cztery kondygnacje wyżej wysoko sklepiony strop sali tronowej rozświetlały ogromne witrażowe okna. Kolory były ledwo widoczne, chyba że słońce świeciło akurat prosto w kratkę witraży. Jimmy przyglądał się im uważnie.

Czuł, jak narasta w nim znajome uczucie, że „coś nie jest w porządku”.

Po chwili zrozumiał. Wszystkie okna znajdowały się we wnękach, głębokich na nie mniej niż półtora czy dwa metry. To wystarczy, by ukryć przyczajonego zamachowca. Czy można się tam dostać? A jeśli tak, to którędy? Konstrukcja sali uniemożliwiała czyszczenie okien bez użycia wysokiej drabiny, a przecież przez kilka ostatnich dni prawie przez całą dobę kręcili się tu ludzie.

Jimmy wyszedł szybko, skręcił w boczny korytarz i po chwili znalazł się na tarasach ogrodowych ciągnących się wzdłuż bocznej ściany sali tronowej.

Zbliżało się dwóch wartowników patrolujących teren pomiędzy murem a głównym pałacem. Jimmy zatrzymał ich ruchem ręki.

– Przekażcie dalej, że chcę się trochę rozejrzeć na dachu sali tronowej.

Spojrzeli po sobie, ale rozkazy kapitana Gardana były wyraźne: gdyby zauważyli dziwnego panicza łąącego po dachach, mieli go zostawić w spokoju. Jeden z nich zasalutował.

– Tak jest, panie. Zaraz zawiadomię innych, aby łucznicy na murach nie wypróbowali na panu celności swojej broni.

Jimmy ruszył powoli wzdłuż ściany sali. Gdyby ktoś potrafił przeniknąć wzrokiem mury, myślał, to wchodząc przez główne wejście, widziałby ogród po lewej stronie. Hm... gdybym to ja był zabójcą, którędy starałbym się dostać na górę? Rozejrzał się szybko dookoła.

Dostrzegł drewnianą kratownicę pnącą się po murze sali przylegającej

bezpośrednio do sali tronowej. No tak... bez problemu... z kraty na dach drugiej sali, a potem...

Jimmy przestał myśleć i zaczął działać. Zrzucając znienawidzone „wyjściowe” buty, przyglądał się uważnie układowi murów. Wdrapał się błyskawicznie po kracie i pobiegł krawędzią dachu mniejszej sali. Rozpędził się i wskoczył zwinnie na niski gzyms biegnący wzdłuż muru wielkiej sali tronowej. Z twarzą przyciśniętą do kamieni pełził z zadziwiającą szybkością, kierując się w przeciwny koniec muru. Kiedy pokonał połowę odległości do narożnika, podniósł głowę. Piętro wyżej, tuż nad nim, ciągnęła się dolna krawędź okna. Była prowokująco, a zarazem zwodniczo blisko. Jimmy nie dał się jednak zwieść pozorom. Wiedział dobrze, że aby się wspiąć, musi znaleźć dogodniejsze miejsce. Posuwał się dalej, aż pokonał dwie trzecie długości ściany. W miejscu, gdzie w sali znajdowało się podwyższenie z tronem Księcia, mur wybrzuszał się pod kątem prostym na jakieś pół metra. Mógł teraz spróbować wspinaczki pod kątem do obu ścian. Zaczął obmacywać palcami mur, aż natrafił na szparę między kamieniami. Wykorzystując wieloletnie doświadczenie, przerzucił ciężar ciała na jedną stronę. Palce nóg przesuwwały się po murze w poszukiwaniu punktu zaczepienia. Centymetr po centymetrze posuwał się narożnikiem ku górze, jakby zaprzeczając prawu ciężenia. Zadanie było bardzo trudne i wymagało absolutnej koncentracji uwagi i woli. Po czasie, który wydawał mu się wiecznością, sięgnął w górę i złapał końcami palców parapet biegnący poniżej okien. Chociaż nie miał on więcej niż trzydzieści centymetrów

szerokości, mógł jednak stanowić śmiertelną przeszkodę. Najmniejsze omsknięcie się stóp czy rąk posłałoby go cztery piętra w dół na pewną śmierć. Chwycił mocno za krawędź parapetu, zwalniając drugą rękę. Przez ułamek sekundy wisiał na jednej ręce, po czym wyciągnął w górę drugą, chwytając się mocno. Następnie jednym, płynnym ruchem zaczepił nogą o parapet i wdrapał się na górę.

Stanął na wąskim gzymsie i powędrował dalej. Obszedł narożnik na tyłach podwyższenia w sali, zbliżył się do okna i zajrzał do środka. Wytarł kurz z szyby i na moment oślepiło go słońce wpadające przez okno w przeciwległej ścianie. Zasłonił oczy dłonią i odczekał, aż przyzwyczają się na powrót do ciemnego wnętrza. To będzie dosyć trudne, pomyślał, dopóki promienie słońca nie zaczną padać pod innym kątem. W tej samej chwili poczuł, jak szyba ustępuje pod palcami, a wokół ust i szyi zaciskają się silne dłonie.

Zaszokowany nagłym atakiem zamarł na chwilę bez ruchu. Kiedy zaczął walczyć i szamotać się, uścisk napastnika był już zbyt silny. Poczuł potężne uderzenie w skroń i świat zawirował jak szalony. Stracił przytomność.

Kiedy ocknął się, zobaczył tuż nad sobą wyszczerzone w okrutnym uśmiechu zęby Śmiejącego się Jacka. Fałszywy Prześmiewca nie tylko żył, ale był wewnątrz pałacu, a wyraz jego twarzy i leżąca nie opodal kusza świadczyły dobitnie, że był gotowy znowu zabijać.

– I co, ty mały sukinsynu – szepnął, wpychając głębiej knebel w usta chłopca. – Wlazłeś tam, gdzie cię nikt nie prosi, o jeden raz za dużo.

Wyprułbym ci flaki już teraz, ale nie mogę ryzykować, że ktoś zauważy krew kapiącą z góry. – Przesunął się zwinnie na małym obszarze pomiędzy oknem a otwartą przestrzenią sali tronowej. – Kiedy jednak już dokonam dzieła, to... pa, pa i pofruwasz sobie, chłopczyku. –

Wskazał na podłogę sali. Obwiązał mocno ręce i nogi Jimmy'ego, tak że sznur wrzynał mu się w ciało. Chłopak próbował wydać jakiś dźwięk, ale zagubił się on w szumie dochodzących z dołu rozmów. Jack znowu zdzielił go w głowę i Jimmy stracił przytomność. Zanim zapadła zasłona ciemności, ujrzał jeszcze, jak Jack odwraca się i skupia całą uwagę na sali.

Jimmy leżał bez zmysłów przez bliżej nie określony czas, a kiedy wreszcie odzyskał przytomność, usłyszał dochodzący z dołu monotony śpiew kapłanów wchodzących do sali tronowej. Pamiętał, że gdy tylko ojciec Tully i kapłani zajmą swoje miejsca, w drzwiach pojawią się Król, Arutha i inni członkowie dworu.

Poczuł, jak narasta w nim panika. Ponieważ był zwolniony z wszelkich obowiązków, nikt w tej pełnej emocji chwili nie zauważył jego nieobecności. Zaczął wiercić się i naprężyć mięśnie, ale Jack, jako były Prześmiewca, dobrze wiedział, jak wiązać sznur, by się nie rozwiązał. Gdyby miał tylko odpowiednio dużo czasu i gotów był poświęcić trochę własnej skóry i krwi, z czasem pozbyłby się więzów, lecz właśnie czas był w tej chwili najcenniejszym towarem. Szamotaniną zmienił tylko trochę swoją pozycję i widział teraz okno. Zauważył ślady jakiegoś ostrego narzędzia, którym podważono ramę jednego panelu, by

następnie go wyjąć. Ktoś przygotował sobie to okno już kilka dni wcześniej.

Gdy usłyszał kolejną pieśń, zrozumiał, że Arutha i jego najbliższe otoczenie zajęli już swoje miejsca, a księżniczka Anita kroczy właśnie środkiem sali, zbliżając się do podwyższenia. Rozglądał się gorączkowo dookoła, szukając jakiegoś sposobu, który pozwoliłby mu wyswobodzić się z więzów albo narobić tyle hałasu, by zaalarmować zebranych na dole. Potężny śpiew chóru wypełnił salę po brzegi. Jimmy zdał sobie sprawę, że nawet brzęk tłuczonej szyby nie wywoła żadnego efektu poza tym, że Jack znowu rąbnie go w głowę. Gdy śpiew przycichł na chwilę, usłyszał blisko jakiś dźwięk. Domyślił się, że Jack zakłada strzałę na kuszę.

Śpiew ucichł nagle i z dołu dał się słyszeć głos ojca Tully'ego zwracającego się do nowożeńców. Kątem oka dostrzegł, że Jack przykłada kuszę do twarzy i celuje w kierunku podium. Jimmy, wciśnięty przez klęczącego zabójcę w kąt mikroskopijnej przestrzeni, był niemal zwinięty w kłębek i nie mógł nawet kopnąć go związanymi nogami. Kiedy zaczął się ruszać, Jack rzucił w jego stronę ponure spojrzenie, nie mogąc się zdecydować, co zrobić najpierw: strzelić czy uciszyć chłopaka. Mimo wielkiej pompy uroczystość miała być bardzo krótka i zamachowiec postanowił zaryzykować zakładając, że przez kilka najbliższych chwil chłopak nie sprawi mu poważnego kłopotu. Jimmy był młody, w doskonałej kondycji, a po latach łażenia po dachach Krondoru uchodził niemal za akrobatę. Nie zastanawiając się

ani sekundy dłużej, wyprężył gwałtownie całe ciało ku górze, wspierając się stopami i głową o ściany wnęki okiennej. Szarpnął się, skręcając jednocześnie tułów, i nagle usiadł prosto, opierając się plecami o szybę. Jack obrócił się momentalnie i zaklął pod nosem. Nie mógł sobie pozwolić na zmarnowanie tego jednego, jedyne go strzału. Błyskawiczny rzut oka w dół upewnił go, że chłopak nikogo nie zaalarmował. Podniósł znowu kuszę i wymierzył.

Jimmy miał wrażenie, jakby pole jego widzenia zawężiło się nagle do jednego jedyne go punktu na całym świecie: do palca Jacka na spuście kuszy. Gdy patrzył na zginający się powolutku palec, widział wszystko jakby w zwolnionym tempie. Z całej siły wyrzucił przed siebie związane nogi. Bose stopy uderzyły zabójcę i kusza wystrzeliła. Jack, kompletnie zaskoczony, odwrócił się gwałtownie. Jimmy zebrał się w sobie i kopnął obunóż jeszcze raz. Przez moment odniósł wrażenie, jakby Jack siedział sobie spokojnie na krawędzi wnęki, w następnej jednak sekundzie zaczął spadać w dół. Machając dziko rękami, próbował chwycić się parapetu.

Obie jego dłonie wczepiły się w gładkie ściany wnęki, powstrzymując upadek. Przez moment wisiał bez ruchu, zawieszony w powietrzu, po czym jego dłonie zaczęły ześlizgiwać się po kamieniach. W tej chwili do Jimmy'ego dotarło jeszcze coś... coś dziwnego. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że śpiew, obecny przez cały czas w tle ceremonii, ucichł nagle jak nożem uciął. Gdy Jack zaczął się ześlizgiwać, z dołu dał się słyszeć krzyk i pisk przerażonych kobiet.

Niemal w tym samym momencie doznał szoku. Głowa uderzyła o kamienie. Miał wrażenie, jakby wyrywano mu nogi ze stawów. Jack chwycił za jedyną rzecz, którą miał w zasięgu ręki – jego nogi. Jimmy zaczął się zsuwać. Ciężar Jacka ściągał ich obu w objęcia śmierci. Jimmy zwijał się jak szalony. Wyginał ciało w tył, prężył i przyciskał z całej siły do kamieni, by opóźnić zsuwanie się. Na próżno. Równie dobrze mógłby sobie darować wysiłki. Kości i mięśnie niemal wyły z bólu, protestując przeciw śmierci, ale nie mógł się pozbyć Jacka. Nogi, biodra i plecy osłonięte materiałem ubrania ślizgały się po kamieniach. Powoli, lecz nieubłaganie był coraz bliżej krawędzi. I nagle usiadł prosto. Ciężar Jacka przeważał, unosząc ciało Jimmy'ego. Przez chwilę trwali nieruchomo, zawieszeni chwiejnie na samej krawędzi parapetu.

A potem runęli w dół. Jack puścił nogi chłopca, lecz Jimmy nawet tego nie zauważył. Kamienie posadzki pędziły im na spotkanie, by zdusić w twardym, śmiertelnym uścisku. Przez głowę Jimmy'ego przemknęła myśl, że w ostatniej chwili musiał postradać zmysły, ponieważ wydało mu się, że posadzka zwolniła bieg ku niemu, jakby jakaś moc poleciała, by przedłużyć ostatnie chwile chłopca. Po chwili zdał sobie sprawę, że rzeczywiście zapanowała nad nim jakaś siła, która zmniejszyła tempo upadku. Z lekka oszołomiony, lecz zdecydowanie żywy, wylądował z rozmachem na kamiennej posadzce. Szybko został otoczony przez żołnierzy i kapłanów, którzy pomogli mu dźwignąć się na nogi. Kręcił głową, nie mogąc wprost uwierzyć w cud

ocalenia, i wtedy dostrzegł kątem oka, jak mag Pug wykonuje rękami dziwne ruchy. Niezwykłe spowolnienie, które czuł wokół siebie, wyparowało jak kamfora. Gwardziści rozcięli więzy. Jimmy aż zwinął się z bólu, gdy powracająca do krwioobiegu krew rozpalila mu kończyny żywym ogniem. Nieomal stracił przytomność. Dwóch żołnierzy chwyciło go pod ramiona i podtrzymało, by nie upadł. Gdy powróciła mu ostrość widzenia, dostrzegł, że kilku żołnierzy trzymało Jacka, podczas gdy inni rewidowali go w poszukiwaniu czarnego pierścienia z trucizną czy innych przedmiotów, za pomocą których mógłby popełnić samobójstwo.

Jimmy powoli dochodził do siebie. Rozejrzał się. Tłum stojący wokół zamarł w przerażeniu i przypominał zbiorowy portret. Ojciec Tully stał u boku Aruthy. Żołnierze Tsuranich otoczyli Króla ciasnym kręgiem, a ich oczy penetrowały każdy zakątek ogromnej sali. Reszta zebranych patrzyła na Anitę, która leżała w objęciach klęczącego Aruthy. Spowita w opadający na podłogę welon i suknię zdawała się spać spokojnie w ramionach Księcia. Nieskazitelna biel w łagodnych promieniach popołudniowego słońca, z jedną różnicą – na plecach rozszerzała się coraz gwałtowniej szkarłatna plama.

Arutha siedział w przedsionku pogrążony w szoku. Oparł łokcie na kolanach i pochylił się. Patrzył w przestrzeń nie widzącymi oczami, nie zwracając uwagi na otaczających go ludzi. Przed oczyma duszy przesuwał się nieustannie powracający obraz: ostatnie minuty ceremonii ślubnej.

Anita wypowiedziała właśnie ostatnie słowa przysięgi i Arutha przysłuchiwał się kończącemu ślub błogosławieństwu ojca Tully'ego. Nagle na jej twarzy pojawił się przedziwny wyraz. Jednocześnie potknęła się i pochyliła gwałtownie, jakby popchnięta mocno. Chwycił ją w ramiona, zdziwiony upadkiem, ponieważ zawsze poruszała się pewnie i z wielką gracją. Chciał szybko wymyślić coś śmiesznego, jakiś dowcip, który rozładowałby napięcie. Wiedział dobrze, że będzie bardzo speszona tym, co się stało. Anita patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami z jakąś niesamowitą powagą. Rozchyliła usta, jakby chciała zadać bardzo ważne pytanie. Kiedy usłyszał pierwszy krzyk, spojrział w górę i zobaczył człowieka wiszącego pod okienną wnęką, wysoko nad podwyższeniem. W jednej sekundzie wszystko zaczęło się dziać jednocześnie. Ludzie krzyczeli, chaotycznie wskazując w górę. Pug pędził przed siebie, recytując głośno jakieś zaklęcie. Anita nie mogła utrzymać się na nogach, mimo że ze wszystkich sił próbował jej pomóc. I wtedy zobaczył krew.

Zakrył twarz dłońmi i zapłakał gorzko. Po raz pierwszy w życiu nie potrafił zapanować nad emocjami. Carline przytuliła się, obejmując go mocno, bardzo mocno, a jej łzy łączyły się z jego łzami. Nie odstępowała go na krok od chwili, gdy Lyam przy pomocy trzech żołnierzy odciągał go od Anity, umożliwiając kapłanom i medykom zajęcie się nią. Księżna Alicja odchodziła wprost od zmysłów w swojej komnacie. Gardan, Martin, Kasumi i Vandros rozbiegli się na czele kilku oddziałów gwardzistów i przeszukiwali tereny pałacowe

sprawdzając, czy nie znajdą innych zamachowców. Z rozkazu Lyama w ciągu zaledwie kilku minut od próby zamachu na Księcia cały pałac został odcięty od świata szczelnym kordonem żołnierzy. Król milcząc spacerował niezamordowanie po pokoju. W kącie Volney rozmawiał po cichu z Lauriem, Brucalem i Fannonem. Wszyscy czekali na wieści. Otworzyły się drzwi prowadzące do zewnętrznych sal i wartownik Tsuranich wpuścił do środka Jimmy'ego. Chłopak szedł powolutku, ponieważ nadwerężone ścięgna i mięśnie oraz podrapane nogi strasznie go bolały. Lyam i pozostali odwrócili się w jego stronę i patrzyli, jak zbliża się do Aruthy i staje przed nim.

Próbował coś powiedzieć, lecz słowa nie chciały mu przejść przez ściśnięte gardło. W czasie gdy młody kapłan z zakonu Nathana opatrywał i bandażował mu nogi, Jimmy podobnie jak Arutha ciągle na nowo przeżywał w myślach każdą sekundę ostatnich wydarzeń. Pamięć bez przerwy płatała mu figle. Oto przypomniał sobie wyraz twarzy Aruthy w momencie, kiedy ten wyjawiał mu swoją przyjaźń. W chwilę później zaś przed jego oczyma pojawiła się twarz Księcia w momencie, gdy klęczał, trzymając w ramionach Anitę i patrząc na nią z wyrazem absolutnego niedowierzania. Potem pojawiał się obraz Anity stojącej w korytarzu, tuż przed wejściem do pokoju krawieckiego, gdzie miała się odbyć przymiarka sukni ślubnej. Potem wizja ta rozplywała się powoli, a w jej miejsce pojawiał się obraz Księcia kładącego delikatnie Anitę na podłodze oraz kapłanów rzucających się na ratunek.

Jimmy znowu próbował coś powiedzieć. Arutha spojrzał na

chłopca.

– Dlaczego... Jimmy, nie... nie widziałem cię tam... Jimmy ujrzał w ciemnych oczach straszny, nieutulony smutek i poczuł, że coś się w nim załamało, pękło. Łzy same napłynęły do oczu.

– Próbowałem... – wykrztusił cichutko. Przełknął z trudem ślinę, coś dusiło go za gardło, oddychał ciężko. Usta poruszały się, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

– Przepraszam... – wykrztusił wreszcie ledwo słyszalnym szeptem. – Padł nagle przed Księciem na kolana. – Przepraszam, przepraszam...

Arutha przyglądał mu się przez chwilę nic nie rozumiejącym wzrokiem. W końcu pokręcił przecząco głową i położył rękę na ramieniu chłopca.

– To nic, Jimmy. W porządku, to przecież nie twoja wina. Chłopak klęczał przed Księciem z twarzą ukrytą na jego kolanach i łkał głośno.

Arutha niezgrabnie próbował go pocieszać. Laurie ukląkł przy Jimmym.

– Nie mogłeś zrobić nic więcej.

Jimmy podniósł głowę i spojrzał na księcia.

– Ale przecież powinienem był... Carline pochyliła się i delikatnie otarła mu ręką łzy z policzka.

– Ty przynajmniej poszedłeś sprawdzić, Jimmy. Nikt inny tego nie zrobił. Kto wie, co by się stało, gdybyś tego nie uczynił? – Przerwała, nie wypowiadając głośno myśli, że to właśnie Arutha mógłby teraz leżeć

martwy, gdyby Jimmy nie kopnął Jacka w chwili, kiedy tamten strzelał.

Jimmy był jednak niepokieszony.

– Powinienem być zrobić więcej... dużo więcej. Lyam podszedł do

Lauriego, Carline i Aruthy otaczających Jimmy'ego ciasnym kręgiem.

Laurie przesunął się w bok i Król ukląkł koło nich.

– Synu, wierz mi, że widziałem wielkich wojowników, którzy bez

zmrużenia oka ruszali do walki z goblinami, a niejeden z nich pobladłby

ze strachu na samą myśl, że miałby się wspiąć tam, gdzie ty wszedłeś –

powiedział miękko. – Gdy przydarza się coś strasznego, każdy myśli, że

powinien był uczynić więcej, by temu zapobiec. – Położył rękę na dłoni

Aruthy, która nadal spoczywała na ramieniu chłopca. – Właśnie

musiałem wydać stanowczy rozkaz, by Tsurani odpowiedzialni za

sprawdzenie sali tronowej nie zabijali się. Ty przynajmniej nie masz

tego zwariowanego poczucia honoru.

Jimmy spojrzał na niego z wielką powagą.

– Gdyby to mogło przywrócić życie Księżniczce, zrobiłbym to

natychmiast.

– Wiem o tym, synu, wiem – potwierdził Lyam uroczyście.

Arutha popatrzył na nich, jakby powrócił z jakiejś odległej krainy.

– Jimmy... chcę, żebyś wiedział, że spisałeś się doskonale.

Dziękuję... – Próbował się słabo uśmiechnąć.

Jimmy, któremu łzy ciągle spływały po policzkach, uścisnął

mocno kolana Aruthy, po czym wyprostował się, otarł twarz wierzchem

dłoni i odwzajemnił uśmiech Księcia.

– Nie płakałem od tamtej nocy, kiedy widziałem, jak mordowano

moją mamę. – Carline pobladła jak płótno i zasłoniła usta ręką.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi i wszedł Nathan. Miał na sobie tylko białą, sięgającą kolan spodnią szatę, ponieważ zrzucił strój ceremonialny, by czym prędzej zająć się ratowaniem Księżniczki.

Wycierał ręce w ręcznik. Był bardzo zmęczony i zatroskany. Arutha uniósł się powoli z krzesła, a Lyam trzymał go za rękę.

– Żyje – powiedział kapłan przygnębionym głosem. – Rana jest jednak bardzo poważna. Pocisk uderzył pod kątem i to ocaliło kręgosłup. Gdyby strzała trafiła wprost, śmierć nastąpiłaby natychmiast. Księżniczka jest młoda i silna, ale...

– Ale co? – dopytywał się Lyam.

– Pocisk był zatruty, Wasza Wysokość. A do tego trucizna, którą się posłużono, została wykonana przy użyciu mrocznych mocy... zaklęć sił zła, sam nie wiem czego. Nie byliśmy w stanie powstrzymać jej działania. Nie pomaga ani alchemia, ani magia, nic.

Arutha zamrugał oczami. Wydawało się, że nie pojmuje znaczenia słów kapłana.

Nathan spojrzał na niego z głębokim współczuciem.

– Wasza Wysokość, tak mi przykro... Anita umiera.

Loch znajdował się poniżej poziomu morza. Był wilgotny i ciemny.

Zatęchłe powietrze cuchnęło kwaśnym odorem rozkładających się wodorostów i pleśni. Wartownik odsunął się, by drugi mógł otworzyć skrzypiące drzwi. Lyam i Arutha weszli do środka, schylając się w

niskim przejściu. Martin stał w kącie izby tortur, rozmawiając półgłosem z Vandrosem i Kasumim. Pomieszczeń tych nie używano od czasów poprzedzających panowanie księcia Erlanda, z wyjątkiem krótkiego okresu, gdy tajna policja Małpy Radburna używała ich do przesłuchiwania więźniów w czasie rządów Bas-Tyry.

Usunięto wszystkie narzędzia tortur, zostawiając jedynie żeliwny kosz z palącymi się węglami i wetkniętymi w żar żelaznymi prętami. Jeden z żołnierzy Gardana pilnował ognia. Śmiejący się Jack stał przykuty łańcuchami do kamiennego słupa, z rękami ponad głową. Sześciu Tsuranich otaczało go ciasnym kręgiem. Stali tak blisko, że gdy tylko więzień poruszył się, dotykał któregoś z nich. Żołnierze stali z twarzami zwróconymi na zewnątrz i patrzyli dookoła z czujnością, której nie mogli dorównać nawet najbardziej zaufani i oddani członkowie osobistej Gwardii Księżęcej.

Ojciec Tully opuścił towarzystwo kilku innych kapłanów, z którymi stał w przeciwnym rogu sali. Zbliżył się do Lyama.

– Otoczyliśmy całe pomieszczenie barierą najsilniejszych czarów ochronnych, jakie istnieją. – Wskazał na Jacka. – Mimo to coś przez cały czas usiłuje przedostać się do niego. Jak się czuje Anita?

Lyam powoli pokręcił głową.

– Pocisk z kuszy został zatruty w bardzo przemyślny sposób.

Nathan twierdzi, że nie pozostało jej wiele czasu.

– W takim razie musimy natychmiast przystąpić do przesłuchiwania więźnia. Nie mamy pojęcia, z czym czy z kim

walczymy.

Jack jęknął głucho. Wściekłość Aruthy sięgała zenitu, dławiała za gardło. Lyam przecisnął się obok brata i dał znak wartownikowi, by odsunął się na bok. Spojrzał złodziejowi prosto w oczy i napotkał jego przerażony wzrok. Ciało lśniło w świetle pochodni, z zakrzywionego nosa kapwały kropelki potu. Przy najmniejszym ruchu jęczał przeraźliwie. Tsurani najwyraźniej nie przejmowali się nim specjalnie w czasie rewizji. Więzień próbował coś powiedzieć. Zwilżył wargi końcem języka.

– Proszę... – wycharczał z trudem. – Nie pozwólcie, aby mnie zabrał...

Lyam podszedł jeszcze bliżej i ujął twarz więźnia w stalowy uścisk. Potrząsnął gwałtownie głową Jacka.

– Jakiej użyłeś trucizny?

Były złodziej był na krawędzi płaczu.

– Nie wiem. Przysięgam! Nie wiem...

– Człowieku, i tak wyciągniemy z ciebie prawdę. Powiedz sam, bo zanim umrzesz, przejdziesz przez piekło na ziemi. – Ruchem głowy wskazał na rozżarzone do czerwoności pręty.

Jack spróbował się zaśmiać, lecz z gardła wydobył się tylko ohydny bulgot.

– Piekło!?! Tutaj? Myślisz, że boję się głupiego żelaza? Postuchaj, ty... władco przeklętego królestwa! Z radością zgodzę się, byś wypalił mi żywcem wątrobę, byleś tylko obiecał, że nie pozwolisz, aby on mnie

zabrał. – W ostatnich słowach zabrzmiała nutka hysterii.

Lyam błyskawicznie rozejrzał się po sali.

– Komu mam nie pozwolić?

– Już od godziny wydiera się, aby nie pozwolić, by „on” go zabrał

– powiedział Tully. Na twarzy kapłana zaczęło nagle świtać

zrozumienie. – Tak... on musiał zawrzeć pakt z ciemnymi mocami, a

teraz boi się płacić! – dokończył pewnym głosem.

Jack kiwał głową jak szalony, wpatrując się w kapłana

wybaluszonymi ze strachu oczami.

– A tak, klecho, tak. Ty też byś zawarł pakt, gdyby cię dotknęły

moce ciemności i zła – wyszeptał ni to łkając, ni śmiejąc się.

Lyam chwycił Jacka za włosy i szarpnął.

– O czym mówisz? Gadaj zaraz!

Oczy więźnia nieomal wyskoczyły z orbit.

– Murmandamus... – szepnął. W sali dało się nagle wyczuć

powiew lodowatego powietrza. Pochodnie i węgle w koszu zaczęły

migotać i płomienie przygasły.

– On tu jest! – wrzasnął przeraźliwie Jack, nie panując już nad

sobą. Jeden z kapłanów natychmiast zaczął wypowiadać zaklęcie i po

chwili płomienie buchnęły żywiej. Tully spojrział na Lyama.

– To było... przerażające. – Twarz miał ściągniętą, a oczy

rozszerzone lękiem. – To coś musi mieć niesamowitą, wprost

obezwładniającą moc. Pośpiesz się. Wasza Wysokość, lecz pilnuj się, by

nie wypowiedzieć głośno tego imienia. To jedynie ściąga go w pobliże

jego sługi.

– Co to była za trucizna? – powoli pytanie Lyam.

– Nie wiem. – Jack łkał głośno. – Uwierzcie mi. Nie mam pojęcia.

To było coś, co dał mi ten pociotek goblinów, Mroczny Brat.

Przysięgam.

Otworzyły się drzwi i wszedł Pug w towarzystwie okazałej postaci drugiego maga z krzaczastą, siwą brodą. Poważny i ponury wyraz twarzy Puga potwierdziły jego słowa wypowiedziane takim samym tonem.

– Razem z Kulganem wznieśliśmy zapory wokół tej części pałacu, ale coś cały czas wdziera w nie, usiłując dostać się do środka. Nawet teraz, w tej chwili, kiedy mówię te słowa.

Na twarzy Kulgana widać było ogromne wyczerpanie, jakby przed chwilą skończył ciężką pracę fizyczną.

– Cokolwiek pragnie wdrzeć się tutaj, jest zdeterminowane.

Gdybyśmy mieli trochę więcej czasu, moglibyśmy odkryć niektóre cechy jego natury, lecz...

– ...”to” przedostanie się do środka, zanim zdołamy cokolwiek uczynić – dokończył za niego Tully. – Czas jest więc tym, czego nam w tej chwili najbardziej brakuje. Pośpiesz się – ponaglił znowu Lyama.

– Czymkolwiek lub kimkolwiek jest to coś, czemu służysz, opowiedz nam wszystko, co wiesz. Dlaczego pragnie śmierci mego brata?

– Zawrzyjmy pakt! – wrzasnął Jack. – Powiem wam wszystko, co

wiem, a wy nie pozwolicie, by on mnie zabrał. Lyam energicznie skinął głową.

– Nie dopuścimy go do ciebie.

– Nic nie wiecie... nic nie rozumiecie... – krzyknął więzień. Głos mu się załamał. Zaczął łkać spazmatycznie. – Już nie żyłem.

Rozumiecie? Już byłem martwy. Ten sukinsyn, wtedy w porcie, zamiast Jimmy'ego zastrzelił mnie. – Spojrzał po otaczających go twarzach. – Żaden z was nie może mieć pojęcia. Czulem, jak życie ze mnie umyka, a potem zjawił się on. Rozumiecie? Kiedy już byłem prawie martwy, zabrał mnie . do tego lodowatego, ciemnego miejsca i znęcał się nade mną. Pokazywał mi różne rzeczy. Mówił, że albo mogę żyć i służyć mu, a zwróci mi życie... albo pozwoli, bym umarł, zostawiając w tamtym miejscu. Wtedy nie mógł mnie ocalić, ponieważ jeszcze nie należałem do niego. Teraz jednak należę. On... on jest samym złem.

Julian, kapłan Lims-Kragmy stanął za Królem.

– Okłamał cię, człowieku. Miejsce, gdzie cię zabrał, sam stworzył.

Miłość naszej pani przynosi ukojenie i radość tym wszystkim, którzy w ostatniej chwili swego życia biorą ją w ramiona. On pokazał ci nieprawdę, fałsz.

– Och, wiem! To przodek wszystkich kłamców! Teraz jednak należę do niego. – Jack łkał jak dziecko. – Powiedział, że muszę pójść do pałacu i zabić Księcia. Mówił też, że jestem ostatnim, którego ma tu, na miejscu. Kiedy przybędą inni, będzie już za późno. Zanim tu dotrą, minie jeszcze wiele, wiele dni. To musiałem być ja. Zgodziłem się, ale...

zawaliłem sprawę i teraz on chce mojej duszy!

Ostatnie słowa przeszły w straszliwy jęk i zawodzenie, żalosne błaganie o miłosierdzie i łaskę, której okazanie leżało poza możliwościami Króla.

Lyam spojrzął na Juliana.

– Czy możemy coś zrobić?

– Jest taki ryt, lecz... – Zwrócił się do Jacka: – Zdajesz sobie sprawę, że umrzesz, prawda? Zresztą już umarłeś, a tutaj znalazłeś się wskutek świętokradczego paktu. Co będzie, to będzie. W ciągu godziny skonasz. Rozumiesz to?

– Taak... – wybełkotał, dławiąc się śliną i łzami.

– Zgodzisz się więc odpowiedzieć na wszystkie nasze pytania i ujawnić wszystko, co wiesz, a potem nie bronić się przed śmiercią i umrzeć, by uwolnić i ocalić duszę? – Jack zacisnął mocno powieki i zakwilił jak przerażone dziecko, lecz skinął głową.

– Mów teraz, co wiesz o Nocnych Jastrzębiach i o spisku na życie mego brata – zażądał Lyam.

Jack pociągał nosem, oddychając z trudem.

– Jakieś sześć, siedem miesięcy temu wpadł do mnie Złocisty z wiadomością, że natknął się na złotą żyłę. Zapewniał, że bardzo się wzbogacimy. – Jack, w miarę jak mówił, uspokajał się. – Spytałem, czy doniósł o tym Mistrzowi Nocy, ale powiedział, że to nie interes Prześmiewców. Z początku nie podobało mi się takie igranie z cechem, ale z drugiej strony, kto nie chciałby trafić paru dukatów na boku, no

nie? Mówię więc, że w porządku, dlaczego nie? No i poszedłem z nim.

Spotkaliśmy się Havramem, facetem, z którym już kiedyś pracowaliśmy. Zadawał dziesiątki pytań, ale nie kwapił się z odpowiedziami na nasze. Byłem już zdecydowany rzucić ten cały interes w diabły, nie czekając na ciąg dalszy, ale wtedy on wywalił na stół worek złota mówiąc, że możemy dostać dużo, dużo więcej. – Zamknął oczy, a z jego gardła wyrwało się spazmatyczne łkanie. – Poszliśmy potem. Złoty, Havram i ja, kanałami pod Wierzby. Cholera, omal nie narobiłem w portki, gdy w piwnicy zobaczyłem tych dwóch goblinów! Mieli jednak złoto, a ja dla złota jestem gotów znieść wiele, bardzo wiele. Powiedzieli, że mam robić to i to i dobrze nadstawiać ucha, co mówi Sprawiedliwy oraz Mistrzowie Nocy i Dnia, i że mam im o wszystkim donosić. No to ja im mówię, że to pewny wyrok śmierci na mnie, a oni na to wyciągają miecze i mówią, że wyrok śmierci będzie dopiero wtedy, jeżeli się nie zgodzę. No to pomyślałem sobie, że na razie się zgodzę, a potem napuszczę na nich moich zbirów, ale oni zabrali mnie do innego pokoju, gdzie siedział ten trzeci facet w takich długich szatach. Nie widziałem jego twarzy, bo łeb miał schowany w kapturze, dziwacznie jakoś gadał i cuchnął jak zaraza. Pamiętam, że jak byłem jeszcze dzieciakiem, poczułem kiedyś ten smród. Nigdy go nie zapomnę.

– Jaki smród? – spytał Lyam.

– W jaskini. Wlazłem do jaskini, gdzie cuchnęło węzami. Tully krzyknął zduszonym głosem. Lyam obejrzał się zdziwiony.

– Panthian... kapłan-wąż!

Inni kapłani spojrzeli na siebie w osłupieniu i zaczęli coś szeptać.

– Mów dalej. Czas ucieka – przynaglił więźnia Tully.

– A potem zaczęli robić rzeczy, jakich jeszcze w życiu nie

widziałem. Trudno mnie raczej porównać z dziewicą o rozmarzonych

oczach, której wydaje się, że świat jest czysty i wspaniały, lecz ci

faceci... to po prostu nie mieści się w głowie. Sprowadzili dzieciaka!

Małą dziewczynkę. Nie miała więcej niż osiem, dziewięć lat. Myślałem,

że już nic w życiu mnie nie zdziwi, że wszystko widziałem. Ten w długiej

szacie wyciągnął sztylet i... – Jack przełknął z trudem ślinę, walcząc z

narastającymi mdłościami. – Rysowali jej krwią jakieś diagramy, a

potem złożyli coś w rodzaju przysięgi. Nie jestem bardzo religijny, ale w

wielkie święta zawsze rzuciłem jeden czy dwa pieniążki Ruthii i Banath.

Teraz jednak modłę się do Banath, jakbym miał obrabować skarbiec

miejski w środku dnia. Nie wiem, czy to miało jakiś związek, ale nie

zmuszali mnie wcale, bym przysięgał... – Głos mu się załamał.

Zaszlochał histerycznie. – Ludzie, oni pili jej krew! – Wziął głęboki

oddech. – Zgodziłem się pracować z nimi. I wszystko szło jak po maśle

aż do chwili, kiedy kazali mi wciągnąć w pułapkę Jimmy'ego.

– Kim są ci ludzie i czego chcą? – zapytał Lyam stanowczo.

– Pewnej nocy ten czarci pomiot opowiedział mi, że jest jakaś

przepowiednia czy coś w tym rodzaju, o Panu Zachodu. Pan Zachodu

musi umrzeć i wtedy coś się ma wydarzyć.

Lyam zerknął z ukosa na Aruthę.

– Wspominałeś, że ciebie właśnie nazwali Panem Zachodu. Arutha

zdołał się trochę opanować.

– Tak, i to dwa razy. Lyam wznowił przesłuchanie.

– Co jeszcze?

– Nie wiem – odpowiedział Jack słabym z wyczerpania głosem. –

Przeważnie rozmawiali tylko między sobą. Tak naprawdę nie byłem do końca jednym z nich. – Sala tortur znowu drgnęła w posadach. Płomień na węglach i pochodniach zamigotał i przygasł. – On tu jest! – wrzasnął nieludzkim głosem Jack.

Arutha stanął u boku Lyama.

– A co z trucizną? Szybko! – przynaglił.

– Nie wiem... – zatkał więzień. – Dostałem to od tego pociota goblinów. Jeden z nich mówił na to „Srebrzysty Cierń”.

Arutha błyskawicznym spojrzeniem omiótł wszystkich zebranych, lecz nazwa najwyraźniej nic im nie mówiła.

– On powrócił – odezwał się nagle jeden z kapłanów. Pozostali natychmiast wznowili modlitwy, po czym nagle je przerwali.

– Przedostał się już przez nasze zapory.

– Czy coś nam grozi? – spytał Lyam Tully'ego.

– Ciemne moce mogą bezpośrednio kontrolować jedynie tych, którzy dobrowolnie oddali im się we władanie. Tutaj jesteśmy bezpieczni przed jego bezpośrednim atakiem.

Pochodnie zaczęły migotać jak szalone. Pogłębione nagle, smoliste cienie tańczyły opętańczo po ścianach i suficie. Powiało straszonym, mrozącym krew w żyłach chłodem.

– Nie pozwólcie, by mnie zabrał! Przecież obiecaliście! Tully spojrzął na Lyama, który skinął głową i dał znak, że czas na działanie ojca Juliana.

Król polecił Tsuranim, by odsunęli się na bok i zrobili miejsce kapłanowi Lims-Kragmy. Julian stanął tuż przed Śmiejącym się Jackiem.

– Czy znajdujesz w swoim sercu gorącą i szczerą chęć, by przyjąć miłosierdzie naszej pani?

Przerażony Jack nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Oczy nagle napętniły się łzami. Kiwnął głową. Julian zaczął recytować cicho modlitwę. Pozostali kapłani wykonali rękami szybkie gesty. Tully stanął u boku Aruthy.

– Zachowaj spokój. Śmierć jest pomiędzy nami. W okamgnieniu było po wszystkim. W jednej chwili Jack szlochał rozdzierająco, by w następnej opaść bezwładnie w krępujących go łańcuchach i znieruchomieć na zawsze. Julian zwrócił się do pozostałych.

– Jest już bezpieczny w objęciach Pani Śmierci. Teraz nikt ani nic nie może go skrzywdzić.

Ściany sali zadygotały nagle w posadach. Całe pomieszczenie wypełniła bez reszty czarna, dławiąca obecność. Uszy zebranych rozdarł przeraźliwy lament, straszny, bolesny wrzask. Nieludzki byt, obrabowany nagle ze swego sługi, krzyczał opętany wściekłością.

Wszyscy kapłani wraz z Pugiem i Kulganem jak jeden mąż wzniesli przed szarżującym duchem obronny mur czarów i modłów. Wtem, w

jednej sekundzie zapadła martwa, niczym nie zmącona cisza i spokój.

– Uciekł... – szepnął Tully roztrzęsionym głosem.

Arutha klęczał u wezgowia łóżka. Jego twarz przypominała kamienną maskę. Rozrzucone na śnieżnobiałej poduszce włosy Anity tworzyły ciemnoczerwoną koronę.

– Jest taka drobna i delikatna – szepnął. Spojrzał na zebranych w pokoju. Carline przywarła ciasno do boku Lauriego. Martin wraz z Pugiem i Kulganem stał przy oknie. Wzrok Aruthy błagał ich milcząco o pomoc. Wszyscy, z wyjątkiem Kulgana, zapatrzonego w przestrzeń i zatopionego we własnych myślach, spoglądali na Księżniczkę. Czuwali przy umierającej, Nathan powiedział bowiem, że Anita nie przeżyje najbliższej godziny. W sąsiednim pokoju Lyam starał się pocieszyć zrozpaczoną matkę dziewczyny.

Niespodziewanie Kulgan drgnął, otrząsnął się z zamyślenia i podszedł szybko do łóżka.

– Tully, gdybyś miał jakieś pytanie, które możesz zadać tylko jeden raz, gdzie byś się udał? – spytał głosem, który zabrzmiał potężnie pośród przyciszonych głosów innych.

Zaskoczony kapłan zamrugał oczami, nie rozumiejąc.

– Co to? Zagadki? – spytał niepewnie, lecz ściągnięte nad wydatnym nosem krzaczaste brwi i poważne, skupione spojrzenie wskazywały, że magowi nie wymknął się niestosowny w tej sytuacji żart. – Hm... przepraszam. Niech pomyślę... – Poorana zmarszczyła twarz Tully'ego ściągnęła się w zamyśleniu. Podniósł gwałtownie

głową, odkrywając nagle oczywistą prawdę. – Sarth!

Kulgan uderzył grubym paluchem w pierś kapłana.

– Zgadza się. Sarth.

Arutha spoglądał na nich, śledząc wymianę zdań.

– Dlaczego Sarth? Przecież to tylko jeden z pomniejszych portów w księstwie.

– Ponieważ – odparł Tully – w pobliżu Sarth znajduje się opactwo Ishap, o którym mówi się, że zawiera w sobie więcej wiedzy niż jakiegokolwiek inne miejsce w całym Królestwie.

– A do tego – dorzucił Kulgan – jeśli w naszym państwie jest w ogóle jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy uchylić rąbka tajemnicy o naturze Srebrzystego Ciernia, to właśnie tam.

Arutha skierował znękany i pozbawiony nadziei wzrok na Anitę.

– Ale Sarth... żaden, nawet najlepszy jeździec nie byłby w stanie dotrzeć tam i z powrotem w czasie krótszym niż tydzień.

Pug oderwał się od okna i podszedł bliżej.

– Chyba będę mógł trochę pomóc. – Wyprostował się nagle. –

Proszę wyjść z pokoju – rzucił tonem nie znoszącym sprzeciwu. –

Wszyscy, z wyjątkiem Nathana, Tully'ego i Juliana. – Zwrócił się do Lauriego. – Biegnij na jednej nodze do mego pokoju. Katala da ci dużą, oprawioną w czerwoną skórę księgę. Wracaj z nią natychmiast.

Nie zadając zbędnych pytań, Laurie wypadł za drzwi, podczas gdy reszta zaczęła opuszczać komnatę powolnym krokiem. Pug rozmawiał po cichu z kapłanami. – Czy potraficie spowolnić jej przemieszczanie się

w czasie, nie czyniąc krzywdy?

Nathan podniósł rękę.

– Tak, mogę sprawić, by takie zaklęcie przyniosło potrzebny skutek. Uczyniłem to samo z rannym Mrocznym Bratem, zanim umarł.

Zyskamy jednak przez to najwyżej kilka godzin. – Spojrzał na twarz

Anity, na którą padał już niebieskawy cień zbliżającej się śmierci.

Kapłan dotknął jej czoła. – Skóra zimna i wilgotna. Szybko odchodzi.

Musimy się śpieszyć.

Trzej kapłani pośpiesznie narysowali pentagram i zapalili świece.

Nie minęło kilka minut i wszystko było gotowe, a wkrótce po tym

wygłoszono odpowiednie zaklęcia. Wydawało się, że Księżniczka śpi

spokojnie, lecz kiedy spojrzano się na łóżko kątem oka, widać było jej

postać skapaną w różowej poświacie. Pug wyprowadził kapłanów z

komnaty. Poprosił o przyniesienie wosku do pieczęci. Martin rzucił

kilka słów paziowi, który natychmiast pognał korytarzem. Pug wziął w

ręce księgę przyniesioną przez Lauriego. Wrócił do pokoju Księżniczki i

spacerując wokół, czytał opasłe tomisko. Kiedy skończył, wyszedł na

zewnątrz i rozpoczął recytowanie długiego łańcucha zaklęć. Po kilku

minutach umieścił na ścianie w pobliżu drzwi woskową pieczęć i

zamknął księgę.

– Gotowe.

Tully zrobił krok w kierunku drzwi, lecz Pug powstrzymał go,

kładąc rękę na ramieniu.

– Nie przekraczaj tego progu. – Stary kapłan spojrział na niego

pytająco.

Kulgan pokiwał z uznaniem głową.

– Czy nie widzisz, Tully, co uczynił mój chłopak? – Pug nie wytrzymał i uśmiechnął się. Pomyślał sobie, że nawet kiedy siwizna przyprószy mu skronie, to dla Kulgana ciągle będzie chłopcem. – Spójrz na świecę!

Wszyscy zajrzeli do środka i po chwili dostrzegli to, o czym mówił zwalisty mag. Świece w narożnikach pentagramu paliły się, chociaż płomień był ledwie widoczny w pełnym świetle dnia. Kiedy jednak przyjrzeni się im bliżej, zauważyli, że płomyczki w ogóle nie migoczą, tkwiąc w powietrzu jak namalowane.

Pug odwrócił się do nich.

– W tej komnacie czas płynie tak wolno, że nie sposób zauważyć jego upływu. Zapewniam was, że mury tego pałacu obrócą się dawno w proch, a świece nie wypalą się nawet w dziesiątej części swej wysokości. Jeśli ktoś przekroczy próg, znajdzie się w pułapce jak mucha w bryłce bursztynu. A to oznaczałoby śmierć. Księżniczce nic nie grozi. Zakłęcie ojca Nathana sprawiło, że szaleństwo czasu w obrębie pentagramu jest o wiele subtelniejsze.

Kulgan nie ukrywał zachwyty nad zdolnościami swego byłego ucznia.

– Jak długo to może potrwać?

– Aż do chwili złamania pieczęci.

Na twarzy Aruthy pojawiła się pierwsza iskierka nadziei.

– Będzie żyła?

– Teraz żyje – odparł Pug. – Arutha, Anita żyje zawieszona między dwoma krótkimi chwilami życia. I tak już zostanie, na zawsze młoda, aż do chwili, gdy zaklęcie zostanie cofnięte. Wtedy jednak czas znowu zacznie dla niej płynąć i będzie potrzebowała pomocy i lekarstwa, jeśli takie istnieje.

Kulgan westchnął z ulgą.

– Zatem zyskaliśmy to, czego było nam najbardziej potrzeba.

Czas.

– Tak, ale jak wiele? – zapytał Tully.

– Wystarczająco dużo – odezwał się nagle pewnym głosem

Arutha. – Znajdę ratunek.

– Co zamierzasz? – spytał Martin. Arutha spojrział na brata. Po

raz

pierwszy

tego

dnia

wolny

od szaleństwa

rozpaczy

i

obezwładniającego żalu.

– Jadę do Sarth – odpowiedział zimnym tonem.

PRZYSIĘGA

Lyam siedział bez ruchu.

Przyglądał się Anicie przez dłuższy czas i pokręcił przecząco głową.

– Nie. Zabraniam ci.

Arutha spojrzał na niego wzrokiem bez wyrazu.

– Dlaczego? Lyam westchnął.

– Ponieważ to zbyt niebezpieczne. A poza tym masz tu inne

obowiązki. – Lyam wstał zza stołu, podszedł bliżej i delikatnie położył

rękę na jego ramieniu. – Wiem, jaki jesteś, Arutha. Znam twoją naturę.

Nienawidzisz siedzieć beczynn timer, gdy sprawy zmierzają do

rozwiązania same. bez twojego udziału. Nie potrafisz pogodzić się z

tym, że los Anity spoczywać ma w innych niż twoje rękach. Jeśli jednak

chcę być w zgodzie ze swoim własnym sumieniem, nie mogę zezwolić na

twoją podróż do Sarth.

Od wczoraj, od momentu, kiedy dokonano próby zamachu na jego

życie, Arutha był pochmurny. Jednak wraz ze śmiercią Jacka

wyparowała z niego wściekłość. Książkę zamknął się w sobie,

podchodząc do otoczenia z lodowatą obojętnością, oderwany od

bieżących spraw. Rewelacje Tully'ego i Kulgana na temat możliwości

istnienia w Sarth źródła informacji oczyściły jego umysł z

początkowego szaleństwa. Oto teraz miał przed sobą cel, mógł coś robić,

coś, co wymagało jasności osądu, zdolności racjonalnego myślenia.

Zimnej i trzeźwej kalkulacji. Zmierzył brata badawczym spojrzeniem.

– Przez długie miesiące podróżowałem z tobą, objeżdżając dalekie

strony, uważam więc, że Zachodnie Ziemie wytrzymają beze mnie jeszcze kilka tygodni. A co do mojego bezpieczeństwa... – dorzucił, podnosząc nieco głos – ...wszyscy mieliśmy okazję przekonać się, jak jestem bezpieczny w moim własnym pałacu! – Umilkł na chwilę. – Lyam, ja pojedę do Sarth.

Martin siedział cicho w kącie, pilnie przysłuchując się debacie przyrodnich braci. Pochylił się i oparł łokcie na kolanach.

– Arutha, znam cię od dziecka i znam twe nastroje równie dobrze jak swoje własne. Zawsze uważałeś pozostawienie ważnych spraw w rękach innych za niemożliwe. W twojej naturze, braciszku, istnieją, że tak się wyrażę, pewne elementy arogancji. Jest to rys charakteru, jego wada, wspólna dla całej naszej trójki.

Lyam poderwał się i zamrugał oczami, jakby zdziwiony zaliczeniem go do grona oskarżonych.

– Calej?

Kącik ust Aruthy powędrował nieznacznie ku górze w półuśmiechu. Westchnął głęboko.

– Calej, Lyam, calej – ciągnął Martin. – Wszyscy jesteśmy synami Borrica. Nasz ojciec był prawy i miał wspaniały charakter, ale również potrafił być arogancki. Arutha, my obaj mamy identyczne usposobienia. Ja po prostu lepiej potrafię się maskować. Nic nie irytuje mnie bardziej niż siedzenie bezczynnie na tyłku, kiedy inni robią coś, o czym jestem przekonany, że zrobiłbym to lepiej. Teraz nie ma jednak żadnego konkretnego powodu, dla którego musiałbyś tam jechać

osobiście. Są inni, lepiej przygotowani do wykonania tego zadania.

Tully, Kulgan i Pug mogą wspólnie chwycić za pióro i sformułować wszystkie niezbędne pytania do opata z Sarth. Poza tym są inni, lepsi od ciebie, którzy szybciej, sprawniej i przede wszystkim niepostrzeżenie mogą zanieść tę wiadomość przez lasy pomiędzy Krondorem a Sarth. Arutha spojrział na niego spode łba.

– Na przykład pewien książę z Zachodu, jak się domyślam. Na ustach Martina pojawił się krzywy uśmieszek, jakby lustrzane odbicie wyrazu twarzy Aruthy.

– Nawet Tropiciele Aruthy nie dorównują w poruszaniu się w lesie komuś, kogo nauczyły tego same Elfy. Jeśli Murmandamus rozmieścił wzdłuż leśnych szlaków swoich agentów, to na południe od granic Elvandaru nie ma nikogo, kto miałby większe szansę prześlizgnięcia się przez czujki niż ja sam.

Lyam wzniósł oczy ku niebu, krzywiąc się z niesmakiem.

– Nie jesteś lepszy niż on. – Podszedł do drzwi i otworzył je.

Arutha i Martin udali się za nim. Na zewnątrz czekał Gardan ze swoim oddziałem. Kiedy monarcha pojawił się w progu, żołnierze stanęli na baczność, salutując sprężysto.

– Gardan, jeśli któryś z moich braci półgłówek będzie próbował opuścić pałac, masz go aresztować i zamknąć pod kluczem. Taka jest nasza królewska wola. Zrozumiano? Gardan zasalutował. – Tak jest, Wasza Wysokość. Zatraskany Lyam w skupieniu oddalił się w kierunku swoich komnat. Za jego plecami ludzie Gardana wymienili zdziwione

spojrzenia, a potem patrzyli długo, jak Arutha i Martin podążają w przeciwnym kierunku. Twarz Aruthy była czerwona z oburzenia. Z ledwością panował nad gotującym się w nim gniewem. Martin zachował kamienny spokój i nic nie zdradzało jego uczuć. Gdy obaj zniknęli za zakrętem korytarza, gwardziści, którzy słyszeli każde słowo wypowiedziane przez Króla i jego braci, otwarcie wyrazili swoje zdumienie, spoglądając jeden na drugiego. Gardan przerwał im, mówiąc cichym, lecz rozkazującym tonem.

– Spokój. Jesteście na służbie.

– Arutha!

Martin i Arutha, którzy szli i rozmawiali przyciszonym głosem, zatrzymali się i obejrzelili za siebie. W ich stronę zmierzał pośpiesznie ambasador Keshu, a tuż za nim nadciągał jego orszak. Podszedł i skłonił się lekko.

– Wasze Wysokości.

– Dzień dobry, ekscelencjo – odpowiedział nieco oschle Arutha.

Obecność

pana

Hazara-Khan

przypomniała

mu

o

istnieniu

zaniedbanych obowiązków. Zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później

będzie się musiał zająć bardziej przyziemnymi aspektami rządów. Ta myśl napelniła go goryczą.

– Zostałem poinformowany. Wasza Wysokość – zwrócił się do niego ambasador – że ja i towarzyszące mi osoby będziemy musieli uzyskać zgodę na opuszczenie pałacu. Czy to prawda?

Irytacja Aruthy wzrosła, chociaż teraz skierował ją przeciwko sobie samemu. W pierwszym, oczywistym odruchu odciął pałac od kontaktów ze światem zewnętrznym. Czyniąc to, nie zastanawiał się nad drażliwą często kwestią immunitetu dyplomatycznego, tej niezbędnej kropli oliwy w rozklekotanej i skrzypiącej zazwyczaj machinie stosunków międzynarodowych.

–

Panie

Hazara-Khan,

tak

mi

przykro

–

powiedział

przepraszającym tonem. – W nawale wydarzeń...

– Całkowicie rozumiem. Wasza Wysokość. – Ambasador szybko rozejrzał się wokół. – Czy mogę na słówko? Możemy porozmawiać idąc.

Arutha skinął głową i Martin wycofał się do tyłu razem z synami, a zarazem osobistą gwardią ambasadora.

– Wiem, że to nie najlepszy czas, by naprzykrzać się Królowi z traktatami. Myślę, że nadszedł doskonały moment, aby złożyć wizytę moim ludziom w Jal-Pur. Zabawię tam przez jakiś czas. Powrócę do twego miasta, panie, lub do Rillanonu, to jeszcze ustalimy, by przedyskutować kwestię wzajemnych układów, kiedy.. ułożą się inne sprawy.

Arutha obrzucił ambasadora uważnym spojrzeniem. Wywiad Volneya doniósł, że Cesarzowa wyprawiała na negocjacje z Królestwem jeden z najcięższych umysłów imperium.

– Ekscelencjo, przyjmij słowa szczerzej podziękującej za względy okazane moim osobistym uczuciom jak i całej rodzinie w trudnym dla nas czasie.

Ambasador przyjął podziękowanie.

– Zdobyć przewagę nad pogrążonymi w żalu i smutku nie przynosi ani chwały, ani honoru. Pragnieniem moim jest, abyś ty, panie, i brat twój zasiedli do stołu rokowań z jasnymi, spokojnymi głowami. Zagadnienie Doliny Snów przedyskutujemy, kiedy wasza tragedia dobiegnie końca. Chciałbym wynegocjować koncesje z waszej strony, kiedy będziecie pełni werwy i sił. Osiągnięcie przewagi teraz byłoby zbyt proste, Wasza Wysokość. Potrzebna wam będzie aprobaty Keshu dla zbliżających się zaślubin Króla z księżniczką Magdą z Roldem. Jest ona jedyną córką króla Carole'a i gdyby coś przydarzyło się księciu Dravosowi, jej bratu i następcy tronu, któregoś z jej dzieci zasiądzie niechybnie zarówno na tronie Wysp, jak i Roldem. A skoro

Roldem, jak dobrze wiesz, panie, od dawna było traktowane jako leżące w sferze tradycyjnych wpływów i zainteresowań Keshu, to widzisz, Wasza Wysokość, że troska nasza nie jest pozbawiona podstaw.

– Zechciej przyjąć słowa najwyższego uznania i podziwu dla Cesarskiego Korpusu Wywiadowczego, Ekscelencjo – powiedział Arutha z gorzkim uznaniem w głosie. O matrymonialnych planach Króla wiedzieli tylko on i Martin.

– Hm, oficjalnie grupa taka nie istnieje, chociaż rzeczywiście mamy pewne źródła... kręgi, których pragnieniem jest utrzymanie obecnego status quo.

– Doceniam twoją szczerłość, Ekscelencjo. W czasie dyskusji nie możemy również zapomnieć o troskach, które trapią nasze serca.

Niewątpliwie

kwestia

budowy

nowej

floty

wojennej

Keshu,

konstruowanej w Durbinie, pozostaje w jaskrawej sprzeczności z postanowieniami traktatu z Shamata.

Hazara-Khan z uznaniem pokiwał głową.

– O tak, Arutha, nie mogę się wprost doczekać rozpoczęcia targów z tobą – powiedział z niekłamaną radością w głosie.

– I ja także. Rozkażę gwardzistom, by wypuścili was bez stawiania przeszkód. Proszę tylko o jedno. Ekscelencjo, abyś zechciał upewnić się, że nikt nie wykorzysta twego orszaku, by wyslizgnąć się w przebraniu z miasta.

– Będę stał przy bramie i osobiście wywoływał po imieniu każdego żołnierza i sługę do przekroczenia bramy. Wasza Wysokość. Arutha ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że ambasador byłby w stanie tak właśnie uczynić.

– Abdurze Rachmanie Memo Hazara-Khanie, bez względu na to, co nam przyniesie los, nawet jeśli pewnego dnia przyjdzie nam stanąć twarzą w twarz na przeciwnych krańcach pola bitwy, zawsze zaliczać cię będę do grona mych oddanych, szczerych i prawych przyjaciół. – Wyciągnął rękę.

– Wielki czynisz mi honor, Wasza Wysokość. – Abdur ujął mocno jego dłoń. – Póki będę występował w imieniu Keshu, zawsze będziemy negocjować w dobrej wierze dla osiągnięcia szczytnych celów.

Ambasador poprosił Księcia o zgodę na odejście, po czym dał znak swym towarzyszom i oddalili się. Martin zbliżył się do Aruthy.

– No, to mamy o jeden problem mniej, przynajmniej na razie.

– Tak, na razie. – Księżę pokiwał głową. – Głowę daję, że ten stary, szczwany lis wkrótce rezydowałby w pałacu jak w swej ambasadzie, a ja przyjmowałbym poddanych w jakiejś obskurnej noclegowni na obrzeżach portu.

– Zatem musimy podpytać Jimmy'ego o rekomendacje.

– Nagle coś sobie przypomniał. – Ale, ale, gdzie Jimmy? Nie widziałem go od chwili przesłuchiwania Śmiejącego się Jacka.

– Tu i tam. Dałem mu parę zleceń. – Martin pokiwał ze zrozumieniem głową i obaj bracia poszli dalej.

Laurie okręcił się na pięcie na dźwięk otwieranych drzwi. Carline weszła do środka i zamknęła drzwi za sobą. Chciała podejść do niego, lecz spostrzegła na łóżku podróżny węzełek trubadura i jego lutnię.

Właśnie kończył wiązać rzemienie, a był już ubrany w swój stary, podróżny strój. Oczy dziewczyny zwięzły się w wąskie szparki.

Pokiwała w milczeniu głową.

– Wybierasz się gdzieś? – spytała lodowatym tonem.

– Po prostu przyszło ci nagle do głowy, że skoczysz migiem do Sarth i zadasz kilka pytań, prawda?

– Tylko na krótko, kochana. Wrócę bardzo szybko. – Laurie wzniosł obie ręce w błagalnym geście. Usiadła na brzegu łóżka.

– Och, Laurie, jesteś takim samym potworem jak Arutha i Martin.

Można by pomyśleć, że gdyby nie światłe rady i instrukcje któregoś z was, to półgłówki z pałacu nie wiedziałyby, jak prawidłowo wytrzeć nos. Uciekasz więc, by jakiś bandzior... lub coś innego urwało ci głowę?

Czasem jestem tak zła na ciebie, że...

Usiadł obok i objął ją, a ona położyła mu głowę na ramieniu.

– Od przyjazdu mieliśmy tak mało czasu tylko dla siebie i to wszystko ostatnio... takie straszne. – Głos Carline załamał się i

rozszlochała się na dobre. – Biedna Anita – szepnęła po chwili. Na

przekór słabości otarła szybkim ruchem łzy. – Och, jak ja nienawidzę samej siebie, kiedy płaczę. Jestem zła na ciebie, Laurie. Chciałeś uciec bez pożegnania. Wiem, wiem, nie zaprzeczaj. Pamiętaj tylko, że jeśli pojedziesz, możesz już nie wracać! Przyślij wiadomość, co wam się udało odkryć, jeżeli w ogóle dożyjesz tej chwili, ale twoja noga niech więcej nie postanie w tym pałacu. Nie chcę cię widzieć. Nie chcę cię więcej znać! – Zerwała się z łóżka i popędziła w stronę drzwi.

Laurie dogonił dziewczynę. Chwycił ją mocno za rękę i obrócił twarzą ku sobie.

– Kochana, proszę... nie...

Oczy dziewczyny znowu zalśniły łzami.

– Gdybyś mnie kochał, to poprosiłbyś Lyama o moją rękę. Mam już dosyć słodkich słówek i obietnic, Laurie. Mam powyżej uszu tej ciągłej niepewności. Skończyłam z tobą.

Owładnął nim nagle paniczny strach. Ignorował poprzednie ostrzeżenia Carline, że z nim zerwie, albo groźby, że będzie jego żoną, zanim wróci do Rillanonu, czy on tego chce czy nie.

– Carline, nie chciałem nic mówić, dopóki nie załatwimy tej sprawy z Anitą, ale zdecydowałem się. Nie mogę dopuścić, abyś wykreśliła mnie za zawsze ze swego życia. Carline, chcę się z tobą ożenić.

Oczy dziewczyny zrobiły się nagle okrągłe jak spodki.

– Co?

– Powiedziałem, że chcę się z tobą... Zakryła mu usta dłonią, a

potem pocałowała. Przez długą chwilę, którą wypełniała tylko niezmaczona cisza, nie potrzeba im było żadnych słów. Odsunęła się, a na jej ustach zaigrał niebezpieczny półuśmieszek. Kręciła przecząco głową.

– Nie. Nie mów nic więcej – szepnęła. – Nie pozwolę, abyś mi znowu zawrócił w głowie słodkimi słówkami. – Cofnęła się powoli ku drzwiom i otworzyła je. – Straże! – krzyknęła i w okamgnieniu pojawiło się dwóch gwardzistów. Wskazała wyciągniętą ręką w kierunku zdumionego Lauriego.

– Nie wolno mu się ruszać! Dopilnujcie tego! Gdyby chciał stąd wyjść, macie na nim usiąść!

Carline wybiegła przez drzwi i zniknęła jak duch w głębi korytarza. Żołnierze zwrócili rozbawione spojrzenia na Lauriego. Westchnął cicho z rezygnacją i usiadł spokojnie na brzegu łóżka.

Po kilku minutach Carline wróciła, ciągnąc za rękaw zirytowanego ojca Tully'ego. Stary kapłan pośpiesznie dopinał guziki nocnej koszuli, dziewczyna dopadła go bowiem w chwili, kiedy przygotowywał się już do snu. Tuż za nimi kroczył Lyam. Sądząc z wyrazu twarzy, był równie zdenerwowany jak Tully. Laurie padł na wznak na łóżko, a z jego piersi wydobył się głuchy jęk, kiedy Carline wmaszerowała do pokoju i wskazała na niego palcem.

– Powiedział, że chce się ze mną ożenić!

Laurie usiadł prosto. Lyam obrzucił siostrę zdumionym wzrokiem.

– I co? Mam mu składać gratulacje czy chcesz, żebym kazał go powiesić? Z tonu twego głosu trudno zgadnąć...

Laurie zerwał się z łóżka jak pęknięta sprężyna i podskoczył do Króla.

– Wasza Wysokość...

– Nie pozwól mu, aby cokolwiek powiedział – przerwała Carline, kierując w stronę Lauriego oskarżycielsko wyciągnięty palec. – To król wszystkich kłamców świata i uwodziciel niewinnych. Jak amen w pacierzu znowu się wykręci sianem!

Lyam kręcił głową, nie mogąc się połapać w sytuacji.

Mamrotał coś pod nosem.

– Niewinnych? – Nagle zmarszczył groźnie brwi. – Uwodziciel? – Wbił w Lauriego ostre spojrzenie.

– Wasza Wysokość, proszę... – zaczął chłopak. Carline skrzyżowała ręce na piersi i niecierpliwie tupiała nogą w podłogę.

– I znowu to samo – gderwała. – Znowu chce się wyłgać z małżeństwa ze mną.

Tully nie wytrzymał i wkroczył między Carline a Lauriego.

– Wasza Wysokość, czy mogę?

Lyam spojrzał na niego nieco błędnym wzrokiem.

– O tak, będę ci bardzo wdzięczny.

Tully popatrzył najpierw na Lauriego, a potem na Carline.

– Czy mam rozumieć. Wasza Wysokość, że zamierzasz poślubić tego mężczyznę?

– Tak!

– A ty, panie?

Carline chciała się odezwać, ale Lyam przerwał jej krótko:

– Cicho bądź! Pozwól mu mówić!

Laurie stał w nagłej ciszy, mrugając oczami. Wzruszył ramionami, jakby chciał im powiedzieć, że nie rozumie tego całego zamieszania.

– Oczywiście, że chcę, ojcze.

Cierpliwość Lyama zawisła na cienkim włosku.

– O co więc u diab... o co chodzi? – Zwrócił się do Tully'ego. –

Ojcze, ogłoś ich ślub w przyszłym tygodniu. Po ostatnich wydarzeniach wypadaloby poczekać parę dni. Sam ślub i wesele urządzimy, kiedy wszystko trochę się uspokoi. Nie masz nic przeciwko temu, Carline? –

Pokręciła głową, a oczy miała pełne łez. Lyam ciągnął dalej: – Pewnego dnia, gdy już będziesz dostojną, starszą panią z dziesiątkami wnuków, będziesz mi musiała to wszystko wyjaśnić. – Odwrócił się do Lauriego.

– Hm, muszę przyznać, Laurie, że jesteś odważniejszy niż wielu innych... – zerknął na siostrę – i masz dużo więcej szczęścia. –

Pocałował ją w policzek. – No a teraz, jeśli nic już do mnie nie macie, pozwólcie, że udam się na spoczynek.

Carline objęła go z całej siły za szyję i przytuliła mocno.

– Och, dziękuję ci, dziękuję.

Nie przestając kręcić głową, Lyam wyszedł. Tully powiódł po nich poważnym wzrokiem.

– Musi być jakiś ważny powód, aby pilnie zaręczać się o tak

późnej porze. – Błyskawicznie podniósł obie ręce i równie szybko dodał:

– Poczekajmy jednak z wyjaśnieniami, moje dzieci, postucham tego

kiedy indziej. No a teraz, jeśli wybaczyście... – zawiesił głos i nie dając

Carline szansy na wypowiedzenie ani jednego słowa, wyskoczył z

pokoju jak zając. Gwardziści poszli w jego ślady, zamykając drzwi za

sobą. Kiedy znaleźli się sami, Carline uśmiechnęła się radośnie.

– No, załatwione. Nareszcie!

Laurie również uśmiechnął się i objął ją mocno w pasie.

– Tak, i prawie bezboleśnie.

– Bezboleśnie! – krzyknęła oburzona i rąbnęła go z całej siły w

żołądek. Laurie stracił dech, zgiął się w pół i padł na łóżko. Carline

zbliżyła się i uklęka obok niego. Kiedy próbował się dźwignąć i usiąść,

pchnęła go ręką w pierś.

– Co to ja jestem? Jakiś stary kaszalot, którego musisz znosić ze

względu na ambicje polityczne? – Szarpnęła za skórzane wiązania jego

bluzy. – Powinnam kazać wrzucić cię do lochu. Bezboleśnie! Ty cholerny

potworze!

Zebrał w garść materiał jej sukni i pociągnął, gwałtownie

przyciągając Carline ku sobie. Ich twarze znalazły się blisko siebie.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

– Witaj, moja miła. – Padli sobie w objęcia. Dużo później Carline

ocknęła się z półdrzemki.

– Szczęśliwy? .

Laurie parsknął śmiechem. Głowa Carline spoczywająca na jego piersi zatrzęsała się.

– Oczywiście. – Gładził ją po włosach. – O co chodziło z twym bratem i Tullym?

– Po prawie rok trwających próbach zmuszenia cię do małżeństwa nie chciałam dopuścić do tego, byś zapomniał, że mi się oświadczyłeś. Według mnie, po prostu chciałeś się mnie pozbyć, aby zwać do Sarth.

– Na bogów! – wrzasnął, wyskakując z łóżka. – Arutha!

Carline obróciła się na bok i ułożyła wygodnie na dopiero co opuszczonej poduszce.

– A więc to tak? Ty i moi brat we dwójkę wykradacie się z miasta?

– Tak... to znaczy nie. Och, do diabła z tym. – Laurie naciągnął spodnie i stał, rozglądając się gorączkowo po pokoju. – A niech to! Gdzie mój drugi but? Już i tak spóźniłem się przynajmniej o godzinę. – Kiedy ubrał się wreszcie, usiadł przy Carline. – Muszę iść. Aruthy nic nie jest w stanie powstrzymać. Wiesz o tym dobrze.

Przywarła mocno do jego ramienia.

– Wiedziałałam, że obaj pójdziecie. Jak chcecie wydostać się z pałacu?

– Jimmy. Skinęła głową.

– Pewnie jest jakiś tajny tunel, o którym przez przypadek zapomniał wspomnieć królewskiemu architektowi, co?

– Coś w tym rodzaju. Carline, muszę iść, naprawdę. Jeszcze raz

przytuliła go do siebie.

– Mam nadzieję, że nie potraktowałeś lekko swojej przysięgi?

– Nie. Nigdy. – Schylił się, by ją pocałować. – Bez ciebie, Carline, jestem nikim.

Zatkała cicho, a w jej sercu walczyły o lepsze dwa przeciwstawne uczucia. Z jednej strony czuła wielką satysfakcję z pewności, iż wreszcie odnalazła towarzysza życia, a z drugiej strony czuła straszną pustkę w duszy bojąc się, że go utraci na zawsze. Jakby czytając w jej myślach, Laurie objął ją mocniej.

– Wrócę, Carline. Nikt i nic nie przeszkodzi mi w powrocie do ciebie.

– Pamiętaj, jeśli nie wrócisz, to sama cię poszukam i dopadnę.

Muśnięcie warg na policzku i oto już drzwi zamykały się za nim cichutko. Carline wtuliła się mocniej w poduszki, chłonąc całym ciałem resztki pozostawionego przez niego ciepła.

Laurie wślizgnął się do komnat Aruthy, w chwili gdy wartownicy patrolujący korytarz dochodzili do jego końca i byli właśnie odwróceny plecami. Usłyszał w mroku szept wypowiadający jego imię.

– Tak – potwierdził cichutko.

Arutha odsonił wieczko ślepej latami. W pokoju zrobiło się jaśniej. Pojedyncze źródło światła sprawiło, że przedpokój przybrał wygląd ogromnej, ciemnej jaskini.

– Spóźniłeś się.

Jimmy i Arutha oświetleni od dołu żółtawym światłem latami

przypominali nieziemskie zjawy. Arutha miał na sobie ubiór prostego najemnika: wysokie do kolan buty, grube, wełniane spodnie i ciężką, skórzaną kamizelę na niebieskiej bluzie. Za pasem miał zatknięty rapier. To wszystko przykrywała gruba, szara opończa z obszernym kapturem odrzuconym na plecy. Nie to jednak przykuło uwagę Lauriego. Patrzył zdumiony w oczy Aruthy, które wydawały się świecić wewnętrznym światłem. Tuż przed wyruszeniem w daleką wyprawę do Sarth płonął z niecierpliwości.

– Prowadź.

Jimmy zaprowadził ich do niskich, schowanych w ścianie drzwi.

Weszli do środka. Jimmy poruszał się pewnie starymi tunelami pałacu, schodząc coraz niżej i niżej, nawet poniżej poziomu wilgotnych lochów więziennych. Arutha i Laurie nie odzywali się ani słowem, chociaż trubadurowi wyrywało się czasem z ust ciche przekleństwo, gdy coś, na co nadepnął, rzucało się piskliwie do ucieczki lub wydawało nieprzyjemny, wilgotny dźwięk. W takich chwilach dziękował w duchu, że w tunelu panuje gęsty półmrok.

Nagle znaleźli się na wiodących w górę kamiennych, nadgryzionych zębem czasu schodach. Na najwyższym podeście Jimmy podniósł w górę ręce i pchnął gładki z pozoru i niczym się nie wyróżniający odcinek sufitu, który zaczął się uchylać, zgrzytając przeciągle.

– Ciasno będzie – powiedział w końcu i przecisnął się z trudem przez wąską szparę. Po chwili w otworze pojawiła się jego twarz i ręka.

Podali mu rzeczy. Podstawa zewnętrznej ściany została przemyślnie zrównowazona systemem ciężarków, by odsuwać się na bok. Stary i nie używany mechanizm pracował z oporem. Arutha i Laurie ledwo zdołali przecisnąć się na drugą stronę.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Książę.

– Za żywopłotem w królewskim parku. Do tylnej bramy pałacu jest jakieś sto pięćdziesiąt metrów – odpowiedział Jimmy, wskazując palcem kierunek. – Chodźcie za mną. – Poprowadził ich przez gęste krzewy do kępy drzew, w której czekały konie.

– Nie prosiłem cię wcale, abys kupował trzy wierzchowce – zaoponował Arutha.

– Ale też nie powiedziales, abym nie kupował, Wasza Wysokość – odpowiedział chłopak z bezczelnym uśmiechem dobrze widocznym w poświacie księżycy.

Laurie zdecydował, że najlepiej będzie nie angażować się w wymianę zdań. Zajął się mocowaniem pakunków do siodła najbliższego rumaka.

– Och... nie mam do ciebie cierpliwości, Jimmy. Zresztą szkoda czasu. Ruszamy natychmiast. Jimmy, ty zostajesz.

Chłopak podszedł spokojnie do jednego z wierzchowców i zwinnie wskoczył na siodło.

– Nie przyjmuję rozkazów od bezimiennych awanturników i bezrobotnych najemników. Jestem szlachcicem księcia Krondoru.

– Poklepał węzełek za siodłem i wyciągnął rapier, ten sam, który

dostał od Aruthy. – Jestem gotowy. Ukradłem w życiu wystarczająco dużo koni, aby zostać niezłym jeźdźcem. A poza tym zauważyłem, że tam, gdzie ty jesteś. Książę, zazwyczaj dużo się dzieje. A tutaj, bez ciebie, może być bardzo nudno. Arutha spojrział bezradnie na Lauriego.

– Arutha, lepiej weźmy go ze sobą. Przynajmniej będziemy go mieli na oku. Jeśli tego nie zrobimy i tak pojedzie za nami. – Arutha zaczął protestować, lecz Laurie przerwał mu w pół słowa. – Przecież i tak nie możemy wezwać straży, by go aresztować, no nie?

Arutha z kwaśną miną wskoczył na konia. Nie mówiąc już ani słowa, zawrócili konie i wyjechali z parku. Posuwali się ciemnymi uliczkami i wąskimi przesmykami w umiarkowanym tempie, by nie wzbudzać niepożądanego zainteresowania swoimi osobami.

– Jedziemy ku wschodniej bramie – zdziwił się Jimmy po pewnym czasie. – Myślałem, że wyjedziemy przez północną.

– Niedługo skrócimy na północ – uspokoił go Arutha. – Jeśli ktoś zauważy mnie przypadkiem, to wolę, żeby rozpowiadał, że przejechałem przez wschodnią bramę.

– A kto miałby nas zobaczyć? – skomentował Jimmy niefrasobliwym tonem, zdając sobie doskonale sprawę, że każdy, kto o tej porze przejeżdża przez bramy miasta, będzie pilnie obserwowany.

Dwóch wartowników w budce przy wschodniej bramie ledwo ruszyło głowami, gdy przekraczali granice miasta. W końcu nie było ani godziny policyjnej, ani nikt nie podniósł alarmu, więc nie przejęli się trzema jeźdźcami.

Znaleźli się na terenie zewnętrznego miasta, wzniesionego, kiedy starożytne mury właściwego grodu nie były już w stanie pomieścić rosnącej liczby ludności. Po pewnym czasie zjechali z wielkiego, wschodniego gościńca i klucząc między ciemnymi bryłami domów, skierowali się na północ.

Nagle Arutha ściągnął konia i rozkazał Jimmy'emu i Lauriemu uczynić to samo. Zza rogu wyjeżdżało czterech jeźdźców ubranych w ciężkie, czarne opanczone. Ponieważ prawdopodobieństwo spotkania się w takim miejscu i o takiej porze dwóch przypadkowych grup podróżników graniczyło z cudem, Jimmy błyskawicznie wyciągnął rapier. Laurie sięgnął w dół, by również dobyć miecza.

– Odlóżcie broń – rozkazał Arutha. Po chwili obcy jeźdźcy zbliżyli się. Jimmy i Laurie wymienili pytające spojrzenia,

– Witam. – Usłyszeli w ciemności głos Gardana i po chwili kapitan podjechał do boku Księcia. – Wszystko gotowe.

– Dobrze. – Arutha przyglądał się postaciom przybyłym wraz z Gardanem. – Trzech?

W mroku rozległ się dobroduszny chichot kapitana. – Ponieważ nie widziałem go od pewnego czasu, pomyślałem sobie, iż pan Jimmy zdecydował się, by także wyruszyć w podróż, z waszym, Książę, pozwoleniem czy bez niego. Zatem na wszelki wypadek zabezpieczyłem się i wziąłem trzeciego. Chyba się nie pomyliłem, prawda?

– Nie, kapitanie – odpowiedział Arutha krótko, nie kryjąc złości.

– Hm... w każdym razie, ten tutaj David to najniższy gwardzista i

gdyby ktoś ich ścigał, z daleka może ujść za chłopaka. – Machnął na trzech jeźdźców, którzy natychmiast ruszyli w kierunku wschodniego gościńca. Jimmy nie wytrzymał i zachichotał, kiedy bowiem przejeżdżali obok, spostrzegł, że jeden z gwardzistów był szczupły i ciemnowłosy, a drugi to brodaty blondyn z lutnią przewieszoną przez plecy.

– Straże przy bramie ledwo na nas spojrzwały – powiedział Arutha.

– Nie obawiaj się. Wasza Wysokość. Ci dwaj na warcie mają najdłuższe jęzory w całym garnizonie. Jeśli rozniesie się, że opuścisz pałac, gwarantuję, że w ciągu kilku godzin całe miasto będzie wiedziało, że udałeś się na Wschód. Ta trojka, jeżeli nie napotka przeszkód po drodze, dojedzie aż do Czarnego Wrzosowiska. Jeżeli pozwolisz Księżę, to sugeruję, abyśmy natychmiast ruszali.

– My?

– Takie rozkazy. Wasza Wysokość. Księżniczka Carline wydała wyraźne instrukcje: jeżeli któremuś z was coś się przytrafi – wskazał na Księcia i Lauriego – to nie mam po co wracać do Krondoru.

– A o mnie nic nie powiedziała? – rzucił Jimmy z udawanym ubolewaniem.

Reszta jednak zignorowała jego uwagę. Arutha popatrzył na Lauriego i westchnął głęboko.

– A niech to, domyśliła się wszystkiego na wiele godzin przed naszym wyjazdem. – Gardan potwierdził kiwnięciem głowy. – A przy okazji udowodniła, że potrafi być przezorna, kiedy sytuacja tego

wymaga. Czasami.

– *Księżniczka na pewno nie zdradzi swego brata ani narzeczonego*

– *Uspokoił ich Gardan.*

– *Narzeczonego? – spytał zaskoczony Arutha. – Hm, to*

rzeczywiście musiała być noc pełna wrażeń. No tak, ale wybór był

jasny: albo wygnanie z pałacu, albo małżeństwo. Chociaż z drugiej

strony, jeśli mam być szczery, nigdy nie pojmę jej gustu, jeśli chodzi o

mężczyzn. No, dość gadania. I tak nie mam szans, by się pozbyć

któregoś z was. W drogę.

Trzej mężczyźni i chłopak spięli konie ostrogami i pognali przez

ciemne uliczki zewnętrznego miasta i wkrótce znaleźli się na gościńcu

prowadzącym na północ, do Sarth.

Gdzieś koło południa podróżnicy wyjechali za zakręt drogi

ciągnącej się wzdłuż wybrzeża. Ujrzeni samotną postać siedzącą na

poboczu Królewskiej Drogi. Miała na sobie myśliwski strój z

farbowanej na zielono skóry. Srokaty koń pasł się spokojnie nie opodal,

a mężczyzna strugał myśliwskim nożem kawałek gałęzi. Dostrzegł

grupkę jeźdźców. Wstał, schował nóż do pochwy i wyrzucił kij, po czym

zaczął zbierać swoje rzeczy. Kiedy Arutha ściągnął wodze i zatrzymał

konia, mężczyzna miał już na sobie płaszcz podróżny, a długi, bojowy

łuk przewiesił przez plecy.

– *Martin – przywitał się Arutha. Księżę Crydee wskoczył na*

konia.

– *Myślałem, że dotrzesz tu dużo wcześniej. Jimmy podjechał bliżej.*

– Powiedzcie mi, czy jest w Kronдорze ktoś, kto jeszcze nie wie o

tym, że Księżę wyjechał?

– Jest trochę inaczej, niż sądzisz – odpowiedział Martin z

tajemniczym uśmiechem. Ruszyli w drogę. Martin podjechał do boku

Aruthy. – Lyam prosił, aby ci powiedzieć, że zostawi tyle fałszywych

śladów, ile tylko się da.

– To Król też wie? – spytał Laurie.

– Oczywiście. – Księżę wskazał na Martina. – Zaplanowaliśmy to

we trzech od samego początku. Kiedy Lyam oficjalnie zabraniał mi

ruszać się z pałacu, to tak się akurat złożyło, że Gardan ustawił pod jego

drzwiami wyjątkowo liczny posterunek.

– Lyam wyznaczył kilku żołnierzy ze swojej gwardii przybocznej,

by udawali każdego z nas. Jest tam jeden taki o długiej końskiej gębie i

drugi, gburowaty blondyn z brodą, którzy udają Aruthę i Lauriego –

dorzucił Martin. Na jego ustach pojawił się rzadko goszczący tam

uśmiech. – A w moich komnatach siedzi sobie teraz zabójczo przystojny

facet. Lyamowi udało się nawet pożyczyć od ambasadora Keshu tego

wysokiego, głośnego mistrza ceremonii. Ma dziś niepostrzeżenie wrócić

i przekraść się z powrotem do pałacu, gdy orszak z imperium opuści

miasto. Po przyprawieniu sztucznej brody będzie wyglądał zupełnie jak

nasz kapitan. No tak, przynajmniej kolor jest odpowiedni. Ma się

pokazywać w pałacu tu i tam. – Gardan parsknął śmiechem.

– Czyli wcale się nie starałeś wyjechać niepostrzeżenie! –

wykrzyknął zachwycony Laurie.

– Zgadza się. Chciałem, aby mój wyjazd był okryty mgłą tajemnicy. Wiadomo, że ktokolwiek stoi za tym wszystkim, wysłał do Krondoru kolejnych zabójców. Tak przynajmniej uważał Jack. Zatem jeśli ma w mieście szpiegów, przez kilka dni nie będą w stanie zorientować się, co się rzeczywiście dzieje. Kiedy wyjdzie w końcu na jaw, że opuściliśmy pałac, nie będą pewni, w którym kierunku się udaliśmy. Jedyne tych kilka osób, które były z nami, gdy Pug otoczył i zamknął czarami pokój Anity, wie, że musimy udać się do Sarth.

– To się nazywa mistrzowskie zmylenie przeciwnika! – Jimmy zarechotał radośnie. – Kiedy ktoś usłyszy, że pojechałeś, panie, w tym kierunku, a po chwili dowie się, że w zupełnie przeciwnym, zgłupieje i nie będzie wiedział, czemu dać wiarę.

– Lyam bardzo dokładnie dopracował wszystkie szczegóły – dodał Martin. – Razem z Kulganem, Pugiem i jego rodziną, którzy wracają dzisiaj do Stardock, wysłał kolejną trójkę ubraną identycznie jak wy. Ci z kolei mają się zachowywać na tyle nieporadnie, by zauważono, że starają się ukryć swoją tożsamość. – Zwrócił się do Aruthy: – Aha, Pug powiedział, że przeszuka całą bibliotekę Macrosa. Może uda mu się znaleźć jakieś lekarstwo dla Anity.

Arutha ściągnął wodze wierzchowca. Inni również się zatrzymali.

– Jesteśmy o pół dnia drogi od miasta. Jeśli do zachodu nikt nas nie dogoni, będziemy chyba mogli uważać, że pościg mamy z głowy, a wtedy pozostanie tylko troska o to, co przed nami. – Zamilkł na moment, jakby to, co miał teraz powiedzieć, sprawiało mu trudność. –

Hm, bez względu na te wszystkie buńczuczne słowa i uśmiechy wiemy dobrze, że wybraliście wielkie niebezpieczeństwo. – Popatrzył po kolei na otaczające go twarze. – Chciałem wam tylko powiedzieć, że mając takich przyjaciół, uważam się za największego szczęściarza pod słońcem.

Jimmy był najbardziej zażenowany słowami Księcia. Z trudem zwalczył chęć, by palnąć jakieś głupstwo, które rozładowałoby poważny nastrój.

– Pośród Prześmiewców mamy... to znaczy mieliśmy taką przysięgę. Jej słowa zostały zaczerpnięte ze starego przysłowia: „Nie możesz być pewien, że kot zdechł, dopóki go nie obdrzesz ze skóry”. Jeśli ktoś musiał wypełnić bardzo trudne i ważne zadanie i jednocześnie chciał, żeby inni wiedzieli, że zrobi wszystko, aby doprowadzić rzecz do końca, mówił „dopóki nie obdrą kota ze skóry”. – Chłopak spojrział na towarzyszy podróży. – „Dopóki nie obdrą kota ze skóry”.

– „Dopóki nie obdrą kota ze skóry” – powiedział Laurie, a za nim jak echo powtórzyli to samo Gardan i Martin. Zapadła cisza.

– Dziękuję wam wszystkim – powiedział Arutha cicho, po czym spiął konia ostrogami i pogalopował gościńcem. Reszta ruszyła za nim.

Martin podjechał do Lauriego.

– Dlaczego zeszło wam tak długo?

– Coś mnie powstrzymało... to dość skomplikowana sprawa.

Pobieramy się.

– Wiem. Czekałem z Gardanem na Lyama, kiedy wrócił po wizycie w twoim pokoju. Hm, myślę, że mogła trafić trochę lepiej. – Twarz Lauriego zdradzała niepokój. Martin uśmiechnął się lekko i dodał: – Chociaż kto wie? Może i nie mogła? – Przechylił się ku Lauriemu i wyciągnął rękę. – Życzę wam szczęścia. – Wymienili mocny, męski uścisk dłoni. – Ale to i tak nie tłumaczy spóźnienia.

– Hm... to raczej delikatna sprawa – odpowiedział Laurie, mając nadzieję, że jego przyszły szwagier nie będzie drążył tematu.

Martin przez chwilę przyglądał się uważnie twarzy Lauriego, aż wreszcie pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Tak, szczerze i czule pożegnanie może zająć trochę czasu.

KNIEJA

Późnym popołudniem na horyzoncie pojawiła się grupka jeźdźców.

Czarne sylwetki rysowały się ostrym konturem na tle czerwieniejącego już nieba. Pierwszy zauważył ich Martin. Arutha natychmiast zatrzymał swój oddziałek. Od opuszczenia Kronodoru była to pierwsza napotkana grupa podróżnych, którzy na pewno nie byli kupcami. Martin zmrużył oczy i wpatrywał się w dal.

– Są bardzo daleko i niewiele widzę, ale chyba są uzbrojeni. Może to najemnicy?

– Albo wyjęci spod prawa? – dorzucił Gardan.

– Albo ktoś zupełnie inny – skomentował krótko Arutha. – Laurie, najwięcej podróżowałaś z nas wszystkich. Czy jest tu jakaś inna droga?

Laurie rozejrzał się po okolicy, starając się określić miejsce, w którym się znajdowali. Wskazał w kierunku lasu po drugiej stronie wąskiego zagonu ziemi uprawnej.

– Na wschód stąd, o jakąś godzinę jazdy, jest stary szlak prowadzący w Góry Calastius. W dawnych czasach wykorzystywany był przez górników, ale teraz jest prawie nie uczęszczany. Podążając nim, dojedziemy do drogi prowadzącej w głąb lądu.

– No to nie ma co zwlekać – powiedział Jimmy. – Tamci chyba się znudzili czekaniem na nas.

Arutha spojrział w tamtą stronę. Jeźdźcy na horyzoncie ruszyli w

ich kierunku.

– Laurie, prowadź.

Zjechali z drogi w kierunku licznych kamiennych murków

znaczących granice pól.

– Patrzcie! – krzyknął Jimmy.

Arutha i jego towarzysze obejrzeni się. Nieznani jeźdźcy widząc, że

grupka Księcia opuszcza drogę, ruszyli galopem. W pomarańczowej

poświacie zbliżającego się zachodu ich czarne sylwetki były widoczne

na szarozielonym tle zboczy pagórków.

Arutha i jego towarzysze przeskoczyli pierwszy murek jednym,

długim skokiem, tylko Jimmy omal nie wyleciał z siodła. W ostatniej

chwili zdołał się jednak wyprostować i opanować konia, nadążając za

pozostałymi. Nic nie powiedział, ale w duchu modlił się gorąco, by trzy

kolejne murki oddzielające go od ściany lasu okazały się złudzeniem.

Cudem zdołał utrzymać się w siodle i nie zostać w tyle za resztą.

Wjechali do lasu.

Poczekali na Jimmy'ego, który przygalopował po chwili i

zatrzymał konia. Laurie wskazał w dal.

– Nie mogli nas dogonić, więc pojechali równolegle. Chcą nam

pewnie przeciąć drogę na północ stąd. – Parsknął śmiechem. – Szlak

wiedzie na pomocny wschód, a więc nasi nieznani przyjaciele, aby

przeciąć nam drogę, będą musieli przebrnąć przez dodatkowe dwa

kilometry lasu o bardzo gęstym poszyciu. Zanim się przedostaną, już

ich minimy. Oczywiście, jeżeli w ogóle odnajdą szlak.

– Mimo wszystko musimy się śpieszyć – powiedział Arutha. –

Mrok szybko zapada, a lasy, nawet w spokojnych czasach, nigdy nie są zbyt bezpiecznym miejscem. Jak daleko do drogi, o której wspomniałeś?

– Hm, sądzę, że powinniśmy tam dotrzeć jakieś dwie godziny po zachodzie słońca. No, może trochę wcześniej.

Księżę dał mu znak, by prowadził. Laurie zawrócił konia i po chwili zagłębili się w szybko mroczniejącą puszcze.

Po obu stronach ciemniały grube pnie drzew. W nikłym świetle promieni środkowego i dużego księżyca, przedzierających się z trudem przez najwyższe gałęzie, otaczający las przypominał do złudzenia czarny, kamienny mur. Jechali w mroku, posuwając się wzdłuż trasy, którą Laurie uparł się nazywać szlakiem, a która w rzeczywistości była zaledwie eterycznym zjawiskiem, ukazującym się niespodziewanie o kilka metrów przed koniem Lauriego, by równie szybko i tajemniczo zniknąć za zamykającym pochód Jimmym. Dla chłopaka każdy kawałek lasu wyglądał identycznie, z tą może różnicą, że wijąca się trasa wybierana przez Lauriego nie była chyba tak zavalona gałęziami i innymi leśnymi śmieciami. Jimmy nieustannie oglądał się, wypatrując pościgu. Arutha zarządził postój.

– Ani śladu pogoni. Może ich zgubiliśmy?

– Wątpię. – Martin zeskoczył z konia. – Jeśli mają ze sobą doświadczonego tropiciela, z pewnością natkną się na odchody naszych koni. Prawdopodobnie będą się poruszali równie powoli jak my, ale utrzymają dystans. Nie zgubimy ich.

– Odpocznijmy chwilę – powiedział Arutha, zsiadając z konia. –

Jimmy, daj koniom owsa, jest w worku za siodłem Lauriego.

Jimmy zajął się końmi, narzekając pod nosem. Po pierwszej, spędzonej w drodze nocy przekonał się, że do jego obowiązków, jako młodego szlachcica w służbie Księcia, należała opieka nad koniem suzerena... jak również nad wszystkimi pozostałymi wierzchowcami.

Martin zarzucił łuk na ramię.

– Cofnę się trochę po naszych śladach, by sprawdzić, czy w okolicy nikt się nie kręci. Wrócę za godzinę. Jeśli coś się stanie, nie czekajcie na mnie. Spotkamy się jutro wieczorem w klasztorze Ishap – powiedział i natychmiast wtopił się w mrok.

Arutha siedział na siodle, a Jimmy wraz z Lauriem krzątali się przy koniach. Gardan stał na straży, wpatrując się uważnie w otaczającą ich ciemność.

Czas mijał powoli. Arutha siedział zatopiony w myślach. Jimmy obserwował go kątem oka. Laurie mimo ciemności zauważył to i stanął przy chłopcu wycierającym właśnie boki wierzchowca Gardana.

– Martwisz się o niego? – szepnął. Jimmy ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Nie mam rodziny ani zbyt wielu przyjaciół, pieśniarzu. Książę jest dla mnie... ważny. Tak, masz rację, niepokoję się o niego.

Skończył oporządzać konie i podszedł do zapatrzonego w ciemność Księcia.

– Konie nakarmione i oporzędzono. Arutha otrząsnął się z

zamyślenia.

– To dobrze. Odpocznij teraz. O pierwszym brzasku ruszamy dalej.

– Rozejrzał się wokół. – Gdzie Martin? Jimmy spojrzął w kierunku, z którego przybyli.

– Ciągle jest gdzieś tam.

Arutha spojrzął w tym samym kierunku.

Jimmy usadowił się wygodnie, oparł głowę na siodle i owinął się szczelnie kocem. Zanim zmorzył go sen, długo wpatrywał się w ciemność.

Jimmy otworzył oczy. Coś go obudziło. Zbliżały się dwie postacie.

Już miał zerwać się na nogi, kiedy rozpoznał Gardana i Martina.

Przypomniał sobie, że Gardan został na straży. Po cichutku podeszli do skromnego obozowiska.

Jimmy zbudził pozostałych. Arutha widząc, że brat powrócił, nie tracił czasu.

– Odkryłeś coś? Ścigają nas?

– Tak. – Martin skinął głową. – Są kilka kilometrów stąd. Oddział ludzi albo moredheli, nie wiem, kim są, bo ich ognisko ledwo się paliło.

Przynajmniej jeden to moredhel. Wszyscy poza nim mieli na sobie czarne zbroje i długie, czarne peleryny oraz dziwaczne hełmy zakrywające całą głowę. Nie musiałem sprawdzać, jakie są ich zamiary.

Zamarkowałem fałszywy ślad prowadzący w poprzek naszego. To powinno ich trochę zmylić i opóźnić pogoń, ale musimy wyruszać natychmiast.

– A co z tym pojedynczym moredhelem? Mówisz, że nie był ubrany jak inni?

– Cholera! To największy moredhel, jakiego widziałem w życiu! Jest ogromny. Od pasa w górę nie ma na sobie nic poza skórzaną kamizelą. Głowę ma wygoloną do gołej skóry. Został tylko długi kosmyk skalpowy, który nosi związany jak koński ogon na plecach.

Widziałem go bardzo wyraźnie, bo siedział przy samym ognisku. Mówię wam, nigdy nie spotkałem kogoś takiego, chociaż słyszałem nie raz.

– Górski klan z Yabonu – powiedział Laurie. Arutha spojrział na niego pytającym wzrokiem.

– Kiedy dorastałem w okolicach Tyr-Sog, pamiętam, że dochodziły do nas często wieści o napadach górskich klanów z północy. Są zupełnie inni niż szczepy leśne. A kosmyk skalpowy wskazuje, że jest wodzem, i to ważnym.

– Odbył długą drogę... – zauważył Gardan.

– Tak, a to może oznaczać, że od czasu zakończenia wojny z Tsuraniami musiał zapanować jakiś inny porządek. Wiemy, że wielu zepchniętych na północ przez inwazję Tsuranich chciało połączyć się ze swoimi pobratymcami żyjącymi na Ziemiach Pomocy. Jak widać jednak, niektórzy musieli powrócić na południe ze swoimi kuzynami.

– Lub podlegają ich rozkazom – dodał Arutha.

– Aby to mogło nastąpić... – zaczął Martin.

– Przymierze, przymierze moredheli. Coś, czego zawsze się obawialiśmy. Ruszajmy. Prawie świta. A stojąc w miejscu, i tak nie

rozgryziemy tego lepiej.

Przygotowali konie i po paru minutach byli z powrotem na Leśnej Drodze, jednej z ważniejszych dróg w głębi lądu, łączących Krondor z północą kraju. Tylko nieliczne karawany korzystały z tego szlaku, bo chociaż pozwalał zaoszczędzić czas, to jednak ze względu na bezpieczeństwo większość podróżnych wolała drogę przez Krondor i dalej wzdłuż wybrzeża. Laurie twierdził, że posuwali się teraz równolegle do Zatoki Okrętów i byli oddaleni od opactwa Ishap w Sarth o dzień drogi. Opactwo znajdowało się na wzgórzach na północny wschód od miasta. Planowali więc dotrzeć do prowadzącej do niego drogi okrążającej Sarth. Według trubadura, jeśli pogoniliby konie, mogliby dotrzeć na miejsce tuż po zachodzie słońca.

Z lasu nie docierały żadne sygnały o zbliżającym się niebezpieczeństwie, lecz według Martina dowodzony przez moredhela oddział mógł się zbliżać. Doświadczonym uchem wylapywał ledwo słyszalne, subtelne zmiany w dźwiękach dochodzących z okrytego poranną mgiełką lasu. Sygnalizowały one, że coś w niedalekiej odległości zakłóca naturalny rytm przyrody.

Martin jechał u boku Aruthy, za prowadzącym pochód Lauriem.

– Chyba trochę się cofnę i sprawdzę, czy nasi przyjaciele ciągle jadą za nami.

Jimmy odruchowo zerknął przez ramię i między drzewami dostrzegł ubrane w czerń postacie.

– Za późno! Zobaczyli nas!

Oddziałek Aruthy spiął wierzchowce ostrogami i po lesie poniósł się głuchy tętent koni. Pędzili nisko pochyleni nad końskimi karkami, a Jimmy co chwila oglądał się za siebie. Odległość między nimi a ścigającymi powoli się zwiększała. Chłopak zaczął w duchu odmawiać dziękczynne modlitwy.

Po kilku minutach ostrego galopu dotarli do głębokiego wąwozu, zbyt szerokiego, by pokonać go jednym skokiem. Brzegi rozpadliny spinał solidny, drewniany most. Przegalopowali na drugą stronę i Arutha zatrzymał konia.

– Tu ich zatrzymamy!

Zawrócili konie. Z oddali dochodziły już odgłosy pościgu. Arutha miał właśnie wydać rozkaz, by przygotowali się do ataku, kiedy Jimmy zeskoczył z konia. Zza siodła wyciągnął swój węzełek i pobiegł na drugą stronę mostu, gdzie ukląkł i zaczął grzebać w zawiniątku.

– Jimmy, co ty wyprawiasz?! – krzyknął Arutha.

– Trzymajcie się z daleka! – odkrzyknął chłopak, nie podnosząc głowy.

Tętent nadciągających koni dobiegał coraz wyraźniej. Martin zeskoczył z konia i ściągnął łuk z pleców. Gdy pierwszy z czarnych jeźdźców wyskoczył spoza drzew, strzała tkwiła już w napiętej cięciwie. Bez namysłu zwolnił śmiercionośny pocisk, który poszybował ku celowi i uderzył w okrytą czarnym pancerzem pierś z ogłuszającym hukiem i siłą, którą przy takiej odległości był zdolny osiągnąć jedynie długi łuk bojowy. Jeździec został dosłownie zmieciony z siodła. Drugi, który

jechał za nim, zdołał ominąć przeszkodę. Trzeciemu się to nie udało, jego koń potknął się bowiem o ciało.

Arutha ruszył z kopyta, by przechwycić drugiego napastnika, szykującego się do przekroczenia mostu.

– Nie! – krzyknął Jimmy. – Cofnąć się! – Chłopak zerwał się błyskawicznie i pognął ku nim. Czarny jeździec wjeżdżał właśnie na bale mostu. Zbliżał się do miejsca, na którym Jimmy przed chwilą klęczał. Nagle rozległ się ogłuszający świst i w niebo buchnęła chmura dymu. Spłoszony koń uskoczył w bok, obrócił się z trudem na wąskim moście i stanął dęba. Potknął się i uderzył zadem o barierkę. Czarny wojownik wyleciał z siodła jak z procy i runął w przepaść, podczas gdy jego wierzchowiec bił rozpaczliwie powietrze kopytami. Po chwili ciało uderzyło głucho o skały. Koń okręcił się na tylnych nogach i pogalopował z powrotem.

Na szczęście wierzchowce Aruthy i pozostałych były na tyle daleko od eksplozji, aby się nie spłoszyć. Laurie musiał jednak szybko podjechać do zdenerwowanego rumaka Jimmy'ego i chwycić go za uzdę, a Gardan przytrzymał konia Martina. Były Wielki Łowczy mierzył nieustannie z łuku ku nadciągającym jeźdźcom, gdy oni próbowali zapanować nad rzucającymi się i tańczącymi nerwowo wierzchowcami.

Jimmy pędził z powrotem w stronę mostu, trzymając w ręku niewielką butelkę. Wyciągnął korek i cisnął ją w dym. Niespodziewanie bliższy im koniec mostu buchnął płomieniami. Czarni jeźdźcy

pośpiesznie ścigali wodze rżącym i kwiczącym z przerażenia koniom, starając się nad nimi zapanować. Spłoszone rumaki galopowały w kółko jak oszalałe i nie było siły, która byłaby w stanie zmusić je do przejechania przez most.

Potyając się i chwiejąc na nogach, Jimmy cofał się przed morzem płomieni. Gardan zaklął na cały głos.

– A niech to szlag trafi! Patrzcie, zabici wstają znowu! Przez jęzory ognia i kłęby dymu widać było, jak jeździec ze strzałą tkwiącą w piersi idzie chwiejnie w kierunku mostu. Inny, którego Martin zwałił na ziemię kilka chwil później, z trudem dźwigał się na nogi.

Jimmy dopadł konia i wskoczył na siodło.

– Co to było? – spytał Arutha.

– Bomba dymna, miałem ją przy sobie z przyzwyczajenia. Wielu Prześmiewców posługuje się nimi, aby zmylić pogoń i stworzyć zamieszanie odciągające od nich uwagę. Wytwarzają bardzo mało ognia, ale za to masę dymu.

– A co było w butelce? – dopytywał się Laurie.

– Roztwór nafty. Znam pewnego alchemika w Krondorze, który sprzedaje go chłopom, powiększającym swoje pola przez wyrąb i wypalanie lasów.

– To cholernie niebezpieczna mikstura, aby ją wozić w kieszeni.

Zawsze to masz przy sobie? – włączył się Gardan.

– Nie. No ale też i nie podróżuję zwykle w miejsca, gdzie mogę się naciąć na stwory, które można powstrzymać tylko przez upieczenie. Po

tym całym zamieszaniu w burdelu pomyślałem sobie, że flaszeczka miksturki może się jeszcze przydać. Została mi jeszcze jedna... gdyby coś.

– To na co czekasz? Rzucaj! – krzyknął Laurie. – Most się jeszcze nie zajął ogniem.

Chłopak wyciągnął z zawiniątka drugą buteleczkę i zmusił konia, by zbliżył się do mostu. Zamachnął się i celując uważnie, cisnął prosto w ogień.

Płomienne jęzory strzeliły w górę na trzy, cztery metry, obejmując momentalnie cały most. Po obu jego stronach konie rżały przeraźliwie, starając się uciec. Płomienie wciąż wznosiły się w górę.

Arutha przeniósł wzrok na drugą stronę przepaści. Jeźdźcy stali spokojnie, czekając aż płomienie przygasną. W tej chwili pojawiła się za nimi nowa postać. Zbliżał się nie noszący zbroi moredhel z długim kosmykiem skalpowym. Patrzył z kamienną twarzą na Aruthę i jego towarzyszy. Arutha poczuł, jak błękitne oczy dosłownie wwiercają mu się w duszę i przeszywają ją na wylot. Odczuł straszliwą nienawiść. Oto tutaj, w tej chwili stanął twarzą w twarz ze swoim wrogiem. Ujrzał jednego z tych, którzy skrzywdzili Anitę. Martin zaczął znowu strzelać z łuku w stronę czarnych jeźdźców. Moredhel dał znak ręką i w ciszy poprowadził ich z powrotem między drzewa.

Martin wskoczył na konia i podjechał do brata, który patrzył za znikającymi w puszczy jeźdźcami.

– On mnie zna! Byliśmy tacy ostrożni, przebiegli, a on i tak

wiedział przez cały czas, gdzie jestem.

– Ale skąd? – spytał Jimmy. – Przecież stosowaliśmy tyle wybiegów i zmyłek.

– Jakaś czarna magia – odpowiedział cicho Martin. – Jimmy, mamy do czynienia z wielkimi i tajemnymi mocami...

– Chodźcie – przerwał im Arutha. – Oni wrócą. Nic ich nie powstrzyma. Jedyne, co zyskaliśmy, to trochę czasu.

Laurie ruszył przodem, prowadząc ich w kierunku drogi wiodącej na północ, do Sarth. Jechali, nie oglądając się za siebie, a ogień głośno trzaskał.

Przez pozostałą część dnia jechali prawie bez odpoczynku. Ani razu nie dostrzegli swoich prześladowców, lecz Arutha był pewien, że są tuż, tuż. Pod wieczór ponownie zbliżyli się do wybrzeża, gdzie Zatoka Statków kierowała drogę ku wschodowi. Pojawiła się lekka mgielka.

Laurie stwierdził, że powinni dotrzeć do opactwa już niedługo.

Martin podjechał do Gardana i Aruthy, który wpatrzony nie widzącym wzrokiem w długie, wieczorne cienie, podświadomie kierował wierzchowcem.

– Wspominasz przeszłość? Arutha spojrzał na niego zamyślony.

– Nie, Martin, czasy, kiedy wszystko było prostsze. Aż płonę, żeby

rozwiązać wreszcie tajemnicę tego Srebrnego Ciernia... aby wrócić

Anitę do życia i do mnie. Martin, wierz mi, aż mnie roznosi! – prawie

krzyknął w przypiływie nagłego uczucia. Zamilkł na chwilę, po czym

westchnął ciężko i uspokoił się trochę. – Zastanawiałem się, co ojciec

zrobiłby na moim miejscu.

Martin zerknął na Gardana.

– Dokładnie to samo, co ty teraz robisz, Książę. Znałem księcia

Borrica przez całe życie, od wczesnych lat chłopięcych. Twierdzą z całym przekonaniem, że nikt bardziej nie przypomina go usposobieniem i charakterem niż ty. Wszyscy jesteście do niego podobni. Martin w tym, jak wszystkiemu przygląda się z uwagą. Lyam przypomina mi go z czasów, kiedy był radośniejszy i pogodny, zanim utracił na zawsze swoją panią, Catherine.

– A ja? – zapytał Arutha.

Na to pytanie odpowiedział Martin.

– Cóż, ty myślisz tak samo jak ojciec, braciszku. O wiele bardziej niż Lyam czy ja. Jestem twoim najstarszym bratem. Wierz mi, nie słucham twoich poleceń tylko dlatego, że książę Krondoru stoi wyżej w hierarchii niż książę Crydee. Idę za twoim przykładem, ponieważ właśnie ty – po ojcu – podejmujesz najważniejsze decyzje.

Arutha w zamyśleniu zapatrzył się w dal.

– Dziękuję. To najwyższa ocena...

Gdzieś z tyłu dobiegł ich dźwięk, na tyle głośny, by go usłyszeć, lecz trudny do zidentyfikowania. Laurie wychodził wprost ze skóry, by prowadzić jak najszybciej, jednak gęstniejący mrok i mgliste opary utrudniały wyczucie kierunku. Słońce wisiało tuż nad horyzontem i pod drzewa przenikało niewiele światła. Widział przed sobą jedynie krótki odcinek szlaku. Już dwa razy musiał prawie zatrzymać pochód, aby

rozdzielić właściwy szlak od innych ścieżek. Arutha podjechał do niego.

– Spokojnie, Laurie. Powolutku. Lepiej wlec się jak żółw niż

stawać w miejscu.

Gardan zwolnił i poczekał na Jimmy'ego. Chłopak rozglądał się

nieustannie po lesie wypatrując, czy coś nie kryje się za drzewami.

Jednak w ostatnich promykach zachodzącego słońca dostrzegł tylko

siwe, snujące się nisko nad ziemią, strzępy mgły.

Nagle w miejscu, gdzie przed ułamkiem sekundy nic nie było,

rozstąpiło się gęste poszycie i z trzaskiem łamanych gałęzi wypadł z

niego jeździec. Nieomal zrzucił Jimmy'ego z siodła. Wierzchowiec

chłopaka wykonał pełny obrót na tylnych nogach, gdy wojownik w

czarnej zbroi przepchnął się tuż koło niego. Gardan zamachnął się

mieczem, lecz spóźnił się o ułamek sekundy i chybił.

– Tędy! – krzyknął Arutha, próbując przemknąć koło kolejnego

jeźdźca przecinającego im drogę. Stanął nagle, oko w oko z półnagim

moredhelem. Po raz pierwszy dostrzegł trzy głębokie blizny na

policzkach Mrocznego Brata. Wydawało się, że czas zatrzymał się w

miejscu, kiedy stali bez najmniejszego ruchu, mierząc się wzrokiem.

Aruthę opanowało dziwne uczucie. Doznał ulgi, bo miał oto przed sobą

przeciwnika, który przybrał realną, namacalną postać. Nie walczył już

z niewidzialnymi zabójcami, kierowanymi mrocznymi i mistycznymi

mocami pozbawionymi ciała i treści. Nareszcie stanął przed nim ktoś,

na kim mógł wyładować swoją wściekłość. Bezgłośnie i bez żadnego

ostrzeżenia moredhel ciął ze straszliwą siłą. Księżę uniknął obcięcia

głowy jedynie dlatego, że błyskawicznie przywarł do karku konia.

Arutha machnął na odlew rapierem i poczuł, jak ostrze zagłębia się w ciało. Podniósł głowę i spostrzegł, że trafił moredhela w twarz, tnąc głęboko poznaczony nacięciami policzek. Jednak ciemny Elf prawie nie zareagował. Z gardła wydobył się jedynie przedziwny, udręczony boleścią jęk, ni to bulgot, ni zduszony krzyk, I wtedy Arutha uświadomił sobie nagle, że moredhel nie ma języka. Przez krótką chwilę moredhel patrzył mu prosto w oczy.

– Próbnijcie się przedrzeć! – krzyknął Książę, obracając raptownie konia i dając mu ostrogę. Ruszył z kopyta, a pozostali pogalopowali za nim.

Przez moment wydawało się, że dowodzony przez moredhela oddziałek jest zbyt zaskoczony nagłym manewrem, by zareagować. Nie trwało to jednak długo i po chwili czarni jeźdźcy wznowili pościg. Ze wszystkich szalonych galopów, w jakich Arutha uczestniczył, ten był najbardziej szaleńczy. Gnali przez las spowity całunem mgły i czarną opończą zapadającej nocy, przemykając między drzewami szlakiem niewiele szerszym od zwykłej ścieżki. Laurie śmignął koło Aruthy, wysuwając się na czoło.

Pędzili długo przez knieję, cudownym zrządzeniem losu unikając zjechania z właściwej drogi, co niewątpliwie skończyłoby się dla nich tragicznie. W pewnej chwili Laurie wyciągnął przed siebie rękę.

– Droga do opactwa! Pędzący tuż za trubadurem Arutha i pozostali ledwo zdołali skręcić na szerszą drogę. Na horyzoncie

dostrzegli delikatne światło. Wschodził duży księżyc.

Wypadli z lasu na otwartą przestrzeń. Szeroka, uczęszczana droga prowadziła teraz pośród pól uprawnych. Boki dyszących ciężko rumaków pokrywały płaty piany, a oni jeszcze bardziej przynaglali je do heroicznych wysiłków. Choć czarni jeźdźcy nie doganiali ich, to jednak również nie zostawali w tyle.

Galopowali przez mrok, wspinając się z trudem po zboczach łagodnych pagórków na szczyt płaskowyżu, dominującego ponad usianą polami doliną ciągnącą się wzdłuż wybrzeża. Droga zwężała się gwałtownie. Po chwili musieli już jechać gęsiego. Martin wstrzymał konia czekając, aż inni go wyminą.

Szlak z każdą chwilą stawał się coraz bardziej zdradziecki i zmuszał ich do zmniejszenia tempa. To samo musieli uczynić ścigający. Arutha uderzeniami pięt przynaglał nieustannie wierzchowca, ale zwierzę dało już z siebie wszystko.

Wieczorne powietrze było aż ciężkie od mgły i wyjątkowo zimne jak na tę porę roku. Zbocza łagodnych, rozsiadłych pagórków wznosiły się i opadały malowniczo. Na szczyt najwyższego, z nich można było się dostać w niecałą godzinę. Ponieważ teren, po którym jechali, był kiedyś uprawiany, w całej okolicy nie widać było ani jednego drzewa, wszędzie tylko dzikie, gęste trawy i gdzieniegdzie kępy krzaków.

Opactwo Sarth usytuowane było na płaskim jak stół szczycie sporej, dominującej

ponad

okolicznymi

wzgórzami

góry

o

poszarpanych, skalistych i urwistych zboczach.

Wspinali się wytrwale wąziutką ścieżką wiodącą ostrą granią.

Gardan wychylił się w siodle i spojrział w dół.

– Nie chciałbym tędy atakować. Kilka babinek wymachujących

szcotkami byłoby w stanie utrzymać tę drogę... przez całą wieczność.

Jimmy obejrzał się w tył, lecz w mroku nie mógł dostrzec pogoni.

– No to powiedz tym swoim babciom, aby zeszły niżej i

powstrzymały tych czarnych za nami – krzyknął.

Arutha co chwila oglądał się przez ramię. Oczekiwał, że lada

moment jeźdźcy mogą ich dogonić. Minęli zakręt i wypadli na ostatni

odcinek drogi prowadzący wprost do opactwa. Z ciemności wyłoniła się

przed nimi potężna brama.

W świetle księżyca widać było ponad murami wysmukłą wieżę.

Arutha załomotał w bramę.

– Hej! Potrzebujemy pomocy! – krzyknął. W tej samej chwili

usłyszeli to, na co czekali od dłuższego czasu, tętent końskich kopyt na

skalistym podłożu ścieżki. Oddziałek Aruthy dobył broni i zwrócił się

twarzą do nadciągającego wroga. Czarni jeźdźcy wyskoczyli w pędzie

zza zakrętu przed bramą i bitwa rozgorzała od nowa. Arutha robił

nieustanne uniki i parował spadające nań zewsząd ciosy. Atakujący nacierali o władnięci szalem, jakby przewidując, że z Arutha i jego ludźmi muszą się rozprawić natychmiast. Moredhel stratował nieomal wierzchowca Jimmy'ego, starając się za wszelką cenę przedrzeć do Aruthy. I tylko temu, że w ogóle nie zwrócił uwagi na chłopaka, Jimmy zawdzięczał ocalenie. Mroczny Brat parł wprost na Aruthę. Gardan, Laurie i Martin z najwyższym trudem powstrzymywali czarnych jeźdźców, ale napastnicy powoli zyskiwali przewagę.

Nagle strumienie światła o sile dziesięciokrotnie przewyższającej blask dnia zalały drogę i placyk przed bramą. W ciemności buchnęło dosłownie morze światła, oślepiając luną walczących. Księżę i wszyscy pozostali musieli zasłonić oczy przed bijącymi w twarz promieniami. Po chwili ciszy dały się słyszeć głuche jęki czarnych jeźdźców i odgłos padających na ziemię ciał. Arutha rozchylił lekko powieki i spojrzał poprzez palce dookoła. Czarni sztywnieli nagle w siodłach i jeden po drugim walili się pokotem na ziemię. Jedyne moredhel i trzech jeźdźców w zbrojach, zasłaniając oczy przed oślepiającym światłem, trzymali się na koniach. Ruchem ręki niemy dowódca nakazał odwrót i po chwili cała czwórka galopowała ścieżką w dół. Gdy tylko zniknęli za zakrętem, rozżarzona do białości jasność zaczęła stopniowo przygasać. Arutha wytarł załzawione oczy i rzucił się w pościg.

– Stój! – krzyknął Martin. – Jeśli ich dogonisz, zginiesz! Tutaj mamy sprzymierzeńców i pomoc!

Arutha wściekły, że przeciwnik mu ucieka, posłuchał jednak i z

ociąganiem wrócił do swoich towarzyszy, ocierających piekące oczy.

Martin zeskoczył z konia i ukląkł przy jednym z czarnych jeźdźców.

Ściągnął mu hełm i zerwał się błyskawicznie na nogi, odskakując w tył.

– To moredhel. Cuchnie, jakby nie żył od dłuższego czasu. –

Wskazał palcem na pierś trupa. – To ten sam, którego zabiłem przy moście. W piersi ciągle tkwi złamana strzała.

Arutha spojrział na budynek klasztoru.

– Światło zgasło. Ktokolwiek jest naszym niewidocznym dobroczyńcą, najwyraźniej doszedł do wniosku, że już go nie potrzebujemy.

Potężne skrzydła bramy rozchyliły się powolutku. Martin podał bratu hełm moredhela, aby ten go obejrzał. Hełm był bardzo dziwny.

Jego czubek zdobił wyryty głęboko w blasze smok, którego skrzydła opadały w dół, chroniąc dodatkowo uszy i boki głowy wojownika. Dwie wąskie szpary na wysokości oczu umożliwiały patrzenie, a cztery niewielkie otwory na wysokości ust – oddychanie. Arutha rzucił hełm Martinowi.

– To jakieś złowieszcze kowalstwo. Weź go ze sobą. A teraz czas, by złożyć wizytę w opactwie.

– Też mi opactwo – skomentował Gardan, gdy przejeżdżali przez potężną bramę. – Raczej przypomina fortecę! – Okute żelaznymi sztabami i nabijane ćwiekami potężne bale skrzydeł bramy blokowały wejście. Z prawej strony, aż do krawędzi urwiska, ciągnął się kamienny, wysoki na cztery metry mur. Z lewej zaś strony mur obniżał

się stopniowo i kończył wysokim na kilkadziesiąt metrów urwiskiem opadającym pionowo w dół ku wijącej się ostrymi serpentynami drodze. Za murem przed nimi wznosiła się pojedyncza, kilkupiętrowa wieża.

– Jeśli to nie starodawna baszta dawnej warowni, to nie nazywam się Gardan – powiedział czarnoskóry kapitan. – Nie chciałbym szturmować tego opactwa. Wasza Wysokość, o nie! To chyba najlepsze miejsce do obrony, jakie widziałem w życiu. Tylko spójrzcie, między podstawą murów a krawędzią urwiska nie ma więcej niż półtora metra! – krzyknął zachwycony militarnym kunsztem budowniczych opactwa.

Arutha dał koniowi ostrogę, ruszając w stronę otwartej już na oścież bramy, a nie widząc żadnych przeszkód, wjechał na czele towarzyszy na teren opactwa Ishap w Sarth.

SARTH

Wydawało się, że w opactwie nie ma żywego ducha. Podwórzec potwierdzał to, co widzieli z drogi. Kiedyś musiała to być forteca. Przy starej baszcie warowni dobudowano jednopiętrowy gmach, a z tyłu dwa wolno stojące budynki. Jeden z nich wyglądał na stajnię. Wokół panowała jednak martwa cisza i bezruch.

– Witajcie w opactwie Ishap w Sarth – usłyszeli głęboki głos dochodzący spoza jednej z mniejszych bram.

Arutha zdążył już wyciągnąć do połowy miecz z pochwy, gdy głos rozległ się znowu.

– Nie musicie się niczego obawiać.

Mówiący te słowa wyszedł na dziedziniec. Arutha schował broń.

Kiedy jego towarzysze zsiadali z koni, Księżę przyglądał się z uwagą nieznanemu. Był to postawny mężczyzna w średnim wieku, raczej niskiego wzrostu, z młodzieńczym uśmiechem igrającym na ustach.

Miał krótko obcięte, potargane włosy i gładko wygoloną twarz. Ubrany był w prostą brązową szatę związaną skórzanym rzemieniem. Przy pasie wisiał skórzany woreczek i jakiś święty symbol. Mężczyzna nie miał przy sobie broni, jednak Arutha nie mógł się oprzeć wrażeniu, że porusza się jak ktoś, kto kiedyś doskonale znał wojenne rzemiosło.

– Nazywam się Arutha i jestem księciem Krondoru – przedstawił się w końcu.

Mężczyzna wyglądał na rozbawionego, chociaż nie uśmiechnął

się.

– Witaj więc w opactwie Ishap w Sarth, Wasza Wysokość.

– Cóż to, drwisz sobie ze mnie?

– Nie, Wasza Wysokość. Członkowie zakonu Ishap nie utrzymują częstych kontaktów ze światem zewnętrznym. Mało kto nas odwiedza, nie mówiąc już o członkach rodziny królewskiej. Proszę, jeśli honor ci pozwala, panie, wybacz obrazę, ponieważ nie uczyniłem tego ani świadomie, ani celowo. Arutha zsiadł z konia i zbliżył się do zakonnika.

– To raczej ja proszę o wybaczenie... – powiedział cichym z wyczerpania głosem.

– Brat Dominik, ale proszę bez przeprosin. Okoliczności, w jakich pojawiliście się w naszych progach, wskazują, że przeszliście ciężkie chwile.

Martin podszedł do nich.

– Czy tobie mamy dziękować za to mistyczne światło? Zakonnik skinął głową.

– Mamy wiele rzeczy do omówienia, bracie Dominiku – powiedział Arutha.

– Tak, istotnie, wiele jest pytań, lecz z uzyskaniem odpowiedzi na większość z nich będziecie się musieli wstrzymać, aż ojciec opat zechce się z wami zobaczyć, Wasza Wysokość. Chodźcie, zaprowadzę was do stajni.

Narastająca w Anicie niecierpliwość nie pozwoliła mu czekać ani sekundy dłużej.

– *Przybyłem w związku ze sprawą najwyższej wagi i niesłuchanie pilną. Muszę rozmawiać z waszym opatem. Natychmiast!*

Zakonnik bezradnie rozłożył ręce. Nie miał prawa podejmować tego rodzaju decyzji.

– *Ojciec opat będzie nieosiągalny jeszcze przez dwie godziny.*

Medytuje właśnie i modli się wraz z innymi w naszej kaplicy. Dlatego sam was witam. Proszę, chodźcie ze mną.

Arutha chciał gwałtownie zaprotestować, lecz Martin położył mu rękę na ramieniu i po chwili młodszy brat uspokoił się.

– *Jeszcze raz przepraszam, bracie Dominiku. Zapominam, że jesteśmy tutaj gośćmi.*

Wyraz twarzy zakonnika świadczył, że charakter Aruthy i jego nastroje nie mają tu istotnego znaczenia. Zaprowadził ich do mniejszego z dwóch budynków stojących za wieżą starej warowni.

Rzeczywiście była to stajnia. Zamieszkiwali w niej teraz tylko koń i mały, dostojnie wyglądający osioł, który obrzucił nowo przybyłych obojętnym spojrzeniem. Kiedy oporzędzali swoje wierzchowce, Arutha opowiedział o przejściach ostatnich tygodni. Gdy skończył, zwrócił się do zakonnika:

– *Ja tu gadam, a nie zapytałem wcale, jak ci się udało powstrzymać czarnych jeźdźców?*

– *Jestem furtianem, Wasza Wysokość. Każdego mogę wpuścić na teren klasztoru, jednak nikt, w czyim sercu goszczą złe intencje, nie przekroczy tego progu bez mego zezwolenia. Ci, którzy czyhali na twoje*

życie, znaleźli się na terenie opactwa i dostali się pod władanie mej mocy. Atakując cię, panie, tak blisko klasztoru, zdecydowali się podjąć wielkie ryzyko. Ryzyko, które przyniosło im śmierć. Dalsza rozmowa na ten i inne tematy musi jednak poczekać na opata.

Martin podszedł do nich.

– Jeżeli pozostali są w kaplicy, potrzebna ci będzie pomoc, aby pozbyć się trupów. Mają one irytujący zwyczaj powracania do życia.

– Dziękuję za ofiarowaną pomoc, ale poradzę sobie sam. A oni...

oni pozostaną już martwi na zawsze. Magia, którą się posłużyłem, aby ich pokonać, oczyściła jednocześnie ich dusze ze zła, pod którego kontrolą pozostawali. A teraz musicie odpocząć trochę.

Opuścili stajnię i zakonnik zaprowadził ich do budynku przypominającego koszary.

– Hm, to ma bardzo... wojskowy wygląd, bracie – zauważył

Gardan.

Weszli do długiej sali z rzędem prycz pod ścianą.

– W dawnych czasach forteca była domem pewnego barona –

rozbójnika. Zarówno Królestwo, jak i Kesh leżały tak daleko stąd, że

baron stanowił prawo sam dla siebie. Grasował po okolicy rabując,

gwałcąc i plądrując, bez obawy że spotka go kara. W końcu ludność

sąsiadujących z warownią miast, doprowadzona jego tyranią do granic

wytrzymałości, pozbyła się go. Ziemie poniżej skały zaczęto uprawiać,

lecz nienawiść do barona była tak silnie zakorzeniona w ludziach, że

sama warownia stała pusta. Kiedy żebrzący braciszek z naszego zakonu

wędrownego natknął się na fortecę, zawiadomił świątynię w Keshu.

Zwróciliśmy się o prawo użytkowania jej jako klasztoru; potomkowie tych, którzy skończyli z baronem, nie mieli żadnych obiekcji. A dzisiaj...

a dzisiaj tylko my, którzy tu służymy, przechowujemy w pamięci

historię tego miejsca. Dla mieszkańców wiosek i miasteczek wzdłuż

wybrzeża Zatoki Statków to zawsze było opactwo Ishap w Sarth.

– A to pewnie były koszary? – spytał Arutha.

– Tak, Wasza Wysokość. Wykorzystujemy te pomieszczenia jako

infirmię, a czasem, jak dzisiaj, jako pokoje gościnne. Proszę się

rozgościć, ja muszę wrócić do swoich obowiązków. Opat zobaczy się z

wami wkrótce.

Dominik wyszedł i Jimmy natychmiast zwałił się na pryczę z

głośnym westchnieniem ulgi. Martin zauważył niewielki piecyk przy

końcu sali i stwierdził z radością, że płonie w nim ogień. Obok, na

stoliku, przygotowano wszystko, co było potrzebne do zrobienia

herbaty. Natychmiast postawił czajnik na blasze. Na tacy przykrytej

lnianą ściereczką znalazł chleb, ser i owoce. Nie zwlekając rozdzielił je

między swoich towarzyszy. Laurie siedział na pryczy, strojąc lutnię i

sprawdzając uważnie, czy nie została uszkodzona w czasie szaleńczej

jazdy. Gardan siedział naprzeciwko Księcia.

Arutha westchnął głęboko i ciężko.

– Już nie wytrzymuję nerwowo. Boję się, że zakonnicy nic nie

będą wiedzieli o Srebrzystym Cierniu. – Przez chwilę w jego oczach

pojawił się ogrom wewnętrznego cierpienia, jednak Księżę opanował

się i spojrział spokojniej.

Martin przechylił głowę, myśląc na głos.

– Tully jest zdania, że wiedzą bardzo dużo. Laurie odłożył lutnię.

– Zawsze, ile razy znalazłem się w pobliżu magii kapłańskiej czy jakiegokolwiek innej, pakowałem się w kłopoty.

– Ten Pug, jak na maga, wydawał się całkiem w porządku –

zauważył Jimmy. – Chciałem poznać się z nim bliżej, pogadać i tak

dalej, ale... – Zawiesił głos i nie wspomniał o wydarzeniach, które to

uniemożliwiły. – Facet wydaje się taki zwykły i normalny. Nie ma w

nim nic nadzwyczajnego, lecz Tsurani boją się go i tego, co się o nim

mówi w dworskich plotkach.

– Ha! Aż się prosi, by ułożyć i zaśpiewać jakąś zgrabną balladkę. –

Opowiedział chłopakowi historię o uwięzieniu Puga, obozie i jego

awansowaniu w społeczeństwie Tsuranich. – Na Kelewanie ci, którzy

praktykują sztuki magiczne, sami stanowią prawo i wszystko, czego

zażądają, jest bez wahania wykonywane. Na tamtym świecie nie ma im

równych. Dlatego właśnie Tsurani w LaMut trzęsą przed nim portkami.

Stare przyzwyczajenia umierają powoli.

– Zatem zrezygnował z wielu rzeczy, aby tu powrócić, prawda?

Laurie parsknął śmiechem.

– Trudno powiedzieć, aby było to kwestią wolnego wyboru.

– Jak jest na Kelewanie?

Laurie puścił wodze fantazji, snując wspaniałą opowieść o swoich

przygodach w obcym świecie i nie zapominając o barwnych

szczegółach. *One to, na równi z dobrym głosem i talentem muzycznym, stanowiły treść i podstawę jego sztuki. Towarzysze zasluchani w słowa trubadura, rozsiedli się wygodnie dookoła, odpoczywając i popijając herbatę. Chociaż znali na pamięć dzieje Lauriego i Puga oraz ich udział w Wojnie Dwóch Światów, za każdym razem, gdy Laurie opowiadał ją na nowo, słuchali jak zahipnotyzowani i byli oczarowani wspaniałymi przygodami, przetykanymi mniej czy bardziej prawdopodobnymi historyjkami.*

Kiedy Laurie skończył, Jimmy westchnął głęboko.

– Hm... gdyby tak pojechać na Kelewan. Ale przygoda!

– Całe szczęście, że nie jest to możliwe – skomentował krótko Gardan.

– Jeśli dokonano tego raz, nic nie stoi na przeszkodzie, aby to powtórzyć.

– Arutha – powiedział Martin – byłeś z Pugiem, kiedy Kulgan czytał list od Macroosa wyjaśniający, dlaczego zamknął przejście między dwoma światami.

– Takie połączenia to bardzo kapryśne i żywiołowe zjawiska.

Spinają jak przęsto mostu krawędzie „dziury”, nie dającej się opisać przestrzeni pomiędzy dwoma światami. Nie można również wykluczyć, że dotyczy to także połączeń w czasie. W zjawisku tym kryje się coś, co uniemożliwia określenie miejsca ich pojawienia. Po ustanowieniu jednego takiego połączenia inne jakby „idą w ślad” za nim, pojawiając się niespodziewanie w bliższej czy dalszej okolicy. Jednak tego

pierwszego właśnie nie jesteśmy w stanie kontrolować. Tyle mniej więcej zrozumiałem. Jeżeli interesują was szczegóły, musicie zapytać Kulgana albo Puga.

– Zapytajcie raczej Puga – podpowiedział Gardan. – Jeśli pójdziecie z tym do Kulgana, będziecie musieli wysłuchać całego wykładu.

– Zatem Pug i Macros zamknęli pierwsze przejście, aby zakończyć wojnę? – spytał Jimmy.

– Nie tylko – odpowiedział Arutha. Jimmy spojrzał na towarzyszy czując, że wiedzą o czymś, o czym on nie wie.

– Pug opowiadał, że w starożytnych czasach istniała potężna, zła moc, która Tsuranim była znana jako Nieprzyjaciel albo Przeciwnik. Macros twierdził, że jeśli przejście pozostałoby otwarte, ów straszliwy byt odnalazłby drogę do naszych światów, przyciągany przez niego jak stal przez magnes. Dysponował ogromną, nie dającą się ogarnąć rozumem mocą, która zmiatała z powierzchni ziemi całe armie i upokarzała potężnych magów. Tak przynajmniej tłumaczył to Pug.

– To z tego Puga taki ważny i wielki mag? – Jimmy przechylił głowę.

Laurie znowu parsknął śmiechem.

– Gdyby wierzyć słowom Kulgana, to Pug po śmierci Macrosa jest najpotężniejszym praktykującym magiem na świecie. Jakby tego było jeszcze mało, jest także kuzynem obu Księżąt i samego Króla.

Oczy Jimmy'ego zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Tak, to prawda – potwierdził Martin. – Nasz ojciec zaadoptował

Puga, włączając go do naszej rodziny. Jimmy, tak mówisz o magach, jakbyś nigdy nie miał z nimi do czynienia?

– Eee, nie jest tak źle. Jest w Krondorze kilku szarlatanów, czarowników czy jak im tam. Ale to mocno podejrzane typki. Pamiętam, był kiedyś pośród Prześmiewców złodziej nazywany przez nas Szarym Kotem, ponieważ jak nikt potrafił się bezszelestnie skradać.

Specjalizował się w ostrych, przynoszących duże zyski skokach.

Pewnego razu podwędził jakieś świecidelko magikowi, który nie miał poczucia humoru i odniósł się do całej sprawy dość poważnie, czyli negatywnie.

– I co się z nim stało? – spytał Laurie.

– Ano nic, płacze się teraz po ulicach jako szary kocur.

Na moment zapadła cisza. Czterech słuchaczy Jimmy'ego siedziało bez ruchu, obserwując się wzajemnie. Dopiero po chwili zrozumieli żart i ryknęli śmiechem. Nawet Arutha uśmiechnął się słabo, kręcąc głową nad psikusem Jimmy'ego.

Po raz pierwszy od chwili opuszczenia Krondoru podróżnicy byli zrelaksowani i czuli się bezpiecznie. Rozmowa toczyła się spokojnie, bez pośpiechu i napięcia.

Od strony głównego budynku rozległo się bicie dzwonów. W drzwiach pojawił się zakonnik. Nie odzywając się dał im znak, by udali się za nim.

– Mamy iść z tobą? – spytał Arutha. Zakonnik skinął głową. –

Zęby zobaczyć się z opatem? – Ponownie przytaknął.

Arutha zerwał się z pryczy, momentalnie zapominając o zmęczeniu. W kilku skokach dopadł do drzwi i zniknął na zewnątrz tuż za zakonnikiem.

Sposób urządzenia komnaty zajmowanej przez opata wskazywał na upodobania jej właściciela, poświęcającego życie duchowej kontemplacji. W każdym szczególe wystroju i wyposażenia była surowa i skromna. Zdumiewała jedynie liczba pótek i nieprzebrane bogactwo ksiąg i zwojów. Opat, ojciec Jan, miły, przystępny zakonnik, mocno już posunięty w latach, był szczupły i miał ascetyczny wygląd. Siwe włosy i broda jaskrawo kontrastowały z ciemną twarzą, tak poorly głębokimi zmarszczkami, że przywodziła na myśl kunsztownie rzeźbioną statuetkę z mahoniu. Za opatem stało dwóch zakonników. Brat Dominik i niejaki brat Antoni, przygarbiony mężczyzna w nieokreślonym wieku, który nieustannie zezował w stronę księcia Aruthy.

Opat uśmiechnął się ciepło. W kącikach ust i oczu pojawiła się siateczka drobnych zmarszczek. Arutha momentalnie przypomniał sobie liczne obrazy Starego Ojca Zimy, mitycznej postaci rozdającej dzieciom słodycze w czasie świąt śródziemnych.

– Witaj w opactwie Ishap, Wasza Wysokość. W czym możemy służyć pomocą? – powitał ich głębokim, młodzieńczo brzmiącym głosem.

Arutha szybko opowiedział o wydarzeniach ostatnich kilku tygodni.

W miarę, jak rozwijała się opowieść Księcia, uśmiech zniknął

stopniowo z twarzy opata. Po chwili Arutha skończył.

– Wasza Wysokość, wspomniane przypadki nekromancji w

pałacu bardzo nas zaniepokoiły, w tej chwili jednak co innego jest

ważniejsze. Powiedz, panie, co możemy zrobić w związku z tragedią,

która spotkała Księżniczkę?

Głęboko ukryta, podświadoma obawa, że nie ma dla Anity

ratunku, dała znać o sobie. Arutha nie mógł wyrzec ani jednego słowa

przez zaciśnięte gardło. Martin zauważył cierpienie brata i przyszedł

mu z pomocą.

– Jeden z konspiratorów biorących udział w próbie zamachu na

życie Księcia twierdził, że truciznę której użył, dostał od moredhela.

Została ona przyrządzona za pomocą jakichś magicznych sztuk. Nazwał

ją Srebrzystym Cierniem.

Opat usiadł wygodniej i zamyslił się. Na jego twarzy malowało się

głębokie współczucie dla Aruthy.

– Srebrzysty Cień, mówicie? – spytał drobny zakonnik. – Ojcze,

jeśli pozwolisz, natychmiast zacznę szukać w archiwach – powiedział i

powłócząc nogami, szybko opuścił komnatę opata.

Arutha i jego towarzysze patrzyli w ślad za przygiętą ku ziemi

postacią brata Antoniego, znikającą za drzwiami.

– Jak długo może to potrwać? – spytał Arutha.

– To zależy. Brat Antoni ma niezwykłą zdolność kojarzenia

faktów, które, jak się czasem wydaje, bierze z powietrza. Pamięta

doskonale rzeczy, które przejrzał przelotnie nawet dziesięć lat temu.

Dlatego właśnie został głównym archiwistą, strażnikiem wiedzy.

Musicie się jednak uzbroić w cierpliwość. Poszukiwania mogą zająć kilka dni.

Z wyrazu twarzy Aruthy widać było wyraźnie, że nie bardzo pojął, o czym mówił opat.

– Bracie Dominiku, może zapoznałbyś trochę Księcia i jego towarzyszy z tym, co tutaj, w Sarth robimy? – Opat powstał i skłonił się lekko przed Księciem. Brat Dominik ruszył w kierunku drzwi. – A potem przyjdź z nim do wieży. – Zwrócił się do Aruthy. – Wkrótce zobaczymy się ponownie, Wasza Wysokość.

Wyszli za kapłanem na główny korytarz opactwa.

– Tędy, proszę.

Zakonnik poszedł przodem, prowadząc ich do kolejnych drzwi.

Zeszli po schodach i po chwili znaleźli się na podeście, z którego rozchodziły się cztery korytarze. Poprowadził ich wzdłuż szeregu jednakowych drzwi.

– To wzgórze, jak zapewne zauważyliście, jadąc do nas, różni się znacznie od okolicznych pagórków. To przeważnie lita skała. Kiedy do Sarth przybyli pierwsi zakonnicy, odkryli wkrótce pod warownią cały system tuneli i podziemnych pomieszczeń.

– Do czego one służą? – spytał Jimmy. Zatrzymali się przed drzwiami. Dominik wyciągnął z kieszeni habitu ogromny pęk kluczy, wybrał jeden z nich i otworzył masywny zamek. Drzwi uchylily się z

trudem. Po wejściu do środka zakonnik zamknął je za sobą.

– Baron-rozbójnik używał tych pomieszczeń do przechowywania łupów i zapasów żywności na wypadek oblężenia. Chyba musiał zaniedbać swoją obronę, skoro bunt i oblężenie wieśniaków skończyły się sukcesem. Pod ziemią jest wystarczająco dużo miejsca, by pomieścić zapasy na kilka lat. Po objęciu warowni wydrążyliśmy kolejne tunele i pomieszczenia, tak że w tej chwili całe wzgórze przypomina w środku plaster miodu.

– Po co? – spytał Arutha.

Dominik dał znak, aby udali się za nim. Przeszli przez następne nie zamknięte na klucz drzwi. Znaleźli się w wysoko sklepionej sali. Pod ścianami i na środku stały liczne półki przeciążone książkami. Dominik podszedł do jednej z półek, wyjął książkę i podał Anicie.

Książkę przyjrzał się z uwagą staremu tomisku. Wypalone na grzbiecie i okładce litery błyszczały lekko wypłowiałym złotem. Księga otworzyła się z wyczuwalnym oporem, jakby od wielu lat nikt do niej nie zaglądał. Na pierwszej stronie zobaczył tekst napisany w nieznanym języku. Litery, również mu nie znane były wykaligrafowane bardzo starannie, chociaż w nieco surowym stylu. Zbliżył książkę do twarzy i powąchał. Wyczuł lekko gryzący zapach. Oddał tom Dominikowi.

– Środki konserwujące. Wszystkie książki są nasycane specjalnym roztworem, który zapobiega ich niszczeniu. – Zakonnik podał tom Lauriemu.

Trubadur, który podróżował wiele po świecie, uważnie obejrzał

książkę.

– Nie... nie znam tego języka, ale to chyba jakieś narzecze z Keshu, chociaż z drugiej strony, litery są zupełnie inne niż wszystkie alfabety, które widziałem w Imperium.

Dominik uśmiechnął się.

– Ciepło, ciepło. Księga pochodzi z południa Wielkiego Keshu, z okolic leżących w pobliżu granic Konfederacji Kesh. To dziennik lekko stukniętego, prawie nieznanego i nic nie znaczącego szlachcica z pomniejszej dynastii.

Jest

napisany

w

dialekcie

zwanym

dolnodelkiańskim. Z tego, co wiemy, górnodelkiański Delkian była tajnym narzeczem zarezerwowanym do wyłącznego użytku przez kapłanów mało znanego i prawie zapomnianego zakonu.

– Co to za miejsce? – spytał Jimmy.

– My, którzy służymy Ishap, gromadzimy w Sarth księgi, manuskrypty, pergaminy, starożytne zwoje, a nawet niewielkie ich fragmenty. W naszym zakonie zwykło się mówić: „Ci w Sarth służą bogu Wiedzy”, i nie jest to dalekie od prawdy. Ilekroć bowiem któryś z nas natknie się na jakiś zapisany kawałek papieru, to on sam lub jego

kopia wcześniej czy później trafią tutaj. W pomieszczeniu, w którym teraz jesteśmy, jak zresztą we wszystkich innych pod całym wzgórzem, znajdują się identyczne półki, jak ta właśnie. Wszystkie, powtarzam, wszystkie zapchane są księgami od podłogi po sufit, a do tego ciągle drąży się pod opactwem nowe sale. Od szczytu góry aż do jej podnóża jest ich ponad tysiąc. W każdej znajduje się kilkaset albo i więcej ksiąg. W kilku większych salach nawet kilka tysięcy. Przeprowadzony ostatnio spis wykazał blisko pół miliona pozycji.

Arutha rozglądał się zdumiony. Jego własna biblioteka, którą odziedziczył wraz z tronem w Krondorze, liczyła niecały tysiąc woluminów.

– Od jak dawna gromadzi się księgi?

– Od ponad trzech wieków. Wielu z nas nie robi nic innego, tylko podróżuje nieustannie, kupując każdy znaleziony kawałek papieru.

Niejednokrotnie zamawiamy ich kopiowanie do naszych zbiorów.

Niektóre pozycje pochodzą z zamierzchłych czasów. Inne napisane zostały w nieznanym języku, a trzy pochodzą w ogóle z innego świata

– to te, które kupiliśmy od Tsuranich z LaMut. Mamy w swoim posiadaniu księgi wiedzy tajemnej, przepowiednie i wróżby oraz księgi pozwalające uzyskać dostęp do mocy tak wielkiej, że muszą pozostawać w ścisłym ukryciu. Jedyne nieliczni, najwyżsi w hierarchii członkowie naszego zgromadzenia, mają do nich dostęp. – Rozejrzył się po sali. –

Mimo że mamy do dyspozycji tak potężny księgozbiór, ciągle jeszcze jest wiele spraw, o których nic nie wiemy i których nie rozumiemy.

– A jak panujecie nad tak ogromnymi zbiorami? Jak znajdujecie

właściwą pozycję? – spytał Gardan.

– Mamy kilku braci, pracujących pod kierownictwem brata

Antoniego, których jedynym zadaniem jest katalogowanie dzieł. Bez

przerwy

przygotowują

nowe

edycje

katalogów.

W

dwóch

pomieszczeniach, w sali w budynku nad nami oraz w sali głęboko pod ziemią, nie ma nic poza katalogami właśnie. Jeśli ktoś poszukuje opracowania na konkretny temat, znajdzie je w katalogu. Katalogi podają poszczególne pozycje według numerów sal – teraz znajdujemy się w sali numer siedemnaście – numerów półek i wreszcie numerów sektorów na półkach. Staramy się oczywiście w miarę możliwości, aby każdą pozycję można było odnaleźć w katalogu tematycznym, albo według tytułu bądź nazwiska autora. Zamierzenie jest tak ogromne, a prace posuwają się na tyle wolno, że ich zakończenia możemy się spodziewać dopiero pod koniec przyszłego wieku.

Arutha nie mógł wyjść z podziwu nad ogromem przedsięwzięcia.

– Ale... ale w jakim celu gromadzicie te wszystkie dzieła?

– Po pierwsze, dla samej wiedzy jako takiej. Jest i druga przyczyna, ale jej wyjawienie zostawię opatowi. Chodźmy, czas na spotkanie z nim.

Jimmy wychodził jako ostatni. Na progu obejrzał się jeszcze raz, obrzucając wzrokiem setki ksiąg. Żal mu się nagle zrobiło, że nigdy nie zdoła ogarnąć rozumem większości wiedzy ukrytej pod opactwem, i poczuł się przez to mały, strasznie mały i nic nie znaczący. Po raz pierwszy w życiu Jimmy zdał sobie sprawę z mikroskopijnych rozmiarów swego własnego świata i ogromu tego, który czekał na

odkrycie.

*Arutha wraz z towarzyszami czekał na opata w wielkiej sali. Kilka
zatkniętych w ścianach pochodni rzuciło na otoczenie migotliwe błyski.*

*Otworzyły się boczne drzwi i opat w towarzystwie dwóch zakonników
wszedł do sali. Pierwszym z nich był brat Dominik, drugiego nie znali.*

Był już zdecydowanie starszy, ale potężnie zbudowany i wysoki.

*Trzymał się prosto jak świeca i pomimo długich, powłóczystych szat
bardziej przypominał żołnierza niż zakonnika, zwłaszcza że u pasa miał
zawieszony młot bojowy. Długie, czarne włosy mocno przyprószone
siwizną opadały mu na ramiona. Podobnie jak broda, były porządnie
utrzymane i przystrzyżone.*

*– No cóż, nadszedł czas na szczerą i otwartą rozmowę – zaczął
opat.*

*– Będziemy niezwykle zobowiązani – odpowiedział Arutha z
lekkim przekąsem.*

*Twarz
nieznajomego*

zakonnika

rozjaśniła

się

szerokim

uśmiechem.

*– Och, Arutha, odziedzyczyłeś po ojcu dar wyrażania się bez
ogródek.*

Arutha, zdziwiony głosem zakonnika, przyjrzał mu się uważnie.

Po chwili spadło na niego olśnienie i poznał go. Nie widział go od ponad dziesięciu lat.

– Dulanic!

– Już nie, Arutha. Nie Dulanic. Teraz jestem po prostu bratem

Micah, Obrońcą Wiary... co oznacza, że teraz rozwalam łby za Ishap i dla niej, jak kiedyś dla twego kuzyna Erlanda. – Poklepał z lubością młot przy pasie.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz. – Księżę Dulanic, księżę miasta

Krondor i jego były marszałek, zniknął nagle, gdy Guy du Bas-Tyra został wicekrólem i rozpoczął rządy nad miastem w czasie wojny z Tsuranimi.

Micah powiódł po nich zdumionym wzrokiem.

– Ale... myślałem, że wszyscy wiedzą. Mając na głowie Guya

siedzącego na tronie Krondoru i Erlanda dogorywającego w lochach, obawiałem się wojny domowej. Stanąłem przed wyborem między dwoma opcjami, z których żadna nie była dla mnie do przyjęcia.

Mogłem wystąpić na polu bitwy przeciwko twemu ojcu albo zdradzić Króla; wycofałem się, zrzekając się stanowiska. Nigdy jednak nie czyniłem z tego żadnej tajemnicy.

– Po śmierci Barry'ego wszyscy myśleli, że padłeś z ręki Guya.

Nikt nie wiedział, co się z tobą stało.

– Dziwne. Barry umarł na zawał serca, a ja poinformowałem oficjalnie du Bas-Tyrę o zamiarze przyjęcia święceń. Świadkiem

rozmowy i mojej rezygnacji był jego człowiek, Radburn czy jak mu tam.

– To wszystko wyjaśnia – powiedział Martin. – Po tym, jak

Radburn utonął u wybrzeży Keshu, a Guy został skazany na banicję z

Królestwa, kto miałby znać prawdę?

– Brat Micah, kierowany nieznanymi wyrokami Ishap, przybył do

opactwa, by służyć z nami, lecz przybył jako człowiek znękany troskami

i rozdarty wewnątrz. Został poddany próbie. Wykazała, iż jest to

człowiek wartościowy i dobry. Tak więc jego poprzednie życie, w

którym był wielkim panem Królestwa, należy całkowicie do przeszłości.

W obecnej chwili poprosiłem go jednak, aby nam towarzyszył,

ponieważ jest nieocenionym doradcą. Ma też ogromne doświadczenie

wojskowe, co może nam pomóc w lepszym zrozumieniu, jakie to siły

działają dziś w świecie.

– W porządku. Ale co, poza znalezieniem ratunku i lekarstwa dla

Anity, mielibyśmy jeszcze omawiać?

– Na początek wypadałoby przeanalizować i zrozumieć, co stało

się przyczyną jej losu i cierpienia. Co czy kto chce skrócić dni twego

życia, Księżę? – odpowiedział Micah.

Arutha patrzył na nich zbity z tropu.

– Oczywiście... wybaczcie, proszę, mój egoizm i zaślepienie. Z

radością przyjmę wszystko, co pozwoli mi zrozumieć szaleństwo, które

w ciągu miesiąca zmieniło moje życie w koszmar.

– Brat Dominik pokazał wam trochę naszych zbiorów. Wspomniał

też, być może, że mamy pośród nich liczne przepowiednie i wróżby

zapisane przez wielkich proroków. Na niektórych z nich można się oprzeć równie dobrze jak na humorach dziecka, czyli w ogóle. Niektóre prace jednak, a jest ich zaledwie kilka, to prawdziwe dzieła napisane przez tych, którym Ishap udzieliła daru widzenia rzeczy przyszłych.

Kilka z najbardziej wartościowych prac powołuje się na znak na niebie.

Obawiamy się, iż na ten świat zstąpiła teraz nowa, wielka moc.

Nie wiemy jeszcze, co to za potęga. Nie wiemy również, jak można jej się przeciwstawić. Jednego wszakże jesteśmy pewni: to dzika, okrutna i śmiercionośna moc, która albo w końcu zostanie zniszczona, albo unicestwi nas wszystkich. Nie będzie innego wyjścia. – Wskazał palcem ku górze. – Wieża ponad nami została przekształcona w obserwatorium.

Tam,

za

pomocą

zmyślnych

instrumentów,

wykonanych przez najbardziej utalentowanych mistrzów z Keshu,

obserwujemy i badamy ruchy gwiazd, planet i księżyców. Dzięki nim

jesteśmy w stanie przewidzieć i stworzyć mapy ruchów wszystkich ciał

niebieskich. Jak pamiętacie, wspomniałem o znaku. Teraz będziecie go

mogli ujrzeć na własne oczy. Chodźcie za mną.

Poprowadził ich długimi, krętymi schodami na szczyt wieży.

Wyszli na dach i znaleźli się w gmatwaninie przedziwnych

instrumentów o trudnym do określenia przeznaczeniu. Arutha

rozglądał się wokół.

– Całe szczęście, ojcze, że się na tym wszystkim wyznajesz, bo ja nic nie rozumiem.

– Gwiazdy i planety, podobnie jak ja, mają zarówno właściwości fizyczne, jak i duchowe. Wiemy, że całe wielkie światy krążą nieustannie po orbitach wokół swoich gwiazd. Wiemy o tym na pewno, ponieważ – wskazał na Lauriego – ten, który przez czas pewien mieszkał w obcym świecie, znajduje się teraz pośród nas. – Opat zauważył zdziwione spojrzenie Lauriego. – Jak widzisz, Laurie z Tyr-Sog, nie jesteśmy aż tak odcięci od świata, by wydarzenia tej miary co wasze przygody na Kelewanie umknęły naszej uwadze. – Wrócił do przerwanego wątku. – To oczywiście fizyczny aspekt gwiazd. Trzeba jednak pamiętać, że tym, którzy pilnie obserwują ich wzajemny układ na niebie, rozmieszczenie i ruchy, wyjawiają one swoje sekrety. Nie wnikając w źródło i przyczyny tego zjawiska, jedno wiemy na pewno: co jakiś czas z nocnego nieba przychodzi do nas wyraźny sygnał, posłanie. My, którzy dążymy do zdobywania wiedzy, nie możemy zlekceważyć, zignorować takiej wiadomości. Jesteśmy i zawsze pozostaniemy otwarci na każde źródło wiedzy, włączając w to nawet te, które zazwyczaj nie cieszą się dobrą opinią.

Sekrety tych instrumentów czy też czytanie i rozumienie ruchu gwiazd pozostają w bezpośredniej relacji do czasu, który możemy poświęcić na zgłębienie ich tajemnic. Każdy człowiek o przeciętnych

zdolnościach może się tego nauczyć. Użycie i zastosowanie tych instrumentów – zatoczył ręką szeroki łuk – staje się proste i jasne po zademonstrowaniu. A teraz, jeśli zechciałbyś. Książę, spojrzeć przez to urządzenie... – Arutha spojrział przez dziwną kulę ukształtowaną przez gmatwaninę metalowych elementów. – Wykorzystujemy ten przyrząd do określania i nanoszenia na mapę względnych ruchów gwiazd i widocznych planet...

– To znaczy, że są i niewidoczne? – spytał odruchowo Jimmy.

– Zgadza się – odpowiedział opat, nie zwracając uwagi, że mu przerwano. – A przynajmniej są takie, których nie jesteśmy w stanie dostrzec, chociaż gdybyśmy się znaleźli odpowiednio blisko, i one stałyby się widzialne.

Integralną częścią sztuki przepowiadania przyszłości jest wiedza, kiedy przepowiednie zaczynają wchodzić w fazę realizacji i spełnienia, co w najlepszym wypadku jest bardzo przypadkowym zjawiskiem.

Istnieje słynne prorocstwo szalonego zakonnika Ferdynanda de la Rodez. Według powszechnych opinii, spełniło się ono już trzykrotnie i odnosiło się do trzech różnych, nie związanych ze sobą wydarzeń. I jakoś nikt nie może się dogadać, które z nich było tym przewidzianym przez mnicha.

Arutha słuchał opata jednym uchem i nie odrywał wzroku od instrumentu. Patrząc przez okular, widział rozjarzone milionami gwiazd niebo, na które nakładala się delikatna siateczka linii i napisów.

Jak się domyślał, naniesione zostały w jakiś przemysłny sposób na

wewnętrznej stronie kuli. W samym centrum znajdowała się konfiguracja pięciu czerwonych gwiazd. Jedna z nich była usytuowana w środku układu. Wszystkie zostały połączone liniami tworzącymi w kuli jasnoczerwoną literę „X”.

– Co teraz widzę? – spytał i ustąpił miejsca Martinowi, który spojrzał przez okular.

– Te pięć gwiazd nosi nazwę Krwawych Kamieni.

– Ależ wiem o tym... chociaż nigdy nie widziałem ich w podobnym ułożeniu – powiedział Martin.

– Ani też nie zobaczysz przez najbliższe jedenaście tysięcy lat. Jest to raczej zgadywanie niż pewność i aby się przekonać, przyjdzie nam poczekać, aż to nastąpi w rzeczywistości.

– Opat wydawał się nie wzruszony tak długim czasem, co więcej, sprawiał wrażenie, że jest gotów poczekać. – Układ, na który patrzycie, nazywany jest Ognistym Krzyżem lub Krzyżem Ognia. Istnieje starożytne proroctwo z nim związane.

– Co to za przepowiednia i co ma wspólnego ze mną?

– dopytywał się Arutha.

– Jest ona rzeczywiście bardzo stara, być może sięga nawet czasów Wojen Chaosu. Według niej „Kiedy Krzyż Ognia rozświetli noc, a Pan Zachodu martwym będzie, wtedy powróci Potęga”. W oryginale brzmiało to bardzo poetycko i składnie, straciło nieco w tłumaczeniu. Na podstawie wydarzeń sądzimy, że jakaś siła pragnie twojej śmierci, aby doprowadzić do spełnienia się proroctwa, albo przynajmniej stara

się przekonać innych, że przepowiednia owa bliska jest spełnienia.

Kolejnym elementem, ściśle związanym z tym faktem jest to, że proroctwo jest jedną z nielicznych ocalałych rzeczy stworzonych przez Panathian, ludzi-węży. Niewiele wiemy o tych stworzeniach, chociaż jedno jest bardziej niż pewne: pojawiają się co prawda rzadko, lecz zawsze zwiastują jakieś nieszczęścia i kłopoty. Nie ulega wątpliwości, że są przedstawicielami sił zła dążącymi ku sobie tylko znanym celom.

Wiemy również, iż w proroctwie, o którym wspomniałem. Pan Zachodu zwany jest również Zaporą Ciemności.

– Z tego wynika, że ktoś pragnie śmierci Aruthy, ponieważ Księżę, jeśli będzie żył, to zgodnie z wyrokami losu pokona ich? – spytał Martin,

– Albo tak im się wydaje.

– Ale kto...co to jest? – zapytał Arutha. – To, że ktoś życzy mi śmierci, to żadna nowina. Czy możesz powiedzieć coś więcej?

– Obawiam się, że niewiele.

– No, przynajmniej w jakimś stopniu wyjaśnia to powody ataku Nocnych Jastrzębi na ciebie.

– Religijni fanatycy – mruknął pod nosem Jimmy, po czym ugryzł się w język. Poderwał głowę i spojrzał niepewnym wzrokiem na opata. –

Przepraszam, ojczu.

Zakonnik zignorował uwagę.

– Najważniejsze jest to, abyśmy mieli ciągle świadomość, że z pewnością spróbują jeszcze raz, a potem znowu i znowu... aż do skutku.

Nie pozbędziesz się ich, panie, dopóki nie sięgniesz do samego korzenia,

do tego, kto zlecił, aby cię zabito, i nie wyrwiesz go raz na zawsze.

– Hm... wiemy również, że Bractwo Mrocznego Szlaku też jest w to zamieszane – dodał Martin.

– Północ –. powiedział nagle brat Micah. Arutha i pozostali spojrzeli na niego pytającym wzrokiem. – Odpowiedzi na wszystkie twoje pytania, Arutha, znajdują się na północy. – W głosie zakonnika zadźwięczała dawna, rozkazująca nuta. – Zastanówcie się tylko. Na pomocy leżą Wysokie Szczyty, wszystkie naturalne zapory przeciwko mieszkańcom Ziem Północy. Na zachodzie, ponad Elvandarem wznosi się łańcuch Wielkich Gór Północnych; na wschodzie Północna Straż, Wysoka Warownia i Góry Snów. A w środkowej części rozciąga się największy łańcuch. Zęby Świata, ponad dwa tysiące kilometrów niedostępnych skalistych urwisk. Kto wie, co jest po drugiej stronie? Czy jest ktoś, poza wyjętymi spod prawa czy przemytnikami broni, kto był tam i powrócił, by opowiedzieć o Ziemiach Północy? Nasi przodkowie utworzyli wieki temu pograniczny pas baronii, by uniemożliwić dostęp z północy poprzez przełęczę Wysokiego Zamku, Wartę Północy oraz Żelazną. Garnizony księcia Yabonu blokują jedyną ważniejszą przełęcz wiodącą na zachód, poza trzema wspomnianymi, to jest Piekielne Stepy. A przecież wiemy, że jeszcze się nie zdarzyło, by jakiś goblin czy Mroczny Brat wkroczyli w ich granice i uszli z życiem. Nomadzi zamieszkujący Piekielne Stepy trzymają tam straż za nas. Krótko mówiąc, o Ziemiach Północy nie wiemy praktycznie nic. Ale to przecież tam właśnie żyją moredhele i to tam właśnie, a nie gdzie

indziej, znajdziesz odpowiedzi na wszystkie dręczące cię pytania.

– Ale równie dobrze mogę nic nie znaleźć. Być może słusznie

zajmujecie się treścią proroctwa i złowieszczymi znakami na niebie, ale

mnie chodzi tylko o jedno: chcę rozwikłać zagadkę Srebrzystego

Ciernia. Dopóki Anita nie będzie bezpieczna, nie przyłożę palca do

niczego innego. – Na twarzy opata pojawił się niepokój. – Nie wątpię, że

proroctwo istnieje rzeczywiście. I nie wątpię, że jakiś szaleniec

władający

magicznymi

siłami

pragnie

mej

śmierci.

Jednak

stwierdzenie, że Królestwo stoi w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa,

to według mnie wyciąganie zbyt daleko idących wniosków. Potrzebuję

więcej namacalnych dowodów.

Opat otwierał usta, by zabrać głos, gdy Jimmy powstrzymał go

ruchem ręki.

– Co to jest?

Oczy wszystkich obecnych powędrowały za jego spojrzeniem.

Nisko, tuż ponad horyzontem pojawiło się niebieskawe światło. Z każdą

chwilą stawało się coraz jaśniejsze i ostrzejsze, jak gwałtownie

powiększająca się gwiazda.

– Przypomina spadającą gwiazdę – zauważył Martin. Stali przez chwilę w milczeniu. Z czasem zdali sobie sprawę, że to, na co patrzą, wcale nie jest gwiazdą. Obiekt zbliżał się do nich szybko, a ruchowi towarzyszył delikatny dźwięk niosący się z oddali. Światło było coraz jaśniejsze. Towarzyszący mu odgłos narastał i coraz agresywniej wdzierał się do uszu. Po niebie pędziła wprost na nich ognista, rozjarzona niebieskim światłem kula. W następnej sekundzie przemknęła ponad wieżą, sycząc jak gorące żelazo wkładane do wody.

– O bogowie! Szybko! Uciekać z wieży! Natychmiast! – krzyknął brat Dominik wielkim głosem.

STARCIE

Zawahali się przez moment.

Tuż po ostrzeżeniu Dominika rozległ się krzyk Micaha i wszyscy rzucili się schodami w dół. W połowie wysokości wieży Dominik potknął się nagle i lekko zachwiał.

– Coś się zbliża...

Dopadli do drzwi prowadzących na podwórzec i ostrożnie wyjrżeli na zewnątrz. Po niebie, tuż nad opactwem, śmigaly z niewiarygodną szybkością następne błyszczące kule. Nadlatywały z różnych kierunków, wypełniając noc złowieszczym buczeniem. Przelatywały coraz szybciej i szybciej, wściekle smugi rozdzierały ciemność maźnięciami rozjarzonego błękitu, zieleni, czerwieni i żółci.

– Co to jest? – krzyknął Jimmy.

– To jacyś magiczni zwiadowcy... albo strażę przednie –

odpowiedział mu opat. – Kiedy przelatują nad nami, czuję wyraźnie, że badają teren.

Powoli tor lotu nieznanymi obiektów zmieniał się. Nie przelatowały ponad głowami po liniach prostych, zmieniały raptownie kurs, śmigając pod różnymi kątami w stosunku do pierwotnej trajektorii lotu, i krążyły coraz ciasniej wokół opactwa. Stopniowo też szybkość ich lotu malała. Po pewnym czasie płonące kule zaczęły systematycznie krążyć wielkim łukiem wokół wieży. Zwalniały i łatwiej było dostrzec ich strukturę i budowę. Były ogromne i pulsowały

oślepiającym wewnętrznym światłem. W środku uwidaczniały się ciemne, dziwnie niepokojące kształty. Kule latały coraz wolniej i wolniej, skręcały i krzyżowały tory lotu, aż utworzyły ponad dziedzińcem rozświetlony krąg. W tej samej chwili dwanaście płonących sfer zamarło w bezruchu, zawisając ponad dziedzińcem. Zapadła nagle cisza, która trwała jednak bardzo krótko. Rozległ się głęboki, rozdzierający uszy trzask. Powietrze zaczęło skwierczeć i buczeć głucho. Zygzaki energii przeszły przestrzeń między każdą parą i sześć drgających wewnętrznie linii połączyło się z kulą. Po chwili na obrzeżach pojawiła się następna linia energii i teraz kule tworzyły dwunastokąt.

– Co to jest? – zastanawiał się na głos Gardan.

– Dwanaścioro Oczu – odpowiedział cicho przerażony opat. –

Legendarny, istniejący od niepamiętnych czasów zły czar. Służy on jako obiekt, za pomocą którego można patrzeć, i jako oręż zarazem.

Kule ruszyły znowu powoli. Przyspieszając z każdą sekundą, wyszywały na tle czarnego nieba zawily i misterny wzór. Rozjarzone wszystkimi kolorami tęczy linie przeplatały się z oszalamiającą zmysły szybkością. Coraz szybciej i szybciej... oko nie było zdolne śledzić ich ruchu. Po chwili nad dziedzińcem zawisła ogromna, rozedrgana bryła rozmazanego, białego światła. Z dołu wystrzeliła nagle kolumna energii, uderzając z hukiem w niewidzialną barierę rozpiętą ponad dachami budynków opactwa.

Dominik krzyknął przeraźliwie z bólu, zachwiał się i gdyby nie

Martin, który go chwycił pod ramiona, upadłby na ziemię. Zakonnik przyciskał z całej siły dłoń do skroni.

– O bogowie, aż trudno uwierzyć... taka moc... – mamrotał pod nosem. Otworzył oczy. Po policzkach spłynęły łzy. – Bariery trzymają – powiedział po cichu, lecz pewnym głosem.

– Umysł brata Dominika jest jak zwornik w mistycznym systemie obronnym opactwa – powiedział ojciec Jan. – Został poddany wielkiej i bolesnej próbie.

I znowu od dom bryły światła wystrzeliły zygzakowate linie rozwścieczonej energii, by jak poprzednio rozbić się o niewidzialną barierę ochronną. Ponad ich głowami utworzył się różnokolorowy deszcz drobinek energii, które opadając w dół po krzywiźnie bariery, tęczowym, migotliwym światłem wydobywały jej kopulasty kształt. I tym razem bariera wytrzymała. A potem nastąpiła cała seria straszliwych wyładowań. Błysk po błysku, huki i trzaski zlewały się w jeden straszny jazgot. Arutha zauważył, że po każdym ataku bariera, spychana uderzeniami z góry, osiadała coraz niżej. Przy każdym też uderzeniu Dominik krzyczał przeraźliwie z bólu. Nagle z dołu rozświetlonej sfery wystrzeliła ogromna kolumna oślepiającego, rozgrzanego do białości, światła. Przebiła się przez ochronną kopułę. Rozległ się wściekły syk. Poczuli kwaśny, gryzący w nozdrza smród. Na ziemi rozlała się czarna plama spalenizny.

Podczas ostatniego ataku Dominik zesztyniał w ramionach Martina.

– To... wchodzi... – jęknął cicho, zanim stracił przytomność.

Martin położył go delikatnie na ziemi.

– Muszę iść do zakrystii – powiedział opat. – Bracie Micah, sam musisz powstrzymać wroga.

– Cokolwiek tam jest, zdołało przełamać system obrony mistycznej, ustępujący jedynie temu, w który wyposażona jest nasza świątynia-matka. A teraz ja muszę stawić czoło zagrożeniu. Ishap jest moją tarczą i orężem – wypowiedział na końcu rytualną formułę, wyciągając zza pasa bojowy młot.

Posadami opactwa wstrząsnął przeciągły ryk, jakby tysiąc lwów zmanifestowało jednocześnie gniew i rozdrażnienie. Dźwięk rozpoczął się wysoko jak przeraźliwy zgrzyt zębów, aby po chwili opaść w dół skali. Wydawało się, że dosłownie ściera na proch kamienie w murach. Zygzaki energii tryskały na pozór chaotycznie, na chybił trafił siejąc zniszczenie. Trafione głazy rozsypywały się w pył; wszystko co palne natychmiast stawało w płomieniach, a tam gdzie energia dotknęła powierzchni wody, strzelały w górę obłoki pary.

Oniemiali z przerażenia patrzyli, jak Micah wybiega wielkimi krokami na dziedziniec i staje pod wirującą bryłą światła. Przewidując, co za chwilę nastąpi, wzniosł młot wysoko ponad głowę. Z podstawy światła trysnął piorun, oślepiając na moment patrzących zza drzwi.

Gdy poblask przygasł nieco, ujrzeli wyprostowanego jak struna Micaha z uniesionym ponad głowę młotem. Wokół niego skwiercząc spływały ognie wyładowań, które rozsypywały się na coraz to drobniejsze

cząsteczki i migotały wszystkimi kolorami tęczy. Ziemia pod stopami płonęła i dymiała, lecz on sam nie odniósł szkody. Na ułamek sekundy błyskawice zamarły. W tym samym momencie Micah zamachnął się młotem i posłał go w górę z nadludzką szybkością. Oręż śmignął błękitnobiałym błyskiem dorównującym jasnością oślepiającemu celowi. Rozpędzona smuga wznosiła się coraz wyżej i wyżej, wznosząc się ponad wysokość dostępną rzutom zwykłych śmiertelników, by w następnej sekundzie ugodzić w sam środek płonącego dysku. Wydało się, że światło ponad głowami drgnęło i zostało odrzucone lekko w bok. Rozżarzony pocisk powrócił posłusznie do ręki Micaha. Rozwścieczona jasność rzuciła się ku niemu, siekąc błyskawicami, lecz i tym razem zakonnik pozostał bezpieczny pod mistyczną potęgą młota. Gdy tylko rozżarzony deszcz cząsteczek energii opadł nieco i przygasł, natychmiast posłał młot w górę, nieomylnie trafiając w samo serce bryły światła. I znowu patrzącym z dołu wydało się, że wirująca wściekle masa zakolebała się. Młot poszybował w górę, po raz trzeci trafiając w cel. W tej chwili rozległ się rozdzierający zgrzyt, tak straszny, że Arutha i jego towarzysze musieli zasłonić uszy rękami. Wirujące kule rozsypały się, a ze środka każdej z nich zaczęły wylatywać niewielkie, dziwne kształty. Spadały na kamienie dziedzińca z mokrym plaśnięciem i natychmiast po zetknięciu z ziemią zaczynały dymić. Po chwili zaś buchały żywym ogniem. Straszny ni to jęk, ni zawodzący wrzask wypełnił noc. Nikt nie mógł wyraźnie rozróżnić kształtów form zwijających się w płomieniach. Arutha nie mógł oprzeć

się wrażeniu, że najlepiej nie dociekać i nie przyglądać się zbyt dokładnie, ponieważ dostrzegł, że w chwili, kiedy buchały jasnym ogniem, do złudzenia przypominały potwornie zdeformowane niemowlaki. A potem zapadła dźwięcząca w uszach cisza. Na dziedzińcu opactwa powoli zaczął opadać migoczący kolorami tęczy rzęsy deszcz drobinek, jak gwiazdny pył. Jedna po drugiej iskierki rozświecwały się przedśmiertnym błyskiem i gasły. Po paru minutach stary mnich stał samotnie na środku dziedzińca, z wyciągniętym przed siebie młotem. Grupka, która znalazła schronienie za drzwiami wieży, patrzyła po sobie z niedowierzaniem. Przez długą chwilę nie byli w stanie wypowiedzieć ani słowa, dopiero po pewnym czasie doszli nieco do siebie.

– To było... to było... nie do wiary – powiedział Laurie. – Nie wiem, czy będę potrafił znaleźć słowa, aby to opisać.

Arutha miał już coś powiedzieć, jednak ruch, jakim Jimmy i Martin nagle przekrzywili głowy, nasłuchując czegoś z uwagą, powstrzymał go.

– Coś słyszę... – powiedział Jimmy. Stali w ciszy, nasłuchując. Po chwili

do

wszystkich

dotarł

dochodzący

z

oddali

dźwięk,

przypominający łopot skrzydeł ogromnego ptaka czy gigantycznego nietoperza.

Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, Jimmy wyskoczył z budynku. Obracając się w biegu jak fryga dookoła osi, badał wzrokiem każdy skrawek nocnego nieba. Dobiegł prawie do środka podwórca i spojrzał za siebie, na północną połąć nieba ponad dachami opactwa. Oczy nieomal wyskoczyły mu z orbit.

– O Banath! – wrzasnął przeraźliwie i pognął czym prędzej ku stojącemu wciąż nieruchomo zakonnikowi. Micah miał zamknięte oczy i sprawiał wrażenie, jakby pogrążony był w jakimś transie. Jimmy chwycił go mocno za ramię i potrząsnął.

– Patrz! – wrzasnął mu prosto do ucha. Micah otworzył oczy. Spojrzał we wskazanym kierunku. Duży księżyc został przysłonięty ogromną sylwetką jakiegoś stwora o wielkich, potężnych skrzydłach, lecącego ku opactwu. Nie zastanawiając się, zakonnik odepchnął gwałtownie chłopaka.

– Uciekaj!

Pchnięcie rzuciło Jimmy'ego w stronę przeciwną do opactwa. Schylił się, pognął przez dziedziniec w kierunku wozu z paszą dla koni i zanurkował pod niego. Przeturlał się z rozpędu kilka razy i przyczaił za kołem.

Z nieba opuszczała się ku nim wstrętna postać jakby zrodzona z

rozpaczy i beznadziei, sama potworność i zgroza. Potwór, poruszając leniwie szerokimi na prawie dwadzieścia metrów skrzydłami, opadał powoli ku miejscu, na którym stał stary mnich. Jego sześciomietrowy korpus stanowiła mieszanina wszystkiego, co obrzydliwe i znieawidzone przez każdego normalnego człowieka. Z groteskowej parodii ptasich łap wysuwały się czarne szpony. Powyżej zaczynały się kosmate, koźle nogi. Tam jednak, gdzie powinien znajdować się zad, nic nie było widać. Z torsu przypominającego ludzki zwieszały się ogromne, wprost monstrualne zwalę tłuszczu i napęczniałej skóry, które drgały i trzęsły się przy najmniejszym poruszeniu. Po całym ciele ściekała cienkimi, krętymi strumyczkami oślizgła, gęsta ciecz. Ze środka klatki piersiowej gapiły się na nich wytrzeszczone ze strachu oczy, osadzone w błękitnosinej, chociaż zupełnie normalnej, ludzkiej twarzy. Usta, policzki i czoło, skręcane konwulsjami drgały nieustannie. Spomiędzy warg wydobywały się opętańcze wrzaski i niezrozumiałe mamrotanie, straszny kontrapunkt do porykiwać i postękiwać samej bestii. Z boków zwieszały się silne i długie małpie ramiona. Zjawa lśniła delikatną, raptownie zmieniającą barwę poświatą, przechodząc od czerwieni poprzez pomarańczowy, żółty i dalej przez całe spektrum, by po chwili powrócić znów do czerwieni. Z czeluści jej ciała dobywały się nieustannie wyziewy okropnego smrodu i stęchlizny, jakby ktoś wysublimował i nasycił je fetorami zgnilizny i rozkładu całego świata.

Najbardziej potworna była sama głowa. Ktokolwiek czy

cokolwiek stworzyło zdeformowane monstrum, w swoim najwyższym okrucieństwie zwiędzyło jego tułów kobiecą głową, która chociaż proporcjonalnie do reszty ciała wielka, była jednak zupełnie normalna. Szczytem wyrachowania i okrutnego, bezwzględniego poczucia humoru było to, że rysy twarzy do złudzenia przypominały księżniczkę Anitę. Potargane, jakby roztańczone na wietrze włosy otaczały twarz płomiennokrwistą chmurą. Strasznie było patrzeć w te tak dobrze znane rysy i widzieć pożądlive i lubieżne spojrzenie taniej, rozpustnej ulicznicy. Kierując wzrok ku Anicie, cmokała, oblizywała wargi i przewracała oczami. Nabrzmiące usta rozchyliły się powolutku, ukazując dwa długie kły sterczące z górnej szczęki.

Arutha opanowany jedną tylko myślą, aby natychmiast unicestwić obsceniczną zjawę, obrzucił ją nienawistnym, pełnym obrzydzenia spojrzeniem.

– Neeee...! – krzyknął strasznym głosem, wyciągając miecz.

Gardan momentalnie rzucił się na niego, zwałił na ziemię i przygniół ciężarem swego ciała.

– Nie! Przecież tego właśnie chcę!

Martin przybiegł na pomoc Gardanowi i wspólnie odciągnęli

Aruthę od drzwi. Stwór, bezwiednie przebierając szponami, obrzucił leniwym spojrzeniem wyglądające ze środka wieży twarze. Wydął wargi jak mała dziewczynka, po czym nagle rzucił w kierunku Aruthy złośliwe i pożądlive zarazem spojrzenie i wysunął język, poruszając nim sugestywnie. W następnej chwili wyprostował się raptownie,

wzniósł ramiona w górę i ryknął ku gwiazdom głuchym, obrzydliwym rechetem. Zrobił krok w kierunku ukrytego za drzwiami Księcia.

Niespodziewanie się potknął, wrzasnął z bólu i spojrzał za siebie.

Arutha i jego towarzysze schylili się i spojrzeli w tym samym

kierunku, by zobaczyć, jak do ręki brata Micaha powraca pocisk

błękitonobiałej energii. W momencie, kiedy uwaga stwora została

odwrócona, mnich poczęstował bestię pierwszym ciosem. I znowu

cisnął młotem. Rozmazany błysk ugodził zjawę prosto w gigantyczny

brzuch, powodując ryk bólu i wściekłości. Po chwili zaczęła sphywać

strużka dymiącej czarnej krwi.

– Ho, ho! Co my tu mamy! – usłyszeli głos za plecami Aruthy.

Laurie zauważył brata Dominika, który wychynął właśnie z

głębokich podklasztornych czeluści i z uwagą wpatrywał się w bestię.

– Co to jest?

Na twarzy archiwisty nie malowały się żadne emocje poza czystą

ciekawością.

– Hm, wszystko wskazuje na magiczną postać, wyczarowaną

specjalnymi zaklęciami w kadzi jakiegoś czarnoksiężnika. Mogę od ręki

powołać się przynajmniej na kilkanaście różnych prac, które uczą, jak

można takie „coś” stworzyć. No, oczywiście nie możemy wykluczyć, że

ten stwór wystąpi w przyrodzie, ale to mało prawdopodobne.

Martin podniósł się, zostawiając Aruthę pod opieką Gardana.

Zdjął z pleców swój nieodłączny łuk, szybko założył strzałę i napiął

ciężką. Bestia zbliżała się powoli do brata Micaha, kiedy Martin

wypuścił strzałę. *Oczy nieomylnego zazwyczaj strzelca zrobiły się okrągłe jak spodki, strzala przeszła bowiem kark zjawy, nie czyniąc na niej najmniejszego wrażenia.*

– A nie mówiłem. – Brat Antoni pokiwał głową. – Tak, to postać wykonana magicznie. Zauważcie tylko, jak nieczuła i odporna jest na materialną, ziemską broń.

Bestia zamachnęła się na Micaha i wyprowadziła potężny cios zwinęty w pięść dłonią. Stary wojak nawet nie drgnął. Zasłonił się jedynie wyciągniętym przed siebie młotem i sparował uderzenie. Cios potwora zatrzymał się o pół metra nad głowicą wzniesionego młota. Zjawa zachwiała się i ryknęła, zwijając się z bólu, jakby rąbnęła w kamień.

– Jak się coś takiego zabija? – Martin odwrócił się do brata Antoniego.

– Nie mam pojęcia. Każde uderzenie Micaha wysącza z czaru energię zużytą dla wykreowania postaci. To jednak wytwór magii tak wielkiej i skomplikowanej, że ich zmaganie może potrwać cały dzień albo i dłużej. A jeśli Micah zawiedzie czy osłabnie...

Stary mnich trzymał się jednak twardo. Odbijał z łatwością każdy zadany cios i ranił potwora. Ten, chociaż ryczał boleśnie po otrzymaniu każdego ciosu, nie wydawał się słabszy.

– Jak się tworzy takie... takie coś? – wypytywał Martin brata Antoniego. Arutha przestał się już szamotać, lecz Gardan nadal klęczał obok, trzymając rękę na jego ramieniu.

Antoni zaskoczony pytaniem Martina, zastanawiał się przez chwilę w milczeniu.

– Jak się tworzy powiadasz? Hm, to raczej skomplikowana sprawa.

Potwór, coraz bardziej rozwścieczony uderzeniami Micaha, walił na odlew. Nie przynosiło to żadnego skutku. Zmęczony nieskuteczną taktyką zmienił nagle sposób walki. Zamachnął się potężnie i rąbnął nad głowy, jakby wbijał młotem gigantyczny gwóźdź. Opadając jednocześnie na kolana, w ostatniej chwili przesunął ramię, uderzając w ziemię tuż koło Micaha.

Wstrząs spowodował, że mnich zachwiał się lekko. Stwór tylko na to czekał. Zamachnął się powtórnie i tym razem zdzielił Micaha w bok, posyłając go jak kulę w drugi koniec dziedzińca. Stary mnich padł ciężko na ziemię, przeturlał się bezradnie kilka razy i ogłuszony znieruchomiał. Jego młot potoczył się dalej, odbijając się od ziemi jak piłka.

Stwór ruszył ponownie w stronę Aruthy. Gardan zerwał się na nogi, wyciągnął miecz i rzucił się ku nadciągającej bestii, by bronić Księcia. Stary wiarus śmiało zastąpił drogę stworowi, który szczyrzył zęby w ohydny uśmiech. Obrzydliwa, przyprawiająca o mdłości parodia Anity czyniła tę konfrontację trudną do wytrzymania. Jak kot bawiący się z myszą, stwór trzepnął Gardana z boku.

W wewnętrznych drzwiach pojawił się nagle ojciec Jan. Trzymał w ręku potężny, metalowy pręt z dziwną, siedmioboczną końcówką.

Zastąpił drogę Anicie, który chciał właśnie rzucić się na pomoc Gardanowi.

– Nie! I tak nic nie możesz uczynić!

Ton głosu opata powiedział Księciu, że wdanie się w walkę z bestią do niczego nie doprowadzi i nie ma najmniejszego sensu. Cofnął się o krok. Opat odwrócił się i stanął twarzą w twarz z magicznym potworem.

Jimmy wyczołgał się powolutku spod wozu i wstał. Zdawał sobie sprawę z bezsensu posłużenia się sztyletem. Rozejrzał się i spostrzegł rozciągniętego na ziemi Micaha. Podbiegł do niego, by sprawdzić, w jakim jest stanie. Ciągle był nieprzytomny. Jimmy wciągnął go pod względnie bezpieczną osłonę wozu. Gardan przez cały ten czas ciął nieustannie bawiącego się nim potwora mieczem, oczywiście bez żadnego skutku.

Jimmy rozglądał się gorączkowo i w pewnej chwili jego wzrok padł na magiczny młot Micaha. Rzucił się szczupakiem w tamtą stronę. Chwycił za trzonek i przypadł do ziemi, leżąc płasko na brzuchu.

Zerknął na stwora. Nic, żadnej reakcji. Bestia nie zauważyła, że chłopak odzyskał broń. Podniósł młot do góry i zdziwił się bardzo, młot był ze dwa razy cięższy, niż wyglądał. Jimmy zerwał się na nogi i podbiegł do bestii, zachodząc ją od tyłu. Tuż nad nim wznosił się ohydny, porośnięty zmierzwionym futrem zad. Monstrum schyliło się właśnie, by pochwycić Gardana.

Kapitan został uwięziony w miażdżącym uścisku gigantycznej

lapy i podniesiony jak piórko do rozwierającej się paszczy. Ojciec Jan podniósł pręt, a z jego końca wypłynęły zielone i purpurowe fale energii, rozlewając się po ciele bestii. Potwór zawył z bólu i odruchowo ścisnął swą ofiarę jeszcze mocniej. Rozległ się kolejny wrzask, tym razem Gardana.

– Nie rób tego! On go zmiążdży! – krzyknął Martin.

Opat momentalnie zaprzestał magicznych działań, a bestia prychnęła gniewnie i cisnęła Gardanem w swoich prześladowców. Kapitan wpadł z rozmachem na Martina, brata Antoniego i opata, zwalając ich z nóg. Arutha i Laurie odskoczyli w ostatniej chwili, usuwając się z drogi kłębowisku ciał. Księżę odwrócił się szybko w stronę zjawy. Ohydna parodia twarzy Anity nachylała się tuż nad drzwiami. Chociaż rozłożyste skrzydła nie pozwalały bestii przedostać się do wnętrza opactwa, to jednak długie, muskularne ramiona wślizgnęły się do środka i macały dookoła w poszukiwaniu Aruthy. Martin pierwszy poderwał się z ziemi i pomógł wstać opatowi i bratu Antoniemu.

Archiwista złapał się nagle za głowę.

– Ależ tak! Oczywiście! Twarz na piersi! Tam strzelaj! Zabij to!

Nie przebrzmiały jeszcze słowa zakonnika, a Martin już stał gotowy do strzału z napiętą cięciwą. Jednak wskutek tego, że bestia pochylała się nad nimi, cel był niewidoczny. Długie ramię sięgnęło w stronę Aruthy. Nagle cofnęło się gwałtownie, a bestia siadła z rozmachem na zadzie, wyjąc z bólu.

Na ułamek sekundy twarz na piersi ukazała się wyraźnie tuż

przed nimi.

– Kilian, prowadź mą strzałę – szepnął Martin i zwolnił cięciwę.

Strzała poszybowała jak po sznurku wprost w opętańczo wykrzywioną twarz i uderzyła w czoło. Oczy uciekły w tył głowy i zamknęły się, a z rany buchnęła czerwona, ludzka krew. Stwór zamarł w bezruchu, siedząc jak skamieniały.

Patrzyli szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Po chwili

potwór zaczął dygotać i trząść się jak liść osiki. Rozbłyśki światła we wnętrzu korpusu stały się bardziej gwałtowne, rozjaśniając jego barwy.

Zjawa stawała się coraz bardziej przezroczysta, coraz mniej

materialna. Zmieniała się z sekundy na sekundę w rozmazany kształt utworzony przez rozwirowane, rozjarzone wszystkimi kolorami tęczy

gazy i dymy, które ulatując powoli do atmosfery, skręcały się w

opętańczym tańcu w podmuchach nocnego wiatru. Stopniowo światła

przygasaly i matowiały, rozplywajac się w powietrzu. Po kilku

minutach na dziedzińcu zapanowała absolutna cisza i ciemność.

Arutha i Laurie podbiegli do leżącego, lecz wciąż przytomnego

Gardana.

– Co... co się stało? – spytał słabym głosem. Wszystkie oczy

zwróciły się na Martina. On z kolei wskazał na brata Antoniego.

– To przez pytanie księcia Martina, który chciał się dowiedzieć,

jak się tworzy takie... coś. Moce ciemności i zła użyte do stworzenia podobnej bestii muszą oprzeć się na jakimś zwierzęciu czy istocie

ludzkiej i tworzyć dalej na tej podstawie. Ta twarz to wszystko, co pozostało z biednej, obłąkanej duszy, którą posłużono się jako ośrodkiem, wokół którego powstało monstrum. To była jedyna niejako śmiertelna część, jedyna podatna na ziemskie, materialne zranienie.

Kiedy została zabita magia... rozwiązała się, jakby rozplotła i rozplynęła w powietrzu.

– Nigdy nie byłbym w stanie oddać tego strzału, gdyby potwór nie wyprostował się tak nagle – powiedział Martin.

– Mieliśmy wielkie szczęście – skomentował opat.

– Szczęście nie miało z tym wiele wspólnego – wtrącił Jimmy, szczerząc zęby od ucha do ucha. Podszedł do nich, z dumą dzierżąc przed sobą oręż Micaha. – Wsadziłem mu ten młotek w tyłek – dorzucił i wskazał na nieprzytomnego mnicha. – Nic mu nie będzie – rzekł na zakończenie i wręczył młot opatowi.

Arutha, roztrzęsiony widokiem twarzy Anity wieńczącej korpus monstrum, nadal nie mógł dojść do siebie. Laurie uśmiechnął się słabo.

– Ojczy – zwrócił się do opata – czy nie będzie to zbyt wielkim kłopotem, jeśli poprosilibyśmy o trochę wina? To był największy smród, z jakim spotkałem się w życiu.

– Ha! Też mi coś! – zawołał z oburzeniem Jimmy. – Trzeba było spróbować z drugiego końca, tam gdzie ja byłem!

Arutha obserwował świt nad Górami Calastius. Nad poszarpanym horyzontem pojawiła się gniewnie czerwona tarcza słoneczna. W ciągu kilku godzin, które minęły od ataku na opactwo, wszystko powróciło do

jakiego takiego porządku, ale on nie mógł uspokoić szalejącej w sercu burzy. Mimo wyraźnych ostrzeżeń ojca Nathana i Wysokiej Kapłanki Lims-Kragmy dopiero teraz zaczął sobie zdawać sprawę z przerażającej, obezwładniającej zmysły mocy, która stała za kolejnymi próbami zgładzenia go. Spiesząc się, by jak najprędzej znaleźć lekarstwo dla Anity, stał się nieostrożny, ale taka też była jego natura.

Potrafił być śmiały i odważny, wręcz zuchwały, kiedy zachodziła potrzeba, i cechy te nie raz, nie dwa przynosiły mu zwycięstwo.

Ostatnimi czasy jednak nie był śmiały i odważny, a tylko zawzięty, uparty i impulsywny. Arutha czuł w sobie coś obcego, coś, czego nie doświadczył od lat chłopięcych. Czuł wątpliwości, wahał się. Był przecież tak pewien powodzenia swoich planów, ale Murmandamus albo potrafił przewidzieć każdy jego ruch, albo też reagował na każdy jego krok z niewyobrażalną szybkością.

Otrząsnął się z zamyślenia. Tuż obok stał Jimmy. Chłopak kręcił głową.

– Masz najlepszy dowód. Książę, że miałem zawsze rację. Pomimo trosk ton chłopaka rozbawił Aruthę.

– Co to ma znaczyć? Nie rozumiem.

– Bez względu na to, za jak bardzo przebiegłego i mądrego się uważasz, panie, nagle może wyskoczyć coś niespodziewanego i buch, lądujesz na tyłku. I wtedy dopiero zaczynasz się zastanawiać: „Aha, przecież tego właśnie nie wziąłem pod uwagę”. Oświecony spóźniony refleks, jak to nazywał stary Szybki Alvarny.

Arutha spojrział na niego zdumiony, zastanawiając się w duchu, czy chłopak potrafi czytać w jego myślach. Jimmy ciągnął dalej:

– Ishapianie siedzą tu sobie, mamrocząc nieustannie pod nosem jakieś modlitwy, przekonani, że są zupełnie bezpieczni w tej swojej magicznej warowni: „nic nie może przełamać magicznych systemów naszej obrony” – zacytował, naśladując mnicha. – No a potem pojawiają się nagle kule światła i ten fruwający koszmar i co? I szuuu...! Wszystko wysiada. „Nie wzięliśmy pod uwagę tego czy tamtego!” Przez ponad godzinę trzaskali dziobami, co powinni byli uczynić wcześniej. No cóż, pewnie wkrótce wprowadzą jakiś silniejszy system. – Jimmy oparł się o mur ponad urwiskiem. Daleko w dole, wraz ze wznoszącym się słońcem, dolina u stóp opactwa wylaniała się powoli z cienia. – Stary Antoni powiedział, że opracowanie i rzucenie czarów potrzebnych dla wczorajszego pokazu zajmuje sporo czasu. Uważa więc, że przez jakiś czas będziemy mieli tu spokój z magią. Będą więc siedzieli za murami fortecy bezpieczni i pewni siebie, aż pewnego pięknego dnia znowu coś nadciągnie i kopniakiem wywali bramy... że tak się wyrażę.

– Mały filozof z ciebie, co? – Arutha uśmiechnął się lekko, a chłopak wzruszył ramionami.

– Jaki tam filozof. Tchórz jestem. Omal się nie zsikałem w portki ze strachu, ot i co. Tobie, panie, odrobina strachu też by nie zaszkodziła. Te niezmarłe cholery w Krondorze już i tak dały nam do wiwatu, ale to wczoraj... No cóż, nie wiem, panie, jakie masz odczucia w tym

względzie, ale gdybym ja był na twoim miejscu, już jutro

wyprowadziłbym się do Keshu, a do tego zmienił nazwisko.

Arutha uśmiechnął się ze smutkiem. Jimmy ukazał mu to, do czego

sam nie chciał się przyznać.

– Prawdę mówiąc, mam takiego samego pietra jak ty, Jimmy.

Jimmy zdziwił się szczerym wyznaniem.

– Szczerze?

– Szczerze. Słuchaj, przecież tylko szaleniEC nie obawiałby się

tego, z czym przyszło nam się zmierzyć, i tego, co może jeszcze nastąpić.

Tak naprawdę nie jest ważne, czy się boisz, czy nie, ale jak się

zachowujesz. Mój ojciec powiedział kiedyś, że bohater to taki ktoś, kto

był po prostu zbyt przerażony, aby posłużyć się zdrowym rozsądkiem i

zwiewać gdzie pieprz rośnie, a potem jakoś udało mu się przetrwać

trudną sytuację.

Jimmy zaniósł się radosnym, dziecięcym śmiechem, który

sprawił, że przez chwilę wyglądał znów na swoje lata.

– Oj, co prawda to prawda. Zawsze wolę zrobić szybko to, co

trzeba zrobić, a potem zająć się czymś bardziej przyjemnym. To całe

cierpienie dla wielkiej sprawy i tak dalej to bujda z legend i ballad.

– A widzisz, jednak kawał filozofa z ciebie, Jimmy. – Zmienił

temat. – Zeszłej nocy zadziałałeś szybko i odważnie. Gdybyś nie

odwrócił uwagi potwora, dając Martinowi szansę na śmiertelny strzał,

to kto wie...

– Bylibyśmy teraz w drodze do Kronodoru z twoimi kośćmi, chyba

że i kości ta cholera by zeżarła – dokończył Jimmy, uśmiechając się krzywo.

– Mógłbyś przynajmniej udawać, że się martwisz taką perspektywą.

Uśmiech chłopaka rozciągnął się od ucha do ucha.

– Wcale nie musiałbym udawać. Należysz, panie, do tych nielicznych, których zawsze warto mieć koło siebie. Ogólnie rzecz biorąc, to dosyć wesola banda, chociaż czasy smutne i poważne. Nie ma się co oszukiwać, zawsze należałem do tych, którzy nie stronią od lżejszych aspektów życia.

– Hm, masz dosyć dziwne poczucie humoru.

– Nie, to nie tak. – Jimmy pokręcił głową. – Jeśli już ci pisane, że masz umierać ze strachu, to równie dobrze możesz to polubić. No cóż, przecież na tym w końcu polega złodziejstwo, no nie? Włamywanie się do obcego domu w środku nocy, nie wiedząc czy na przykład domownicy nie śpią i nie czekają z mieczem czy pałą, by rozmazać twój mózg na podłodze, kiedy tylko wsadzisz głowę przez okno. Albo kiedy cię ściga po ulicach straż miejska. Niby to nie przelewki i nie zabawa, ale z drugiej strony chyba jednak tak. Tak czy siak, dostarcza dużo emocji. A poza tym, czy jest wielu, którzy mogą się pochwalić, że uratowali życie księcia Kronodoru, wsadzając młotek w du... to znaczy tyłek demona?

– Niech mnie kule biją! – Arutha ryknął śmiechem. – Sprawiliś, że po raz pierwszy od czasu ślubu roześmiałem się szczerze. – Położył rękę

na ramieniu Jimmy'ego. – No cóż, bez wątpienia zasłużyłeś dziś na nagrodę, panie James. Co to ma być?

Jimmy zmarszczył brwi, udając wielki wysiłek umysłowy.

– A dlaczego nie miałbyś mnie mianować jakimś... pomniejszym księciem, na przykład księciem miasta Krondor?

Aruthę zatkalo. Chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się.

Nadchodzący właśnie z infirmerii Martin zauważył przedziwny wyraz jego twarzy i zatrzymał się.

– Coś cię boli?

Arutha wskazał palcem na Jimmy'ego.

– On chce być „jakimś pomniejszym księciem, na przykład miasta Krondor”.

Martin parsknął śmiechem na cały głos. Po chwili uspokoił się nieco.

– A dlaczego nie? – spytał Jimmy. – Przecież Dulanic jest tutaj.

Wiecie więc, że rzeczywiście zrezygnował i odszedł na emeryturę.

Volney nie chce przyjąć tego stanowiska, a więc komu macie zamiar je ofiarować, co? Jestem sprytny i przysłużyłem się wam raz czy dwa, no nie?

Martin śmiał się dalej.

– Za co otrzymałeś zapłatę – powiedział Arutha, wahając się

między świętym oburzeniem a rozbawieniem. – Posłuchaj, ty

rozbójniku, mogę się zastanowić, czy nie poprosić Lyama, aby dał ci we władanie jakąś pomniejszą baronię. Zdecydowanie pomniejszą, jeśli już

w ogóle o tym mówimy, i dopiero kiedy osiągniesz pełnoletność, czyli minimum za trzy lata, zgadza się? Teraz musi ci wystarczyć, że do tytułu szlachcic dworu książęcego dodamy wyraz „starszy”, w porządku? Martin pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Sam nie wiem... jeszcze zorganizuje młodych panków ze dworu w gang uliczny.

– No cóż... – zgodził się z ociąganiem Jimmy. – Przynajmniej będę miał przyjemność zobaczyć wyraz twarzy tego dupka, Jerome'a, kiedy powiadomisz o moim awansie deLacy'ego.

Martin przestał się śmiać.

– Ale, ale. Może zainteresuje was, że 'z Gardanem wszystko w porządku. Z bratem Micahem również. A Dominik już dawno wstał i po staremu zajmuje się swoimi sprawami.

– A opat i brat Antoni?

– Opat zniknął gdzieś i robi... nie wiem... i robi to, co zwykle opaci robią, kiedy ich opactwo zostanie zbezczeszczone. Brat Antoni znowu zatopił się w księgach, szukając informacji o Srebrzystym Cierniu.

Prosił, aby wam przekazać, że jeśli ktoś chce z nim porozmawiać, to jest w sali sześćdziesiąt siedem.

– Idę go poszukać – powiedział Arutha. – Chcę się dowiedzieć, co mu się udało odkryć do tej pory. – Na odchodnym odwrócił się do Jimmy'ego. – Jimmy, może byś wytłumaczył memu bratu, dlaczego to miałbym cię wynieść na tron drugiego co do ważności Księstwa w Królestwie?

Arutha opuścił ich, udając się na poszukiwanie głównego archiwisty klasztoru. Martin odwrócił się powoli ku Jimmy'emu, który w odpowiedzi wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Arutha przekroczył próg ogromnej komnaty zalatującej lekko stęchlizną wieków i zapachem środków konserwujących. Brat Antoni czytał opasłe, stare tomisko przy migotliwym świetle lampy.

– Tak jak przypuszczałem – powiedział, nie oglądając się, by zobaczyć, kto wszedł. – Wiedziałem, że tutaj to znajdę. – Wyprostował się. – Monstrum podobne jest do tego, o którego zabiciu mówi się przy opisie napadu na świątynię Tith-Onanka w Elarial jakieś trzysta lat temu. Według źródeł nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że za całą sprawą kryli się Pantathianie, kapłani-wężę.

– Kim są właściwie Pantathianie, bracie? Słyszałem tylko opowieści, którymi straszono dzieci. Stary mnich wzruszył ramionami.

– W rzeczywistości niewiele o nich wiemy. Jesteśmy w stanie zrozumieć, przynajmniej częściowo, większość inteligentnych ras zamieszkujących Midkemię. Nawet moredhele, Bractwo Mrocznego Szlaku posiada pewne wspólne cechy z ludźmi. Mają co prawda swój bardzo sztywny kodeks honorowy, który według naszych z kolei standardów jest co najmniej dziwny, ale jednak. Te stworzy jednak... – Zamknął księgę. – Trzeba zacząć od tego, że nikt nie ma pojęcia, gdzie leży Pantathia. Na kopiach map zostawionych nam przez Macroasa, które otrzymaliśmy od Kulgana ze Stardock, nie ma po niej śladu. Kapłani ci władają magią zupełnie niepodobną do wszystkich innych.

To zaprzysiężeni wrogowie ludzkości, chociaż w przeszłości zdarzały się wypadki współpracy z niektórymi ludźmi. Jeszcze jeden fakt pozostaje oczywisty i pewny: to byty reprezentujące czyste, niczym nie złagodzone zło. Nawet jeśli inne znane nam fakty nie potwierdzałyby, że Murmandamus jest wrogiem wszystkiego co dobre na świecie, przesądzającym dowodem na to jest fakt, że Pantathianie mu służą. Oznacza to również, iż jest to moc, której na pewno należy się obawiać.

– Zatem w rzeczywistości wiemy niewiele więcej, niż wynikało z raportu Śmiejącego się Jacka.

– Zgadza się. Pamiętajmy jednak, aby nie lekceważyć faktu, że mówił prawdę. Wiedza, czym rzeczy nie są, jest często równie ważna jak ich znajomość.

– Czy w całym zamieszaniu udało ci się odkryć coś na temat Srebrzystego Ciernia?

– Jeśli chodzi o ścisłość, to tak. Chciałem przesłać ci wiadomość zaraz po zakończeniu lektury tego fragmentu. Obawiam się jednak, że nie będę mógł służyć wielką pomocą. – Serce zamarło w piersi Aruthy.

Dał znak, by zakonnik mówił dalej. – Przede wszystkim chciałbym wytłumaczyć, dlaczego nie od razu skojarzyłem nazwę Srebrzystego Ciernia. Otóż wynikało to z tego, że jest to tłumaczenie nazwy, z którą jestem bardziej obeznany. – Otworzył inną księgę leżącą nie opodal. –

To dziennik Geoffreya, syna Caradoca, mnicha w opactwie Silbana na zachód od Yabonu. Tak, tak, tego samego, w którym wychowywał się twój brat Martin, chociaż było to kilka setek lat wcześniej. Geoffrey był

domorośłym botanikiem i wszystkie wolne godziny spędzał na katalogowaniu wszelkich gatunków miejscowej flory. W tym miejscu właśnie odkryłem klucz do zagadki. Przeczytam ci ten ustęp. Otóż napisał on w ten sposób:

„Roślina, nazywana przez Elfy Eljagodą, znana jest ludom zamieszkującym wzgórze również pod nazwą Lśniącego Ciernia. Uważa się, że w przypadku właściwego zastosowania posiada ona magiczne właściwości, chociaż dokładny proces destylacji esencji rośliny nie jest znany powszechnie. Konieczny jest do tego magiczny rytuał, którego oczywiście prosty ludek znać nie może. Roślina występuje niesłychanie rzadko i tylko kilku współczesnych widziało ją na własne oczy. Ja sam osobiście nigdy jej nie widziałem, ale na wiedzy tych, z którymi rozmawiałem, można całkowicie polegać. Są oni absolutnie przeświadczeni o istnieniu rośliny”. – Zamknął księgę.

– To wszystko? Miałem nadzieję na jakiś środek leczniczy, a przynajmniej wskazówkę, jak można go odnaleźć.

– Przecież dostaliśmy wskazówkę – powiedział zakonnik, puszczając do niego oko. – Geoffrey, który był bardziej plotkarzem niż prawdziwym botanikiem, przypisał roślinie nazwę Eljagody, uznając ją jednocześnie za nazwę w języku Elfów. A przecież to nic innego jak tylko przekreślona nazwa aelebera, słowo z języka Elfów, które tłumaczy się jako „srebrzysty cień”! Co z kolei oznacza, że jeśli w ogóle jest ktoś, kto zna jej właściwości magiczne i sposób poradzenia sobie z nimi, to właśnie Czarodzieje z Elvandar.

Arutha milczał przez chwilę.

– Dziękuję, bracie Antoni. Modliłem się co prawda gorąco, abym mógł skończyć poszukiwania tutaj, ale przynajmniej nie pozbawiłeś mnie nadziei.

– Zawsze jest nadzieja. Podejrzewam, że w tym całym zamieszaniu opatowi nie udało się w końcu powiedzieć ci, jaki jest główny powód, dla którego to wszystko gromadzimy. – Szerokim ruchem ręki objął setki i tysiące ksiąg. – Powodem, dla którego zbieramy we wnętrzu góry te wszystkie dzieła, jest właśnie nadzieja. Istnieje wiele prorocत्व i przepowiedni, jedna z nich mówi o końcu wszystkiego, co jest nam znane. Mówi się tam, że kiedy wszystko inne podporządkowane zostało siłom ciemności i zła, zostanie jedynie „to, czym było Sarth”. Gdyby prorocत्व okazało się prawdziwe, mamy nadzieję, że uda nam się zachować ziarna wiedzy, aby kiedyś znowu mogła służyć człowiekowi. Pracujemy bez wytchnienia, przygotowując się na ten dzień, modląc się jednocześnie, aby nigdy nie nastąpił.

– Bardzo nam pomogłeś, bracie.

– Człowiek powinien pomagać, kiedy tylko może.

– Dziękuję. – Arutha opuścił salę i ruszył schodami w górę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał przed chwilą. Rozwazał wszelkie dostępne w tej sytuacji rozwiązania. Gdy znalazł się na dziedzińcu, spotkał Lauriego, Jimmy'ego i Martina w towarzystwie brata Dominika, który chociaż wciąż jeszcze blady, wyszedł obronną ręką z opresji.

Laurie powitał Księcia.

– Gardan powinien wstać jutro.

– To dobrze, ponieważ o pierwszym brzasku wyjeżdżamy z Sarth.

– Co chcesz zrobić? – spytał Martin.

– Chcę wsadzić Gardana na pierwszy statek odpływający z Sarth do Krondoru, a my ruszamy dalej.

– Ale dokąd? – spytał Laurie.

– Elvandar.

Martin uśmiechnął się.

– Miło będzie złożyć wizytę na starych śmieciach. Jimmy westchnął ciężko.

– O co chodzi?

– Eee... nic takiego, pomyślałem sobie tylko o kucharzach pałacowych, a potem o kościstych grzbietach końskich.

– Nie musisz o nich myśleć zbyt długo. Wracasz do Krondoru z Gardanem.

– I mam stracić całą zabawę? Laurie spojrzał znacząco na Martina.

– Ten młodzieniec ma zdecydowanie spaczone poczucie humoru i zabawy.

Jimmy chciał coś odpalić, ale przerwał mu brat Dominik.

– Wasza Wysokość, jeśli pozwolisz, będę towarzyszył twemu kapitanowi. I tak wybierałem się do Krondoru.

– Ależ oczywiście, proszę bardzo. Tylko co z twoimi obowiązkami

tutaj?

– Zastąpi mnie inny zakonnik. Przez jakiś czas i tak nie podobałbym obowiązkom, a przecież nie możemy czekać. Nie ma w tym żadnego dyshonoru czy wstydu; po prostu jest to konieczne i już.

– Pewien jestem, że Jimmy i Gardan z radością powitają twoje towarzystwo...

– Poczekaj... – zaczął Jimmy. Arutha nie zwracał uwagi na chłopaka.

– A co cię wiedzie do Krondoru, bracie?

– Nic nadzwyczajnego. Tyle tylko, że leży na mojej trasie do Stardock. Ojciec Jan uważa, że za wszelką cenę powinniśmy poinformować Puga oraz innych magów o ostatnich wydarzeniach i naszych spostrzeżeniach. Przecież praktykują oni wielką magię, która nie jest dla nas dostępna.

– Pozwól, że na twoje ręce złożę podziękowanie za waszą postawę. Potrzeba nam wszystkich sprzymierzeńców, jakich tylko zdołamy zdobyć. Sam powinienem był o tym pomyśleć. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, bracie, przekażę za twoim pośrednictwem dodatkowe informacje pochodzące z wywiadu. Poproszę też Gardana, aby cię eskortował do samego Stardock.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, panie. Jimmy przez cały czas usiłował zaprotestować przeciwko odsyłaniu go do Krondoru.

Ignorując go zupełnie, Arutha zwrócił się do Lauriego.

– Weź tego młodzieńca aspirującego do tytułu książęcego i

znajdźcie w mieście jakiś statek. Ruszemy za wami jutro rano. Aha, zdobądźcie świeże wierzchowce, a przede wszystkim nie wpakujcie się w żadne kłopoty.

Arutha, w towarzystwie Dominika i Martina, oddalił się w kierunku dawnych koszar, zostawiając Jimmy'ego i Lauriego na środku dziedzińca. Jimmy nieustannie usiłował dojść do głosu.

– Ale...

Laurie klepnął go w plecy.

– Rusz się, „Wasza Wysokość”. Udajemy się w drogę. Jeśli uda się załatwić szybko to, co mamy do załatwienia, może poszukamy jakiejś ciekawej gierki w gospodzie. He? Co ty na to?

W oczach Jimmy'ego pojawiły się złe błyski.

– Gierki?

– No, wiesz... może paszawa albo trzy karty, kości, a może jakiś mały pokerek. Hazard.

– Och, będziesz musiał pokazać mi, jak się w to gra – powiedział niewinnie Jimmy, kierując się w stronę stajni. W tej samej chwili otrzymał potężnego kopniaka, który posłał go o parę metrów w przód.

– Pokazać, jak się gra? Akurat! Co to ja jestem, prostak ze wsi czy co? Słyszałem to po raz pierwszy, kiedy splukali mnie do suchej nitki przy moim pierwszym pokerku.

Jimmy pędził w podskokach, zanosząc się od śmiechu.

– Nigdy nie zaszkodzi spróbować, no nie?

Arutha wszedł do zaciemnionego pokoju i spojrzał na postać

leżącą na pryczy.

– Chciałeś się ze mną zobaczyć?

Micah dźwignął się z trudem i oparł plecami o ścianę.

– Tak. Słyszałem, że za godzinę opuszczacie opactwo. Dziękuję, że zechciałeś przyjść. – Wskazał ręką, by Arutha usiadł na łóżku. – Muszę tylko trochę odespać, a za tydzień czy dwa powrócę do normy.

Arutha, ja i twój ojciec byliśmy w młodości wielkimi przyjaciółmi.

Pamiętam, że dopiero Caldric wprowadził zwyczaj ściągania młodych

szlachciców na szkolenie na dworze, co teraz uważa się za coś

oczywistego. Tworzyliśmy zgraną paczkę. Brucal z Yabon był naszym

Seniorem i trzymał nas krótko. W tamtych czasach były z nas niezłe

gagatki, wierz mi. Twój ojciec, ja i Guy du Bas-Tyra. – Na wspomnienie

imienia Guya Arutha zesztyniał, ale nic nie powiedział. – Przyjemnie

jest pomyśleć, że stanowiliśmy wówczas prawdziwy kręgosłup

Królestwa. Teraz przyszła kolej na ciebie. Borric doskonale was

wychował, ciebie i Lyama. A i Martin nie przynosi wstydu. Jak wiesz,

służę teraz Ishap, ale przecież nie przestałem kochać Królestwa, synu.

Chciałem tylko, żebyś wiedział, że zawsze będą wam towarzyszyły moje

modlitwy.

– Dziękuję, książę Dulanicu.

Chory podciągnął się wyżej na poduszkach.

– Już nie. Teraz jestem tylko prostym mnichem. Ale, ale. Kto teraz

rządzi w twoim pałacu?

– Lyam jest w Krondorze i pozostanie tam aż do mojego powrotu.

Volney pełni obowiązki Kanclerza.

Słyszając to, Micah parsknął śmiechem i skrzywił się jednocześnie z bólu.

– Volney! Na Ishap, ale on musi tego nienawidzić!

– Rzeczywiście – odpowiedział Arutha z uśmiechem.

– Czy chcesz prosić Lyama, aby mianował go Księciem?

– Sam nie wiem. Chociaż protestuje mocno, muszę przyznać, że to chyba najbardziej sprawny administrator, jakiego mam. W czasie wojny straciliśmy wielu młodych, obiecujących ludzi. – Na twarzy Księcia pojawił się charakterystyczny, krzywy uśmieszek. – Jimmy sugeruje, abym to jego mianował księciem miasta Krondor.

– Nie spisuj chłopaka na straty, Arutha. Ucz go i wychowuj, dopóki masz go u swego boku. Obarczaj go coraz większą ilością obowiązków, aż zacznie się buntować i pękać w szwach. Wtedy dołóż mu jeszcze więcej. Wykształć go dobrze, a potem zbierz żniwo. Taki jak on to prawdziwa rzadkość, wierz mi.

– Po co to wszystko, Micah? Dlaczego o tym mówisz? Dlaczego troszczysz się o rzeczy, które zostawiłeś przecież za sobą?

– Ponieważ jestem starym, próżnym człowiekiem, a także, pomimo mej pokuty, wielkim grzesznikiem. Ciągle przyznaję się do pychy, dumy z tego, jak się powodzi memu miastu. I jeszcze dlatego, że jesteś synem swego ojca, Arutha.

Księżę milczał przez długą chwilę.

– Ty i ojciec byliście kiedyś bardzo blisko ze sobą, prawda?

– Bardzo. Tylko Guy był jeszcze bliżej z Borrikiem.

– Guy!?! – Arutha nie mógł wprost uwierzyć, że najbardziej znienawidzony wróg ojca był kiedyś jego przyjacielem. – Jak to możliwe?

Micah przyglądał się z uwagą twarzy Aruthy.

– Myślałem, że ojciec powiedział wam przed śmiercią.

– Zamilkł na chwilę. – Z drugiej strony, nie było to w stylu

Borrica. – Westchnął. – My, którzy byliśmy przyjaciółmi zarówno

twego ojca, jak i Guya, złożyliśmy przysięgę. Przysięgliśmy na

wszystkie świętości, iż nigdy nie wyjawimy kompromitujących

okoliczności, które zmusiły ich do zerwania tej największej z przyjaźni,

a Guya do noszenia czerni do końca jego dni. To dlatego nazywany jest

powszechnie Czarny Guy.

– Pamiętam, że ojciec wspomniał raz o tym dziwnym akcie

osobistej odwagi, ale nie potrafił powiedzieć o Guyu nic więcej dobrego.

– I nie ma się co dziwić. Ja też nic nie powiem, chyba że Guy

zwolniłby mnie z danego słowa albo otrzymałbym potwierdzoną

wiadomość o jego śmierci. O jednym wszakże mogę zapewnić: przed

rozstaniem byli dosłownie jak dwaj bracia. Kiedy szli na dziewczyny,

brali udział w bijatyce czy w wojnie, zawsze byli w zasięgu głosu, aby

przyjść drugiemu z pomocą, gdyby zaszła taka potrzeba. No, ale

zagadaliśmy się. Wstajesz bardzo wcześnie, a musisz trochę wypocząć.

Nie ma już czasu, aby tracić go na sprawy, które dawno pogrzebał kurz

przeszłości. Ruszaj w drogę, aby odnaleźć lekarstwo dla Anity...

– *Oczy starego mnicha zaszklily się łzami. Arutha zdał sobie nagle sprawę, że pogrążony we własnym bólu i trosce o dziewczynę zupełnie zapomniał, że Micah przez długie lata był członkiem domu Erlanda.*

Znał Anitę od urodzenia i traktował ją jak wnuczkę.

Micah oddychał z trudem.

– *Te cholerne żebra! Weźmiesz tylko głębszy oddech, a już płaczesz, jakbyś jadł surową cebulę. – Westchnął ciężko. – Trzymałem ją w ramionach w niecałą godzinę po narodzinach, kiedy udzielali jej błogosławieństwa kapłani Białej Sung. – Zapatrzył się w dal, a po chwili odwrócił do ściany.*

– *Ocal ją, Arutha...*

– *Odnajdę lekarstwo, na pewno.*

– *Zatem ruszaj w drogę. Niech Ishap ma cię w swojej opiece – wyszeptał Micah, aby zapanować nad ogarniającym go wzruszeniem.*

Arutha ścisnął przez moment dłoń starego mnicha, po czym wstał i wyszedł z jego pokoju. Kiedy przechodził przez główny hol opactwa, został zatrzymany przez milczącego zakonnika, który dał mu znak, by podążył za nim. Został zaprowadzony do komnat opata, gdzie czekał na niego sam opat w towarzystwie brata Antoniego.

– *To bardzo dobrze, Książę, iż zechciałeś poświęcić swój czas, aby odwiedzić brata Micaha – przywitał go opat. Arutha nagle zaniepokoił się.*

– *Micah wyzdrowieje, prawda?*

– *Jeśli taka będzie wola Ishap. Cud, że to przeżył. Pamiętaj, przez*

co przeszedł i że jest już bardzo leciwy.

Brat Antoni oburzył się na te słowa. Prychnął gniewnie, ale powstrzymał się. Opat, nie zwracając na to najmniejszej uwagi, mówił dalej. – Chciałbym, abyś wiedział, że zastanawialiśmy się głęboko nad problemem, przed którym stoimy. – Popchnął w stronę Aruthy niewielką szkatułkę. Książę nachylił się nad stołem i wziął ją w rękę. Pudełko z delikatnie rzeźbionego drewna musiało być zrobione w zamierzchłej przeszłości. Czas i używanie wygładziły jego powierzchnię do lustrzanego połysku. Uniósł delikatnie pokrywę. Na atlasowej poduszeczce spoczywał niewielki talizman – młotek wykonany z brązu, miniatura tego, który nosił Micah. Cienki rzemyk przewleczony był przez malutką dziurkę w trzonku.

– Co to jest?

Brat Antoni chrząknął cicho.

– Z pewnością musiałeś się zastanawiać nad tym, w jaki sposób twój wróg potrafi cię odnaleźć, kiedy tylko zechce. Nie możemy wykluczyć, że jakaś magiczna moc, być może ta, którą dysponuje kapłan-wąż, lokalizuje cię, panie, za pomocą takiego czy innego zaklęcia poszukiwania. Talizman ten to spuścizna dawnych czasów.

Został wykonany w najstarszej siedzibie naszej wiary, w opactwie Ishap w Leng. To najsilniejszy przedmiot o działaniu magicznym, jaki znajduje się w naszym posiadaniu. Zamaskuje twoje ruchy przed wszelkimi czarami poszukiwania. Każdemu, kto by cię śledził za pomocą magii, znikniesz po prostu z pola widzenia. Nie mamy

oczywiście możliwości, aby cię chronić przed ziemskimi oczami. Jeśli zachowasz ostrożność i będziesz skrywał swóją tożsamość przed ciekawskimi, powinieneś dotrzeć bez przeszkód do Elvandaru. Pamiętaj jednak, abyś nigdy, nawet na chwilę, nie zdejmował talizmanu, ponieważ znowu będzie można do ciebie dotrzeć za pomocą sztuki magicznej. Talizman uczyni cię również niepodatnym na ataki podobne do tego, jaki przeżyliśmy zeszłej nocy. Żaden stwór czy zjawa nie będzie w stanie uczynić ci krzywdy. Oczywiście, przeciwnik może uderzać poprzez tych, którzy znajdują się będą w twoim otoczeniu, ponieważ talizman nie obejmuje ich magiczną ochroną.

Nie zwlekając Arutha założył talizman na szyję.

– Dziękuję wam.

Opat podniósł się z krzesła.

– Niech Ishap ma cię zawsze w swojej pieczy, Wasza Wysokość. I pamiętaj, że zawsze możesz liczyć w Sarth na schronienie i opiekę.

Arutha jeszcze raz podziękował za gościnę i opuścił komnatę opata. Pakując rzeczy do podróżnego worka, rozważał w sercu to, czego się dowiedział. Odrzucił wątpliwości i z nową determinacją jeszcze raz podjął postanowienie uratowania Anity.

NA PÓLNOC

Samotny jeździec pędził drogą.

Martin ostrzegł Aruthę i Księżę obejrzał się przez ramię. Laurie zawrócił konia, dobywając jednocześnie miecza. W tym momencie

Martin roześmiał się głośno.

– Jeśli to ten, o którym myślę, obetnę mu uszy – mruknął Arutha.

– No to naostrz nóż, bracie. Spójrz tylko na te łokcie objijające się po bokach.

Po kilku chwilach przewidywania Martina sprawdziły się i śmiejący się od ucha do ucha Jimmy ściągnął przed nimi wodze konia.

Arutha nawet nie starał się ukryć swego niezadowolenia. Spojrzał złym wzrokiem na Lauriego.

– Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałeś, że razem z Gardanem i

Dominikiem został bezpiecznie załadowany na pokład statku odpływającego do Kronodoru?!

Laurie odpowiedział mu bezradnym spojrzeniem.

– Przysięgam, że tak było.

Jimmy przyglądał się całej trojce rozbawionym wzrokiem.

– Co to? Nikt się ze mną nie przywita?

Martin usiłował zachować powagę, lecz nawet jego wyrobione pośród Elfów opanowanie i samokontrola były wystawione na srogą próbę. Jimmy wyglądał w tej chwili jak rozradowany, skory do zabawy szczeniak: sama niewinność i prostota. Poza równie fałszywa jak większość innych, które przybierał i zmieniał, kiedy i jak chciał. Arutha robił wszystko, aby zachować surowy wyraz twarzy. Laurie zasłonił usta dłonią i rozkaszał się nagle, by ukryć chichot.

Arutha kręcił głową ze wzrokiem wbitym w ziemię. Podniósł w końcu głowę.

– No dobra, jaką historyjkę opowiesz nam tym razem?

– Po pierwsze, złożyłem przysięgę. Może to znaczy niewiele dla ciebie, panie, ale to jednak przysięga. Co więcej, wiąże nas ona na dobre i złe, „aż kota obedrą ze skóry”. No i jeszcze taki drobiazg...

– O co chodzi?

– Kiedy opuszczałeś Sarth, byłeś śledzony. Arutha, nie wiadomo, czy bardziej zdumiony beztroskim tonem chłopaka, czy też zaskakującą informacją, wyprostował się gwałtownie w siodle.

– Jesteś pewien?

– Po pierwsze, znałem tego faceta wcześniej. To pewien kupiec z Widoku Kwestora. Nazywa się Havram. W rzeczywistości jest przemytnikiem na usługach Prześmiewców. Zaraz po tym, jak Sprawiedliwy został poinformowany o infiltracji naszych szeregów przez Nocne Jastrzębie, zapadł się pod ziemię. To on właśnie był w gospodzie, w której Gardan, Dominik i ja czekaliśmy na statek. Wszedłem na pokład razem z naszym zacnym kapitanem i mnichem, po czym tuż przed podniesieniem kotwicy zsunąłem się po burcie. Facet był bez towarzyszącego mu zwykle w handlowych poczynaniach orszaku. Zawsze był głośny, wygadany, miły i uprzejmy. Wszędzie go było pełno. Udając wielkiego kupca, lubił się pokazywać publicznie. W Sarth jednak przemykał się pod ścianami i ciemnymi zaułkami, owinięty w płaszcz z kapturem i tak dalej. Głowę daję, że gdyby nie był zmuszony przez specjalne okoliczności, nie zrezygnowałby dobrowolnie ze swej zwykłej roli, a już z pewnością nie szwendałby się po takich zakazanych kątach. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że śledził cię, panie, od

opuszczenia gospody aż do chwili, gdy się upewnił, którą drogą pojechałeś. Najważniejsze w tym wszystkim jest jednak co innego.

Havram był najbliższym kumplem Śmiejącego się Jacka i Złocistego Dase'a.

– Havram! – krzyknął Martin. – Przecież to ten, o którym Jack powiedział, że wciągnął jego i Złocistego do Nocnych Jastrzębi.

– Teraz, kiedy nie mogą już polegać na magii, aby cię odnaleźć, zaprzęgną do poszukiwań szpiegów i agentów – dodał Laurie. –

Wszystko się zgadza. Trzymali po prostu w Sarth kogoś, kto spokojnie poczekał, aż opuścisz opactwo i zjedziesz na dół.

– Czy zauważył, że opuścicie miasto? – spytał Księżę. Jimmy parsknął śmiechem.

– Skądże. Za to ja widziałem, jak on je opuszcza. – Spojrzeli na niego pytającym wzrokiem. – Hm... trochę się nim zająłem.

– Co zrobiłeś?

Jimmy był bardzo z siebie zadowolony.

– Nawet takie małe miasto jak Sarth ma swoje podskórne życie.

Trzeba tylko wiedzieć, gdzie patrzeć. Wykorzystałem swoją reputację

Prześmiwcy z Kronodoru i pojawiłem się tu i tam, potwierdzając

stosownie swoją autentyczność. Dałem do zrozumienia pewnym

ludziom, którzy zdecydowanie wolą zachować pełną anonimowość, że

dobrze wiem, kim są w rzeczywistości. Zasygnalizowałem również, iż

gotów jestem o tym zapomnieć i nie powiedzieć dowódcy tamtejszego

garnizonu w zamian za wyświadczenie pewnej usługi. Ponieważ sądzili,

iż nadal mam wysoką, żeby nie powiedzieć faworyzowaną pozycję w szeregach Prześmiewców, zdecydowali, iż umieszczenie mnie na wieczność w wodach zatoki nie będzie rozsądne. Tym bardziej że osłodziłem nasz układzik niewielką sakiewką złota, którą miałem przypadkiem przy sobie. Wspomniałem następnie, że w całym Zachodnim Królestwie nie było ani jednego człowieka, który by nie zauważył pewnego kupca spędzającego miłe chwile w gospodzie. Zrozumieli dobrze moją delikatną aluzję. Myślę, że fałszywy kupiec jest w tej chwili na trasie niewolniczego szlaku przez Durbin do Keshu. Z pewnością miał już okazję nauczyć się paru co bardziej delikatnych reguł odnoszących się do wykonywania prostych prac ręcznych. Laurie pokiwał ponuro głową. Na jego twarzy malowało się rozgoryczenie i niesmak.

– Tak, nie ma wątpliwości... charakter tego chłopaka cechuje okrucieństwo i bezwzględność. Arutha westchnął głęboko.

– No cóż, wygląda na to, że znowu zostałem twoim dłużnikiem, Jimmy.

– Godzinę drogi za nami posuwa się niewielka karawana. Jadą w górę wybrzeża. Jeżeli będziemy jechali powoli, powinni nas dogonić przez zapadnięciem nocy. Jestem prawie pewien, że wynajmiemy się jako dodatkowa ochrona karawany. Jechalibyśmy w dużej grupie razem z wozami i innymi najemnikami, podczas gdy Murmandamus czy jak mu tam szukać będzie trzech jeźdźców, którzy opuścili Sarth.

Arutha zaśmiał się.

– No i co j a mam z tobą zrobić? – Zanim Jimmy zdążył

odpowiedzieć. Książę sam szybko dokończył: – I nie mów mi nic o mianowaniu „pomniejszym księciem Krondoru”. – Zawracając konia, rzucił jeszcze przez ramię: – Nie chcę słyszeć, skąd wytrzasnąłeś tego konia.

Dobry los lub skuteczność działania talizmanu bogini Ishap sprzyjały Arucie i jego trzem towarzyszom. W drodze do Ylith nie napotkali na żadne kłopoty czy trudności. Przewidywania Jimmy'ego na temat karawany, która miała ich dogonić, sprawdziły się co do joty. Karawana wyglądała raczej żałośnie: pięć nędznych wozów pozostających pod ochroną tylko dwóch najemników. Gdy tylko podróżujący kupiec nabrał przekonania, że to nie rozbójnicy, przyjął ich z otwartymi rękami jako towarzyszy podróży. Tanim kosztem, bo za cenę kilku posiłków, uzyskiwał dodatkową ochronę karawany.

Podróżowali przez dwa długie i monotonne tygodnie, podczas których nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Szlakiem między Sarth a Widokiem Kwestora wędrowali w obie strony drobni domokrążcy, handlarze i karawany wszelkiej maści i wielkości. Od skromnych jak ich własna, aż po ogromne tabory otoczone liczną strażą. Arutha pocieszał się, że gdyby nawet nasłany agent poszukiwał go w tłumie kupców, służby i najemników, to mógłby się na niego natknąć jedynie przez czysty przypadek.

Pewnego dnia pod wieczór, tuż przed zachodem słońca, dostrzegli w końcu w oddali światła Ylith. Arutha jechał na szpicy z dwoma

strażnikami wynajętymi przez Yanova. Wstrzymał konia, póki nie zrównał się z nim pierwszy wóz.

– Yanov, widać już Ylith.

Wóz pojechał dalej z machającym radośnie rękami otyłym kupcem z Krondoru, zajmującym się handlem jedwabiem i drogimi materiałami. Arutha z ulgą stwierdził, że Yanov był porywczym i pewnym siebie człowiekiem, który nie zwracał prawie w ogóle uwagi na to, co inni mieli do powiedzenia. Wymyślona naprędce przez Księcia historyjka oparła się kilku zdawkowym pytaniom kupca. Wszystko wskazywało na to, że Yanov nigdy go nie widział.

Ostatni wóz przejechał koło niego i po chwili dołączył do niego Martin.

– Ylith – powiedział Arutha ruszając.

Jadący po bokach Jimmy i Laurie zjechali na drogę.

– No, wkrótce pozbędziemy się tego taboru – westchnął Martin. –

Trzeba będzie poszukać nowych wierzchowców. Te potrzebują wypoczynku.

– Uch, całe szczęście, że pozbędziemy się również Yanova –

mruknął Laurie. – Kłapie paszczką jak baba. Nie ma chwili spokoju.

Jimmy pokiwał głową z udawanym współczuciem.

– No tak... i prawie nigdy nie dopuszcza do głosu innych, aby

mogli przy obozowym ognisku snuć swoje opowieści. Laurie obrzucił chłopaka gniewnym spojrzeniem.

– Dosyć tego. Spokój – przerwał im Arutha. – Nadal musimy

udawać zwykłych wędrowców. Jeśli baron Talanque odkryje, że jestem w mieście, zrobi się z tego oficjalna sprawa. Zaczną się uczty, turnieje, polowania i przyjęcia. Wszyscy między Wielkimi Północnymi Górami a Keshem dowiedzą się, że przebywam w Ylith. Talanque to równy gość. ale lubi sobie pohulać.

– Nie on jeden. – Jimmy zawył radośnie, gwizdnął i dał koniowi ostrogę. Arutha, Laurie i Martin jechali przez chwilę w ciszy, patrząc na niego zdumionym wzrokiem. Nagle dotarła do nich świadomość bliskości miasta i ulga z powodu kończącej się wreszcie monotonnej podróży. Ruszyli z kopyta za chłopakiem.

Arutha przecwałował koło pierwszego wozu.

– Dobrego handlu, Yanov! – krzyknął w pędzie.

Kupiec spoglądał za nimi, jakby postradali nagle zmysły. Dobry zwyczaj nakazywał, aby ich choć symbolicznie wynagrodzić za ochronę karawany.

Po dotarciu w pobliże bram miasta musieli zwolnić, ponieważ wjeżdżała właśnie spora karawana, a w kolejce czekało już kilku następnych. Jimmy zatrzymał się za chłopskim wozem wypełnionym sianem,

zawrócił

i

roześmiany

spojrzał

ku

nadciągającym

towarzyszom. Nie mówiąc ani słowa, dołączyli do kolejki i obserwowali spod oka żołnierzy przepuszczających wóz. Teraz, kiedy czasy były spokojne, wjeżdżający do miasta poddawani byli jedynie bardzo pobieżnej kontroli.

Jimmy rozglądał się wokół zaciekawiony. Od opuszczenia Krondoru było to pierwsze większe miasto na trasie ich podróży. Tętniące życiem gwarne ulice sprawiły, że poczuł się jak w domu i odetchnął pełną piersią. Nagle w cieniu tuż przy bramie dostrzegł samotną, przygarbioną postać, która pilnie obserwowała spod oka wjeżdżających do miasta. Sądząc po szerokim szalu w kratę i skórzanych bryczesach, mężczyzna musiał należeć do klanu górali Hadati. Miał długie, opadające poniżej ramion włosy. Czubek głowy zdobił gruby węzeł włosów, co oznaczało, że jest to wojownik. Czoło otaczała skręcona szarfa. Na kolanach trzymał drewniane pochwy kryjące broń: długi, wąski miecz o ostrej jak brzytwa klindze i drugi, znacznie krótszy, często używany przez jego lud. Najbardziej uderzająca w jego wyglądzie była twarz. Skórę wokół oczu, od czoła aż do kości policzkowych, miał pomalowaną na białokościsty kolor. Biała plama pokrywała także brodę, tuż pod ustami. Przyjrzał się z uwagą Księciu. Gdy Jimmy z Martinem przejechali przez bramę za Arutha i Lauriem, powoli wstał i poszedł za nimi.

Jimmy roześmiał się nagle, jakby Martin opowiedział mu kawał, i rzucił okiem za siebie. Góral wynurzył się właśnie z cienia bramy i szedł

za nimi powoli, chowając oba miecze za pas.

– Hadati? – rzucił półgłosem Martin, nie odwracając głowy.

Jimmy przytaknął. – Bystre masz oko. Idzie za nami?

– Tak. Mamy go zgubić? Martin pokręcił głową.

– Jeżeli będziemy musieli, zajmiemy się nim, jak tylko znajdziemy jakieś lokum.

Posuwali się z wolna wąskimi uliczkami. Wszędzie witały ich oznaki dobrobytu. Jasno oświetlone sklepy kusily wspaniałymi towarami tych, którzy wybrali się na zakupy o wieczornym chłodzie.

Chociaż godzina była jeszcze wczesna, wokół widać było liczne grupki rozochoconych mężczyzn. Najemnicy strzegący karawan kupieckich czy marynarze po kilku miesiącach spędzonych na morzu rozglądali się za wszelkimi dostępnymi za złoto rozrywkami. Banda mocno podchmielonych i rozwrzeszczanych żołnierzy czy najemników przepychała się przez uliczny tłum, rechocząc i rycząc na cały głos.

Jeden z nich wpadł na konia Lauriego.

– Hej, ty! Uważaj, jak kierujesz tą bestią! – wrzasnął, udając wielkie oburzenie i gniew. – Co to, mama nie nauczyła cię dobrych manier? Ja cię tu zaraz... – Udał, że wyciąga miecz z pochwy, wprawiając w zachwyt swoich towarzyszy. Laurie zawtórował im śmiechem, podczas gdy Martin, Arutha i Jimmy obserwowali pilnie, czy nie zaczynają się kłopoty.

– Przepraszam, przyjacielu – powiedział pieśniarz. Na twarzy pijanego najemnika pojawił się ni to uśmiech, ni to grymas wściekłości.

Znowu wykonał ruch, jakby chciał sięgnąć po miecz.

Jeden z jego kompanów podskoczył i odepchnął go brutalnie na bok.

– Dość tego! Spadaj i napij się, to ci dobrze zrobi. – Odwrócił się z uśmiechem do Lauriego. – Cóż to, nadal jeździsz na koniu równie źle, jak śpiewasz, Laurie?

W okamgnieniu Laurie znalazł się na bruku, obejmując mężczyznę w niedźwiedzim uścisku.

– Roald! Ty synu starego rozpustnika! Poklepując się po plecach, objęli się jeszcze raz i Laurie przedstawił go swoim towarzyszom.

– Ten łobuz to Roald, przyjaciel z lat chłopięcych i wielokrotny towarzysz w drodze. Jego ojciec miał gospodarstwo obok naszego.

– I obaj nasi ojcowie wyrzucili nas z domu na zbity pysk prawie tego samego dnia. – Roald zarechotał radośnie.

Laurie przedstawił Martina i Jimmy'ego. Kiedy przyszła kolej na Aruthę, przedstawił go, zgodnie z umową, jako Artura.

– Cieszę się, że mam okazję poznać twoich przyjaciół, Laurie – powiedział najemnik.

Arutha rozejrzał się szybko dookoła.

– Tamujemy przejście. Trzeba znaleźć pokoje na noc. Roald dał znak, aby pojechali za nim.

– Zatrzymałem się niedaleko, przy następnej ulicy. Jest zupełnie znośna.

Jimmy ruszył za nim. Cały czas taksował doświadczoneym okiem

przyjaciela trubadura z lat dziecińczych. Mężczyzna nosił na sobie niezatarte piętno starego wyjadacza, doświadczonego najemnika, który zarabiał mieczem na życie wystarczająco długo, aby być uznanym za eksperta choćby dlatego, że zdołał przeżyć tyle lat. Jimmy zauważył kątem oka, że Martin ogląda się przez ramię, i zastanawiał się, czy Hadati nadal ich śledzi.

Gospoda nazywała się Pod Północnym Włóczęgą i jak na miejsce położone tak blisko portu była zupełnie przyzwoita. Chłopak stajenny podniósł się niechętnie znad nieszczególnie wyglądającego jedzenia, aby zająć się końmi.

– Dobrze się nimi zaopiekuj, mały. – Chłopak najwyraźniej znał go dobrze. Martin cisnął mu srebrną monetę.

Jimmy obserwował z uwagą, jak chłopak chwytają zwinnie w locie. Kiedy oddawał mu wodze swego wierzchowca, wsunął kciuk między wskazujący i środkowy palec tak, że tylko stajenny mógł to zauważyć. Nastąpiła szybka wymiana spojrzeń i chłopak ledwo dostrzegalnie skinął głową.

Weszli do środka. Roald wskazał z daleka stół w kącie sali, stojący przy samych drzwiach do stajni i oddalony od głównego tłumu gości.

Zamówił na migi piwo dla wszystkich. Przysunął sobie krzesło, ściągnął ciężkie skórzane rękawice i usiadł. Mówił przyciszonym głosem, tak że tylko siedzący przy stole mogli go słyszeć.

– No i co, Laurie? Kiedy to widzieliśmy się po raz ostatni? Sześć lat temu? Pojechałeś wtedy z patrolem z LaMut, aby poszukać Tsuranich i

napisać o nich balladę, pamiętasz? A teraz... a teraz podróżujesz sobie w najlepsze w towarzystwie – skinął w stronę Jimmy'ego – tego małego złodziejaszka.

Jimmy skrzywił się.

– Znak?

– Zgadza się, zauważyłem, jak pokazujesz znak. – Laurie

spoglądał to na jednego, to na drugiego nic nie rozumiejącym

wzrokiem. – Ten twój chłopak, Jimmy, pokazał chłopakowi ze stajni

znak, żeby lokalni złodzieje trzymali się z dala od jego rzeczy. Z grubsza

rzecz biorąc, znak ten mówi, że przybył złodziej z innego miasta, który

respektuje ogólnie przyjęte zasady postępowania i w zamian oczekuje

tego samego. Zgadza się?

– Zgadza się. – Jimmy skinął głową. – Znak powiedział im, że nie

będę tu pracował bez ich zgody. Musimy się trzymać cywilizowanych

reguł gry, no nie? Chłopak przekaze wiadomość dalej.

– Skąd o tym wiedziałeś? – spytał Arutha cicho.

– Nie jestem wyjęty spod prawa, ale też nie jestem święty. Przez te

wszystkie lata bywało się w różnym towarzystwie. W zasadzie jestem

prostym wojownikiem do wynajęcia. Jeszcze rok temu byłem

najemnikiem w Wolnej Gwardii Yabonu, walczyłem za Króla i ojczyznę

w zamian za utrzymanie i sztukę srebra dziennie. – Zamilkł na chwilę i

zapatrzył się w dal. – Przez siedem długich lat byliśmy nieustannie na

pierwszej linii, potem na tyłach, i tak w kółko. Z każdych pięciu

chłopaków, którzy podpisali kontrakt z kapitanem w pierwszym roku,

został tylko jeden. Każdej zimy wracaliśmy do garnizonu w LaMut, a kapitan ruszał w teren rekrutować nowych. I każdej wiosny wracaliśmy na linię frontu w coraz szczuplejszym składzie. – Opuścił wzrok na stojące przed nim piwo. – Walczyłem przeciwko wszelkiej maści bandytom, renegatom i wyjętym spod prawa. Służyłem też w marynarce, na okręcie wojennym tropiącym piratów. Byłem także na Przełęczy Kamieniarza, gdzie niespełna trzydziestu naszych ludzi przez trzy dni powstrzymywało ponad dwustu goblinów. Wytrwaliśmy, dopóki nie przybył z odsieczą Brian, pan na Wysokim Zamku. Wierzcie mi jednak, nigdy nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy ci przekłęci Tsurani wycofają się. Nigdy. I nie martwię się wcale, że pilnuję żalonych karawanek, których nie tknie nawet najbardziej wygłodniały rzezimieszek w całym Królestwie. Moim największym problemem w tych czasach jest, aby nie usnąć. – Uśmiechnął się. – Ze wszystkich przyjaciół, Laurie, ty byłeś najlepszy. Powierzyłbym ci własne życie, jeśli nie kobiety i pieniądze. No, panowie, wychylmy kolejkę za stare, dobre czasy, a potem znowu zaczniemy opowiadać kłamstwa. Anicie spodobała się otwartość i szczerłość wojaka. Służąca przyniosła następną kolejkę, za którą również, mimo protestów Lauriego, zapłacił Roald.

– Dzisiaj powróciłem z eskortowania jakiejś rozklekotanej karawany z Wolnych Miast i gębę mam zatkaną miesięczną porcją kurzu z drogi. A poza tym i tak prędzej czy później przehulam złoto, więc dlaczego nie teraz?

– Zgoda, przyjacielu. – Martin zaśmiał się dobrodusznie. –

Pierwsze dwie. Resztą my się zajmiemy. Jimmy nachylił się ku najemnikowi.

– Nie widziałeś gdzieś górala Hadati? Roald zatoczył szeroki łuk ręką.

– Kręcą się tu i tam. Masz jakiegoś konkretnego na myśli?

– Zielonoczarna krata na szalu i na białą pomalowana twarz – odpowiedział Martin.

– Zielony i czarny...? To jakiś odległy klan z północnego zachodu.

Nie wiem dokładnie który. Ale biała farba... – wymienili z Lauriem szybkie spojrzenia.

– O co chodzi? – przynaglił go Martin.

– Ten góral jest na Szlaku Krwi – odpowiedział za Roalda trubadur.

– Tak – dorzucił najemnik. – To bardzo osobista misja. W jakiś sposób związana z honorem całego klanu. A wierzcie mi, że sprawy honoru dla Hadatich to nie przelewki. W tych sprawach są równie nieprzejednani, jak ci przekłenci Tsurani w LaMut. Być może chce pomścić jakieś zło im wyrządzone albo spłacić dług honorowy w imieniu klanu, wszystko jedno. Cokolwiek to znaczy, tylko idiota wchodziłby w drogę góralowi Hadati na Szlaku Krwi. To mistrzowie miecza, bardzo skorzy do używania go. Roald dopił piwo.

– Jeżeli nie odmówisz, chcielibyśmy zaprosić cię na obiad. Wojak uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Nie da się ukryć, jestem głodny jak wilk. Szybko zamówili posiłek i po chwili siedzieli nad dymiącymi talerzami. Roald i Laurie opowiedzieli swoje dzieje. Roald słuchał z ogromnym zaciekawieniem historii przygód trubadura w czasie wojny z Tsuranimi, chociaż ten pominął milczeniem swoje kontakty z rodziną królewską oraz to, że ma się ożenić z siostrą monarchy. Najemnik patrzył na przyjaciela z szeroko otwartymi ustami.

– Jeszcze nie spotkałem trubadura, który nie zmyślałby jak najęty. Ty, Laurie, należałeś do najgorszych, twoja opowieść jest jednak tak nieprawdopodobna, tak... niezemska, że chyba ci uwierzę. Coś niesamowitego...

Laurie spojrział na niego urażonym wzrokiem.

– Ja zmyślam? Ja?!

Zajadali w najlepsze, gdy do Lauriego podszedł oberżysta.

– Widzę, że jesteś trubadurem. – Kierowany podświadomym instynktem Laurie zabrał ze sobą lutnię. – Czy zechciałbyś zaszczyścić mój dom śpiewem, panie?

Arutha poderwał głowę, chcąc zaprotestować gwałtownie, lecz Laurie położył mu rękę na ramieniu.

– Ależ oczywiście, gospodarzu. – Nachylił się do Księcia. –

Możemy wyjechać trochę później, Arturze. W Yabon, nawet jeśli pieśniarz płaci sam za swój posiłek, to oczekuje się od niego, że nie odmówi prośbie zaśpiewania jednej czy dwóch piosenek. Poza tym tworzę sobie w ten sposób poczet dłużników. Jeśli zdarzy mi się kiedyś

w przyszłości przejeżdżać tędy, będę mógł zaśpiewać i zjeść do woli, nie płacąc ani grosza. – Podszedł do niewielkiego podwyższenia w kącie sali, koło głównego wejścia i usiadł na stołku. Nastroił lutnię, wsluchując się uważnie w dźwięk każdej struny, i zaczął śpiewać. Była to stara i znana ballada, śpiewana i słuchana z upodobaniem we wszystkich gospodach i piwiarniach jak Królestwo długie i szerokie. Miała ładną, wpadającą w ucho melodię, chociaż słowa były ckliwe. Arutha pokręcił głową.

– To straszne...

Pozostali parsknęli śmiechem.

– Tak, to prawda – powiedział Roald. – Ale oni to lubią. – Wskazał ręką tłum w karczmie.

– Laurie gra to, co popularne i modne, a nie zawsze to, co dobre i ambitne. Dzięki temu wszędzie je za darmo – skomentował krótko Jimmy.

Trubadur skończył przy grzmocie oklasków i natychmiast rozpoczął kolejną pieśń. Dla odmiany była to wesola i skoczna szanta, dość bezwstydna, choć bardzo popularna wśród marynarzy Morza Gorzkiego, opowiadająca o pijanym żeglarzu spotykającym syrenę. Grupa marynarzy, która dopiero co zeszła z pokładu po długim rejsie, klaskała w dłonie do wtóru. Jeden z nich wyciągnął z kieszeni prostą, drewnianą piszczałkę i ze znanstwem przygrywał Lauriemu.

Temperatura i rozochoconie słuchaczy rosło z minuty na minutę. Laurie przeszedł płynnie w inną sprośną szantę opowiadającą dla odmiany o

tym, czym też zajmuje się żona kapitana, kiedy mąż znajduje się w dalekim rejsie. Natychmiast podniósł się radosny wrzask i rozległy gromkie brawa. Grający na piszczałce wyskoczył na środek sali i nie przerywając gry, tańczył jak szalony.

Atmosfera nabrała świątecznego charakteru. W pewnym momencie otworzyły się główne drzwi i weszło trzech mężczyzn. Jimmy obserwował ich spod oka, kiedy przepychali się powoli przez tłum.

– Uhuu... nadciągają kłopoty...

Wzrok Martina powędrował za spojrzeniem chłopaka.

– Znasz ich?

– Nie, ale wiem, co nas czeka; ten duży, na przedzie zacznie awanturę.

Mężczyzna, o którym mówił, był niewątpliwie przywódcą całej trójki. Wysoki najemnik z długą, rudą brodą i o potężnej, przypominającej beczkę klatce piersiowej, który z lenistwa dopuścił do tego, aby jego potężne mięśnie porósł tłuszcz. Za pasem miał zatknięte dwa sztylety. Innej broni nie miał. Skórzana kamizela ledwo dopinała się na ogromnym brzuszysku. Dwaj pozostali, idący tuż za nim, wyglądali na niezłych zabijaków. Jeden z nich uzbrojony był w rozliczne noże i sztylety, od krótkiego i cienkiego jak szpila po drugi, przypominający bardziej mały miecz niż sztylet. Drugi miał za pasem wielki, myśliwski nóż.

Rudobrody przepychał się przez tłum, zmierzając wprost do stołu

Aruthy. Wymyślał na głos, odpychając brutalnie na bok tych, którzy

niedostatecznie szybko usuwali mu się z drogi. Z drugiej strony jednak nie można było powiedzieć, że był wrogo nastawiony do całego świata, ponieważ kilka razy żartował rubasznie z napotkanymi znajomkami.

Po chwili cała trójka stanęła przed stołem zajmowanym przez Aruthę i jego towarzyszy. Przywódca przyjrzał się uważnie siedzącym, a jego usta rozciągały się w coraz szerszym uśmiechu.

– Siedzicie przy moim stole. – Akcent zdradził, że pochodził z jednego z Wolnych Miast na południu.

Pochylił się do przodu, wspierając pięściami o blat stołu między talerzami.

– Jesteście tu obcy, więc wam wybaczam. Jimmy gwałtownie otworzył usta i instynktownie oparł się o krzesło. Oddech rudobrodego dobitnie świadczył o tym, że ostatnią dobę spędził na tęgim picciu, a jego zęby od dawna nadawały się jedynie do wyrwania.

– Gdybyście byli mieszkańcami Ylith, dobrze byście wiedzieli, że ilekroć Longly jest w mieście, każdego wieczora przesiaduje Pod Północnym Włóczęgą przy tym właśnie stole. Wstańcie teraz grzecznie i odejdźcie w spokoju, a być może przeżyjecie ten wieczór. – Zadarł głowę do góry i ryknął tubalnym śmiechem.

Jimmy pierwszy zerwał się na równe nogi.

– Przepraszamy, panie. Nie wiedzieliśmy. – Uśmiechnął się lekko i spojrzał na pozostałych. Arutha dał znak, że chce wstać i pragnie uniknąć wszelkich kłopotów. Jimmy udawał, że jest śmiertelnie przerażony wielkim grubasem. – Znajdziemy sobie inny stół...

Rudobrody, który nazwał się Longly, chwycił go mocno za lewą rękę powyżej łokcia.

– Ładniutki chłopczek, no nie? A może to dziewczynka przebrana za chłopczyka. Taki śliczniutki... mniam, mniam... paluszki lizać... –

Znowu zarechotał na cały głos. Spojrzał na Roalda. – To twój przyjaciel czy... maskotka?

Jimmy wzniósł oczy ku niebu.

– Byłoby lepiej, gdybyś tego nie powiedział... Arutha sięgnął ponad stołem i położył dłoń na ramieniu rudobrodego.

– Puść chłopca.

Longly zamachnął się wolną ręką i uderzył Aruthę, który poleciał w tył.

Roald i Martin wymienili zrezygnowane spojrzenia. Jimmy błyskawicznie uniósł prawą nogę, aby sięgnąć po sztylet schowany w cholewie wysokiego buta. Zanim ktokolwiek zdołał się poruszyć, wyciągnął go i przystawił ostrze do żebra rudego.

– Będzie chyba lepiej, przyjacielu, jeżeli znajdziesz sobie inny stół.

Ogromny mężczyzna spojrział z niedowierzaniem na złodziejaszka, który ledwo sięgał mu do brody. Rzucił okiem na jego broń i ryknął niepohamowanym śmiechem.

– Ha, ha... malutki, jesteś bardzo śmieszny. – Z zadziwiającą szybkością jego wolna ręka wystrzeliła w przód i chwyciła Jimmy'ego za nadgarstek. Jednym ruchem, niemal bez wysiłku odsunął ostrze sztyletu na bok.

Na twarzy chłopaka pojawiły się kropelki potu. Wyteżał wszystkie siły, aby uwolnić się z uchwytu, który trzymał jego rękę jak w imadle. Daleko, w kącie sali Laurie śpiewał nadal, nie mając pojęcia, co się dzieje przy stole przyjaciół. Przy sąsiednich stołach szybko robiło się pusto. Goście, dobrze obeznani z życiem portowych knajp, robili miejsce dla rozkręcającej się burdy. Arutha siedział na podłodze oszołomiony ciosem. Potrząsnął głową i poluzował rapier w pochwie.

Roald skinął ku Martinowi i obaj wstali powolutku, dając wyraźnie znać, że nie mają zamiaru sięgnąć po broń.

– Posłuchaj, przyjacielu. Nie chcemy kłopotów. Nie szukamy zwady. Gdybyśmy wiedzieli, że to wasz stół, na pewno trzymalibyśmy się od niego z daleka. Znajdziemy sobie inny. Puść chłopaka.

Rudobrody zadartł głowę do góry i ryknął śmiechem.

– Ha! Chyba go jednak zatrzymam. Znam pewnego tłusciutkiego kupca z Queg, który za tak ślicznego chłopczyka jak nic odpali mi ze sto talarów w złocie. – Skrzywił się nagle i rozejrzał wokół stołu. Zatrzymał wzrok na Roaldzie. – Ty pryskaj. Chłopak musi przeprosić Longly'a za to, że chciał mu zrobić dziurki pod żebrami. Wtedy kto wie, może zgodzę się go puścić? Albo pójdzie do grubasa z Queg.

Arutha podniósł się powoli. Trudno było stwierdzić, czy Longly rzeczywiście chce sprowokować poważną awanturę, ale po otrzymaniu ciosu Księżę nie chciał, aby przeciwnik wykorzystał te wątpliwości.

Miejscowi znali z pewnością rudobrodego i jeśli było tak, że chciał on tylko trochę rozruszać bywalców knajpy, a Arutha pierwszy sięgnie po

broń, może ściągnąć na swoją głowę ich gniew. Dwóch towarzyszy rudego nie spuszczało z nich czujnego wzroku.

Roald rzucił szybkie spojrzenie ku Martinowi i wznosił kufel, jakby chciał dopić piwo. Nagłym ruchem dłoni chlusnął zawartością kufła w twarz Longly'a, po czym rąbnął nim w skroń drugiego nożownika. Niespodziewany atak Roalda odwrócił uwagę trzeciego mężczyzny i nie zauważył on pięści Martina, która śmignęła nagle w stronę jego twarzy. Piorunujący cios posłał go ponad sąsiednim stołem, za którym osunął się na podłogę. Przy takim rozwoju wypadków co bardziej rozsądni goście rozpoczęli szybki odwrót z gospody. Laurie przerwał grę i stanął na podwyższeniu, aby się zorientować w czym problem.

Jeden z barmanów, którego nie interesowało zupełnie, po czyjej stronie leżała wina za rozpętanie awantury, przeskoczył jednym susem kontuar, lądując na grzbiecie najbliższego stojącego uczestnika walki. Okazał się nim Martin. Longly ani na chwilę nie zwolnił mocnego uchwytu na ręce Jimmy'ego. Otarł twarz z piwa. Laurie ostrożnie odłożył lutnię na bok. Rozpędził się, odbił od podwyższenia i blatu najbliższego stołu, by po sekundzie z rozmachem wylądować na plecach rudobrodego. Owinął się ramionami dookoła jego szyi i zaczął dusić. Pod wpływem nagłego uderzenia Longly zachwiał się, natychmiast jednak odzyskał równowagę i pewnie stanął na nogach. Laurie przywarł do niego z całej siły. Rudy nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Wbił oczy w Roalda, który stał przed nim, gotując

się do walki.

– Nie powinieneś chlustać piwem na Longly'a. Teraz jestem naprawdę wściekły!

Z powodu bólu wywołanego potwornym uściskiem twarz Jimmy'ego zrobiła się biała jak papier.

– Niech ktoś mi pomoże! – krzyknął Laurie. – Ten facet zamiast karku ma pień drzewa!

Roald uderzył rudego w twarz. W tym momencie Arutha uskoczył w prawo. Wielkolud mrugał przez chwilę oczami, po czym jednym niedbalym ruchem cisnął Jimmym w Roalda, odrzucając go na Aruthę.

Cała trojka runęła na podłogę w kłębówisku nóg i rąk. Rudobrody sięgnął za siebie drugą ręką i złapał Lauriego za bluzę. Szarpnął mocno i przerzucił trubadura ponad głowę. Ciało Lauriego zatoczyło w powietrzu łagodny łuk i walnęło z rozmachem o blat najbliższego stołu. Rozległ się trzask łamanej drewnianej nogi. Blat przechylił się i pieśniarz potoczył się na Aruthę i Roalda gramolących się właśnie z podłogi.

Martin zmagał się z barmanem. Zakończył potyczkę, wrzucając go z powrotem za kontuar. Obrócił się błyskawicznie, chwycił rudego za ramię i szarpnął, zwracając twarzą do siebie. Oczy wielkoluda rozjaśniły się – nareszcie napotkał godnego siebie przeciwnika.

Mierzący ponad metr dziewięćdziesiąt Martin był od niego wyższy, chociaż ustępował mu masą ciała. Rozległ się radosny wrzask rudego, który nie zwlekając chwycił Martina za bary. Po chwili obaj splekli się w

zapaśniczym chwycie: z jedną ręką obejmującą od tyłu kark przeciwnika, a drugą przytrzymującą nadgarstek wolnej ręki. Przez kilka długich minut zataczali się, przesuając powoli. Jeden i drugi czaił się, by uzyskać jak najlepszą pozycję do wykonania rzutu.

Laurie usiadł prosto i potrząsnął głową.

– To nieludzkie... – mamrotał pod nosem. Zdał sobie sprawę, że siedzi na Roaldzie i Anicie i natychmiast spróbował wyswobodzić się z plątaniny rąk i nóg.

Jimmy wstał na nogi i zatoczył się jak pijany. Po chwili podniósł się również Arutha. Laurie spojrział z podłogi na Jimmy'ego.

– Co chciałeś osiągnąć, wyciągając ten swój kozik, co? Miałeś zamiar wyprawić nas wszystkich na tamten świat czy co?

Jimmy spojrział wściekłym wzrokiem na dwóch zmagających się nie opodal mężczyzn.

– Nikt nie będzie o mnie mówił w ten sposób! Nie jestem jakimś cholernym lalusiem!

– Hola, hola! Nie bierz tak wszystkiego do siebie. – Zaczął z trudem wstawać z podłogi. – On po prostu lubi się chyba pobawić... –

Kolana odmówiły mu posłuszeństwa i musiał złapać się Jimmy'ego, aby znowu nie upaść.

Rudobrody, zmagając się z Martinem, wydawał całą serię pomruków, jęków i westchnień. Martin walczył w absolutnej ciszy.

Wykorzystując przewagę wzrostu, z całej siły napierał na przeciwnika, by zrównoważyć jego większą wagę. Coś, co potencjalnie mogło

doprowadzić do krwawej rozprawy, przekształciło się niepostrzeżenie w dość przyjazny, chociaż brutalny, turniej. Longly niespodziewanie cofnął się, lecz Martin po prostu poszedł za nim, zwalniając uchwyt na karku, ale nie puszczając ręki. Jednym zwinnym ruchem przeskoczył za plecy przeciwnika, wykręcając mu boleśnie rękę. Grubas skrzywił się. Martin zwiększył nacisk, zmuszając rudego do powolnego opadnięcia na kolana.

Laurie pomagał wstać Roaldowi. Najemnik chwycił się za głowę, potrząsając nią co chwila, aby szybciej dojść do siebie. Po chwili wróciła mu ostrość wzroku. Rozejrzał się i ocenił sytuację.

– To nie jest zbyt przyjemne, jak sądzę – powiedział do Lauriego.

– Tak, masz chyba rację. I pewnie dlatego jego twarz robi się coraz bardziej purpurowa – zgodził się skwapliwie Jimmy.

Roald chciał odpowiedzieć chłopakowi, lecz nagle coś za plecami

Aruthy zwróciło jego uwagę. Odwrócił raptownie głowę. Jimmy i

Laurie podążyli za jego spojrzeniem. Ich oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

Księżę spostrzegł, że wszyscy trzej patrzą na niego i obrócił się

błyskawicznie. Wykorzystując ogólne zamieszanie, ubrany na czarno

mężczyzna zdołał podkraść się bezszelestnie do stołu, przy którym stał

Arutha. Stał dziwnie sztywno, wyprostowany jak świeca. We

wzniesionej wysoko dłoni dzierżył zaciśnięty sztylet. Za sekundę miał

zadać śmiertelny cios. Patrzył pustym wzrokiem przed siebie, a jego

usta poruszały się bezgłośnie.

Ręka Aruthy wystrzeliła jak błyskawica, odtrącając sztylet na bok, lecz oczy wpatrywały się czujnie w inną postać za czarnym napastnikiem. Wojownik Hadati, którego widzieli przy bramie, stał tuż za czarnym, szykując się do zadania następnego ciosu. Uderzył cicho i ze śmiercionośną precyzją, zapobiegając atakowi na Księcia. Martwy napastnik zwałił się na ziemię. Hadati szybko schował długi miecz do pochwy.

– Chodźcie! Szybko! Jest ich więcej.

Jimmy błyskawicznie schylił się nad zabitym. Szarpnął i zerwał hebanowego jastrzębia na łańcuszku, pokazując go wszystkim. Arutha momentalnie podskoczył do brata.

– Martin! Nocne Jastrzębie! Kończ to!

Martin skinął szybko głową. Zaparł się mocno o podłogę i gwałtownym ruchem szarpnął wykręconą rękę rudego, wrywając ją niemal ze stawu. Longly padł ciężko na kolana. Spojrzał w górę, a kiedy Martin wzniosł pięść do zadania ostatecznego ciosu, przymknął oczy, rezygnując z dalszego oporu. Martin powstrzymał rękę.

– Eee... to nie ma sensu – mruknął i pchnął mocno rudego, który zwałił się ciężko twarzą na podłogę. Dźwignął się jednak po chwili, masując obolałe ramię.

– Ha! – zarechotał radośnie. – Wróc tu kiedyś, panie leśny! Na bogów, sprawiłeś Longly'owi wielkie lanie! Ale heca!

Wybiegli, pędem kierując się w stronę stajni. Chłopak stajenny omal nie zemdlął ze strachu, gdy ujrzał nagle czterech uzbrojonych

mężczyzn pędzących wprost na niego.

– Gdzie nasze konie? – rzucił krótko Arutha. – Chłopak wskazał na koniec stajni.

– Nie wytrzymają długiego galopu – zaproponował Martin. Arutha rozejrzał się i zauważył inne wierzchowce, wypoczęte i nakarmione.

– A te do kogo należą?

– Do mego pana. Mają być sprzedane na aukcji w przyszłym tygodniu.

Arutha dał znak pozostałym, by siodłali nowe rumaki. Oczy chłopaka zaszkliły się łzami.

– Panie, darujcie mi życie...

– Chłopcze, nie mamy zamiaru cię zabijać. Nie bój się. Stajenny czmychnął do kąta, gdzie skulił się przerażony. Osiodłano konie. Hadati wziął jedno z leżących obok siodeł, które niewątpliwie stanowiły własność karczmarza, i przygotował szóstego konia. Arutha wskoczył na wierzchowca i rzucił chłopakowi sakiewkę.

– Trzymaj. Powiedz swemu panu, aby sprzedał nasze konie, a różnicę wyrównał sobie z tego, co jest w sakiewce. Zatrzymaj trochę dla siebie.

Kiedy wszyscy byli gotowi, opuścili stajnię, przecięli podwórko i przez boczną bramę wyjechali na wąską uliczkę. Jeśli podniesiono alarm, wkrótce zostaną zamknięte bramy miasta. Śmierć w karczemnej burdzie to zawsze ryzykowna i niepewna sprawa. Mogli być ścigani albo i nie, w zależności od tego, który oficer straży miejskiej pełnił

akurat służbę tej nocy. Mogło być też piętnaście innych przyczyn decydujących o ich losie. Arutha wolał nie ryzykować i pogalopowali ku zachodniej bramie.

Strażnicy miejscy ledwo podnieśli głowy, gdy sześciu jeźdźców przegalopowało obok nich i zniknęło w perspektywie gościńca prowadzącego do Wolnych Miast. Nie ogłoszono alarmu.

Pędzili, aż światła Ylith zmieniły się w odległą lunę na tle nocnego nieba. Arutha zarządził postój. Podjechał do górala Hadati.

– Musimy porozmawiać.

Zsiedli z koni i Martin zaprowadził ich na niewielką polankę oddaloną nieco od drogi. Jimmy zajął się końmi.

– Kim jesteś?

– Jestem Baru, zwany także Zabójcą Węży – odpowiedział Hadati.

– To wielkie i potężne imię – wtrącił Laurie. – Aby zyskać taki przydomek, musiał własnoręcznie zabić bazyliżka, dwunogiego skrzydlatego smoka.

Arutha spojrział na Martina, który z szacunkiem skłonił głowę.

– Zmierzenie się ze smokami wymaga odwagi, mocnej ręki i szczęścia.

Bazyliżki były bliskimi kuzynami smoków, różnica sprowadzała się właściwie tylko do rozmiarów. Walka z nimi oznaczała rzucenie wyzwania nieokiełznanej furii, szponom, nadludzkiej szybkości i długim kłom, a wszystko to w postaci potwora czterometrowej wysokości.

Na ustach Hadatiego po raz pierwszy pojawił się uśmiech.

– Jesteś myśliwym z krwi i kości, jak słusznie podkreśla to Długi

Łuk, książę Martin. – Oczy Roalda zrobiły się okrągłe ze zdumienia. –

Głównie potrzeba szczęścia.

Roald gapił się na Martina.

– Książę Martin... – zwrócił wzrok na Aruthę. – ...a więc ty musisz być...

– To książę Arutha, syn Borrica i brat naszego Króla. Nie wiedziałeś?

Roald gwałtownie pokręcił głową. Spojrzał z wyrzutem na Lauriego.

– A niech to, Laurie! Po raz pierwszy w życiu zdarzyło ci się opowiedzieć tylko część historii!

– To długa opowieść i jeszcze bardziej nieprawdopodobna od tej, którą już usłyszałeś. – Zwrócił się do Baru. – Widzę, że pochodzisz z północy, ale nie znam twego klanu.

Hadati ujął w palce materiał w kratę.

– To oznacza, że należę do rodu Ordwinson z Klanu Żelaznych Wzgórz. Mój lud zamieszkuje w pobliżu miejsca, które wy, ludzie z miasta, nazywacie Niebiańskim Jeziorem.

– Jesteś na Szlaku Krwi?

Wskazał na zrolowaną przepaskę na czole.

– Tak. Jestem Poszukiwaczem Drogi.

– To coś jakby kapłan czy święty człowiek... hm. Wasza Wysokość

– wyjaśnił Roald.

– Konsekrowany wojownik – dorzucił Laurie. – Przepaska

zawiera imiona wszystkich jego przodków. Nie zaznają spokoju, dopóki nie dokończy swojej misji. Złożył przysięgę, że albo jego Szlak Krwi zostanie uwieńczony sukcesem, albo umrze.

– Skąd mnie znasz?

– Widziałem cię pod sam koniec wojny, panie, kiedy podążałeś na

konferencję pokojową z Tsuranimi. Mój klan nigdy nie zapomni

tamtych dni. – Zapatrzył się w mrok nocy. – Kiedy otrzymaliśmy

wezwanie od naszego władcy, ruszyliśmy w bój z Tsuranimi i

walczyliśmy nieprzerwanie ponad dziewięć lat. To był wielki i potężny

przeciwnik, gotów umrzeć za honor, przeciwnik, który dobrze rozumiał

i znał swoje miejsce na Kole. To była wspaniała i godna szacunku

walka.

Na wiosnę, w ostatnim roku wojny, nadciągnęły nieprzebrane

rzesze Tsuranich. Biliśmy się przez trzy dni i trzy noce, a Tsurani

okupowali każdą zdobytą piędź ziemi wielkimi stratami. Trzeciego

dnia, my z Żelaznych Wzgórz, znaleźliśmy się w okrążeniu. W walce

uczestniczyli wszyscy mężczyźni klanu zdolni do dźwigania miecza.

Życie wszystkich zawisło na włosku. Padlibyśmy co do jednego, gdyby

nie książę Borric, który dostrzegł zagrożenie i uratował nas. Gdyby nie

twój ojciec, panie, nasze imiona byłyby tylko szeptem niesionym

podmuchami wczorajszego wiatru.

Arutha przypomniał sobie, że Lyam w liście, w którym donosił o

śmierci ojca, wspomniał klan Hadatich.

– A co śmierć mego ojca, ma wspólnego ze mną? Baru wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Szukałem na to odpowiedzi przy bramie. Wielu tamtędy przechodzi, a ja zadawałem pytania, które mogłyby mnie wspomóc na Szlaku, i wtedy zauważyłem, jak przejeżdżacie obok. Pomyślałem sobie, że warto sprawdzić, dlaczego księżę Krondoru miałby wjeżdżać do jednego ze swoich miast, przebrany za zwykłego najemnika. Byłoby to zajęcie, które mogło urozmaicić czas poszukiwania informacji. No i wtedy pojawił się zabójca. Przecież nie mogłem stać bezczynnie, patrząc jak cię zabija. Twój ojciec ocalił mężczyzn mego ludu, ja ocaliłem twoje życie. Być może splaca to w części zaciągnięty dług? Któż wie, jak naprawdę obraca się Koło?

– Wspomniałeś w gospodzie, że byli także inni?

– Ten, który próbował cię zabić, śledził cię aż do gospody. Przez chwilę obserwował cię, a potem wyszedł na zewnątrz. Złapał jakiegoś chłopaka z ulicy. Szeptał mu coś do ucha, dał pieniądze i chłopak pobiegł gdzieś. Zauważył tych trzech, z którymi potem się biliście, i zatrzymał ich. Nie słyszałem słów, ale widziałem, jak wskazał na gospodę, a oni weszli do środka.

– Zatem cała bójka była ukartowana.

Jimmy skończył oporządzać konie i podszedł do nich.

– Prawdopodobnie znał dobrze porywczy charakter rudego i po prostu dopilnował, aby trafiła do niego wiadomość, że przy jego

ulubionym stole siedzą jacyś obcy. Nie chciał dopuścić, aby tamci poszli sobie gdzie indziej i nie natknęli się na nas.

– Może chciał nas czymś zająć aż do przybycia pozostałych. A potem spostrzegł, że ma szansę i nie chciał jej zmarnować – powiedział Laurie.

– Gdyby cię tam nie było, to rzeczywiście byłaby zbyt dobra szansa, aby ją zmarnować – skomentował Arutha. Hadati uznał te słowa za podziękowanie.

– Nie może być mowy o żadnym długu, panie. Jak już mówiłem, niewykluczone, że to ja właśnie splacam dług. Roald włączył się do rozmowy.

– No cóż, dobrze, że wszystko się wyjaśniło. Na mnie już czas. Muszę wracać do Ylith.

Arutha wymienił spojrzenia z Lauriem.

– Roald, stary przyjacielu, myślę, że powinienesz zmienić swoje plany – powiedział trubadur.

– Co?

– Jeżeli ktoś zauważył cię w towarzystwie Księcia, a jest to bardzo prawdopodobne zważywszy, że w chwili, gdy wybuchła awantura, w gospodzie było ze trzydziestu albo i czterdziestu gości, to ci, którzy go poszukują, mogą dojść do wniosku, że najlepiej będzie zapytać ciebie, w którą stronę się kierujemy.

– Niech tylko spróbują! – krzyknął Roald buńczucznie, ale niezbyt pewnym głosem.

– Lepiej nie próbować – powiedział Martin. – Są zdeterminowani.

Już nieraz miałem do czynienia z moredhelami i z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że nie są zbyt delikatni.

Roald wybałuszył na niego oczy.

– Bractwo Mrocznego Szlaku? Martin pokiwał głową.

– Mówiłeś, że jesteś chwilowo wolny – dorzucił Laurie.

– I chciałem utrzymać taki stan rzeczy. Arutha wytoczył cięższe działa.

– Odmówiłbyś swemu Księżciu i panu?

– Bez urazy. Wasza Wysokość, ale jestem wolnym człowiekiem.

Nie jestem na służbie u ciebie, panie, i nie złamałem żadnego prawa. Nie masz nade mną takiej władzy...

– Roald, posłuchaj – przerwał mu Laurie. – Jest prawie pewne, że zabójcy będą starali się za wszelką cenę znaleźć każdego, kto przebywał w naszym towarzystwie. I chociaż dobrze wiem, że jesteś twardy, to jednak widziałem na własne oczy, co mogą zrobić z człowiekiem. Za żadne skarby nie chciałbym dostać się w ich łapy! – Roald wydawał się trwać w swoim postanowieniu.

– Moglibyśmy wynagrodzić cię za służbę u nas – dorzucił Martin.

Roald rozpromienił się nagle.

– Taak? Ile?

– Zostań z nami aż do zakończenia misji, a dostaniesz ode mnie sto talarów w złocie – odpowiedział Arutha.

– Umowa stoi! – prawie krzyknął Roald, nie wahając się ani

sekundy. Nawet jak na doświadczonego strażnika karawan były to, lekko licząc, czteromiesięczne zarobki. Arutha zwrócił spojrzenie na Baru.

– Wspominałeś, że szukasz informacji. Czy możemy ci pomóc na Szlaku?

– Być może. Pragnę odnaleźć jednego z tych, których nazywacie Bractwem Mrocznego Szlaku. Martin uniósł brwi i zerknął na brata.

– Co masz wspólnego z moredhelami?

– Poszukuję ogromnego moredhela ze wzgórz Yabon, który ma na głowie węzeł upleciony z włosów. – Ruchem rąk opisał wygląd końskiego ogona. – Na każdym policzku ma trzy blizny. Powiedziano mi, że udał się na południe z jakąś szatańską misją. Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś o nim od podróżników, ponieważ z pewnością rzuca się on w oczy, szczególnie na tle moredheli z południa.

– Jeśli jeszcze nie ma języka, to ten sam, który zaatakował nas na drodze do Sarth – powiedział Arutha.

– Ten sam. Moredhel bez języka nazywa się Murad. Jest wodzem Klanu Kruczych moredheli, odwiecznych wrogów mego ludu. Nawet jego ziomkowie boją się go jak ognia. Szramy na policzkach mówią, że zawarł pakt z ciemnymi mocami. Tyle tylko wiadomo. Od lat nikt go nie widział. Właściwie od czasów, kiedy to przed wojną maruderzy najechali na pogranicze wzgórz Yabon.

To on właśnie jest przyczyną, dla której wyruszyłem na Szlak Krwi. Widziano go ponownie jakieś dwa miesiące temu. Przechodził

koło jednej z naszych wiosek na czele bandy wojowników w czarnych zbrojach. Bez żadnej przyczyny zniszczyli wioskę. Spalili wszystkie domy i zamordowali wszystkich, z wyjątkiem jednego pastucha. On właśnie opisał mi wygląd ich przywódcy. To była moja rodzinna wioska. – Westchnął głęboko, jakby z rezygnacją. – Jeśli znajdował się w pobliżu Sarth, to muszę się tam udać. Ten moredhel stanowczo za długo żyje.

Arutha skinął ku Lauriemu.

– Baru, wiele wskazuje, że jeśli zostaniesz z nami, to najprawdopodobniej twój przeciwnik sam cię odnajdzie. – Baru spojrzał pytająco na Aruthę i Księżę pokrótce opowiedział mu o Murmandamusie i jego sługach oraz o poszukiwaniu ratunku dla Anity. Kiedy skończył, na twarzy Hadatiego pojawił się uśmiech, nie było w nim jednak ani odrobiny radości.

– W takim razie. Wasza Wysokość, jeśli zechcesz mnie przyjąć, przystanę na służbę do ciebie. Los zetknął nas ze sobą. Mój wróg poluje na ciebie. Obiecuję, że będę miał jego głowę, zanim zagrozi tobie.

– Zgoda. Przyjmiemy cię z radością, ponieważ kroczymy niebezpiecznym szlakiem.

Martin znieruchomiał nagle. W tej samej sekundzie Baru zerwał się i zniknął bezszelestnie pomiędzy drzewami za plecami Martina, który gestem ręki nakazał wszystkim ciszę. Zanim ktokolwiek zdołał się ruszyć, poszedł w ślady górala i rozplynął się w ciemności. Reszta zaczęła wstawać, lecz Arutha nakazał im spokój. Stali bez ruchu w

ciemności i po chwili usłyszeli dźwięk, który zaalarmował Martina i Hadatiego. Na drodze prowadzącej z Ylith rozległ się przytłumiony tętent kopyt końskich.

Mijały długie minuty, hałas przesunął się na południowy zachód i ucichł w oddali. Po jakimś czasie pojawili się Martin i Baru.

– Jeźdźcy. Kilkunastu – szepnął Martin. – Pędzili, jakby gonilo ich stado demonów.

– Czarne zbroje? – dopytywał się Arutha.

– Nie. To byli ludzie. W ciemności nie widziałem zbyt wielu szczegółów, ale wyglądali na tęgich zabijaków.

– Nocne Jastrzębie mogły przecież, w razie potrzeby, wynająć dodatkowych bandziorów. Ylith to dosyć specyficzne miasto – powiedział Laurie.

Jimmy zgodził się.

– Być może tylko jeden czy dwóch to Jastrzębie. Ale wynajęci nożownicy zabijają równie szybko i skutecznie jak inni.

– Kierowali się w stronę Wolnych Miast – powiedział Baru.

– Wrócą – rzucił krótko Roald. Arutha odwrócił się i spojrzał na ledwo majaczącą w mdłym świetle księżyca twarz najemnika.

– Twój baron Talanque założył niedawno nową komorę celną, niecałe dziesięć kilometrów stąd na południe. Przejeżdżałem tamtędy dziś wczesnym wieczorem. Wygląda na to, że ostatnimi czasy ożywił się szmugielek z Natalu. Dowiedzą się od żołnierzy, że dziś w nocy nikt tamtędy nie przejeżdżał i zawrócą.

– W takim razie musimy natychmiast ruszać. Pozostaje otwarte

pytanie: jak dotrzemy do Elvandaru? Miałem zamiar pojechać drogą na północ do Yabon, a potem skręcić na zachód.

– Na pomoc od Ylith z pewnością natkniesz się na kogoś, kto zna cię, panie, z czasów wojny. Szczególnie w okolicach LaMut. Gdybym miał trochę oleju w głowie, na pewno bym do tego doszedł.

– To którą?

– Hm, możemy pojechać stąd prosto na zachód. Przejść przez Południową Przełęcz, następnie przez Zielone Serce, wzdłuż zachodnich stoków Szarych Wież. To niebezpieczna droga, ale... – zaproponował Martin.

– Gobliny i trolle to przynajmniej przeciwnik, którego dobrze znamy – dokończył za niego Arutha. – Zgoda, pojedziemy, jak powiedziałaś. Ruszajmy. Nie ma czasu do stracenia.

Dosiedli koni i ruszyli w drogę za Martinem jadącym na czele.

Posuwali się powoli przez mroczne, uśpione lasy, kierując się na zachód. Arutha z trudem zdusił w sobie narastający gniew. Spokojna podróż z Sarth do Ylith uśpiła jego czujność sprawiając, że na chwilę zapomniał o czyhającym na nich niebezpieczeństwie. Jednak zasadzka w gospodzie, a potem cwałujący nocą jeźdźcy obudziły i wyostrzyły jego zmysły. Być może Murmandamus i jego agenci rzeczywiście zostali pozbawieni magicznych sposobów odnajdywania go, jednak nie zwinęli sieci i niewiele brakowało, a wpadłby w nią na dobre.

Jimmy zamykał pochód, oglądał się przez ramię i żywił w sercu

nadzieję, że nie ujrzy pościgu. Po kilkunastu minutach jaśniejsza wstążka drogi zniknęła mu z oczu. Chłopak skupił całą uwagę na plecach Roalda i Lauriego, jedynych konkretnych kształtach, które mógł dostrzec przed sobą.

STARDOCK

Wiatr spienił wody jeziora.

Gardan spoglądał na odległy brzeg Stardock żalując, że nie mógł dotrzeć do akademii konno, zamiast zawierzać losowi, iż ten zechce utrzymać barkę właściwą stroną do góry. Cóż było jednak począć, akademia była usytuowana na wyspie. Przecierpiał już niejedną podróż morską i choć całe życie spędził w mieście portowym, nadal nie cierpiał żeglugi. Oczywiście nigdy nie przyznałby się do tego otwarcie.

Opuścili Kronдор na pokładzie statku i płynąc wzdłuż wybrzeża, dotarli do cieśnin pomiędzy Morzem Gorzkim a Morzem Snów, które było raczej ogromnym, słonowodnym jeziorem niż morzem z prawdziwego zdarzenia. W Shamacie wynajęli konie i pojechali w górę rzeki Dawlin, docierając aż do jej źródeł, do Wielkiego Gwiazdzistego Jeziora. Teraz czekali, aż barka popychana długimi tyczkami przez dwóch miejscowych chłopów ubranych w proste bluzy przybije do ich brzegu. Za chwilę Gardan, brat Dominik, Kasumi i sześciu gwardzistów Tsuranich miało wejść na pokład, by pokonać ostatni, dwukilometrowy odcinek podróży.

Jak na tę porę roku, było wyjątkowo zimno. Gardan dygotał na całym ciele. Wiosna już przyszła, jednak późnopołudniowy wiatr nie niósł zwykłych o tej porze, ciepłych podmuchów.

– Proszę sobie tylko przypomnieć, że ja jestem wygnańcem z ciepłego klimatu, kapitanie – zachichotał Kasumi.

– Nie, to nie to – odpowiedział Gardan bez humoru. – Owszem, jest tu zimno, ale to nie tylko to. Jest coś jeszcze... Odkąd opuściłem Księcia, bez przerwy towarzyszy mi jakieś mroczne przeczucie nieszczęścia. – Brat Dominik nie odezwał się ani słowem, lecz z jego twarzy można było wyczytać, że podziela to odczucie.

Kasumi skinął głową. Został w Krondorze, aby strzec Króla. Kiedy nadeszła wiadomość od Aruthy, Lyam poprosił go, aby towarzyszył Gardanowi i mnichowi Ishap w podróży do Stardock. Poza tym, że sam bardzo chciał zobaczyć się z Pugiem, w słowach Lyama wyczuł coś, co kazało mu przypuszczać, że bezpieczne dotarcie mnicha do Stardock było dla Króla sprawą najwyższej wagi.

Barka wryła się dziobem w brzeg. Jeden z przewoźników wyskoczył.

– Aby przewieźć was i konie, będziemy musieli obrócić dwa razy, panie.

– W porządku – odpowiedział Kasumi, który był najstarszy rangą. Wyznaczył pięciu swoich ludzi. – Ci popłyną pierwsi. My w drugiej turze.

Gardan nie sprzeciwiał się, że popłynie jako drugi; nie miał najmniejszej chęci przyspieszania zbliżającej się „męki”. Pięciu Tsuranich wprowadziło wierzchowce na łódź i w milczeniu zajęło swoje miejsca. Bez względu na to, co myśleli o zbliżającej się podróży na rozchybotanej barce, zachowywali stoicki spokój.

Odbili od brzegu. Gardan patrzył w milczeniu. Poza nikłymi

oznakami życia na odległej wyspie, południowy brzeg Wielkiego Gwiazdzistego Jeziora był całkowicie opustoszały. Zastanawiał się, dlaczego ktoś miałby wybierać życie w takim osamotnieniu i izolacji od świata? Jak głosiła stara legenda, kiedyś z niebios spadła gwiazda, a w miejscu, gdzie uderzyła w ziemię, powstało jezioro. Bez względu na jego pochodzenie jedno było pewne, na tych brzegach nie osiedliła się nigdy żadna społeczność.

Ostatni żołnierz Tsuranich, który został z nimi na brzegu, powiedział coś w rodzimym języku do Kasumiego, wskazując na północny wschód. Kasumi spojrzał w tamtym kierunku.

Gardan i Dominik również zwrócili głowy w tamtą stronę. Daleko, tuż ponad horyzontem, na tle mroczniejącego przed zmierzchem nieba widać było kilka lecących ku nim, uskrzydłonych sylwetek.

– Co to jest? – spytał Kasumi. – Jeszcze nie widziałem tak wielkich ptaków w waszym świecie, patrzcie tylko, są tak wielkie jak ludzie!

Gardan zmrużył oczy, wpatrując się w dal. Rozległ się krzyk Dominika.

– O Ishap, miej nad nami litość! Na brzeg! Wracajcie natychmiast na brzeg!

Przewoźnicy obejrzeni się zdziwieni. Kiedy jednak spostrzegli, że Gardan i pozostali dobywają broni, natarli z całej siły na tyczki i skierowali szybko barkę ku brzegowi. Nadlatujące sylwetki były już wyraźnie widoczne. Kierowały się wprost na grupkę na brzegu. Jeden z przewoźników krzyknął przerażony, błagając Dale o ratunek.

Były to nagie, męskie postacie, groteskowo ludzkie w kształcie, o niebieskiej skórze i potężnie umięśnionych torsach. Mięśnie na piersiach i barkach prężyły się rytmicznie, gdy gigantyczne, nietoperzowate skrzydła biły powietrze. Głowy ich przypominały do złudzenia bezwłose małpie główki. Za każdym z nich wił się w powietrzu długi, chwytny ogon. Gardan policzył szybko: równy tuzin. Wrzeszcząc i piszcząc przeraźliwie wysokimi głosami, stwory nurkowały wprost na stojących na brzegu.

Przestraszony koń uskoczył w bok. Gardan przechylił się gwałtownie, unikając w ostatniej chwili rozcapierzonych szponów stwora. Za plecami rozległ się rozpaczliwy krzyk. Kapitan zerknął przez ramię. Jeden z przewoźników został pochwycony i uniesiony w powietrze. Bestia zawisała na chwilę w powietrzu, machając gwałtownie skrzydłami i trzymając biedaka za kark. Wydając ohydny, pogardliwy wrzask, stwór rozerwał jednym szarpnięciem gardło ofiary i puścił ją. Ciało w fontannie krwi wpadło w wody jeziora.

Gardan ciął mieczem innego, który chciał go pochwyć w podobny sposób. Ostrze trafiło prosto w twarz, lecz bestia odskoczyła tylko, machając gwałtownie skrzydłami. W miejscu, gdzie ugodziła klinga, nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Stwór wykrzywił się okropnie, potrząsnął głową i ponowił gwałtowny atak. Gardan cofnął się, skupiając całą uwagę na wyciągniętych ku niemu rękach.

*Zakończone
szponiastymi*

paznokciami

niemal

ludzkie

palce

zazgrzytały po stali, gdy sparował atak. Kapitan modlił się w duchu,

aby koń zechciał stać w spokoju tak długo, by zdołał wydobyć tarczę.

– Co to jest? Co to za stworzenia? – krzyknął Kasumi. Barka

podpłynęła blisko i pięciu Tsuranich mogło wyskoczyć na brzeg.

Gdzieś za plecami usłyszeli głos Dominika.

– To byty elementarne, utworzone za pomocą czarnej magii.

Naszą bronią nic nie zwojujemy.

Tsurani zdawali się nie wzruszeni tą wiadomością i atakowali bez

wahania stwory jak każdego innego przeciwnika. Chociaż zadawane

ciosy nie raniły, musiały powodować ból, nagły atak Tsuranich sprawił

bowiem, że bestie wycofały się, na chwilę zawisając w powietrzu.

Gardan szybko rozejrzał się, aby zorientować się w sytuacji.

Kasumi i Dominik byli tuż obok. Obaj mieli wyciągnięte tarcze i stali

gotowi do walki. Stwory zaatakowały ponownie. Żołnierz krzyknął i

kapitan zauważył, jak jeden z Tsuranich pada na ziemię.

Gardan obserwował przez chwilę, jak Kasumi, wykorzystując z

powodzeniem miecz, tarczę a także szybkość i zwinność ruchów,

uniknął jednoczesnego ataku dwóch bestii. Zdawał sobie jednak dobrze

sprawę, że nadzieje na przetrwanie są praktycznie równe zeru.

Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy zmęczą się, ich ruchy

spowolniają, a wtedy... Po stworach nie było widać ani śladu

zmęczenia. Spadały ciągle w dół, ponawiając ataki z taką samą furią jak na początku.

Dominik zamachnął się tęgą laską. Z gardła jednego ze stworów wyrwał się zawodzący, piskliwy wrzask. Jeśli nawet ich broń nie potrafiła przecinać magicznie utworzonej skóry, to przynajmniej mogła łamać kości. Bestia latała w kółko, trzepocząc rozpaczliwie skrzydłami i starając się za wszelką cenę utrzymać w powietrzu. Nadaremnie.

Powoli, lecz nieubłagane opadała coraz niżej i niżej ku ziemi. Z niezdarnych, chaotycznych ruchów jednego ze skrzydeł widać było, że Dominik musiał zgruchotać jej bark.

Gardan uchylił się przed kolejnym atakiem i zwinnie odskoczył w bok. Poza bijącymi gwałtownie powietrze skrzydłami atakującej go pary dostrzegł, jak ranny stwór opada na ziemię. W momencie, gdy jego stopy zetknęły się z powierzchnią ziemi, rozległ się świdrujący w uszach wrzask bólu. Jego ciało eksplodowało tysiącem świetlistych zygzaków energii. W wieczornym półmroku nastąpił nagły, oślepiający błysk i stwór rozplynął się w powietrzu. Tylko na ziemi została ciemna, dymiąca plama.

– To elementarne byty powietrza! – krzyknął Dominik. –

Dotknięcie ziemi zabija je natychmiast!

Gardan zamachnął się znad głowy i zdzielił z całej siły najbliższego stwora. Impet uderzenia zepchnął go w dół. Dosłownie na ułamek sekundy jego stopa zetknęła się z ziemią, lecz to wystarczyło.

Tak jak jego poprzednik, zmienił się w migotliwą chmurę rozbłysków i iskier. Próbując oderwać się od czekającej na dole zagłady, sięgnął w panice w górę i chwycił za powiewający ogon innej bestii. Wąż roziskrzonych energii pomknął w górę po ogonie, by po sekundzie pochłonąć i następnego stwora.

Kasumi szybko ocenił sytuację. Trzech z jego sześciu ludzi leżało martwych na ziemi. Dziewięć pozostałych przy życiu bestii kłębiło się nad ich głowami. W ich atakach można było teraz zauważyć pewną ostrożność. Jeden z nich nurkował w stronę Dominika, który zaparł się mocniej nogami, szykując się do odparcia ataku. Tym razem jednak, zamiast sięgnąć po mnicha szponami, stwór wyhamował w ostatniej chwili. Machając gwałtownie skrzydłami do tyłu i okładając nimi zakonnika, starał się zwalić go na ziemię. Gardan rzucił się ku Dominikowi, ledwo unikając wyciągających się ku niemu szponów. Starając się nie wypuścić miecza z dłoni, wyciągnął ramiona i objął nogi stwora dyndające przed mnichem. Złapał z całej siły, przyciskając twarz do uda bestii. Poczul w nosie straszny, odrażający fetor, smród czegoś, co zdechło i dawno powinno być już zakopane w ziemi. Żołądek podskoczył mu do gardła. Niespodziewane obciążenie ściągnęło stwora w dół. Rozległo się przenikliwe wycie. Skrzydła zaczęły rozpaczliwie bić powietrze. Było jednak za późno. Stwór stracił równowagę. Gardan szarpnął jeszcze raz i ściągnął go na ziemię. Eksplozja iskier i zygzaków błyskawic i kolejna bestia wyparowała.

Gardan upadł i przetoczył się po ziemi. Na ciele, w miejscach

którymi dotykał stwora, gdy ten rozpadał się, ulegając zagładzie, w ramionach i na piersi poczuł przeszywający, piekący ból. Zignorował cierpienie, czując rosnący przypływ energii i nadziei. Grupka na brzegu liczyła teraz siedem osób. Kasumi, Dominik, trzech żołnierzy, przewoźnik jak oszalały wymachujący tyką oraz on sam. Liczba stworów spadła do ośmiu sztuk.

Przez kilka chwil elementarne byty zdecydowały się krążyć ponad głowami siódemki, pozostając poza zasięgiem ich broni. Nagle, gdy utworzyły klucz i wzbiły się w górę, aby znurkować do ponownego ataku, kilka metrów od ludzi pojawiło się dziwne migotanie powietrza. Gardan zaczął się modlić w duchu do Tith, boga żołnierzy, aby nie był to kolejny napastnik. Jeszcze jeden wróg z pewnością przeważylby szalę zwycięstwa na ich niekorzyść.

Tuż obok błysnęło i na plaży niespodziewanie pojawił się mężczyzna ubrany w prostą, czarną bluzę i spodnie. Gardan i Kasumi natychmiast rozpoznali Puga i krzyknęli do niego ostrzegawczo. Mag powiódł spokojnym spojrzeniem po okolicy, oceniając sytuację. Jeden ze stworów dostrzegł nie uzbrojonego człowieka. Zawył z opętańczą radością i runął na niego z góry.

Pug stał spokojnie, nie zmieniając pozycji. Spadający z góry jak kamień stwór był już niecałe trzy metry nad nim, gdy nagle uderzył w niewidzialną barierę jak w kamienny mur. Zwinął się z bólu i opadł bezwładnie na ziemię, by w następnej sekundzie zniknąć w oślepiającym błysku światła.

Wysoko w powietrzu rozległy się paniczne wrzaski przerażenia.

Pozostałe bestie zrozumiały, że oto pojawił się przeciwnik, pozostający całkowicie poza ich zasięgiem. Cała siódemka wykonała w powietrzu karkołomny zwrot i skierowała się błyskawicznie ku północy.

Pug zatoczył wzniesionymi rękami luk w powietrzu i nagle na jego dłoniach zatańczył błękitny płomień. Cisnął nim za uciekającymi stworami, które machając szaleńczo skrzydłami, pomykały tuż nad powierzchnią wody. Kula błękitnego ognia pomknęła i zrównała się z nimi, ogarniając je momentalnie pulsującą świetlistą energią. Rozległy się zduszone okrzyki bólu. Elementarne byty skręcały się w locie i drgając rozpaczliwie, spadały w dół. Ledwo dotknęły wody, buchały szmaragdowym płomieniem, by po chwili zniknąć pod falującą powierzchnią jeziora.

Gardan obserwował Puga, gdy ten zbliżał się do śmiertelnie zmęczonych walką żołnierzy. W wyrazie jego twarzy gościł jakiś obcy, nie znany do tej pory, surowy wyraz. W spojrzeniu zaś była władczość i świadomość siły. Pug odprężył się i jego twarz momentalnie się zmieniła. Pomimo swoich prawie dwudziestu sześciu lat życia wyglądał bardzo młodo, wręcz chłopięco. Na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Panowie, witam w Stardock.

Ogień płonący w kominku nappełniał pokój przytulnym, bursztynowym blaskiem i ciepłem. Gardan i Dominik odpoczywali, usadowieni wygodnie w ogromnych fotelach. Kasumi, zgodnie z tradycją Tsuranich, siedział na poduszkach na podłodze.

Kulgan opatrywał oparzenia kapitana, rozczulając się nad starym wiarusem jak matka nad przygłupim dzieciakiem. Obaj znali się od lat, jeszcze z Crydee, więc Kulgan mógł sobie pozwolić na ostry ton.

– Jak mogłeś być tak głupi, żeby łapać stwora za nogi. Przecież każdy idiota wie, że fizyczny kontakt z bytem uzależnionym od podstawowych elementów, kiedy powraca on do pierwotnej postaci, łączy się z wyzwoleniem energii, głównie ciepła i światła.

Gardan był już zmęczony ciągłym strofowaniem.

– No dobra, nie wiedziałem. I co z tego? Kasumi, ty wiedziałeś?

Dominik?

Kasumi parsknął śmiechem.

– Hm, jeśli chodzi o ścisłość, to wiedziałem – powiedział cicho mnich.

– Ależ mnichu, nic mi nie pomagasz. Nic a nic – mruknął kapitan.

– Kulgan, skończyłeś już? Zjadłbym coś. Od ponad godziny czuję te wspaniałe aromaty. Jeszcze chwila i dostanę szalu.

Pug, który stał oparty o ścianę przy kominku, zaśmiał się.

– Kapitanie, nie minęło więcej niż dziesięć minut. Znajdowali się na pierwszym piętrze ogromnego, ciągle jeszcze nie wykończonego gmachu.

– Jakże się cieszę, że Król zezwolił, abym odwiedził twoją akademię, Pug – powiedział Kasumi. •

– Ja również – dorzucił Dominik. – My w Sarth bardzo sobie cenimy kopie prac, którymi zechciałeś wzbogacić nasze zbiory, lecz

*nadal nie mamy pełnej jasności co do twoich planów. Chcielibyśmy
wiedzieć coś więcej.*

*– Zawsze z radością goszczę każdego, kto przychodzi tu
powodowany miłością do wiedzy, bracie Dominiku. Być może któregoś
dnia upomnimy się o odwzajemnienie naszej skromnej gościny i
odwiedzimy waszą słynną bibliotekę.*

Słyszac te słowa, Kulgan odwrócił się do nich.

*– Oj tak. Z przyjemnością osobiście zgłoszę to roszczenie,
przyjacielu.*

– Zawsze będziecie mile widziani.

*– Uważaj na tego – wtrącił się Gardan, wskazując ruchem głowy
na Kulgana. – Wystarczy, że na moment stracisz go z oczu w tych
waszych podziemnych salach, a już nigdy go nie odnajdziesz. Jest tak
napalony na książki jak niedźwiedź na miód.*

*Do pokoju weszła piękna kobieta o ciemnych włosach i równie
ciemnych, wielkich oczach. Szło za nią dwóch służących. Nieśli wielkie
tace z jedzeniem. Kobieta postawiła swoją tacę na końcu długiego stołu,
naprzeciwko grupki mężczyzn.*

– Proszę bardzo. Czas na kolację.

– Bracie Dominiku, to moja żona, Katala – przedstawił ją Pug.

Mnich skłonił się z szacunkiem.

– Pani...

*– Ależ nie, proszę mówić Katala. – Uśmiechnęła się. – Staramy się
tu unikać wszelkich formalności.*

Mnich ponownie skłonił się i podszedł do wskazanego mu krzesła.

Odwrócił się na dźwięk otwieranych drzwi i po raz pierwszy od chwili poznania mnicha kapitan ujrzał, jak jego opanowanie i spokój pryskają jak bańka mydlana. Do pokoju wbiegł William, a tuż za nim pojawiła się pokryta zielonymi łuskami sylwetka Fantusa.

– Na litość Ishap! Czy to smok ognisty? William podbiegł do ojca i objął go mocno, spoglądając na gości z pewną rezerwą.

– Oto Fantus, prawdziwy pan tych włości – przedstawił smoka

Kulgan. – Pozostali są przez niego tolerowani. Trzeba przyznać, że najmniej męczy go towarzystwo Williama. – Wzrok smoka powędrował na chwilę ku twarzy Kulgana, jakby potwierdzając prawdziwość jego słów. Po chwili jego wielkie, czerwone oczy zwróciły się w kierunku stołu i zaczęły kontemplować to, co się na nim znajdowało.

– William, przywitaj się z Kasumim – powiedział Pug. Chłopczyk skłonił lekko głowę i uśmiechnął się. Powiedział coś w języku Tsuranich i Kasumi odpowiedział, wybuchając śmiechem.

Dominik spojrzał na nich z zainteresowaniem.

– Mój syn posługuje się płynnie zarówno językiem Królestwa, jak i mową Tsuranich. Żona i ja uczymy go nieustannie jednego i drugiego ze względu na to, że wiele prac w moich zbiorach napisanych zostało w języku Tsuranich. To jeden z problemów, na jakie się natknąłem, chcąc wprowadzić sztukę Wyższej Drogi na Midkemię. Wiele z tego, co czynię, jest rezultatem mych przemyśleń, a moje myślenie magiczne wyraża się w języku Tsuranich. W przyszłości William będzie mi wielką pomocą w

odkrywaniu sposobów praktykowania magii w języku Królestwa, tak

żebym mógł nauczać tych, którzy z nami żyją.

– Panowie, jedzenie stygnie – przynagliła ich Katala.

– A moja żona nie pozwala na rozmowy o magii przy stole.

Kulgan prychnął gniewnie.

– Bo gdybym pozwoliła, tych dwóch nigdy nie przelknęłoby ani kęsa.

Gardan pomimo bólu ochoczo ruszył do stołu.

– Mnie nie trzeba dwa razy przypominać. – Zasiadł za stołem i jeden ze służących nie zwlekając zaczął napełniać jego talerz.

Kolacja upływała w milej atmosferze, nie poruszano ważnych tematów. Wraz z nastaniem nocy cała groza mijającego dnia ulotniła

się bez śladu. Ani Gardan, ani Dominik czy Kasumi słowem nie wspomnieli o ponurych wydarzeniach, które sprowadziły ich do

Stardock. Nie mówiono nic o wędrownce i poszukiwaniach Aruthy,

zagrożeniu ze strony Murmandamusa czy też złowieszczej przepowiedni zasłyszanej w opactwie. Na krótki czas zapanowała harmonia i spokój.

Przez krótką godzinę świat był przyjemnym miejscem, w którym

spotkali się starzy przyjaciele i nowi goście, ciesząc się swoim towarzystwem.

A potem William zaczął mówić wszystkim dobranoc. Dominika

uderzyło wielkie podobieństwo chłopca do matki, chociaż kiedy

poruszał się czy mówił, do złudzenia przypominał swego ojca. Fantusa

karmiono z talerza Williama i teraz smok poczłapał godnie za swym

małym panem.

*– W dalszym ciągu powątpiewam w zdrowie swoich zmysłów,
kiedy chodzi o tego smoka – powiedział Dominik, gdy nierozłączna para
opuściła pokój.*

*– Odkąd pamiętam, był ulubieńcem Kulgana – powiedział
Gardan.*

Kulgan nabił i zapalił fajkę.

*– Ha! Było, minęło. Od dnia, kiedy się spotkali, chłopak i Fantus
są jak bliźniaki, wszędzie razem.*

*– Tak, między nimi istnieje jakiś niezwykle związek, coś, co
wykracza poza normalną przyjaźń między człowiekiem i zwierzęciem.*

Czasem wydaje mi się, że się doskonale rozumieją – powiedziała Katala.

*– No cóż, pani... Katala – odezwał się Dominik – niewiele jest tutaj
zwykłych rzeczy. Już samo wspólne przebywanie magów, ten
wspaniały gmach... to wprost niezwykle.*

*Pug wstał i zaprowadził wszystkich ku fotelom ustawionym wokół
kominka.*

*– Zrozum jedno, na Kelewanie, kiedy studiowałem w
Zgromadzeniu, wszystko to, co tutaj widzisz w stanie narodzin, tam
było już ustabilizowane i prawie odwieczne. Braterstwo magów było
ogólnie uznanym i przyjętym faktem, podobnie zresztą jak dzielenie się
wiedzą. Kulgan zadowolony pykał z fajki.*

– Czyli tak, jak powinno być.

– O wznoszeniu akademii w Stardock możemy podyskutować

jutro, kiedy zapoznam was z naszą małą społecznością – powiedział

Pug. – Dziś wieczorem przeczytam posłanie od Aruthy i opata. Wiem o wszystkim, co doprowadziło do opuszczenia Krondoru przez Aruthę, Gardan. Co się wydarzyło w drodze między Krondorem a Sarth?

Kapitan, którego powoli ogarniała senność, zmobilizował się i szybko opowiedział o wydarzeniach w drodze do opactwa. Ponieważ nie pominął w relacji żadnego istotnego szczegółu, brat Dominik zachował milczenie. Później nadeszła i na niego kolej, aby opowiedzieć wszystko, co wiedział o napaści na opactwo. Kiedy skończył, Pug i Kulgan zadali kilka pytań, powstrzymując się od komentarza.

– Wiadomości, z którymi przybyliście, stanowią źródło najgłębszej troski i niepokoju. Jest już jednak późno, a poza tym na wyspie jest jeszcze parę innych osób, z którymi warto się skonsultować.

Proponuję, abyśmy teraz zaprowadzili utrudzonych i zmęczonych panów do ich pokojów, a poważne rozmowy rozpoczęli jutro.

Gardan, który poczuł, że właśnie zbiera mu się na potężne ziewnięcie, powstrzymał się w ostatniej chwili i kiwnął skwapliwie głową. Kulgan, Dominik, Kasumi i kapitan życzyli pozostałym dobrej nocy i wyszli pod przewodnictwem Kulgana.

Pug podszedł do okna i wyjrzał w noc. Mały księżyc wychynął właśnie zza chmur i odbijał się w wodach jeziora. Katala podeszła do męża i objęła go mocno w pasie.

– Bardzo cię zaniepokoiły te wieści. – Było to proste stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

– Jak zawsze wiesz, o czym myślę. – Obrócił się i objął ją ciaśniej.

Poczuł słodki zapach jej włosów i pocałował w policzek.

– Żywiłem nadzieję, że przejdziemy przez życie, kłopotząc się

jedynie budowaniem akademii i wychowywaniem dzieci.

Uśmiechnęła się, a jej ogromne, ciemne oczy odzwierciedlały

nieskończoną miłość, którą darzyła swego mężczyznę.

– Pośród Thurilów mamy takie powiedzenie: „Życie to problemy.

Życ to rozwiązywać problemy”. – Uśmiechnął się w odpowiedzi. – To

ciągle prawda, stała i niezmienna. Co sądzisz o wiadomościach, które

przynieśli Kasumi i reszta?

– Nie wiem. – Poglądził ją po włosach. – Ostatnimi czasy

doświadczałem nie dającego mi spokoju uczucia. Myślałem z początku,

że to tylko nerwy związane z postępem robót przy wznoszeniu

akademii, ale teraz to coś więcej. Ostatnie noce są pełne snów.

– Wiem, Pug. Widziałam, jak w nocy zmagasz się z czymś i

męczysz. Musisz mi o nich opowiedzieć. Spojrzał jej w oczy.

– Nie chcę ci sprawiać kłopotów ani cię martwić, kochana.

Uważałem, że to po prostu zmory z zamierzchłej przeszłości, z trudnych

czasów. Teraz jednak nie jestem pewien. Szczególnie jeden z nich wraca

często, a ostatnio szczególnie uporczywie. Jakiś głos w ciemnym

miejscu krzyczy do mnie. Szuka mojej pomocy, błaga o nią.

Nie odzywała się, ponieważ dobrze знаła swego męża i chciała

poczekać aż sam będzie gotowy, aby podzielić się z nią swymi

odczuciami. Odezwał się po dłuższym milczeniu.

*– Katala, ja znam ten głos. Słyszałem go już wcześniej, kiedy
trudny czas sięgnął apogeum, w najbardziej przerażającej chwili, kiedy
wynik wojny wisiał dosłownie na włosku, kiedy los dwóch światów
ciężył na moich barkach. To Macros. To jego głos słyszę.
Katala wzdrygnęła się i przytuliła mocniej do męża. Dobrze знаła
to imię, imię Czarnego Macrosa. Jego biblioteka stanowiła zalążek
powstającej
akademii
magii.
Macros
był
tajemniczym
czarnoksiężnikiem, nie należącym ani do Wyższej Drogi, jak Pug, ani do
Niższej, jak Kulgan. Był kimś innym. Żył tak długo, że wydawał się
wieczny i potrafił odczytywać przyszłość. Przez cały czas brał mniej czy
bardziej zakulisowy udział w Wojnie Dwóch Światów i postugując się
swobodnie ludzkim życiem, uczestniczył w jakiejś nieogarnionej,
kosmicznej grze, której stawkę znał tylko on sam. Uwolnił Midkemię od
przejścia, magicznego pomostu łączącego jej rodzinny i nowy świat.
Wtulila się mocniej w Puga, opierając głowę na jego piersi. Wiedziała,
co niepokoiło Puga najbardziej: Macros nie żył.*

*Gardan, Kasumi i Dominik podziwiali z parteru postępujące wyżej
prace. Wynajęci w Shamacie murarze kładli kolejne warstwy kamieni,
wznosząc coraz wyżej mury akademii. W pobliżu stali Pug i Kulgan.*

Sprawdzali nowe plany przedstawione przed chwilą przez mistrza nadzorującego całą budowę. Kulgan zaprosił ich gestem ręki, by podeszli bliżej.

– Zechciejcie nam wybaczyć. Dla nas to sprawa niezwyklej wagi – powiedział zwalisty mag. – Zaczęliśmy prace dopiero kilka miesięcy temu i chcemy koniecznie dopilnować, aby dalsze roboty przebiegały bez zakłóceń.

– To będzie ogromny gmach – zachwycił się Gardan.

– Dwadzieścia pięć pięter plus kilka wyższych wież do obserwowania nieboskłonu.

– Niewiarygodne – szepnęła Dominik. – Taki gmach może pomieścić tysiące ludzi.

Niebieskie oczy Kulgana zaiskrzyły się radością.

– Pug opowiedział zaledwie skromną część tego, co widział w Mieście Magów na Kelewanie. Tam całe miasto zrosło się w jeden, gigantyczny gmach. Za wiele lat, gdy skończymy naszą budowlę, będziemy mieli zaledwie jedną dwudziestą część tego co tam, może nawet mniej. No ale to nic, gdyby była taka potrzeba, jest miejsce na rozwój. Któregoś dnia, kto wie, akademia może zająć całą powierzchnię wyspy.

Mistrz budownictwa oddalił się do swoich zajęć.

– Przepraszam za tę przerwę, ale musieliśmy zadecydować o paru rzeczach – powiedział Pug. – Chodźmy, kontynuujmy naszą inspekcję.

Poszli wzdłuż muru. Kiedy wyszli za róg, ich oczom ukazała się

grupa domów do złudzenia przypominających niewielką wioskę.

Między budynkami widać było mężczyzn i kobiety ubranych w najprzeróżniejsze stroje, od dobrze znanych z Królestwa aż po charakterystyczne ubiory z Keshu. Na centralnym placu wioski bawiło się kilkoro dzieci. Jednym z nich był William. Dominik rozejrzał się i zobaczył nieopodal Fantusa wygrzewającego się leniwie na słońcu przed progiem jednego z domostw. Dzieciaki za wszelką cenę usiłowały wkopać szmacianą, owiniętą skórzanymi rzemieniami piłkę do przewróconej beczki. Wszystko wskazywało na to, że gra była pozbawiona wszelkich zasad czy reguł.

Dominik roześmiał się na ten widok.

– Ha! Jak byłem chłopakiem, bawiłem się w to samo każdego

Szóstego Dnia. Pug uśmiechnął się.

– Jak i ja. Wiele z naszych planów nie weszło jeszcze w etap realizacji, więc dzieciaki nie mają na razie swoich stałych obowiązków, ale chyba nie mają nic przeciwko temu.

– Co to za miejsce? – dopytywał się Dominik.

– Tymczasowy dom dla naszej młodej społeczności. Na razie gotowe jest jedynie skrzydło, w którym Kulgan i ja z rodziną mamy swoje pokoje oraz gdzie znajduje się kilka pracowni dla młodego narybku. Tę część gmachu ukończono najwcześniej, chociaż na wyższych kondygnacjach nadal trwają prace. Ci, którzy przybywają do Stardock, by uczyć się czy służyć akademii, do czasu kiedy w głównym gmachu zostaną oddane nowe pomieszczenia, mieszkają w tych

domkach. – Dał znak, aby weszli za nim do większego, dominującego nad resztą wioski domu. William odłączył się od bawiących się dzieci i stąpał obok ojca. Pug położył mu rękę na ramieniu.

– Jak tam twoja nauka dzisiaj? Chłopak skrzywił się.

– Nie za dobrze. Dałem spokój na dzisiaj. Nic mi nie wychodziło.

Pug spoważniał nagle, ale Kulgan klepnął chłopaka w plecy i popchnął w stronę pozostałych dzieci.

– No, zmykaj do zabawy, chłopcze. Nic się nie martw, twój tatuś też był odporny na wiedzę, kiedy był moim studentem. Wszystko przyjdzie we właściwym czasie.

Pug uśmiechnął się lekko.

– „Odporny na wiedzę”?

– Masz rację, „nierozgarnięty”, „zakuta pała” czy „tuman” bardziej by pasowały w twoim wypadku.

– Kulgan będzie się ze mnie nabijał aż do dnia mojej śmierci – powiedział Pug, wchodząc do środka.

Po wejściu okazało się, że budynek to pusta w środku skorupa.

Wydawało się, że jego jedynym przeznaczeniem było pomieszczenie w sobie ogromnego, biegnącego przez całą długość, stołu. Drugim i zarazem ostatnim elementem wnętrza był kominek. Wysoki strop podtrzymywały drewniane belki, z których zwieszały się ogromne latarnie rozsiewające wokół ciepły, wesoły blask.

Pug przysunął sobie krzesło do stołu i zaprosił pozostałych, by również usiedli.

Dominik ucieszył się płonącym ogniem, bo chociaż była już późna wiosna, to jednak panowało przenikliwe zimno.

– A co to za kobiety i dzieci?

Kulgan wyciągnął fajkę i zaczął ją nabijać tytoniem.

– Dzieciaki to synowie i córki tych, którzy przybyli na wyspę.

Chcemy zorganizować dla nich szkołę. Pug ma jakieś dziwne pomysły na temat przyszłego kształcenia wszystkich mieszkańców Królestwa, chociaż ja uważam, że powszechna edukacja nie przyjmie się nigdy. A kobiety to albo żony magów albo same są magami, czyli jak się potocznie zwykło mówić, czarownicami.

Dominik zaniepokoił się wyraźnie.

– Czarownice?

Kulgan zapalił fajkę płomykiem, który wystrzelił z koniuszka palca, i wypuścił kłęb dymu.

– Czy ważna jest nazwa? Praktykują magię. Z zupełnie dla mnie niezrozumiałych

powodów

praktykujący

magię

mężczyźni

są

przynajmniej w minimalnym stopniu tolerowani, podczas gdy kobiety, u których stwierdzono moc, są wyrzucane prawie z każdej społeczności.

– Przecież uważa się, że czarownice zyskują swoją moc przez

służbę siłom ciemności i zła.

Kulgan machnął niedbale ręką, oddalając argument mnicha.

– Bzdura. To przesady, wybacz, że powiem wprost. Źródło ich mocy nie ma wcale ciemniejszego odcienia niż twojej czy mojej. Co więcej, ich zachowanie jest zazwyczaj o wiele bardziej delikatne niż co niektórych bardziej entuzjastycznych, chociaż błędzących sług pewnych świątyń.

– To prawda, ale mówisz o prawowitych członkach powszechnie uznanych świątyń.

Kulgan spojrzał mu prosto w oczy.

– Wybacz, proszę, moją uwagę, ale chociaż uważa się, że zakon Ishap reprezentuje bardziej światowe poglądy niż inne zakony, twoje spostrzeżenia są, hm... bardzo prowincjonalne. Nawet jeśli ci biedacy nie udzielają się w ramach jakiejś świątyni, co z tego? Jeśli kobieta służy w świątyni, to jest święta, a jeżeli osiąga swoją wewnętrzną moc w leśnej chatce, to automatycznie zostaje czarownicą? Czy tak? Nawet

mój

stary

przyjaciel,

ojciec

Tully,

nie

przełknąłby

takich

dogmatycznych bzdur. Ty wcale nie mówisz o podstawowej, wpisanej w naszą naturę kwestii dobra i zła, lecz o tym, kto jest członkiem lepszego cechu.

– Zatem zamierzasz – Dominik uśmiechnął się – zamierzacie utworzyć lepszy cech?

Kulgan wypuścił z ust ogromny kłęb dymu.

– W pewnym sensie tak, chociaż to cel drugorzędny. Pierwszy i podstawowy to ujednoczenie i skodyfikowanie jak największej ilości wiedzy magicznej.

– Wybacz moje napastliwe pytania, ale jednym z moich zadań było

ustalenie

źródła

waszej

motywacji.

Macie

potężnego

sprzymierzeńca w osobie Króla. W naszej świątyni zastanawiano się nawet, czy za waszą działalnością nie kryje się jakiś inny, tajemny cel.

Pomyślano, że skoro mam się tu udać...

– Przy okazji możesz zakwestionować czy też wystawić na próbę to, co robimy, aby zobaczyć nasze reakcje? – dokończył za niego Pug.

– Odkąd znam Puga, zawsze działał honorowo – włączył się

Kasumi.

– *Gdyby w moim sercu zagościła chociaż jedna wątpliwość, w ogóle bym się teraz nie odezwał – ciągnął dalej mnich. – To, że cele, które wam przyświecają, są najwyższych lotów, nie podlega dyskusji.*

Po prostu...

– *Co takiego? – powiedzieli jednocześnie Pug i Kulgan.*

– *Jasne jest, że przede wszystkim staracie się stworzyć społeczność magów. Już to samo w sobie jest godne najwyższych pochwał. Przypominam jednak, nie będziecie żyli wiecznie. Nie zawsze tu będziecie, któregoś dnia akademia może się stać potężnym narzędziem w niepowołanych rękach.*

– *Wierz mi, że robimy wszystko, zabezpieczamy się z każdej możliwej strony, aby tego uniknąć – powiedział Pug.*

– *Wierzę.*

Wyraz twarzy Puga zmienił się nagle. Nadstawił ucha, jakby coś usłyszał.

– *Nadchodzą.*

Kulgan w napięciu spoglądał w stronę drzwi.

– *Gamina? – szepnął.*

Pug kiwnął głową. Kulgan westchnął z głęboką satysfakcją.

– *Kontakt był o wiele lepszy niż dotychczas. Z każdym tygodniem jej moc wzrasta.*

– *Wczoraj wieczorem przeczytałem raporty, z którymi przyjechaliście, i poprosiłem tu kogoś, kto jak sądzę, może okazać się pomocny – wyjaśnił Pug. – Razem z nim nadchodzi ktoś jeszcze.*

– Ten ktoś potrafi wysyłać i odbierać myśli z nadzwyczajną wprost wyrazistością – dorzucił Kulgan. – Jest obecnie jedyną osobą, którą udało się nam znaleźć i która potrafi tego dokonać. Pug wspominał o istnieniu podobnych zdolności na Kelewanie. Były wykorzystywane w czasie procesu kształcenia, lecz wymagało to odpowiedniego przygotowania osobnika.

– Przypomina to nieco kontakt myślowy stosowany przez niektórych kapłanów, ale jak się wydaje, w przeciwieństwie do niego nie wymaga fizycznego kontaktu czy nawet bliskości – mówił dalej Pug.

–

Nie

ma

też

nieodłącznie

towarzyszącego

kontaktowi

niebezpieczeństwa, że można zostać schwytanym w pułapkę umysłu osoby, z którą się kontaktuje. Gamina to bardzo rzadki talent.

Dominik był pod wrażeniem.

– Ona po prostu dotyka umysłu, jak gdyby mówiła – ciągnął Pug.

– Mamy nadzieję, że któregoś dnia uda nam się zrozumieć ten dziko wyrosły talent i nauczyć się wykształcać go u innych.

– Słyszę, że nadchodzą – powiedział Kulgan, wstając z krzesła. –

Panowie, pamiętajcie proszę o jednym, Gamina to bardzo delikatna i

nieśmiała duszyczka, a poza tym wiele już w życiu przeszła. Nie

zapominajcie o tym.

Kulgan otworzył drzwi i do środka weszła dziwna para.

Mężczyzna był już bardzo stary. Kilka siwych kosmyków opadało

łagodnie jak pasma dymu na jego zgarbione plecy. Prawą ręką wspierał

się na ramieniu dziewczynki. Długa, czerwona szata skrywała lekko

zdeformowane ciało. Mlecznobiałe, patrzące wprost przed siebie oczy.

Był niewidomy.

Nie on jednak zwrócił na siebie ich uwagę, a dziewczynka.

Wyglądała na siedem lat, lecz była drobniotka i niska. Ubrana w

samodziałową sukienkę, trzymała się kurczowo dłoni starca. Ogromne,

niebieskie oczy rozświeślały bladą twarzączkę o delikatnych rysach. Jej

włosy były niemal równie białe jak jej towarzysza, z ledwo zauważalną,

złocistą nutą. Najbardziej jednak uderzyło Dominika, Kasumiego i

Gardana, że było to z pewnością najpiękniejsze dziecko, jakie widzieli w

swoim życiu. Już teraz w dzieciennych rysach widać było zapowiedź

przyszłego, nie dającego się opisać ludzkimi słowami piękna.

Kulgan podprowadził staruszkę do krzesła sąsiadującego ze

swoim i posadził. Dziewczynka nie usiadła. Stała przy starcu i nie

zdejmując obu dłoni z jego ramienia, przebierała nerwowo palcami,

jakby się bała stracić z nim kontakt. Patrzyła na trzech nieznanym

wzrokiem zapędzonego w ślepy zaułek dzikiego zwierzątka i nie starała

się wcale ukryć swej nieufności.

– To Rogen – powiedział Pug.

– Z kim się spotykam? – Ślepiec pochylił się. Jego stara, poorana zmarszczkami twarz była pełna wewnętrznego światła i radości. Uniósł lekko głowę do góry, jakby chciał lepiej słyszeć. Było oczywiste, że w przeciwieństwie do dziewczynki cieszył się bardzo z perspektywy spotkania z przybyszami.

Pug przedstawił po kolei trzech mężczyzn siedzących naprzeciwko Kulgana i staruszka. Twarz niewidomego rozjaśniła się uśmiechem.

– Cieszę się bardzo ze spotkania z wami, szlachetni panowie.

– A to jest Gamina. – Pug przedstawił dziewczynkę. Dominik i reszta aż podskoczyli, gdy w swoich umysłach usłyszeli wyraźne:

„Cześć”.

Usta dziewczynki nawet nie drgnęły. Stała bez ruchu, wpatrując się w nich ogromnymi, niebieskimi oczami.

– Czy ona coś powiedziała? – spytał Gardan.

– Swoim umysłem – odpowiedział Kulgan. – Inaczej nie potrafi mówić.

Staruszek poklepał małą po dłoniach.

– Gamina przyszła z tym darem na świat i niemal doprowadziła matkę do szaleństwa swoim bezgłośnym płaczem. – Starzec spoważniał.

– Jej ojciec i matka zostali ukamienowani przez mieszkańców wioski za to, że splodzili demona. To biedny i zabobonny ludek. Bali się zabić dziecko z obawy, że powróci do swojej „naturalnej” postaci i wymorduje wszystkich. Zostawili ją więc po prostu w lesie, by umarła z głodu. Nie miała wtedy nawet trzech lat.

Gamina spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem. Zwrócił ku niej twarz, jakby ją widział.

– Tak, to wtedy cię znalazłem. Zwrócił się do pozostałych.

– Mieszkałem w opuszczonym domku myśliwskim, na który natknąłem się kiedyś w głuszy. Mnie także wypędzono z rodzinnej wioski. Było to znacznie wcześniej. Obarczono mnie winą za to, że przepowiedziałem śmierć młynarza. Napiętnowano mnie jako czarownika.

– Rogen jest obdarzony darem wewnętrznego widzenia, być może dla zrekompensowania braku normalnego wzroku, którego był pozbawiony od urodzenia – wyjaśnił Pug.

– My dwoje – Rogen uśmiechnął się szeroko i poklepał dziewczynkę po rękę – jesteśmy do siebie podobni pod wieloma względami. Bardzo się boję, co z nią będzie, gdy umrę. – Przerwał na chwilę, by porozmawiać z dziewczynką, którą bardzo poruszyły jego słowa. Dygotała na całym ciele, a w oczach zalśniły łzy. – Cicho, spokojnie... – napominał ją łagodnie.

– Ja też umrę, wszyscy umierają. Mam nadzieję, że nie nastąpi to prędko – dodał chichocząc. Powrócił do przerwanego wątku. –

Przybyliśmy z wioski w okolicach Saladoru. Ruszyliśmy w drogę, gdy tylko dotarła do nas wiadomość o tym cudownym miejscu. Stary już jestem i słaby. Wędrówka zajęła nam sześć miesięcy. Tutaj odnaleźliśmy ludzi takich jak my sami, którzy traktują nas jako źródło wiedzy i poznania, a nie źródło strachu. Czujemy się tu jak w domu.

*Dominik zdumiony, że tak stary człowiek i mała dziewczynka
przewędrowali na piechotę setki kilometrów, kręcił głową. Był
poruszony do głębi.*

*– Zaczynam rozumieć inny wymiar tego, co tu czynicie. Czy jest
więcej takich jak ta para?*

– Nie tylu, ilu bym sobie życzył – odpowiedział Pug.

*– Niektórzy z bardziej uznanych magów odmawiają przyłączenia
się do nas. Inni po prostu się boją i nie chcą ujawniać swoich
możliwości. Do jeszcze innych nie dotarły wieści o naszym istnieniu. Są
tacy jak Rogen, którzy sami ruszają w drogę, aby nas odnaleźć. Mamy
tu ponad pięćdziesięciu praktyków magii.*

– Och, to bardzo dużo – powiedział Gardan.

*– Zgromadzenie liczyło ponad dwa tysiące Wielkich – powiedział
Kasumi. Pug pokiwał głową.*

– Ponadto mieliśmy prawie drugie tyle idących Niższą Drogą.

*Trzeba pamiętać, że każdy, kto otrzymał czarną szatę, znak Maga
Wyższej Drogi, był zaledwie jednym z pięciu, którzy rozpoczynali
naukę, i to na warunkach o wiele bardziej surowych niż te, które
moglibyśmy czy też życzylibyśmy sobie tu wprowadzić.*

Dominik spojrzał na Puga.

– A co się stało z tymi, którym nie powiodło się w nauce?

*– Zostali zabici – odpowiedział Pug krótko. Dominik doszedł do
wniosku, że jest to temat, którego Pug nie chce kontynuować. Na twarzy
dziewczynki pojawił się strach,*

– Cicho, cicho. Nikt cię tutaj nie skrzywdzi – uspokoił ją Rogen. –

Pug mówił o miejscu, które jest bardzo daleko stąd. Pewnego pięknego dnia zostaniesz wielkim nauczycielem magii.

Dziewczynka uspokoiła się wyraźnie, a w miejsce przerażenia na twarzączce pojawił się wyraz dziecinnej dumy. Było oczywiste, że nie widzi świata poza staruszkiem i ufa mu całkowicie.

Pug zwrócił się do starca.

– Rogen, zaczęło się dziać coś, w czego zrozumieniu może być bardzo pomocna twa moc. Pomożesz nam?

– Czy to takie ważne?

– Nie prosiłbym, gdyby nie było to naprawdę bardzo ważne.

Księżniczka Anita jest na granicy życia i śmierci, księciu Anicie nieustannie zagraża nieznany nieprzyjaciół.

Na twarzy dziewczynki znowu pojawił się przestach, tak przynajmniej odczytali to Gardan i Dominik. Rogen przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał.

– Wiem, że to bardzo niebezpieczne, ale tyle zawdzięczamy

Pugowi. On i Kulgan to jedyna nadzieja dla ludzi takich jak my dwoje. –

Obaj magowie zmieszali się, ale nic nie powiedzieli. – A poza tym

Arutha jest bratem samego Króla i to ich ojciec podarował nam

wszystkim tę piękną wyspę, abyśmy mieli gdzie żyć. Pomyśl tylko,

Gamina, co będą czuli inni, gdy dowiedzą się, że mogliśmy mu pomóc, a nie zrobiliśmy tego?

Pug nachylił się do ucha Dominika.

– Drugie widzenie Rogena różni się bardzo od wszystkiego, o czym słyszałem do tej pory. Twój zakon znany jest z tego, że posiada pewną wiedzę na polu prorokowania. – Dominik skinął głową. – Rogen widzi... możliwości, tak chyba najlepiej mogę to określić. Widzi to, co może się wydarzyć. Proces widzenia pochłania ogromnie dużo jego sił. Jest wprawdzie silniejszy, niż wygląda, nie można jednak zapominać o jego wieku. Łatwiej mu rozmawiać z jedną osobą, a ponieważ ty masz najlepsze rozeznanie w naturze magii, której doświadczyliście, najlepiej będzie, jeśli powiesz mu wszystko, co wiesz.

Dominik zgodził się natychmiast. Pug zwrócił się pozostałych.

– Bardzo proszę, aby wszyscy zachowali teraz ciszę.

Rogen wyciągnął ręce i ujął dłonie mnicha. Dominik zdumiał się siłą drżącą w tych wysuszonych, białych palcach. Chociaż sam nie potrafił przepowiadać, znał dobrze procedurę od braci w opactwie, którzy zostali obdarzeni tym darem. Uwolnił umysł od niepotrzebnych faktów i rozpoczął opowieść od momentu, gdy Jimmy spotkał na dachu Nocnego Jastrzębia, aż do chwili, gdy Arutha opuścił Sarth. Przez cały czas Rogen nie odezwał się ani słowem. Gamina stała bez ruchu u jego boku. Kiedy zaś mnich wspominał o prorocctwie, w którym nazwano Aruthę „Zaporą Ciemności”, stary człowiek zadrżał, a jego wargi poruszyły się bezgłośnie.

Gdy mnich opowiadał, w pokoju narastała złowieszcza atmosfera. Wydawało się, że nawet płomienie na kominku przygasły. Gardan stwierdził ze zdziwieniem, że obejmuje się mocno rękami.

Gdy zakonnik skończył, Rogen nie pozwolił mu uwolnić dłoni i nadal mocno je ścisnął. Uniósł głowę i wygiął lekko szyję, jakby nasłuchiwał czegoś z oddali. Przez chwilę jego wargi poruszały się bezgłośnie, po czym zaczęły się z nich wydobywać pojedyncze słowa. Z początku wypowiadał je tak cicho, że nic nie można było zrozumieć.

Nagle zaczął mówić wyraźnym, mocnym głosem:

– Istnieje jakaś... obecność, jakiś byt. Widzę miasto, potężny bastion wież i murów. Na murach stoją dumni ludzie. Postanowili bronić miasta do samego końca. A teraz miasto jest oblegane. Przegrywa, jego wieże płoną jak pochodnie... miasto jest mordowane. Dzikie hordy zalewają ulice, gdy powoli upada. Ci, którzy jeszcze walczą, naciskani ze wszystkich stron wycofują się do głównego zamku. Ci, którzy gwałcą i grabią... żaden z nich nie jest człowiekiem. Widzę członków Bractwa Mrocznego Szlaku i służące im gobliny. Dzikie bandy przewalają się ulicami, trzymając w dłoniach ociekające krwią miecze. Szykują się do szturm na główny zamek. Widzę, jak wznoszą dziwne drabiny i dziwne pomosty z czerni. A teraz zamek płonie, płonie cały... morze płomieni... Już po wszystkim.

Przez chwilę panowała cisza. Po paru minutach Rogen podjął swoje widzenie.

– Na równinie zebrały się nieprzeliczone rzesze. Przedziwne sztandary łopocą na wietrze. Na koniach siedzą w milczeniu postacie ubrane w czarne zbroje. Na ich tarczach i kaftanach widać koszmarne, poskręcane kształty. Ponad nimi stoi moredhel. – Oczy staruszka

zaszklity się łzami. – On jest piękny. Jest straszny... zło... Nosi znak smoka. Stoi na szczycie pagórka, a poniżej defilują nieprzeliczone armie, śpiewając bitewne pieśni. Biedni niewolnicy... to ludzie... ciągną z wysiłkiem wielkie maszyny wojenne.

Znowu zapadła cisza.

– Widzę teraz inne miasto. Jego obraz przesuwa się i drga, gdyż jego przyszłość nie jest pewna. W murach widać wielkie wyrwy, ulice splamione czerwienią. Słońce skrywa twarz za szarymi chmurami... udręczone miasto krzyczy w bólu konania. Nie kończące się sznury skutych łańcuchami mężczyzn i kobiet. Są bici przez stwory, które dręczą ich i urągają im. Spędzają ich na wielki plac, gdzie stoją twarzą w twarz ze swoim zwycięzcą. Wznoszą tron na kopcu... kopcu z ciał.

Zasiada na nim... ten piękny, zły. Obok niego staje jeszcze ktoś, czarna szata zakrywa rysy. Za nimi jest jeszcze coś, nie widzę dokładnie, ale to jest rzeczywiste, istnieje... jest... ciemne, mroczne, bezcielesne,

bezosobowe, jakby nic tam nie było... ale jest na pewno. Dotyka tego, który zasiadł na tronie. – Rogen z całej siły ścisnął dłonie Dominika. –

Czekaj... – zawahał się. Głos mu zadrżał, a po chwili krzyknął, pisnął raczej, straszonym, znękanym głosem przerywanym łkaniem. – O

bogowie miłosierdzia! To mnie widzi! Patrzy na mnie...! – Głos mu się załamał. Dygotał na całym ciele. Gamina z szeroko otwartymi oczami i twarzą ściągniętą przerażeniem przywarła do niego z całej siły, trzymając się kurczowo ramienia. Spomiędzy warg Rogena wydarł się nagle straszliwy krzyk bólu, czystej agonii i rozpacz. Po chwili

znieruchomiał.

Bez żadnego ostrzeżenia w umysłach wszystkich siedzących przy stole eksplodowała nagle ognista kula bólu – bezgłośny, rozpaczliwy krzyk Gaminy.

Gardan chwycił się za głowę. Niewiele brakowało, a straciłby przytomność, gdy przeszło go rozżarzone do białości, rozdzierające smagnięcie bólu. Twarz Dominika zszarzała nagle. Jak po otrzymaniu miazdzącego ciosu, rzucił się, pchnięty krzykiem dziewczynki, na oparcie krzesła. Kasumi zacisnął z całej siły powieki i próbował podnieść się z krzesła. Kulgan ścisnął gwałtownie skronie, a fajka wyleciała z bezwładnych warg. Pug mobilizował w sobie każdy, nawet najmniejszy okruch magicznej mocy, by tylko wznieść w umyśle jakąś barierę przeciwko rozdzierającemu go bólowi. Zerwał się chwiejnie na nogi. Odepchnął ciemność, która chciała nim zawładnąć bez reszty, i wyciągnął rękę, by dotknąć dziewczynki.

– Gamina – wychrypiał.

Wewnętrzny krzyk dziewczynki trwał nieprzerwanie. Szarpała starca szaleńczo za ubranie, próbując wyrwać z objęć horroru, w obliczu którego się znalazł. Jej ogromne oczy wychodziły niemal z orbit, a histeryczny, świdrujący w umysłach wrzask doprowadzał ich do szaleństwa. Pug rzucił się do przodu i chwycił ją za ramię. Gamina zignorowała zupełnie dotknięcie i dalej krzyczała. Udało mu się zmobilizować swe moce. Na krótki moment usunął z umysłu dziewczynki przerażenie i ból. Gardan i Kasumi opadli ciężko na stół,

uderzając głowami o blat. Kulgan zerwał się błyskawicznie na nogi, by jeszcze szybciej opaść z powrotem na krzesło i omdleć. Poza Pugiem i Gamina jedynie Dominikowi udało się zachować przytomność.

Niezależnie od tego, że za wszelką cenę pragnął uciec przed bólem zadawanym przez dziewczynkę, coś w jego wnętrzu walczyło rozpaczliwie, by sięgnąć ku niej.

Pierwotne, kosmiczne przerażenie małej niemal zważyło Puga na kolana. Z najwyższym trudem zdołał utrzymać się na nogach. Rzucił zakłęcie i dziewczynka upadła na stół. Ból natychmiast ustąpił. Chwył ją w ramiona, lecz wysiłek był zbyt duży. Potykając się i zataczając zwałił się na krzesło. Siedział oszołomiony, trzymając nieprzytomną Gaminę w ramionach.

Dominikowi zdawało się, że za sekundę jego głowa rozpadnie się na tysiące kawałków, lecz starał się utrzymać w stanie przytomności.

Ciało starca nadal było sztywne, wygięte i skurczone bólem. Jego wargi poruszały się bezgłośnie. Mnich wygłosił uzdrawiające zakłęcie kojące ból. Rogen sflaczał, jakby zapadł się w krzesło. Z jego twarzy jednak nie zniknęła potworna maska przerażenia i bólu. Szepcząc chrapliwie, wykrzykiwał pojedyncze słowa, których mnich nie rozumiał. Po chwili stracił przytomność.

Pug i Dominik wymienili zszokowane spojrzenia. Mnich poczuł, jak ogarnia go powoli fala mroku. Zanim na dobre stracił przytomność, zdążył się jeszcze zdziwić, dlaczego na twarzy Puga pojawił się nagle wyraz potwornego przerażenia.

Gardan przechadzał się tam i z powrotem po pokoju, w którym poprzedniego wieczoru jedli kolację. Kulgan siedział tuż przy kominku.

– Jeśli nie usiądziesz spokojnie na tyłku, to jeszcze chwila i wyżłobisz bruzdę w posadzce.

Kasumi spoczywał koło maga wsparty o poduszki. Gardan usiadł koło Tsuraniego.

– To przez to piekielne czekanie.

Dominik i Pug przy pomocy kilku uzdrawiaczy z wyspowej społeczności zajmowali się Rogenem. Od chwili, gdy został wyniesiony z domu spotkań, balansował na granicy życia i śmierci. Wewnętrzny krzyk Gaminy poraził prawie wszystkich w promieniu dwóch kilometrów, chociaż ci bardziej oddaleni nie ucierpieli tak mocno. Mimo odległości kilka osób straciło przytomność. Kiedy krzyk zamilkł, bardziej rozgarnięci ludzie popędzili, by zorientować się, co się stało. Zastali wszystkich uczestników spotkania bez zmysłów.

Po kilku minutach na miejscu zdarzenia pojawiła się Kalala.

Natychmiast zarządziła przeniesienie nieprzytomnych tam, gdzie mogła sprawować nad nimi opiekę. Po paru godzinach wszyscy poza Rogenem odzyskali przytomność. Wizja nastąpiła wczesnym przedpołudniem, a teraz było już dobrze po kolacji.

Gardan uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Niech to szlag trafi! Po jaką cholere wpakowałem się w takie sprawy?! Jestem prostym żołnierzem. Te wszystkie magiczne potwory, bezimienne moce... Och! Gdyby tak stanął wreszcie przede mną

prawdziwy przeciwnik z krwi i kości!

– Już ja najlepiej wiem, co potrafisz zrobić wrogowi z krwi i kości

– skomentował Kasumi. Kulgan spojrział na niego z zainteresowaniem.

– W pierwszych latach wojny ja i kapitan staliśmy naprzeciwko siebie,

po dwóch stronach frontu. Było to w czasie oblężenia Crydee. Dopiero

kiedy zaczęliśmy opowiadać sobie historie naszego życia, odkryłem, że

w czasie oblężenia grał on drugie skrzypce, zaraz po księciu Anicie. On

też wtedy dowiedział się po raz pierwszy, że to ja prowadziłem natarcie.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł wysoki mężczyzna. Zdjął

obszerną kapotę. Miał długą brodę i czerstwy wygląd człowieka

przebywającego wiele czasu na świeżym powietrzu, jak na przykład

myśliwy czy drwal. Uśmiechnął się lekko.

– Patrzcie tylko, oddali się człowiek na kilka dni... I kto to się

zabłąkał pod nasz dach?

Czarna twarz Gardana rozpromieniła się w szerokim uśmiechu.

Zerwał się i podbiegł z wyciągniętą ręką.

– Meecham!

Potrząsnęli się mocno za ręce.

– Witam, kapitanie.

Kasumi, dla którego Meecham był już starym znajomym, poszedł

w ślady Gardana. Meecham był wolnym kmiociem posiadającym

kawałek ziemi. Służył u Kulgana, chociaż prawdę mówiąc, był bardziej

jego przyjacielem niż służącym.

– Udało się? – spytał Kulgan. Leśny człowiek bezwiednie pogładził

się po bliźnie na lewym policzku.

– Nie. Same oszukańce.

Kulgan zwrócił się do pozostałych.

– Niedawno doszły nas słuchy o wędrownym taborze

jasnowidzów, przepowiadaczy przyszłości, cyganów i tak dalej. Rozbili

obóz o kilka dni drogi stąd w kierunku Landreth. Wysłałem Meechama,

by sprawdził, czy któryś z nich rzeczywiście ma talent.

– Jeden z nich mógł być tym, na kogo wyglądał, ale zaraz spuścił z

tonu, gdy dowiedział się, skąd przybyłem. Kto wie, może sam się tu

kiedys zjawi? – Rozejrzył się po pokoju. – No dobra, czy ktoś mi w końcu

powie, co się tutaj dzieje?

Kulgan kończył właśnie relacjonować ostatnie wydarzenia, gdy

otwarcie drzwi ponownie przerwało rozmowę. W progu pojawił się

William trzymający za rękę Gaminę. Nieodłączna towarzysząca i

opiekunka staruszka była jeszcze bledsza niż poprzedniego dnia.

Spojrzała po kolei na Kulgana, Kasumiego i Gardana i jej głos zawitał w

ich umysłach. „Przepraszam bardzo, że sprawiłam tyle bólu... ale

bardzo się przestraszyłam”.

Kulgan powoli wyciągnął ku niej rękę i dziewczynka pozwoliła, by

posadził ją sobie na kolanach. Uścisnął ją delikatnie.

– Wszystko w porządku, mała. Rozumiemy. Pozostali uśmiechnęli

się, dodając jej otuchy. Uspokoila się i odprężyla. Do pokoju wczłapał

Fantus. William rzucił w jego stronę krótkie spojrzenie.

– Fantus jest głodny.

– Ta bestia, gdy przyszła na świat, już była głodna – mruknął

Meecham.

„Nie”, usłyszał w myślach. „On powiedział, że jest głodny. Nikt nie pamiętał, aby go dzisiaj nakarmić. Sama słyszałam”.

Kulgan delikatnie odsunął dziewczynkę od siebie, by jej spojrzeć w twarz.

– Nie rozumiem?

„Fantus powiedział Williamowi, że jest głodny. Przed chwilą.

Przecież słyszałam”. Kulgan spojrział na Williama.

– William, czy ty słyszysz Fantusa?

Chłopczyk obrzucił maga podejrzliwym spojrzeniem.

– Oczywiście. Ty nie?

„Oni rozmawiają ze sobą cały czas”.

Kulgan patrzył podekscytowany to na jedno, to na drugie.

– To wspaniałe! Nie miałem pojęcia. Nic dziwnego, że wy dwaj

trzymacie się tak blisko. William, od jak dawna potrafisz rozmawiać z

Fantusem w ten sposób? Chłopak wzruszył ramionami.

– Od zawsze. Odkąd pamiętam. Fantus zawsze do mnie mówił.

– A ty słyszysz, jak oni ze sobą rozmawiają? – Gamina

przysłuchiwała ruchem głowy. — A potrafisz mówić do Fantusa?

„Nie. Ale słyszę, kiedy mówi do Williama. On myśli tak śmiesznie.

To trudne”.

Gardan nie mógł się nadziwić. Słyszał odpowiedzi Gaminy w

swojej głowie, tak jakby głośno mówiła. Z poprzednich obserwacji, gdy

śledził indywidualne uwagi dziewczynki kierowane do Rogena, wyciągnął wniosek, że mała była w stanie porozumiewać się z każdym, z kim chciała, w wybiórczy sposób.

William zwrócił się do smoka.

– No „już, zaraz”! – zbeształ zwierzaka. Spojrzał na Kulgana. –

Będzie chyba lepiej, jak pójdę do kuchni i przyniosę mu coś do żarcia.

Czy Gamina może tu zostać?

Mag przycisnął ją delikatnie do siebie, a dziewczynka wtuliła się głębiej.

– Oczywiście.

William wypadł z pokoju, a Fantus pośpieszył za nim. Bliska perspektywa jedzenia sprawiła, że wykazał się nietypową dla siebie szybkością. Kiedy zniknęli za progiem, Kulgan spojrzał na dziewczynkę.

– Gamina, czy William potrafi rozmawiać z innymi stworzeniami poza Fantusem?

„Nie wiem. Zapytam go”.

Patrzyli zafascynowani, jak dziewczynka przechyliła nagle głowę, jakby nasłuchując. Po chwili kiwnęła głową. „Powiedział, że tylko czasami. Większość zwierząt nie jest zbyt interesująca. Myślą tylko bez przerwy o jedzeniu i innych zwierzętach”.

Kulgan siedział rozpromieniony, jakby dostał wspaniałą podarunek.

– To wspaniałe! Taki talent! Nikt nie słyszał o bezpośrednim porozumiewaniu się człowieka ze zwierzętami. Niektórzy magowie

wspominali o podobnych zdolnościach w przeszłości, ale nigdy o czymś takim. Będziemy musieli to gruntownie zbadać.

Oczy dziewczynki zrobiły się nagle okrągłe jak spodki. Na twarzy pojawił się wyraz oczekiwania. Usiadła prosto i zwróciła głowę w kierunku drzwi. W sekundę potem pojawili się w progu Pug i Dominik.

Obaj byli zmęczeni, ale nie było widać smutku, którego obawiał się Kulgan i pozostali.

Pug odpowiedział, zanim ktokolwiek zdążył zadać pytanie.

– Żyje, chociaż doznał ciężkich obrażeń. – Zauważył Gaminę na kolanach Kulgana. Sprawiała wrażenie, że ten bezpośredni, fizyczny kontakt z drugim człowiekiem był dla niej niezwykle istotny. – Lepiej się czujesz? – spytał Pug. Zdobyła się na delikatny uśmiech i skinięcie głową.

Pomiędzy nią a Pugiem nastąpiła jakaś wymiana myśli.

– Tak, myślę, że wydobrzeje. Kalata będzie przez cały czas u jego boku. Wielką pomocą okazał się Dominik, który doskonale opanował sztukę uzdrawiania. Gamina, musisz pamiętać, że Rogen jest bardzo stary, i gdyby nie wrócił do zdrowia, musisz to zrozumieć i być silna.

Oczy dziewczynki zaszkliły się łzami. Kiwnęła leciutko głową. Pug i Dominik przysunęli sobie krzesła i usiedli. Dopiero teraz Pug zauważył obecność Meechama. Przywitali się. Krótko przedstawiono nowo przybyłego mnichowi.

Pug spojrzał uważnie na dziewczynkę.

– Gamina, czy możesz nam pomóc? Zgoda? „Jak?”

– Jeśli się nie mylę, do dzisiaj nie było podobnego wypadku.

Muszę wiedzieć, co sprawiło, że zaczęłaś się tak bać o Rogena?

W zachowaniu Puga było widać wielki niepokój i troskę. Chociaż dobrze się maskował, by nie niepokoić dziecka, nie wszystko udało mu się ukryć.

Gamina przestraszyła się. Pokręciła głową i porozumiewała się z Pugiem.

– Gamina, cokolwiek to było, może mieć ogromne znaczenie dla życia Rogena. Mamy do czynienia z czymś, czego nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Powinniśmy wiedzieć jak najwięcej.

Dziewczynka przygryzła dolną wargę. Gardana uderzył fakt, że zważywszy na okoliczności, mała wykazuje się wielką odwagą i odpornością. Chociaż niewiele wiedział o jej losie, domyślał się, że przeszła przez prawdziwe piekło. Życie w świecie, w którym ludzie ciągle byli pełni podejrzeń i wrogo do niej nastawieni, a do tego dobrze znała wszystkie ich myśli, musiało popychać dziecko na krawędź szaleństwa. Już samo zaufanie ludziom na wyspie graniczyło z heroicznym wyczynem. Miłość i delikatność Rogena musiały być bezgraniczne, skoro zdołały przeważyć ból i cierpienie, którego dziewczynka doznała w życiu. Gardan pomyślał, że jeśli był ktoś, kto zasługiwał na przyznawane czasem

przez

świątynie

swoim

męczennikom i bohaterom miano „świętego”, to z pewnością był nim właśnie Rogen.

Pomiędzy Pugiem a Gamina trwała bezgłośna wymiana słów.

– Mów to tak, żebyśmy wszyscy mogli usłyszeć – powiedział w końcu mag. – Wszyscy ci ludzie to twoi przyjaciele i dobrze by było, gdyby usłyszeli twoją opowieść, aby w przyszłości móc zapobiec skrzywdzeniu Rogena i innych ludzi.

Gamina skinęła głową.

„Byłam z Rogenem”.

– Co to znaczy? – dopytywał się Pug.

„Kiedy wykorzystał swoje drugie widzenie, poszłam z nim”.

– Jak to możliwe? – spytał Kulgan.

„Czasami, gdy ktoś myśli o czymś albo sobie coś wyobraża, mogę to usłyszeć albo zobaczyć. To trudne, kiedy nie myślą do mnie. Najlepiej wychodzi mi to z Rogenem. Widziałam to, co on ujrzał w swojej głowie”.

Kulgan odsunął lekko dziewczynkę, aby lepiej się jej przyjrzeć.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że widzisz wizje Rogena? – Mała kiwnęła głową. – A co ze snami? „Czasami”.

– Ależ z ciebie cudowny dzieciak! – Kulgan przytulił ją mocno. –

Dwa cudy jednego dnia! Dziękuję, maleńka, dziękuję bardzo!

Gamina uśmiechnęła się, po raz pierwszy mieli okazję zobaczyć

szczęście na jej twarzy. Pug rzucił Kulganowi pytające spojrzenie.

– Twój syn potrafi rozmawiać ze zwierzętami. – Pug otworzył

szeroko usta. – Ale teraz to nie jest takie ważne. Gamina, co Rogen

ujrzał? Dlaczego tak strasznie cierpiał? Dziewczynka zaczęła dygotać i

mag przytulił ją mocniej. „To było złe. Zobaczył palące się miasto i

ludzi, których krzywdziły złe istoty”.

– Czy znasz to miasto? – spytał Pug. – Czy to jedno z tych, które

widziałas razem z Rogenem?

Gamina pokręciła głową. Patrzyła na niego zdziwionym

wzrokiem.

„Nie. Po prostu miasto”.

– Co jeszcze? – spytał łagodnie Pug.

Małą wstrząsnął dreszcz.

„Zobaczył coś... człowieka?”

Wszyscy odnieśli silne wrażenie zmieszania i zamętu, jak gdyby

mała musiała się uporać z pojęciami, których nie była w stanie

zrozumieć.

„Ten człowiek? zobaczył Rogena...”

– Jak coś obecne w wizji może wyczuć widzącego? – spytał cicho

Dominik. – Przecież wizja to prorocze widzenie tego, co może nastąpić?

Co... kto jest w stanie wyczuć magiczne świadectwo poprzez bariery

czasu i prawdopodobieństwa?

Pug pokiwał głową.

– Gamina, co ten „człowiek” zrobił Rogenowi? „To? On? sięgnął w

jego stronę i skrzywdził. On? powiedział kilka słów”.

Do pokoju weszła Kalala. Dziewczynka spojrzała na nią wyczekująco.

– Zapadł w głęboki zdrowy sen. Myślę, że teraz już wyjdzie z tego.

Podeszła do Kulgana. Stała za jego krzesłem i sięgając ponad nim, ujęła Gaminę pod brodę.

– No, pora do łóżka.

– Jeszcze chwilę – powiedział Pug. Kalala wyczuła, że przerwała coś niezwykle istotnego i kiwnęła głową. – Tuż przed tym, jak zemdlął, Rogen wypowiedział jakieś słowo. To bardzo ważne. Muszę wiedzieć, gdzie je usłyszał. Wydaje mi się, że wypowiedziało je to „coś”, ten zły człowiek z wizji. Gamina, muszę się koniecznie dowiedzieć, co zły powiedział do Rogena. Czy pamiętasz to słowo czy słowa?

Położyła głowę na piersi Kulgana i leciutko skinęła głową. Było widać, że dziewczynka boi się przypomnieć sobie usłyszane słowa.

– No co, powiesz nam? – dopytywał się Pug łagodnie. „Nie. Ale mogę wam pokazać”.

– Jak? „Mogę wam pokazać, co Rogen zobaczył. Po prostu mogę”.

– Wszystkim? – spytał Kulgan. Kiwnęła głową. Usiadła prosto na kolanach maga. Wzięła głęboki oddech, jakby sama chciała się uspokoić. Zamknęła oczy i powiodła wszystkich do mrocznego miejsca.

...czarne chmury szarpane wściekłym wiatrem pędziły nad głowami. Miastu zagrażały burze. Drewniane i żelazne szczątki potężnych bram walały się po ziemi, tędy bowiem przeszły maszyny

wojenne. Dookoła szalały pożary, nad którymi nikt nie był w stanie zapanować. Miasto umierało. Nieludzkie stworzenia pospołu z ludźmi bezlitośnie wycinały w pień ukrywających się po piwnicach i na strychach. Rynsztokami z szumem płynęły potoki krwi. Na środku rynku wzniesiono prawie dziesięciometrowy kopiec z ciał. Na górze trupów leżała platforma z ciemnego drewna, a na niej stał wielki tron. Moredhel o niesamowitym wyglądzie siedział na tronie, spoglądając z wysoka na chaos i zniszczenie, które jego słudzy sprowadzili na miasto. Tuż obok niego stała postać spowita całkowicie w czarne szaty. Wielki kaptur i długie rękawy okrywały szczelnie całe ciało, nie można było określić, kim czy też czym była ta istota.

Uwagę Puga i pozostałych przyciągnęło jednak coś, co znajdowało się poza tą parą. Jakaś mroczna obecność; coś dziwnego i niewidzialnego zarazem, ale wyraźnie wyczuwalnego. Czając się z tyłu, za plecami, było jednocześnie rzeczywistym źródłem ich mocy. Spowita w czerń postać wskazała na coś i na moment spod materiału wyłoniła się pokryta zielonymi łuskami ręka. Nagle byt znajdujący się z tyłu dał znać o sobie patrzącym, wszedł z nimi w kontakt. Wiedział, że jest obserwowany, jego reakcją był gniew i pogarda. Sięgnął ku nim tajemną mocą i przekazał posłanie czarnej rozpacz i śmiertelnej trwogi...

Otrząsnęli się z wizji dziewczynki. Kulgan, Dominik, Gardan i Meecham popatrzyli po sobie zaniepokojeni. Groza pokazana im przez dziewczynkę zmroziła ich do kości, a przecież był to zaledwie cień

bezpośredniego doznania.

Natomiast Kasumi, Kalala i Pug byli wstrząśnięci. Kiedy Gamina skończyła projekcję obrazu, po twarzy Katali płynęły strumieniem łzy.

Nawet Kasumi stracił typowe dla Tsuranich opanowanie i zimną krew.

Siedział poblady, z pochyloną głową i ze ściągniętą w surowym

grymasie twarzą. Jednak najgłębiej przeżył to Pug. Usiadł ciężko na podłodze, chowając twarz w dłoniach.

Kulgan spojrział na nich zaniepokojony. Gamina wydawała się

bardziej przygnębiona reakcją dorosłych niż przypomnieniem samej wizji. Kalala wyczuła jej przerażenie i wzięła ją z kolan maga na ręce.

Przytuliła mocno do siebie.

– O co chodzi? Co się stało? – dopytywał się Dominik. Pug powoli podniósł głowę. W jego rysach widać było przede wszystkim krańcowe wyczerpanie, jakby ciężar dwóch światów ponownie spoczął na jego barkach. W końcu zaczął powoli mówić.

– Gdy wreszcie udało się uwolnić Rogena z bólu, ostatnie słowa, które wypowiedział przed utratą przytomności, brzmiały: „Ciemność, Ciemność”. Oto, co ujrzał za dwoma postaciami na platformie.

Ciemność wypowiedziała te oto słowa: „Intruzie, kimkolwiek jesteś, gdziekolwiek jesteś, wiedz, że nadchodzi czas mojej potęgi i mocy. Sługa mój już szykuje drogę. Drzyj, ponieważ nadchodzę. Jak było w przeszłości, tak będzie i w przyszłości, teraz i na wieki. Spróbuj mej mocy”. A potem sięgnęła w jakiś sposób ku Rogenowi i dotknęła go, wzbudzając śmiertelną trwogę i ból.

– Jak to możliwe? – spytał Kulgan.

– Nie wiem, stary przyjacielu. – Pug mówił ochryplym, ledwo słyszalnym głosem. – Teraz jednak tajemnica nastawiania na życie Aruthy oraz tego, co leży u podstaw ponawianych ataków czarnej magii kierowanych przeciwko niemu i jego sprzymierzeńcom, nabrała nowego wymiaru.

Ukrył na chwilę twarz w dłoniach, po czym powiódł wzrokiem po zebranych. Gamina przywarła mocniej do Katali. Oczy wszystkich były zwrócone na młodego maga.

– Jest jednak coś jeszcze – powiedział nagle Dominik. Zwrócił się ku Kasumiemu i Katali. – Co to za język? Słyszałem go równie dobrze jak wy, tak samo jak wyraźnie słyszałem obce słowa wypowiedziane przez Rogena, lecz są mi zupełnie obce, nie rozumiem ich.

– Słowa te są... starożytne – odpowiedział Kasumi. – To język, którym posługiwano się w świątyniach. Niewiele zrozumiałem, ale jestem pewien, że słowa te wypowiedziano w języku Tsuranich.

ELVANDAR

Las trwał w ciszy.

Ogromne, pamiętające zamierzchłe czasy konary tworzyły ponad ich głowami gęste sklepienie, odcinając większość promieni słonecznych. Mimo to cała okolica prześwietlona była miękką, zielonkawą, nie dającą cienia poświatą. Na boki rozchodziły się ciemniejsze tunele krętych ścieżek niknących w zielonym mroku.

Od ponad dwóch godzin, od późnego ranka, znajdowali się w granicach puszczy Elfów i do tej pory nie widzieli ani śladu jej mieszkańców. Martin sądził, że ktoś ich zatrzyma wkrótce po przekroczeniu rzeki Crydee.

Baru przynaglił konia i zrównał się z Martinem i Aruthą.

– Wydaje mi się, że jesteśmy obserwowani – powiedział góral półgłosem.

– Tak, od kilku minut – odpowiedział Martin. – dopiero niedawno coś mignęło między drzewami.

– Jeśli Elfy nas obserwują, to dlaczego się nie zbliżają? – zapytał Jimmy.

– Nie można wykluczyć, że to nie Elfy. Nie będziemy całkowicie bezpieczni, dopóki nie znajdziemy się w granicach Elvandar. Miejcie się na baczności.

Jechali przez kilka minut. Świergot ptaków zamilkł, wydawało się, że puszcza wstrzymała oddech. Martin i Arutha wciskali swe

wierzchowce w ścieżki tak wąskie, że pieszy ledwo by się na nich

zmieścił.

Martwą

ciszę

przerwało

niespodziewanie

ochryple

pohukiwanie i pojedyncze wrzaski. Tuż koło ucha Baru świsnął kamień.

W powietrzu aż zafurczało od gałązek, odłamków skalnych i większych

kijów. Spoza drzew i krzaków wyskakiwały dziesiątki włochatych

stworzonek, które wyjąc jak opętane, obrzucały jeźdźców gradem

pocisków.

Arutha ruszył do przodu, starając się utrzymać kontrolę nad

koniem. Inni poszli w jego ślady. Galopując manewrował zwinnie

między drzewami i schylał się przed niżej wiszącymi gałęziami. Tuż

przed nim wyrosło nagle na ścieżce cztery czy pięć postaci wzrostu

dziecka. Wrzeszcząc z przerażenia, czmychnęły na wszystkie strony.

Arutha wybrał jedną z nich i pognął za nią. Po chwili mała istotka

zapędziła się w ślepy zaułek; drogę dalszej ucieczki zagrodziła jej

plątania zwalonych pni, gęstego poszycia i wielkich kamieni.

Odwróciła się w stronę Aruthy.

Książę zatrzymał konia i wyciągnął miecz, gotując się do zadania

ciosu. Jednak to co ujrzał, sprawiło, że cały gniew natychmiast z niego

wyparował. Stworek nie próbował atakować, lecz cofnął się w

gmatwaninę gałęzi i korzeni tak głęboko, jak tylko mógł. Twarz miał skurczoną śmiertelnym strachem.

Jego rysy przypominały do złudzenia ludzkie. Wielkie, jasnobrązowe oczy, krótki nos ponad szerokimi ustami. Ściągnięte groźnie wargi ukazywały imponujący zestaw zębów, ale oczy istotki były okrągłe z przerażenia. Po włochatych policzkach płynęły ciurkiem wielkie łzy. Przypominał sporą małpę.

Wokół Aruthy i stworka rozległ się straszny harmider. Otaczało ich coraz więcej włochatych ludziko-stworków. Wyły szaleńczo i tupaly nogami z dziką furią, lecz widać było, że to wszystko na pokaz; w ich zachowaniu nie było prawdziwego zagrożenia. Kilka co bardziej odważnych istotek udało atak, ale gdy Arutha zwrócił konia w ich stronę, uciekły natychmiast, piszcząc z przerażenia.

Za Księciem pojawili się pozostali jeźdźcy. Zapędzona w ślepy zaułek istotka pisnęła żałośnie. Baru podjechał do Księcia.

– Gdy zaatakowałeś, pozostałe pognały za tobą, panie. Ludzie zauważyli, że z włochatych twarzy stopniowo znika udawana wściekłość, a pojawia się wyraz skupienia. Szwargotały coś między sobą, a wydawane przez nie dźwięki przypominały do złudzenia pojedyncze słowa. Arutha schował broń.

– Nie chcemy was skrzywdzić. Uspokoily się natychmiast, jakby zrozumiały. Usidlony w pułapce patrzył na nich z rezerwą.

– Co to jest? – spytał Jimmy Martina.

– Nie wiem. Polowałem w tych lasach od chłopięcych lat, ale nie

widziałem czegoś takiego.

– To gwali, Martinie Długi Łuk.

Odwrócili się błyskawicznie w siodłach. Tuż za nimi stało pięć

Elfów. Jeden ze stworków przemknął bokiem, stanął przed Elfami i pokazał palcem na jeźdźców.

– Calin, ludzi przyjsć! – mówił łamanym językiem. – Oni

krzywdzić Ralala. Ty zatrzymać ich, żeby oni nie krzywdzić jej.

Martin zeskoczył z konia.

– Witaj, Calin! – Padli sobie w objęcia. Potem przywitał się z

pozostałymi Elfami. Martin zaprowadził ich do swoich towarzyszy. –

Calin, pamiętasz mego brata?

– Witaj, książę Krondoru.

– Witaj, książę Elfów. – Rzucił okiem na otaczających ich gwali. –

Przybyłeś w samą porę. Ocaliłeś nas przed licznym przeciwnikiem.

Calin uśmiechnął się.

– Wątpię. Nie wyglądacie na takich, którzy dają sobie w kaszę

dmuchać. – Podeszedł do Aruthy. – Minęło sporo czasu od naszego

ostatniego spotkania. Co cię sprowadza w nasze puszcze, i to w tak dziwnym towarzystwie? Gdzie twoja gwardia i sztandary?

– To długa opowieść, Calin. A poza tym chciałbym, aby usłyszeli ją również twoja matka i Tomas.

Calin zgodził się chętnie. Cierpliwość to wśród Elfów sposób na życie.

Teraz, gdy napięcie opadło, gwali zapędzona przez Aruthę w ślepy

zaulek wyplątała się z gąszczu i dołączyła do swoich pobratymców.

Kilka istotek zaczęło przeczesać palcami jej futerko poklepując i głaszcząc, by uspokoić po ciężkich przejściach. Upewniwszy się, że jest cała i zdrowa, uciszyły się i dalej obserwowały Elfów i ludzi.

– Calin, co to za istoty? – spytał Martin. Książę Elfów roześmiał się, aż w kącikach bladoniebieskich oczu pojawiły się drobne zmarszczki. Był równie wysoki jak Arutha, lecz jeszcze szczuplejszy niż wysmukły Książę.

– Jak już mówiłem, nazywają się gwali. A ten łobuz ma na imię Apalla. – Poklepał po głowie tego, który zwracał się do niego. – Jest ich wozdem albo czymś w tym rodzaju, chociaż wątpię, czy w ogóle funkcjonują pośród nich tego typu pojęcia i hierarchia. Być może jest po prostu bardziej wygadany niż pozostali. – Spojrzał na towarzyszy

Aruthy. – Co to za ludzie?

Arutha przedstawił wszystkich.

– Witajcie w Elvandarze – powitał ich Calin.

– Co to jest gwali? – zapytał Roald.

– To są gwali – zatoczył łuk ręką. – I to najlepsza odpowiedź, jaką mogę służyć. Mieszkały już z nami w przeszłości. W tym pokoleniu to ich pierwsza wizyta. To prosty ludek bez zdrady w sercu. Są nieśmiali i raczej unikają obcych. Kiedy się czegoś przestraszą, biorą nogi za pas. A kiedy wpadną w pułapkę bez wyjścia, udają wściekły atak. Nie dajcie się nabrać na te wspaniałe zębiska. Używają ich głównie do gryzienia twardych orzechów i pancerzy owadów, którymi się żywią. – Zwrócił

się do Apalli. – Dlaczego próbowaliście wystraszyć tych ludzi, co?

Gwali zaczął gwałtownie podskakiwać.

– Powuła robić mały gwali. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu. –

Ona nie ruszać się. My bać się, że ludzie krzywdzić Powuła i mały gwali.

– Bardzo dbają o swoje małe – powiedział Calin ze zrozumieniem.

– Jeśli rzeczywiście chcielibyście skrzywdzić Powulę i jej dziecko,

pewnie by zaryzykowali atak na was. Gdyby nie to, że akurat trwał

poród, nigdy byście ich nie widzieli. – Spojrzał na Apallę. – W porządku.

Ci ludzie to moi przyjaciele. Nie obawiaj się, nie zrobią Powuli i jej

dziecku nic złego.

Na te słowa z dającej poczucie bezpieczeństwa gęstwiny wysypały

się całe rzesze gwali i zaczęły badać obcych z nie skrywaną ciekawością.

Ciągnęły ich za ubrania, tak różne od znanych im dobrze zielonych bluz

i brązowych spodni noszonych zwykle przez Elfy. Arutha zaledwie przez

chwilę zdołał wytrzymać dosyć nachalne badanie.

– Powinniśmy jak najszybciej dostać się na dwór twej matki,

Calin. Czy twoi mali przyjaciele skończyli już?

– Proszę... – jęknął Jimmy półgłosem, marszcząc wymownie nos i

odpychając od siebie gwali, który zwieszał się z gałęzi tuż koło jego

twarży. – Czyż one nigdy się nie kąpią?

– Niestety, nie – odpowiedział Calin. Zwrócił się do futrzanych

istotek. – No, wystarczy tego dobrego. Musimy jechać. – Gwali przyjęły

to z godnością i szybko zniknęły pomiędzy drzewami, z wyjątkiem

Apalli, który wydawał się bardziej stanowczy i władczy niż pozostałe. –

Jeśli by im pozwolić, robiłyby to przez cały dzień, ale są poczciwe i nie obrażają się, gdy się je przegoni. W drogę. – Odwrócił się do Apalli. – Ruszamy do Elvandaru. Zajmij się Powula. Możesz zajrzeć do nas, kiedy tylko będziesz miał ochotę.

Gwali uśmiechnął się szeroko, pokiwał gwałtownie głową i czmychnął jak mysz za pobratymcami. Po chwili w puszczy nie było nawet śladu, że takie coś jak gwali w ogóle istnieje na świecie.

Calin poczekał, aż Martin i Arutha dosiądą wierzchowców.

– Jesteśmy najwyżej o pół dnia drogi od Elvandaru. – Księżę

Elfów i jego towarzysze ruszyli przez puszcę miarowym biegiem. Tylko Martin nie był zdumiony tempem narzuconym przez Elfy. Nie mogło się ono oczywiście równać z galopem konia, lecz utrzymanie go przez człowieka, i to przez pół dnia, graniczyło z niemożliwością.

Po kilku chwilach Arutha zrównał się z Calinem, który sadził przez las długimi, swobodnymi susami.

– Skąd pochodzą te stworki?

– Nikt tego nie wie. To zabawna gromadka. Przychodzą tu z północy, może nawet zza wielkich gór. Pojawiają się nagle, zostają przez rok czy dwa i równie niespodziewanie znikają. Czasem nazywamy ich duszkami leśnymi. Nawet nasi tropiciele nie są w stanie podążać ich śladami, gdy odchodzą. Od ich ostatniej wizyty minęło prawie pięćdziesiąt lat, a niemal dwieście od poprzedniej. – Elf, biegnąc miarowo, oddychał swobodnie.

– Co słyszać u Tomasa? – zapytał Martin.

– Książę Małżonek czuje się bardzo dobrze.

– A dziecko?

– Z małym też wszystko w porządku. To bardzo silne i ładne dziecko, jest wprawdzie trochę... inny, ale też i jego pochodzenie jest wyjątkowe.

– A Królowa?

– Macierzyństwo ma na nią wspaniały wpływ – odpowiedział starszy syn z uśmiechem.

Zamilkli, ponieważ Arucie z trudnością przychodziło jednoczesne kluczenie pomiędzy drzewami i rozmowa. Calinowi nie sprawiało to najmniejszego kłopotu. Przemierzali błyskawicznie puszcze, a każda mijająca minuta przybliżała ich do Elvandaru i spełnienia lub utraty nadziei.

Wkrótce dotarli na miejsce. W jednej chwili pędzili jeszcze przez puszczańską gęstwinę, by w następnej znaleźć się na ogromnej polanie.

Dla wszystkich poza Martinem było to pierwsze spotkanie z Elvandarem.

Ponad knieją otaczającą polanę wznosiły się niebotyczne drzewa rozjaśnione różnymi kolorami. Tam, gdzie złociste promienie popołudniowego słońca padały na najwyższe liście, wydawało się, że drzewa płoną. Nawet z daleka widać było sylwetki poruszające się po podniebnych ścieżkach, spinających

przestrzenie

pomiędzy

gigantycznymi pniami. Kilka drzew różniło się od pozostałych. Ich liście mieniły się oślepiająco, srebrzyście, złociście, a nawet bielą lśniącą jak śnieg. Słońce przesunęło się coraz niżej, wydłużając cienie. W narastającym powoli mroku dało się zauważyć, że drzewa emanują słabą, wewnętrzną poświatą. W Elvandarze nigdy nie zapadał prawdziwy mrok.

Przecinali polanę. Arutha wsluchiwał się w komentarze zachwyconych widokiem towarzyszy.

– Gdybym wiedział... musielibyście chyba mnie zwięzać, aby powstrzymać od przyjechania tutaj – przyznał Roald.

– Tak, warto było spędzić w puszczy całe tygodnie, aby to ujrzeć – zgodził się Laurie.

– Ballady naszych trubadurów nawet w połowie nie oddają całego piękna – powiedział Baru.

Arutha czekał na komentarz Jimmy'ego, lecz gdy wygadany zazwyczaj chłopak milczał uporczywie, Arutha obejrzał się za siebie.

Jimmy jechał w absolutnej ciszy. Chłonął oczami wspaniałości miasta Elfów, tak różnego od wszystkiego, co do tej pory widział. Zblazowany

zazwyczaj młodzian znalazł się w końcu twarzą w twarz z czymś, co całkowicie wykraczało poza jego doświadczenia. Był oszołomiony.

Zbliżali się do granicy miasta drzew. Ze wszystkich stron

dochodził ich delikatny szum pełnej życia społeczności. Grupka

myśliwych odchodziła na bok z upolowanym wielkim jeleniem, aby go sprawić na miejscu specjalnie wyznaczonym do patroszenia ubitej zwierzyny.

Wjechali między drzewa i zatrzymali konie. Calin polecił Elfom, aby zajęły się wierzchowcami. Sam poprowadził gości w górę, po krętych schodach wyciętych w pniu największego dębu, jaki widzieli w życiu. Na górnej platformie minęli grupkę Elfów wyrabiających strzały do łuków. Jeden z nich powitał Martina wzniesioną ręką. Martin odpowiedział i zapytał jednocześnie, czy może odwołać się do ich hojności. Elf z uśmiechem podał mu garść finezyjnie wykonanych strzał. Księżę natychmiast umieścił je w swoim prawie pustym kołczanie. Podziękował szybko w języku Elfów i ruszył dalej z towarzyszami. Calin zaprowadził ich do kolejnych, stromych schodów wiodących na jeszcze wyższą platformę.

– Od tego miejsca dla niektórych z was wspinaczka może się okazać trudnym przedsięwzięciem. Starajcie się trzymać środka ścieżek i platform, a jeśli kiepsko to znosicie, nie patrzcie w dół. Niektórzy ludzie źle reagują na wielkie wysokości. – Ostatnie zdanie powiedział takim tonem, jakby to nie mieściło mu się w głowie.

Przebiegł platformę i ruszył w górę, mijając po drodze grupki Elfów. Większość z nich miała na sobie prosty, leśny strój, taki jak i on. Kilku ubranych było w długie, barwne szaty uszyte z bogatych materiałów albo w równie kolorowe jasne bluzy i spodnie. Wszystkie napotkane do tej pory kobiety były bardzo piękne, chociaż ich uroda

była odmienna od ludzkiej. Prawie wszyscy mężczyźni wyglądali bardzo młodo, jakby byli w wieku Calina. Martin jednak nie dał się zwieść pozorom. Niektóre z mijanych Elfów miały rzeczywiście po dwadzieścia czy trzydzieści lat. Inne, wyglądające równie młodo, liczyły sobie kilka wieków. Sam Calin wyglądający młodziej od Martina, miał już ponad sto lat. To on właśnie uczył Martina kunsztu łowieckiego, gdy ten był jeszcze małym chłopakiem.

Maszerując szerokim na ponad sześć metrów gościńcem, dotarli do kręgu utworzonego przez drzewa. Wzniesiono pomiędzy nimi obszerną platformę o ponad dwudziestometrowej średnicy. Laurie spojrział w górę. Zastanawiał się, czy chociaż kropla deszczu ma szansę przedostać się przez nieprzenikniony gąszcz gałęzi i liści, by spaść na królewskie czoło. Dotarli w końcu na dwór Królowej.

Przeszli przez platformę, kierując się ku podwyższeniu, na którym ustawiono dwa trony. Jeden, trochę wyższy, zajmowała kobieta Elf. Nieskazitelną urodę podkreślał emanujący z niej spokój i pogoda ducha. W jej twarzy z wygiętymi łukowato, wyrazistymi brwiami i delikatnie wymodelowanym nosem dominowały ogromne, bladoniebieskie oczy. Jasnokasztanowe, identyczne jak u Calina włosy o złocistym odcieniu sprawiały wrażenie, jakby nieustannie igrał w nich promyk słońca. Głowy nie zdobiła korona, lecz prosta złota obręcz, ściągająca nieco do tyłu włosy. Mimo tej prostoty nikt nie mógł mieć wątpliwości, że znalazł się przed obliczem Aglaranny, królowej Elfów.

Po lewej ręce Królowej siedział na tronie mężczyzna o wyniosłej

postaci. Był o dobre pięć centymetrów wyższy niż Martin. Włosy miał w kolorze złocistego piasku, a jego twarz była młoda, chociaż naznaczona jakąś nieuchwytną, ponadczasową nutą. Na widok nadchodzących uśmiechnął się, przez co wydał się jeszcze młodszy. Mimo że z twarzy przypominał Elfy, było w nim jednak coś odmiennego. Oczy miał bezbarwne, prawie szare, a brwi nie były tak wygięte. Cała twarz nie była też tak szczupła, lecz bardziej kwadratowa, o mocno zarysowanej szczęce. Uszy, odsłonięte przez złotą obręcz ściągającą włosy do tyłu, były tylko lekko spiczaste i nie tak wydłużone jak u Elfów. Mężczyzna miał również o wiele potężniejszą klatkę piersiową i szersze barki niż jakikolwiek Elf.

Calin skłonił się przed nimi.

– Matko i Królowo, Księżę i wodzu, zostaliśmy zaszczycony odwiedzinami gości.

Oboje władcy Elvandaru podnieśli się i wyszli na spotkanie gości.

Królowa i Tomas przywitani się serdecznie z Martinem i pozostałymi, okazując szacunek i radość.

– Witaj, Wasza Wysokość – zwrócił się Tomas do Aruthy.

– Dziękuję Waszym Wysokościom za ciepłe powitanie. Wokół

tronów siedziały inne Elfy, członkowie dworu. Arutha zauważył starego doradcę Tathara. Poznał go dawno temu, w czasie pamiętnej wizyty Elfów w Crydee. Dokonano prezentacji gospodarzy i gości. Królowa poprosiła, aby wszyscy wstali i przeszli do pomieszczenia obok, gdzie przyjmowano gości i gdzie można było usiąść w mniej formalnym

układzie. Wniesiono jedzenie i wino.

– Miło nam widzieć starych przyjaciół – powiedziała Aglaranna, skłoniwszy głowę w stronę Martina i Aruthy – i powitać nowych. – Skinęła ku pozostałym. – Cóż, wiem jednak, że ludzie rzadko nas odwiedzają bez konkretnej przyczyny. Co cię sprowadza, książę Krondoru?

W czasie posiłku Arutha opowiedział im całą historię. Od pierwszego aż do ostatniego zdania Elfy słuchały w milczeniu. Gdy Arutha skończył, Aglaranna zerknęła na swego doradcę.

– Tathar?

Stary doradca skinął głową.

– Szlak Beznadziei.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że nic nie wiesz o Srebrzystym Cierniu?

– Nie – odpowiedziała Aglaranna. – Szlak Beznadziei to jedna z naszych legend. Znamy dobrze roślinę aelebera, jak i jej właściwości. O tym właśnie opowiada legenda o Beznadziejnym Szlaku. Tathar, wyjaśnij proszę.

Tathar był pierwszym napotkanym przez Jimmy'ego i resztę wiekowym Elfem, u którego widać było wyraźnie oznaki starzenia się. Wokół jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki, a włosy stały się niemal śnieżnobiałe. Odchrząknął i zabrał głos.

– W dziejach naszego ludu był pewien książę Elvandar, który się zaręczył. W jego narzeczonej kochał się również wojownik-moredhel,

ale dziewczyna odtrąciła go. W niepokohowanym gniewie moredhel otruł ją wywarem z aelebery. Zapadła w sen nieprzespany, aż do śmierci. Książę Elvandar wyruszył na Beznadziejny Szlak w poszukiwaniu środka, który by uleczył jego ukochaną. Szukał aelebery. Srebrzystego Ciernia. Roślina ta ma w sobie przedziwną moc, może zarówno leczyć, jak i zabijać. Występuje tylko w Moraelin, co na twój język tłumaczy się Czarne Jezioro. To miejsce o potężnej mocy, święte dla moredheli. Żaden Elf nie może się doń zbliżyć. Legenda głosi, że książę tak długo wędrował wokół jeziora, aż wyżłobił stopami głęboki jar dookoła. Nie może on bowiem ani wejść do Moraelin, ani stamtąd odejść, dopóki nie odnajdzie ziela, które ocali jego ukochaną. Mówi się, że w dalszym ciągu krąży wokół jeziora.

– Ale ja nie jestem Elfem – powiedział Arutha. – Pójdę do Moraelin, jeśli tylko wskażecie mi drogę.

Tomas spojrział po członkach dworu.

– Postawimy twe stopy na drodze do Czarne Jeziora, lecz nie uczynimy tego, dopóki nie wypoczniesz i nie wysłuchasz naszych rad. A teraz wskażemy wam pomieszczenia, gdzie będziecie mogli się odświeżyć po podróży i zdrzemnąć przed wieczornym posiłkiem.

Oficjalna część posiedzenia dworu zakończyła się i Elfy rozeszły się. Z grupą Aruthy zostali jedynie Calin, Tomas i Królowa.

– Jak się miewa wasz synek? – zapytał Martin. Na ustach Tomasa pojawił się szeroki uśmiech. Skinął na gości, aby poszli za nim.

Zaprowadził ich tunelem z gęstych gałęzi do pomieszczenia w

ogromnym wiązcie, gdzie w kołysce spało dziecko. Z wyglądu chłopczyk nie miał więcej niż sześć miesięcy. Spał smacznie i coś mu się akurat śniło, bo delikatnie poruszał paluszkami. Martin przyglądał mu się długo z uwagą. Zrozumiał teraz dobrze, co Calin miał na myśli mówiąc, że jego pochodzenie jest wyjątkowe. Dziecko wyglądało na bardziej ludzkie niż elfie. Jego uszka były tylko odrobinę spiczaste i miały płatki, co było ludzką, niespotykaną u Elfów cechą. Okrągła twarzyczka przypominała raczej pyzatą twarz ludzkiego niemowlęcia. Martin spostrzegł w jej rysach coś nieuchwytnego, co powiedziało mu, że to bardziej dziecko swego ojca niż matki. Aglaranna pochylila się i delikatnie pogłaskała chłopczyka.

– Jak mu daliście na imię?

– Calis – szepnęła Królowa. Martin kiwnął głową. W języku Elfów oznaczało to „dziecko zieleni” i odnosiło się do rozwoju i życia. Było to szczęśliwe, dobrze wróżące imię.

Zostawili śpiące dziecko i poszli razem do obszernej sali, gdzie zastali czekającą na nich kąpiel i maty do spania. Wkrótce wszyscy spali w najlepsze, z wyjątkiem Aruthy, który nieustannie błądził myślami od wizerunku uspiętej Anity do srebrnej rośliny rosnącej na brzegach czarnego jeziora.

Martin siedział samotnie, ciesząc się pierwszym od roku wieczorem w Elvandarze. Elvandar, na równi z zamkiem Crydee, był mu domem rodzinnym. Jako dziecko bawił się tu nie raz i nie dwa i był traktowany na równi z dziećmi Elfów. Usłyszał za sobą miękkie kroki

Elfa. Odwrócił się.

– Galain! – Ucieszył się na widok młodego Elfa, kuzyna Calina.

Galain był jego najstarszym przyjacielem. Objęli się na powitanie. –

Spodziewałem się, że zobaczę cię wcześniej.

– Dopiero wróciłem z patrolu północnej granicy puszczy. Dzieją się tam dziwne rzeczy, Martin. Słyszałem, że być może będziesz w stanie rzucić na to trochę światła.

– Niewiele, co najwyżej nikły płomyczek. Jedno jest pewne, dzieją się tam złe rzeczy.

Opowiedział Galainowi o wszystkim.

– To straszne, Martin. – W głosie młodego Elfa słychać było prawdziwy ból z powodu losu Anity. – A twój brat? – To proste z pozoru pytanie zgodnie z tradycją Elfów zabarwione było wieloma niuansami intonacji, z których każdy odnosił się do innego aspektu ciężkich doświadczeń Aruthy.

– Jakoś się trzyma. Czasem stara się o wszystkim zapomnieć; a czasem ciężar cierpienia dosłownie przygniata go do ziemi. Sam nie wiem, w jaki sposób udało mu się uniknąć szaleństwa. Tak bardzo ją kocha. – Martin pokręcił głową.

– Nigdy się ożeniłeś, Martin. Dlaczego? Martin wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie napotkałem swojej wybranki.

– Smutny jesteś.

– No cóż, Arutha czasem jest człowiekiem, z którym ciężko się

dogadać, ale to przecież mój brat. Pamiętam go jako dzieciaka. Nawet wtedy trudno było zbliżyć się do niego. Sam nie wiem, może to przez śmierć jego matki, gdy był jeszcze bardzo mały? Zawsze trzymał wszystkich i wszystko na dystans. Mimo tej twardej, zewnętrznej skorupy i mocnego charakteru bardzo łatwo go zranić.

– Jesteście bardzo podobni do siebie.

– A no tak... chyba masz rację.

Przez długą chwilę stali obok siebie w milczeniu.

– Pomożemy wam. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– Musimy jechać do Moraelin.

Młodym Elfem wstrząsnął dreszcz, co było bardzo nietypowym uzewnętrznieniem uczuć, nawet u kogoś tak jeszcze niedoświadczonego.

– Martin, to złe miejsce. Nazywane jest Czarnym Jeziorem z powodów, które nie mają nic wspólnego z kolorem wody. To studnia, otchłań szaleństwa. Moredhele udają się tam, by śnić sny o potędze.

Jezioro znajduje się na Mrocznym Szlaku.

– Czy to miejsce związane z Valheru? Galain pokiwał głową.

– Tomas? – I znowu pytanie niosło w sobie wiele ukrytych znaczeń. Galain w czasie wojny z Tsuranimi nie odstępował Tomasa na krok i żył się z nim bardzo.

– Nie, nie pojedzie z wami. Ma małego synka. Calis będzie malutki tak krótko, zaledwie kilka lat. Ojciec powinien ten czas spędzać z dzieckiem. A poza tym istnieje pewne ryzyko.

Nie trzeba było mówić nic więcej. Martin dobrze zrozumiał. Sam

obserwował tamtej nocy, jak niewiele brakowało, aby Tomas uległ szaleńczemu duchowi Valheru, który opanował jego serce i duszę gwałtownym, nie dającym się powstrzymać płomieniem. Martin omal nie stracił wtedy życia. Musi upłynąć jeszcze sporo czasu, zanim Tomas poczuje się na tyle pewnie, by stawić czoło własnemu dziedzictwu, by znowu pobudzić do życia przerażający byt, drzemiący w jego wnętrzu. Do królestwa potęgi Valheru odważyłby się pójść jedynie wtedy, gdyby powaga sytuacji uzasadniała ponoszone ryzyko.

Martin uśmiechnął się swoim krzywym uśmieszkiem.

– Zatem pójdziemy tam sami, my, istoty ludzkie o nędznych talentach i siłach.

– Martin – Galain uśmiechnął się – za dobrze cię znam. Jesteś na tyle wszechstronny, że szczerze wątpię w skromność twoich talentów. – Spoważniał nagle. – Ale rzeczywiście, zanim wyruszyście w podróż, powinniście koniecznie zasięgnąć rady Czarodziejów. Moraelin to miejsce przesycone czarną mocą, a magia z łatwością pokonuje nawet największą odwagę i siłę, pamiętaj o tym.

– Pogadamy z nimi, i to wkrótce... – Odwrócił się ku nadchodzącemu właśnie Elfowi, za którym dostrzegł Aruthę i pozostałych towarzyszy wyprawy. – ...może nawet teraz, jak mi się wydaje. Pójdiesz z nami?

– Nie ma dla mnie miejsca w kręgu starszych. A poza tym przez cały dzień nie miałem nic w ustach. Odpocznę trochę. Wpadnij, gdy będziesz chciał pogadać.

– Zgoda.

Martin pośpieszył na spotkanie Aruthy. Podążyli za Elfem, który zaprowadził ich do rady. Kiedy wszyscy zajęli już miejsca przed Aglaranną i Tomasem, Królowa zabrała głos.

– Tathar, przemów, proszę, w imieniu Czarodziejów. Przedstaw naszą radę dla księcia Aruthy. Tathar wystąpił na środek kręgu.

– Od kilku obrotów średniego księżyca dzieją się dziwne rzeczy.

Oczekiwaliśmy, że po tym, jak podczas wojny Tsurani zepchnęli moredheli i gobliny na pomoc, po jej zakończeniu nastąpi ogólna migracja na południe, w rodzinne strony. Tak się jednak nie stało.

Wprost przeciwnie, nasi zwiadowcy na północy wysłedzili liczne bandy goblinów kierujące się przez Wielkie Góry Północne na teren Ziemi Północy. Zwiadowcy moredheli zaś podchodzą nadzwyczaj blisko naszych granic.

Z drugiej strony na nasze ziemie przybyły gwali, jak bowiem twierdzą, obszary, na których żyły do tej pory, przestały im się podobać. Czasem trudno się z nimi dogadać i zrozumieć, o czym mówią, ale jedno nie ulega wątpliwości: przybyły do nas z północy.

Fakty, które nam przedstawiłeś. Książę, bardzo nas zaniepokoiły.

Po pierwsze dlatego, że dzielimy twój ból. Po drugie, wszystkie te przejawy magii świadczą o potężnej i dalekosiężnej złej mocy, której wielu służy. Poza tym obawiamy się ze względu na to, co działo się u nas w zamierzchłych czasach.

Na długo, długo przed tym, zanim przepędziliśmy moredheli z

naszych puszczy, za to że weszli na Mroczny Szlak Potęgi, wszystkie Elfy stanowiły jedność. Ci z nas, którzy żyli w głębinach leśnych, byli bardziej oddaleni od naszych panów, Valheru, i przez to mniej narażeni na upajające działanie snów o potędze. Ci z nas jednak, którzy mieszkali w bezpośrednim ich sąsiedztwie, dali się zwieść marzeniom o mocy i władzy i stali się moredhelami. – Spojrzał na Królową i Tomasa. Oboje skinęli głowami. – Chciałbym, abyście wiedzieli, że po raz pierwszy w historii dane jest ludziom usłyszeć tych kilka informacji o przyczynach rozłamu między bliskimi krewniakami, Elfami i moredhelami.

W mrocznych czasach Wojen Chaosu nastąpiło wiele zmian. Elfy podzieliły się na cztery grupy. – Martin pochylił się do przodu, słuchając pilnie. Chociaż wiedział o Elfach znacznie więcej niż jakikolwiek żyjący człowiek, to jednak wszystko, co teraz słyszał było dla niego nowością. Aż do dzisiaj sądził, że cały rodzaj Elfów składa się wyłącznie z moredheli i Elfów.

– Najsilniejszy i najbardziej światły odłam stanowili eldar. Do nich zaliczali się najwięksi czarodzieje i uczeni. To oni objęli pieczę nad wszystkim, z czym ich panowie wracali z plądrowania kosmosu: wielkimi księgami i przedmiotami magicznymi, wiedzą mistyczną czy wreszcie nieprzebranymi bogactwami. Oni też zaczęli tworzyć to, co teraz stanowi Elvandar, wyposażając go w magiczne właściwości.

Zniknęli w czasie Wojen Chaosu. Ponieważ byli najbliższymi sługami naszych panów, zakłada się, że wraz z nimi ulegli zagładzie. O Elfach i Bractwie Mrocznego Szlaku, czyli – eledhelach i moredhelach w naszym

języku, wiecie co nieco. Poza nimi istniała jednak jeszcze jedna gałąź kuzynów, glamredhele, co w waszym języku oznacza „chaotyczni” albo „szaleni”. Wojny Chaosu zmieniły ich tak, że stali się narodem fanatycznych, dzikich wojowników. Jak już mówiłem, przez czas jakiś Elfy i moredhele stanowiły jedno i obie nasze nacje były obiektem nieustannych napadów ze strony szalonych. Nawet po wygnaniu z Elvandaru moredhele pozostali zaprzysiężonymi wrogami glamredheli. Niewiele mówimy o tamtych czasach. Chociaż wspominamy osobno o eledhelach, moredhelach i glamredhelach, trzeba pamiętać, że do dzisiaj wszystkie te narody stanowią z Elfami jedną rasę. Różnica jest właściwie jedna i prosta; niektóre nasze ludy wybrały mroczną drogę życia.

Martin zdumiał się. Mimo że wiedział dużo o kulturze Elfów, podobnie jak inni ludzie uważał zawsze, że moredhele stanowią osobną rasę i pomimo istniejących więzów są zupełnie odmienni. Zdał sobie wreszcie sprawę, dlaczego Elfy powściągliwie odnosiły się do dyskusji o swoich związkach z moredhelami. Traktowały ich po prostu na równi z sobą. Po chwili przyszło nagle olśnienie: Elfy oplakiwały stratę swoich braci, którzy dali się skusić Mrocznej Drodze.

Tathar mówił dalej:

– W naszej historii jest rozdział, poświęcony ostatniej, wielkiej bitwie na północy, kiedy to armie moredheli i ich sług goblinów, rozgromiły ostatecznie glamredheli. Rozszalała się okrutna wojna, w której upojone zwycięstwem moredhele wyrznęły w pień naszych

szalonych kuzynów. Przyjęło się uważać, że wymordowano wszystkich.

Nawet niemowlaki w kołyskach, aby w przyszłości glamredhele nie powstały znowu i nie zagroziły supremacji moredheli. W historii naszej rasy najczarniejszy to rozdział, straszliwa hańba, kiedy to jedna gałąź naszego ludu całkowicie unicestwiła drugą.

Jedna sprawa jest w tym wszystkim dla nas ważna: w samym sercu sił moredheli znajdował się oddział zwany Czarnymi Zabójcami; wyrzekli się oni swej śmiertelności, aby stać się potworami, którym przyświecał jeden, jedyny cel: zabijać dla swoich panów. Po śmierci Czarni Zabójcy wstają z martwych na wezwanie swego pana. Można ich powstrzymać tylko za pomocą magii, przez całkowite zniszczenie ciała lub przez wycięcie serca. Ci, którzy napadli na ciebie, panie, na drodze do Sarth, to byli właśnie Czarni Zabójcy.

Zanim doszło do bitwy, w której zmieciono z powierzchni ziemi naszych wspólnych kuzynów, moredhele zapuściły się daleko w Mroczny Szlak. Potem jednak musiało nastąpić coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że zapuściły się jeszcze głębiej w mroczną otchłań grozy, na samo dno, wybierając ludobójstwo i całkowite zaprzeczenie się jako Czarni Zabójcy. Stały się bezwolnymi narzędziami w rękach obłąkanego monstrum, przywódcy, który zapragnął rywalizować z wymarłą rasą Valheru i podporządkować sobie cały świat. To on właśnie zgromadził moredheli pod swoimi sztandarami i zapoczątkował grozę w postaci Czarnych Zabójców. W ostatniej bitwie został śmiertelnie ranny i wraz z jego odejściem z tego świata moredhele

przestały tworzyć jeden naród. Wodzowie zebrali się na naradę, aby wybrać następcę. Szybko jednak poróżnili się między sobą i wkrótce upodobnili się do goblinów – szczepy, plemiona, klany czy rody, które nigdy nie były zdolne zgromadzić się pod jednym, wspólnym sztandarem. Oblężenie zamku Carse pięćdziesiąt lat temu to zaledwie drobna, nic nie znacząca potyczka w porównaniu z potęgą, którą byli pod przywództwem swojego wielkiego wodza. Ale jak już wspomniałem, wraz z jego zgonem era moredheli mogła dobiec do definitywnego końca. Ich wódz był jedyny w swoim rodzaju, miał w sobie jakiś charyzmat. Była to istota o hipnotycznych, niewytłumaczalnych wręcz zdolnościach i cechach, która była w stanie skupić wszystkich moredheli w jeden naród.

Przywódca moredheli miał na imię Murmandamus.

– Czy jest możliwe, aby zdołał w jakiś sposób powrócić? – spytał Arutha.

– Nie ma rzeczy niemożliwych. Książę. Tak się przynajmniej wydaje temu, kto żył tyle lat co ja. Być może ktoś usiłuje skrzyknąć wszystkich moredheli pod jednym sztandarem wzywając czy też powołując się na to starożytne, legendarne imię.

Jest jeszcze sprawa kapłanów-węży. Panathianie są powszechnie znienawidzeni, nawet moredhele wykorzystują każdą sposobność, by ich mordować. Jednak to, że niektórzy z nich wydają się sługami Murmandamusa, może świadczyć o istnieniu jakiegoś mrocznego przymierza. To ostrzeżenie dla nas. Możemy wkrótce stanąć twarzą w

twarz z siłami, które wykraczają znacznie poza nasze przewidywania. Jeżeli okaże się prawdą, że narody z północy jednoczą się, by powstać przeciwko nam, to znowu staniemy wszyscy w obliczu próby i towarzyszących jej zagrożeń. Zagrożeń i niebezpieczeństw podobnych do tych, które zawisły nad naszymi głowami, gdy pojawili się wojownicy z innego świata.

Baru powstał, dając tym znać zgodnie ze zwyczajem górali Hadati, że pragnie zabrać głos.

– Mój lud niewiele wie o historii i sprawach moredheli poza tym, że Mroczni Bracia to nasi wrogowie na śmierć i życie. Jedno wszakże mogę dodać: Murad uważany jest za wielkiego wodza, być może największego spośród współcześnie żyjących. Uważa się, że to on właśnie mógłby ściągnąć pod swoją komendę wiele setek wojowników. To, że ktoś taki służy razem z Czarnymi Zabójcami, świadczy dobitnie o potędze Murmandamusa. Murad należy do istot, które służą jedynie tym, których się boją. A tego, którego obawia się sam Murad, należy się rzeczywiście bać.

– Jak już wspomniałem Ishapianom, wiele z tego, o czym mówiłem, to tylko domysły i spekulacje. Moim głównym zadaniem pozostaje teraz odnalezienie Srebrzystego Ciernia – powiedział Arutha. Jednak sam sobie zdał sprawę, że nie mówi prawdy. Zbyt wiele wskazywało, że zagrożenie z północy jest jak najbardziej realne, choć to już nie były dokuczliwe, ale niegroźne incydenty w postaci napadów goblinów na chłopstwo mieszkające na północy. Stanęli wobec

możliwości inwazji potężniejszej niż kampania Tsuranich w ostatniej wojnie. W obliczu takich zagrożeń nieuwzględnienie wszystkich uwarunkowań i skupienie się tylko na znalezieniu lekarstwa dla Anity nie może być niczym innym niż jest w istocie: obsesją.

– To może być fragment jednego i tego samego obrazu, Wasza

Wysokość – powiedziała Aglaranna. – Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że oto zagraża nam niepowstrzymana żądza szaleńca, który chce zgromadzić pod swoimi rozkazami wszystkich moredheli oraz ich sługi i sprzymierzeńców. Chcąc do tego doprowadzić, musi sprawić, aby proroctwo zaowocowało faktami. Musi usunąć, zniszczyć na zawsze Zaporę Ciemności. A co udało mu się osiągnąć? Zmusił cię, panie, abys udał się do jedyne go miejsca, gdzie z pewnością będzie potrafił odnaleźć cię bez przeszkód.

Jimmy wyprostował się nagle i wytrzeszczył oczy.

– On tam na ciebie czeka! – krzyknął, zapominając o protokole dworskim. – On jest przy Czarnym Jeziorze!

Roald i Laurie położyli mu ręce na ramieniu, by uspokoić wzburzonego chłopaka. Jimmy zawstydzil się i wcisnął głębiej w siedzenie.

– Jak to wynika ze słów młodzieńca, a pogląd ten podzielam również ja i cała starszyzna, tak musi być w istocie. Książę. Od chwili, gdy otrzymałeś w opactwie talizman Ishap, Murmandamus musiał albo odkryć szybko sposób, aby cię znowu odnaleźć, albo podjąć ryzyko, że formowane przez niego przymierze nie dojdzie do skutku. Moredhele są

podobni do innych stworzeń żyjących na tej ziemi: tak samo muszą dbać o plony i wypasać stada. Gdyby Murmandamus zwlekał zbyt długo ze zrealizowaniem przepowiedni, mogliby go opuścić. Oczywiście nie ci, którzy złożyli mroczne śluby, jak choćby Czarni Zabójcy. Od swoich agentów dowiedział się, że opuściles Sarth. Obecnie jego wywiad w Krondorze ustalił z pewnością, że wyruszyłeś na poszukiwanie środka, który może uratować życie księżniczki. Tak, Książę, on już wie albo dowie się za chwilę, że szukasz Srebrzystego Ciernia. I on sam lub któryś z jego dowódców, na przykład Murad, będzie z pewnością czekał na ciebie przy Moraelin.

Arutha i Martin wymienili spojrzenia. Martin wzruszył ramionami.

– No cóż, przecież nigdy nie sądziliśmy, że będzie to łatwe. Arutha spojrział na Królową, Tomasa i Tathara.

– Przyjmijcie podziękowanie za wasze roztropne rady i życzliwość, ale jednak pojedziemy do Moraelin.

Arutha podniósł głowę ku Martinowi, który stanął właśnie u jego boku.

– Rozmyślasz? – spytał starszy brat.

– Po prostu zastanawiam się nad kilkoma rzeczami. Martin usiadł obok niego na skraju platformy, niedaleko zajmowanych przez nich pomieszczeń. W nocy Elvandar jarzył się subtelną, fosforyzującą poświatą, spowijając miasto Elfów delikatnym płaszczem magii.

– Nad czym?

– Że być może dopuściłem do tego, że zaślepiony troską o Anitę, zaniedbałem swoje obowiązki.

– Nękają cię wątpliwości? Nareszcie wylazłeś z tej swojej skorupy!

Ja mam wątpliwości od samego początku wyprawy, bracie. Wiem tylko, że jeśli pozwolisz, aby zapanowały nad tobą rozterki duchowe, w rezultacie nie zrobisz niczego. Nie ma innego wyjścia, jak tylko starać się możliwie najlepiej ocenić sytuację, a po podjęciu decyzji działać.

– A jeśli się pomyliłem?

– No to się pomyliłeś.

Arutha spuścił głowę i wsparł się o drewnianą barierkę.

– Właściwie cały problem sprowadza się do stawki. W młodości, jeśli źle oceniłem sytuację, przegrywałem grę. Teraz mogę przegrać całe państwo i naród.

– Być może, ale nadal nie zmienia to faktu, że trzeba możliwie najlepiej ocenić sytuację i wprowadzić to w życie, prawda?

– Wszystko wymyka mi się z rąk. Zastanawiałem się, czy najlepszym wyjściem nie byłby natychmiastowy powrót do Yabon i wysłanie armii Vandrosa w góry.

– No cóż, być może rozwiązałyby to sytuację. Pamiętaj jednak, że są miejsca, gdzie sześciu przejdzie, a wielka armia nigdy. Arutha uśmiechnął się krzywo.

– Prawda, że są, ale nie ma ich aż tak wiele. Na twarzy Martina pojawił się uśmiech, niemal lustrzane odbicie uśmiechu brata.

– I to prawda, ale są jednak – dla nas ważne – jedno czy dwa. Z

tego, co o Moraelin powiedział Galain, wynika jasno, że w tym wypadku o wiele ważniejsze jest skryte i przebiegłe działanie niż siła. A co będzie, jeśli po wejściu z całą armią Vandrosa okaże się, że Czarne Jezioro leży po drugiej stronie takiej ładnej dróżki jak ta, którą wjeżdżaliśmy do opactwa w Sarth? Pamiętasz? Gardan powiedział, że pół tuzina babinek ze szczotkami mogłoby jej bronić przez całą wieczność. Głowę daję, że Murmandamus ma tam trochę więcej ludzi niż sześć staruszek. Założmy nawet, że w bitwie pokonałbyś hordy tego szaleńca, i co potem? Czy mógłbyś rozkazać chociaż jednemu żołnierzowi, aby złożył swe życie w ofierze, by tylko Anita mogła żyć? Wiesz dobrze, że nie. Tak naprawdę tylko ty i Murmandamus rozgrywacie tę grę. Zgoda, stawka jest wysoka, bardzo wysoka, ale to tylko gra. Tak długo jak sądzi, że może cię zwabić do Moraelin, mamy szansę przekraść się tam i zdobyć Srebrzysty Cierń.

Arutha spojrzał na brata.

– Mamy? – spytał, znając z góry odpowiedź.

– Oczywiście. Dopóki sami nie zatrzaśniemy pułapki, pozostanie otwarta. Taka już jest natura pułapek. Co więcej, jeśli nie zorientują się, że jesteśmy w środku, kto wie, może nawet uda nam się wydostać bez szwanku. – Zamilkł na chwilę i spojrzał w kierunku północy. – To tak blisko. Tam w górach, najwyżej tydzień drogi stąd, nie więcej. Tak blisko... – Parsknął śmiechem. – Przecież byłby to straszny wstyd, być tak blisko i wycofać się.

– Jesteś szalony.

– Być może. Ale sam tylko pomyśl: tak blisko. Odpowiedź brata

wywołała uśmiech na twarzy Aruthy.

– W porządku. Jutro wyruszamy.

Sześciu jeźdźców z błogosławieństwem królowej Elfów i Tomasa

wyruszyło z samego rana. Calin, Galain i dwa inne Elfy biegli u ich

boku. Gdy dwór Elfów zniknął im z oczu, pośród gałęzi drzew przy

szlaku mignął gwali.

– Calin!

Księżę Elfów zarządził postój i po chwili gwali ześlizgnął się na

ziemię po pniu. Uśmiechnął się szeroko.

– Gdzie ludzi iść z Calin?

– Zaprowadzimy ich do pomocnej drogi, Apalla. A potem wyruszą

do Moraelin.

Gwali zdenerwował się strasznie. Podskakiwał, tupał i potrząsał

gwałtownie kudłatą głową.

– Nie, ludzi, nie iść tam! Złe miejsce. Mały Olnoli być tam pożarty

przez złe.

– Jakie złe? – spytał Calin, lecz gwali czmychnął w krzaki,

wrzeszcząc z przerażenia.

– Nie ma to jak radosne i miłe pożegnanie – skomentował

sarkastycznie Jimmy.

Calin odwrócił się do Galaina.

– Wróć i odszukaj Apallę. Postaraj się wyciągnąć z niego coś

sensownego. Może ci się uda.

– Dobrze. Postaram się dowiedzieć, o czym mówił, i dogonię was.

– Pomachał do wszystkich i pobiegł za gwali. Arutha dał znaki i ruszyli w dalszą drogę.

Przez trzy dni Elfy prowadziły ludzi ku granicy swojej puszczy u podnóża Wielkich Gór Północnych. W końcu, czwartego dnia dotarli do niewielkiego strumienia. Na drugim brzegu dostrzegli początek szlaku, który prowadził przez lasy ku wąwozowi.

– Oto granica naszych ziem – powiedział Calin.

– Co z Galainem? Jak myślisz? – spytał Martin.

– Może nie dowiedział się niczego istotnego, a może po prostu szukanie Apalli zajęło mu dzień czy dwa. Gdy gwali postanowi się ukryć, mogą być trudności z odnalezieniem go. Jeśli spotkamy Galaina, pošlemy go za wami. Z pewnością was dogoni, jeśli tylko nie wejdziecie do serca Moraelin.

– Gdzie to jest? – spytał Arutha.

– Idźcie tym szlakiem przez dwa dni, aż dotrzecie do niewielkiej doliny. Przetnijcie ją. Na północnym krańcu ujrzycie wodospad. Stamtąd szlak prowadzi w górę. Na szczycie płaskowyżu znajdziecie się w pobliżu wodospadu. Idźcie dalej w górę rzeki, aż do jej źródeł przy jeziorze. Od tego miejsca szlak ponownie wspina się w górę i znów prowadzi na północ. To jedyna droga do Moraelin. Bez trudu odnajdziecie wąwóz, który wiję się wokół całego jeziora. Jak mówi legenda, wyżłobił go zrozpaczony książę Elfów nieustannie okrążający jezioro. Dlatego też nosi on nazwę Szlak Beznadziei. Do samego jeziora

Moraelin prowadzi jedno, jedyne przejście, przez most zbudowany przez moredheli. Po przejściu mostu nad Szlakiem Beznadziei znajdziecie się na miejscu, w Moraelin. Tam rośnie Srebrzysty Cierń. To roślina o jasnych, srebrzystozielonych, trójdzielnych listkach i owocach podobnych do czerwonych jagód. Rozpoznacie ją bez trudu, ponieważ jej nazwa dobrze oddaje wygląd: ma wyraźne srebrzyste ciemię. Jeśli nie uda się wam zabrać całej rośliny, zbierzcie garść jagód. Srebrzysty Cierń powinien rosnać przy samej wodzie. No, idźcie już i niech bogowie was strzegą.

Po krótkim pożegnaniu sześciu jeźdźców wyruszyło w drogę.

Martin i Baru otwierali pochód, za nimi jechali Arutha i Laurie, a z tyłu Roald i Jimmy. Kiedy wjeżdżali za zakręt, Jimmy oglądał się za siebie przez cały czas, aż Elfy zniknęły mu z oczu. Odwrócił się i spojrzał przed siebie. Zostali sami, zdani wyłącznie na własne siły, bez sprzymierzeńców i bezpiecznego schronienia. Odmówił cichą modlitwę do Banath i wziął głęboki oddech.

POWRÓT

Pug zapatrzył się w ogień.

Ogień płonący w niewielkim żelaznym piecyku rzucał na ściany i sufit tańczące plamy światła. Pug zakrył twarz dłońmi. Poczul okropne, przenikające do szpiku kości zmęczenie. Pracował bez chwili wytchnienia od momentu wizji Rogena. Jadł i spał tylko wtedy, gdy Katali udało się odciągnąć go na siłę od pracy. Pieczołowicie zamknął jedną z ksiąg odziedziczonych po Macrosie. Czytał je bez chwili

wypoczynku od ponad tygodnia. Od kiedy stanął twarzą w twarz z trudnymi do ogarnięcia wizjami Rogena, szukał wszędzie nawet najmniejszych śladów informacji. Tylko jeden mag z tego świata wiedział cokolwiek o Kelewanie, i był to Czarny Macros. Kimkolwiek była ta mroczna obecność w wizji ślepeca, przemówiła w języku, który na Midkemii mogło rozpoznać niespełna pięć tysięcy osób: Pug, Katala, Laurie, Kasumi wraz ze swoim garnizonem w LaMut i kilkuset byłych jeńców rozrzuconych wzdłuż Dalekiego Wybrzeża. Przy czym jedynie sam Pug był w stanie pojąć w pełni znaczenie słów wypowiedzianych w wizji Gaminy, ponieważ zostały one przekazane w pradawnym, dawno wymarłym języku, przodka współczesnego języka Tsurani. Pug szukał bez skutku w zbiorach Macroasa jakiegokolwiek, choćby najmniejszego śladu, który mógłby go naprowadzić na tożsamość ciemnej mocy.

Spośród setek woluminów odziedziczonych po Macrosie przez Puga i Kulgana, tylko jedna trzecia została do tej pory skatalogowana. Przez swego dziwnego, podobnego do goblina sługę Gathisa, Macros przekazał im listę wszystkich tytułów. W niektórych wypadkach to wystarczyło, ponieważ już sam tytuł wiele mówił o książce. Ale nie zawsze. Czasem lista była nieprzydatna, dopóki nie przeczytało się całej książki. Samych prac zatytułowanych Magia było siedemdziesiąt dwie, a ponadto dochodziło jeszcze kilkanaście następnych, których tytuły były sformułowane podobnie. Pug, szukając śladów mogących wyjawić naturę tego, przed czym stanęli, wertował księgi w nadziei, że natrafi na jakąś pożyteczną informację. Siedział teraz z wielkim tomiskiem

rozłożonym na kolanach, czując w sercu narastającą pewność co do swych dalszych kroków.

Położył ostrożnie księgę na stole i wyszedł z pracowni. Zszedł na dół do korytarza, który łączył wszystkie gotowe już pokoje akademii. Ulewny deszcz nad Stardock przerwał prace na wyższym poziomie w pobliżu wieży, gdzie mieściły się jego pracownie. Ostry podmuch zimnego powietrza wdarł się przez szczelinę w murze. Owinął się ciaśniej czarną szatą i wszedł do obszernej jadalni służącej im jako sala ogólna.

Kalala podniosła głowę znad wyszywanego materiału. Siedziała w pobliżu kominka w jednym z wygodnych foteli zajmujących połowę powierzchni wspólnej sali. Brat Dominik i Kulgan rozmawiali, a mag pykał nieodłączną fajkę. Kasumi stał w rogu pokoju, obserwując z zainteresowaniem, jak William i Gamina grają w szachy. Twarze dzieciaków dzielnie posługujących się w starciu świeżo nabytymi umiejętnościami zmieniły się w maksymalnie skoncentrowane maski. William nie przykładał się specjalnie do nauki nowej gry, dopóki dziewczynka nie okazała zainteresowania. Sromotna porażka, jakiej doznał, wyzwoliła w nim ducha współzawodnictwa. Do tej pory ograniczał swoje działanie do boiska piłkarskiego. Pug pomyślał, że jak tylko będzie miał trochę wolnego czasu, powinien głębiej zbadać ich zdolności. Jak tylko będzie miał trochę czasu...

W progu pojawił się Meecham z karafką wina. Podał Pugowi napelniony kieliszek. Pug podziękował, po czym usiadł obok żony.

– Kolacja będzie najwcześniej za godzinę. Myślałam, że jak zwykle

będę musiała siłą odrywać cię od pracy.

– Skończyłem to, co chciałem dziś zrobić, i postanowiłem trochę odetchnąć przed posiłkiem.

– To dobrze. Zbyt ciężko pracujesz, Pug. Uczysz innych, nadzorujesz budowę gigantycznego gmachu, a teraz jeszcze zamykasz się na całe dni w pracowni. Za mało czasu spędzasz z nami.

Pug uśmiechnął się do niej.

– Zrzedzisz?

– Przywilej żony – odpowiedziała, odwzajemniając uśmiech.

Katala nie była sekutnicą. Jeżeli coś się jej nie podobało, mówiła o tym otwarcie i sprawa była szybko rozwiązywana albo na drodze kompromisu, albo wzajemnych ustępstw.

Pug rozejrzał się po sali.

– A gdzie Gardan?

– Ha! Sam widzisz. Gdybyś się nie zamykał w tej swojej wieży, pewnie byś pamiętał, że dziś wyruszył do Shamaty, aby wysłać wiadomości do Lyama pocztą wojskową. Wróci za tydzień.

– Sam pojechał?

Kulgan rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Opracowałem przepowiednię. Będzie padało przez trzy dni.

Wielu robotników, zamiast siedzieć przez ten czas w barakach, udało się z krótką wizytą do domu. Gardan pojechał razem z nimi. Nad czym siedziałeś przez kilka ostatnich dni? Prawie przez tydzień nikt nie

usłyszał od ciebie ani jednego cywilizowanego słowa.

Pug rozejrzał się po zebranych. Katala siedziała pochylona nad swoją robótką, ale dobrze wiedział, że z uwagą czeka na jego odpowiedź. Dzieciaki były zatopione po uszy w grze. Kulgan i Dominik patrzyli na niego z nie skrywanym zainteresowaniem.

– Czytałem dzieła zostawione przez Macrosa. Chciałem znaleźć jakiś ślad, który mógłby nas naprowadzić na to, co powinniśmy zrobić.

A ty?

– Ja i Dominik konsultowaliśmy się z innymi mieszkańcami wioski. Udało nam się dojść do pewnych wniosków.

– To znaczy?

– Teraz, gdy Rogen dochodzi już do siebie, był w stanie opowiedzieć nam ze szczegółami, co ujrzał w wizji. Co bardziej utalentowana młodzież rzuciła się, aby rozgryźć problem. – Pug w słowach starego maga wyczuł nutkę rozbawienia pomieszaną z dumą. – Cokolwiek tam jest i chce sprowadzić nieszczęście na Królestwo czy całą Midkemię, ma jednak ograniczoną moc. Załóżmy na chwilę, że jest to, jak się obawiasz, jakaś mroczna potęga, której w czasie wojny udało się prześlizgnąć z Kelewanu przez przejście. Moc ta jednakże ma swoje słabości i obawia się ich ujawnienia w pełni, przynajmniej na razie.

– Możesz to wyjaśnić bliżej? – Zainteresowanie przemogło wielkie zmęczenie Puga.

– Trzeba założyć, że to coś wywodzi się z rodzinnego świata Kasumiego. Nie ma sensu szukanie innego, bardziej egzotycznego

wyjaśnienia, które usprawiedliwiłoby posługiwanie się starożytnym językiem Tsuranich. W tym wypadku jednak istnieje zasadnicza różnica: w przeciwieństwie do byłych sprzymierzeńców Kasumiego, owa tajemnicza moc nie przybywa do nas w formie otwartego podboju, lecz stara się wykorzystać innych jako instrument swego działania. Przejście między naszymi światami zostało zamknięte rok temu, co oznacza, że jest tutaj przynajmniej tak długo. Może nawet całe jedenaście lat, podczas których zdobywało sprzymierzeńców, takich jak na przykład kapłani Pantathianie. Następnym krokiem było wzmocnienie pozycji poprzez przeciągnięcie na swoją stronę jako agenta moredhela, „pięknego”, jak go określił Rogen. Ale to wszystko jakby przykrywka. Tak naprawdę musimy się dopiero obawiać mrocznej „obecności” widzianej w tle za pięknym moredhelem i innymi. To jest bowiem prawdziwy autor i praźródło tej całej koszmarnej i krwawej sprawy.

Idźmy dalej. Jeśli wszystko to, o czym wspomniałem wyżej, jest prawdą, to widać, że przeciwnik stara się raczej wykorzystywać podstęp i spryt niż bezpośrednio użycie siły. Dlaczego? Są dwa wytłumaczenia: albo jest zbyt słaby, aby działać otwarcie i bezpośrednio, albo chce zyskać na czasie, aż będzie gotów wyjawić swą prawdziwą naturę i wtedy wyjść z ukrycia.

– To oznacza z kolei, że nadal stoi przed nami zadanie odkrycia rzeczywistej tożsamości i natury tego bytu, potęgi czy jak to nazwiemy.

– Zgadza się. Poczyniliśmy również pewne spekulacje oparte na

założeniu, że „to”, przed czym stanęliśmy, nie pochodzi z Kelewanu.

– Nie traćmy czasu, Kulgan – przerwał mu Pug. – Nasze dalsze kroki muszą opierać się na założeniu, że nasz przeciwnik jest z Kelewanu. Daje to nam przynajmniej możliwości poszukiwania dostępnych nam rozwiązań. Jeśli Murmandamus to po prostu zwykły szaman i kacyk w jednej osobie, który się wybił ponad innych i przypadkiem posługuje się dawno wymarłym językiem Tsuranich, to będziemy w stanie stawić mu skutecznie czoło. To nie byłby problem, inwazja jakiejś mrocznej potęgi z Kelewanu... takie założenie właśnie musimy przyjąć.

Kulgan westchnął głęboko i zapalił dawno wygasłą fajkę.

– Szkoda, że nie mamy więcej czasu... i więcej pomysłów, jak działać. Wiele bym dał, aby mieć możliwość zbadania choćby jednej strony tego zjawiska bez narażania się na ryzyko. No tak, życzyłbym sobie ze stu różnych wiadomości, ale najbardziej tego, aby istniało chociaż jedno opracowanie na ten temat oparte na zeznaniach godnego zaufania świadka.

– Jest miejsce, gdzie taka księga może się znajdować.

– Gdzie? – spytał Dominik. – Z chęcią bym ci tam towarzyszył, tobie czy komukolwiek, bez względu na ryzyko.

– Nie wydaje mi się, mój miły bracie. – Kulgan parsknął śmiechem. – Mój były uczeń mówi o miejscu, które znajduje się w innym świecie. – Spojrzał na Puga twardym wzrokiem. – Biblioteka Zgromadzenia?

– Zgromadzenie? – zdziwił się Kasumi.

Pug zauważył kątem oka, że Katala zesztyniała nagle.

– Można tam znaleźć odpowiedzi na wiele pytań związanych z nadciągającą konfrontacją.

Katala ani na chwilę nie podniosła wzroku znad swojej robótki.

– Jak to dobrze, że przejście jest zamknięte i nie może być ponownie otwarte, chyba że przez przypadek – powiedziała opanowanym tonem. – Nie możesz zapominać, że być może skazano cię tam na śmierć i że już przed atakiem na Cesarza został zakwestionowany twój status Wielkiego. Czy można wątpić, że zostałeś wyjęty spod prawa? Och, jak to dobrze, że przejścia już nie ma i nie ma sposobu, abyś tam powrócił.

– Jest sposób – powiedział Pug spokojnie.

W jednej chwili oczy Kalali rozgorzały wewnętrznym ogniem.

– Nie! Nie możesz tam wrócić! Pug!

– Jak to możliwe... czy rzeczywiście jest sposób na powrót? – dopytywał się Kulgan.

– Podczas nauki przed otrzymaniem czarnej szaty dostałem ostatnie zadanie – wyjaśniał Pug. – Stojąc na Wieży Próby, miałem wizję czasów Obcego, wędrującej gwiazdy, która zagroziła Kelewanowi. To właśnie dzięki interwencji Macrosa dosłownie w ostatniej chwili Kelewan ocalał. Macros pojawił się ponownie na Kelewanie, w momencie gdy prawie doszczętnie zniszczyłem cesarski stadion. To przecież było oczywiste przez cały czas, lecz dopiero w tym tygodniu

uświadomiłem to sobie.

– Macros mógł się przemieszczać między jednym i drugim

światem, kiedy tylko chciał! – krzyknął olśniony nagle Kulgan. –

Macros

dysponował

środkami

pozwalającymi

na

stwarzanie

kontrolowanych przejść!

– I ja je odnalazłem. W jednej z jego książek są bardzo wyraźne

instrukcje.

– Pug, nie możesz tam iść... – szepnęła Katala. Nachylił się ku niej

i wziął w ręce jej zaciśnięte w pięści dłonie.

– Muszę. – Spojrzał na Dominika i Kulgana. – Wiem, jak powrócić

do Zgromadzenia, i muszę to wykorzystać. W przeciwnym razie, jeśli

miałoby się okazać, że Murmandamus jest sługą jakiejś mrocznej potęgi

zła z Kelewanu lub tylko formą przejściową, jakby odwróceniem uwagi

do czasu, aż potęga ta wzrośnie w siłę, będziemy zgubieni. Jeśli mamy

odkryć sposób postępowania z zagrożeniem, musimy przede wszystkim

zidentyfikować je, odkryć jego prawdziwą naturę. Żeby tego dokonać,

muszę udać się na Kelewan. – Spojrzał na żonę, a potem na Kulgana. –

Wrócę do Tsuranuanni.

Meecham pierwszy zabrał głos.

– Zatem kiedy wyruszamy?

– My? Muszę iść sam.

. – Nie możesz iść sam – sprzeciwił się gwałtownie wysoki sługa

Kulgana, jakby sam pomysł był czystym absurdem. – Kiedy

wyruszamy?

– Nie znasz ich języka. A poza tym jesteś stanowczo za wysoki, aby uchodzić za Tsuraniego.

– Będę twoim niewolnikiem. Sam często wspominałeś, że jest tam dużo niewolników z Midkemii. – Ton jego głosu wyraźnie świadczył, że dyskusję uważa za zakończoną. Zerknął na Katalę, a potem na Kulgana.

– A poza tym, gdyby miało ci się coś przytrafić, nie będzie tu ani chwili spokoju.

William i Gamina podeszli bliżej.

– Tatusiu, zabierz Meechama ze sobą... proszę.

„Proszę”.

Pug poddał się i wznosił obie ręce w górę.

– Dobrze, już dobrze. Wymyślimy jakąś historyjkę. Kulgan odetchnął z ulgą.

– No, trochę mi ulżyło... przy czym nie należy tego stwierdzenia brać za aprobatę, jedynie za stwierdzenie względne.

– Twoje zastrzeżenie przyjąłem do wiadomości. Dominik chrząknął cicho.

– Hm... skoro znowu poruszamy ten temat, ja również chciałbym ponowić propozycję towarzyszenia ci w wyprawie.

– Zapropnowałeś to, zanim dowiedziałeś się, dokąd wyruszam.

Uważam, że o jednego Midkemianina potrafię się zatroszczyć, ale dwóch to już zbyt wielki kłopot.

– Mogę się przydać. Znam się na sztuce uzdrawiania chorych i jestem biegły w naszej zakonnej magii. Nie zapominaj, że mam silną rękę i potrafię niezłe machać młotem.

Pug przyjrzał mu się z uwagą.

– Jesteś co prawda trochę wyższy niż ja, ale niewiele. Od biedy możesz uchodzić za Tsuraniego, pozostaje jednak problem języka.

– Nasz zakon Ishap opanował magiczne arkana nauki języków. W czasie, gdy będziesz opracowywał zakęcie otwierające przejście, jestem w stanie nauczyć się języka Tsuranich. Mogę też pomóc w nauce Meechamowi, jeśli oczywiście Kalala i Kasumi zechcą nas wesprzeć.

– Ja też mogę się na coś przydać. Potrafię mówić w języku Tsuranich – powiedział William.

Katala nie wyglądała na zadowoloną, ale zgodziła się pomóc.

– Możecie na mnie liczyć – zgodził się Kasumi, chociaż na jego twarzy malowała się troska. Kulgan zerknął w jego stronę.

– Sądziłem, że spośród wszystkich tu obecnych będziesz najbardziej chętny do powrotu, a ty milczysz.

– Gdy zamknęło się ostatnie przejście, moje życie na Kołowanie dobiegło końca. Teraz jestem księciem LaMut. Moje urzędy, prawa i własności w Imperium Tsuranuanni są jedynie wspomnieniem. Nawet jeśli powrót okazałby się możliwy, i tak nie skorzystam z tego, ponieważ

przysięgałem wierność Królowi. Czy zechcesz jednak – zwrócił się do

Puga – przekazać wiadomość memu ojcu i bratu? Nie mają nawet pojęcia, czy żyję, czy umarłem, nie mówiąc już o tym, że powodzi mi się tu wspaniale.

– Ależ oczywiście. Należy im się jakaś wiadomość od ciebie. –

Zwrócił się do Katali: – Kochana, czy mogłabyś uszyć dwie szaty zakonu Hantukama? – Skinęła głową, a on zwrócił się do reszty zebranych: – To zakon misjonarzy i na Kelewanie często można spotkać jego wędrujących przedstawicieli. W takim przebraniu nie będziemy zwracali na siebie uwagi. Meecham może być naszym żebrzącym niewolnikiem.

– Pug, mimo wszystko ten pomysł nadal mi się nie podoba – powiedział Kulgan. – Nie jestem wcale szczęśliwy.. Meecham spojrzal na Kulgana.

– Ależ właśnie wtedy, gdy się martwisz, jesteś najszczęśliwszy.

Pug roześmiał się. Katala objęła męża i przytuliła się mocno. Ona też nie była szczęśliwa.

Katala podniosła szatę do góry.

– Przymierz.

Pug włożył ją na siebie i stwierdził, że leży jak ulał. Katala bardzo skrupulatnie dobrała materiał, aby jak najbardziej przypominał tkaniny używane na Kelewanie.

Pug odbywał z członkami społeczności codzienne spotkania, w czasie których przekazywał swoje obowiązki na okres nieobecności,

oraz, jak wszyscy dobrze rozumieli, chociaż nikt tej myśli nie wypowiedział na głos, na ewentualność, że już nigdy nie powróci.

Dominik uczył się pilnie języka Tsuranich od Kasumiego i Williama oraz wspomagał w nauce Meechama. Natomiast Kulgan otrzymał do przestudiowania prace Macroasa poświęcone przejściom, aby pomóc Pugowi przy ich tworzeniu.

Kulgan wszedł do prywatnych komnat Puga w chwili, gdy Katala przyglądała się z uwagą swemu dziełu.

– Zamarznie w tym.

– W moim rodzinnym świecie panuje gorący klimat, Kulgan.

Wszyscy noszą tam właśnie takie przewiewne i cienkie szaty.

– Kobiety też? – Kiedy kiwnęła głową, dorzucił: – To nieprzyzwoite. – Przysunął sobie krzesło i usiadł.

William i Gamina wbiegli do pokoju. Teraz, gdy było pewne, że Rogen powróci do zdrowia, dziewczynka stała się zupełnie innym dzieckiem. Nie odstępowała Williama ani na krok, bawiąc się z nim, współzawodnicząc czy kłócąc jak rodzona siostra. Na czas rekonwalescencji staruszka Katala wzięła dziewczynkę do siebie i ulokowała w pomieszczeniu obok pokoju chłopca.

– Meecham idzie! – krzyknął chłopczyk i wybuchnąwszy perlistym śmiechem, biegał w kółko z radości. Gamina, naśladując Williama, również zaniósła się głośnym śmiechem i zaczęła go gonić. Pug i Kulgan spojrzeli na siebie, był to pierwszy dźwięk, jaki miała kiedykolwiek wydała z siebie. W progu pojawił się Meecham i dorośli

zawtórowali dzieciom wybuchem śmiechu. Spod krótkiej szaty wystawały owłosione nogi i ręce potężnego leśnika, który próbował niezdarnie utrzymać się na nogach obutych w kiepską imitację sandałów, jakie noszą Tsurani. Obrzucił ich ponurym spojrzeniem.

– No i co w tym śmiesznego?

– Tak się przyzwyczailem do twego widoku w stroju myśliwskim, że nie miałem pojęcia, iż możesz wyglądać inaczej... szczególnie tak –
odpowiedział Kulgan śmiejąc się.

– Po prostu wyglądasz trochę inaczej, niż się spodziewałem –
dodał Pug, dusząc w sobie z trudem kolejny napad weselości.

Meecham pokręcił głową z obrzydzeniem.

– I co, skończyliście już? Może wystarczy? Kiedy ruszamy?

– Jutro rano, zaraz po wschodzie słońca – odpowiedział Pug. *W pokoju momentalnie zapadła cisza.*

Czekali w ciszy, zgromadziwszy się wokół pagórka na północnym brzegu Wyspy Stardock, na którego szczycie rosło potężne drzewo.

Deszcz ustał na chwilę, lecz lodowate podmuchy wilgotnego wiatru niosły zapowiedź kolejnych opadów. Większość społeczności wyspy pojawiła się przy pagórku, aby pożegnać Puga, Dominika i Meechama przed wyruszeniem w podróż. Kalala stała u boku Kulgana, wspierając dłonie na ramionach Williama. Gamina, zdenerwowana i trochę przestraszona, trzymała się kurczowo jej spódnicy.

Pug stał samotnie, przebiegając jeszcze raz wzrokiem pergamin, który sporządził. Meecham i Dominik, trzęsąc się z zimna, stali o parę

kroków dalej, słuchając z uwagą słów Kasumiego. Mówił szybko, starając się przekazać im w ostatniej chwili jak najwięcej szczegółów dotyczących życia i zwyczajów Tsuranich, które mogły im się przydać. Bez przerwy przypominał sobie jakieś detale, które przedtem wyleciały mu z pamięci. Meecham trzymał w ręku torbę przygotowaną przez Puga. Były w niej wszystkie, typowe dla wędrownego kapłana przedmioty. Pod nimi znajdowało się również kilka rzeczy raczej nietypowych dla mnicha z Kelewanu: broń i metalowe monety, prawdziwa fortuna według standardów Kelewanu.

Kulgan udał się na wskazane przez Puga miejsce, dzierżąc w dłoni długą laskę, wyrzeźbioną w drewnie przez cieślę z wioski. Wbił ją mocno w ziemię, następnie zrobił to samo z drugą, umieszczając ją niecałe półtora metra od pierwszej. Cofnął się, a Pug zaczął głośno odczytywać treść zwoju.

Pomiędzy laskami pojawiała się powoli świetlista przestrzeń, w której tańczyły, to wznosząc się, to opadając, tęczowe fale. Jednocześnie dały się słyszeć trzaski i syk powietrza, któremu towarzyszył ostry i przenikliwy zapach, podobny do tego, jaki występuje po uderzeniu pioruna. Świetlista plama rozlewała się coraz szerzej, zmieniając nieustannie barwę, coraz szybciej i szybciej przez całe spektrum, aż zaczęła lśnić jednorodnym, białym blaskiem. Błyszczała coraz jaśniej i jaśniej. Nie sposób było patrzeć. Głos Puga brzmiał monotannie. W pewnej chwili rozległa się donośna eksplozja, jak gdyby pomiędzy laskami nastąpiło wyładowanie elektryczne. Wszyscy poczuli, jak

opływa ich gwałtowny podmuch wiatru, który pomknął ku plamie

światła i został jakby wessany przez przestrzeń między laskami.

Pug odłożył zwój i spojrzął wraz z innymi na swoje dzieło.

Dokładnie pomiędzy wbitymi w ziemię laskami tkwił drgający prostokąt szarej „nicości”. Dał znak Dominikowi.

– Udam się pierwszy na drugą stronę. Staralem się ukierunkować przejście na niewielką polankę za moją starą posiadłością, ale mogło pojawić się zupełnie gdzie indziej.

Gdyby się okazało, że świat po drugiej stronie nastawiony jest wrogo, będzie musiał obejść laskę, wchodząc w przestrzeń między nimi z tej samej strony i ukazując się z powrotem na Midkemii, jak gdyby przeszedł przez obręcz. O ile zdoła.

Odwrócił się i uśmiechnął do Katali i Williama. Chłopczyk wiercił się nerwowo, lecz dodający otuchy dotyk rąk Katali uspokoił go. Twarz miała ściągniętą niepokojem i bólem. Skinęła tylko głową.

Pug wkroczył w przejście i w ułamku sekundy zniknął im z oczu.

Na ten widok dały się słyszeć zduszone okrzyki patrzących – tylko nieliczni spośród nich wiedzieli, co ma się stać. Chwile, które nastąpiły potem, zdawały się wlec w nieskończoność. Kilka osób podświadomie wstrzymało oddech.

Pug pojawił się nagle z przeciwnej strony przejścia. Tym razem towarzyszyło mu ogólne westchnienie ulgi. Zbliżył się do czekających.

– Otworzyło się dokładnie w tym miejscu, gdzie miałem nadzieję je umieścić. Zaklęcie Macrosa działa bez zarzutu. – Wziął w ręce dłonie

Katali. – Tuż obok sadzawki na łące medytacji.

Katala z trudem powstrzymywała cisnące się do oczu łzy. Jako pani wielkiej posiadłości, dbała troskliwie o wspaniałe kwiaty wokół sadzawki, przy której stała samotna ławka. Skinęła tylko głową w milczeniu. Pug objął ją mocno i uściskał Williama; gdy to czynił, Gamina niespodziewanie objęła go za szyję. „Bądź ostrożny”.

Przytulił mocno dziewczynkę.

– Będę, malutka.

Pug dał znak Dominikowi i Meechamowi i wkroczyli w przejście.

Zawahali się na ułamek sekundy i weszli za nim w szarość.

Pozostali trwali bez ruchu, patrząc za przyjaciółmi, którzy zniknęli po drugiej stronie. Znow zaczął padać deszcz, ale nikt nie chciał odejść. W końcu deszcz przybrał na sile i przeszedł w ulewę. Kulgan powiódł wzrokiem po stojących.

– Niech zostaną tylko wyznaczeni do warty. Reszta niech wraca do pracy!

Rozchodzili się powoli, z ociąganiem i jakoś nikt nie miał pretensji do Kulgana o jego ostry ton. Podzielali jego troskę o los przyjaciół.

Yagu, główny ogrodnik posiadłości Netohy, położonej niedaleko miasta Ontoset, odwrócił się i ujrzał nagle przed sobą trzech nieznajomych. Szli ścieżką wiodącą od dolinki medytacji do głównego budynku. Dwóch z nich było kapłanami Hantukama, Przynoszącego Błogosławione Zdrowie, chociaż jak na kapłanów byli wyjątkowo wysocy. Tuż za nimi kroczył ich żebrzący sługa, ogromny barbarzyńca,

schwytyany podczas ostatniej wojny. Yagu wzdrygnął się na jego widok, bo też i niewolnik w ogóle wyglądał okropnie, a do tego jeszcze lewy policzek przecinała przerażająca blizna. W kulturze zdominowanej przez wojowników Yagu był wyjątkowo spokojny i łagodny. Nad mężczyzn mówiących jedynie o rzemiośle wojennym i honorze przedkładał zdecydowanie towarzystwo swoich kwiatów i roślin. No ale przecież miał obowiązki wobec pana domu. Podszedł więc do nieznajomych.

Zatrzymali się widząc, że idzie ku nim. Jak nakazywał kanon grzeczności, zanim ustalono, kto ma jaką rangę, Yagu jako ten, który miał rozpocząć rozmowę, skłonił się pierwszy.

– Witam i serdecznie pozdrawiam czcigodnych kapłanów. Yagu, ogrodnik, ośmiela się przerwać waszą wędrówkę.

Pug i Dominik skłonili się. Meecham, zgodnie z powszechnie przyjętym zwyczajem, został zupełnie zignorowany i czekał spokojnie z tyłu.

– Witaj, Yagu – powiedział Pug. – Dla dwóch skromnych kapłanów Hantukama obecność twoja może być tylko przyjemnością.

Czy dobrze się miewasz?

– Tak, dziękuję – powiedział ogrodnik, dopełniając ogólnie przyjętej formuły powitania nieznajomych. Wyprężył się hardo i spojrzał na nich wyniośle.

– Co sprowadza kapłanów Hantukama do domu mego pana?

– Wędrujemy z Seran do Miasta na Równinach. Przechodząc nie

opodal, zauważyliśmy tę posiadłość i zboczyliśmy z drogi, mając nadzieję, że biednym misjonarzom nie odmówi się posiłku. Czy będziemy mogli z niego skorzystać? – Pug dobrze wiedział, że Yagu nie ma w tej sprawie nic do gadania, ale chciał, by chudy jak szczapa ogrodnik mógł udać przed nimi, że to on decyduje.

Yagu gładził się przez chwilę po brodzie.

– Hm... wolno wam oczywiście żebrać, ale nie wiem, czy was nakarmią, czy też przegonią na cztery wiatry. Chodźcie za mną, zaprowadzę was do kuchni.

Kiedy szli, Pug zbliżył się do niego.

– Czy wolno mi spytać, kto zamieszkuje w tak wspaniałym i cudownym domostwie?

Yagu rozpromienił się dumny z posiadłości swego pana.

– To dom Netohy, zwanego „Tym, Który Szybko Się Wznosi”.

Pug udał, że nie wie, o kogo chodzi, ale ucieszył się w duszy, że jego były sługa nadal jest właścicielem majątku.

– Jak sądzisz, czcigodny Yagu, czy byłoby możliwe, aby dwaj skromni kapłani złożyli wyrazy szacunku tak dostojnej osobie?

Ogrodnik zmarszczył brwi namyślając się. Jego pan był co prawda bardzo zajęty, jednak zawsze znajdował czas dla takich jak ci tutaj.

Z pewnością nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że Yagu pozwolił sobie na odprawienie ich bez uprzedniego zapytania o zgodę, pomimo że nowo przybyli byli żebrakami i nie należeli do żadnego z

potężnych zakonów, takich jak Chochocan czy Juran.

– Zapytam. Niewykluczone, że mój pan znajdzie dla was wolną chwilę. A jeśli nie, to może chociaż dostaniecie posiłek.

Ogrodnik podprowadził ich do drzwi, które jak Pug dobrze wiedział, wiodły do części domu, gdzie mieściła się kuchnia. Zatrzymali się przed progiem oświetleni promieniami popołudniowego słońca.

Yagu zniknął we wnętrzu domu. Była to przedziwna struktura wzajemnie przenikających się mniejszych budynków, które Pug wybudował prawie dwa lata wcześniej. Jego projekt zapoczątkował małą rewolucję w architekturze Tsuranich. Zważywszy na wyjątkowe wyczulenie Tsuranich na najdrobniejsze nawet zmiany klimatu politycznego, wątpił, czy ten trend się utrzymał.

Drzwi odsunęły się i na progu pojawiła się kobieta. Tuż za nią stał Yagu. Pug skłonił się szybko, zanim zdążyła przyjrzeć się jego twarzy. Była to Almorella, kiedyś niewolnica, obdarzona przez Puga wolnością, a teraz małżonka Netohy. W dawnych czasach najlepsza przyjaciółka Kalali.

– Moja pani zgodziła się łaskawie, aby porozmawiać z kapłanami Hantukama.

– Czy pani miewa się dobrze? – spytał, nie podnosząc głowy.

Usłyszawszy jego głos, Almorella z całej siły chwyciła się futryny, i z trudem łapała oddech. Gdy Pug wyprostował się, zwalczyła chwilową słabość i odetchnęła głęboko.

– Tak... miewam się doskonale. – Jej oczy zrobiły się okrągłe jak

spodki, a usta już miały wypowiedzieć jego imię w języku Tsuranich.

Pug nieznacznie pokręcił głową.

– Miałem honor spotkać kiedyś twego czcigodnego małżonka, pani. Zastanawiałem się, czy znalazłby chwilkę dla starego znajomego?

– Mój mąż zawsze ma czas dla... starych przyjaciół –

odpowiedziała ledwo słyszalnym głosem.

Zaprosiła ich gestem ręki do środka i zamknęła drzwi. Yagu, pozostawiony na zewnątrz, przez dłuższą chwilę stał z otwartymi ustami zaszokowany zachowaniem swej pani. Gdy jednak drzwi zamknęły się na dobre, wzruszył ramionami i wrócił do swych ukochanych roślinek. Któż zrozumie bogaczy?

Almorella bez słowa przeprowadziła ich szybkim krokiem przez kuchnię. Z trudem usiłowała zachować spokój, lecz ręce jej się trzęsły, gdy przemykała obok trzech zdziwionych służących. Oni jednak nawet nie zauważyli podenerwowania swojej pani. Patrzyli jak urzeczeni na Meechama, największego barbarzyńcę-niewolnika, jakiego widzieli w życiu, prawdziwego olbrzyma pośród olbrzymów.

Almorella wraz z gośćmi dotarła do byłej pracowni Puga i odsunęła drzwi na bok.

– Pójdę po męża – szepnęła.

Weszli do środka i usiedli. Meecham niezdarnie ulokował się na wielkich poduchach na podłodze. Pug rozejrzał się po pokoju i spostrzegł, że niewiele tu się zmieniło. Odniósł dziwne wrażenie, jakby przebywał jednocześnie w dwóch miejscach. Wyobrażał sobie, więcej,

był prawie pewien, że za chwilę otworzą się drzwi i zobaczy w ogrodzie Katalę i Williama. Z drugiej jednak strony miał przecież na sobie pomarańczowożółtą szatę kapłana Hantukama, a nie czarną Wielkiego. Ponadto nad dwoma światami, z których losem jego własny zdawał się już na zawsze spleciony, zawisło ogromne niebezpieczeństwo. Od momentu, gdy zaczął poszukiwać sposobu, aby powrócić na Kelewan, nie przestało go opuszczać niepokojące uczucie. Już wcześniej czuł wielokrotnie, że jego podświadomość zaczynała pracować na wysokich obrotach, podczas gdy zewnętrzna uwaga nadal jeszcze była zajęta czymś innym. W tym wszystkim, co zdarzyło się na Midkemii, odnajdywał pewne, niezbyt wyraźne jeszcze, lecz znane skądinąd elementy. Dobrze wiedział, że wkrótce nadejdzie chwila, kiedy będzie mógł to określić wyraźniej, wskazać konkretnie.

Drzwi odsunęły się w bok i na progu pojawił się mężczyzna, a za nim Almorella. Zamknęła drzwi, a mężczyzna skłonił się nisko.

– Czynisz zaszczyt memu domowi, Wielki.

– Pozdrawiam twoje domostwo, Netoha. Czy mieszasz się dobrze?

– O tak. Wielki. W czym mogę pomóc?

– Usiądź i opowiedz mi, co się teraz dzieje w Imperium. – Netoha usiadł bez chwili wahania. – Czy Ichindar nadal włada w Świętym Mieście?

– Tak, Światłość Niebios ciągle rządzi Imperium.

– A co z Wodzem Wojny?

– Almecho, którego znalazłeś jako Wodza Wojny, postąpił zgodnie z

nakazami honoru i po tym, jak ośmieszyles go w czasie Igrzysk

Imperialnych, odebrał sobie życie. Teraz w bieli i złocie chodzi jego

bratanek, Axantucar. Pochodzi on z rodu Oaxatucan, który zyskał

bardzo na śmierci innych... gdy pokój został zdradzony. Wszyscy z

mocnymi prawami do stanowiska zginęli, a ci, których roszczenia były

równie udokumentowane co jego własne... zajęto się nimi. Wysoka

Rada nadal pozostaje pod ścisłą kontrolą Partii Wojny.

Pug zastanawiał się przez chwilę. Jeśli Partia Wojny nadal

sprawuje rządy nad narodami Cesarstwa, istnieją nikłe szansę, że uda

się odnaleźć w Radzie kogoś mu przychylnego, chociaż oczywiście Gry

Rady będą trwały nadal. Przerazająca, nigdy nie kończąca się walka o

władzę, może pozwolić uzyskać sprzymierzeńca.

– A Zgromadzenie?

– Wysłałem te materiały, jak zleciles. Wielki. Inne, zgodnie z

twoim poleceniem, zostały spalone. Otrzymałem jedynie krótkie

podziękowanie od Wielkiego, od Hochopepy. Nic więcej.

– A co mówią ludzie w mieście?

– Od wielu miesięcy nie słyszałem, aby ktokolwiek wspomniał

twoje imię. Jednak tuż po twym odejściu mówiło się, że próbowałeś

zwabić Światłość Niebios w pułapkę, przez co sprowadziłeś na siebie

hańbę i pozbawiłeś się honoru. Zgromadzenie ogłosiło cię banitą i

wyjętym spod prawa... pierwszym, którego pozbawiono czarnej szaty.

Słowa twe nie są już prawem. Każdy, kto udzieliłby ci pomocy, naraża

życie nie tylko swoje, lecz również całego rodu i klanu.

– Nie zabawimy tu długo, stary przyjacielu. – Pug wstał. – Nie

będę narażał twego życia ani życia członków twego klanu. Netoha poszedł przodem, aby otworzyć drzwi.

– Znam cię lepiej niż inni. Nie zrobiłbyś tego, o co cię oskarżają, Wielki.

– Już nie Wielki. Zgodnie z edyktem Zgromadzenia, już nie Wielki.

– W takim razie szanuję cię jako człowieka, Milamber –

powiedział, zwracając się do Puga w języku Tsuranich. – Wiele ci zawdzięczam. Imię Netohy z Chichimecha zapisane jest na zwojach klanu Hunzan. Dzięki twej hojności i wspaniałomyślności moi synowie będą wielcy.

– Synowie?

Almorella pogładziła się po brzuchu.

– Kapłan-uzdrowiciel uważa, że będą bliźniaki.

– Kalala będzie podwójnie szczęśliwa. Po pierwsze dlatego, że jej przyjaciółka, którą kocha jak rodzoną siostrę, ma się dobrze, a po drugie dlatego, że zostanie matką.

Oczy Almorelli zaszkliły się łzami.

– U Kalali wszystko w porządku? A synek?

– Żona i syn mają się dobrze i przesyłają najserdeczniejsze pozdrowienia i uściski.

– Proszę, pozdrów ich jak najserdeczniej i uściskaj od nas,

Milamber. Modłę się gorąco, abyśmy mogli się jeszcze kiedyś zobaczyć.

– Niewykluczone. Jeszcze nieprędko, ale któregoś dnia... Netoha,

czy wzór pozostał nienaruszony?

– Tak. W ogóle niewiele się zmieniło. To nadal twój dom. Pug wstał i dał znak, aby wszyscy poszli za nim.

– Niewykluczone, że wzór będzie mi potrzebny, aby błyskawicznie powrócić na ojczystą ziemię. Jeśli usłyszysz, że gong oznajmiający przybycie odezwie się dwa razy, natychmiast zabierz wszystkich domowników i uciekaj. Być może moim śladem przyjdą inni, którzy mogą chcieć was skrzywdzić. Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Twoja wola, Milamber.

Wyszli z pokoju i udali się do pomieszczenia wzoru.

– Na polance przy sadzawce jest moje wyjście do naszego świata.

Chciałbym, aby zostało pozostawione w spokoju, aż sam je zamknę.

– Tak się stanie. Zapowiem dozorcóm, aby nikogo nie dopuszczali w pobliże polanki.

– Milamber, dokąd się teraz udajecie? – spytała Almorella od progu.

– Tego ci nie powiem. To, czego się nie wie, nie może być siłą wyciągnięte. Już przez sam fakt, że znalazłem się pod waszym dachem, naraziłem was na niebezpieczeństwo. Nie chcę go jeszcze powiększać.

Powiedziawszy to odwrócił się, wprowadził Meechama i

Dominika do pokoju wzoru i zamknął za nimi drzwi. Z sakiewki przy pasie wyjął niewielki zwój pergaminowy i umieścił go w środku dużego, ułożonego z płytek wzoru przedstawiającego trzy delfiny. Zwój był

zapięczętowany czarną pieczęcią z wosku, w którym odcisnięty został pierścień Wielkiego.

– Wysyłam wiadomość do przyjaciela. Ta pieczęć sprawi, że nikt poza adresatem nie ośmieli się otworzyć przesyłki. – Zamknął na chwilę oczy, po czym zwój zniknął nagle z podłogi, jakby rozpułynał się w powietrzu.

Gestem ręki nakazał, aby stanęli tuż koło niego w centralnym punkcie wzoru.

– Każdy Wielki Imperium ma w swoim domu wzór, jeden jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny. Jeśli dokładnie się go zapamięta, mag może przetransportować tam siebie lub jakąś przesyłkę. Czasem jakieś bardzo dobrze znane miejsce, na przykład kuchnia w Crydee, gdzie pracowałem jako chłopak, może również posłużyć za wzór.

Przybycie poprzedza się zazwyczaj uderzeniem w gong w miejscu przeznaczenia... chociaż tym razem chyba to sobie daruję. Ruszamy.

Rozłożył ramiona i mocno przycisnął ich do siebie, przymknął oczy i wygłosił zaklęcie. Przez chwilę zdawało im się że otoczenie rozmazało się, zatracając kontury, po czym pokój wokół nich uległ jakby raptownej przemianie.

– Co...? – krzyknął zdumiony Dominik, po czym zdał sobie sprawę, iż zostali przeniesieni do innego miejsca. Spojrzał pod stopy. Stali na zupełnie odmiennym wzorze w kształcie czerwonożółtego kwiatu.

– Ten, który tu mieszka, jest bratem jednego z mych dawnych nauczycieli i to dla niego właśnie umieszczono tu wzór przybycia.

Wielki często tu bywał. Mam nadzieję, że i dziś znajdziemy w tym domu przyjaciół – powiedział Pug.

Podszedł do drzwi i odsunął je trochę. Zerknął w prawo i w lewo, sprawdzając korytarz. Dominik ruszył za nim.

– Jak daleko się przemieściliśmy?

– Około tysiąca trzystu kilometrów, może trochę więcej.

– Zdumiewające – szepnął kapłan.

Pug zaprowadził ich pośpiesznie do innego pokoju. Promienie popołudniowego słońca wpadały przez okno, rzucając na podłogę długi cień samotnej osoby. Pug bez pukania odsunął drzwi i wszedł do środka.

Przy niskim biurczku z przyborami do pisania siedział starszy mężczyzna. W przeszłości musiał być potężnie zbudowany, wiek jednak zrobił swoje i dziś zmienił się w wysuszonego i przygarbionego starca.

Mrużył oczy i wpatrywał się w pergamin rozłożony na blacie, poruszając bezgłośnie ustami. Miał na sobie prostą, lecz doskonale skrojoną szatę z ciemnobłękitnego materiału. Pug stanął jak wryty.

Pamiętał, że nie tak dawno jeszcze, pomimo zaawansowanego wieku, mężczyzna górował nad wszystkimi wzrostem i siłą. Ostatnie lata odcisnęły na nim niezatarte piętno.

Starzec podniósł wzrok na intruzów. Ujrzał Puga i jego oczy rozszerzyły się gwałtownie.

– Milamber!

Pug dał znak towarzyszom, aby weszli do środka, i zasunął drzwi z powrotem.

– Cześć twemu domowi, panie Shinzawai. Kamatsu, pan

Shinzawai, nie wstał na powitanie. Patrzył tylko przez chwilę na byłego niewolnika, który osiągnął rangę Wielkiego.

– Zgodnie z edyktem zostałeś ogłoszony zdrajcą i pozbawiony czci.

Zostałeś także skazany na śmierć. Jeśli ktoś cię znajdzie... – mówił zimnym tonem z wrogim błyskiem w oku.

Pug aż się cofnął. Kamatsu należał do najbardziej wytrwałych i godnych zaufania sprzymierzeńców uczestniczących w spisku, by zakończyć wieloletnią wojnę między Kelewanem a Królestwem. Jego syn, Kasumi, posłował w imieniu Cesarza z propozycją zawarcia pokoju.

– Czy cię czymś obraziłem, Kamatsu?

– Pomiędzy tymi, którzy zaginęli, gdy próbowałeś zdradliwie wciągnąć Światłość Niebios w pułapkę, znajdował się mój syn.

– Twój syn żyje, Kamatsu. Przesyła swemu ojcu wyrazy szacunku i miłości. – Pug podał starcowi list od Kasumiego. Kamatsu wpatrywał się długo w pergamin, odczytując wielokrotnie każdą literę. Kiedy skończył, po pomarszczonych policzkach ciurkiem płynęły łzy. Nie wstydząc się słabości, podniósł na nich wzrok.

– Czy jest możliwe, aby to wszystko było prawdą?

– Tak. To prawda. Mój Król nie miał nic wspólnego ze zdradą przy stole rokowań. I ja też nie przyłożyłem do tego ręki. Wyjaśnienie tej tajemnicy wymaga jednak długiego czasu, może więc najpierw wysłuchasz paru słów o swoim synu. Nie tylko żyje, lecz ma się dobrze,

nawet stoi wysoko w hierarchii mego narodu. Król nasz nie szukał zemsty na byłych wrogach. Obdarzył wolnością wszystkich, którzy zdecydowali się mu służyć. Kasumi i inni są wolnymi ludźmi w jego armii.

– Wszyscy? – spytał z niedowierzaniem Kamatsu.

– Cztery tysiące mężczyzn z Kelewanu jest teraz żołnierzami w królewskich wojskach. Zaliczani są do najbardziej lojalnych poddanych naszego pana, przynosząc zaszczyt swoim rodzinom. Kiedy nad życiem Króla zawisło niebezpieczeństwo, zadanie zagwarantowania mu pełnej ochrony zostało powierzone właśnie twemu synowi i jego żołnierzom. –

W oczach Kamatsu rozbłysła duma. – Tsurani mieszkają w mieście zwanym LaMut i mężnie walczą z wrogami naszego narodu. Twój syn otrzymał tytuł księcia miasta LaMut. Przewyższa on rangą tutejszy tytuł pana rodu, a nawet bliższy jest pozycji komendanta wojennego klanu. Ożenił się z Megan, córką potężnego kupca z Rillanonu i któregoś dnia zostaniesz dziadkiem.

Staruszkowi jakby przybyło nagle sił.

– Opowiedz mi o jego życiu – poprosił Puga. Zaczęli rozmawiać o Kasumim, o tym, co porabiał przez ostatni rok, o jego awansie, spotkaniu Megan tuż przed koronacją Lyama, krótkim okresie narzeczeńskim, po którym nastąpił ślub. Trwało to ponad pół godziny, a pilna misja, z którą Pug przybył, została na chwilę odłożona na bok.

– A Hokanu? – spytał Pug, gdy skończyli. – Kasumi pytał o swego brata.

– Mój młodszy syn miewa się dobrze. Patroluje północne

pogranicze i trzyma w ryzach Thunów.

– Zatem Shinzawai osiągnęli wysokie pozycje w obu światach.

Spośród rodów Tsuranich jedynie Shinzawai mogą się pochwalić podobnym osiągnięciem.

– Dziwnie to brzmi, gdy się nad tym zastanowić... – Kamatsu

spoważniał. – Jaki jest powód twego powrotu, Milamber? Jestem

pewien, że nie chodzi tylko o to, aby ulżyć ciężkiemu i smutnemu losowi starego człowieka.

Pug przedstawił swoich towarzyszy.

– Przeciwno memu narodowi powstaje znowu mroczna i potężna

moc. Do tej pory odczuliśmy na sobie jedynie część tej potęgi i

pragnieniem naszym jest poznanie jej natury.

– Co to ma jednak wspólnego z twoim powrotem tutaj? Dlaczego

wróciłeś?

– Jeden z naszych widzących stanął w swojej wizji twarzą w twarz

z mroczną siłą, przy czym zwrócono się do niego w starodawnym języku

świętynnym. – Opowiedział pokrótce o Murmandamusie i ciemnej

potędze stojącej za moredhelem.

– Jak to możliwe?

– To właśnie sprawiło, że postanowiłem podjąć ryzyko powrotu

na Kelewan. Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć odpowiedź w

bibliotece Zgromadzenia.

– Wiele ryzykujesz. – Kamatsu pokręcił głową. – W Wysokiej

Radzie jest napięta sytuacja, znacznie bardziej napięta niż mogłoby to wynikać ze zwykłej Gry Rady. Podejrzewam, że znajdujemy się w przededniu jakiegoś znacznieszego przewrotu. Nowy Wódz Wojny ma jeszcze silniejszą obsesję na punkcie sprawowania kontroli nad narodami Imperium niż jego stryj.

Pug natychmiast wychwycił subtelność znaczenia stów Kamatsu, tak typową dla Tsuranich.

– Czy rozumiesz przez to ostateczną schizmę między Wodzem Wojny a Cesarzem?

– Obawiam się wybuchu wojny domowej. – Staruszek westchnął ciężko i pokiwał głową. – Gdyby tylko Ichindar wykazał się stanowczością, z jaką postawił na swoim, gdy parł ku zakończeniu wojny, Axantucar zostałby zmieciony jak plewy przez podmuch wiatru. Większość rodów i klanów nadal uważa Cesarza za najwyższą władzę, a tylko nieliczni ufają bez zastrzeżeń nowemu Wodzowi Wojny. Niestety, Cesarz w dużej mierze utracił twarz i autorytet moralny przez to, że zmusiłszy pięć wielkich klanów do tego, by zasiadły za stołem rokowań pokojowych, dał się podejść i zdradzić. Axantucar ma właściwie wolną rękę, ponieważ nie ma opozycji. Podejrzewam, że Wódz Wojny zamierza sprawić, by oba stanowiska objęła jedna osoba. Wszystko zdaje się wskazywać, że obwiedziona złotem biel to dla niego za mało. Myślę, że chce przywdziać złoto Światłości Niebios.

– No cóż, „W Grze Rady wszystko jest możliwe” – zacytował Pug.

– Nie zapominaj jednak, że w czasie rokowań pokojowych wszyscy

zostali oszukani i zdradzeni.– Opowiedział następnie o ostatnim posłaniu Czarnego Macrosa oraz przypomniał Kamatsu o starożytnych naukach mówiących o atakach nieprzyjaciela na naród. Wspomniał również o obawach Macrosa, że przejście między dwoma Światami może przyciągnąć uwagę tej przerażającej potęgi.

– Ta dwulicowość pokazuje jedynie, że Cesarz nie okazał się większym głupcem niż cała reszta, lecz oczywiście nadal nie usprawiedliwia jego pomyłki. Z drugiej strony jednak historia ta mogłaby mu zyskać trochę większe poparcie w Wysokiej Radzie... jeśli ma to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

– Sądysz więc, że Wódz Wojny gotów już jest do działania?

– Tak, może to nastąpić w każdej chwili. Działając przez kilku całkowicie

mu

posłusznych

magów,

zneutralizował

zupełnie

Zgromadzenie, które zakwestionowało jego autonomię. Wielcy siedzą teraz i debatują nad swym losem. Tym razem Hochopepa i mój brat Fumita nie odważyli się wziąć udziału w rozgrywkach Wielkiej Gry. Z politycznego punktu widzenia Zgromadzenie mogłoby praktycznie nie istnieć.

– Zatem szukajcie sprzymierzeńców w Wysokiej Radzie.

*Powiedzcie im: oba nasze światy zostały ponownie w jakiś sposób
złączone przez mroczną potęgę wywodzącą się ze świata Tsuranich. Moc
ta wystąpiła przeciwko Królestwu. Jest to moc, której potęgi ludzki
umysł nie jest w stanie ogarnąć. Nie można też wykluczyć, że stawi
czoło samym bogom. Nie potrafię określić, skąd to wiem, lecz jednego
jestem absolutnie pewien: jeżeli padnie Królestwo, to i cała Midkemia, a
jeśli padnie Midkemia, to następnie przyjdzie kolej na Kelewan.*

*Na twarzy pana rodu Shinzawai, byłego Komendanta Wojennego
Klanu Kanazawai, pojawił się niepokój i troska.*

*– Czy to możliwe? – spytał cicho. Oblicze Puga wyrażało głębokie
przekonanie o realności zagrożenia.*

*– Może zostanę pochwycony albo zabity, a jeśli miałyby do tego
dojść, muszę mieć w łonie Wysokiej Rady sprzymierzeńców, którzy
zadbaliby, aby sprawa ta dotarła do uszu Światłości Niebios. Kamatsu,
bardzo pragnę, abyś mnie dobrze zrozumiał i uwierzył mi. Nie obawiam
się o własne życie, lecz o los i przetrwanie dwóch światów. Gdyby nie
powiodło mi się tutaj, Wielcy Hochopepa i Shimone muszą udać się do
mego świata i przekazać wszystko, czego zdołają się dowiedzieć o tej
przeróżającej, mrocznej potędze. Czy pomożesz w tym?*

*– Oczywiście. – Kamatsu powstał. – Nawet gdybyś nie przyniósł
wieści o Kasumim, a nasze wątpliwości co do twojej osoby były
prawdziwe. Po takim ostrzeżeniu tylko szaleniec mógłby nadal trwać
przy swoich żalach i pretensjach, nie chcąc pomóc. Wyruszam
natychmiast szybką łodzią w dół rzeki do Świętego Miasta. A gdzie*

ciebie szukać?

– Będę próbował zdobyć jeszcze jednego sprzymierzeńca. Jeśli mi się powiedzie, przedstawię swoją sprawę na forum Zgromadzenia. Nikt nie otrzymuje czarnej szaty, zanim nie nauczy się, że przed podjęciem działania należy najpierw wysłuchać wszystkich stron. Tak naprawdę najbardziej ryzykowne jest to, że mogę wpaść w ręce Wodza Wojny. Jeśli w ciągu trzech najbliższych dni nie dam ci znać o sobie, będziesz musiał założyć, że właśnie tak się stało. Będę albo martwy, albo w więzieniu. Musisz wtedy zacząć działać. Nie zapominaj ani na chwilę, że tylko cisza sprzyja Murmandamusowi. Kamatsu... nie możesz zawieść.

– Nie zawiodę, Milamber.

Pug, znany niegdyś pod imieniem Milamber, które nosił największy spośród Wielkich cesarstwa Tsuranuanni, powstał i skłonił się.

– Musimy ruszać. Honor twemu domowi, Kamatsu, panie Shinzawai.

Kamatsu skłonił się znacznie niżej niż wymagała tego jego ranga.

– Honor twemu domowi, Wielki.

Słońce zachodziło powoli. Uliczni sprzedawcy krzykiem zachęcali przechodniów do kupna. Plac targowy Ontoset kipiał życiem. Pug i jego towarzysze zajęli miejsce

w

*części
rynku
wydzielonej
dla
licencjonowanych żebraków i kapłanów. Przez trzy kolejne dni budzili
się rankiem pod osłoną muru wokół rynku, by głosić słowo bogów tym,
którzy zechcieli zatrzymać się i słuchać. Meecham przechadzał się
pośród skromnej grupki słuchaczy, trzymając w ręku miseczkę
żebraczą. Na wschód od Świętego Miasta Kentosani była tylko jedna
świątynia Hantukama, w mieście Yankora oddalonym bardzo od
Ontoset. Ryzyko, że w ciągu tych kilku dni natkną się na innego
wędrownego kapłana zakonu, było więc bardzo niewielkie. Członkowie
zakonu byli rozrzućeni po całym Imperium i często bywało, że
poszczególni mnisi nie widzieli się przez kilka lat.
Pug skończył poranne kazanie i powrócił do Dominika, który
właśnie pouczał matkę małej dziewczynki, jak należy opiekować się
ranną. Już niedługo jej złamana noga miała zupełnie wydobrzeć. Uboga
kobieta mogła się odwdziżyć za pomoc jedynie pełnym wdzięczności
podziękowaniem. Uśmiech Dominika powiedział jej, że to całkowicie
wystarczy. Po chwili dołączył do nich Meecham i pokazał miseczkę. Na
jej dnie błyszczało kilka półszlachetnych kamieni i kawałków srebra,
które na terenie Imperium pełniły rolę pieniądza.*

– Można by nieźle pożyć w ten sposób.

– Szczególnie mając ciebie pod ręką, tak ich przeraziłeś swoim

wyglądem, że podświadomie, na wszelki wypadek, zaczęli dawać

jałmużnę – powiedział Pug.

Nagle poruszenie w tłumie na rynku kazało im przerwać rozmowę

i zwrócić wzrok w tamtą stronę. Po chwili obok nich przejechał oddział

konnych ubranych w zielone zbroje domu Hoxaka, znanego Pugowi ze

słyszania. Członkowie tego domu należeli do Partii Wojny.

– Widzę, że w końcu spodobała im się jazda konna – zauważył

Meecham.

– Podobnie jak Tsuranim w LaMut – szepnął Pug w odpowiedzi. –

Wygląda na to, że gdy Tsurani przestaje bać się koni, dostaje na ich

punkcie bzika. Tak było z Kasumim. Oszalał wprost na ich punkcie.

Kiedy znalazł się na grzbiecie konia, nie było siły, która byłaby w stanie

ściągnąć go na ziemię. – Sądząc po wyglądzie mijającej ich konnicy,

można było dojść do wniosku, że koń został powszechnie

zaakceptowany w Imperium, a kawaleria na stałe weszła do arsenału

wojennego Tsuranich.

Kiedy konie przejechały, inny dźwięk kazał Pugowi i jego

towarzyszom odwrócić się ponownie. Tuż przed nimi stał zwalisty

mężczyzna w czarnej szacie. Jego lysa czaszka lśniła w jasnych

promieniach południowego słońca. Mieszkańcy miasta kłaniali się i

wycofywali tyłem nie chcąc, by tłum zakłócał obecność wspaniałej

postaci Wielkiego z Imperium. Pug i jego towarzysze skłonili się nisko.

– Wy trzej pójdziecie ze mną – rozkazał mag. Pug udał, że jąka się

ze zdenerwowania.

– Ttt...twoja wola. Wielki. – Pośpiesznie ruszyli za magiem.

Czarno odziana postać skierowała się bez chwili wahania ku najbliższemu budynkowi, który był pracownią garbarza. Mag wkroczył do środka i zwrócił się do właściciela.

– Potrzebuję tego domu. Możesz wrócić za godzinę.

– Twoja wola. Wielki – odpowiedział mężczyzna bez chwili zwłoki, dając jednocześnie znak terminatorom, by wyszli za nim. W niecałą minutę budynek opustoszał. Został tylko Pug i jego przyjaciele.

Pug i Hochopepa objęli się mocno.

– Milamber, chyba postradałeś zmysły, aby tu wracać. Gdy otrzymałem wiadomość od ciebie, zacząłem wątpić we własne zmysły.

Dlaczego ryzykowałeś, przesyłając wiadomość za pośrednictwem wzoru, i dlaczego chciałeś się spotkać w samym sercu miasta?

– Meecham, obserwuj ulicę przez okno – polecił Pug. Odwrócił się do Hochopepy. – A gdzie lepiej się ukryć niż w widocznym miejscu? Co do wiadomości, to przecież otrzymujesz je bez przerwy. Poza tym, komu mogłoby przyjść do głowy, by cię spowiadać z tego, że rozmawiałeś z prostymi kapłanami? – Odwrócił się ku pozostałym. – To są moi towarzysze – powiedział, po czym przedstawił ich magowi.

Jednym ruchem ręki Hochopepa zgarnął na podłogę rzeczy z ławki i rozsiadł się wygodnie.

– Mam tysiąc pytań. Jak zdołałeś powrócić? Magowie wysługujący się Wodzowi Wojny usiłowali ponownie zlokalizować twój świat, ponieważ Światłość Niebios, niech bogowie mają go w swojej

opiece, postanowił zemścić się za twoją zdradę w czasie konferencji pokojowej. A jak ci się udało zniszczyć pierwsze przejście? I przeżyć? – Dostrzegł na twarzy Puga rozbawienie, które wywołał potok pytań. – Ale przede wszystkim dlaczego wróciłeś?

– Nad moim rodzinnym światem rozpełtała się ciemna potęga wywodząca się z krainy Tsuranich, czarna magia pełna nienawiści i zła. Poszukuję informacji na jej temat, ponieważ pochodzi ona z Kelewanu.

– Hochopepa spojrział na niego pytająco. – W moim świecie dzieje się wiele dziwnych rzeczy i bądź pewien, że to bardzo łagodne i niepełne określenie, Hocho. Mam nadzieję odkryć jakiś ślad, który pomógłby mi zrozumieć naturę tej mrocznej potęgi. A jest to potęga naprawdę przerażająca, Hocho. – Zaczął opowiadać ze szczegółami o wszystkim, co zaszło, od samego początku, od wyjaśnienia przyczyn zdrady aż do zamachów na życie księcia Aruthy, by skończyć przedstawieniem własnej interpretacji wizji Rogena.

– To dziwne... nic nam nie wiadomo o takiej potędze na Kelewanie, przynajmniej nikt z nas o niej nie słyszał. Jedną z korzyści wynikających z takich organizacji jak nasza jest to, że dwa tysiące lat wspólnych wysiłków Czarnych Szat uwolniło świat od większości tego typu zagrożeń. W naszej historii wspomina się o władcach-demonach, królach-czarownikach, duchach złych mocy czy bytach złośliwych, wszystkie one jednak musiały ulec, poddać się połączonym siłom Zgromadzenia.

– Wygląda na to, że kogoś czy coś musieliście przeoczyć – odezwał

się nagle Meecham stojący przy oknie.

Hochopepa, nie przyzwyczajony, aby zwracał się do niego w ten sposób prosty człowiek, zachnął się w pierwszym odruchu, potem jednak dobrodusznie zachichotał.

– Być może... być może istnieje jednak zupełnie inne wyjaśnienie.

Nie wiem. – Zwrócił się z powrotem do Puga. – Zawsze dążyłeś usilnie ku temu, aby w Imperium zapanowało dobro społeczne i nie mam najmniejszych wątpliwości, że to, co powiedziałaś, jest prawdą. Nie mam wyjścia, będę działał jako twój agent. Postaram się o bezpieczne dotarcie do biblioteki i pomogę w poszukiwaniach. Ani na chwilę nie zapominaj

tylko

o

jednym:

Zgromadzenie

jest

praktycznie

obezwładnione przez politykę wewnętrzną. Nie możesz być pewien, że głosowanie nad twoim losem skończy się pomyślnym wynikiem. Będę musiał tam wrócić i podziałać trochę w kuluarach. Może minąć kilka dni, zanim będę mógł otwarcie zgłosić tę sprawę.

Wydaje mi się jednak, że mam szansę na powodzenie. Z tego

prostego powodu, że stawiasz zbyt wiele pytań, aby je zignorować.

Zwołam posiedzenie jak najszybciej i wrócę, gdy tylko przedstawię

twoją sprawę. Tylko szalenie zlekceważyłby twoje ostrzeżenie, nawet gdyby miało się okazać, że to, co dotknęło twoje ziemie, nie pochodzi z naszego świata. W najgorszym wypadku dostaniesz warunkowe pozwolenie korzystania z biblioteki i gwarancję bezpiecznego powrotu. W najlepszym odzyskasz członkostwo Zgromadzenia. Oczywiście, będziesz musiał wytłumaczyć się ze swoich działań w przeszłości.

– Mogę to zrobić i zrobię, Hocho. Mag podniósł się z ławki i stanął przed swoim starym przyjacielem.

– No cóż, może jeszcze doczekamy czasów, kiedy między naszymi narodami zapanuje pokój, Milamber. Gdyby udało się uleczyć stare rany, moglibyśmy przyczynić się do dobrobytu obu światów. Ja na przykład bardzo bym chciał zobaczyć akademię, którą wznosisz, a także spotkać się z jasnowidzem, który przewiduje przyszłość, i dzieckiem, które przemawia swoim umysłem.

– Tak, Hocho, jest wiele spraw, którymi chciałbym się z tobą podzielić. Tworzenie całkowicie kontrolowanych przejść to nawet nie dziesiąta część tego wszystkiego. Ale o tym później. Idź już teraz.

Pug ruszył z magiem, by odprowadzić go do drzwi, gdy nagle coś w wyglądzie Meechama zwróciło jego uwagę. Meecham stał zupełnie sztywno w dziwnej, nienaturalnej pozycji.

Dominik,

który

przysłuchiwał się z uwagą ich rozmowie, nie zauważył żadnej zmiany.

Pug przyjrzał się Meechamowi jeszcze raz.

– Zakłęcie! – krzyknął.

Podbiegł do okna i dotknął Meechama. Ogromny mężczyzna nie mógł się poruszyć. Za oknem Pug ujrzał biegnące w stronę budynku postacie. Zanim zdążył zareagować i wypowiedzieć ochronne zakłęcie, drzwi zostały wysadzone z rozdzierającym uszy hukiem, co ogłuszyło ich na chwilę i zważyło z nóg.

Pugowi kręciło się w głowie i dzwoniło w uszach. Usiłował wstać, ale w uszach huczało strasznie, a przed oczami przesuwały się rozmazane obrazy. Gdy w końcu zdołał się podnieść, przez drzwi wrzucono coś do środka. Był to przedmiot wielkości męskiej pięści, podobny do piłki. Pug usiłował ponownie otoczyć pokój ochronną barierą zakłęcia, lecz w tym momencie niewielka kula eksplodowała oślepiającym, pomarańczowym światłem. Pug poczuł w oczach potworny ból i zamknął je na chwilę, zakłócając tym misterną sieć zakłęcia. Wznowił je natychmiast, lecz kula wydała z siebie wysoki jęk, który zdawał się wyczerpywać jego siły. Usłyszał dźwięk padającego na podłogę ciała. Nie potrafił stwierdzić, czy to Hochopepie, czy Dominikowi nie powiodła się próba wstania, czy też Meecham zważył się na ziemię. Pug walczył ze wszystkich swoich sił z magią kuli, lecz był wytrącony z równowagi i w głowie mu ciągle wirowało. Ruszył

chwiejnie ku drzwiom, zdając sobie podświadomie sprawę, że kiedy wyjdzie poza zasięg obezwładniającego działania kuli, będzie mógł z łatwością ocalić przyjaciół. Jednak magia działała szybko i z ogromną mocą. Na progu zwalił się na podłogę. Padł na kolana, walcząc z podwójnym widzeniem spowodowanym działaniem kuli czy wybuchu. Jak przez mgłę widział ludzi zbliżających się ku domowi z przeciwnej strony placu. Mieli na sobie białe zbroje Imperialnej Gwardii, osobistej gwardii Wodza Wojny. Gdy pogrążył się w otchłani, zdążył jeszcze zauważyć, że prowadzi ich postać ubrana w czarną szatę. Jak przez mgłę, ponad dudnieniem w uszach usłyszał dochodzący z bardzo daleka głos maga:

– Związać ich.

MORAE LIN

Przez wąwóz płynęły niesione wiatrem tumany mgły. Arutha dał znak, by się zatrzymać. Jimmy spojrział w dół, starając się dostrzec coś przez mgłę. Tuż obok szlaku, którym posuwali się w stronę Moraelin, huczał wodospad. Znajdowali się teraz w obrębie Wielkich Gór Północnych, na terenie pomiędzy puszciami Elfów a Ziemią Północy. Moraelin leżało wyżej, na skalistym i jałowym górskim terenie, tuż pod szczytami. Martin poszedł przodem, aby spenetrować przełęcz przed nimi. Czekali na jego powrót. Odkąd zostawili Elfy, które służyły im za przewodników, stali się wojskową ekspedycją na zajętych przez wroga terenie. Mogli co prawda nadal mieć pewność, że talizman Aruthy ukryje ich przed widzącą magią Murmandamusa, jednak nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wiedział on, iż wkrótce pojawią się w okolicach Moraelin. Ani przez chwilę nie mieli złudzeń, że natkną się na jego sługi. Jedyłą niewiadomą było tylko, kiedy to nastąpi.

Martin wrócił po paru minutach, dając znaki, że droga przed nimi jest wolna. Nagle podniósł gwałtownie rękę i nakazał, by się zatrzymali. Przemknął koło nich i skierował się z powrotem na przebyty już odcinek szlaku. Skinął na Baru i Roalda, by ruszyli za nim. Zeskoczyli błyskawicznie z koni, rzucając wodze Lauriemu i Jimmy'emu. Arutha spoglądał za siebie, zastanawiając się w duchu, co ujrzał Martin. Jimmy natomiast nie spuszczał wzroku ze szlaku przed nimi.

Martin i dwaj pozostali wrócili po chwili, a wraz z nimi pojawiła

się jeszcze jedna spokojnie idąca postać. Arutha podniósł gwałtownie głowę, lecz natychmiast się uspokoił, gdy rozpoznał Galaina.

Atmosfera towarzysząca ich wyprawie była tak przygniatająca, że rozmawiając, podświadomie ściszyli głosy, aby nie zdradziło ich echo pośród skalnych ścian. Arutha przywitał Elfa.

– Już myśleliśmy, że się nie pojawisz.

– Komendant wysłał mnie w kilka godzin po waszym odejściu.

Mam kilka spraw do przekazania. Otóż, gdy udało się w końcu odnaleźć gwali Apallę, podał dwie istotne wiadomości. Po pierwsze, w okolicach jeziora zamieszkuje dzika i okrutna bestia. Z opisu gwali trudno było wywnioskować, co to takiego. W każdym razie Tomas błaga, abyście zachowali najdalej posuniętą ostrożność. Po drugie, jest inne wejście do Moraelin. Uznał, że jest to na tyle ważne, aby wysłać mnie za wami. –

Galain uśmiechnął się. – A poza tym uważałem, że nie zaszkodzi sprawdzić, czy ktoś was nie śledzi.

– A było tak? Galain skinął głową.

– Niecałe półtora kilometra na północ od naszych lasów wasz szlak przecięło dwóch zwiadowców moredheli. Znaczyli wasz szlak i jeden z nich z pewnością pobiegłby naprzód, żeby ostrzec swoich, gdy zbliżylibyście się do Moraelin. Dołączyłbym do was znacznie wcześniej, ale musiałem się upewnić, że nie uciekną. Teraz nie ma już żadnego ryzyka. – Martin pokiwał ze zrozumieniem głową, wiedząc dobrze, że Elf zabił ich natychmiast, nie dając najmniejszej szansy na podniesienie alarmu. – Innych śladów nie było.

– Wracasz? – spytał Martin.

– Tomas dał mi wolną rękę. Skoro dotarłem aż tutaj, nie ma wielkiego sensu, bym wracał. Równie dobrze mogę pójść z wami. Nie wolno mi co prawda przekroczyć granicy Szlaku Beznadziei, ale zanim tam dotrzemy, jeden łuk więcej może się przydać.

– Zatem witaj – powiedział Arutha.

Martin wskoczył na konia, a Galin pobiegł przodem, aby sprawdzać szlak przed nimi. Ruszyli szybko w górę. Mimo że wczesne lato było ciepłe, bliskość wodospadu sprawiała, że owiał ich przejmujący chłód. Na tej wysokości poza najgorętszymi miesiącami lata, do których było jeszcze ładnych parę tygodni, grad i śnieg nie należały wcale do rzadkości. Noce były wilgotne, ale niezbyt zimne, czego się obawiali, obozując bez rozpalania ognia. Elfy przygotowały im prowiant na drogę:

suszone mięso, suchary z mąki orzechowej i suszonych owoców, co było pożywieniem sycącym, lecz prawie pozbawionym smaku. Szlak wiódł trawersem skalistej ściany i dochodził do wysoko położonej łąki, skąd rozciągał się wspaniały widok na dolinę. Błyszczące srebrzyście w popołudniowym słońcu wody jeziora uderzały łagodnie o brzegi. Poza śpiewem ptaków i delikatnym szelestem wiatru w koronach drzew panowała absolutna cisza. Jimmy rozglądał się dookoła.

– Jak to możliwe... jak to możliwe, żeby dzień był taki piękny, gdy przed nami tylko kłopoty i niebezpieczeństwa?

– Zapamiętaj sobie jedno o żołnierce, chłopcze – powiedział Roald.

– Jeśli już zdecydowałeś się na ryzyko utraty życia, nie ma sensu umierać w deszczu, zimnie i na głodniaka, chyba że to jest absolutnie niezbędne. Ciesz się słońcem. To podarunek od losu.

Napoili konie. Po krótkim, przyjętym z ulgą przez wszystkich wypoczynku ruszyli dalej. Bez trudu odnaleźli ścieżkę na północ od jeziora, o której wspomniał Calin. Była bardzo stroma i poruszali się po niej z trudem.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Galain wrócił z wiadomością, że niedaleko przed nimi znajduje się obiecująco wyglądająca jaskinia, w której bez obawy będą mogli rozpalić ogień.

– Zakręca dwa razy, a powietrze ciągnie ku górze, więc dym ucieknie przez szczeliny wysoko nad nami. Martin, jeśli wyruszymy natychmiast, powinniśmy jeszcze coś upolować nad brzegiem jeziora.

– Tylko nie polujcie zbyt długo – ostrzegł Arutha. – A jak będziecie wracali, dajcie znak krakaniem kruka, które tak dobrze naśladujesz, w przeciwnym razie możecie się nadziać na ostrze miecza.

Martin skinął głową i oddał wodze Jimmy'emu.

– Wrócimy najpóźniej dwie godziny po zachodzie słońca – powiedział. Nie zwlekając skierowali się z Galainem ku jezioru.

Roald i Baru stanęli na szpicy i po około pięciu minutach jazdy odnaleźli jaskinię, o której wspomniał Galain. Miała równe, gładkie dno, była dość obszerna i nikt jej nie zamieszkiwał. Jimmy ruszył w głąb i stwierdził, że po prawie trzydziestu metrach zwęża się gwałtownie.

Dawało im to pewność, że ewentualnych niespodziewanych gości mogli

oczekiwać tylko od strony głównego wejścia. Laurie i Baru nazbierali szybko suchych gałęzi i po chwili płonął już pierwszy od wielu dni ogień. Z oczywistych powodów nie mógł być duży, ale był i dawał przyjemne ciepło. Jimmy, Arutha i pozostali ułożyli się wygodnie w oczekiwaniu na powrót Martina i Galaina.

Martin i Elf polowali z zasiadki. Nazbierali w pobliskim lesie gałęzi i liści i zbudowali naturalnie wyglądającą kryjówkę. Byli pewni, że dojrzą każde zbliżające się do wody zwierzę, a sami pozostaną nie zauważeni. Leżeli pod wiatr od strony jeziora w całkowitym milczeniu. Mniej więcej po pół godzinie usłyszeli odgłos kopyt u podnóża skały. Nie zmieniając pozycji i nie mówiąc ani słowa, założyli strzały na cięciwy łuków. Ze szlaku poniżej wjechało na łączkę dwunastu jeźdźców ubranych na czarno. Każdy nosił dziwny, smoczy hełm, a głowy ich poruszały się nieustannie, jakby czegoś... czy kogoś wypatrywały. Po chwili pojawił się za nimi Murad. Na jego policzku widać było obok starych blizn świeży ślad po cięciu zadany przez Aruthę na drodze do Sarth.

Czarni Zabójcy wstrzymali konie i napoili je, nie zsiadając z nich. Murad sprawiał wrażenie spokojnego, ale czujnego. Przez dziesięć długich minut poili wierzchowce w absolutnej ciszy.

Kiedy skończyli, ruszyli dalej szlakiem za oddziałem Aruthy. Gdy zniknęli im z oczu, Martin nachylił się do ucha Elfa.

– Musieli wjechać na szlak pomiędzy Yabonem a Kamienną Górą, aby uniknąć waszych lasów. Tathar miał rację. Jadą do Moraelin, żeby

poczekać na nas.

– Niewiele jest rzeczy w życiu, które mnie niepokoją, Martin, ale ci

Czarni Zabójcy z pewnością do nich należą.

– Dopiero teraz doszedłeś do tego wniosku?

– Wy, ludzie, często reagujecie zbyt emocjonalnie, przesadzacie. –

Galain patrzył w kierunku, gdzie czarni jeźdźcy zniknęli im z oczu.

– Dogonią wkrótce Aruthę i pozostałych – powiedział Martin. –

Jeśli Murad potrafi tropić, to z pewnością odnajdą jaskinię.

Galain wstał.

– Miejmy nadzieję, że Hadati dobrze opanował sztukę poruszania

się na szlaku i maskowania tropów. Jeśli nie, to przynajmniej zyskamy

tyle, że zaatakujemy ich od tyłu.

Martin uśmiechnął się kwaśno.

– Co z pewnością będzie wielką pociechą dla naszych w jaskini.

Trzynastu przeciwko pięciu i tylko jedna droga wejścia i wyjścia.

Nie tracąc czasu na dalsze rozmowy, zarzucili łuki na plecy i

pognali długimi susami za moredhelami.

– Jeźdźcy – szepnął Baru.

Jimmy zerwał się natychmiast i zasypał ognisko ziemią

przyniesioną na wszelki wypadek do jaskini. W ten sposób ogień szybko

zgasł nie dymiąc. Laurie dotknął jego ramienia, dając znak, aby poszedł

w głąb jaskini uspokoić konie. Roald, Baru i Arutha podkradli się w

stronę wejścia. Mieli nadzieję, że będą mogli wyjrzeć na zewnątrz, a

sami pozostaną nie zauważeni.

Po jasnym świetle ognia zapadający mrok wydał im się czarny jak smoła. Jednak po chwili oczy przyzwyczaiły się i zauważyli jeźdźców przejeżdżających koło jaskini. Zamykający pochód ściągnął nagle wodze i zatrzymał konia. Reszta, posłuszna wydanemu po cichu rozkazowi, zatrzymała się w kilka sekund później. Jeździec znajdujący się na końcu rozglądał się uważnie dookoła, jakby coś wyczuwając. Arutha dotykał bezwiednie talizmanu, mając nadzieję, że moredhel nie wyczuł jego obecności, a zachowuje tylko daleko posunięte środki ostrożności.

Mały księżyc, jedyny, który świecił tak wcześnie, wyszedł zza chmurki i przed jaskinią zrobiło się jaśniej. Baru poznał Murada. Mięśnie napięły mu się gwałtownie. Powoli zaczął wyciągać miecz z pochwy. Arutha nachylił się do niego i z całej siły ścisnął go za nadgarstek.

– Jeszcze nie! – wysyczał mu prosto w ucho. Ciało górala, miotane emocjami, drżało jak w febrze. Z najwyższym trudem powstrzymywał się, by nie skoczyć naprzód i wreszcie pomścić śmierć swoich bliskich, kończąc Szlak Krwi. Rwał się do walki, nie zważając na swoje bezpieczeństwo, lecz musiał także pamiętać o pozostałych.

Roald chwycił go od tyłu za kark i przycisnął policzek do jego twarzy, aby mówić wprost do ucha, prawie bezgłośnie.

– Jeśli tych dwunastu w czerni rozerwie cię na strzępy, zanim dorwiesz się do Murada, co to da twej wiosce?

Miecz Baru bezszelestnie wsunął się do pochwy.

Obserwowali w milczeniu, jak Murad bada wzrokiem całą okolicę.

Na moment jego oczy spoczęły na wejściu do jaskini. Wpatrywał się przenikliwie w jej głąb. Arutha przez chwilę odniósł wrażenie, że oczy błyszczące w pooranej bliznami twarzy wpatrują się wprost w niego.

Twarz moredhela poruszyła się znowu... i po chwili zniknęła.

Arutha podkradł się do wyjścia i wychylił ostrożnie przez krawędź. Starając się przebić wzrokiem ciemność, wypatrywał, czy jeźdźcy nie wracają. Nagle, tuż za plecami, usłyszał głos.

– Już myślałem, że was wszystkich wypłoszył niedźwiedź jaskiniowy.

Arutha okręcił się błyskawicznie na plecy, wyciągając jednocześnie miecz. Odetchnął z ulgą. Tuż za nim stali Martin i Galain.

– Mogłem was przebić...

U wejścia do jaskini pojawili się pozostali.

– Powinni byli sprawdzić tę jaskinię, ale najwyraźniej bardzo się gdzieś śpieszyli – powiedział Galain. – Mamy szansę, możemy pojechać za nimi. Będę ich miał na oku i oznaczę szlak dla was.

– A co się stanie, jeśli pojawi się kolejna banda Mrocznych Braci?

Nie boisz się, że odkryją twoje znaki?

– Tylko Martin będzie w stanie je rozpoznać. Żaden górski moredhel nie potrafi tropić równie dobrze jak Elf. – Zarzucił łuk na plecy i pobiegł za jeźdźcami. Po chwili rozplynął się w mroku.

– A co będzie, jeśli się okaże, że Mroczni Bracia to mieszkańcy lasów? – spytał Laurie.

Z ciemności dobiegł ich głos Galaina.

– To przynajmniej będę miał na głowie tyle samo zmartwień co ty.

Martin odczekał, aż Elf znajdzie się poza zasięgiem głosu.

– Dużo bym dał za pewność, że tylko żartował.

Galain nadbiegł nagle, wskazując im z daleka kępę drzew po lewej stronie szlaku. Popędzili konie i skryli się w zagajniku. Szybko zeskoczyli na ziemię i poprowadzili wierzchowce w gęstwinę tak daleko, jak się tylko dało.

– Patrol nadchodzi – szepnął Galain. Razem z Martinem i Arutha przemknęli na skraj kępy, skąd mogli obserwować drogę.

Minęło kilka minut, które wlokły się w nieskończoność. W końcu zza zakrętu wyłoniła się grupka kilkunastu jeźdźców, złożona z moredheli i ludzi. Moredhele ubrani byli w szerokie opończe i nie ulegało wątpliwości, że są mieszkańcami lasów z południa. Przejechali obok nie zatrzymując się.

– Jak widać, renegaci ściągają tłumnie pod skrzydła

Murmandamusa – szepnął Martin, nieomal spluwając z obrzydzenia. –

Niewiele jest istot, które zabiłbym z przyjemnością, ale ludzie, którzy za złoto wysługują się moredhelom, z pewnością do nich należą.

Wrócili do pozostałych. Galain podszedł do Aruthy.

– Jakies półtora kilometra stąd w górę szlaku rozbili obóz w poprzek drogi. Są sprytni. Bardzo trudno obejść ich bokiem. Musimy zostawić konie tutaj albo przedrzemy się siłą przez obóz.

– Jak daleko stamtąd do jeziora?

– Zaledwie kilka kilometrów, niecałe dziesięć. Trzeba jednak pamiętać, że po minięciu obozu wychodzimy ponad linię drzew i znajdziemy się praktycznie na odkrytym terenie. Można się schować tylko za skałami. Nie będziemy mogli posuwać się szybko, najlepiej robić to w nocy. Na pewno rozestawili zwiadowców po całej okolicy, a na drodze prowadzącej do mostu rozstawili strażę.

– A co z drugim wejściem, o którym wspominał gwali?

– Jeśli dobrze zrozumiałem jego wywody, to należy skręcić na Szlak Beznadziei, po pewnym czasie dochodzi się do jaskini czy jakiejś szczeliny, którą można dotrzeć na górę. Jej wylot ma się znajdować już na płaskowyżu, nad brzegiem jeziora.

Arutha zastanawiał się przez moment.

– Zostawmy konie tutaj... Laurie uśmiechnął się.

– Równie dobrze możemy je przywiązać do drzew. Jeśli zginiemy, i tak nie będą nam już potrzebne. Roald nasrożył się.

– Mój stary kapitan nieźle rugał tych, którzy przed bitwą melli jęzorem o śmierci.

– Dosyć tego! – uciął krótko Arutha. Odszedł o krok i odwrócił się do nich. – Od dłuższego czasu nie daje mi to spokoju. Dotarłem aż tutaj i nie cofnę się, lecz wy... jeśli ktoś chce, może wrócić. Nie będę miał mu tego za złe. Spojrzał na Lauriego i Jimmy'ego, a potem na Baru i Roalda. Jedyłą odpowiedzią było milczenie.

Arutha jeszcze raz powiódł wzrokiem po ich twarzach.

– Zatem dobrze. – Krótko kiwnął głową. – Przywiążcie konie i

rozładujcie trochę plecaki i torby. Dalej idziemy pieszo.

Moredhel wpatrywał się w szlak u jego stóp, dobrze widoczny w świetle dużego i średniego księżyca. Mały księżyc wschodził właśnie ponad horyzontem. Moredhel przycupnął za wielkim głazem na wystającej ponad zbocze skałce. Z tej kryjówki mógł zauważyć każdego, kto szedłby szlakiem do góry, sam pozostając nie zauważony.

Martin i Galain wycelowali w kark moredhela czekając, aż Jimmy prześlizgnie się za skałą. Postanowili przemknąć się cichcem, tak żeby nikt ich nie zauważył. Gdyby moredhel choćby tylko drgnął, Martin i Galain mieli dopilnować, aby zginął, zanim zdąży otworzyć usta.

Jimmy, o którym sądzili, że ma najmniejszą szansę, aby spowodować jakikolwiek hałas, poszedł na pierwszy ogień. Następnie Baru przemknął po skałach zwinnie i bezszelestnie, jak na prawdziwego górala przystało. Laurie i Roald posuwali się bardzo powoli, zastanawiając się nad każdym krokiem. Przez umysł Martina przemknęła myśl, czy zdoła utrzymać strzałę na celu przez cały tydzień, bo na tyle, jak sądził, zanosiło się ich skradanie. W końcu przyszła kolej na Aruthę. Kiedy opuszczał się w niewielkie obniżenie terenu, potknął się o niewidoczny w mroku kamień, lecz mocniejszy podmuch wiatru szczęśliwie zagłuszył stuknięcie buta o skałę. Księżę pobiegł chyłkiem i po chwili dołączył do pozostałych. Byli już poza zasięgiem wzroku wartownika. Po paru sekundach przybiegli Martin i Galain. Elf natychmiast wysforował się naprzód, na szpicę.

Baru dał znak, że chciałby pójść jako drugi. Arutha kiwnięciem

głowy wyraził zgodę. Laurie i Roald ruszyli za pierwszą dwójką.

Jimmy, zanim podążył za nimi, nachylił się ku Martinowi i Arucie.

– Gdy wreszcie wrócimy, pierwsze, co zrobię, to tak się rozedrę, że usłyszą mnie na drugim końcu Królestwa – szepnął.

Martin trzepnął go żartobliwie w ucho i posłał za resztą. Arutha spojrzął na Martina.

– Ja też – powiedział, poruszając bezgłośnie wargami, i zniknął w mroku. Martin obejrzał się ostatni raz i ruszył w ślady brata.

Leżeli cicho w niewielkim zagłębieniu w pobliżu szlaku. Niziutki grzebień skalny zasłaniał ich przed wzrokiem przejeżdżającego oddziału moredheli. Wstrzymywali oddech i starali się nie poruszać, wydawało im się bowiem, że jeźdźcy nagle zatrzymali się. Nastąpiła długa chwila wyczekiwania. Arutha i jego towarzysze byli niemal pewni, że zostali odkryci. W chwili, gdy każdy nerw dosłownie dygotał, domagając się działania, a każdy mięsień prężył się, żądając natychmiastowego ruchu, zaczęli się powoli oddalać. Arutha przekręcił się na plecy, a z ust wyrwało mu się ni to łkanie, ni to westchnienie ulgi. Wyjrzał na szlak. Był pusty. Dał znak głową Galainowi i ruszyli w dalszą drogę. Elf przemknął bokiem i zanim zdolali się podnieść, trawersował już skalisty skłon, przecierając szlak.

Po zboczu hulał przenikliwie ostry, nocny wiatr. Arutha siedział oparty o skałę i patrzył w kierunku wskazywanym przez Martina.

Galain przywarł do przeciwległej ściany rozpadliny. Wzmrożona aktywność moredheli na szlaku zmusiła ich do nadłożenia drogi, co było

zrozumiałe i konieczne w tej sytuacji. Wspięli się wyżej i przeszli na przeciwległy skłon grzbietu biegnącego równoległe do szlaku po jego wschodniej stronie. Rozciągał się teraz przed nimi szeroki wąwóz. Po drugiej stronie wznosił się wysoki płaskowyż, którego centrum zajmowało niewielkie jezioro. Po lewej stronie, w jasnym świetle wszystkich trzech księżyców, widać było szlak przekraczający krawędź wąwozu i niknący wyżej za skalnym grzbietem.

W miejscu, gdzie szlak najbardziej zbliżał się do krawędzi wąwozu, wzniesiono dwie kamienne, bliźniacze wieże. Dwie kolejne wzbijały się w niebo po przeciwnej stronie, na płaskowyżu. Pomiędzy nimi huśtał się w podmuchach wiatru wąziutki, wiszący mostek. Na szczytach wszystkich czterech wież tańczyły szaleńczo płomienie pochodni. Ruch na mostku i na wieżach zdradził im, że cała okolica wokół płaskowyżu była gęsto obstawiona wartownikami. Arutha oparł się wygodniej o skałę.

– Moraelin – szepnął.

– Tak — odpowiedział Galain. — Spójrz tylko, widocznie spodziewali się, że możesz tu nadciągnąć z całą armią.

– Myśleliśmy o tym... — powiedział Martin.

– Miałaś rację, porównując to przejście z drogą do Sarth. Jest tu prawie tak samo fatalnie. Zanim dotarlibyśmy do tego miejsca, już stracilibyśmy pewnie z tysiąc ludzi... jeżeli w ogóle zdołalibyśmy tu dojść. A potem przez most... pojedynczo? Czysta rzeź!

– Widzisz ten czarny zarys nad jeziorem? — spytał Martin.

– Chyba jakiś budynek... – powiedział Galain, wpatrując się w ciemność. Na jego twarzy odmalowało się ogromne zaskoczenie. – To dziwne, żeby w tym miejscu dom... taki budynek... jakikolwiek zresztą...? Co prawda po Valheru można się spodziewać wszystkiego. To miejsce potęgi i mocy. Tak, to musi być budynek wzniesiony przez Valheru, chociaż nigdy o nim nie słyszałem... dziwne, naprawdę dziwne.

– Gdzie znaję Srebrzysty Cierń? – spytał Arutha.

– Większość podań głosi, że potrzebuje wody, więc musi rosnąć na brzegu jeziora. Wiem tylko tyle.

– Nadszedł chyba czas, aby zastanowić się nad dotarciem do jeziora – zaproponował Martin.

Galain dał im znak, aby się cofnąć głębiej w szczelinę. Dołączyli do pozostałych. Elf ukląkł i zaczął rysować na ziemi.

– Jesteśmy tutaj... most jest tu. Gdzieś w tym miejscu, u podstawy, znajduje się niewielka jaskinia lub szeroka szczelina, na tyle obszerna, że gwali mógł przez nią swobodnie przebiec. Możemy chyba założyć, że będzie dostatecznie szeroka, abyście mogli się przez nią przeczołgać. Być może jest tam skalny komin, którym możecie się wspiąć na górę, lub kilka łączących się ze sobą mniejszych jaskiń. Apalla upierał się stanowczo, że razem ze swoim ludem spędził na tym płaskowyżu jakiś czas. Chociaż nie zabawili tutaj zbyt długo ze względu na „złego”, to jednak gwali zapamiętał dostatecznie dużo szczegółów, aby przekonać Tomasa i Calina, iż rzeczywiście był tutaj.

Zauważyłem, że po drugiej stronie wąwozu skała jest poryta

szczelinami. Pójdziemy trawersem, miniemy podstawę mostu, a potem dalej, aż czarny budynek znajdzie się między nami a wartownikami na moście. Jest tam coś, co wygląda na ścieżkę prowadzącą w dół. Gdy już nie będzie można schodzić, dalej możecie opuścić się na linach. Wciągnę je później i ukryję między skałami.

– Przydadzą się bardzo w drodze powrotnej na górę – powiedział Jimmy.

– Jutro o zachodzie słońca opuszczę liny. Wciągnę je z powrotem tuż przed świtem. To samo zrobię następnego wieczora. Myślę, że uda mi się skutecznie ukryć w szczelinach popękanej skały. Być może będę musiał schronić się w zaroślach, ale z pewnością nie zauważy mnie żaden włóczący się po okolicy moredhel. – Mimo że Galain nadrabiał miną, jego głos nie brzmiał zbyt przekonująco. – Jeśli będziecie musieli skorzystać z lin wcześniej – dodał z uśmiechem – po prostu krzyknijcie na mnie.

Martin zerknął na Aruthę.

– Mamy szansę, dopóki nie mają pojęcia, że tutaj jesteśmy. Cały czas będą oczekiwali nas z południa, myśląc że znajdujemy się między Elvandarem a jeziorem. Jeśli uda nam się nie zdradzić naszej obecności...

– Nie mam żadnego innego, lepszego planu – powiedział Arutha. – Ruszajmy.

Nie zwlekając dłużej, ruszyli pośpiesznie w dół pamiętając, że na przeciwległym stoku wąwozu muszą się znaleźć przed świtem.

*Jimmy przywarł do skały zbocza płaskowyzu, kryjąc się w cieniu
rzucanym przez most. Krawędź wąwozu wznosiła się o jakieś
pięćdziesiąt metrów ponad nimi, lecz nadal istniało niebezpieczeństwo,
że mogą zostać zauważeni. Przed nimi pojawiła się wąska, czarna
szczelina w zboczu. Jimmy odwrócił się w stronę Lauriego.*

*– Ależ oczywiście – szepnął – przecież to musiało być dokładnie
pod mostem.*

*– Miejmy nadzieję, że nie będzie im się chciało gapić w dół. Laurie
przekazał wiadomość dalej, a Jimmy wślizgnął się w szczelinę. Przejście
na odcinku około trzech metrów było bardzo wąskie, lecz następnie
rozszerzało się raptownie w sporą jaskinię. Odwrócił się do
pozostałych.*

– Podajcie pochodnię i krzesiwo.

*Gdy je odbierał, usłyszał za sobą jakiś ruch. Syknął ostrzegawczo i
okręcił się na pięcie, a w jego dłoni nie wiadomo skąd pojawił się
sztylet. Mdłe światło wpadające przez szczelinę do środka było bardziej
utrudnieniem niż pomocą. Sprawiało, że większa część jaskini zdawała
się pogrążona w atramentowym, nieprzeniknionym dla oczu mroku.*

*Zacisnął powieki, zdając się na inne zmysły. Wycofywał się powoli ku
szczelinie i modlił się w duchu do boga złodziei.*

*Tuż przed sobą usłyszał coś jakby zgrzyt pazurów na skale i
powolny, ciężki oddech. Przypomniał sobie w tym momencie o „złym”, o
którym gwali powiedział, że zezarł kogoś z jego szczepu.*

Dźwięk się powtórzył. Tym razem dużo bliżej. Jimmy pomyślał, że

oddalby wszystko za odrobinę światła. Przesunął się w prawo. Usłyszał, jak Laurie wypowiada jego imię.

– Tu jest jakieś zwierzę... – syknął za siebie. Usłyszał, że Laurie mówi coś do pozostałych, a potem dobiegł go cichy grzechot poruszonych kamieni, gdy trubadur odsuwał się od wejścia. Doszły go ciche słowa wypowiedziane bodaj przez Roalda.

– Idzie Martin.

Jimmy ścisnął z całej siły sztylet w wyciągniętej przed siebie ręce.

Tak, pomyślał, gdy trzeba walczyć ze zwierzakami, ja też wystąpiłbym Martina. Oczekiwał, że lada moment wysoki książę Crydee wskoczy do środka i stanie u jego boku. Zastanawiał się, co go wstrzymuje tak długo.

Z wnętrza jaskini wyczuł nagły ruch w swoim kierunku.

Instynktownie odskoczył w tył, nieomal wdrapując się na skalę za sobą.

Coś uderzyło go nisko w nogę. Rozległo się kłapanięcie paszczyki.

Wykorzystując wrodzone zdolności, odbił się od ściany, okręcił w powietrzu i tuż przed upadkiem zwinął się i przetoczył, łagodząc uderzenie o skalne podłoże. Wcale jednak nie spadł na kamienie. Nie wahając się ani sekundy, ciął gwałtownie sztyletem i poczuł, jak ostrze zagłębia się w coś miękkiego. Ześlizgiwał się po grzbiecie stwora.

Jaskinię nappełnił gadzi syk i charkot. Jimmy uderzył nogami o ziemię.

Schylił się odruchowo i skręcił tułów, wyrrywając sztylet. Stwór okręcił się błyskawicznie, prawie tak samo szybko jak i on. Jimmy odskoczył w tył na oślep i rąbnął głową w zwieszający się nisko odłam skalny.

Ogłuszyło go. Uderzył ciężko o ścianę w tym samym momencie, gdy tajemnicza bestia ponowiła atak, mijając go dosłownie o centymetry. Zamroczony, nie bardzo wiedząc, co robi, sięgnął przed siebie lewą ręką i poczuł, że obejmuje kark zwierzaka. Podobnie jak legendarny bohater dosiadający tygrysa, chłopak nie mógł zwolnić uchwytu. Dopóki przywierał ciasno do jej ciała, bestia nie mogła go dosięgnąć. Podciągnął się wyżej i usiadł pozwalając, aby zwierzę ciągało go po całej jaskini. Nieustannie dźgał sztyletem w skórzastą powłokę. Ciosy jego nie przynosiły większych efektów, ponieważ nie mógł się porządnie zamachnąć. Bestia rzucała się na wszystkie strony, obijając go o ostre krawędzie. Po niedługim czasie Jimmy był cały posiniaczony i miał pozdzieraną skórę. Poczuł, jak wzbiera w nim fala panicznego strachu. Odnosił wrażenie, że z każdą minutą bestia wpada w coraz większą furję i zyskuje na sile. On z kolei czuł się tak, jakby za chwilę jego ramię miało zostać wyrwane z barku. Po twarzy chłopca płynęły ciurkiem łzy bólu i przerażenia. Dźgał bestię jak oszalały, na oślep, wszędzie gdzie tylko mógł dosięgnąć ręką.

– Maaartiin...! – krzyczał, dusząc się łzami i śliną. Gdzie on jest!

Poczuł niezbitą pewność, że oto wyczerpało się jego legendarne szczęście, którym tak się chełpił przed innymi. Po raz pierwszy w życiu poczuł się całkowicie bezradny. Nie potrafił, nie mógł uczynić absolutnie nic, aby wyzwolić się ze straszliwej sytuacji. Ogarnęły go mdłości i dziwne odrętwienie. Z przerażającą jasnością zrozumiał, że za chwilę może po prostu umrzeć. Paniczny strach! Nie był to już tak

dobrze

znany,

podniecający

dreszczyk

emocji,

zagrożenie

niebezpieczeństwem, gdy umykał przed pościgiem po Gościńcu Złodziei,

lecz przerażająca, obezwładniająca zmysły drętwa. W tej chwili

marzył tylko o jednym: zwinąć się w kłębek i mieć już wszystko z głowy.

Potwór wił się i skakał jak oszalały, łomocząc Jimmym o skały.

Nagle znieruchomiał. Chłopak dźgał dalej bez opamiętania. Dopiero po

chwili do jego przymroczonej świadomości dotarł czyjś głos:

– Już po wszystkim... nie żyje.

Otworzył oczy i spojrzał błędnie dookoła. Nad nim stał Martin, a

za jego plecami zauważył Baru i Roalda. Najemnik trzymał w ręku

zapaloną pochodnię. Na posadzce jaskini leżał stwór podobny do

gigantycznej, ponad dwumetrowej jaszczurki. Zwierzę przypominało do

złudzenia iguanę z krokodylim pyskiem. Z tyłu czaszki sterczała

rękojeść myśliwskiego noża Martina. Dawny łowczy ukląkł przy

chłopcu.

– Cały jesteś?

Jimmy zerwał się i na czworakach odskoczył jak oparzony od

powalonej bestii. Był blady jak ściana, a zęby wciąż szczękały mu ze

strachu. Kiedy przez resztki paniki i grozy dotarło wreszcie do niego, że

przeżył i nic mu się nie stało, pokiwał gwałtownie głową.

– Tak... to znaczy nie... – Otarł wierzchem dłoni policzki z łez. –

Nie, niech to szlag trafi, nie jestem cały... – Znowu zalał się łzami. – A

niech to szlag... już myślałem, że...

Arutha precisnął się przez szczelinę jako ostatni. Podszedł bliżej i

ocenił szybko stan chłopaka, który przytulony do skały wyglądał jak

kupka nieszczęścia. Księżę położył łagodnie dłoń na jego ramieniu.

– Już po wszystkim. Nic ci się nie stało. Jesteś cały.

– Myślałem... myślałem, że już po mnie, że to bydlę mnie załatwi,

do diabła, jeszcze nigdy tak się nie bałem... – Jego głos zdradzał

szarpiące nim emocje: przerażenie i złość na samego siebie.

– No, Jimmy – powiedział Martin – jeśli w końcu zdecydowałeś,

żeby czegoś naprawdę się przestraszyć, to nieźle wybrałeś. Spójrz tylko

na szczęki i zęby tej bestii...

Jimmy zadygotał.

– Wszyscy się czasem boimy, chłopcze – powiedział Arutha. – W

sumie to dosyć proste, trafiła kosa na kamień. W końcu spotkałeś coś,

czego rzeczywiście trzeba się było obawiać.

Jimmy pokiwał głową.

– Mam tylko nadzieję, że to świństwo nie ma tu starszego brata...

– Odniosłeś jakieś rany, Jimmy?

Chłopak szybko obmacał się po całym ciele.

– Tylko zadrapania i siniaki. – Skrzywił się boleśnie. – Dużo

siniaków...

– Wąż skalny – odezwał się Baru. – I to całkiem spory. Doskonale się spisalesz, zabijając go nożem, książę Martin.

W jasnym świetle pochodni bestia wyglądała dosyć groźnie, ale nawet nie umywała się do tego, co Jimmy wyobrażał sobie w ciemności.

– To jest ów „zły”?

– Najprawdopodobniej – potwierdził Martin. – Skoro ciebie tak przestraszył, wyobraź sobie tylko, jak musiał być przerażony mały gwali, który nie ma nawet metra. – Podniósł wyżej pochodnię. – No, czas rozejrzeć się. Co my tu mamy?

Znawali się w dość wąskiej, wysoko sklepionej komorze skalnej. Sądząc po wyglądzie, ściany jej zbudowane były głównie z wapienia. Od szczeliny wejściowej posadzka wznosiła się lekko ku górze.

Jimmy, mimo że był cały poobijany i zmalretowany, ruszył przodem, zabierając po drodze pochodnię od Martina.

– Nadal jestem ekspertem od wspinania się tam, gdzie nikt mnie nie prosił.

Szybko posuwali się ciągiem komór skalnych, przy czym każda następna była nieco większa i wyżej usytuowana od poprzedniej.

Wygląd połączonego łańcucha podziemnych sal wskazywał na ich wielowiekową historię. Wszyscy odnosili podobne, dziwne wrażenie, jakiś niepokój. Płaskowyz był na tyle duży, że przez dłuższy czas maszerowali nie czując, że wchodzi coraz wyżej i wyżej. W pewnej chwili Jimmy zatrzymał się.

– Idziemy po spirali. Głowę daję, że w tej chwili znajdujemy się dokładnie nad miejscem, gdzie Martin zabił gada.

Ruszyli dalej. Po pewnym czasie dotarli do ślepego końca. Jimmy rozejrzał się uważnie dookoła i po chwili wskazał ku górze. Jakiś metr ponad ich głowami, w sklepieniu jaskini czerniał otwór.

– Komin – powiedział Jimmy. – Wchodzimy, opierając się plecami o jedną ścianę, a stopami o przeciwną.

– A co będzie, jeśli komin zbyt się rozszerzy? – spytał Laurie.

– Wtedy zazwyczaj spada się na dół. Prędkość spadania zależy od spadającego. Osobiście sugeruję, abys raczej starał się robić to bardzo powoli.

– Jeśli gwali potrafią się tu wspiąć, to dlaczego nie my? – powiedział Martin.

– Hm... upraszam Waszą Wysokość o wybaczenie, ale czy Księżę chce przez to powiedzieć, że potrafi śmigać po drzewach jak one? – spytał Roald z uśmiechem.

Martin zignorował go i spojrzał na chłopca.

– Jimmy?

– Tak, idę pierwszy. Nie chcę zakończyć żywota tylko dlatego, że któryś z was poluźni uchwyt i zwali mi się na łeb. Trzymajcie się z dala od otworu, dopóki nie zawołam.

Przy niewielkiej pomocy Martina Jimmy bez trudu wcisnął się w komin. Było dosyć ciasno, ale w sam raz, by wspinać się bez większego trudu. Dla innych, szczególnie dla Martina i Baru, będzie trochę za

wąsko,

ale

powinni

jakoś

przejsć.

Jimmy

szybko

pokonał

dziesięciometrowy komin i znalazł się w kolejnej komorze skalnej. Bez

światła nie mógł dokładnie określić jej rozmiarów, jednak delikatne

echo, jakim oddech odbijał się od ścian, sugerowało sporą przestrzeń.

Pochylił się nad otworem komina i zawołał, aby ruszali za nim.

Zanim w otworze pojawiła się głowa Roalda, chłopak zapalił już

pochodnię. Pozostali szybko wdrapali się na górę. Jaskinia była

rzeczywiście duża, miała około siedemdziesięciu metrów średnicy, a

sklepienie wznosiło się na osiem, dziewięć metrów i ginęło w mroku. Z

posadzki wyrastały stalagmity. Niektóre łączyły się ze zwieszającymi

się ze sklepienia stalaktytami, tworząc malowniczą, wapienną

kolumnadę. Wnętrze jaskini przypominało do złudzenia kamienny las.

W świetle pochodni widać było dalsze komnaty i korytarze.

Martin rozglądał się dookoła.

– Jimmy, co myślisz, jak wysoko weszliśmy?

– Nie więcej niż na jakieś dwadzieścia pięć metrów. To nawet nie

połowa drogi.

– A teraz którą? – spytał Arutha.

– Wszystkie korytarze wyglądają prawie identycznie... nie ma innego wyjścia, jak tylko sprawdzać jeden po drugim.

Jimmy na chybił trafił wybrał jedno z wyjść i śmiało ruszył do przodu.

Po wielu godzinach poszukiwań Jimmy odwrócił się nagle do Lauriego.

– Powierzchnia.

Szybko przekazano wiadomość do tyłu i po chwili obok trubadura precisnął się Arutha. Ponad głową Jimmy'ego widać było wąziutkie przejście, bardziej szczelinę niż korytarz. Po mdłym świetle pochodni wpadająca z zewnątrz poświata wydawała się oślepiająca. Jimmy skinął głową i zaczął się wspinać. Po chwili zasłonił sobą światło. Wrócił po paru minutach.

– Wyjście znajduje się w skalnym rumowisku. Jesteśmy jakieś sto metrów od czarnego budynku, od strony mostu. Dom jest potężny, piętrowy.

– Zauważyłeś jakieś strażę?

– Nie, nikogo nie widziałem. Arutha zastanawiał się przez chwilę.

– Poczekamy do zmroku. Jimmy, czy możesz podczepić się gdzieś przy samej powierzchni i nastawić ucha?

– Tak, jest tam wąska półka skalna – odpowiedział chłopak i ruszył w górę.

Arutha usiadł pod ścianą, aby doczekać do zapadnięcia ciemności.

Inni poszli w jego ślady.

Jimmy co jakiś czas napinał, a potem poluzniał mięśnie, aby zapobiec skurczom. Na powierzchni płaskowyżu panowała martwa cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu delikatnym powiewem wiatru, niosącym nocne odgłosy. Docierały tu głównie strzępy rozmów i odgłos kroków na moście. Raz wydało mu się, że od strony budowli dał się słyszeć dziwny, niski dźwięk, ale nie był pewien, czy mu się nie przywidziało. Słońce ukryło się już za linią horyzontu, ale niebo nadal rozświetlała czerwona luna zachodu. Jimmy był pewny, że od zwykłej pory kolacji minęły już co najmniej dwie godziny. Tutaj jednak, tak wysoko w górach, tak daleko na północ i gdy dzień przesilenia letniego był już za pasem, słońce zachodziło o wiele później niż w Krondorze. Chłopak przypominał sobie nieustannie, że w przeszłości nieraz przychodziło mu wykonywać robotę, w której przez dłuższy czas musiał się obejść bez jedzenia, lecz jakoś nie zmusiło to żołądka, żeby przestał upominać się o swoje prawa.

W końcu zrobiło się wystarczająco ciemno. Jimmy'emu ulżyło i zrobiło się raźniej na duszy. Reszta zdawała się podzielać jego doznania. W tym miejscu było coś dziwnego, coś, co we wszystkich rodziło poczucie namacalnego wręcz niepokoju. Nawet Martin, zwykle spokojny i opanowany, zaklął kilka razy pod nosem, że musi tak długo czekać. Coś w tym musiało być. Panowała tu przedziwna, obca atmosfera, wyraźna, ale subtelna, nieuchwytna. Jimmy wiedział, że nie będzie się czuł bezpieczny, dopóki miejsce to nie znajdzie się daleko,

daleko za plecami, stając się niewyraźnym wspomnieniem z odległej przeszłości.

Wypelzł ostrożnie na powierzchnię i rozglądał się czujnie. Po chwili na górze pojawił się Martin, a za nim reszta. Zgodnie z wcześniejszą umową rozdzielili się na trzy grupy: Baru z Lauriem, Roald z Martinem i Jimmy z Księciem. Mieli przeszukać brzeg jeziora. Każda grupka po znalezieniu rośliny miała powrócić na dół i poczekać na przybycie pozostałych.

Na Aruthę i Jimmy'ego wypadło spenetrowanie rejonu czarnego budynku. Zdecydowali, że najpierw pójdą na jego tyły. Rozsądek nakazywał, aby nie rozpoczynać poszukiwań w pobliżu starożytnej budowli Valheru bez uprzedniego sprawdzenia, czy w pobliżu nie ma wartowników. Nie mieli przecież pojęcia, jaki jest stosunek moredheli do tego miejsca. Budowla mogła budzić w nich grozę jak w Elfach.

Wtedy z pewnością żaden z nich nie wszedłby tu z własnej i nieprzymuszonej woli i poza oficjalnymi uroczystościami omijałby ją z daleka jako miejsce uświęcone. Mogło być jednak zupełnie inaczej i wewnątrz mogły znajdować się tłumy.

Przemykając się nisko przy ziemi, Jimmy dotarł do krawędzi budynku i przywarł płasko do ściany. Kamienie wydały mu się zadziwiająco gładkie. Przesunął po nich dłonią i stwierdził, że fakturą przypominają marmur. Podczas gdy chłopak dokonywał szybkiego rekonesansu wokół budynku, Arutha czekał w pogotowiu z wyciągniętą bronią.

– Nie ma żywej duszy – szepnął chłopak. – Straże są tylko na wieżach przy moście.

– A w środku? – syknął Arutha.

– Nie mam pojęcia. To duży budynek, ale ma tylko jedne drzwi.

Chcesz sprawdzić, panie? – spytał, mając nadzieję, że Księżę odpowie przecząco.

– Tak.

Jimmy poprowadził Aruthę wzdłuż ściany za róg, aż dotarli do drzwi wiodących do wnętrza ogromnego gmachu. Nad nimi majaczyło półokrągłe okienko. Ze środka wydobywała się delikatna poświata.

Jimmy dał znak Księżciu, aby pomógł mu wspiąć się do wąskiego gzymsu pod okienkiem. Chwycił się mocno, podciągnął i zajrzał do wnętrza. Pod nim, za drzwiami znajdowało się niewielkie pomieszczenie, coś w rodzaju przedpokoju z posadzką z dużych, kamiennych płyt. Na wprost, na przeciwległej ścianie widać było otwarte, dwuskrzydłowe drzwi. Dalej panowała nieprzenikniona ciemność. W wyglądzie ściany pod oknem było coś dziwnego. Przyjrzał się uważniej. Zewnętrzne, kamienne płyty stanowiły jedynie okładzinę. Zeskoczył na dół.

– Przez okno prawie nic nie widać.

– Nic?

– Tylko jakieś przejście czy korytarz, a dalej ciemność. To wszystko. Żadnych straży.

– Zacznijmy szukać przy brzegu jeziora, ale lepiej nie spuszczać

tego budynku z oka.

Jimmy zgodził się i ruszyli w kierunku wody. Bliskość dziwnej budowli nie dawała mu spokoju. Powróciło dawno nie odczuwane wrażenie, że coś nie jest w porządku. Otrząsnął się i skupił uwagę na poszukiwaniu rośliny.

Skradali się wzdłuż jeziora przez całe godziny. Brzegi porastały tylko nieliczne rośliny. Wysoko położony płaskowyż był prawie całkowicie pozbawiony flory. Co jakiś czas z ciemności dochodziły do nich szelesty i ciche zgrzyty kamieni. Arutha miał nadzieję, że to tylko ich towarzysze przeszukujący okolicę.

Niebo poszarzało. Jimmy szepnął, że najwyższy czas, by schodzić pod ziemię. Arutha zgodził się niechętnie i z ociąganiem wcisnął się w szczelinę. Baru i Laurie byli już na miejscu, a Martin i Roald pojawili się po kilku minutach. Żaden z nich nie natrafił na Srebrzysty Cierń.

Arutha nie odezwał się ani słowem. Obracał się powoli, aż stanął odwrócony plecami do pozostałych. Z całej siły zacisnął pięści. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby otrzymał potworny, miazdzący cios. Nie spuszczała z niego wzroku. Wpatrywał się w czarną pustkę jaskini. Delikatne światło wpadające pionowo przez otwór w sklepieniu oświetlało jego twarz, upodabniając ją do płaskorzeźby. Na policzkach zaśniły łzy. Obrócił się ku nim raptownie.

– Przecież to musi być tutaj... musi... – wyszeptał chrapliwie.

Przesuwał wzrok od twarzy do twarzy. Wszyscy ujrzeli to samo: ogromne, nie dające się wyrazić uczucie, świadomość straszliwej,

bezpowrotnej straty. Czuli to samo. Wielkie cierpienie, jakby coś właśnie odeszło na zawsze... umarło. Jeżeli nie mieli Srebrzystego Ciernia, Anita była zgubiona.

Martin dzielił cierpienie brata, ale nie tylko to – coś więcej. W tej chwili ujrzał bowiem swego ojca w cichych chwilach, gdy Arutha był jeszcze zbyt młody, aby pojąć głębię cierpienia Borrica po stracie żony.

Wychowany przez Elfy myśliwy poczuł, jakby jego własną pierś ścisnęła potężna, stalowa obręcz. Poraziła go myśl, że brat będzie przeżywał taki sam koszmar, że będzie spędzał samotne noce przed kominkiem obok pustego fotela, wpatrując się godzinami w portret wiszący nad ogniem. Spośród trzech braci jedynie Martin potrafił dostrzec i wczuć się w niezgłębioną gorzyc cierpienia, która prześladowała ich ojca każdego ranka. Jeśli Anita umrze, razem z nią umrze również serce i radość życia Aruthy. Nie można, nie wolno rezygnować z nadziei.

– Znajdziemy Srebrzysty Cień, zobaczysz – szepnął.

– Jest tylko jedno miejsce, gdzie jeszcze nie zajrzeliśmy – dodał Jimmy.

– W budynku... – powiedział cichym głosem Arutha.

– Zatem pozostaje nam tylko jedno... – powiedział Martin.

– Jeden z nas musi wejść do środka i rozejrzeć się. – Jimmy nienawidził samego siebie w momencie, kiedy wypowiadał te słowa.

WÓDZ WOJNY

Cela cuchnęła wilgotną słomą.

Pug poruszył się i stwierdził, że ręce ma przykute do ściany potężnymi łańcuchami z needry. Skóra tych potężnych, sześcionogich zwierząt pociągowych Tsuranich została wyprawiona na sztywno i twardością niemal dorównywała stali. Po zetknięciu z dziwnym przyrządem zakłócającym działanie magii bolała go głowa. Nie tylko to jednak wprowadzało go w stan rozdrażnienia. Zwalczył siłą woli spowalniającą pracę umysłu mgielkę i wpatrzył się w pęta. Gdy zaintonował zaklęcie mające zamienić łańcuchy w substancję gazową, pojawiła się nagle jakaś niespójność, coś było nie tak, jak trzeba. Nie potrafił określić tego inaczej. Niespójność. Zaklęcie nie chciało zadziałać. Oparł się o ścianę i przymknął oczy. Cela musiała więc być otoczona bardziej wszechstronnym zaklęciem, które neutralizowało skutecznie obcą magię, pomyślał. Ależ oczywiście: jak inaczej można utrzymać maga w więzieniu?

Rozejrzał się po lochu. Dookoła panował nieprzenikniony mrok. Odrobina światła wpadała jedynie przez maleńki, zakratowany otwór umieszczony wysoko w drzwiach. Coś małego i szybko poruszającego się zaszeleściło w słomie koło stóp. Kopnął i zwierzątko uciekło z piskiem. Ściany pokrywała wilgoć, a więc on i jego towarzysze musieli znajdować się pod ziemią. Nie potrafił określić, jak długo byli uwięzieni. Nie miał też pojęcia, gdzie są: praktycznie mogli się znajdować w dowolnym miejscu Kelewanu.

Meecham i Dominik stali przykuci do przeciwległej ściany, a Hochopepa obok niego, po prawej stronie. Pug zrozumiał, że jeśli Wódz

Wojny zaryzykował podniesienie ręki na Hochopepę i uwięzienie go, oznaczało to, że sprawy w Imperium znalazły się w punkcie, w którym trudno utrzymać równowagę. Pojmanie i uwięzienie wyjątego spod prawa to jedno, ale pozbawienie wolności któregoś z Wielkich Imperium to zupełnie inna sprawa. Zgodnie z obowiązującym prawem immunitet chronił wszystkich Wielkich przed dyktatem Wodza Wojny. To Wielcy właśnie stanowili jedyne, poza samym Cesarzem, wyzwanie dla władzy Wodza. Zatem Kamatsu miał rację. Uwięzienie Hochopepy świadczyło dobitnie, że Wódz nic sobie nie robił z ewentualnych protestów. Oznaczało to, iż doszedł do finału decydującej ofensywy w ramach Gier Rady. Meecham jęknął przeciągle i powoli podniósł głowę.

– Och... moja głowa... – wymamrotał z trudem. Spostrzegł, że jest przykuty do ściany. Na wszelki wypadek szarpnął mocno łańcuch.

– No? – powiedział, spoglądając na Puga. – I co teraz? Puga pokręcił głową.

– Czekamy.

Przyszło im czekać bardzo długo, trzy albo cztery godziny. Gdy w końcu ktoś przybył, stało się to nagle i niespodziewanie. Drzwi otworzyły się z impetem i w progu stanął mag w czarnej szacie. Tuż za nim widać było żołnierza z Gwardii Cesarskiej. Na widok maga Hochopepa niemal splunął z obrzydzeniem.

– Ergoran! Wściekłeś się czy co? Masz mnie natychmiast uwolnić!

Mag dał znak żołnierzowi i ten uwolnił Puga. Spojrzał na Hochopepę.

– To, co robię, czynię dla Imperium. Knujesz z naszymi wrogami, grubasie. Gdy ukarzymy stosownie tego fałszywego maga, natychmiast powiadomię Zgromadzenie o twojej dwulicowości, zdrajco!

Pug został pośpiesznie wyprowadzony na zewnątrz.

– Milamber, twój pokaz w czasie Igrzysk Imperialnych rok temu sprawił, że czujemy respekt. Wystarczająco duży, byśmy teraz dopilnowali, żebyś już nigdy nie sprowadził nieszczęścia i ruiny na twoje otoczenie. – Dwóch żołnierzy założyło mu na nadgarstki bardzo drogie i niesłychanie rzadko spotykane metalowe kajdany. – Na loch zostało nałożone blokujące zaklęcie, aby zabezpieczyć go przed jakąkolwiek magią działającą od środka. Gdy wyjdiesz na zewnątrz, obręcze te zniweczą twą magiczną moc. – Dał znak gwardzistom, jeden z nich pchnął Puga do przodu.

Pug dobrze wiedział, że nie ma co tracić czasu i wysiłków na Ergorana. Spośród wszystkich magów występujących się Wodzowi, nazywanych

jego

pieskami,

on

był

najgorszy,

najbardziej

zacierzewiony, wprost niepoczytalny. Należał do bardzo wąskiego grona magów, którzy uważali, że Zgromadzenie powinno być

*ramieniem siły rządzącej w Cesarstwie, czyli Wysokiej Rady. Ktoś, kto
znał go bliżej, twierdził, iż ostatecznym celem Ergorana było, aby
Zgromadzenie stało się Wysoką Radą. Mówiło się nawet, że kiedy
władzę
sprawował
szalony
Almecho,
to
właśnie
Ergoran
niejednokrotnie decydował za kulisami o kierunkach polityki Partii
Wojny.
Wspięli się po wysokich schodach i po chwili ujrzeli światło
słoneczne, które po ciemnościach panujących w lochu oślepiło Puga na
chwilę. Żołnierz popchnął go znowu i ruszyli przez dziedziniec
ogromnego gmachu. Wzrok szybko przyzwyczaił się do dziennego
światła. Weszli na szerokie schody prowadzące do góry. Pug obejrzał
się
przez
ramię.
Dostrzegł
w
oddali
wystarczająco*

dużo

charakterystycznych miejsc, aby zorientować się, gdzie się znajduje.

Ujrzał rzekę Gagajin, która wypływała z gór zwanych Wielkim Murem i kierowała swe wody do miasta Jamar. Było ono jednym z ważniejszych miast centralnych prowincji Imperium na szlaku wiodącym z północy na południe. Pug znajdował się w samym Świątym Mieście – Kentosani, stolicy Imperium Tsuranuanni. Na podstawie obecności setek ubranych na biało wartowników można było wysnuć tylko jeden wniosek: był w pałacu Wodza Wojny.

Szedł długim korytarzem, popychany nieustannie przez żołnierzy.

Po kilku minutach dotarli wreszcie do sali położonej w środku pałacu.

Skończyły się kamienne ściany. Rozsunęły się przed nimi solidne drzwi z drewna i skóry. Wódz Wojny Imperium zdecydował się na przesłuchiwanie więźnia w osobistej sali narad.

Pośrodku stał jeszcze jeden mag, czekający cierpliwie, aż siedzący mężczyzna skończy czytać zwój pergaminu. Tym drugim magiem był Elgahar. Pug nie znał go zbyt dobrze. Zrozumiał od razu, że z jego strony nie może liczyć na żadną pomoc, nawet dla Hochopepy. Elgahar był rodzonym bratem Ergorana. Rodzina ich miała ogromne, sięgające wielu pokoleń tradycje stosowania magii. Elgahar rzadko przejawiał własną inicjatywę i słuchał we wszystkim brata.

Mężczyzna siedzący na stosie poduszek był w średnim wieku. Miał na sobie białą szatę wykończoną wokół szyi i rękawów pojedynczym, złocistym pasem. Pug dobrze pamiętał Almecho, poprzedniego Wodza

Wojny. Kontrast był szokujący. Siedzący przed nim mężczyzna, Axantucar, z wyglądu był dokładnym przeciwieństwem, antytezą swego stryja. Almecho był zwalistym mężczyzną o potężnym karku, był żołnierzem i zachowywał się jak żołnierz. Jego bratanek bardziej przypominał naukowca czy nauczyciela. Szczupłe, niemal chude ciało oraz delikatne rysy sprawiały, że wyglądał prawie ascetycznie. Wódz podniósł wzrok znad pergaminu. Pug, ujrawszy jego oczy, od razu zrozumiał, że Axantucar, podobnie jak jego stryj, trawiony był szaleńczą żądzą władzy.

Wódz powoli odłożył pergamin.

– Milamber, wracając tutaj, wykazałeś się odwagą, nawet jeśli zabrakło ci roztropności. Oczywiście nie minie cię egzekucja, lecz zanim cię powiesimy, chcielibyśmy dowiedzieć się tylko jednego: po co wróciłeś?

– W moim rodzinnym świecie narasta jakaś potęga, jakiś byt mroczny i pełen zła. Pragnie za wszelką cenę osiągnąć swój cel, którym jest unicestwienie mego świata.

Wódz wydawał się zainteresowany odpowiedzią Puga. Dał znak ręką, aby ten kontynuował i opowiedział wszystko, absolutnie wszystko, bez koloryzowania czy przesadzania.

– Wykorzystując środki magiczne, ustaliłem, że to „coś”, ta potęga wywodzi się z Kelewanu. W przedziwny, niewytłumaczalny sposób los obu światów ponownie splótł się w jedno pasmo.

– No cóż, opowiedziałeś bardzo interesującą historyjkę – rzekł

Axantucar. – Wyglądało na to, że Ergoran nie traktował relacji Puga poważnie. Elgahar przeciwnie, był bardzo zaniepokojony. – Milamber, jaka szkoda, że w momencie zdrady zostałeś nam zabrany. Gdybyś wtedy pozostał, może znaleźlibyśmy ci dobre stanowisko... bajkopisarza. Wielka, mroczna potęga zrodzona w starożytnej, dawno zapomnianej czeluści naszego Imperium! Doprawdy, Milamber, to wspaniała opowieść. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. Pochylił się, wspierając łokciem o kolano. Wbił w Puga nieprzyjemny wzrok. – No, pora przejść do prawdy i faktów. Ten bezsensowny koszmar, który wymyśliłeś, to nic innego jak tylko niezdarna i naiwna próba przestraszenia i ogłupienia mnie, abym nie odgadł prawdziwych powodów, dla których wróciłeś. W Wysokiej Radzie Partia Błękitnego Koła i jej sprzymierzeńcy znajdują się na krawędzi upadku. Oto dlaczego wróciłeś, Milamber. Ci, którzy w przeszłości zaliczali cię do grona swoich popleczników, są zdesperowani, wiedzą dobrze, że całkowita dominacja Partii Wojny jest przesądzona. Ty i ten twój gruby znowu działacie wspólnie z wrogami Imperium, którzy w czasie inwazji na twój świat zdradzili Przymierze dla Wojny. Boicie się nowego

porządku rzeczy, który my reprezentujemy. Za kilka dni ogłoszę koniec Wysokiej Rady, a ty przybyłeś, aby temu zapobiec, zgadza się? Nie wiem, co ci chodzi po głowie, ale wyrwiemy prawdę z ciebie, jeśli nawet nie teraz, nie od razu, to wkrótce. Wyśpiewasz nazwiska wszystkich, którzy sprzymierzyli się przeciwko nam. Dowiemy się również, jak ci się udało powrócić. I kiedy Imperium będzie już bezpieczne i stabilne pod moimi rządami, powrócimy do twego świata i szybko dokonamy tego, co powinno być zrobione za rządów mego stryja.

Pug spojrział na otaczające go twarze i zrozumiał wszystko.

Rozmawiał kiedyś z szalonym królem Rodrikiem. Wódz Wojny nie był tak szalony jak on, nie ulegało jednak wątpliwości, iż nie był całkowicie normalny. Co więcej, stał za nim ten, który co prawda zdradzał swoim wyglądem bardzo niewiele, lecz wystarczająco dużo, aby Pug pojął w czym rzecz. Obawiać należy się Ergorana. To właśnie jego genialne pociągnięcia doprowadziły do całkowitej dominacji Partii Wojny. I to on pewnego dnia będzie władał Tsuranuanni, zupełnie otwarcie.

Przybył posłaniec. Zgiął się w ukłonie przed Wodzem i podał zwitek pergaminu. Wódz przebiegł szybko wzrokiem jego treść.

– Muszę pojawić się w Radzie. Powiadom Inkwizytora, że w czwartej godzinie nocy będę potrzebował jego usług. Straże, odprowadzić tego tutaj do celi. – Gwardziści szarpnęli brutalnie łańcuch. – Przemyśl to sobie dobrze, Milamber. Możesz umrzeć powoli lub szybko, ale umrzesz na pewno. Wybór należy wyłącznie do ciebie. Tak czy inaczej wyciągniemy z ciebie w końcu całą prawdę.

Pug obserwował, jak Dominik zapada w trans. Opowiedział towarzyszom niedoli o reakcji Wodza Wojny. Hochopepa przez jakiś czas rzucał się i szarpał łańcuchami w paroksyzmie wściekłości, wkrótce jednak opadł z sił, zwiesił głowę i zamilkł. Gruby mag, podobnie jak inni posiadacze czarnych szat, nie był w stanie wyobrazić sobie, że jego wola czy choćby najbliższe życzenie mogłyby być zignorowane. Uwężenie po prostu nie mieściło mu się w głowie, nie wchodziło w zakres jego pojęć. Meecham jak zwykle wykazał się stoickim spokojem, tak samo jak mnich, który wydawał się zupełnie nieporuszony. Dyskusja była krótka, a jej ton minorowy.

Gdy się skończyła, Dominik rozpoczął swoje ćwiczenia, tak fascynujące dla Puga. Kapłan usiadł i zaczął medytację, wchodząc stopniowo w trans. Pug zastanawiał się w milczeniu nad lekcją udzieloną im przez mnicha. Nawet tu, w podziemnym lochu, pozbawieni wszelkiej nadziei nie musieli się przecież poddawać przerażeniu, stawać się bezmyślnymi nieszczęśnikami. Cofnął się myślą w przeszłość, do chłopięcych lat spędzonych w Crydee: frustrujące lekcje z Kulganem i Tullym, kiedy starał się za wszelką cenę opanować arkana magii, która, jak to odkrył po wielu latach, była dla niego zupełnie nieodpowiednia.

Jaka szkoda, pomyślał sobie. W czasie swego pobytu w Stardock zaobserwował wiele faktów i zjawisk. Przekonały go one, że Niższa Droga magii na Midkemii była o wiele bardziej rozwinięta niż na Kelewanie. Najprawdopodobniej stało się tak dlatego, że była to jednocześnie jedyna magia, jaką znano w jego rodzinnym świecie.

Dla urozmaicenia spróbował jednej ze sztuczek, których usiłował go bez powodzenia nauczyć Kulgan. Hm, rozważał w ciszy, wszystko wskazuje, że działanie zaklęć Niższej Drogi nie zostało zastopowane przez tutejszych magów. Zaczął atakować przedziwną blokadę od środka i poczuł, że zaczyna go to bawić. Jako chłopiec bał się zawsze tego doświadczenia, ponieważ nieuchronnie zwiastowało nadciągające niepowodzenie. Teraz jednak wiedział, że przyczyną był jego własny umysł, ukierunkowany na Wyższą Drogę, odrzucający automatycznie i podświadomie dyscyplinę Drogi Niższej. Dziwnym trafem działanie antymagii sprawiło, że zaatakował swój odwieczny problem w inny sposób. Zamknął oczy i wyobraził sobie to jedno, czego próbował niezliczoną ilość razy i zawsze bez powodzenia. Układ jego umysłu burzył się i buntował przeciwko wymogom tej magii, a kiedy cofał się, by powrócić do właściwej sobie orientacji, odbił się od ograniczających go zapór, zwinął, wykonał jakby obrót i... Pug usiadł gwałtownie z szeroko otwartymi oczami. Na bogów, prawie mu się udało! Był o krok od odkrycia prawdy! Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że prawie pojął, o co chodzi. Zdusił w sobie narastającą falę emocji. Zamknął oczy, pochylił głowę i skoncentrował się. Och, gdyby tylko potrafił odnaleźć jeszcze raz ten jeden krótki moment, to krystalicznie przejrzyste mgnienie, kiedy rozumiał... tę chwilę, która uciekła równie szybko, jak się pojawiła... W głębi cuchnącego, wilgotnego lochu stanął na krawędzi być może największego odkrycia w historii magii Tsuranich. Gdyby tylko mógł ponownie przywołać tę chwilę...

I wtedy drzwi do celi otworzyły się raptownie. Pug i pozostali poderwali głowy. Tylko Dominik trwał nadal w transie. Do celi wszedł Elgahar. Kazał wartownikowi wyjść i zamknąć za sobą drzwi. Pug wstał, aby rozprostować nogi zdrętwiałe od długiego siedzenia na zimnej posadzce pokrytej cienką warstewką słomy.

– To, co powiedziałeś, jest bardzo niepokojące – stwierdził bez zbędnych wstępów mag w czarnej szacie.

– I powinno być, ponieważ to prawda.

– Być może, ale z drugiej strony nie musi tak być, nawet jeśli według ciebie to prawda. Chciałbym wszystko usłyszeć.

Pug gestem poprosił maga, by usiadł, jednak Elgahar pokręcił przecząco głową. Pug wzruszył ramionami, usadowił się z powrotem na podłodze i zaczął opowieść. Gdy doszedł do opisu wizji Rogena, Elgahar zaczął przechadzać się nerwowo po celi. Kilkakrotnie przerywał Pugowi, zadając mu dodatkowe pytania. Pug kontynuował opowieść. Gdy skończył, Elgahar stał przez chwilę, kręcąc głową.

– Milamber, powiedz mi, czy w twoim świecie jest wielu takich, którzy byliby w stanie zrozumieć, co jasnowidz usłyszał w swoim widzeniu?

– Nie. Tylko ja i jedna czy dwie osoby. Jedyne Tsurani w LaMut mogliby rozpoznać, że słowa

zostały

wypowiedziane

w

staroświątynnym języku Tsuranich.

– Nasuwa się wprost przerażająca odpowiedź, Milamber... Muszę wiedzieć, czy ją rozważyłeś?

– To znaczy co?

Elgahar nachylił się do jego ucha i szepnął jedno, jedyne słowo.

Cała krew uciekła z twarzy Puga. Zamknął oczy. Jeszcze na Midkemii, mając do dyspozycji takie dane, jakie mógł tam mieć, jego umysł rozpoczął proces poszukiwania odpowiedzi. Podświadomie od samego początku wiedział, jaka ona będzie. Westchnął ciężko.

– Tak. Przy każdym zwrocie, przy każdej kolejnej opcji unikałem tego jak ognia, ale nic nie mogłem poradzić. Bez względu na to, z której strony atakowałem zagadnienie, wcześniej czy później dochodziłem do tego samego wniosku.

– O czym mówicie? – włączył się Hochopepa.

– Nie, stary przyjacielu. – Pug pokręcił głową. – Jeszcze nie. Chcę, żeby Elgahar rozważył to, co wydedukował, bez sugerowania się moją czy twoją opinią. Będzie musiał zdecydować, wobec kogo pozostanie lojalny.

– Być może, lecz nawet jeśli do tego dojdzie, nie musi to bezwarunkowo odmienić bieżących okoliczności.

– Jak możesz tak mówić! – Hochopepa zawrzał gniewem. – Jakie

to okoliczności mogą się liczyć wobec zbrodni Wodza? Czy doszedłeś już do punktu, w którym resztki twej wolnej woli zostały poddane bez reszty twemu bratu?

– Hochopepa, spośród wszystkich, którzy noszą czarne szaty, właśnie ty powinienesz zrozumieć to najlepiej. Przecież nie kto inny niż ty i Fumita od wielu lat uczestniczyliście w Grach Rady po stronie Partii Błękitnego Koła. – Mówił o roli, jaką obaj magowie odegrali, pomagając Cesarzowi w zakończeniu wojny z Midkemią. – Po raz pierwszy w całej historii Imperium Cesarz znalazł się w zupełnie wyjątkowej sytuacji. Po zdradzie w czasie rokowań pokojowych posiadał najwyższą władzę, ale wcześniej utracił twarz. Nie mógł użyć swoich wpływów. Nie posłużył się też swoją władzą. W wyniku owej zdrady pięciu Komendantów Wojennych klanów straciło życie, pięciu ludzi mających największe szansę, aby zostać Wodzem Wojny. Z powodu ich śmierci wiele rodów straciło znaczenie w Wysokiej Radzie. Jeśli ponownie będzie próbował podporządkować sobie klany, mogą mu odmówić.

– Elgahar, mówisz o królobójstwie...

– Bywało tak w przeszłości, Milamber. Tym razem jednak nie ma następcy tronu, co oznacza wojnę domową. Światłość Niebios jest jeszcze młody i nie spłodził syna. Do tej pory jest tylko ojcem trzech dziewczynek. Wódz Wojny pragnie jedynie stabilizacji Imperium, a nie obalenia dynastii, której początków trzeba szukać ponad dwa tysiące lat temu. Wobec obecnego Wodza nie żywię żadnych uczuć,

pozytywnych czy negatywnych. Cesarz musi jednak wreszcie zrozumieć, że jego pozycja i rola w porządku rzeczy jest wyłącznie duchowa. Wszelką władzę bezpośrednią powinien pozostawić w gestii Wodza Wojny. I wtedy Tsuranuanni wejdzie w erę nie kończącego się dobrobytu.

Hochopepa parsknął gorzkim śmiechem.

– Fakt, że uwierzyłeś w te bzdury, świadczy niezbicie, że system kontroli wewnętrznej w Zgromadzeniu nie jest dość rygorystyczny.

Elgahar zignorował zniewagę.

– Kiedy już wewnętrzny porządek Imperium ustabilizuje się, będziemy mogli stawić czoło wszelkim zagrożeniom. Jeśli nawet twoje podejrzenia okażą się prawdziwe, a moje spekulacje dokładne, mogą minąć całe lata, zanim będziemy musieli zająć się sytuacją na Kelewanie. Mamy mnóstwo czasu, aby dobrze się przygotować. Nie zapominaj, Milamber, że my, członkowie Zgromadzenia, wspięliśmy się na szczyty, o których przodkowie nasi mogli jedynie marzyć. To, co w nich budziło grozę, dla nas może się okazać jedynie drobną niedogodnością.

– Arogancja cię zaślepia, Elgahar. Nie tylko ciebie zresztą, was wszystkich. Hocho i ja dyskutowaliśmy już o tym w przeszłości.

Założenie o własnej supremacji jest błędne. Wasza wiedza i moc wcale nie przewyższa tej, jaką posiadali i dysponowali przodkowie.

Odwrotnie, upłynie jeszcze sporo czasu, zanim zdołacie osiągnąć ich poziom. W spuściźnie po Czarnym Macrosie odkryłem dzieła mówiące o

potęgach, o których Zgromadzenie w ciągu kilku tysięcy lat swego istnienia nawet nie śniło.

Wydawało się, że te słowa poruszyły Elgahara do głębi. Zamilkł na dłuższy czas.

– Być może... – powiedział w końcu, zamyślając się głęboko.

Ruszył w kierunku drzwi. – Jedno zdołałeś osiągnąć, Milamber.

Przekonałeś mnie, że należy zachować cię przy życiu dłużej, niż wskazują na to humory Wodza Wojny. Masz wiedzę, którą musimy z ciebie wydobyć. A co do reszty, muszę to jeszcze przemyśleć.

– Tak, Elgahar, dobrze to przemyśl. I ani na chwilę nie zapominaj jednego słowa: tego, które szepnąłeś mi na ucho.

Elgahar miał już coś odpowiedzieć, ale zrezygnował. Zawołał strażnika, otworzono mu drzwi, po czym opuścił celę.

– On jest szalony – szepnął Hochopepa.

– Nie – zaprzeczył Pug. – Nie jest szalony, po prostu wierzy bez zastrzeżeń we wszystko, co mówi mu brat. Każdy, kto choć raz spojrzal uważnie w oczy Axantucara czy Ergorana i nadal wierzy, że to właśnie oni mają sprowadzić do Imperium dobrobyt, jest głupcem i łatwowiernym idealistą... ale nie szaleńcem. Tym, przed którym musimy się mieć naprawdę na baczności, jest Ergoran.

W celi ponownie zapanowało milczenie. Pug rozmyślał nieustannie o tym, co Elgahar szepnął mu do ucha. Podsunięta przez maga możliwość była zbyt przerażająca, aby się nad nią zastanawiać. Cofnął się więc myślą do tego przedziwnego ułamka sekundy, w którym

dane mu było dostrzec całą prawdę, sięgnąć po mistrzostwo Niższej

Drogi.

Czas mijał powoli. Pug nie wiedział dokładnie, ile go upłynęło od wyjścia Elgahara, ale sądził, że od zachodu słońca przeszły trzy, cztery godziny. Zbliżał się termin przesłuchania wyznaczony przez Wodza.

Drzwi się otworzyły i do celi wkroczyli gwardziści. Rozkuto Meechama, Dominika i Puga, zostawiając na miejscu jedynie Hochopepę.

Cała trójka została zaprowadzona do innego lochu, gdzie znajdowały się liczne urządzenia do zadawania tortur. Wspaniała postać Wodza odzianego w zielone i złote szaty dominowała w ponurym pomieszczeniu. Rozmawiał z Ergoranem. Mężczyzna w czerwonym kapturze stał spokojnie z boku, czekając aż więźniowie zostaną przykuci do słupów, rozmieszczonych w taki sposób, że cała trójka mogła się widzieć nawzajem.

– Wbrew moim początkowym planom dałem się przekonać

Ergoranowi i Elgaharowi, że warto zachować cię przy życiu. Każdy z nich miał ku temu zupełnie inne powody. Elgahar, jak się wydaje,

skłonny jest częściowo dać wiarę twojej historyjce. Na tyle

przynajmniej, aby uważać, iż roztropniej będzie dowiedzieć się

wszystkiego, co tylko zdołamy z ciebie wyciągnąć. Ergoran i ja nie

jesteśmy co do tego przekonani. Są jednak inne sprawy, które

chcielibyśmy poznać. A zatem zaczniemy od zapewnienia sobie tego,

abyś mówił tylko prawdę. – Dał znak Inkwizytorowi, a ten podszedł do

Dominika i zerwał z niego ubranie, zostawiając tylko przepaskę na

biodrach. Otworzył następnie szczelnie zamknięty gliniany garnek, wyciągnął z niego patyk ociekający jakąś gęstą, białawą substancją i rozmazał ją na piersi mnicha. Dominik wyprostował się gwałtownie i zeszywniał. Tsurani, ponieważ nie mieli metali, rozwinęli system tortur inny niż na Midkemii, lecz równie skuteczny. Biaława, kleista substancja kaustyczna zaczynała wyżerać skórę natychmiast po nałożeniu. Kapłan z całej siły zacisnął powieki i przygryzł wargi, by powstrzymać okrzyk bólu.

– Podeszliśmy do sprawy, rzecz by można, z ekonomicznego punktu widzenia. Pomyśleliśmy, że szybciej będziesz skłonny wyjawić całą prawdę, jeśli najpierw zajmiemy się twoimi towarzyszami. Z tego, co wiemy od twoich dawnych ziomków, jak również z niewybaczalnego wybuchu agresji w czasie Igrzysk Imperialnych, wydaje się, że posiadasz bardzo współczującą naturę, Milamber. Czy powiesz nam prawdę?

– Wszystko, co powiedziałem, to prawda, Wodzu Wojny!

Torturowanie moich przyjaciół nic nie zmieni!

– Panie! – rozległ się nagle okrzyk. Wódz spojrzał na Inkwizytora.

– O co chodzi?

– Ten człowiek... spójrz sam. – Rysy Dominika straciły bolesny wyraz. Zwieszał się bezwładnie ze słupa, a na twarzy jego malował się błogi spokój.

Ergoran podszedł szybko i przyjrzał się uważnie.

– Zapadł w trans?

Wódz i mag spojrzeli jednocześnie na Puga.

– A cóż to za sztuczki praktykuje ten twój fałszywy kapłan,

Milamber?

– To prawda, Dominik nie jest kapłanem Hantukama, lecz

mnichem z mego świata. Potrafi wprowadzić swój umysł w stan

całkowitego spokoju, bez względu na to, co się dzieje z jego ciałem.

Wódz skinął w stronę Inkwizytora, który wziął ze stołu ostry nóż.

Stanął przed Dominikiem i nagłym ruchem rozciął mu bark. Kapłan

nawet nie drgnął, nie mrugnął okiem. Inkwizytor wyjął szczypcami z

ognia rozżarzony węgiel i przyłożył do rany. Nic, żadnej reakcji.

Kat odłożył szczypce i wzruszył ramionami.

– To na nic, panie. Zastosował jakąś blokadę, jego umysł

przebywa zupełnie gdzie indziej. Mieliliśmy już podobne problemy z

kapłanami w przeszłości.

Pug zmarszczył brwi. Świątynie nie były zupełnie wolne od

działań politycznych, jednak w swoich stosunkach z Wysoką Radą

zachowywały daleko posuniętą ostrożność i rozwagę. Jeśli Wódz Wojny

przesłuchiwał kapłanów, oznaczało to, że świątynie ciążyły ku

odłamom, które sprzymierzyły się przeciwko Partii Wojny. Fakt, iż

Hochopepa nie miał o niczym pojęcia, oznaczał, że Wódz działał

sprawnie i skrycie. Dzięki temu ubiegł kroki opozycji. Informacja ta

uzmysłowila Pugowi, że Imperium znalazło się w poważnych kłopotach,

kto wie, czy nie na krawędzi wojny domowej. Można się było

spodziewać, że atak na stronnictwa popierające Cesarza nastąpi

wkrótce.

– Ten jednak nie jest kapłanem, prawda? – spytał Ergoran, podchodząc powoli do Meechama. Spojrzał w oczy przewyższającego go o głowę mężczyzny. – To tylko niewolnik, a więc powinniśmy sobie z nim łatwiej poradzić. – Meecham plunął mu prosto w twarz. Ergoran, przyzwyczajony do bałwochwalczego wręcz szacunku, jaki mieszkańcy Imperium okazywali Wielkim, był oszołomiony, jakby dostał pałką w głowę. Cofnął się chwiejnie do tyłu i otarł twarz ręką.

– Niewolniku, zasłużyłeś sobie właśnie na wyrafinowaną i bardzo powolną śmierć.

Po raz pierwszy, odkąd Pug pamiętał, Meecham uśmiechnął się.

Więcej, wyszczerzył zęby w szerokim, szyderczym grymasie. Blizna na policzku przydawała jego twarzy demonicznego wyrazu.

– Warto było, ty bezpłciowy mule.

Meecham, zaślepiiony gniewem, nie zauważył, że wypowiedział te słowa w języku Królestwa, lecz ton obelgi wystarczył magowi. Sięgnął gwałtownie za siebie, chwycił ze stołu ostry jak brzytwa nóż

Inkwizytora i ciął z całej siły przez pierś Meechama. Głęboka rana natychmiast zaczęła obficie krwawić. Meecham wyprężył się i pobladł jak ściana. Ergoran stał przed nim, uśmiechając się tryumfalnie. I wtedy Meecham ponownie splunął mu w twarz.

Inkwizytor zwrócił się do Wodza Wojny.

– Panie, Wielki przeszkadza w mojej delikatnej pracy. Mag cofnął się, upuszczając nóż na podłogę. Otarł twarz i stanął przy Wodzu

Wojny. Popatrzył na Puga wzrokiem pełnym nienawiści.

– Milamber, nie śpiesz się zbytnio z wyjawieniem prawdy.

Chciałbym, aby ta padlina miała okazję uczestniczyć w długim przedstawieniu.

Pug z całej siły starał się zwalczyć magię neutralizującą jego moc poprzez kajdany na nadgarstkach. Na próżno. Inkwizytor zaczął właśnie „pracować” nad Meechamem, który przyjął tortury jak wszystko, czyli ze stoickim spokojem. Z jego ust nie wydobył się ani jeden okrzyk bólu. Przez pół godziny Inkwizytor praktykował swoje krwawe mistrzostwo, aż w końcu Meecham wydał zduszony jęk i stracił przytomność.

– Milamber, dlaczego wróciłeś? – powoli pytanie Wódz Wojny.

Pug odczuwał cierpienie i ból Meechama, jakby sam ich doświadczał.

– Powiedziałem ci prawdę. – Zwrócił wzrok ku Ergoranowi. – Ty dobrze wiesz, że tak jest, prawda? – Zdawał sobie sprawę, że jego apel odbija się jak groch od ściany. Rozwścieczony Ergoran chciał, aby Meecham cierpiał za to, że plunął mu w twarz. Nie obchodziło go zupełnie, że Pug wyjawiał im całą prawdę.

Wódz dał znak, aby Inkwizytor zajął się Pugiem. Zakapturzony kat podskoczył do niego i jednym ruchem rozdarł szatę. Otwarto ponownie garnek i kilka kropel żrącej substancji znalazło się na piersi Puga. Po latach ciężkiej harówki na bagnach jego ciało było szczupłe i dobrze umięśnione. Gdy ból zaczął się rozchodzić, wyprężyło się

gwałtownie. Prawie nie poczuł pierwszego zetknięcia z kleistą mazią. Dopiero po krótkiej chwili, gdy chemikalia zaczęły działać, całą pierś rozdarł potworny ból. Niemal słyszał, jak skóra zwija się i skwierczy. Przez zasłonę bólu przedarł się głos Wodza. – Dlaczego wróciłeś? Z kim się kontaktowałeś? Aby uśmierzyć ogień w piersi, Pug przytknął oczy. Szukał ucieczki w wyciszających ćwiczeniach, których nauczył się u Kulgana jeszcze jako terminator. Kolejna porcja mazi i kolejna eksplozja bólu. Tym razem na wrażliwej skórze wewnętrznej strony uda. Umysł szalał, buntował się, szukając za wszelką cenę ratunku w magii. Raz po raz uderzał z impetem w bariery magicznych kajdan. Jako młody chłopak był w stanie odnaleźć swą drogę do magii tylko w sytuacji wielkiego napięcia czy zagrożenia. Pierwsze zaklęcie wyrwało się na zewnątrz, gdy jego życie zawisło na włosku w czasie spotkania z trollami. Następnie, gdy walczył z Rolandem, uderzył magicznie na oślepa, a gdy zniszczył Igrzyska Imperialne, jego moc zrodziła się z głęboko ukrytej otchłani oburzenia i złości. A w tej chwili... w tej chwili jego umysł przemienił się w rozwścieczone, dzikie zwierzę, objające się w napadzie szału o kraty magicznej klatki. I reagował jak zwierzę, waląc na oślepa w pręty krat, raz za razem, zdeterminowany, by się wyrwać na wolność lub umrzeć.

Rozżarzone węgle dotknęły skóry. Krzyknął przeraźliwie. Umysł uderzył na oślepa. Rozmazane, niewyraźne myśli... jak gdyby znalazł się w krajobrazie składającym się wyłącznie z refleksyjnych powierzchni... wirująca wściekle komnata luster... każde rzuca inny obraz, inne

odbicie. Z jednej lustrzanej powierzchni wpatrywał się w niego kuchcik z Crydee, z drugiej student Kulgana. Trzecie lustro i młody szlachcic na dworze, czwarte i obraz niewolnika w obozie Shinzawai na bagnach. W refleksach za refleksami, lustrach w lustrach, w każdym z nich dostrzegał coś nowego. Tuż za chłopakiem ujrzał w kuchni mężczyznę – służącego. Nie miał najmniejszych wątpliwości, kto to był. To Pug, bez magii, bez wykształcenia i długiej nauki, dorósł do lat męskich jako prosty członek służby zamkowej, pracujący w kuchni. Za odbiciem młodego, świeżo upieczonego panicza na dworze ujrzał postać szlachcica Królestwa z księżniczką Carline wspartą na jego ramieniu. To jego małżonka. Myśli wirowały opętańczo. Szukał czegoś rozpaczliwie, na oślep. Przyjrzał się uważniej obrazowi studenta Kulgana. Za jego plecami tkwił odbity refleks dorosłego praktyka Niższej Drogi. Obrócił się, w wyobraźni szukając źródła refleksu w refleksie, odbiciu Puga jako mistrza Niższej Magii. I nagle je ujrzał. Możliwa, lecz nigdy nie zrealizowana przyszłość, gdyż przypadek, igraszka losu zawróciła jego życie na inny tor. Jednak w alternatywnych możliwościach swego życia odnalazł wreszcie to, czego szukał. Odkrył drogę ucieczki. I nagle zrozumiał. Otwierała się przed nim perspektywa innej drogi. Umysł pomknął w tamtą stronę. Oczy Puga otworzyły się gwałtownie. Wzrok ominął postać Inkwizytora w czerwonym kapturze i pobiegł dalej, ku Meechamowi. Biedak jęczał, wisząc na słupie. Znowu odzyskał przytomność. Dominik nadal trwał w swoim transie.

Pug wykorzystał zdolność wyłączenia świadomości doznanych obrażeń ciała. W ułamku sekundy wszelki ból wyparował, jakby go nigdy nie było. W następnej chwili jego umysł sięgnął ku czarnej sylwetce Ergorana. W chwili, gdy jego wzrok spotkał się i zważył ze spojrzeniem Wielkiego, Ergoran zachwiał się. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów mag Wyższej Drogi posłużył się talentami Drogi Niższej. Pug zważył się z Ergoranem w pojedynku woli.

Z rozsadzającą mózg gwałtownością opanował i całkowicie zdominował umysł maga, ogłuszając go zupełnie. Postać w czarnej szacie zwiotczała na chwilę, jakby zapadła się w sobie do momentu, gdy Pug przejął kontrolę nad jego ciałem. Zamykając własne oczy, patrzył teraz za pośrednictwem Ergorana. Dostrajał, dopasowywał przez chwilę swoje i jego zmysły, aż osiągnął absolutną kontrolę nad Wielkim Tsuranich. Ramię Ergorana wystrzeliło nagle do przodu i kaskada ognistych błyskawic energii wydobywających się z końców palców ugodziła Inkwizytora w plecy. Kat wyprężył się, wyjąc przeraźliwie z bólu, a wokół jego ciała tańczyły wściekle czerwone i purpurowe wiry i zygzaki. Inkwizytor rzucił się po lochu w zwariowanej pantomimie, jak obłąkana marionetka. Tańczył, kręcił się w kółko ciskany spazmatycznymi drgawkami i wrzeszczał w agonii.

Wódz Wojny patrzył oszołomiony.

– Ergoran! Zwariowałeś! Opamiętaj się! – Chwycił maga za szatę w momencie, gdy Inkwizytor gruchnął o ścianę i osunął się na kamienie podłogi. W chwili, gdy Wódz wszedł w fizyczny kontakt z magiem,

dzikie błyskawice przestały siec Inkwizytora, a przeskoczyły na Wódza, spowijając go purpurową siecią energii. Axantucar zwijał się i skręcał, cofając się na oślep przed atakiem.

Inkwizytor gramolił się niezdarnie na nogi. Trząsał i kręcił głową, starając się odzyskać jasność widzenia. Ruszył chwiejnym krokiem w kierunku więźniów. Odgadł jakoś czy wyczuł, że sprawcą jego bólu musi być Pug. Porwał ze stołu cienki nóż i zrobił krok ku Pugowi. W tym momencie Meecham chwycił za łańcuchy i dźwignął się w górę.

Wyprężył ciało i wyrzucił nogi do przodu, owijając je wokół szyi ich prześladowcy. Inkwizytor, złapany w nożycowy chwyt, wił się i szarpał, lecz Meecham zaciskał nogi z potworną siłą. Kat zaczął dźgać je nożem na oślep, lecz Meecham ani na sekundę nie poluźnił uchwytu. Ostrze wznosiło się i opadało raz za razem i po chwili nogi Meechama przypominały krwawą miazgę. Na szczęście Inkwizytor nie mógł ranić głęboko, ponieważ zalany krwią nóż wyslizgiwał mu się co chwila z ręki. Z gardła Meechama wyrwał się przeciągły i radosny okrzyk zwycięstwa. Stęknął cicho i szarpnął nogami w bok, skręcając z trzaskiem kark Inkwizytora. Jego ciało osunęło się powoli na ziemię. Meechama opuściły resztki sił. Zawisł bezwładnie na łańcuchach. Po chwili uniósł jednak głowę i skinął w kierunku Puga.

Pug zerwał zakłęcie bólu i Wódz odskoczył od niego jak piłka, padając na ziemię. Pug rozkazał Ergoranowi, aby ten przybliżył się do niego. Umysł Wielkiego był jak miękka, plastyczna masa pod magicznym działaniem młodego maga. W niezrozumiały dla siebie

sposób jednocześnie kontrolował postępowanie maga, nie tracąc z pola widzenia swoich własnych poczynań.

Ergoran zaczął uwalniać Puga z łańcuchów. Wódz dźwigał się ciężko z podłogi. Jedna ręka była już wolna. Wstał i ruszył chwiejnie do drzwi prowadzących na zewnątrz. Pug powziął decyzję. Jeśli tylko zdoła pozbyć się więzów, z łatwością poradzi sobie z każdą liczbą gwardzistów, których Wódz miał za chwilę zawołać. Nie mógł jednak kontrolować jednocześnie dwóch osób. Wątpił też, czy uda mu się dostatecznie długo utrzymać kontrolę nad magiem, by pokonać Wodza i uwolnić siebie. A może...? I wtedy zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Ta nowa magia była trudna, bardzo trudna, zaczynał tracić rozeznanie w sytuacji. Dlaczego pozwala Wodzowi odzyskać wolność? Ból tortur i skrajne wyczerpanie zaczynały zbierać swoje straszne żniwo. Poczul, że z każdą chwilą słabnie coraz bardziej. Wódz szarpnął drzwi i ryknął na gwardzistów. Gdy pierwszy z nich pojawił się w progu, wyrwał mu włócznię, okręcił się na pięcie, wziął spory zamach i cisnął prosto w plecy Ergorana. Impet uderzenia zwałił maga na kolana, zanim ten zdążył uwolnić drugą rękę Puga. Uderzeniu włóczni towarzyszył ponadto straszliwy szok psychiczny, którego doznał Pug. Wydał z siebie krzyk, który połączył się z wyciem konającego Ergorana.

Umysł Puga spowił kłęb mgły. Po chwili coś pękło wewnątrz i jego myśli zmieniły się w bezkresny ocean błyszczących odłamków, gdy rozprysły się lustra pamięci; urywki lekcji z przeszłości, obrazy

rodziny, zapachy, smak potraw i dźwięki przetoczyły się dudniącym echem przez świadomość.

W umyśle zawirowały, roztańczyły się świetliste plamy i smugi: pierwsze płatki światła gwiazd z refleksami nowych obrazów wewnątrz. Kręciły się, zataczały koła i tańcząc nieustannie, zaczynały tworzyć pewien wzór, krąg, potem tunel, by wreszcie przekształcić się w drogę. Rzucił się przed siebie jak oszalały, na oślep, by po chwili stwierdzić, że znalazł się na zupełnie nowej płaszczyźnie świadomości. Kroczył nowymi ścieżkami, pojmował nowe zjawiska, rozumiał... Drogą, którą poprzednio otwierał przed nim jedynie ból i przerażenie, mógł teraz kroczyć zgodnie ze swoją wolą. Nareszcie ujął pewnie w dłonie ster mocy, które stanowiły jego dziedzictwo.

Powróciła jasność widzenia. Dostrzegł żołnierzy kłębiących się na schodach. Zwrócił uwagę na ostatnie pęta. Przypomnił sobie niespodziewanie starą lekcję Kulgana. Muśnięciem umysłu sprawił, że utwardzona jak stal skórzana obręcz zmiękła, stała się delikatna i plastyczna. Bez trudu wyswobodził drugą rękę.

Skoncentrował się i powstrzymujące magię kajdany pękły na pół i spadły z brzękiem na podłogę. Skierował wzrok na schody i po raz pierwszy dotarło do niego w pełni to, co tam ujrzał. Wódz Wojny i jego gwardziści uciekali z lochu, a na górze trwała walka. Obok jednego z zabitych gwardzistów w białym stroju Wodza leżał martwy żołnierz w błękitnym pancerzu klanu Kanazawai. Pug błyskawicznie uwolnił Meechama i delikatnie położył go na podłodze. Rany na nogach i piersi

obficie broczyły krwią. Pug w myśli wezwał Dominika, by powrócił, i ten otworzył raptownie oczy. Jego łańcuchy opadły z cichym szelestem.

– Zajmij się Meechamem! – Nie prosząc o wyjaśnienia, mnich natychmiast pochylił się nad rannym.

Pug pognał po schodach, kierując się w stronę celi, w której zostawili Hochopepę. Wpadł do środka jak burza. Gruby mag podskoczył przestraszony.

– Co się dzieje? Słyszę jakieś hałasy na zewnątrz. Pug nachylił się i zmienił kajdany przyjaciela w miękką skórę.

– Nie wiem. Chyba sprzymierzeńcy. Podejrzewam, że Partia Błękitnego Koła podjęła próbę uwolnienia nas. – Uwolnił ręce Hochopepy z pęt.

Hochopepa chwiał się na nogach.

– Musimy im pomóc w pomaganiu nam – powiedział z determinacją w głosie. W tym momencie dotarło do niego, że jest wolny, a twarde jak stal łańcuchy stały się miękkie niczym wosk. – Milamber, jak to zrobiłeś?

– Nie wiem, Hocho – powiedział Pug od drzwi. – Trzeba to będzie przedyskutować... ale później.

Popędził schodami w górę na wyższy poziom pałacu. Na krużgankach głównego dziedzińca trwała zażarta walka wręcz.

Napastnicy w różnokolorowych zbrojach atakowali gwardzistów

Wodza Wojny. Pug błyskawicznie obrzucił spojrzeniem pole bitwy.

Dostrzegł Axantucara, który chciał się przebić w pobliżu dwóch

zwartych w pojedynku żołnierzy. Oddział gwardzistów w białych szatach wykończonych złotem osłaniał jego ucieczkę. Pug przymknął oczy i sięgnął w dal. Po chwili otworzył je i ujrzał przed sobą w powietrzu niewidzialną dla innych rękę klębiącej się energii, którą wykreował przed chwilą. Czuł się z nią złączony każdym nerwem, całym sobą, jakby to było jego własne ramię. Sięgnął przed siebie i chwycił za kark Wodza Wojny, tak jak się chwyta kociaka. Uniósł go w górę i przeniósł w powietrzu ku sobie. Axantucar wił się jak piskorz. Krzycząc wniebogłosy, machał rękami i kopał na wszystkie strony. Żołnierze wypełniający dziedziniec zastygli w dziwnych pozach, śledząc lot Axantucara ponad ich głowami. Wódz Wojny, największy wojownik Imperium, wrzeszcząc bez opamiętania, rozglądał się za niewidzialną siłą, która go porwała.

Pug ściągnął go w miejsce, gdzie stał razem z Hochopepa. Kilku gwardzistów ocknęło się z początkowego szoku. Domyślili się, że przyczyną problemu ich pana jest ów renegat – mag z innego świata.

Oderwali się od swoich przeciwników w barwnych pancerzach i rzucili się Wodzowi na ratunek.

Wtem ponad dziedzińcem rozległ się donośny, władczy głos.

– Ichindar! Dziewięćdziesiąty i pierwszy Cesarz! Wszyscy żołnierze, bez względu na to, po której stronie walczyli, padli jak jeden mąż na twarze, dotykając czołami kamieni dziedzińca. Oficerowie stali z nisko pochylonymi głowami. Tylko Hochopepa i Pug wyprostowani patrzyli, jak na dziedziniec wlewa się orszak Komendantów klanów.

Wszyscy mieli zbroje w barwach rodów tworzących Partię Błękitnego

Koła. Na przedzie kroczył dumnie Kamatsu w dawno nie używanej

zbroi, na krótki czas ponownie Komendant klanu Kanazawai.

Uformowali sprawnie dwuszeręg i rozstąpili na boki, robiąc środkiem

przejście dla Cesarza. Na dziedziniec wkroczył Ichindar, w przebogatej,

oślepiającej złotymi refleksami zbroi, najwyższa władza w Imperium.

Zbliżał się powoli do Puga, rozglądając się uważnie dookoła i oceniając

sytuację. Rzucił okiem na wiszącego wciąż w powietrzu Wódza Wojny.

Zatrzymał się przed obu magami.

– Wielki, odnoszę nieodparte wrażenie, że gdziekolwiek się

pojawisz, sprawiasz kłopoty. – Zerknął w górę na Axantucara. –

Gdybyś zechciał łaskawie opuścić go na dół, moglibyśmy zająć się

uprzątnieniem tego bałaganu.

Pug cofnął zakłęcie i Wódz upadł na ziemię z głuchym sieknięciem.

– To zadziwiająca opowieść, Milamber – powiedział Ichindar do

Puga. Siedział na stosie poduszek jeszcze nie tak dawno zajmowanych

przez Wódza Wojny i popijał jego chochę. – No cóż, byłoby pewnie

najprościej, gdybym powiedział teraz, że ci wierzę i wszystko

wybaczam. Hańba, którą mnie okryli ci, których nazywasz Elfami i

Krasnoludami, nie może jednak być wymazana z pamięci. – Wokół

niego stali Komendanci klanów Błękitnego Koła i mag Elgahar.

– Czy Światłość Niebios pozwoli? – spytał Hochopepa. – Ichindar

skinął głową. – Nie zapominajmy, że byli oni tylko narzędziami, jak

pienki w grze w szachy. Inna sprawa, że Macros usiłował zapobiec

przybyciu Nieprzyjaciela. Fakt, że to on właśnie jest odpowiedzialny za zdradę, uwalnia cię od obowiązku pomszczenia swej hańby na innych poza Macrosem. On sam najprawdopodobniej nie żyje, cały więc problem staje się wyłącznie kwestią akademicką.

– Hochopepa, twój język jest równie giętki jak relli. – Cesarz porównał go do zwierzęcia przypominającego węża wodnego, znanego powszechnie ze swoich zwinnych i miękkich ruchów. – Nie chcę karać ot tak, sztuka dla sztuki. Z drugiej strony raczej nie mam ochoty powrócić na drogę ustępstw i ugody z Królestwem, którą dotąd zdążyłem.

– Wasza Wysokość, to i tak nie byłoby rozsądne w obecnej sytuacji. – Ichindar spojrział na niego z zainteresowaniem, a Pug ciągnął dalej: – Nadal żywię w sercu nadzieję, że nadejdzie czas, gdy oba nasze narody spotkają się jak przyjaciele. Tym razem jednak są inne, o wiele ważniejsze i pilniejsze kwestie, które wymagają naszej natychmiastowej uwagi. Obecnie musimy przyjąć założenie, że oba światy nigdy nie połączą się ponownie.

Cesarz wyprostował się na poduszkach.

– Chociaż niewiele rozumiem z tych spraw, podejrzewam, że masz rację. Trzeba rozwikłać istotniejsze i bardziej pilne zagadnienia. Muszę wkrótce podjąć decyzję, która może na zawsze zmienić bieg historii Tsuranich. – Zapadła długa cisza, w czasie której Cesarz naradzał się sam ze sobą. – Kiedy przybył do mnie Kamatsu wraz z innymi i poinformował mnie o twym powrocie, a także o podejrzaniach, że wasze ziemie nawiedziła budząca grozę potęga o tsurańskim rodowodzie, w

pierwszej chwili chciałem to wszystko zignorować. Nic mnie nie obchodziły ani twoje problemy, ani problemy twojego świata. Zupełnie obojętnie potraktowałem też możliwość kolejnej inwazji na Midkemię. Obawiałem się podjąć działanie, ponieważ na skutek ataku na twój świat, Milamber, bardzo ucierpiał mój honor i cześć w oczach Wysokiej Rady.

– Zamyślił się na chwilę. – Przed bitwą niewiele miałem okazji zobaczyć, jednak zauważyłem, że Midkemia jest piękna.

– Westchnął i wpatrzył się w Puga zielonymi oczami. – Milamber, gdyby Elgahar nie przyszedł do pałacu i nie potwierdził tego, o czym mi donieśli

twoi

sprzymierzeńcy

w

Partii

Błękitnego

Koła,

najprawdopodobniej byłbyś już martwy, a ja poszedłbym wkrótce w twoje ślady. Axantucar zaś rozpętałby wkrótce krwawą wojnę domową.

Tylko dzięki fali powszechnego oburzenia po zdradzie dochrapał się bieli i złota. Zapobiegłeś nie tylko mej śmierci, lecz być może również jeszcze większemu nieszczęściu, które zawisło nad Imperium. Sądzę, że nie można o tym zapominać, chociaż jak z pewnością zauważyłeś, dopiero teraz zacznie się prawdziwe zamieszanie w Imperium.

– Dostatecznie głęboko przesiąkłem kulturą Imperium, by nie mieć złudzeń, że Gry Rady staną się obecnie jeszcze bardziej zajadłe.

Ichindar skierował wzrok poza kolumnadę, gdzie na wietrze kołysało się na stryczku ciało Axantucara.

– Oczywiście, będę musiał skonsultować się z historykami, ale wydaje mi się, że to pierwszy w naszych dziejach Wódz Wojny powieszony przez Cesarza. – Śmierć przez powieszenie była dla wojownika najwyższą hańbą i karą. – No tak, ale skoro nie ma najmniejszych wątpliwości, że on planował identyczny los dla mnie, nie wydaje mi się, abym musiał się obawiać rebelii... przynajmniej jeszcze nie w tym tygodniu...

Stojący półkolem Komendanci klanów, a zarazem członkowie Wysokiej Rady spojrzeli po sobie ukradkiem. W końcu zabrał głos Kamatsu.

– Światłości Niebios, czy pozwolisz? W Partii Wojny panuje totalne zamieszanie i chaos. Zdrada Wodza Wojny pozbawiła jej członków jakichkolwiek podstaw do negocjowania w obrębie Wysokiej Rady. W tej chwili Partii Wojny praktycznie już nie ma. Poszła w rozsypkę. Jej klany i rody zaczną wkrótce gorączkowo radzić, do których partii wstąpić, aby uratować chociaż resztki dotychczasowych wpływów. Teraz rządzą stronnictwa o umiarkowanych poglądach. Cesarz pokręcił gwałtownie głową i przemówił zadziwiająco ostrym głosem.

– Nie, szlachetny panie, mylisz się. W Cesarstwie Tsuranuanni

rządzę ja. – Powstał i obrzucił zgromadzonych baczny spojrzeniem. –

Póki nie zostaną rozwiązane wszystkie sprawy, na które zwrócił uwagę Milamber, a Imperium nie będzie rzeczywiście bezpieczne i stabilne, lub póki nie okaże się, iż zagrożenie było fałszywe. Wysoka Rada zostaje zawieszona. Nie będzie też nowego Wodza Wojny aż do chwili, gdy na forum Rady ogłoszę osobiście rozpisanie nowych wyborów. Dopóki nie zarządzę inaczej, ja sam jestem prawem i jedyną władzą w Imperium.

– Wasza Wysokość, a Zgromadzenie? – spytał pośpiesznie

Hochopepa.

– Bez zmian, lecz ostrzegam, Wielki, przypilnuj swoich braci.

Jeżeli chociaż raz stwierdzę, że jakaś Czarna Szata była zamieszana w polityczny spisek przeciwko memu domowi, Wielcy przestaną

funkcjonować ponad prawem. Nawet gdybym miał wystać przeciwko

waszej magicznej potędze wszystkie armie pod moim dowództwem,

nawet gdyby miało się to skończyć totalną ruiną Imperium, nie

dopuszczę, aby ktokolwiek ponownie rzucił wyzwanie cesarskiej

supremacji w państwie. Zrozumiano?

– Stanie się zgodnie z twoją wolą. Wasza Cesarska Wysokość.

Rewelacje Elgahara o poczynaniach jego brata i Wodza Wojny zmuszą z pewnością członków Zgromadzenia do głębokiego zastanowienia się.

Przedstawię tę sprawę na forum magów.

Cesarz skierował wzrok na Puga.

– Wielki, nie mam prawa polecić Zgromadzeniu, aby ponownie

przyjęło cię w poczet swoich członków. Poza tym, jeśli mam być szczery,

to twoja bliskość napawa mnie pewnym niepokojem. Jednakże dopóki wszystkie problemy nie zostaną rozwiązane, masz prawo przybywać do nas, kiedy tylko zechcesz. Gdy będziesz udawał się w drogę powrotną do rodzinnego świata, powiadom nas, proszę, o swoich odkryciach.

Będziemy chcieli, oczywiście w miarę naszych możliwości, pomóc ci zapobiec zniszczeniu twego świata. A teraz – ruszył do wyjścia – muszę wracać do pałacu. Muszę odbudować Imperium.

Pug patrzył, jak świta opuszcza dziedziniec za Cesarzem. Zbliżył się Kamatsu.

– Wydaje się, że wszystko dobrze się skończyło... przynajmniej na razie. Wielki.

– Tak, na razie, stary przyjacielu. Uczyń wszystko, co w twej mocy, aby wspomagać Światłość Niebios. Jutro, gdy ogłoszone zostaną publicznie dzisiejsze dekrety cesarskie, jego życie może się znaleźć w niebezpieczeństwie.

Pan Shinzawai skłonił się nisko przed Pugiem.

– Twoja wola, Wielki.

Pug odwrócił się do Hochopepy.

– Zabierzmy Dominika i Meechama i udajmy się do

Zgromadzenia, Hocho. Czeka nas ciężka praca.

– Za chwilę. Mam pytanie do Elgahara. – Zwalisty mag stanął przed byłym „pieskiem” Wodza Wojny. – Skąd ta nagła zmiana poglądów i stanowiska? Zawsze uważałem cię za posłuszne narzędzie w rękach brata.

– Ostrzeżenie, z którym przybył do nas Milamber, dało mi wiele do myślenia. Długi czas rozważałem wszystkie możliwe odpowiedzi, a gdy zasugerowałem mu najbardziej oczywistą, podzielił mój pogląd. Ryzyko było zbyt wielkie, aby zignorować ostrzeżenie. Wszystkie inne sprawy, w porównaniu z tą jedną, stają się nieistotne.

Hochopepa odwrócił się do Puga.

– Nic nie rozumiem. O czym on gada?

Pug, wyczerpany przeżyciami ostatnich kilku godzin, a także dochodzącą coraz bardziej do głosu grozą, ukrytą do tej pory w najniższych głębiach duszy, opuścił głowę i westchnął ciężko.

– Boję się nawet to wypowiedzieć... – Spojrzał na otaczające go osoby. – Elgahar doszedł do wniosku, który sam już dawno wysnułem, lecz bałem się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

Milczał przez chwilę. Wszyscy wstrzymali oddech, czekając na słowa, które miały paść z ust Puga.

– Nieprzyjaciół powrócił.

Pug odsunął oprawne w skórę tomisko.

– Kolejny ślepy zaułek.

Przeciagnął dłonią po twarzy i przymknął zmęczone oczy. Musiał rozwikłać tyle różnych spraw, a do tego przytłaczała go i przygnębiała świadomość uciekającego czasu. Nie ujawnił nikomu, że odkrył możliwość działania jako mag Niższej Drogi. Jego natura, jak się okazało, posiadała pewne aspekty, których nie podejrzewał. Chciał szczegółowo zbadać te rewelacje w warunkach bardziej sprzyjających,

gdy będzie mógł sobie pozwolić na więcej prywatności.

Hochopepa i Elgahar podnieśli wzrok znad swoich ksiąg. Elgahar, chcąc naprawić w jakimś stopniu wyrządzone krzywdy, harował na równi z nimi.

– W zapisach jest potworny bałagan, Milamber – skomentował.

Pug nie mógł się nie zgodzić.

– Już dwa lata temu mówiłem Hocho, że Zgromadzenie w swojej arogancji i pysze spoczęło na laurach i przestało dbać o podstawowe sprawy. Ten chaos tutaj to zaledwie jeden przykład. – Poprawił na sobie czarną szatę. Gdy przedstawił publicznie przyczyny swego powrotu, Hochopepa poparty przez Elgahara zgłosił oficjalny wniosek, by przyjęto go z powrotem w poczet członków Zgromadzenia. Wniosek przeszedł prawie jednogłośnie i Pug stał się ponownie pełnoprawnym członkiem społeczności Wielkich. Zaledwie kilku magów wstrzymało się od głosu, a przeciw nie głosował żaden. Każdy z nich stał przecież na szczycie Wieży Próby i widział na własne oczy wściekłość i potęgę Nieprzyjaciela.

Do sali wszedł Shimone, jeden z najstarszych przyjaciół Puga w Zgromadzeniu i jego były nauczyciel. Towarzyszył mu Dominik. Od spotkania z Inkwizytorem Wodza kapłan zadziwiająco szybko powracał do zdrowia. Zastosował swą ozdrowieńczą magię w wypadku Meechama i Puga, jednak niektóre jej elementy uniemożliwiały mu skierowanie jej ku sobie samemu. Szczęśliwie posiadał również wiedzę, jak pouczyć magów ze Zgromadzenia, by potrafili sporządzić

odpowiednie kataplazmy zapobiegające infekcjom ran i oparzeń, których doznał w czasie tortur.

– Milamber, posłuchaj tylko. Ten twój kapłan to prawdziwy cudotwórca. Zna wspaniałe sposoby, by sprawnie skatalogować wszystkie zbiory.

– Ja tylko podzieliłem się wiedzą, którą udało nam się zdobyć w Sarth. Rzeczywiście, panuje tu spory bałagan, ale wbrew pozorom nie jest aż tak źle, jak by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka.

Hochopepa przeciągnął się.

– Największą troską napawa mnie fakt, że właściwie nie odkrywamy tu nic, czego byśmy już nie wiedzieli. Jakby wizja, której wszyscy doświadczyliśmy na wieży, była najstarszym a zarazem jedynym wspomnieniem Nieprzyjaciela.

– Co może być prawdą – powiedział Pug. – Nie zapominaj, że większość naprawdę wielkich magów zginęła przy złotym moście. Zostali po nich tylko terminatorzy i magowie praktykujący Niższą Drogę. Mogły minąć długie lata, zanim podjęto próbę gromadzenia zbiorów, świadectw, relacji i tak dalej.

W progu pojawił się Meecham dźwigający ogromny stos starożytnych ksiąg oprawnych w grubą, na sztywno wyprawioną skórę. Pug wskazał wolne miejsce na podłodze, aby Meecham mógł je tam położyć. Odchylił skórę spowijającą stos i podzielił tomy między dwóch pozostałych magów i siebie.

Elgahar ostrożnie otworzył pierwszą z brzegu księgę. Skóra

oprawy trzeszczała delikatnie.

– O bogowie Tsuranuanni, ale to wszystko stare.

– To jedne z najstarszych ksiąg w zbiorach Zgromadzenia –

powiedział Dominik. – Meechamowi i mnie zajęło ponad godzinę

wyszukanie ich. A następną poświęciliśmy na wydobycie ich spod stosu

innych.

– Patrzcie tylko – powiedział Shimone – ten język jest tak stary, że

sprawia wrażenie całkiem obcego. Użycie czasownika... odmiany, nigdy

czegoś takiego nie widziałem...

– Milamber, posłuchaj tylko – przerwał mu Hochopepa.

– „A kiedy most zniknął, Avarie nadal domagał się rady”.

– „Złoty most”? – dopytywał się Elgahar. Pug i pozostali oderwali

się od swojej pracy, a Hochopepa czytał dalej:

– „Spośród Alstwanabi ocalało zaledwie trzynastu. A mianowicie,

Avarie, Marlee, Caron”, lista ciągnie się dalej, „i nikła pociecha między

nimi, lecz Marlee wypowiedziała swe słowa mocy i uspokoiła ich

obawy. Znajdujemy się na świecie stworzonym dla nas przez

Chakakan”, czy to nie starożytna forma od „Chochocan”?, „i

wytrwamy. Ci, którzy patrzyli, mówią, że jesteśmy bezpieczni przed

Ciemnością”. Ciemnością? Słyszycie? Czy to możliwe?

Pug przeczytał ustęp jeszcze raz.

– Tego samego imienia użył Rogen podczas swojej wizji. Jest to

zbyt podobne, aby można mówić o przypadku. Oto nasz dowód:

nieprzyjaciel ma jakiś udział w próbach zamachu na życie księcia

Aruthy.

– Ale jest tu jeszcze coś... – wtrącił się Dominik.

– Tak, masz rację... – powiedział Elgahar. – Kim są „ci, którzy patrzyli”?

Pug odepchnął księgę. Ostatnie dni były tak wyczerpujące, że usypiał prawie na stojąco. Spośród tych, którzy przez cały dzień pomagali w poszukiwaniach, został tylko Dominik. Mnich Ishap sprawiał wrażenie, jakby siłą woli potrafił panować nad zmęczeniem.

Pug przymknął oczy, aby dać im na chwilę odpocząć. Pod czaszką kłębiły się dziesiątki myśli. Tyle spraw musiał odłożyć na później. Pod zamkniętymi powiekami przesuwały się coraz to nowe obrazy, lecz żaden nie trwał długo.

Wkrótce potem Pug zasnął i zaczął śnić.

Znowu stał na szczycie dachu Zgromadzenia. Shimone wskazywał mu stopnie prowadzące na wieżę, a on sam miał na sobie szary strój studenta. Wiedział, że jeszcze raz musi wspiąć się na samą górę, ponownie stawić czoło rozszalałemu żywiołowi i znowu przejść próbę, która uczyni go Wielkim.

Właśnie ruszył po schodach. Na każdym kolejnym stopniu widział coś nowego, długie łańcuchy rozbłyskujących wizji i obrazów. Krążący powoli ptak wypatrujący ryb w jeziorze, uderza nagle o jego powierzchnię. Szkarłatne skrzydła łopoczą na tle błękitu nieba i wody. Po chwili ciśnię się przed oczy fala kolejnych obrazów. Gorące, parne dżungle, w których harują niewolnicy. Potyczka wojowników, konający

żołnierz, Thuny galopujące przez północną tundrę, młoda żona próbująca uwieść strażnika dóbr jej męża, kupiec korzenny stojący dumnie przy swoim straganie. A potem wizja podryfowała ku północy i nagle ujrzał...

Lodowe pola smagane ostrym jak brzytwa wichrem, który przenikał do szpiku kości. Wyczuwał w powietrzu nieprzyjemny, gorzki zapach pradawnych wieków. Z lodowośnieżnej wieży wyszły pochylone, okutane w grube szaty postacie o ludzkich kształtach.

Jednak ich pewny, rytmiczny krok na zwałach lodu i śniegu zdradzał, że ludźmi nie byli. To byty starodawne i mądre w nie znany i niedostępny ludziom sposób. Wpatrywały się w niebo, oczekując znaku. Zadarły głowy i obserwowały. Patrzą i obserwują. Obserwują! Ci, którzy obserwują... Obserwatorzy!

Pug wyprostował się gwałtownie i otworzył oczy.

– Pug, co się stało? – spytał Dominik.

– Przeprowadź wszystkich – odpowiedział. – Już wiem.

Pug stał przed swoimi towarzyszami. Poranny wiatr szarpał jego długą, czarną szatę.

– Nikogo nie weźmiesz ze sobą? – spytał ponownie Hochopepa.

– Nie, Hocho. Możesz mi pomóc, sprowadzając Meechama i

Dominika do mego majątku, aby mogli stamtąd powrócić na Midkemię.

Kulganowi i reszcie przekazałem przez nich wszystko, czego zdołałem

się tutaj dowiedzieć. Być może szukając Obserwatorów na północy, będę

uganiał się za mitem. Bardziej pomożesz, ekspediując mych przyjaciół

do domu.

Elgahar podszedł bliżej.

– Jeśli wyrazisz zgodę, chciałbym im towarzyszyć do twego świata.

– Dlaczego?

– Zgromadzenie nie potrzebuje kogoś, kto był zaplątany w sprawy Wodza Wojny. Z tego, co mówiłeś, wynika, że w twojej akademii szkolą się Wielcy, którym potrzebna jest nauka. Proszę, potraktuj moją propozycję jako gest dobrej woli, akt wynagrodzenia za krzywdy.

Pozostanę tam przez jakiś czas, by ich uczyć.

Pug zastanawiał się przez moment.

– Dobrze. Zgoda. Kulgan powie ci, co trzeba robić. Pamiętaj jednak zawsze o tym, że na Midkemii ranga i tytuł Wielkiego nie mają żadnego znaczenia, nie liczą się. Będiesz po prostu jednym z członków społeczności. To może być dla ciebie trudne.

– Wytrwam.

– To wspaniały pomysł – powiedział podnieconym głosem

Hochopepa. – Już od dawna korcił mnie ten barbarzyński świat, z którego do nas przybyłeś... a poza tym przydałyby mi się krótkie wakacje od małżonki. Idę również!

– Hocho, spokojnie – powiedział śmiejąc się Pug. – Akademia to dość prymitywne miejsce, pozbawione wszelkich wygod i komfortu, do którego jesteś przyzwyczajony.

Gruby mag podskoczył do przodu.

– Nieważne, Milamber. To nie ma znaczenia. W twoim świecie będziesz potrzebował sprzymierzeńców. Mówię to lekkim tonem i wesoło, ale wiesz równie dobrze jak ja, że twoi przyjaciele będą potrzebowali pomocy... i to wkrótce. Nieprzyjaciel wykracza poza doświadczenie nas wszystkich. Musimy natychmiast rozpocząć z nim walkę. Nie ma co zwlekać. A co do niewygód, jakoś sobie poradzę...

– By nie wspomnieć o tym – przerwał mu Pug – że od dawna już ciekła ci ślinka na samą myśl o zbiorach Macroasa. Od chwili, kiedy o nich wspomniałem po raz pierwszy, czekałeś tylko najbliższej sposobności, by się do nich dorwać. Zgadza się?

Meecham pokiwał głową.

– On i Kulgan. Dobrali się jak w korcu maku.

– Co to jest korzec?

– Wkrótce się przekonasz, stary przyjacielu. – Pug uścisnął Hocho i Shimone, podał rękę Meechamowi i Dominikowi i skłonił się pozostałym członkom Zgromadzenia. – Co do aktywowania przejścia, postępujcie zgodnie z tym, co napisałem w instrukcjach. I pamiętajcie koniecznie o jednym:

gdy znajdziecie się po drugiej stronie, natychmiast zamknijcie przetokę. Nieprzyjaciel może jej poszukiwać, aby wdrzeć się do naszych światów.

Ja udam się do majątku Shinzawai, gdzie znajduje się wzór najdalej wysunięty na północ. Wezmę stamtąd konia i przejadę przez tundrę Thunów. Jeśli Obserwatorzy istnieją nadal, odnajdę ich z

pewnością i dowiem się wszystkiego, co wiedzą o Nieprzyjacielu.

*Następnie powrócę na Midkemię i tam się spotkamy. Aż do tego czasu
 wspierajcie się wzajemnie, jak tylko potraficie.*

Pug wypowiedział zakłęcie, zamigotał i rozplynął się w powietrzu.

Wszyscy trwali dłuższy czas w milczeniu, które przerwał

Hochopepa.

– Chodźcie, musimy się przygotować. – Powiódł wzrokiem po

Dominiku, Meechamie i Elgaharze. – Chodźcie, przyjaciele.

POMSTA

Jimmy obudził się raptownie.

Ktoś chodził ponad ich głowami. Chłopak, podobnie jak pozostali, przespał cały dzień, czekając na zapadnięcie zmroku, aby móc zbadać wnętrze czarnego budynku. Urządził sobie legowisko najbliżej wyjścia na powierzchnię.

Przeszedł go dreszcz. Przez cały dzień nękały go jakieś dziwne i niepokojące sny. Nie były to jednak zwykłe koszmary senne, które zdarzają się każdemu. Raczej dziwna tęsknota, dalekie, rozpoznawane jak przez mgłę wrażenia, niby obce, a jednak... Czuł się tak, jakby odziedziczył sny po kimś, kto nie należał do kręgu istot ludzkich. Pod czaszką snuły się leniwie wspomnienia wściekłości i nienawiści. Miał wrażenie, że został zbrukany... czuł narastający wewnątrz niepokój...

Pokręcił gwałtownie głową, chcąc się otrząsnąć z zamętu i dziwnego rozdwojenia. Spojrzał w dół. Wszyscy drzemali jeszcze, tylko Baru wydawał się medytować. Sprawiał przynajmniej takie wrażenie, ponieważ siedział sztywno wyprostowany ze skrzyżowanymi nogami.

Ręce trzymał wyciągnięte przed siebie. Oczy miał zamknięte, a oddech miarowy i cichy.

Jimmy podciągnął się ostrożnie ku górze, aż znalazł się u wylotu szczeliny. Z niedalekiej odległości dochodziły dwa głosy.

– ...gdzieś tutaj.

– Jeśli był na tyle głupi, żeby włączyć do środka, to sam sobie

winien – odpowiedział drugi głos z dziwnym akcentem. Mroczny Brat, pomyślał Jimmy.

– No cóż, ja tam za nim nie wejdę, z pewnością nie po ostrzeżeniu, aby się trzymać z daleka – odpowiedział drugi, ludzki głos.

– Reitz polecił odnaleźć Jaccona, a dobrze wiesz, jak podchodzi do dezercji. Jeżeli go nie dopadniemy i wrócimy z pustymi rękami, obetnie nam uszy. Ot tak, po prostu, dla zabawy – narzekał pierwszy głos.

– Reitz to pestka – odpowiedział moredhel. – Murad wyraźnie rozkazał, aby nikt nie ważył się przekroczyć progu czarnego domu. Czy chciałbyś może sprowokować jego gniew i mieć do czynienia z Czarnymi Zabójcami?

– O nie, ale wymyśl lepiej jakąś historyjkę, którą będziemy mogli sprzedać Reitzowi. Ja nie mam...

Głosy oddaliły się. Jimmy odczekał do chwili, gdy już nic nie słyszał, i zaryzykował wysunięcie głowy ze szczeliny. W stronę mostu szły trzy postacie, dwóch ludzi i jeden moredhel. Jeden z ludzi gestykulował gorączkowo. Zatrzymali się u wylotu mostu i wskazując w kierunku budynku, wyjaśniali coś. Tłumaczyli się przed Muradem. Po drugiej stronie mostu Jimmy dostrzegł liczny oddział konnych, złożony z ludzi. Czwórka rozmawiających przechodziła przez most.

Jimmy zeskoczył w dół i obudził Aruthę.

– Na górze mamy towarzystwo – szepnął. Ściszył jeszcze głos, aby nie usłyszał go leżący niedaleko Baru. – Jest z nimi twój stary przyjaciel, panie. Ten z porysowaną gębą.

– Jak daleko do zachodu słońca?

– Niecała godzina, dwie do pełnej ciemności. Arutha kiwnął głową i usiadł wygodnie, przygotowując się na długie czuwanie. Jimmy zeskoczył niżej, na posadzkę jaskini, i zaczął szperać w plecaku w poszukiwaniu choćby kawałka suszonej wołowiny. Był głodny jak wilk. Żołądek nieustannie przypominał mu, że nie jadł przez cały dzień.

Zdecydował, że jeśli w nocy ma umrzeć, równie dobrze może to zrobić najedzony.

Czas włókł się niemiłosiernie. Jimmy zerkał na swoich towarzyszy. Zauważył, że ovladnął nimi dziwny nastrój, wykraczający poza normalne w takiej sytuacji napięcie. Zarówno Martin, jak i Laurie pogrążyli się w pełnej zadumy ciszy. Arutha wyłączył się do tego stopnia, że sprawiał wrażenie mumii z oczami wbitymi martwo w ścianę jaskini. Usta Baru poruszały się bezgłośnie. Góral był w transie i powtarzał coś monotonicznie. Roald, podobnie jak Arutha, siedział oparty o kamień i wpatrywał się w skałę przed sobą, jakby dostrzegł tam niewidoczną dla pozostałych wizję. Jimmy z trudem uwolnił się od kłębiących się pod czaszką obrazów niesamowitych postaci, ubranych w przedziwne stroje i zajętych czymś, o czym nie miał pojęcia. Zerwał się na nogi, przetarł oczy i pokręcił gwałtownie głową.

– Hej! – krzyknął wystarczająco ostrym tonem, aby zmusić wszystkich, by zwrócili na niego uwagę. – Wyglądacie jakbyście... jakbyście się pogubili we własnych głowach.

Martin wpatrywał się tępo w Jimmy'ego, ale jego wzrok

odzyskiwał stopniowo ostrość widzenia.

– Myślałem... myślałem o ojcu.

– To przez to miejsce – powiedział cicho Arutha. – Byłem już na krawędzi rozpacz, chciałem zrezygnować... poddać się.

– Ja ponownie znalazłem się na Przełęczy Kamieniarza, tylko że tym razem armia z Wysokiego Zamku miała się spóźnić z odsieczą.

– A ja śpiewałem... moją pieśń śmierci – dorzucił półgłosem Baru.

Laurie podszedł do Jimmy'ego.

– Wszystko przez to przekłete miejsce. Ja z kolei wyobraziłem sobie, że w czasie mej nieobecności Carline znalazła sobie innego. –

Zerknął na Jimmy'ego. – A ty?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Mnie też dopadło... jakoś tu dziwnie, ale może to z powodu wieku czy co... sam nie wiem. Widziałem tylko jakichś ludzi poubieranych dziwacznie. Och, sam już nie wiem. Wkurza mnie to miejsce...

– Elfy mówią, że moredhele przychodzą tu, aby śnić sny o potędze

– powiedział Martin.

– Tak czy siak, wyglądaliście wszyscy jak tamte chodzące trupy. –

Zbliżył się do szczeliny. – Już ciemno. Chyba wyskoczę na górę i rozejrzę się. Jeżeli będzie spokój, będziecie mogli wyjść za mną.

Arutha podniósł się z ziemi.

– Czy nie powinniśmy wyjść razem?

– Nie. Nie chciałbym wykazać się brakiem szacunku... ale jeżeli mam narażać życie, robiąc coś, w czym jestem ekspertem, to pozwól, że

zrobię to sam. Tam, wewnątrz, trzeba się czołgać cicho jak mysz. Nie chcę, żeby ktoś się za mną ciągnął.

– To zbyt niebezpieczne – zaproponował Arutha.

– Nie przeczę. Jednak głowę daję, że włamanie się do świątyni

Jeźdźców Smoków wymaga wielkiego kunsztu złodziejskiego. Jeśli

chcesz, panie, zachować rozsądek, pozwolisz, abym poszedł tam sam. W

przeciwnym razie będziesz martwy, zanim zdołam powiedzieć „Wasza

Wysokość, proszę nie stawiać tam stopy”. W takiej sytuacji od samego

początku mogliśmy sobie odpuścić sprawę pozwalając, aby Nocne

Jastrzębie załatwiły cię, a ja nie musiałbym włóczyć się po wertepach i

spalbym sobie spokojnie i wygodnie we własnym łóżeczku, w

Krondorze.

– On ma rację – powiedział Martin.

– Nie podoba mi się to wszystko, ale rzeczywiście masz rację,

Jimmy. – Chłopak odwrócił się, by ruszyć w mrok. – Czy wspominałem

ci, że czasem przypominasz mi pirata, Amosa Traska? – rzucił za nim

Arutha.

Mimo ciemności wszystkim wydawało się, że chłopak wyszczerzył

zęby w uśmiechu.

Jimmy prześlizgnął się przez szczelinę i ostrożnie wyjrzał na

zewnątrz. Nie zobaczył nikogo. Zerwał się na nogi i pobiegł pochylony

ku budynkowi. Dopadł do ściany i posuwając się krok po kroku z

plecami przyklejonymi do kamieni, doszedł do drzwi. Stał przez chwilę

bez ruchu zastanawiając się, jak najlepiej rozgryźć stojący przed nim

problem. Przyjrzał się jeszcze raz uważnie wejściu, po czym wspiął się błyskawicznie, wykorzystując do wciśnięcia palców rąk i nóg niewielkie występy i szpary w kamieniach licujących odrzwia. Zbadał ponownie uważnym spojrzeniem wnętrze westybulu. Wielkie, podwójne drzwi były jak poprzednio szeroko otwarte. Za nimi rozpościerał się nieprzenikniony mrok. Westybul był pusty. Zerknął w górę. Nic, tylko pusta połać sufitu. Co czaiło się wewnątrz, aby go zabić? Że w środku znajduje się jakaś pułapka, było tak pewne jak to, że pies ma pchły. A jeśli tak, to jakiego rodzaju i jak można ją obejść czy unieszkodliwić? Powróciło nurtujące go odczucie, że znajduje się przed czymś nieuchwytnym, nie pasującym do całości obrazu.

Zeskoczył po cichu i wziął głęboki oddech. Wyciągnął powolutku rękę i odsunął zasuwkę na drzwiach. Chwycił gwałtownie za klamkę, odskakując jednocześnie w bok, tak że otwierające się drzwi osłoniły go na moment przed ewentualnym zagrożeniem od wewnątrz. Nic się jednak nie stało.

Ostrożnie wsunął głowę do środka. Uważnym spojrzeniem omiatał najdrobniejsze szczegóły wnętrza, wypatrując jakichkolwiek niekonsekwencji czy zmian konstrukcji, sygnału, który zdradzałby istnienie pułapki. Nic. Nie zauważył nic. Oparł się o futrynę. A jeśli pułapka miała magiczną naturę? Nie dysponował żadnymi środkami przeciwko czarom, które na przykład miałyby uśmiercać wszystkich ludzi albo niemoredheli, albo ubranych w zielony strój, albo cokolwiek innego. Wsunął ostrożnie rękę do środka, przecinając linię progu,

gotów w każdej chwili cofnąć ją z powrotem. Cisza i spokój. Nic się nie stało.

Usiadł, a po chwili położył się na brzuchu. Gdy się patrzyło z dołu, pod innym kątem, wszystko wyglądało inaczej. Miał nadzieję, że zdoła coś zauważyć. Gdy podnosił się po chwili, coś rzeczywiście zwróciło jego uwagę. Posadzka była wykonana z marmurowych płyt o jednakowych wymiarach i fakturze. Pomiedzy poszczególnymi blokami widniały wąskie szczeliny. Delikatnie oparł stopę na płycie tuż za progiem, zwiększając stopniowo nacisk i czekając na najmniejsze drgnienie czy ruch płyty. I znowu nic się nie stało. Płyta nieporuszenie tkwiła w miejscu.

Wszedł do środka i trzymając się blisko ścian, ruszył w stronę otwartych drzwi na wprost wejścia. Nim zrobił krok, sprawdzał skrupulatnie każdą płytę. Jak do tej pory wszystko wyglądało normalnie i bezpiecznie. Omiatał nieustannie wzrokiem ściany, sufit i w ogóle każdy szczegół pomieszczenia, który mógłby mu dostarczyć jakichś informacji. Nic. Absolutnie nic. A jednak... nieustannie prześladowało go stare i dobrze znane uczucie: coś tu jest nie tak... Westchnął cicho, stanął na wprost ciemnego wejścia i wkroczył do środka.

Uprawiając swą poprzednią profesję, Jimmy widział już wiele paskudnych typów. Jaccon pasowałby do nich doskonale. Położył się płasko i przeturlał ciało na bok. W chwili, gdy trup spoczął na sąsiedniej płycie przed drzwiami, coś trzasnęło delikatnie i przemknęło

z gwizdem nad głową. Jimmy obejrzał uważnie zwłoki Jaccona. Odkrył w jego piersi niewielką strzałę sterczącą pod obojczykiem. Nawet jej nie dotknął. Nie musiał. Dobrze wiedział, że była pokryta błyskawicznie działającą trucizną. Zmarły posiadał jeszcze jedną rzecz, która żywo zainteresowała Jimmy'ego: wspaniale wykonany sztylet z wysadzaną drogimi kamieniami rękojeścią. Zgrabnym ruchem chłopak wyciągnął go zza pasa trupa i wsunął pod własną bluzę.

Uniósł się powoli i usiadł na piętach. Przeszedł następnie przez długą, dość wąską salę pozbawioną okien i drzwi. Zaprowadziła go do podziemnej części budynku. Oceniając kierunek oraz przebytą odległość, doszedł do wniosku, że nie może znajdować się dalej niż jakieś sto metrów od jaskini, gdzie czekał Arutha i reszta. Potknął się o trupa leżącego przy jedynej drzwiach prowadzących z sali. Kamienna płyta tuż za progiem była minimalnie, ledwo zauważalnie wciśnięta poniżej poziomu podłogi.

Wstał i przekroczył próg pod ostrym kątem do płyty sąsiadującej z tą zagłębioną. Pułapka była tak oczywista, że aż prosiło się, by zachować ostrożność, jednak głupiec opętany żądzą zysku pędził na oślep, wlaźł na płytę i zapłacił najwyższą cenę za brak rozwagi.

Coś zaniepokoiło Jimmy'ego. Pułapka była zbyt oczywista. Jakby ktoś chciał, by nabrał pewności siebie po jej wykryciu i ominięciu.

Pokiwał głową. Bez względu na to, jakie miał wcześniej podejście do brawury i ryzyka, teraz zniknęły one jak zdmuchnięty wiatrem płomyk świecy. W okamgnieniu przeistoczył się w stuprocentowego

złodzieja-profesjonalistę, zdającego sobie doskonałą sprawę, że pierwszy nieostrożny krok może być równocześnie ostatnim.

Żałował, że nie ma więcej światła, niż dawała niewielka pochodnia, którą przyniósł ze sobą. Przyjrzał się uważnie podłodze przy zwłokach i dostrzegł następną lekko opuszczoną płytę. Obmacał delikatnie kłamek, lecz nie znalazł żadnego drutu czy innego mechanizmu, który wyzwalałby pułapkę. Przekroczył próg, unikając płyt bezpośrednio z nim sąsiadujących. Ominął trupa i ruszył w głąb budynku.

Znalazł się w okrągłej sali. Pośrodku wznosił się smukły postument. Na jego szczycie tkwiła kryształowa kula oświetlona z góry przez niewidoczne źródło światła. Wewnątrz kuli spoczywała pojedyncza gałązka o srebrzystozielonych liściach. Pośród nich lśniły czerwone jagody i srebrzyste ciemię. Jimmy posuwał się ostrożnie, krok za krokiem. Patrzył wszędzie, tylko nie na postument. Sprawdzał każdy centymetr sali, do którego sięgał wzrokiem, nie wchodząc w plamę światła rozlewającą się na podłodze. Nie odkrył niczego, co mogłoby przypominać mechanizm spustowy pułapki. A jednak ciągle miał wrażenie, które prześladowało go jak ćmiący ból głowy, że coś w tym miejscu nie pasuje, coś zagraża. Od momentu, gdy natknął się na zwłoki Jaccona, wykrył i ominął trzy różne pułapki, dosyć łatwe do zlokalizowania przez kompetentnego złodzieja. A teraz, w miejscu, gdzie spodziewał się ostatniej, być może najtrudniejszej... nie znalazł żadnej. Usiadł na posadzce i zaczął intensywnie myśleć.

Arutha i jego towarzysze poderwali się zaalarmowani hałasem. Z

góry stoczyło się kilka kamiaków, a po chwili Jimmy z hukiem

wylądował na dnie jaskini.

– Co znalazłeś? – spytał od razu Arutha.

– To ogromny gmach. Pełno tam pustych sal skonstruowanych

tak przemyślnie, że idąc ku wnętrzu lub wychodząc można wybrać tylko

jedną drogę. Nic tam nie ma poza niewielką świątynią czy czymś w tym

rodzaju. Znajduje się w samym środku. Kilka pułapek, ale dosyć

prostych do wykrycia i ominięcia. Jednak coś tam nie pasuje. Coś się

klóci z rzeczywistością... cały ten gmach to jedno wielkie oszustwo.

– Co takiego? – zdziwił się Arutha.

– To proste. Wyobraź sobie, panie, że chcesz sam siebie schwytać

w pułapkę, lecz niepokoisz się, że możesz być bardzo sprytny i

przebiegły. Czy nie sądzisz, że mógłbyś dorzucić do swego planu jakiś

przemyślny, wyrafinowany element, który przeważałby szalę

zwycięstwa na twoją stronę, na wypadek gdyby cwane chłopaki,

których wynająłeś, okazały się troszkę za wolne?

– Sądzisz więc, że cały budynek to pułapka? – powiedział Martin.

–

Nie

inaczej.

Wielka,

przemyślna,

wyrafinowana

skomplikowana pułapka. Wyobraź sobie, że masz to mistyczne jezioro. Całe plemię ściąga tu, by dokonywać magicznych obrzędów, czerpać siłę ze zmarłych czy coś innego, cokolwiek Mroczne Bractwo tu wyprawia. Chcesz jeszcze dodać jeden, załatwiający wszystko element, a więc myślisz jak człowiek. Może Jeźdźcy Smoków nie wznosili budynków, ale przecież istoty ludzkie robią to. Stawiasz więc ten dom, ogromny gmach, w którym nic nie ma. W jakimś dowolnym miejscu umieszczasz gałązkę Srebrzystego Ciernia. Na przykład w wewnętrznej świątyni czy kaplicy. I do tego jeszcze przygotowujesz system pułapek. Intruz odkrywa po drodze serię miłych powitań, które przygotowałeś dla gości. Udaje mu się jednak bezpiecznie je ominąć. Zastanawiając się, jak sprytnie były pomyślane, idzie dalej, odnajduje Srebrzysty Cień, wyciąga rękę, chwyta gałązkę i...

– I pułapka się zatrzaskuje – dokończył Laurie z uznaniem dla logiki chłopaka.

– F pułapka się zatrzaskuje – powtórzył Jimmy. – Nie mam oczywiście pojęcia, w jaki sposób zastawili tę ostatnią pułapkę, ale daję głowę, że to jakaś magia. Pozostałe były stanowczo zbyt łatwe do odkrycia. A na końcu co, nic? Założę się, że gdybyś tylko dotknął kuli z Cierniem wewnątrz, natychmiast zatrzasnęłoby się z hukiem kilkanaście par drzwi dzielących cię od wolności, ze ścian wylazłaby setka nieżywych wojowników albo po prostu cały gmach zwałiłby ci się na łeb.

– Wcale nie jestem przekonany – powiedział nagle Arutha.

– Panie, posłuchaj tylko. Na górze czai się banda chciwych łobuzów. Większość z nich nie jest specjalnie sprytna. W przeciwnym razie nie włóczyliby się po górach jako wyjęci spod prawa, a byłiby szanującymi się złodziejami w jakimś mieście. Są nie tylko głupi, ale i chciwi. I co robią? Ano ściągają tłumnie, by zarobić trochę złota w zamian za szukanie Księcia. Mają wyraźnie powiedziane: „Nie wchodzić do budynku!” I co teraz? Każdy z tych cwaniaczków pomyślał sobie pewnie, że moredhele łżą jak psy. Sądząc innych według siebie, uważają wszystkich za równie głupich i chciwych. Zatem jeden z cwanych chłopców zakrada się do środka, aby się rozejrzeć i pomyszkować na własny rachunek. W nagrodę za trud i przemyślne kombinowanie zarabia śmiercionośną strzałę w pierś.

Po tym, jak znalazłem kulę na postumencie, wróciłem po własnych śladach i jeszcze raz porządnie się rozejrzałem. Moredhele zbudowały ten dom niedawno. Nie jest starszy ode mnie. Jego konstrukcja jest głównie drewniana, tylko z wierzchu jest lico z kamienia. Bywałem w rzeczywiście starych domach i jedno wiem na pewno: ten gmach do nich nie należy. Nie mam pojęcia, jak go postavili, może za pomocą magii, może przy udziale setek niewolników, ale głowę daję, że nie stoi tu dłużej niż kilka miesięcy.

– Galain mówił, że to miejsce Valheru – upierał się Arutha.

– I miał rację, ale Jimmy też ją ma, jak mi się wydaje – powiedział Martin. – Czy pamiętasz swoją opowieść o tym, jak Dolgan ocalił

Tomasa z podziemnych komnat Valheru tuż przed wybuchem wojny? –

Arutha potwierdził. – To miejsce bardzo przypomina tamto.

– Zapalcie pochodnię – rozkazał Księżę. Odsunęli się od szczeliny i

Roald szybko wykonał polecenie.

– Czy zwróciliście uwagę, że jak na jaskinię posadzka jest 'bardzo równa? – spytał Laurie.

– A ściany proste – dorzucił Roald. Baru rozejrzał się uważnie.

– W pośpiechu nie zbadaliśmy prawie tej jaskini... jeśli to jest jaskinia. Chłopak ma rację, nie wygląda na dzieło natury. Budynek to pułapka.

– Ten podziemny system był poddawany erozji przez ponad dwa tysiące lat. Szczelinami dociera tu każdej zimy nie tylko woda deszczowa, ale również prądy z jeziora. Wilgoć i zmiany temperatury zatarły większość tego, co było wyrzeźbione na ścianach. –

Przesunął dłonią po czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak zawirowanie żyły bardziej twardego minerału. – Ale nie wszystko. –

Wskazał palcem kilka ornamentów i znaków, które pod wpływem erozji nabrały abstrakcyjnego wyglądu.

– Zatem śnimy starożytne sny beznadziei i rozpacz – powiedział Baru cichym głosem.

– Jest jeszcze kilka tuneli czy korytarzy, których nie zbadaliśmy – powiedział Jimmy. – Może warto by im się przyjrzeć?

Arutha spojrzał na towarzyszy.

– Bardzo dobrze. Jimmy, prowadź. Cofnijmy się do jaskini, z

której rozchodziły się wszystkie tunele. Wybierz jeden z nich i zobaczymy, dokąd nas doprowadzi.

W trzecim korytarzu natknęli się na schody prowadzące w dół.

Zeszli nimi i po kilku minutach znaleźli się w ogromnej komnacie, która sądząc po wyglądzie i osadzie na posadzce, musiała być bardzo stara.

Baru podniósł wyżej pochodnię i rozejrzał się.

– Patrzcie, od wieków w tej sali nie stanęła żadna stopa. Martin popukał obcasem w podłogę.

– Istotnie, tak gruba warstwa pyłu gromadziła się przez setki lat.

Jimmy poprowadził ich dalej pod gigantycznymi, wysoko sklepionymi lukami. Zwieszały się z nich ciężkie od pokładów kurzu uchwyty do pochodni. Były tak przeżarte rdzą, że prawie ażurowe i dawno bezużyteczne. Po drugiej stronie komnaty znaleźli otwór po drzwiach prowadzących do następnej sali. Roald przyjrzał się z uwagą ogromnym, ledwo rozpoznawalnym żelaznym zawiasom osadzonym w futrynie. Obecnie przypominały raczej groteskowo poskręcane, rdzawoszare grudy bezkształtnego metalu.

– Cokolwiek chciało przejść przez drzwi, które tu kiedyś były, wyraźnie nie miało ochoty czekać. Jimmy przekroczył próg.

– Och, patrzcie...

Znaleźli się w wielkiej sali, w której jeszcze było widać ślady dawnej świetności. Ze ścian zwieszały się szczątki wspaniałych niegdyś materii, zmienione teraz w spłowiałe, zbutwiałe i poszarpane szmaty. Pochodnie rzucały na ściany migotliwe plamy światła i długie, ruchome

cienie. Stwarzało to złudzenie, że po eonach uśpienia budziły się do życia starożytne wspomnienia. Dawne sprzęty i wszystko, co znajdowało się niegdyś w sali i miało realny, konkretny kształt, zmieniło się w porzrzucone po podłodze stosy szczątków i śmieci. Strzaskany kawałek drewna, powyginany żelazny pręt, samotna złota skorupa zaledwie sugerowały, czym mogły być kiedyś, strzegąc zazdrośnie całej prawdy. Jedyным obiektem, który zdawał się nietknięty mimo upływu czasu, był kamienny tron na podwyższeniu w połowie długości prawej ściany. Martin zbliżył się powoli i delikatnie dotknął wiekowego kamienia.

– To tutaj zasiadał niegdyś Valheru... stolica potęgi i władzy.

Jak gdyby wspominając dawno przebrzmiały sen, wyraźnie odczuli, jak obce i złowieszcze jest to miejsce. Minęły całe tysiąclecia, a potęga Jeźdźców Smoków trwała tu nadal, snując się delikatnym echem pod mrocznymi sklepieniami. Nie mogło być mowy o żadnej pomyłce: znajdowali się w sercu spuścizny po starożytnej rasie. To tu właśnie tkwiło źródło marzeń moredheli. Tu znajdował się jeden z najważniejszych punktów Mrocznego Szlaku.

– Niewiele ocalało – powiedział Roald. – Kto to zrobił?

Szabrownicy? Mroczne Bractwo?

Martin spoglądał na ściany, jakby w pokrywającej je warstwie kurzu dostrzegał ślady minionych wieków.

– Nie wydaje mi się. Z tego, co pamiętam ze starożytnej historii, wszystko mogło przetrwać w nienaruszonym stanie od czasu Wojen

Chaosu. – Zatoczył ręką łuk, wskazując na całkowite zniszczenie. –

Podczas walki dosiadali smoków. Jak mówi legenda, rzucili wyzwanie bogom. Ocalało niewiele śladów tych straszliwych zmagañ. Pewnie nigdy nie poznamy całej prawdy.

Jimmy łaził po sali, zaglądał w każdy kąt i grzebał w stosach rupieci. Powrócił do nich po kilku minutach.

– Nic tu nie rośnie.

– Zatem gdzie jest Srebrzysty Cierń? – spytał Arutha z goryczą w głosie. – Szukaliśmy wszędzie...

Długą chwilę panowała niczym nie zmącona, przygnębiająca cisza.

– Nie, nie wszędzie – odezwał się w końcu Jimmy. –

Sprawdzaliśmy wokół jeziora i tutaj – machnął ręką wokół – pod jeziorem... ale nie szukaliśmy w jeziorze.

– W jeziorze? – zdziwił się Martin.

– Tak. Calin i Galain mówili, że ziele rośnie bardzo blisko lustra wody. Czy komuś wpadło do głowy, by zapytać Elfy, czy ostatnio padały ulewne deszcze?

Oczy Martina rozszerzyły się gwałtownie.

– Poziom wody się podniósł!

– Ktoś ma ochotę popływać? – rzucił wesole Jimmy.

Jimmy cofnął gwałtownie stopę.

– Uch, zimna – szepnął. Martin nachylił się do ucha Baru.

– Miastowy chłopaczek. Na wysokości prawie dwóch i pół tysiąca

metrów w górach dziwi się nieborak, że woda w jeziorze jest zimna.

Martin cicho i ostrożnie wszedł do wody. Baru poszedł w jego

ślady. Jimmy wziął głęboki oddech i ruszył za nimi. Krzywił się

niemiłosiernie przy każdym kolejnym kroku, gdy woda sięgała coraz

wyżej. Łagodnie opadające dno skończyło się nagle jak nożem uciął i

Jimmy zanurzył się niespodziewanie po pas. Krzyknął bezgłośnie i

zachłysnął się powietrzem. Laurie, trzymający wartę na brzegu,

skrzywił się współczująco, solidaryzując się z cierpieniem chłopaka.

Arutha i Roald czujnie obserwowali most, by w porę dostrzec

zagrożenie. Cała trójka przykucnęła za łagodnym wzniesieniem

okalającym brzeg jeziora. Noc była cicha i spokojna. Większość

moredheli oraz ludzkich renegatów spała po drugiej stronie mostu. Po

naradzie zdecydowali się rozpocząć poszukiwania na krótko przed

świttem. Liczyli, że jeśli wartę pełnili ludzie, to o tej porze ze zmęczenia i

niewyspania ledwo będą patrzyli na oczy. Natomiast moredhele mogły

zakładać, że tuż przed wschodem słońca nic już się nie wydarzy.

Z jeziora dochodziły cichutkie odgłosy brodzących. W pewnej

chwili Laurie usłyszał, jak ktoś gwałtownie wciągnął powietrze w

płuca. Głowa Jimmy'ego zniknęła pod powierzchnią wody, by po kilku

sekundach pojawić się znowu. Chłopak chwycił przez moment oddech i

ponownie zanurkował. Jak pozostali szukał po omacku, przesuwając

wokół stopy i ręce. Przeciskając dłoń pomiędzy pokrytymi mchem

głazami, poczuł nagle piekący ból. Natrafił na coś ostrego. Wyprysnął

na powierzchnię i chwycił głośno powietrze. Przestraszył się, że został

usłyszany na moście, ale panował tam absolutny spokój. Ponownie skrył się pod wodą i gorączkowo macał kamienie. Odkrył kolczastą roślinkę, nadziewając się na nią dłonią. Tym razem nie wynurzył się. Pokaleczył się dotkliwie, szukając po omacku wolnego od kolców miejsca, gdzie mógłby dobrze uchwycić. Szarpnął i korzenie puściły nagle. Wystawił głowę ponad powierzchnię.

– Mam coś!

Szczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Podniósł wysoko roślinę, która w promieniach małego księżyca lśniła prawie białą poświatą. Ziele wyglądało, jakby ktoś ponabijał czerwone jagody na gałązkę dzikiej róży ze srebrnymi kolcami. Jimmy przyglądał się z zachwytem.

– Ach! – szepnął radośnie. – Znalazłem! Mam! Martin i Baru dobrnęli do niego i szczegółowo zbadali znalezisko.

– Czy to wystarczy? – spytał góral.

– Elfy nie powiedziały, ile potrzeba – wyszeptał Arutha. –

Znajdźcie jeszcze kilka gałązek, jeśli się uda. Najdalej za kilka minut musimy stąd zniknąć. – Szybko owinął roślinkę w szmatkę i schował do plecaka.

W ciągu następnych dziesięciu minut znaleźli jeszcze trzy. Arutha był przekonany, że to wystarczy i dał znak, by wracać do jaskini.

Ociekając wodą i trzęsąc się z zimna, Jimmy, Martin i Baru pognali ku szczelinie i zniknęli pod ziemią. Pozostała trojka trzymała w tym czasie wartę.

Kiedy wszyscy znaleźli się w jaskini, Arutha obejrzał zdobycz w

wątlým świetle smolnej drzazgi trzymanej przez Roalda. Książę wyglądał jak nowo narodzony. Jimmy, chociaż zęby mu szczękały, uśmiechnął się do Martina. Arutha nie mógł oderwać oczu od Srebrzystego Ciernia. Przedziwne odczucia napelniały mu serce, gdy przypatrywał się drobnym gałązkom z błyszczącymi metalicznie kolcami, czerwonym jagodom i zielonym liściom. Gdzieś daleko za ciernistą roślinką rysował się coraz wyraziściej obraz tylko przez niego widziany. Wróciła nadzieja, że może znowu usłyszy delikatny śmiech, poczuje na twarzy łagodny dotyk jej dłoni i że uosobienie największego szczęścia, które znał, może znowu będzie należało do niego.

Jimmy spojrział na Lauriego. -

– Niech mnie szlag trafi, jeśli się nam nie uda. Laurie rzucił chłopakowi swoją bluzę.

– Jedyne, co nam teraz pozostało do zrobienia, to wrócić. Arutha poderwał gwałtownie głowę.

– Ubierajcie się szybko. Wyruszamy natychmiast.

Arutha wspiął się na krawędź wąwozu.

– Właśnie miałem wciągnąć linę – powiedział cicho Galain. – To się nazywa perfekcyjne zgranie w czasie, Arutha.

– Uważałem, że trzeba wynieść się z gór najszybciej, jak się da.

Nie chciałem czekać jeszcze jednego dnia.

– Nie zamierzam polemizować z tym poglądem. Zeszłej nocy

doszło do kłótni pomiędzy szefem ludzkich wyrzutków a dowódcami moredheli. Nie mogłem się podkraść na tyle blisko, żeby ich podsłuchać,

ale między moredhelami i ludźmi nie układa się najlepiej. Podejrzewam, że niedługo układ między nimi zostanie zerwany. Jeśli to nastąpi, Murad może zdecydować się na dalsze poszukiwania, zamiast biernie czekać na miejscu.

– W takim razie przed nastaniem świtu musimy znaleźć się możliwie najdalej stąd.

Niebo na wschodzie poszarzało, był to pierwszy zwiastun nadciągającego nowego dnia. Szczęście im sprzyjało. Na zachodnim stoku, na którym się znajdowali, cienie utrzymają się trochę dłużej, dając im możliwość ukrycia się. Niewielka to pomoc, ale dobre i to, pomyślał Jimmy.

Martin, Baru i Roald szybko wspięli się po linie. Laurie marudził trochę, ponieważ nie miał zupełnie smykałki do wspinaczki, o czym zapomniał powiedzieć swoim przyjaciółom. Przynaglany ich gestami zdołał w końcu pokonać krawędź.

Jimmy wspinał się błyskawicznie i zwinnie jak małpa. Zaczynało świtać. Jimmy obawiał się, że jeśli ktoś na moście zmieni pozycję, zauważy go na tle skalistej ściany wąwozu. W pośpiechu stał się nieostrożny. Czubek buta ześlizgnął się z występu i chłopak zsunął się kilka metrów w dół. Rozpaczliwie zacisnął palce na linie. Wyhamował upadek, ale z całej siły grzmotnął piersią w skałę. Nagły ból w boku eksplodował jak petarda. Zagryzł wargi do krwi, by nie krzyknąć na cały głos. Otwierał i zamykał usta, chwytając łapczywie powietrze. Odwrócił się plecami do skały. Poczul kolejny paroksyzm bólu

spowodowany ruchem. Zawinął linę pod lewym ramieniem i chwycił mocno. Błyskawicznie wsunął rękę pod bluzę i namacał sztylet zwędzony nieboszczykowi w czarnym budynku. Gdy ubierał się pośpiesznie po powrocie do jaskini, odruchowo wsunął go pod bluzę, zamiast schować do plecaka, jak powinien był zrobić. A teraz ostrze wbiło mu się w bok przynajmniej na pięć centymetrów.

– Wciągnijcie mnie – szepnął, starając się kontrolować głos.

Gdy lina ruszyła w górę, kolejna fala bólu omal nie wyrwała mu jej z rąk. Ześlizgnął się kilkanaście centymetrów. Zazgrzytał zębami i przygryzł wargi. Po chwili minął szczęśliwie krawędź.

– Co się stało? – spytał Arutha.

– Byłem nieostrożny... podwińcie mi bluzę. Laurie nachylił się i podciągnął mu ubranie. Zaklął pod nosem. Martin skinął w stronę Jimmy'ego, a on odpowiedział tym samym, zaciskając jednocześnie zęby. Martin zdecydowanym, szybkim ruchem wyciągnął sztylet.

Niewiele brakowało, a chłopak straciłby przytomność. Martin odciął kawałek bluzy i owinął krwawiący bok. Dał znak Roaldowi i Lauriemu, aby wzięli Jimmy'ego między siebie i pomogli mu iść. Po chwili ruszyli w drogę, oddalając się od wąwozu.

Posuwali się naprzód w wielkim pośpiechu, ponieważ robiło się coraz jaśniej. Laurie obejrzał się na Jimmy'ego.

– Nie mogłeś zakończyć wyprawy normalnie i spokojnie, jak wszyscy?

Przez pół dnia udało im się uniknąć odkrycia ich obecności.

Moredhele nadal nie miały pojęcia, że na Moraelin odbyła się cicha inwazja. Wszystkie posterunki wypatrywały nadejścia tych, którzy już się wycofywali.

Obserwowali z ukrycia jeden z posterunków moredheli. Czujka siedziała na wystającej skałce, obok której przekradali się poprzednio z takim trudem i obok której musieli przejść ponownie. Zbliżało się południe. Wcisnęli się w płytkie zagłębienie gruntu, mając nadzieję, że zostaną nie zauważeni. Martin zapytał na migi Galaina, czy chce iść jako pierwszy czy jako drugi. Elf ruszył natychmiast, a Martin tuż za nim. Dzień był bezwietrzny i cichy. Nie wiał nawet najłżejszy wiaterek, który mógłby, jak to było trzy dni wcześniej, zamaskować odgłos ich kroków. Teraz bezszelestne pokonanie zaledwie dwudziestu metrów tak, aby nie zaalarmować wartownika, stanowiło nie lada wyzwanie nawet dla tak wytrawnych tropicieli jak Martin i Galain.

Martin założył strzałę i napiął łuk, celując ponad ramieniem Elfa. Galain wyciągnął zza pasa nóż myśliwski i stanął tuż obok moredhela. Poklepał go lekko po ramieniu. Ciemny Elf, całkowicie zaskoczony niespodziewanym dotknięciem, obrócił się błyskawicznie, a wtedy Galain zdecydowanym, lecz płynnym ruchem poderżnął mu gardło. Moredhel zdołał jednak zerwać się na nogi, ale wtedy dosięgła jego piersi strzala Martina. Galain chwycił moredhela pod kolana, opuszczając go z powrotem do pozycji siedzącej. Nawet nie próbował wyrwać strzały, błyskawicznie skrzył ją i złamał. W ciągu zaledwie kilkunastu sekund moredhel zerwał się na nogi, został zabity i

posadzony w poprzedniej pozycji.

Martin i Galain przycupnięci za skałką odwrócili się ku pozostałym.

– Odkryją go za kilka godzin. Z początku będą prawdopodobnie sądzili, że idziemy w stronę jeziora, i zaczną szukać wyżej, lecz szybko się zorientują i ruszą w dół za nami. Musimy pędzić. Nawet bez odpoczynku od granicy lasów Elfów dzielą nas pełne dwa dni drogi.

Ruszamy.

Zaczęli opuszczać się po stoku. Jimmy, na wpeł niesiony przez Lauriego, krzywił się boleśnie przy każdym kroku.

– Jeśli konie są tam, gdzie je zostawiliśmy – mruknął Roald.

– Nawet jeśli ich nie ma, to przynajmniej teraz jest z górki – powiedział Jimmy słabym głosem.

Zatrzymali się na krótko, dając wierzchowcom chwilę wytchnienia, aby były w stanie wytrzymać galop przez trudny, górski teren. Liczyli się z tym, że po szaleńczej ucieczce konie nie będą się już do niczego nadawały. Nie mieli jednak wyjścia, nie mogli sobie pozwolić na opóźnianie marszu. Teraz, gdy Arutha dysponował już tym, co mogło uratować Anitę, nie dopuszczał w ogóle myśli, aby cokolwiek miało przeszkodzić mu w powrocie. Poprzednio był na krawędzi rozpacz, teraz płonął w nim ogień. Nie mógł dopuścić, by przygasł. Całą noc jechali bez odpoczynku.

Wyczerpani jeźdźcy prowadzili leśnym szlakiem ciężko dyszące i pokryte pianą konie. Wjechali już w gęste lasy. Ciągle jeszcze

znajdowali się u podnóża gór, ale granica puszczy Elfów była już blisko.

Jimmy z powodu utraty krwi, zmęczenia i bólu był na wpół przytomny.

W nocy rana otworzyła się. Jedyne, co mógł robić w tych okolicznościach, to przyciskać do niej z całej siły dłoń. W końcu jednak ból zmógł go i upadł nieprzytomny.

Gdy doszedł do siebie, siedział podtrzymywany przez Lauriego i Baru. Martin i Roald owijali mu bok świeżym bandażem odciętym z ubrania Martina.

– Musi ci to wystarczyć, póki nie dotrzemy do Elvandaru – powiedział Martin.

– Powiedz nam, jeśli rana znowu się otworzy. Galain, jedź obok niego i nie pozwól mu spać.

Ponownie dosiedli koni i znów przeżywali koszmar morderczej jazdy.

Następnego dnia przed zachodem pierwszy koń opadł z sił. Martin szybko skrócił jego mękę.

– Pobiegnę przez jakiś czas.

Biegł prawie pięć kilometrów. Chociaż wyczerpane konie nie poruszały się bardzo szybko i tak było to nie lada osiągnięciem. Baru zmienił Martina, a następnie biegł Galain. Zbliżali się do granicy wytrzymałości. Konie ledwo powłóczyły nogami. Galop przeszedł w niezdarny klus, później mogły już tylko iść stępa.

Liczyli w duchu każdy metr i minutę przebytej drogi, które przybliżały ich do bezpiecznego schronienia. Nie zapominali jednak ani

na chwilę, że gdzieś z tyłu pędzi za nimi niemy dowódca moredheli i jego Czarni Zabójcy. Nad ranem przecięli wąski szlak prowadzący w innym kierunku.

– Tutaj będą się musieli rozdzielić, nie mając pewności, czy nie skręciliśmy na wschód, ku Kamiennej Górze.

– Wszyscy z koni – rozkazał Arutha. Zeskoczyli na ziemię.

– Martin, podprowadź konie w stronę Kamiennej Góry i puść je wolno. Pójdziemy dalej pieszo.

Martin ruszył natychmiast na wschód, a Baru zajął się zacieraniem śladów stóp. Po mniej więcej godzinie dogonił ich Martin.

Zanim się z nimi zrównał, już z daleka pokazywał za siebie.

– Chyba coś słyszałem za sobą, ale nie jestem pewien. Wiatr przybiera na sile, a dźwięk był bardzo słaby.

– Idziemy dalej w stronę Elvandaru, ale miejcie oczy szeroko otwarte. Trzeba szukać miejsc łatwych do obrony – powiedział Arutha i nie zwlekając pobiegł dalej ciężkim, chwiejnym krokiem. Pozostali ruszyli za nim. Martin podtrzymywał Jimmy'ego.

Biegli już prawie pół godziny potykając się i zataczając z wyczerpania, gdy usłyszeli za sobą wyraźne odgłosy pogoni, odbijające się gromkim echem od wyniosłych drzew. Strach dodał im sił. Nogi same poniosły do szybszego biegu. Po kilkudziesięciu metrach Arutha wskazał na półokrągły cypel skalny wcinający się w las, naturalny i idealny szaniec.

Arutha obejrzał się przez ramię na Galaina.

– Jak daleko do odsieczy?

Elf patrzył przez chwilę na otaczający ich las, skąpany w delikatnym świetle poranka.

– Jesteśmy prawie na granicy naszej puszczy. Moi ludzie powinni być o godzinę marszu stąd, najwyżej dwie.

Arutha szybko ściągnął pakunek ze Srebrzystym Cierniem i rzucił go Elfowi.

– Zabierz Jimmy'ego. Powstrzymamy ich, póki nie dotrzesz z pomocą. – Wszyscy dobrze rozumieli, że pakunek zmienił właściciela na wypadek, gdyby Elf nie zdążył wrócić z odsieczą. Anita przynajmniej zyskiwała szansę na ocalenie.

– Nie bądźcie śmieszni. – Jimmy usiadł ciężko na skale. – W moim stanie przynajmniej dwukrotnie spowolnię jego tempo, a tym samym wydłużę czas oczekiwania na pomoc. Wolę walczyć stojąc niż iść. – Powiedziawszy to, wczółgał się na skaliste wzniesienie i wyciągnął sztylet.

Arutha przyjrzał się chłopakowi uważnie. Krwawił i dosłownie potykał się o własne nogi ze zmęczenia i utraty krwi, jednak szczerzył się do niego w szelmowskim uśmiechu, dzierżąc oręż w dłoni. Arutha skinął krótko głową i elf pognął przez las. Schowali się szybko za skały, wyciągnęli broń i rozpoczęli oczekiwanie na nieprzyjaciela.

Leżeli wciśnięci między kamienie, wiedząc doskonale, że każda kolejna minuta zwiększa ich szansę na ocalenie. Każdemu oddechowi towarzyszyła myśl o trwającym śmiertelnym wyścigu; z jednej strony

nadciągała ku nim zagłada, z przeciwnej ratunek. Ich przetrwanie spoczywało w rękach ślepego losu. Jeśli Calin i jego wojownicy czekają blisko krańca lasu Elfów i Galain będzie w stanie odnaleźć ich dostatecznie szybko, była szansa na przeżycie. W innym wypadku nie pozostawało im nic, nawet nadzieja. Odległy z początku odgłos kopyt końskich zbliżał się z każdą minutą. Czas włókł się w nieskończoność. W każdej chwili mogli zostać odkryci przez wroga; każda sprawiała, że czekanie stawało się nie do wytrzymania. Nagle, niemal w jednej sekundzie, nastąpiła gwałtowna odmiana, którą przywitani prawie z ulgą: rozległ się donośny okrzyk i moredhele ukazały się tuż przed nimi. Martin zerwał się na nogi z napiętym i gotowym do strzału łukiem. Pierwszy moredhel, którego trafił grot strzały, zwałił się z siodła zmieciony siłą uderzenia pocisku, który uderzył go prosto w pierś. Arutha i pozostali przygotowali się do mającego za chwilę nastąpić zwania. Kilku jeźdźców, zaskoczonych nagłym atakiem, kręciło się w kółko, wypatrując łuczniaka. Zanim zdążyli zareagować, Martin zwałił z siodła następnego. Trzech zawróciło i pogalopowało z powrotem, ale reszta rzuciła się do ataku.

Cypel skalny wznosił się dosyć stromo i rozszerzał ku górze, dzięki czemu byli zabezpieczeni przed frontalnym atakiem jazdy, lecz moredhele i tak nadciągały galopem. Po wilgotnej ziemi niosło się głuche dudnienie kopyt. Pomimo iż jechali dosłownie przyklejeni do karków swoich rumaków, zanim zdolali dotrzeć do skalistego wzniesienia otaczającego górny kraniec cypla, celne strzały Martina

pozbaWiły życia dwóch kolejnych jeźdźców. Za chwilę jednak moredhele siedziały im na karkach. Baru wskoczył na wysoki kamień. Przeciągły świst, rozmazany szybkością błysk długiego miecza w powietrzu i następny moredhel zwałił się na ziemię z odrąbaną ręką.

Arutha podbiegł wyżej, rozpędził się i skoczył ze skały, ściągając w locie Mrocznego Brata z siodła. Krótki cios nożem zakończył błyskawiczne zwanie. Książę okręcił się na pięcie, wyciągając jednocześnie rapier. Następny jeździec galopował wprost na niego.

Arutha wytrzymał, stojąc bez ruchu do ostatniej chwili, po czym odskoczył zwinnie w bok i uderzył, zwalając przeciwnika na ziemię.

Krótki wypad, pchnięcie i było po wszystkim.

Roald uczeplił się innego napastnika, ściągnął go z siodła i obaj potoczyli się między skały. Jimmy czekał w pogotowiu. Kiedy turlali się koło niego, wykorzystał nadarżającą się okazję i następny Mroczny Brat celnie pchnięty sztyletem zszedł z tego świata.

Dwóch ostatnich spostrzegłszy, że Laurie i Martin czekają gotowi do walki, zdecydowało się na odwrót. Cięciwa łuku Martina rozśpiewała się dwukrotnie w łagodnym świetle poranka i obaj spadli martwi na ziemię. Nie zdążyli jej jeszcze dotknąć, gdy Martin już podskoczył ku nim i błyskawicznie przeszukał ciała. Wrócił na stanowisko z krótkim łukiem i dwoma kołczanami pełnymi strzał.

– Moje prawie się skończyły – powiedział, wskazując kciukiem plecy. – Co prawda nie są to właściwe strzały do długiego łuku

bojowego, ale gdy zajdzie potrzeba, mogę się posłużyć krótkim, do walki

z konia.

Arutha rozejrzał się po okolicy.

– Niedługo nadciągną następni.

– Biegniemy dalej? – spytał Jimmy.

– Nie. Zyskamy niewielką przewagę, a możemy nie znaleźć równie dobrego do obrony miejsca. Poczekamy.

Mijały kolejne, długie minuty, a oni wpatrywali się w wylot szlaku, skąd wkrótce mieli ich ponownie zaatakować moredhele.

– Pędź, Galain, pędź... – szeptał Laurie.

Przez czas, który czekającym wydawał się wiecznością, las trwał wokół nich w niczym nie zmąconej ciszy. Nagle dał się słyszeć głuchy tętent końskich kopyt i na końcu ścieżki w obłokach kurzu pojawili się jeźdźcy.

Na przedzie cwałował ogromny niemowa Murad. Za nim jechało kilkunastu Czarnych Zabójców. Z tyłu widać było innych moredheli i najemników. Murad ściągnął wodze i podniósł rękę, nakazując pozostałym, by się zatrzymali. Jimmy jęknął przeciągle.

– Na bogów, chyba setka!

– Jaka tam setka, najwyżej trzydziestu – poprawił go Roald.

– I to wystarczy – skomentował krótko Laurie. Arutha wyjrzał za skalę.

– Może uda nam się powstrzymać ich przez kilka minut – powiedział, chociaż wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że sytuacja jest beznadziejna.

Wtedy Baru podniósł się niespodziewanie i zanim ktokolwiek zdolał go powstrzymać, zaczął krzyczeć do moredhela w języku nie znanym ani Jimmy'emu, ani Anicie czy Martinowi. Laurie i Roald pokiwali głowami.

Arutha wyciągnął rękę, aby ściągnąć górala niżej, lecz Laurie powstrzymał go.

– Nie, nie rób tego, panie. Hadati wyzywa Murada na pojedynek.

To sprawa honoru. . – Zgodzi się?

– To dziwny naród. – Roald wzruszył ramionami. – Walczyłem już kilka razy z Mrocznymi Braćmi. Niektórzy z nich to zwykle rzezimieszki i renegaci. Większość jednak przestrzega z żelazną konsekwencją spraw honoru, rytuałów. Zależy, gdzie się na nich natkniesz. Jeśli będzie to banda maruderów z północnego Yabonu. głowę daję, że rzucą się na ciebie bez ostrzeżenia, jak dzikie psy. Jeżeli jednak Murad ma pod swoją komendą oddział staroświeckich, ortodoksyjnych Mrocznych Braci z leśnych ostępów, jego odmowa nie spotka się z ich aprobatą. Jeśli chce udowodnić, że wspierają go magiczne moce, nie ma podstaw, aby odmówić Hadatiemu. O ile oczywiście chce zachować szacunek i lojalność swoich ludzi. Najwięcej zależy od tego, jak sam Murad podchodzi do spraw honoru.

– Patrzcie, bez względu na to, jaki będzie skutek ostateczny, już teraz Baru wprowadził w ich szeregi zamieszanie – powiedział Martin.

Arutha wychylił się bardziej i spojrzał w dół. Moredhele stały spokojnie z opuszczoną bronią. Niemy wojownik wpatrywał się

beznamiętnie w Baru. Po chwili machnął ręką w kierunku górala i jego towarzyszy. Jeden z moredheli ubrany w długą pelerynę przynaglił konia, podjechał do Murada i zatrzymał się tuż przed nim. Choć nie zrozumieli słów, domyślili się, że o coś pyta.

Murad ponownie wskazał ręką ku wznoszącej się obok skale.

Wtedy ten drugi dał znak w przeciwnym kierunku. Wszystkie moredhele, wyłączając ubranych w czarne zbroje, cofnęły wierzchowce o kilka metrów. Do niemego wodza podjechał jeden z ludzi i zaczął na niego krzyczeć. Kilku z jego oddziału gestykulowało, gniewnie krzycząc.

– Martin, czy rozumiesz, o czym oni mówią? – spytał Arutha.

– Nie, ale jestem przekonany, że cokolwiek do niego mówią, nie są to wyrazy szacunku.

Niespodziewanie Murad wyciągnął miecz i uderzył rzucającego obelgi człowieka. Inny mężczyzna wrzasnął coś dzikim głosem. Ruszył w kierunku Murada, lecz został po drodze zatrzymany przez dwóch moredheli. Z nosem spuszczonej na kwintę pierwszy bandyta zawrócił konia i dołączył do swojego oddziału.

Murad machnął ręką w stronę ukrytych na skałach i ruszył pod górę galopem.

Baru zeskoczył ze skały i podbiegł kilka kroków, by zająć dogodniejszą pozycję. Niemal do ostatniej chwili tkwił jak posąg przed nadciągającym przeciwnikiem. W momencie, gdy koń dotykał go prawie pyskiem, tanecznym niemal ruchem wykonał półobrót i zszedł mu z drogi. Rozległ się głośny kwik rumaka, który potknął się i

zachwiał.

W następnej chwili ranne zwierzę zważyło się na ziemię. Murad, pomimo wielkiej wagi ciała, zsunął się zgrabnie z grzbietu padającego rumaka i błyskawicznie zerwał na nogi, trzymając miecz wzniesiony do walki. Był szybki jak błyskawica. Okręcił się na pięcie akurat na czas, by stawić czoło nadbiegającemu Baru. Zwarli się z impetem. Stal uderzyła o stal.

Arutha spojrzął poza nich. Dwunastu Czarnych Zabójców spokojnie czekało. Oczywiście nie miał pewności, jak długo tak wytrzymają. Teraz, gdy ich przywódca załatwiał honorową sprawę, pojawiła się szansa, że poczekają, aż konflikt zostanie w taki czy inny sposób rozwiązany. Książę miał głęboką nadzieję, iż tak właśnie będzie.

Wszystkie oczy zwrócone były na walczących.

– Nie opuszczajcie broni, gdy walka dobiegnie końca, natychmiast nas zaatakują, bez względu na jej wynik – ostrzegł Martin.

– Przynajmniej mam chwilę, by złapać oddech – ucieszył się Jimmy.

Arutha z uwagą obserwował teren. Nadjeżdżało dwudziestu następnych moredheli. Baru mógł jedynie zyskać na czasie.

Murad zadał cios i otrzymał taki sam w odpowiedzi. Po paru minutach ciała obu wojowników pokryte były obficie krwawiącymi ranami. Namacalny dowód tego, że każdy z nich zdolny był zadać... prawie śmiertelny cios. Cios i parada, wypad i riposta, cięcie i unik... walka trwała nieprzerwanie. Chociaż Hadati dorównywał Muradowi

wzrostem, to jednak ciemny Elf miał większą masę ciała. Wykonując serię ciosów znad głowy, Murad zaczął spychać górala do tyłu.

Martin podniósł wyżej łuk.

– Baru ma już chyba dosyć. Zaraz będzie po wszystkim. Tym razem Martin się pomylił. Baru, jak wytrawny tancerz, który dostosowuje swe ruchy do muzyki, pozwolił, aby Murad wszedł w monotonny rytm zadawanych ciosów. Miecz wznosił się i opadał, wznosił i opadał. W pewnej chwili, gdy wnosił się ku górze, Hadati przestał się cofać. Zamiast w tył wykonał jeden krok do przodu i w bok. Zamachnął się potężnie i ciął straszliwie z boku w żebra moredhela. Z długiej i głębokiej rany trysnęła fontanna krwi.

– Hm, a to niespodzianka – skomentował Martin spokojnie.

– Cholernie dobry ruch – powtórzył z uznaniem Roald tonem profesjonalisty.

Jednak Murad nie pozwolił, aby niespodziewane uderzenie spowodowało, że walka zakończy się niekorzystnym dla niego wynikiem. Okręcił się na pięcie i chwycił Baru za prawą, dzierżącą miecz rękę. Moredhel stracił równowagę, lecz nie puścił górala i pociągnął go za sobą na ziemię. Potoczyli się w dół, pomiędzy skałki, ani na chwilę nie wypuszczając przeciwnika z uchwytu. Miecze wypadły im ze śliskich od krwi i potu dłoni. Zaczęli okładać się pięściami.

Zerwali się na nogi. Muradowi udało się objąć Baru w pasie.

Przycisnął go do siebie, chwytając się za ręce za jego plecami w miażdżącym uścisku. Podniósł górala w górę i naparł na niego barkiem,

chcąc złamać mu kręgosłup. Baru wygiął się w tył i krzyknął z bólu.

Zebrał się w sobie, rozłożył szeroko ręce i z całej siły otwartymi dłońmi uderzył z obu stron w uszy Murada, rozrywając mu bębunki.

Rozległ się straszny, zdławiony wysiłkiem charkot. Moredhel puścił przeciwnika. Oślepiony rozdzierającym bólem złapał się za głowę, zapominając o przeciwniku. Baru wziął potężny zamach i z całej siły rąbnął moredhela pięścią w twarz, łamiąc mu nos, wybijając kilka zębów i miażdżąc wargi.

Kolejny cios i następny, i jeszcze jeden. Głowa moredhela odskakiwała w tył jak piłka. Wydawało się, że jeszcze chwila i Hadati zatłucze go po prostu na śmierć. Murad zdołał jednak chwycić go za nadgarstek i znowu zwalili się obaj na ziemię w plątaniu nóg i rąk.

W pewnym momencie Muradowi udało się wydostać na wierzch i przygnieść górala swoim ciężarem. Obaj jednocześnie chwycili się za gardła i zaczęli dusić, stękając przy tym z wysiłku. Ich twarze zrobiły się purpurowe, a później sinoniebieskie.

Jimmy schylił się powoli. Wyciągnął sztylet z ciała zabitego moredhela, leżącego u jego stóp. Zyskał zapasową broń.

Martin zerknął w jego kierunku.

– Już niedługo, Jimmy, już niedługo.

Murad wyęczał wszystkie siły, wykorzystując lepszą pozycję.

Żaden z nich nie mógł już oddychać i było tylko kwestą czasu, który z nich pierwszy ulegnie. Baru dodatkowo dźwigał na sobie ciężar moredhela. Murad był jednak ciężko ranny. Głębokie cięcie krwawiło

obficie, osłabiając go z każdą sekundą.

A potem Murad zwałił się ciężko na Baru. Długo trwała martwa cisza. Murad poruszył się i stoczył z Hadatiego. Baru wstał powoli i ociężale. Schylił się z trudem, wyciągnął zza pasa przeciwnika długi nóż i powoli poderżnął mu gardło. Wyprostował się, usiadł na piętach i chwilę oddychał głęboko. Następnie, z zamierzoną pogardą dla własnego bezpieczeństwa, wziął zamach znad głowy i zatopił ostrze w piersi Murada.

– Co on wyprawia? – krzyknął Roald.

– Nie pamiętasz, co mówił Tathar o Czarnych Zabójcach?

– spytał Martin. – Wycina serce Murada, tak na wszelki wypadek, gdyby nagle zachciało mu się znowu powstać.

Szeregi moredheli i najemników powiększyły się o kolejne grupki.

Ponad pięćdziesięciu jeźdźców przyglądało się najpierw walce, a teraz Hadatiemu, wryrywającemu serce z piersi Murada. Baru wciął się głęboko nożem, zanurzył w ranie obie dłonie i jednym szarpnięciem wydobyl serce na wierzch. Uniósł ociekającą krwią bryłę wysoko w górę, aby wszyscy mogli zobaczyć, że serce przestało bić. Odrzucił je za siebie. Wstał chwiejnie.

Zataczając się i potykając ruszył niezadarnym krokiem ku skałom oddalonym zaledwie o dziesięć metrów. Jeden z moredheli spiął konia i ruszył w kierunku górala. Jimmy zerwał się na nogi i wyskoczył zza kamienia. Zamachnął się potężnie i cisnął sztyletem. Ostrze trafiło prosto w oko. Moredhel zawył straszonym głosem, podniósł dłonie do

twarczy i zwałił się ciężko na ziemię. W tej chwili do Baru podskoczył następny i ciał go w bok. Hadati upadł na twarz.

– Niech cię szlag trafi! – wrzasnął Jimmy bliski płaczu.

– Przecież on wygrał. Mogłeś mu pozwolić na powrót do nas! –

Cisnął drugim sztyletem, ale jeździec uchylił się. Nagle wyprostował się gwałtownie i zesztyniał. W jego plecach tkwiła długa strzała. Inny ciemny Elf krzyknął coś i odłożył łuk. Rozległ się gniewny okrzyk jednego z najemników.

– O co tu chodzi? – spytał Arutha.

– Ten, który zabił Baru, to renegat: człowiek bez czci i honoru.

Konny był chyba tego samego zdania co Jimmy. Hadati wygrał i powinien mieć prawo powrotu do swoich, by umrzeć razem z nimi. No a teraz wszyscy wrzeszczą na wszystkich. Może uda się zyskać trochę na czasie. Skoro olbrzym nie żyje, niewykluczone, że część z nich może odejść...

W tym momencie nastąpiła szarża Czarnych Zabójców.

Martin wskoczył wyżej i zaczął strzelać jak szalony. Jego szybkość była niebywała, wprost fenomenalna. Zanim jeźdźcy zdolali dotrzeć do skalnego występu, trzech z nich spadło z siodła.

Stal uderzyła o stal. Bitwa rozgorzała na nowo. Roald, podobnie jak Baru, wskoczył na wysoki kamień i raził mieczem każdego, kto znalazł się w zasięgu jego ramienia. Żaden moredhel nie mógł zbliżyć się dostatecznie blisko, aby dosięgnąć go swym krótkim mieczem. Roald zaś, operując długim i szerokim orężem, raził śmiertelnie wszystkich,

którzy podjechali za blisko.

Arutha odparował cios wymierzony w Lauriego, po czym pchnął w górę, z przysiadu przebijając jeźdźca. Roald skoczył na kark innemu, ściągnął go z siodła i zatłukł rękojeścią miecza. Siedmiu moredheli postradało życie, zanim reszta wycofała się na wyjściowe pozycje.

– Nie wszyscy zaatakowali – zauważył Arutha. Rzeczywiście, część moredheli pozostała z tyłu i nie wzięła udziału w walce. Jeszcze inni klócili się zawzięcie z renegatami. Kilku Czarnych Zabójców pozostało nadal w siodłach. Nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co przytrafiło się ich towarzyszom, szykowali się do ponownego ataku.

Jimmy wyciągał drugi sztylet z ciała moredhela powalonego na samej granicy skał, gdy coś przykuło jego uwagę. Pociągnął za rękaw Martina.

– Widzisz tego szpetnego bandziora w fantazyjnym czerwonym napierśniku, ze złotymi pierścieniami na paluchach?

Martin spojrział we wskazanym kierunku. Opisany przez

Jimmy'ego mężczyzna stał na czele oddziału ludzi.

– Widzę.

– Dalbyś radę załatwić go teraz?

– To trudny strzał. Dlaczego?

– Bo równie pewne jak to, że w lesie są Elfy, jest, że to Reitz.

Przywódca bandy wyrzutków. Załatw go, a jest prawie pewne, że reszta rozbiegnie się jak szczury, a przynajmniej będzie trzymać się z boku, dopóki nie zostanie wybrany nowy kapitan.

Martin wstał szybko, wymierzył i wypuścił strzałę. Pocisk

przemknął między drzewami i trafił mężczyznę prosto w szyję. Głowa odskoczyła w tył jak piłka, a jej były właściciel wykonał salto w tył i gruchnął martwy na ziemię.

– Zadziwiające – szepnął Jimmy w zachwycie.

– Musiałem trafić powyżej krawędzi pancerza.

– Hm, to niezbyt fair strzelać bez ostrzeżenia – zauważył z przekąsem Laurie.

– Możesz im przekazać moje wyrazy ubolewania. Zapomniałem, że wy, trubadurzy, w swoich sagach śpiewacie o bohaterach, którzy są zawsze fair.

– Gdybyśmy byli prawdziwymi bohaterami, to ci renegaci powinni zwiewać, gdzie pieprz rośnie – mruknął Jimmy pod nosem.

Zgodnie z jego przewidywaniami najemnicy zbili się w kupę, naradzali się przez chwilę, po czym nagle zaczęli odjeżdżać. Jeden z moredheli krzyknął za nimi gniewnie. Machnął ręką i wskazał grupkę na skałach, nakazując ponowny atak. Inny moredhel podjechał do niego, splunął siarczystie na ziemię i zawrócił konia, dając swoim ludziom rozkaz wycofania się. Oddziałek złożony z około dwudziestu moredheli odjechał za najemnikami.

Arutha policzył cicho.

– Pozostało ze dwudziestu moredheli... no i Zabójcy. Pozostali na placu boju przeciwnicy zorientowali się w końcu, że konno nie dadzą rady zdobyć skalnego szczytu. Zsiedli więc z koni, nawet ci trzymający

się poprzednio z tyłu. Ruszyli biegiem, rozsypując się w tyralierę.

Wykorzystując osłonę drzew, otaczali z wolna pozycje Aruthy.

– Od tego powinni byli zacząć – mruknął Roald.

– Nie tryskają inteligencją, ale całkiem głupi też nie są –

skomentował Laurie.

Mroczni Bracia ruszyli do ataku. Jimmy zacisnął kurczowo dłoń na rękojeści sztyletu.

– Osobiście wolałbym bezdenną głupotę – powiedział pod nosem.

Moredhele nadciągnęli szeroką ławą i bitwa rozpętała się na nowo. Rozległ się świst i z góry śmignęło ostrze miecza. Jimmy odskoczył w bok. Pchnął sztyletem w górę, trafiając moredhela w brzuch.

Roald i Laurie walczyli razem, opierając się o siebie plecami.

Wokół nich kłębili się Mroczni Bracia. Martin szył ze swojego łuku, dopóki nie skończyły się strzały. Odrzucił ulubiony oręż i chwycił krótki, zdobyczny łuk moredhela. Strzelał błyskawicznie i bardzo celnie. Zanim i te pociski wyczerpały się, na ziemi leżało kilkunastu moredheli. Martin odrzucił łuk ,i chwycił za miecz.

Arutha walczył jak opętany. Jego rapier siał spustoszenie wszędzie, gdzie się skierował. Żaden moredhel nie mógł zbliżyć się do niego bezkarnie – albo odskakiwał ranny, albo ginął. Jednak Książę wiedział, że czas pracuje na korzyść atakujących. obrońcy będą powoli opadali z sił, ich ruchy będą coraz wolniejsze, ciosy słabsze, w końcu padną martwi na ziemię.

Nieuchronność nadciągającej śmierci sprawiła, że ramiona mu osłabły. Nie można już było łudzić się nadzieją. Na placu boju wciąż trwało blisko dwudziestu moredheli, a ich została zaledwie piątka. Martin siekł mieczem na wszystkie strony. Roald i Laurie zwijali się jak w ukropie, robiąc gwałtowne uniki, parując ciosy i atakując, lecz i oni opadali z sił.

Jeden z moredheli przeskoczył przez skalny parapet i wylądował tuż przed Jimmym. Chłopak zareagował odruchowo, bez chwili zastanowienia. Zesztywniały bok tylko nieznacznie spowolnił jego ruchy. Zamachnął się i rozciął dłoń napastnika, co zmusiło go do upuszczenia miecza. Jimmy ponowił cios. Mroczny Brat odskoczył i wyciągnął zza pasa swój sztylet. Przyczaił się na moment i skoczył na chłopaka. Jimmy uderzył na oślep, ale stracił równowagę, a po sekundzie i broń. Moredhel przygniótł go swoim ciężarem. Długie ostrze pomknęło ku twarzy chłopaka. W ostatniej chwili przekręcił się na bok i klinga zazgrzytała o skalę. Złapał za nadgarstek moredhela, odpychając sztylet, był jednak zbyt słaby, aby zdobyć przewagę. Ostrze znowu zaczęło się przybliżać do twarzy.

Niespodziewanie głowa moredhela odskoczyła do tyłu. Przed jego twarzą pojawiło się ostrze noża, które przejechało po gardle, zostawiając krwawą pręgę. Czyjaś dłoń chwyciła moredhela za włosy i odrzuciła na bok, by po chwili wyciągnąć się ku Jimmy'emu.

Nad chłopakiem stał Galain. Pomógł mu wstać. Jimmy, jeszcze oszołomiony walką, podniósł się. Rozejrzył się dookoła. W powietrzu

świszczała chmura strzał. Echo niosło dźwięk rogów myśliwskich.

Moredhele cofały się w popłochu przed nacierającymi Elfami.

Martin i Arutha, kompletnie wyczerpani, rzucili broń. Padli ciężko na ziemię, tak samo jak Roald i Laurie. Dowodzący pościgiem Calin biegł w ich kierunku.

Arutha podniósł wzrok. Łzy szczęścia i ulgi napłynęły mu do oczu.

– Czy już po wszystkim? – spytał ochryplym głosem.

– Tak, Arutha. Przynajmniej na razie. Oni wrócą, ale do tego czasu będziemy już bezpieczni w granicach puszczy Elfów. Jeżeli nie zaplanowali wielkiej ofensywy, żaden moredhel nie ośmieli się przekroczyć tej granicy. Nasza magia jest bardzo mocna w tym rejonie.

Któryś z Elfów nachylił się nad ciałem Baru.

– Calin! Ten jeszcze żyje!

Martin, dysząc ciężko, leżał na wznak na kamieniach.

– To niesamowite... ten Hadati to prawdziwy twardziel. Arutha odsunął pomocną dłoń Galaina i sam wstał z ziemi. Wydawało mu się, że nogi ma z waty.

– Czy jeszcze daleko?

– Niewiele ponad kilometr. Musimy tylko przejść ten wąski potok i będziemy w naszych lasach.

Nadzieja stopniowo wracała do serc. Mając teraz eskortę Elfów, wiedzieli, że mają większe szansę zakończyć misję powodzeniem. Nawet jeśli moredhele zdecydują się na kolejny atak, wątpliwe jest zgromadzenie wystarczających sił, aby ich pokonać. Poza tym po

śmierci Murada z pewnością załamał się struktura dowodzenia.

*Zachowanie ich świadczyło dobitnie, że był dla nich kimś zupełnie
wyjątkowym. Wszystko wskazywało na to, że jego śmierć przynajmniej
na jakiś czas opóźni realizację planów Murmandamusa.*

*Jimmy objął się mocno rękami, zdziwiony nagłą falą chłodu,
która ogarnęła go od stóp do głów. Powrócił myślą do chwili, gdy stał w
jaskini*

w

Moraelin.

Doznał

przedziwnego

wrażenia,

jakby

*wyobcowania z czasu. Przypomnił sobie nagle, że już dwa razy czuł to
wszechogarniające, paraliżujące zimno:*

najpierw w pałacu, a później w piwnicach Domu pod Wierzbami.

*Włosy zjeżyły mu się na karku. Z przerażającą pewnością zdał sobie
sprawę, że znaleźli się w polu oddziaływania potężnych sił magicznych.*

Wyskoczył na odkrytą przestrzeń i rozglądał się gorączkowo.

– A niech to! Jeżeli mamy ruszać, to ruszajmy natychmiast.

Patrzcie!

Ciało jednego z Czarnych Zabójców zaczęło się poruszać.

– Czy nie możemy wyciąć im serc? – krzyknął Martin.

– Za późno – zawołał Laurie. – Mają na sobie zbroje, trzeba było

zrobić to od razu.

Dwunastu Zabójców wstawało powoli i ociężale, podnosiło z ziemi oręż i zwracało twarzą w kierunku oddziałku Aruthy. Ruszyli niepewnym, chwiejnym krokiem. Calin skrzyknął Elfy. Jego żołnierze zbiegli się i chwycili pod ręce rannych i wyczerpanych walką ludzi.

Dwóch dźwignęło z ziemi Baru i ruszyli biegiem w kierunku puszczy.

Nieżywi wojownicy jak niezdarne marionetki poszli za nimi.

Chociaż ich rany ciągle krwawiły, jednak z każdym krokiem ruchy stawały się bardziej płynne i pewniejsze. Moc, która pobudziła ich znowu do życia, przybierała na sile.

Niezmarli szli coraz szybciej i szybciej. Łucznicy Elfów biegli do przodu

kilkanaście

kroków,

zatrzymywali

się

i

odwracali,

wypuszczając chmurę strzał. Bez rezultatu. Pociski, choć trafiały, nie przynosiły pożądanых skutków. Ten czy ów martwy moredhel padał pchnięty impetem uderzenia, lecz zaraz dźwigał się z ziemi i wytrwale podązał przed siebie.

Jimmy obejrzał się przez ramię. W wyglądzie tych potworów,

biegnących przez oświetlony porannym słońcem piękny las, było coś

straszego. Widok był o wiele bardziej przerażający niż to, co zapamiętał z pałacu czy kanałów pod Krondorem. Moredhele biegły szybko z bronią gotową do walki, a ich ruchy były skoordynowane i zwinne.

Elfy podtrzymujące rannych i wyczerpanych oraz para niosąca Baru biegły, nie zatrzymując się ani na chwilę. Calin rozkazał reszcie zatrzymać czy przynajmniej spowolnić upiorny pościg. Elfy dobyły broni i zwały się z moredhelami. Krótka wymiana ciosów, kilka uników i odwrót. Za chwilę znowu to samo. Tylnej straży udało się opóźnić napór potworów, ale nikt ani nic nie było w stanie ich zatrzymać.

Elfy działały jak dobrze naoliwiona maszyna: zwrot, walka, odwrót, znowu walka i odwrót. Przyjęta taktyka, chociaż skuteczna ze względu na zwolnienie tempa pogoni, nie dawała najbardziej pożądanego efektu, nikt nie był w stanie unieszkodliwić ich ostatecznie.

Elfy zwijały się jak w ukropie, starając się wyhamować niepowstrzymaną falę, ale i one powoli traciły siły. Jeszcze kilka minut i wykończeni walką i długą ucieczką ledwo powłóczący nogami ludzie dosłownie zostali przeciągnięci na drugi brzeg granicznego strumienia.

Byli wreszcie w lesie Elfów.

– Wchodzimy do naszej puszczy. Tu stawimy im czoło – krzyknął

Calin.

Wszystkie Elfy dobyły broni i stanęły w pogotowiu. Nawet Arutha, Martin, Laurie i Roald przygotowali się do walki. Pierwszy

moredhel rzucił się pędem do strumienia i rozbryzgując fontanny wody, biegł ku nim z wysoko wzniesionym mieczem. Zbliżał się już do brzegu i stojący najbliżej Elf przygotowywał się do zadania ciosu. Jednak w chwili, gdy niezmarły upiór postawił stopę na ziemi Elfów, zatrzymał się jak wryty i zaczął wpatrywać w las za ich plecami, jakby coś tam wyczuł. Elf ciął go mieczem, lecz jak zwykle nie przyniosło to żadnego efektu. Po kilku sekundach Czarny Zabójca zachwiał się i cofnął, wznosząc gwałtownie ręce w obronnym geście.

Przez linie obrońców przemknął wspaniały jeździec w śnieżnej bieli i złocie. Tomas dosiadający legendarnego białego ogiera, mistycznego wierzchowca Elvandaru, atakował moredheli. Rumak stanął dęba. Tomas zeskoczył. W powietrzu rozbłysł złocisty luk klingi. Rozległ się świst i Czarny Zabójca padł przecięty prawie na pół.

Tomas szalał jak wcielony płomień zemsty. Pędził wzdłuż brzegu, gromiąc złotym mieczem każdego Czarnego Zabójcę, który postawił stopę na ich ziemi. Mimo magicznego pochodzenia, wobec połączonych sił potężnego ramienia i wszechpotężnej magii Valheru, byli zupełnie bezradni. Kilku udało się odpowiedzieć mizernymi ciosami, które on odparowywał z dziecinną łatwością, by w następnym ułamku sekundy odpowiedzieć morderczym ciosem. Złocista klinga rysowała w powietrzu płomienne refleksy. Czarne pancerze pękały jak wysuszona skóra. Mimo to żaden z niezmarłych nie chciał się cofnąć. Nieustępliwie parli do przodu. Jak powracająca fala przychodzili na drugi brzeg jeden po drugim i jeden po drugim wysyłani byli z powrotem. Spośród

towarzyszy Aruthy jedynie Martin miał wcześniej okazję zobaczyć

Tomasa w boju, lecz nawet on nie widział nigdy takiego pokazu.

Wkrótce było po wszystkim. Na brzegu strumienia został tylko Tomas.

Za plecami usłyszeli daleki tętent koni i zaraz pojawił się Tathar i inni

Czarodzieje dosiadający legendarnych rumaków.

– Witaj, książę Krondoru – odezwał się Tathar. Arutha podniósł wzrok i uśmiechnął się słabo.

– Dziękuję wam wszystkim. Tomas schował miecz do pochwy.

– Nie mogłem udać się w podróż z wami, lecz kiedy oni ośmielili się postawić stopę na naszej ziemi, miałem rozwiązane ręce. Elvandar pozostaje pod moją opieką. Każdego, kto odważy się uczynić to, co oni, spotka podobny los. – Odwrócił się do Calina. – Każ wznieść stos

pogrzebowy. Te czarne demony już nigdy nie powstaną z martwych! –

Zwrócił się do pozostałych. – Kiedy będzie po wszystkim, ruszamy do Elvandaru.

Jimmy padł na trawę tam, gdzie stał, na brzegu strumienia. Był zbyt wyczerpany i obolały, aby poszukać lepszego miejsca. Nie minęła minuta, a spał już jak zabity.

Następnej nocy odbyła się wielka uczta. Królowa Aglaranna i książę Tomas gościli Aruthę i jego towarzyszy. W trakcie jej trwania Galain podszedł do Martina i Aruthy.

– Baru będzie żył. Nasz uzdrowiciel jest zdumiony. Twierdzi, że to najtwardszy człowiek, jakiego kiedykolwiek widział.

– Ile czasu minie, zanim będzie mógł wstać? – spytał Arutha.

- Sporo. Będziecie musieli zostawić go u nas. Właściwie to powinien dawno umrzeć. Stracił wiele krwi. Odniósł kilka bardzo głębokich ran. Murad prawie zmiażdżył mu kręgosłup i tchawicę.*
- Mimo to będzie jak nowo narodzony – powiedział Roald z drugiej strony stołu.*
- Gdy tylko wrócę do Carline, obiecuję jej uroczyście, że nigdy już nie opuszczę domu – dorzucił Laurie. Jimmy podszedł bliżej i usiadł obok Aruthy.*
- Jak na kogoś, kto dokonał rzeczy niemożliwej, wyglądasz ponuro, panie. Myślałem, że będziesz się śmiać i radować. Arutha zdobył się na słaby uśmiech.*
- Nic z tego, dopóki Anita nie wyzdrowieje.*
- Kiedy wracamy?*
- Rano wyruszamy do Crydee. Elfy dadzą nam eskortę aż na miejsce. Potem popłyniemy statkiem do Krondoru. Powinniśmy zdążyć akurat na święto Banapis. Jeżeli Murmandamus nie znajdzie mnie za pomocą swej magii, podróż okrętem powinna być bezpieczna. Chyba że wolisz jechać konno, tak jak przybyliśmy?*
- Raczej nie. Mogą się tu kręcić jacyś inni Czarni Zabójcy. Wolę już utonąć, niż znowu się na nich nadziać. Brrr... nigdy więcej.*
- Miło będzie znowu ujrzeć Crydee. Czeka mnie tam dużo roboty. Trzeba wszystko doprowadzić do jako takiego stanu. Stary Samuel, zarządzając naszymi ziemiami, pewnie rwie codziennie włosy z głowy, choć jestem pewien, że w czasie mej nieobecności baron Bellamy spisał*

się na medal i wszystko jest w porządku. Ale to nie zmienia faktu, że przed wyjazdem czeka nas wiele roboty.

– Przed wyjazdem? Dokąd? – spytał zdziwiony Arutha. Martin spojrzął na niego z miną niewiniątka.

– Jak to dokąd? Do Krondoru oczywiście. – Jego spojrzenie powędrowało ku północy, a myśl powtórzyła bezgłośnie echem to, co od dawna nurtowało brata. Gdzieś tam, wysoko w górach był Murmandamus. Czekają ich nieuniknione starcie. Sprawa nie została załatwiona. To zaledwie pierwsza potyczka. Wraz ze śmiercią Murada siły ciemności utraciły swego kapitana, uciekły w popłochu, ale przetrwały. Kiedyś jednak powrócą. Jeśli nie jutro, to innego dnia, ale wrócą z pewnością.

Arutha spojrzął na Jimmy'ego.

– Jimmy, w czasie wyprawy wykazałeś się wielkim sprytem i odwagą. Uczyniłeś o wiele więcej, niż można było wymagać czy oczekiwać od młodego szlachcica. Jakiej chcesz nagrody? Mów śmiało.

Chłopak odgryzł potężny kawał mięsa z żebra łosia.

– No cóż, panie – powiedział z pełnymi ustami – o ile pamiętam, nadal potrzebujesz „pomniejszego” księcia miasta Krondor.

KONTYNUACJA

Jeźdźcy zatrzymali konie.

*Wpatrywali się w niebotyczne szczyty Wysokiej Ściany, które
znaczyły granice ich ziem. Dwunastu jeźdźców przez dwa tygodnie
przedzierało się przez górskie pustkowia. Teraz wspięli się już ponad
linię lasu i weszli na obszary, do których nie docierały zazwyczaj stałe
patrole Tsuranich. Znalezienie przełęczy, przez którą posuwali się z
trudem, zajęło im kilka dni. Szukali czegoś, czego od wieków nie szukał
żaden Tsurani, drogi przez Wysoką Ścianę do północnej tundry.*

*W górach panował chłód. Dla tych Tsuranich, którzy w czasie
wojny nie służyli na Midkemii, było to zupełnie nowe doświadczenie.*

*Dla młodszych żołnierzy Gwardii Domu Shinzawai zimno było dziwnym
zjawiskiem, budziło w nich lęk. Nie okazywali jednak tego po sobie.*

*Czasem tylko ten czy ów bezwiednie owijał się szczelniej długim
płaszczem, nie spuszczając wzroku z dziwnej bieli na szczytach, które
ciągle jeszcze wznosiły się o kilkaset metrów nad nimi. Byli w końcu
Tsuraniami.*

*Pug nadal miał na sobie czarne szaty Wielkiego. Spojrzał na
swojego towarzysza.*

– Chyba już niedaleko, Hokanu.

*Młody oficer kiwnął głową i przynaglił swój oddział. Od wielu
tygodni młodszy syn pana Shinzawai eskortował Wielkiego daleko poza
północne granice Imperium. Żołnierze jego oddziału zostali przez niego*

wybrani osobiście i po indywidualnych rozmowach. Po wielu próbach przeszli dodatkowe testy, patrolując różne tereny Imperium Tsuranuanni. Potem wyruszyli w drogę i posuwali się w górę rzeki Gagajin aż do jej źródeł, czyli wysokogórskiego, bezimiennego jeziorka. Powyżej rozciągały się dzikie i skaliste tereny między Imperium a północną tundrą, na których poza wędrownymi Thunami nie było żywej duszy. Mimo obecności Wielkiego Hokanu czuł się niepewnie. Gdyby po opuszczeniu skalistego terenu natknęli się na wędrowne plemię Thunów, mieliby do czynienia z liczną strażą boczną, złożoną przeważnie z młodocianych wojowników szukających byle pretekstu, aby zdobyć trofeum w postaci głowy Tsuraniego.

Szlak skręcił i przed ich oczami pojawiło się wąskie obniżenie terenu, które pozwalało rzucić okiem na rozciągające się dalej ziemie. Po raz pierwszy w życiu mieli okazję ujrzeć i podziwiać bezkresną połąć tundry. Daleko, tuż nad horyzontem majaczyła biała bariera.

– Co to jest? – spytał Pug.

Hokanu z nieprzeniknioną twarzą wzruszył ramionami.

– Nie wiem, Wielki. Pewnie następny łańcuch górski. Albo to, o czym wspomniałeś, ściana lodu.

– Lodowiec.

– Wszystko jedno. Ważne, że leży na północy, gdzie jak mówiłeś, mogą się znajdować Obserwatorzy.

Pug obejrzał się na dziesięciu milczących jeźdźców.

– Jak myślisz, jak to daleko stąd? Hokanu parsknął śmiechem.

– Ponad miesiąc drogi, nie biorąc pod uwagę uzupełniania

zapasów żywności. Trzeba będzie robić popasy, aby polować.

– Nie podejrzewam, aby było tam dużo zwierzyny.

– Jest jej więcej, niż się może wydawać, Wielki. Thuny... każdej

zimy próbują dotrzeć poza południowy łańcuch górski, na ziemie, które

od ponad tysiąca lat pozostają pod naszym panowaniem, a które oni

tradycyjnie uważają za swoją własność. Nie udaje im się, a jednak jakoś

przeżywają tu zimy. Ci z nas, którzy zimowali w twoim kraju, dobrze

wiedzą, jak zdobywać pożywienie w terenie pokrytym śniegiem. Gdy

zejdziemy poniżej linii lasu, pojawią się zwierzęta podobne do waszych

królików i płowa zwierzyna. Jakoś przetrwamy.

Pug rozważał rysujące się przed nim alternatywy. Przez dłuższy

czas panowała cisza.

– Chyba nie, Hokanu. Może masz rację, ale jeśli to, co mam

nadzieję tam odnaleźć, okaże się tylko legendą, wtedy cała wyprawa

będzie na nic. Posługując się sztuką magiczną, mogę powrócić do domu

twego ojca. Może udałoby się zabrać kilku twoich ludzi, najwyżej trzech

czy czterech. A co z resztą? Nie, wydaje mi się, iż nastął czas rozstania.

Hokanu zaprotestował. Jego ojciec nakazał mu, aby chronił Puga,

ale z drugiej strony Pug nosił przecież czarną szatę.

– Twoja wola, Wielki – powiedział po chwili. Dał znak swoim

ludziom. – Dajcie połowę zapasów żywności. – Ponownie zwrócił się do

Puga. – Wystarczy na kilka dni, jeśli będziesz jadł oszczędnie. – Całą

żywność spakowano teraz w dwa wielkie wory, które umocowano za

siodłem Puga. Hokanu dał znak swoim ludziom, aby poczekali, a sam odjechał z Pugiem kawalek na bok.

– Wielki, myślałem wiele o ostrzeżeniu, które nam przywiozłeś, i o twojej wyprawie w poszukiwaniu odpowiedzi. – Hokanu mówił powoli zacinając się, jakby mówienie o sobie samym sprawiało mu wielką trudność. – Wywarłeś na moją rodzinę ogromny wpływ, chociaż jak sam wiesz, jego skutki nie zawsze były dobre. Ja jednak, podobnie jak i mój ojciec, uważam cię za człowieka honoru, człowieka bez skazy. Jeśli uważasz, że sprawcą wszystkich problemów w twoim świecie jest legendarny Nieprzyjaciel, to muszę w to wierzyć. Podobnie jak wierzę w to, że zgodnie z twoimi obawami może on wkrótce odnaleźć drogę do naszego i twojego świata. Wielki, muszę się przyznać, że ogarnęło mnie przerażenie. Wstydzę się tego bardzo.

Pug pokręcił głową.

– To żaden wstyd, Hokanu. Nieprzyjaciel jest tak potężny, że przewyższa to nasze możliwości pojmowania. Wiem, że uważasz go za legendę, za kogoś, o kim mówiło się, gdy byłeś jeszcze małym chłopcem, za kogoś, o kim wspominał nauczyciel na pierwszych lekcjach historii Imperium. Nawet ja, chociaż widziałem go w mistycznej wizji, nie jestem w stanie tego pojąć. Wiem tylko, że jest to największe zagrożenie dla naszych światów, jakie można sobie tylko wyobrazić. Nie, Hokanu, bądź pewien, że nie ma w tym żadnego wstydu. Ja też boję się jego nadejścia. Obawiam się jego potęgi i szaleństwa, ponieważ jest to byt bezrozumny w swej nienawiści i wściekłości. Powiem ci więcej, Hokanu,

wątpiłbym w poczytalność osoby, która by się go nie bała.

*Hokanu skinął głową, po czym podniósł wzrok i Spojrzał prosto w
oczy maga.*

*– Milamber... Pug... chciałbym ci serdecznie podziękować za
słowa otuchy i radość, jaką sprawiłeś memu ojcu – powiedział,
wspominając wiadomość, którą Pug przywiózł od Kasumiego. – Niech
bogowie obu światów mają cię w opiece, Wielki. – Skłonił głowę z
szacunkiem, zawrócił konia i cofnął się do swych żołnierzy.*

*Niedługo potem Pug siedział samotnie na szczycie przełęczy,
której od wieków nie przekroczył żaden Tsurani. U jego stóp rozciągały
się bezkresne lasy, porastające północny skłon Wysokiej Ściany, a dalej
poza nimi łańcuchy górskie należące do Thunów. A co było jeszcze
dalej? Świat ze snu czy legendy? Dziwne, nieznanne istoty, które każdy z
magów ubiegających się o czarną szatę oglądał przez mgnienie oka w
czasie próby. Istoty znane tylko jako Obserwatorzy. Pug żywił w głębi
serca cichą nadzieję, że posiadają jakąś wiedzę o Nieprzyjacielu. Jakąś
informację, której posiadanie pomogłoby w nadciągającym starciu
przeważyc szalę zwycięstwa na ich korzyść. Pug, siedząc na grzbiecie
zdrożonego wierzchowca, na smaganej lodowatym wiatrem górskiej
przełęczy Kelewanu, był pewien, że rozpoczęło się już wielkie zmaganie,
wielka bitwa, która mogła się skończyć dla obu światów totalnym
zniszczeniem.*

*Ocknął się z zamyślenia i spiął konia. Rumak z pochylonym łbem
ruszył noga za nogą w dół ku tundrze i nieznanemu.*

Pug ściągnął gwałtownie wodze. Od chwili, gdy rozstał się z Hokanu i jego ludźmi, nie widział na wzgórzach żywego ducha. Teraz sytuacja się zmieniła. Od pasma wzniesień dzielił go już dzień drogi, gdy spostrzegł pędzącą z naprzeciwka grupę Thunów. Ciężkie kopyta przypominających centaury stworzeń wybijały rytmicznie na zamarzniętej ziemi tundry głucho staccato. Echo odbijało pieśń wojenną. Od legendarnych centaurów różniły się górną częścią torsu przypominającą gigantyczną jaszczurkę przepoczwarzoną w ludzki kształt. Jak wszystkie inne naturalne formy życia na Kelewanie, Thuny były sześcionożne, a ich górne kończyny przekształciły się w ramiona, podobnie jak u innej inteligentnej rasy tego świata – owadopodobnych cho-ja. Ich dłonie w odróżnieniu od ludzkich miały po sześć palców.

Pug czekał spokojnie aż do chwili, gdy były tuż-tuż, i dopiero wtedy wzniosł wokół siebie ochronną barierę. Rozpędzone stwory rozbijały się o nią jeden po drugim. Horda składała się wyłącznie z rosnących samców-wojowników, chociaż właściwie Pug nie miał pojęcia, jak wyglądają samice Thunów. Thuny zareagowały tak, jak w podobnych okolicznościach zareagowałyby młodzi wojownicy u ludzi. Były zmieszane i wściekłe. Kilka sztuk atakowało bezskutecznie prawie niewidzialną barierę. Reszta oddaliła się nieco i przyglądała się z uwagą. Pug zrzucił z ramion ciężki płaszcz, który ofiarował mu przed podróżą pan Shinzawai. Jeden z młodszych samców dostrzegł przez delikatną mgielkę magicznej bariery czerń jego szaty. Krzyknął coś chrapliwie do swoich towarzyszy. Stado zawróciło w miejscu i ruszyło z

kopyta.

Zachowując stosowny dystans, śledziły go przez trzy kolejne dni.

Kilka sztuk oddaliło się, a na ich miejsce przybyły inne osobniki. I tak bez końca. Cały czas jednak podążała za nim spora grupa. W nocy Pug wznosił wokół siebie i wierzchowca ochronny krąg. Kiedy budził się rano, Thuny nadal go nie odstępowały i obserwowały uważnie.

Czwartego dnia doszło w końcu do pokojowego kontaktu.

Jeden z nich przytruchtał do Puga. Złączone dłonie trzymał wzniesione wysoko w górze, naśladując nieudolnie stosowany przez Tsuranich znak gotowości do rokowań. Gdy podbiegł bliżej, Pug zauważył, że stado wysłało jednego ze starszych osobników.

– Honor i szacunek dla twego szczepu – powiedział, mając nadzieję, że Thun zna język Tsuranich. Odpowiedział mu prawie ludzki chichot.

– W takim razie to będzie pierwszy honor, jaki będę posiadał, czarny. Jeszcze nigdy człowiek nie obdarzył mnie „honorem i szacunkiem”. – Thun mówił z ciężkim akcentem, ale można go było zrozumieć. Przedziwne gadzie rysy twarzy były nadzwyczaj wyraziste. Samiec przybył nie uzbrojony, chociaż liczne blizny na całym ciele świadczyły, że kiedyś musiał być bardzo aktywnym i mężnym wojownikiem. Wiek jednak zrobił swoje i Thun stracił wiele ze swego wigoru.

Pug spojrzał na niego podejrzliwie.

– Czy jesteś... ofiarą?

– *Moje życie należy do ciebie. Spuść na mnie ogniste niebo, jeśli taka twoja wola. Myślę jednak, że nie chcesz tego. – Znowu chichot. – Thuny stawaly już twarzą w twarz z czarnymi. I dlaczegóż to miałbyś zabrać życie tego jednego, który i tak zbliża się do wieku odejścia, kiedy twoje ogniste niebo może spalić cały szczerp? Nie, ty wędrujesz, bo masz własne sprawy, nieprawdaż? Nie jest twoim celem kłopotanie tych, którzy za chwilę oddalą się, by stawić czoło polującym watahom myśliwych. – Pug przyglądał się uważnie Thunowi. Samiec już prawie osiągnął taki wiek, że stał się zbyt powolny, by nadążyć za galopującym stadem. Niedługo już, może nawet za kilka dni, stado zostawi go na pastwę drapieżników tundry.*

– *W twoim wieku jest się mądrym. Nie mam nic przeciwko Thunom. Chcę po prostu przejść na północ.*

– *Thun to słowo Tsuranich. My jesteśmy Lasura, lud. Widywałem czarnych. Zawsze tylko kłopoty. Walka prawie wygrana, a tu pojawia się nagle czarny i przynosi ogniste niebo. Tsurani biją się dzielnie.*

Głowa Tsuraniego to wielkie trofeum, ale czarnego? Rzadko zostawiacie Lasura w spokoju. Dlaczegóż to pragniesz przekroczyć nasze góry, co?

– *Zbliża się wielkie niebezpieczeństwo z dawno minionych wieków. Niebezpieczeństwo, które grozi wszystkim na Kelewanie, zarówno Thunom, jak i Tsuranim. Myślę, że odnajdę tam tych, którzy będą wiedzieli, jak przeciwstawić się zagrożeniu, tych, którzy mieszkają wysoko wśród lodu. – Wskazał ręką na północ.*

Stary wojownik stanął nagle dęba jak przestraszony koń i cofnął

się gwałtownie. Wierzchowiec Puga spłoszył się niespodziewanym ruchem.

– Zatem idź na północ, szaleńcze. Czeka tam śmierć. Odkryjesz to z pewnością. Ci, którzy mieszkają w lodach, nikogo nie witają przyjaźnie i Lasura nie będą stawać na drodze szaleńcowi. Ten, kto rani szalonego, sam zostaje zraniony przez bogów. Dotknął cię palec boga. – Odwrócił się i pogalopował z powrotem.

Pug poczuł jednocześnie ulgę i strach. Jeżeli Thun znał „tych, którzy żyją w lodach”, można przypuszczać, iż Obserwatorzy nie byli legendą ani rasą, która zginęła bezpowrotnie w zamierzchłej przeszłości. Z drugiej jednak strony ostrzeżenie Thuna nappełniło go obawą o powodzenie misji. Co go czekało w wysokich lodach północy? Gdy stado Thunów zniknęło w tumanie śniegu za horyzontem, ruszył w drogę. Od lodowca wiał zimny wichur. Owinął się szczelniej płaszczem. Jeszcze nigdy nie czuł się taki samotny.

Minęło kilka tygodni. Padł mu koń. Nie po raz pierwszy pożywił się koniną. Od czasu do czasu używał magicznej sztuki, aby pokonać jakiś krótki odcinek, ale przeważnie szedł. O wiele bardziej niż świadomość grożących mu niebezpieczeństw dręczył go brak jasnej perspektywy czasowej. Nie wiedział, kiedy może nastąpić atak nieprzyjaciela. Opierając się na posiadanych informacjach, mógł zakładać, iż minie ładnych parę lat, zanim będą gotowi wtargnąć na Midkemię. Nawet jeśli się mylił, jednego był absolutnie pewien: nieprzyjaciel nie mógł nadal dysponować mocą, którą ujawnił w wizji

czasów złocistego mostu. W przeciwnym razie przetoczyłby się przez Midkemię jak tajfun. Nikt ani nic na całej planecie nie byłoby w stanie go powstrzymać.

Wędrówka na północ stała się nużąca i monotonna. Szedł, dopóki nie udało mu się dotrzeć na szczyt wzniesienia, skąd rozciągał się rozległy widok. Koncentrował się, wbijając wzrok w najdalszy widoczny punkt. Przenoszenie się za pomocą magii było jednak wyczerpujące i trochę ryzykowne. Zmęczenie przytępiło nieco jego zmysły. Najdrobniejsza pomyłka w treści zaklęcia potrzebnego do zdobycia energii, która by go przeniosła, mogła wyrządzić mu krzywdę, a nawet pozbawić go życia. W związku z tym pokonywał zazwyczaj przestrzeń piechotą do chwili, gdy poczuł w sobie energię i znalazł odpowiednią lokalizację w terenie dla właściwego przewodzenia zaklęcia.

Pewnego dnia ujrzał na horyzoncie coś dziwnego. Wydało mu się, iż ponad ostrą krawędzią lodowego urwiska wypiętrza się jakiś inny kształt. Z powodu zbyt wielkiej odległości nie mógł dokładnie rozróżnić jego zarysów. W magii Niższej Drogi istniało zaklęcie dalekiego widzenia. Pamiętał je z taką wyrazistością, jakby dopiero przed chwilą przeczytał jego treść. Ta zdolność umysłu została w niewytłumaczalny sposób zwielokrotniona podczas tortur zadanych przez Wodza Wojny oraz za sprawą przedziwnego zaklęcia, dzięki któremu zdołał utrzymać się poza zasięgiem jego magii. Niestety, w obecnej sytuacji brakło stymulacji w postaci przerażenia i obawy przed śmiercią, która

*pozwalala mu wkroczyć na Niższą Droge. Mimo kilku prób nie potrafił
sprawić, aby zaklęcie zadziało. Westchnął ciężko, wstał z ziemi i
mozolnie powlókł się dalej ku północy.*

*Od trzech dni widział już wyraźnie lodową wieżycę strzelającą w
niebo ponad krawędzią wielkiego lodowca. Wspiął się na wysokie
wzniesienie. Zmrużył oczy i ocenił odległość. Przenoszenie się bez
znajomości docelowej lokalizacji, wzorca, na którym można by
skoncentrować umysł, łączyło się z wielkim niebezpieczeństwem, gdy
miejsce, do którego się zmierzało, znalazło się poza zasięgiem wzroku.
Skupił spojrzenie na niewielkim występie skalnym – miejscu, które
wydawało mu się wejściem – i wypowiedział zaklęcie.*

*Nagle znalazł się przed drzwiami prowadzącymi do wnętrza
kunsztownej lodowej wieży. U wejścia pojawiła się wysoka postać w
długiej szacie. Poruszała się cicho, a jej ruchy były płynne. Rysy twarzy
krył cień opuszczonego nisko kaptura.*

Pug czekał w milczeniu. Thuny wyraźnie obawiały się tych istot.

*Pug nie lękał się o siebie, jednak nieopatrzny ruch czy słowo mogło go
pozbawić jedyne istniejącego źródła pomocy, dzięki któremu mógł
myśleć o powstrzymaniu Nieprzyjaciela. Z drugiej strony, gdyby
zaistniała konieczność, w każdej chwili był gotów do obrony.*

*Wicher wzbijał tumany śniegu. Postać o niewidocznej twarzy
skinęła na niego, dając znak, by szedł za nią, i zniknęła we wnętrzu
wieży. Pug zawahał się przez moment, po czym ruszył za nią.*

Wycięte w ścianie spiralne schody prowadziły w górę, ku

szczytowi, i w dół, gdzie ginęły w lodowych czeluściach. Pug odniósł wrażenie, że cała wieża była skonstruowana z brył lodu. Mimo to wewnątrz nie było zimno. Wprost przeciwnie, po zimnych podmuchach wichru w tundrze, miejsce wydało mu się ciepłe i przytulne. Gdy Pug przekroczył próg, postać w długiej szacie zniknęła już prawie za kolejnym zakrętem. Nie namyślając się dłużej, poszedł za nią.

Opuszczali się coraz niżej i niżej. Pug domyślił się, że cel ich wędrówki musi się znajdować głęboko pod lodowcem. Gdy w końcu zatrzymali się, był pewien, że od powierzchni dzieliło go kilkaset metrów.

Dolny podest kończył się wielkimi drzwiami wykonanymi z takiego samego ciepłego lodu jak ściany. Jego przewodnik nie zatrzymując się przekroczył próg, a Pug poszedł w jego ślady. To, co ujrzał wewnątrz, sprawiło, że stanął jak wryty.

Pod powierzchnią zamarzniętych pustaci Arktyki Kelewanu, pod gigantyczną pokrywą lodu, rozciągał się bezkresny las. Co więcej, nie przypominał on w niczym lasów, które widział tu do tej pory. Serce zaczęło mu walić jak młotem. Jak okiem sięgnąć, wszędzie rosły potężne dęby, wiązy, sosny i jesiony. Pod stopami miał leśne runo, a nie lód.

Cała okolica była prześwietlona delikatnym światłem, sączącym się poprzez zielony azur gałęzi i listowia. Przewodnik wskazał na ścieżkę i znów ruszył przodem. Po długim marszu w głąb lasu dotarli do sporej polany. Chociaż nigdy w życiu nie widział czegoś takiego, wiedział jednak, że istnieje inne miejsce, daleko stąd, w innym świecie, które wyglądało niemal identycznie jak to tutaj. Na środku wielkiej polany

*strzelały w górę niebotyczne drzewa. W wielu miejscach widać było
obszerne platformy, połączone siatką gościńców, biegnących konarami.
Srebrzyste, białe, złote i zielone liście emanowały mistyczną poświatą.
Przewodnik podniósł dłonie do kaptura i powoli zsunął go z
głowy. Oczy Puga zrobiły się okrągłe jak spodki. Nie mogło być
najmniejszych wątpliwości! Miał przed sobą istotę, która do złudzenia
przypominała inne, znane mu dobrze z Midkemii. Patrzył z
niedowierzaniem, nie mogąc wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Tuż
przed nim stał wiekowy Elf! Gospodarz uśmiechnął się lekko.*

*– Witaj w Elvardein, Milamberze ze Zgromadzenia. A może wolisz,
aby nazywano cię Pugiem z Crydee? Oczekiwaliśmy twego przybycia.*

*– Wolę: Pug... – szepnął. Odkrycie jednej z dwóch najstarszych ras
Midkemii, żyjącej w tym nie dającym się zaakceptować przez
racjonalny umysł lesie, głęboko w lodzie i na obcej planecie, wprowadziło
go w osłupienie.*

*– Co to za miejsce? Kim jesteś? Skąd wiedziałeś, że do was
przybędę?*

*– Ja dużo wiem, synu Crydee. Znalazłeś się tutaj, ponieważ
nadchodzi czas, abyś stanął twarzą w twarz z największą potwornością,
abyś zmierzył się z tym, którego nazywasz Nieprzyjacielem. Jesteś
tutaj, aby się uczyć i aby nauczać.*

– Kim jesteś?

Elf zachęcił go gestem i poszli w stronę drzew.

– Wiele spraw musisz zgłębić. Będziesz mieszkał z nami przez rok,

a gdy nadejdzie czas rozstania, posiadasz moc i wiedzę, o których teraz masz zaledwie mgliste pojęcie. Bez tej wiedzy nie byłbyś w stanie przetrwać nadciągającego starcia. Gdy ją posiadasz, będziesz miał szansę ocalenia dwóch światów. – Elf kroczył u boku Puga. – Należymy do rasy Elfów, która na Midkemii już dawno wymarła. Jesteśmy najstarszą rasą na tym świecie, my służymy Valheru. Ludzie nazwali ich Jeźdźcami Smoków. Dawno, dawno temu zawitaliśmy na Kelewan. Z powodów, które poznasz później, zdecydowaliśmy tu osiąść na stałe. Wypatrujemy powrotu tego, który przywiódł cię do nas. Szykujemy się do dnia, w którym ujrzymy powrót Nieprzyjaciela. Jesteśmy eldar. Pug nadal nie mógł dojść do siebie po doznanym szoku. Pod czaszką kłębiły się różnorakie myśli. W całkowitym milczeniu przekroczył granicę bliźniaczego miasta Elvandar, miasta ukrytego głęboko w otchłani lodów, miasta, które eldar nazwał Elvardein. Arutha wraz z Lyamem przechodzili szybko przez salę. Tuż za nimi śpieszyli Volney oraz ojcowie Nathan i Tully. Za pierwszą piątką podążali Fannon, Gardan i Kasumi, Jimmy i Martin, Roald i Dominik oraz zamykający pochód Laurie z Carline. Księżę ciągle jeszcze nosił brudne i zniszczone ubranie, które miał na sobie w czasie rejsu z Crydee. Dzięki opatrności bogów podróż minęła szybko i cudownie spokojnie. Przed drzwiami pokoju, który Pug opatrzył magicznymi pieczęciami, czuwało dwóch wartowników. Arutha dał im znak, by otworzyli drzwi. Gdy oba skrzydła rozsunęły się na boki, odsunął żołnierzy i zgodnie z poleceniem Puga rozbił pieczęć rękojęścią miecza.

Księżę i obaj kapłani wbiegli do środka. Stanęli przy łożu Anity.

Lyam i Volney zatrzymali pozostałych na progu. Nathan otworzył

ostrożnie

flakonik

z

medykamentem

przygotowanym

przez

czarodziejów Elfów. Zgodnie z ich wskazówkami wylał kropelkę leku na

usta dziewczyny. Przez chwilę nic się nie działo. Jednak po paru

sekundach wargi jej zadrżały i rozchyliły się. Koniuszek języka dotknął

kropelki. Tully i Arutha wzięli ją pod ramiona i podnieśli. Nathan

przyłożył jej fiolkę do ust i wlał całą zawartość.

Dosłownie na ich oczach zaczęła następować zmiana. Policzki

poróżwiały. Arutha ukląkł przy łożu. Powieki zatrzepotały i po chwili

Anita otworzyła oczy. Powoli odwróciła głowę i spojrzała na Księcia.

– Arutha... – szepnęła ledwo słyszalnym głosem. Jej dłoń

powędrowała powolutku ku górze. Koniuszki palców delikatnie

dotknęły jego policzka, po którym spływały łzy szczęścia. Arutha nie

wstydział się płaczu. Ujął jej dłoń w swoją i pocałował.

Stojący przy drzwiach nie dali się już dłużej powstrzymać. Wpadli

do pokoju. Ojciec Nathan zerwał się na równe nogi.

– Najwyżej minutę, a potem precz stąd! Dziewczyna musi

wypoczywać – warknął Tully.

Lyam wybuchnął radosnym, tak charakterystycznym dla niego śmiechem.

– Słuchajcie go, słuchajcie! Tully, nie wiem, czy zauważyłeś, że to ja nadal jestem Królem.

– Jeśli o mnie chodzi, mogą cię nawet obwołać cesarzem Keshu, królem Queg czy wielkim mistrzem Bractwa Tarczy Dala. Mam to w nosie. Dla mnie zawsze będziesz jednym z moich mniej rozgarniętych uczniów. Jak mówiłem, tylko chwila, a potem precz stąd! – powiedział szorstkim głosem i odwrócił się, aby nie zauważyli, że policzki ma mokre od łez.

Księżniczka Anita rozglądała się zdumiona dookoła. Tłum uśmiechniętych twarzy?

– Co się stało? – Wyprostowała się i skrzywiła z bólu

– Oj, boli! – Uśmiechnęła się niepewnie. – Arutha, co się stało?

Pamiętam tylko, że był ślub... odwróciłam się do ciebie i...

– Później ci wszystko wyjaśnię, kochana. Odpoczywaj teraz.

Wkrótce znowu się zobaczymy.

Uśmiechnęła się i ziewnęła szeroko, zasłaniając usta ręką.

– Och, przepraszam, ale jestem taka senna... – Ułożyła się wygodnie, wtulając twarz w poduszkę, i momentalnie usnęła.

Tully wyganiał wszystkich z komnaty. Gdy wyszli, Lyam podszedł do niego.

– Ojczy, jak długo musimy czekać, aby doprowadzić ten ślub do końca?

– Kilka dni. Ozdrowieńcza siła tej mikstury jest wprost

fenomenalna.

– Dwa śluby – poprawiła brata Carline.

– Chciałem poczekać do powrotu do Rillanonu.

– Mowy nie ma! Wybij to sobie z głowy – wypaliła.

– Nie mam zamiaru ryzykować.

– Hm... Wasza Księżęca Mość – powiedział Król do Lauriego –

odnoszę wrażenie, iż rzecz została zdecydowana.

– Księżęca Mość?

Na odchodnym Lyam parsknął śmiechem i machnął ręką.

– Oczywiście. Nie powiedziała ci? Przecież nie mogę dopuścić,

żeby moja rodzona siostra wyszła za jakiegoś prostaka z gościńca.

Niniejszym mianuję cię księciem Saladoru.

Laurie wyglądał na bardziej przerażonego niż przed chwilą.

– Chodź, kochany – powiedziała Carline, biorąc go za rękę. –

Przeżyjesz to jakoś.

Arutha i Martin wybuchnęli śmiechem.

– Zauważyłeś, że ostatnimi czasy arystokracja schodzi na psy? –

spytał Martin.

Arutha odwrócił się do Roalda.

– Dołączyłeś do nas dla złota, lecz moja wdzięczność wykracza

poza zwykłą zapłatę. Otrzymasz coś jeszcze. Volney, dopilnuj, aby

człowiek ten otrzymał umówioną zapłatę, sakiewkę ze stoma złotymi

talarami. Ponadto, jako dodatkową nagrodę za swą służbę, ma

otrzymać dziesięć razy tyle. I jeszcze tysiąc z osobistym

podziękowaniem.

Roald wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Hojną masz rękę, Wasza Wysokość.

– A do tego, jeśli zgodzisz się przyjąć zaproszenie, możesz

korzystać z naszej gościnności tak długo, jak zechcesz. Kto wie, może

nawet rozważysz wstąpienie do mojej osobistej gwardii? Wkrótce będę

tam potrzebował kapitana.

Roald zasalutował.

– Dziękuję, Wasza Wysokość, ale nie. Ostatnio coraz częściej

myślę sobie, że czas już chyba ustatkować się i osiąść gdzieś na dobre.

Szczególnie po ostatniej wyprawie nie ciągnie mnie do regularnego

wojska.

– W takim razie czuj się u nas swobodnie i korzystaj z gościny, jak

długo zechcesz. Wydam polecenie zarządcy, aby przygotował dla ciebie

komnatę.

– Wielkie dzięki. Wasza Wysokość – powiedział Roald z

uśmiechem.

– Wasza Wysokość – odezwał się Gardan – czy wzmianka o

nowym kapitanie oznacza, że zostałem w końcu zwolniony z tego

obowiązku i mogę wrócić do Crydee z księciem Martinem?

Arutha pokręcił głową.

– Przykro mi, Gardan. Kapitanem gwardii zostanie sierżant

Valdis. Na razie nici z emerytury dla ciebie. Wybacz. Po lekturze

raportów, które przywozłeś od Puga ze Stardock, doszedłem do wniosku, że będziesz mi nadal potrzebny. Lyam mianuje cię wkrótce marszałkiem Krondoru.

Kasumi klepnął starego wojaka w plecy.

– Gratulacje, panie marszałku.

– Ale...

Jimmy chrząknął znacząco. Arutha odwrócił się ku niemu.

– Tak... paniczu?

– No... myślałem...

– Chciałeś o coś zapytać?

Wzrok Jimmy'ego wędrował od Aruthy do Martina.

– To znaczy, hm, pomyślałem sobie tylko, że skoro już obsypujesz wszystkich nagrodami...

– Ach, tak. Oczywiście. – Arutha rozejrzał się po sali i zauważył jednego z młodych szlachciców pozostających przy dworze. – Locklear!

Młodzieniec przybiegł pędem i skłonił się nisko przed Księciem.

– Wasza Wysokość?

– Zaprowadzisz panicza Jamesa do Mistrza Ceremonii deLacy'ego i poinformujesz go, że Jimmy awansował na stanowisko Seniora.

Jimmy wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu i ruszył za Locklearem. Świerzbiał go język, aby coś powiedzieć, ale po namyśle zreflektował się i zrezygnował.

Martin położył rękę na ramieniu brata.

– Nie spuszczaaj oka z tego chłopaka, Arutha. On naprawdę chce

zostać księciem Krondoru.

– Niech mnie szlag trafi, jeśli nie ma na to dużych szans.

ODWRÓT

W duszy moredhela wrzało.

Na zewnątrz zachował jednak kamienny spokój i żaden z trzech znajdujących się przed nim wodzów niczego nie zauważył. Trójka przewodziła najważniejszej konfederacji z nizin. Zanim się zbliżyli, dobrze wiedział, jakie za chwilę padną słowa. Wystuchał ich jednak cierpliwie. Odblask ognia płonącego w pobliżu tronu rzucił ruchliwe i krwawe blaski na odkrytą pierś. Znamię w kształcie smoka wydawało się poruszać.

– Panie – mówił wódz stojący pośrodku – moi wojownicy robią się nerwowi. Złorzeczą i narzekają. Mają dość bezczynności. Kiedy zaatakujemy Ziemię Południa?

Pantathian zasyczał złowieszczo, ale wystarczył jeden gest siedzącego na tronie, by zamilkł. Murmandamus oparł się wygodniej i marszcząc czoło, rozmyślał o swoim niepowodzeniu. Najlepszy dowódca był martwy i nie do odzyskania nawet przez potężne moce, które pozostawały na jego usługach. Zbuntowane klany Północy żądały natychmiastowego działania.

Szeregi

górkich

szczepów,

zdezorientowanych po śmierci Murada, topniały w oczach z dnia na dzień. Ci, którzy przybyli na jego wezwanie z południowych lasów, szeptali coraz częściej między sobą o przedostaniu się przez mniej znane przełęcze do krainy ludzi i Krasnoludów i o powrocie do rodzinnych stron u podnóża wzgórz koło Zielonego Serca czy wysokogórskich łąk Szarych Wież. Całkowicie polegać mógł jedynie na góralskich klanach i oczywiście na Czarnych Zabójcach. Tak, pierwsza bitwa została przegrana. Wodzowie stojący przed nim żądali jakiejś obietnicy, znaku czy przepowiedni, które utwierdziłyby wiszące na włosku przymierza, zanim

na

nowo

rozgorzeją

zadawnione

waśnie

szczepowe.

Murmandamus dobrze zdawał sobie sprawę, że jeśli natychmiast nie wyruszą, będzie mógł utrzymać ludzi pod swoją komendą najwyżej przez kilka tygodni. Obóz był wysunięty daleko na północ. Na tej szerokości geograficznej tylko przez dwa krótkie miesiące było dość ciepło. Potem na skrzydłach ostrych podmuchów pomocnego wiatru, nadciągała błyskawicznie jesień, a tuż za nią zima. Jeśli wojna, która przynosi grabież i łupy, odwlekałaby się, należało jak najszybciej odesłać wojowników do domu. Po długim milczeniu Murmandamus

przemówił:

– Dzieci moje, przepowiednie nie sprawdziły się. – Wskazał w górę na gwiazdy ledwo widoczne w blasku buchającego ognia. – Ognisty Krzyż zwiastuje jedynie początek. Właściwy czas jeszcze nie nadszedł. Cathos mówi, że czwarty Krwawy Kamień nie osiągnął jeszcze właściwego położenia. Najniższa gwiazda osiągnie je w dniu przesilenia letniego w przyszłym roku. Nie możemy przyspieszać biegu gwiazd. Zawierzyliśmy nasz los rękóm kogoś, kto działał zbyt szybko, kto nie potrafił podjąć właściwych decyzji. – Wodzowie wymienili ukradkowe spojrzenia. Wiedzieli dobrze, że Muradowi nikt nie mógł zarzucić opieszałości w niszczeniu znienawidzonych ludzi. Jakby czytając w ich myślach, Murmandamus ciągnął dalej: – Przy całej swojej sile i przebiegłości nie docenił Pana Zachodu. Oto dlaczego należy się mieć na baczności przed tą istotą ludzką. Z tego też powodu trzeba ją unicestwić raz na zawsze. Wraz z jego śmiercią droga na Południe stanie otworem, a wtedy my sprowadzimy zniszczenie i śmierć na głowy wszystkich, którzy staną nam na drodze lub sprzeciwią się naszej woli. – Powstał. – Nie nadszedł jeszcze czas. Będziemy czekali. Odeślijcie wojowników do domu. Niech się przygotowują do zimy. Niech wszystkie szczepy i klany zgromadzą się tutaj w lecie przyszłego roku. Niech konfederacja maszeruje za słońcem, gdy rozpocznie ono znowu swoją wędrówkę na południe. Zanim nadejdzie następny Dzień Przesilenia Letniego, Pan Zachodu będzie martwy! Nasze siły zostały poddane srogiej próbie. Okazało się, że jesteśmy o wiele słabsi niż nasi przodkowie. Winą naszą

*jest nie dość mocne trwanie przy powziętych postanowieniach. Nie
zawiedziemy powtórnie! – Uderzył pięścią w otwartą dłoń. Prawie
krzyczał. – Nie minie rok, a przyniesiemy wam wiadomość o śmierci
Pana Zachodu. I wtedy nastąpi wymarsz. Nie będziemy szli samotnie.
Wezwiemy nasze sługi, gobliny, trolle z gór oraz giganty
przemierzające ziemię wielkimi krokami. Wkroczymy na ziemie ludzi i
obrócimy ich miasta w proch i pył. Wzniosę tron swój na stosie ich ciał.
I wtedy, o dzieci moje, poleją się strumienie krwi!*

*Skończył i dał znak, że wodzowie mogą się oddalić. Tegoroczna
kampania dobiegła końca. Skinął na swoich gwardzistów i przeszedł
szybkim krokiem obok przygarbionej sylwetki kapłana-węża. W ciszy
serca dumiał nad śmiercią Murada i jej strasznymi skutkami. Krzyż
Ognia przez najbliższy rok prawie się nie zmieni, a więc kłamstwo o
niewłaściwej konfiguracji gwiazd nie powinno wyjść na jaw. Od tej
chwili jednak mijający czas stał się ich największym wrogiem. Zima
przejdzie na przygotowaniach i wspomnianiu. Tak, w czasie długich,
mroźnych nocy pamięć o ostatnich wydarzeniach będzie jątrzyć nie
zabliźnione rany porażki. Te same noce będą jednak również świadkiem
narodzin nowego planu, który doprowadzi do śmierci Pana Zachodu,
tego, który jest Zaporą Ciemności. Wraz z jego zgonem rozpocznie się
krucjata przeciwko narodom ludzkim. Rzeź nie ustanie, aż wszyscy
legną u stóp zwycięskich moredheli, tak jak być powinno. Wszystkie
moredhele będą służyć jednemu panu – jemu, Murmandamusowi!*

Odwrócił się ku najbardziej mu oddanym i lojalnym. Jego głos był

jedynym dźwiękiem rozlegającym się w pamiętających starożytne

czasy salach.

– Ilu ludzi schwytała nasza konnica do ciągnięcia machin

oblężniczych?

– Kilkuset, panie – poinformował jeden z kapitanów.

– Zabić wszystkich. Natychmiast!

Dowódca wybiegł, aby wykonać rozkaz. Śmierć jeńców będzie

zadośćuczynieniem za niepowodzenie Murada. Murmandamus poczuł,

jak gniew w nim opada. Uspokoił się nieco,

–

O

dzieci

moje...

popelniliśmy

błąd.

Przedwcześnie

zgromadziliśmy nasze siły, by odzyskać to, co jest naszym niezbywalnym dziedzictwem. Za rok, gdy na szczytach gór znowu stopnieją śniegi, zbierzemy się ponownie. Ci, którzy sprzeciwią się nam, poznają wtedy, co to przerażenie, śmierć i zagłada. – Zaczął przechadzać się po komnacie. Po długiej chwili absolutnej ciszy obrócił się do Pantathiana.

– Ruszamy. Przygotuj przejście.

Wąż skinął głową. Czarni Zabójcy zajmowali miejsca przy ścianach. Kiedy wszyscy znaleźli się już w swoich niszach spowiła ich zielonkawa poświata energii. Każdy z nich wyprostował się, przemieniając się w kamienny posąg i oczekując wezwania, które miało nadejść następnego lata.

Kapłan-wąż skończył recytować długie zakłęcie. W powietrzu pojawiła się migocząca srebrzyście przestrzeń. Bez zbędnych słów Murmandamus i Cathos opuścili Sar-Sargoth i skierowali się ku sobie tylko znanemu przeznaczeniu. Przejście rozbłysło na moment i zniknęło.

W sali zapadła głucha cisza. W chwilę później mrok nocy

wypełniły przejmujące krzyki mordowanych jeńców.